PIOTR KUZIO

MARCIN MAJCHRZAK

GRZEGORZ SUDER

Informatyczna korporacja.
Wszechobecny monitoring.
Tajemnicza zbrodnia…

SPRINT

PIOTR KUZIO
MARCIN MAJCHRZAK
GRZEGORZ SUDER
Informatyczna korporacja.
Wszechobecny monitoring.
Tajemnicza zbrodnia...
SPRINT

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIOTR KUZIO
MARCIN MAJCHRZAK
GRZEGORZ SUDER

SPRINT

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Piotr Kuzio, Marcin Majchrzak, Grzegorz Suder
Sprint

ISBN 978-83-8116-620-1

Copyright © by Piotr Kuzio, Marcin Majchrzak, Grzegorz Suder, 2019
All rights reserved

Redakcja
Witold Kowalczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Witold Kowalczyk

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Wstęp
Rozdział 1
  Dzień sprintu 1/10. Poniedziałek
Rozdział 2
  Dzień sprintu 2/10. Wtorek
Rozdział 3
  Dzień sprintu 3/10. Środa
Rozdział 4
  Dzień sprintu 4/10. Czwartek
Rozdział 5
  Dzień sprintu 5/10. Piątek
Rozdział 6
  Sobota
Rozdział 7
  Niedziela
Rozdział 8
  Dzień sprintu 6/10. Poniedziałek
Rozdział 9
  Dzień sprintu 7/10. Wtorek
Rozdział 10
  Dzień sprintu 8/10. Środa
Rozdział 11
  Dzień sprintu 9/10. Czwartek
Rozdział 12
  Dzień sprintu 10/10. Piątek – Retrospektywa

Rozdział 13
Dzień sprintu 10/10. Piątek – Review
Rozdział 14
Dzień sprintu 10/10. Piątek – Post mortem
Epilog

Ta książka była pisana z zastosowaniem metodologii Agile. Dzięki takiemu podejściu napisanie jej zajęło nam dwa razy więcej czasu, niż planowaliśmy.

Sprint — w metodologii tworzenia oprogramowania podstawowa jednostka planowania pracy zespołu programistów. Zazwyczaj trwa dwa tygodnie. W tym czasie musi zdarzyć się wszystko: od zaplanowania pracy do prezentacji finałowego rozwiązania.

Struktura organizacyjna firmy RCUS

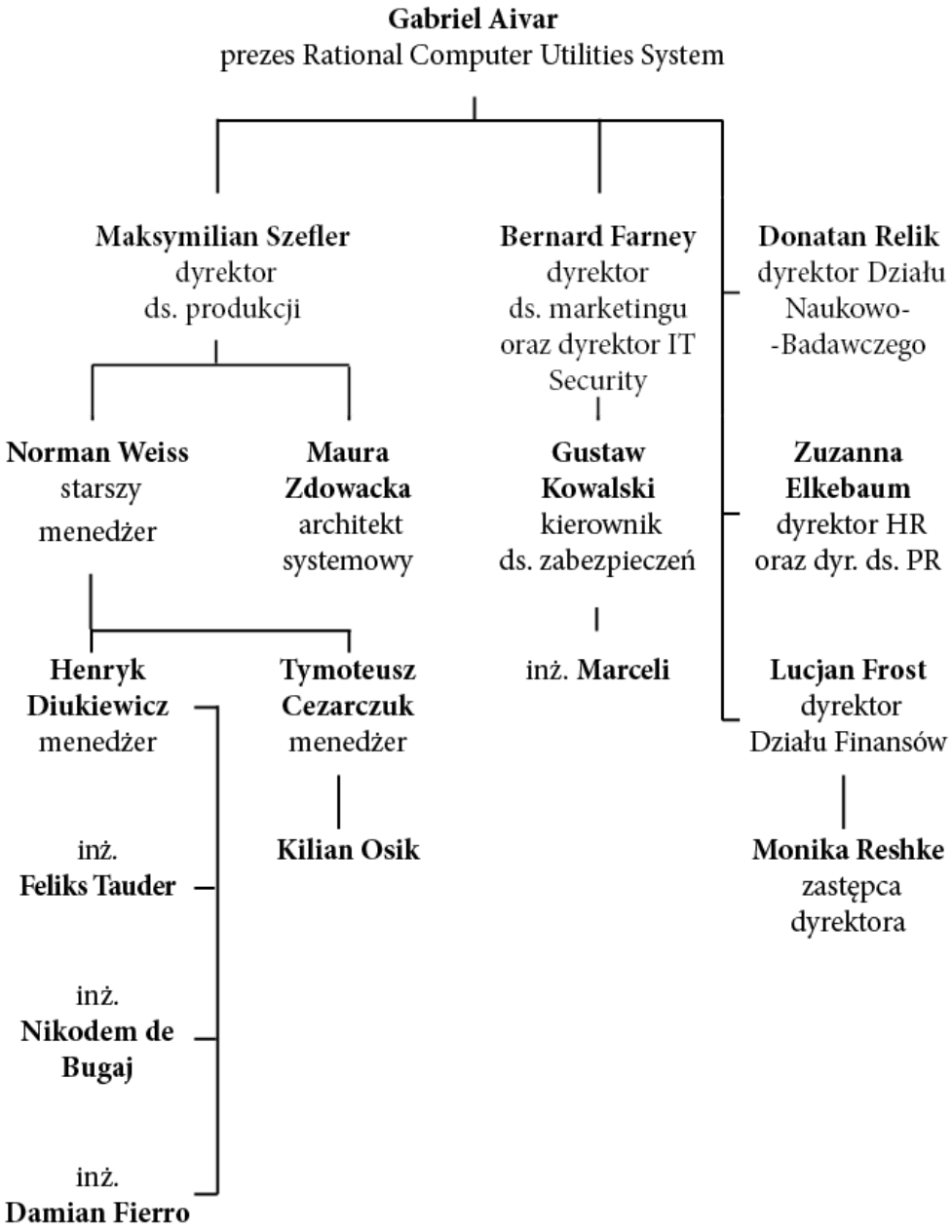

Rozdział 1

Dzień sprintu 1/10. Poniedziałek

1
8.00, laboratoria firmy RCUS

„Szlag… co za ziąb” — zaklął w myślach Skalski, przemierzając halę laboratorium w ślad za niskim osobnikiem, który prowadził małą grupę dochodzeniową na miejsce zdarzenia.

Po tygodniach wypełnionych rutyną spraw drobnych i błahych nadeszło zgłoszenie, które ożywiło cały zespół. A zwłaszcza jego, podinspektora Piotra Skalskiego, który nigdy o czymś takim nie czytał, nie słyszał ani nawet nie pomyślał. Nie chodziło o miejsce czy samo zdarzenie. Raczej o ich kombinację.

Wciąż trudno mu było uwierzyć, że wezwanie przyszło z tej właśnie korporacji. Firma RCUS była międzynarodowym potentatem na rynku zaawansowanych systemów komputerowych, wyławiała z rynku najlepsze analityczne umysły, oferowała doskonałe warunki zatrudnienia i, jak wieść niosła, niezwykle dbała o bezpieczeństwo pracy i zadowolenie swoich pracowników.

Teraz szli energicznie przez monstrualnie wielkie pomieszczenie huczące nawiewem wszędobylskiej klimatyzacji. Laboratorium było wysokie na jakieś trzy metry, całkowicie pozbawione okien i wydawało się ciągnąć po horyzont. Nie mieli szans ogarnąć wzrokiem całej hali, tak jak człowiek w środku lasu nie jest w stanie dostrzec jego skraju.

Prowadzący ich pracownik firmy szedł żwawo i milczał przez całą drogę.

— Jak tu piździ! — zaklął idący za nim komisarz Walczak, stary przyjaciel Skalskiego. Był zupełnie łysy i niemal dekadę od niego starszy. Zmagając się z niespodziewanymi podmuchami, próbował pozapinać wszystkie guziki swojego szarego płaszcza, lecz w okolicach brzucha miał z tym pewien problem. Odezwał się głośniej do prowadzącego ich przedstawiciela firmy: — Macie tutaj kiedyś lato?

— To klimatyzatory — wyjaśnił ten, przekrzykując dochodzący zewsząd szum. — Komputery i cały ten sprzęt bardzo się grzeją, a kiedy się przegrzewają, następują awarie. Gdyby wyłączyć klimatyzację, za piętnaście minut mielibyśmy tutaj sześćdziesiąt stopni.

— A tak macie jakieś minus sześćdziesiąt — mruknął Walczak w odpowiedzi i sunął dalej za Skalskim, który będąc o głowę wyższy, skutecznie zasłaniał rozmówcę.

W pomieszczeniu panował półmrok, światło pochodziło od wysoko podwieszonych lamp LED-owych, gdzieniegdzie zimny blask emitowały monitory. Do wysokości dwóch metrów praktycznie cała przestrzeń była wypełniona metalowymi szafami, z których każda zawierała dziesiątki urządzeń elektronicznych. Migoczące w nich światła diod sygnalizowały coś, czego znaczenie rozumiało zapewne nieliczne grono śmiertelników. Pod sufitem, w specjalnie zaprojektowanych rynnach, biegły tysiące kilometrów kabli. Wybiegały z nieskończoności, okrążały laboratorium i w nieskończoność uciekały.

Każda alejka, w którą skręcili, wyglądała tak samo. Zdziwiło ich to, że słowem laboratorium nazwano coś, co go zupełnie nie przypominało. Przynajmniej nie w formie znanej z filmów. Jednym słowem: zwyczajna, przerośnięta serwerownia lub centrum obliczeniowe.

— Tędy proszę, już prawie jesteśmy — obwieścił przewodnik.

Skręcili w lewo, w ciasne przejście, w którym dwie osoby z trudem się mijały. Kilkanaście metrów dalej, obok filaru, stał nieruchomo umundurowany policjant oraz drepczący nerwowo tam i z powrotem kolejny pracownik firmy. Skalski skrzywił się, widząc tę scenę.

„Świetnie” — pomyślał z przekąsem. „Teraz mamy całą masę materiału biologicznego”. Mina Walczaka wyrażała podobną opinię. Mundurowy z zainteresowaniem przyglądał się czemuś schowanemu za filarem.

Pomiędzy stelażami z elektroniką leżało ciało mężczyzny z szyją oplecioną różowym kablem. Jeden koniec sterczał przy szyi, drugi wiódł aż do panelu na samej górze szafy, wpięty do gniazda. Głowę okalały lekko zsunięte ochraniacze słuchu z wyraźnie uszkodzonym drucianym mocowaniem. Spod pleców ofiary rozlewała się okrągła, jednolita plama krwi. Rany, z której się wydobyła, nie było widać. Ciało spoczywało na plecach, oczy były zamknięte, a ręce — ułożone wzdłuż ciała z otwartymi ku górze dłońmi.

„Nie widać krwawych śladów butów na podłodze, żadnych oznak walki, wyrwanych przewodów” — pomyślał Skalski, drapiąc się po przerzedzonych łysiną włosach. „Powyginane słuchawki wskazują na silne, punktowe uderzenie. Najpewniej z góry”. Spojrzał ku sufitowi. Zauważył mnóstwo drucianych rynien prowadzących grube snopy przewodów, istne podwieszane autostrady kabli. „Taka konstrukcja musi sporo ważyć”. Rozejrzał się. „Tylko że nic się nie urwało. A nawet gdyby tak się stało, to spadając, oparłoby się o wysokie szafy. Nie pracował na wysokości, bo nie ma żadnej drabinki w zasięgu wzroku. No i jak, do cholery, zawinąłby się w ten kabel?”

— Kim jest denat? — zapytał głośno i przyklęknął przy ofierze.

Drepczący obok pracownik RCUS-u zatrzymał się i głęboko wciągnął powietrze.

— To Nikodem de Bugaj… pracował tutaj… tester… nie wiem, co dokładnie chce pan wiedzieć…

— Pan go znalazł?

— Tak. Przyszedłem do pracy wcześnie rano. Mamy *delay* i musimy nadrabiać. No więc zszedłem tutaj około siódmej dziesięć, no i… no i… znalazłem go tutaj.

— Dotykał go pan?

— Nie.

— Co potem?

— Pobiegłem do stróżówki, żeby zadzwonili po policję.

Skalski spojrzał pytająco na policjanta, głaszcząc się po gładko ogolonych policzkach.

— Przyjechałem dwadzieścia minut temu. Zabezpieczyłem miejsce zdarzenia. — Skalski, słysząc to, mało nie wywrócił oczami.

Drepczący nerwowo wokół znalazca zwłok skutecznie zacierał część śladów.

— Następnie — kontynuował policjant — zawiadomiłem dyżurnego komendy.

W wąskim korytarzu pojawili się kolejni ludzie. Skalski rozpoznał w nich ekipę techniczną wysłaną z laboratorium kryminalistyki. Najstarszy z nich przygotowywał się do pobrania odcisków palców i śladów biologicznych. Fachowym okiem rozpoznał sytuację i rzucił:

— Proszę się cofnąć.

— Witek, co z prokuratorem? — cicho zwrócił się do niego Skalski.

— Przykro mi, Piotrze. — Technik spuścił wzrok. — Sara.

— Rozumiem… Nie przyjechała z tobą?

— Komendant Głowa zatrzymał ją w ostatnim momencie. Nie wiem po co.

Zauważył współczujące spojrzenie przyjaciela.

— Oj tam, damy radę, szefie… — Walczak włożył rękę za pazuchę swej marynarki, by chwycić piersiówkę. — Chce pan iść na stronę?

— Walczak, nie teraz… Naszykujmy się najpierw na przyjęcie pani prokurator…

Technicy przygotowali sprzęt, gdy znów pojawiły się kolejne osoby. W ciasnym korytarzu zrobiło się bardzo tłoczno.

— Co to za zbiegowisko? — zdenerwował się Skalski.

Od siwowłosego, dystyngowanego mężczyzny w garniturze ze złotymi spinkami aż biło pewnością siebie. Widocznie on tu rządził. Za nim podążało dwoje ludzi, jeden w mundurze strażnika.

— Jestem Gabriel Aivar, prezes tego ośrodka. Muszę wiedzieć… rany boskie! — Wbił oczy w trupa i zrobił dwa kroki w jego kierunku.

— Proszę się cofnąć! — wrzasnął technik. — Zaciera pan ślady!

— Przepraszam… brak mi doświadczenia w takich… sprawach. — Aivar poprawił marynarkę, po raz ostatni rzucił okiem na ciało i odwrócił się do policjantów. — Panowie zapewne z policji?

— Podinspektor Skalski, komisarz Walczak, zespół techniczny z komendy miejskiej. — Skalski krótko przedstawił ekipę.

Prezes zmierzył każdego bystrym spojrzeniem.

— Ten człowiek jest szefem tych laboratoriów. — Wskazał na przybyłego z nim młodzieńca. Inspektor zaczął sobie uświadamiać, że w tej firmie większość pracowników może wyglądać, jakby właśnie skończyli studia. — Udzieli wam wszelkich informacji na ich temat, a zapisy z monitoringu dostarczy wam…

— Panie prezesie Aivar… — przerwał te plany Skalski. — Pozwoli pan, że to my zajmiemy się organizowaniem naszej pracy. Przede wszystkim

muszę pana prosić — nie zabrzmiało to wcale jak prośba — o dyskrecję odnośnie do tego incydentu.

— Oczywiście, oczywiście — wymamrotał prezes. — Straty wizerunkowe byłyby ogromne.

— Nie obchodzą mnie straty wizerunkowe, finansowe czy jakiekolwiek inne. Będziemy musieli przesłuchać wielu ludzi i nie chcę, by przychodzili z urojonymi teoriami. Proszę do minimum ograniczyć liczbę osób postronnych, które znają szczegóły. Pan zaś — zwrócił się ponownie do znalazcy ciała — niech potraktuje moje słowa bardzo, bardzo poważnie. Ani słowa o tym wydarzeniu, jasne?

— Jasne…

Technicy delikatnie obrócili ciało na bok. Jeden z nich gwizdnął cicho, zwracając uwagę pozostałych.

— Co jest?

— Dziura w okolicach serca po cienkim, ostrym narzędziu. — Wskazał palcem. — Jedna, precyzyjnie wymierzona. To nie była przypadkowa bójka.

— Dobra, szukajcie dalej. Wracając do pana… — zwrócił się do porządnie już wystraszonego chłopaka. — Jeżeli zdradzi pan coś z tego, co tu widzi, to będę miał podstawy do postawienia zarzutów o ujawnienie tajemnicy i utrudnianie śledztwa. Zrozumiano?

Pokiwał głową.

— Weź trzy… może dwa dni wolnego — wtrącił się prezes. — Na koszt firmy. Powiadom tylko swojego menedżera.

Chłopak skinął głową i już zamierzał odejść, gdy Walczak go zatrzymał, mówiąc:

— Proszę zostawić kontakt do siebie i nie wyjeżdżać z miasta.

— Ja pierdolę… — wyrwało się pobladłemu gwałtownie nieszczęśnikowi.

— Spokojnie — uśmiechnął się ironicznie Walczak. — Musimy pana przesłuchać wyłącznie jako świadka.

Świadek oddalił się chwiejnym krokiem. Przy wyjściu z korytarzyka zderzył się ze szczupłą, elegancko ubraną kobietą. Miała staranny makijaż, zaczesane do tyłu i spięte blond włosy. Była ubrana w granatowy żakiet, pod którym kryła się sukienka o tej samej barwie, nieco jaśniejsza, która kończyła się tuż za kolanami. W ruchach kobiety widać było wyniosłość i władczość. Prezes, widząc ją, wciągnął brzuch i wyprostował się, dodając sobie kilka centymetrów. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymał chęć przygładzenia włosów. Za to Skalski lekko się przygarbił. Poczuł na plecach delikatne poklepywanie Walczaka.

Za nią raźno podążał młody, chudy mężczyzna o trupiobladej twarzy, z kruczoczarną fryzurą i haczykowatym nosem. Rozglądał się po urządzeniach z wyraźnym podziwem, wręcz z zachwytem.

— Witam panów, nazywam się Sara Skalska i będę nadzorować śledztwo ze strony prokuratury — poinformowała oschle, podając prezesowi rękę.

— Pani prokurator? Gabriel Aivar…

Zignorowała go i zwróciła się do policjantów:

— Komendant Głowa przydzielił wam specjalistę do pomocy. To aspirant Czerski. — Skinęła dłonią na przybyłego z nią człowieka. — Ma wam pomóc w sprawach związanych z komputerami, nowoczesnymi technologiami i korporacjami. — Zabrzmiało to, jakby szkapom w zaprzęgu pokazano lokomotywę.

— Tylko starych koni żal… — mruknął Walczak.

— Słucham?

— Mówię, że bardzo się cieszę z wszelkiej nowoczesnej pomocy.

— Nie błaznuj, Walczak. Znam cię nie od dziś. — Sara z lekceważeniem spojrzała na Skalskiego. Wytrzymał. Zerknęła na miejsce zbrodni. — Co tam mamy, panie Witoldzie?

— Pani prokurator, dopiero zbieram ślady, a ten tłok mi nie pomaga…

— Słusznie. Prezesie, czy możemy się spotkać w pańskim gabinecie?

— Oczywiście. Jest do pani dyspozycji! — Prezes Aivar się rozpromienił. Było to co najmniej niestosowne ze względu na okoliczności.

Prokurator obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

— Doskonale, proszę nas zaprowadzić. Skalski i Walczak za mną.

I ruszyła zdecydowanym krokiem.

2
RCUS, sala reprezentacyjna Siódme Niebo

Zaraz za drzwiami kierownik laboratorium zasugerował, że nie jest wystarczająco kompetentny, by brać udział w naradzie dotyczącej śledztwa. Prezes pokiwał z uznaniem głową i odprawił go krótkim podziękowaniem. Prokurator Skalska zwróciła uwagę Czerskiemu, że bez zwłoki powinien zacząć zbierać materiał dowodowy. Młody policjant przełknął w milczeniu to polecenie, które dość wymownie podkreślało jego pozycję w grupie, i poszedł za oddalającym się szefem laboratoriów.

W oczekiwaniu na windę prezes Aivar, chcąc przerwać niezręczne milczenie, zaczął nieskładnie opowiadać o firmie. Prokurator wysłuchała go z uprzejmą uwagą, ale nie wydawało się, by wzbudził w niej podziw dla swych oratorskich zdolności. Odetchnął z ulgą, kiedy drzwi w końcu się otworzyły.

Wjeżdżali na ostatnie, siódme piętro biurowca. W drodze prezes krótko przedstawił historię tego miejsca. RCUS w swoich początkach często

przenosił działalność z miejsca na miejsce, wynajmując kolejno różne lokale w całym mieście. Było to uciążliwe, ale konieczne, bo wraz z ciągłym rozwojem potrzebował coraz to większych powierzchni. Musiał pomieścić nie tylko swoich pracowników, ale także serwerownie i laboratoria.

Wraz z rozwojem metropolii i napływem inwestycji zagranicznych firmy deweloperskie rozpoczęły wielką ekspansję budowlaną. Tanie, podmokłe tereny na obrzeżach miasta stały się atrakcyjne i zanim ceny gruntu oraz materiałów skoczyły w górę, RCUS zdążył je zakupić i rozpocząć budowę. Wkrótce jednak trzeba było ją zawiesić. Po osuszeniu terenu, podczas prac zbrojeniowych, świeżo wzniesiony biurowiec na sąsiedniej działce zaczął się zapadać i dla bezpieczeństwa wydano nakaz wstrzymania wszelkich prac budowlanych w całej okolicy. Eksperci musieli ustalić przyczyny i zapobiec potencjalnej katastrofie. Zabrało to niemal rok, a potem kolejne pół, aby nanieść poprawki w projekcie budynku, pozbawiając go w ten sposób trzech pięter, i w końcu zatwierdzić projekt w urzędzie. Wreszcie deweloper mógł wznowić pracę i nowoczesny, oszklony biurowiec wznosił się coraz wyżej i wyżej. Choć zwłoka okazała się niekorzystna dla planów RCUS-u, to pozwoliła miastu poszerzyć drogi dojazdowe i doprowadzić tam komunikację miejską, co z kolei było na rękę pracownikom.

Otwarcie przebiegło z wielką pompą. Prezydent miasta osobiście posadził symboliczne drzewko, powiedział kilka sztampowych słów, po czym rozpoczął się całodzienny piknik przed budynkiem zakrapiany darmowym piwem i przegryzany grillowanym mięsem.

W niedługim czasie wokół siedziby RCUS-u wyrosły kolejne zabudowania, sprowadziły się nowe firmy, a cała strefa stała się prawdziwym miasteczkiem ze swoimi restauracjami, sklepikami i przedszkolem. Były tam nawet myjnia samochodowa, gabinet fryzjerski i

siłownia ze strefą fitness. Brakowało tylko hotelu i apartamentowca, w którym mogliby zamieszkać pracownicy korporacji, skąd, mając wszystko pod ręką, nie musieliby się już ruszać.

Prezes Aivar z uwagą obserwował słuchaczy. Nie zauważył, by miejsce to kogokolwiek zachwyciło. Prokurator Skalska nie sprawiała wrażenia onieśmielonej czy niepewnej. Była tutaj pierwszy raz, a siódme piętro ich biurowca nie bez powodu nazywano Siódmym Niebem. Miało ono przeznaczenie reprezentacyjne, przystosowano je głównie do przyjmowania gości i kontrahentów. Supernowoczesne, pełne punktowych świateł, szkła i błyszczących chromowanych elementów. Jedną ścianę zajmowały sale lub gabinety, niektóre skryte za mlecznobiałymi szybami. Drugą, skąpaną w naturalnym świetle z przestronnych okien, z panoramą miasta oraz dyskretnie umieszczonymi reflektorami, wypełniała bujna egzotyczna roślinność, wśród której wił się uspokajająco szemrzący strumyk. Ten widok — połączenie nowoczesnego miejsca pracy i namiastki dzikiej natury — robił na wszystkich piorunujące wrażenie. A wtedy on, prezes RCUS-u, jako gospodarz ujmował swego gościa za łokieć i szerokim, zamaszystym gestem zapraszał go do równie przepysznie urządzonego gabinetu, by mogli wreszcie porozmawiać o interesach.

Tym razem prezes przeżył rozczarowanie. Nie zrobił wrażenia ani na pani prokurator, ani nawet na towarzyszących jej policjantach. Prezes uświadomił sobie, że może i jest tutaj gospodarzem, ale nie ma żadnej władzy. Wszystkie spotkania, które dotychczas odbywał, dotyczyły interesów, i to zawsze do niego należało ostatnie słowo. Dziś znalazł się w sytuacji, w której ma służyć ludziom reprezentującym wyższą instancję — prawo. Bez względu na ich cenzus majątkowy musi być do ich dyspozycji, nie będzie mógł blefować czy zakończyć rozgrywki na swoich, zwycięskich, warunkach.

Nagle drzwi jednej z sal się otworzyły i wylała się z nich grupa starszych ludzi. Starszych w mniemaniu Skalskiego, bo wszyscy byli w wieku, w którym sam chciałby być. Ktoś się przywitał z prezesem, ktoś ledwo skinął głową, większość przeszła obok obojętnie, rzucając co najwyżej lekko zdziwione spojrzenie.

— Dzień dobry, panie prezesie! — usłyszeli silny głos. — Początek iteracji, wariactwo z planningami, znów brakuje sal na spotkania…

— Dobrze, że jesteś, Donatanie — rzekł prezes. — Musimy poważnie porozmawiać.

— Już, moment. — Donatan przyłożył ręce do ust i krzyknął do odchodzącej grupki: — Panowie! Więcej entuzjazmu! To wy dajecie przykład swoim zespołom! Naostrzyć laptopy i do roboty! Przepraszam. — Wrócił do nich. — O co chodzi?

Spojrzał z życzliwym zainteresowaniem na prokurator i nie mniejszym, choć nie tak sympatycznym, na Skalskiego i Walczaka.

— Pozwól, że was przedstawię — odpowiedział prezes. — Dyrektor Donatan Relik, szef Działu Naukowo-Badawczego, naszej chluby w opracowywaniu nowych technologii. A to prokurator Skalska i jej zespół.

***

Zamieszanie z wychodzącą grupą Relika spowodowało, że Walczak znalazł się bardzo blisko prokurator Skalskiej, która oparła się o niego, cofając się przed jakimś niestarannie ogolonym olbrzymem o mętnym wzroku.

— Ups, przepraszam — rzekł do niej grzecznie Walczak. — Znalazłem się w niewłaściwym miejscu i czasie.

Skalska pochyliła się ku niemu i dyskretnie pociągnęła nosem. Ze stoickim spokojem przyjął jej wymowne spojrzenie na zegarek.

— Komisarzu Walczak — odezwała się z naganą w głosie. — Proszę odszukać pana Czerskiego i przeprowadzić wstępne czynności śledcze.

Walczak nie miał problemów ze zrozumieniem, że nie o czynności śledcze tu idzie. Zresztą czuł już pragnienie, a piersiówka w marynarce ciążyła niczym wyrzut sumienia. Naczynie nie lubiło nosić w sobie takiego ciężaru. Ukłonił się i wrócił do windy.

Goście zasiedli na niebezpiecznie wygodnej kanapie, prezes Aivar zajął sąsiadujący fotel. Otworzył stojący obok barek.

— Czegoś się państwo napiją?

„Rany boskie, dobrze, że nie ma tu Walczaka” — pomyślał Skalski. Nie zdołał opanować odruchu przełykania śliny, jednak wiedział, że musi się wykazać najwyższym profesjonalizmem.

— Dziękuję, jestem na służbie — odparł bohatersko.

— A ja chętnie spróbuję czegoś niezbyt mocnego — wypaliła prokurator.

Skalski stłumił złość. Wredne babsko. Wyczekała go, a on musiał przed nią odmówić. Sam był sobie winien. Kobieta ma wszak pierwszeństwo. Na szczęście z ratunkiem przyszedł Aivar, zauważając przytomnie:

— Wszyscy jesteśmy dziś na służbie. Może jednak coś dla smaku?

— Niech będzie. — Uznał, że głupio tak wyłamać się z towarzystwa. — Poproszę to samo co pani prokurator.

— Służę uprzejmie. — Na maleńkim stoliku wartości średniej klasy samochodu pojawiły się trzy szklaneczki.

— Przejdźmy do rzeczy — zaczęła prokurator Skalska, wyciągając z teczki jakieś dokumenty. — W pana firmie popełniono morderstwo. Oczywiście musimy to potwierdzić, czyli otrzymać raport z sekcji, ale proponuję nie dzielić włosa na czworo i nazywać rzeczy po imieniu. W pewien sposób, jako najwyższa władza tego przedsiębiorstwa, jest pan za to odpowiedzialny.

Prezes skinął milcząco głową. Spodziewał się tego.

— Prawo pozwala nam na dokonanie wszelkich czynności, które ja jako prokurator oraz prowadzący dochodzenie ze strony policji, a więc inspektor Skalski oraz jego współpracownicy, uznają za niezbędne. Muszę również powiadomić pana jako właściciela lub reprezentującego właścicieli o czynnościach, które mogą mieć wpływ na działalność firmy. Będziemy to robić, z wyjątkiem sytuacji narażających dobro śledztwa. Od pana oczekujemy pełnej współpracy, a więc udostępnienia prokuraturze lub policji dostępu do wszystkich pomieszczeń, świadków, dokumentów lub zapisów elektronicznych, jakie uznamy za niezbędne.

Prezes Aivar lekko uniósł brew. Zrozumiała go.

— Nie będziemy przeglądać żadnych tajemnic firmy, kontraktów i tak dalej. O ile nie będą niezbędne w dochodzeniu — dodała z naciskiem. — Jeżeli żądania inspektora Skalskiego wydadzą się panu zbyt… daleko idące, proszę mnie o tym powiadomić. Jeżeli uzna pan, że moje żądania są zbyt daleko idące, może pan złożyć zażalenie do moich przełożonych. Możemy zrobić wszystko bardzo oficjalnie, rewizje, przeszukania, przesłuchania, a wszystko na papier z prokuratury. Możemy też zrobić to po koleżeńsku, im chętniej pan oraz pańscy ludzie będą współpracować, tym mniej kwasów będzie między nami.

— Rozumiem. — Złożył ręce w piramidkę. — Mogą państwo być pewni, że dołożę wszelkich starań, by pomóc wam w każdym aspekcie.

— Tak wygląda ogólny zarys sytuacji. Inspektor Skalski przedstawi teraz zamierzenia na najbliższe dni.

— Hmm, tak — odchrząknął wezwany do zabrania głosu. — Po pierwsze, standardową procedurą jest zabezpieczenie miejsca zbrodni i pobranie odcisków palców, śladów biologicznych i zapachowych. Nasi technicy już nad tym pracują. Ze względu na miejsce zbrodni możemy

wykluczyć kogoś z zewnątrz. Oznacza to, że jeśli znajdziemy jakieś ślady, to musimy mieć próbki do porównania. Będziemy musieli pobrać odciski palców i DNA od, być może, wszystkich pracowników mających dostęp do tamtego miejsca.

— Wszystkich? — zdumiał się Aivar. — W tym ośrodku mamy ponad dwa tysiące inżynierów i menedżerów.

— To już nasze zmartwienie, jak to zrobimy. — Głos Skalskiego zabrzmiał twardo. — Po drugie, nie ma dla mnie świętych krów. Jeśli ktoś odmówi pobrania odcisków palców, to pobierzemy mu je na komisariacie. Macie tutaj kamery, więc chcę mieć dostęp do monitoringu. Do tego listy obecności oraz listy urlopów, chorobowych, delegacji. Chcemy też poznać przełożonych ofiary i współpracowników. Proszę też o wydzielenie jakiegoś pomieszczenia, gdzie moglibyśmy prowadzić przesłuchania. Tak będzie wygodniej dla wszystkich.

— Dostanie pan wszystko, czego potrzebuje — obiecał Aivar. — Dam też panu nazwiska ludzi, którzy wprowadzą państwa w specyfikę firmy. Mamy tutaj bardzo rozbudowaną organizację. Czy i ja mógłbym wyrazić pewne oczekiwania?

— Proszę bardzo — zachęciła go Skalska. — Teraz tylko rozmawiamy, nie przesłuchujemy. — Uśmiechnęła się promiennie. Prezes nie był w stanie nie odwzajemnić tego uśmiechu.

Zaraz spoważniał, pochylił się lekko do przodu i oparł łokcie o blat biurka.

— Chodzi o uniknięcie niepotrzebnego rozgłosu. W laboratorium, słusznie pan zauważył, inspektorze, trzeba ograniczyć liczbę postronnych osób. Nalegałbym, aby ją ograniczono także później, nawet po zakończeniu śledztwa… Rozumieją państwo, jesteśmy wielką, międzynarodową firmą z ogromnym prestiżem. To część naszego kapitału, zasłużyliśmy na niego jak

mało kto. Ale czasy są ciężkie, konkurencja depcze nam po piętach. Na pewno narobią szumu i będą brzydko grać…

— Chce pan ukryć morderstwo? — zapytał z niedowierzaniem Skalski.

— Nie ukryć… nie to miałem na myśli… tylko… nim nie epatować. Pani prokurator — zwrócił się niemal błagalnie — przecież dla dobra śledztwa nie trzeba ujawniać wszystkich szczegółów. Sami państwo mówili, że dopóki nie wpłynie raport z sekcji, to nie możemy mówić o morderstwie. Takie coś może wywołać panikę wśród pracowników. Wszyscy będą patrzeć na siebie wilkiem, będą plotkować, spiskować, prowadzić własne śledztwa… wszystko zamiast pracować. A jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, możemy stracić kluczowy dla nas kontrakt… Proszę tak nie patrzeć, nie chodzi tylko o dobro korporacji, ale o ludzi… Jeśli stracimy ten kontrakt, będziemy musieli ciąć koszty…

Prokurator popatrzyła na inspektora pytająco. Ten powoli skinął głową.

— Przyjmiemy wersję nieszczęśliwego śmiertelnego wypadku. Obawiam się jednak, że w trakcie przesłuchań nie damy rady uniknąć ujawnienia faktycznego stanu rzeczy.

— Dziękuję. Ufam, że zrobią państwo, co w waszej mocy.

Skalski wyciągnął notatnik.

— Zacznijmy od razu. Proszę o nazwisko szefa ochrony.

— Hm, nie znam go… wszystkimi sprawami bezpieczeństwa zajmuje się dyrektor Bernard Farney. Głównie sprawami bezpieczeństwa IT, ale sprawuje też nadzór nad służbą ochrony. Ma biuro na piątym piętrze.

Skalski zanotował nazwisko i numer biura.

— Jeszcze nazwisko przełożonego ofiary.

Aivar się zmieszał.

— Szczerze mówiąc, też go nie znam… Nie wiem nawet, w jakim dziale pracował ten człowiek… Najprawdopodobniej — zastanawiał się głośno —

u Maksa Szeflera… Zadzwonię do kadr!

„Ja zawsze znam swoich współpracowników” — Skalski pomyślał ciepło o Walczaku. „Ciekawe, jakie zajęcie sobie znalazł”.

3
RCUS, dolne piętra

Walczak, wzmocniwszy się nieco cierpkim, palącym płynem, nabrał ochoty, by jakoś sensownie spożytkować chwilową przerwę. Zagadując kilku napotkanych pracowników, doszedł jednak do przekonania, że niczego się tutaj nie dowie. Nikt najwyraźniej nie słyszał jeszcze o trupie w laboratorium. Postanowił znaleźć Czerskiego, poznać go lepiej i kto wie, może nawet czegoś się od niego nauczyć. Nie mając jednak jego numeru telefonu, postanowił znaleźć go, węsząc po firmie. Zszedł wąską klatką schodową. Po chwili znów znalazł się w okolicach wejścia do laboratoriów. W ochronie zapytał o Czerskiego.

Szukając narzuconego im współpracownika, zauważył, że w biurowcu, mimo jego ogromu i skomplikowanych rozwiązań architektonicznych, jest jakaś logika. Piętra miały identyczny układ, w tych samych miejscach znajdowały się kuchnie i łazienki, sale do spotkań były opisane najróżniejszymi nazwami, ale zauważał w nich klucz, nawet drzwi miały własne symbole. Najbardziej od tego schematu odbiegały parter i ostatnie piętro, czyli poziomy, które poznali jako pierwsze. Nic więc dziwnego, że wzbudziły w nich poczucie chaosu. Zwłaszcza laboratoria, przypominające uporządkowany, a jednak w jakiś sposób pokręcony labirynt.

Znalazł właściwe drzwi, zdecydowanie zapukał i wszedł do środka bez zaproszenia. W końcu był w miejscu pracy i na miejscu zbrodni.

Za stołem siedziało trzech młodych ludzi („Znowu sami młodzi” — skrzywił się w myślach), w tym Czerski. Siedząc tyłem do drzwi, ostatni zauważył wejście Walczaka.

— Panie komisarzu… — Zerwał się na równe nogi. — Panowie obiecali mi zabezpieczenie wszystkich żądanych przez nas danych. Właśnie je archiwizują. Czekam na nie i… w wolnym czasie usiedliśmy tutaj.

— Prowadzimy śledztwo. — Walczak odezwał się nieco ostrzej, niż zamierzał. — Nie mamy wolnego czasu. Idziemy do laboratoriów.

Chwilę później zjechali windą.

— Oglądałeś zwłoki?

— Nieee… Technicy się tym zajmują…

— Wiem, że technicy się tym zajmują. — Walczak znów się poirytował. Coś go w tej firmie bardzo denerwowało, a nie potrafił tego nazwać. — Jesteś młodym policjantem, powinieneś być na miejscu zbrodni i się uczyć.

— Tak jest — szepnął nieco pobladły Czerski.

Walczak przystanął i spojrzał na niego z ironicznym uśmieszkiem.

— Twój pierwszy?

— Co ma pan na myśli?

— Trup.

— Pierwszy… To znaczy… widziałem raz na szkoleniu, w czasie sekcji… wie pan, jak to jest… golnęliśmy trochę przed sekcją, dla kurażu… i jakoś tak…

Znów znaleźli się w ciemnej i zimnej hali pełnej migających i huczących urządzeń.

— Wstąpiłeś do policji, a boisz się trupa?

— Poszedłem do policji na specjalistę do spraw informatycznych — uniósł się Czerski. — Jestem w tym całkiem dobry! Nie planowałem prowadzić śledztw, zwłaszcza z trupem w roli głównej. To nie jest mój

zakres obowiązków. Komendant Głowa przysłał mnie tutaj, żeby pomóc wam w zakresie rozumienia nowoczesnych technologii i funkcjonowania korporacji. I zamierzam wypełnić ten obowiązek najlepiej, jak potrafię! — zakończył patetycznie.

Walczak machnął ręką i ruszył dalej.

— Oj tam, oj tam. Jesteś policjantem, teraz w wydziale kryminalnym, i prowadzisz z nami dochodzenie, czy tego chcesz, czy nie. Jako śledczy będziesz brał udział we wszystkich czynnościach, czyli prowadził przesłuchania, zbierał i analizował dowody, myślał logicznie. A jeśli będzie trzeba — odwrócił się ponownie z uniesionym palcem — pójdziesz obejrzeć trupa i włożysz mu palce do dupy, żeby wyciągnąć dowód. Jasne? Nie potrzebujemy kogoś, kto będzie nam czytał komputerowe mądrości z Wikipedii.

— Ale… — Czerski zaciął się, widząc groźne spojrzenie komisarza. — Tak jest!

— Pierwsze pytanie — przerwał mu szorstko Walczak. — Co niezwykłego było na ciele denata?

— Nie wiem… nie wiem, co ma pan na myśli… ubranie? Ochraniacz słuchu? Kabel ethernetowy na szyi?

— Brawo. A ten kabel był do czegoś podłączony?

— Nie wiem, nie pamiętam — jęknął Czerski.

— Odpowiedź brzmi: BYŁ. Idziemy — rozkazał Walczak i ruszył zdecydowanie. — Wpięto go do jakiegoś urządzenia na półce. Wygląda mi na to, że sprawca ogłuszył ofiarę, owinął tym przewodem i dźgnął czymś ostrym od tyłu. Kiedy już było po wszystkim, spokojnie wetknął wtyczkę do tego urządzenia…

— Mógł to zrobić sam… denat. A dopiero później zostać zaatakowany — podpowiedział nieśmiało Czerski.

Walczak spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym zarechotał:

— Czy ty w ogóle potrafisz to sobie wyobrazić? Facet przyszedł tutaj, owinął sobie szyję kablem, przypiął się do jakiegoś ustrojstwa i czekał, aż go ktoś zaciuka?

Czerski poczerwieniał.

— Ja się na tym nie znam — ciągnął już na poważnie Walczak, pokazując grubym palcem półkę. — I dlatego teraz ty jesteś nam tu potrzebny… chyba. Musisz się dowiedzieć, co to za urządzenie i czy ma jakiś związek z trupem. Mam nadzieję, że nie.

Skręcili w ostatni wąski korytarz. Miejsce zbrodni było teraz dobrze oświetlone rozstawionymi lampami. Technicy zbierali próbki z podłogi i szafek w znacznej już odległości od ofiary.

— Dlaczego, komisarzu, ma pan nadzieję, że nie? — zapytał niepewnie Czerski.

— Dla mnie to działanie bez sensu, nic nie wnosi do samej zbrodni. Jednak w jakiś sposób zdradza motyw mordercy. Takie bezsensowne ruchy, takie gierki to zwykle rodzaj wizytówki. Znasz je z filmów. Morderca bawi się z policją, zostawiając im ślady. W rzeczywistości tak nie jest. Ci, którzy w szczegółach planują zbrodnię, nie zostawiają wskazówek ułatwiających ich złapanie.

— Więc jeśli to jest wskazówka…

— To mamy do czynienia z amatorem… filmów. Albo z teoretykiem, który chce skierować naszą uwagę na fałszywy trop. Podejdźmy tam i, jak to u nas mówią, obejrzyjmy trupa na żywo.

Z kieszeni marynarki wyciągnął kanapkę i zapytał:

— Chcesz gryza?

Milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

— To może coś dla kurażu, jak w akademii? — Poklepał się po piersi i dało się słyszeć cichy chlupot. Tym razem Czerski drgnął, jakby rzeczywiście chciał się napić. Powstrzymał się i tylko pokręcił odmownie głową. W tym czasie Witold, szef techników, walczył z taśmą wściekle furkoczącą w strumieniu powietrza wydostającego się z wentylatora.

— O, panowie detektywi! Dobrze was widzieć. Mam coś ciekawego.

— Zebraliście już wszystko z denata i z bezpośredniej okolicy?

— Tak, teren zabezpieczony. Możesz pluć i szczać.

— Co z koronerem?

— Dopiero niedawno po niego dzwoniliśmy. Parę razy truł nam dupę, że musi czekać, więc teraz wzywamy go tuż przed zakończeniem roboty. Ale zobaczcie to.

Z leżącej nieopodal skrzynki wyciągnął folię z plastikową kartą w środku owiniętą jakąś tasiemką. Po chwili zorientowali się, że patrzą na identyfikator będący jednocześnie elektroniczną kartą dostępu. Był on opisany imieniem, nazwiskiem, nazwą firmy i zdjęciem. Nikodem de Bugaj, RCUS. Sympatyczny, młody chłopak, na zdjęciu znacznie szczuplejszy i z wyraźnie bujniejszą fryzurą niż ciało pod ich nogami. I znacznie mniej blady.

— Karta dostępu. — Bezbłędnie odgadł Czerski. — Co w niej takiego ciekawego?

— To, że nie wisiała na szyi ofiary, a pasek nie został zerwany. — Z pudełka wyjął aparat fotograficzny i wyświetlił zdjęcie na ekranie podglądu. — Znaleźliśmy to pod szafką, tuż przy zwłokach.

Ekran pokazywał identyfikator ze zwiniętą tasiemką, ułożony pedantycznie, równo z krawędzią stelaża.

Walczak wziął kęs i spojrzał pytająco na Czerskiego.

— Morderca zdjął ją z ofiary, starannie owinął taśmą i ułożył niczym w szufladzie. — Ten odgadł, czego od niego chce komisarz.

— Jak myślisz, po co?

— Nie wiem… to nie ma sensu…

— No właśnie. Psychopata amator albo psychopata teoretyk.

Zrobił krok do przodu i pochylił się, chcąc złapać kabel zdjęty już z szyi de Bugaja i wciąż wpięty do jakiegoś urządzenia.

— A ten kabel… O cholera! — Coś pacnęło na podłogę. — Kanapka wpadła mi do kałuży!

Walczak przykucnął i przyjrzał się jej uważnie. Była otoczona krwią.

— Może jak odkroję, to uratuję choćby kawałek…

Powoli podniósł ją, by zajrzeć pod spód. Westchnął z ulgą i spojrzał na Czerskiego.

— Na szczęście zakrzepło i się nie ubrudziła.

4
10.00, RCUS

Skalski zadzwonił po przyjaciela. Walczak zjawił się po chwili z dziwnie bladym, jakby cierpiącym na niestrawność Czerskim.

— Twój pierwszy raz? — zapytał z lekko ironicznym uśmiechem.

— Tak jest. Ale nie o to chodzi… — Czerski zerknął na Walczaka, a ten uśmiechnął się radośnie. Maleńki okruszek wciąż trzymał się jego brody.

Skalski spoważniał:

— Prokurator musiała już jechać, ale zdążyliśmy ustalić z nią i z prezesem Aivarem najważniejsze dla nas kontakty w tym przedsiębiorstwie. — Nie zauważył grymasu niezadowolenia gospodarza na takie określenie

jego firmy. — Teraz udamy się do dyrektora… — zerknął do notatek — Bernarda Farneya odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w firmie.

Walczak już miał coś powiedzieć o jakości bezpieczeństwa w kontekście trupów w laboratorium, ale Skalski zgromił go wzrokiem.

— Panowie, proszę tędy. — Prezes wskazał im drogę do najbliższej windy.

— Co pan może powiedzieć o dyrektorze Farneyu? — zagadnął go Skalski.

— To jeden z najbardziej doświadczonych pracowników w naszej korporacji. Właściwie każdy z dyrektorów jest bardzo doświadczony. — Zadumał się. — Każdy z nich przepracował tutaj co najmniej dekadę. Budowali tę markę.

Winda, na którą czekali, właśnie zjechała.

— Dyrektor Bernard Farney zaczynał jako inżynier. Dzięki ogromnemu talentowi szybko został architektem, a później przeszedł na ciemną stronę i stał się menedżerem. Kierowana przez niego firma przeżyła wspaniały rozkwit. Umiał nie tylko zarządzać ludźmi i projektami, ale także doskonale rozumiał programistów; w końcu był jednym z nich. — Aivar pociągnął nosem i łypnął okiem na Walczaka. Ten z zainteresowaniem studiował fakturę aluminiowych drzwi windy. — Po kilku latach mojej kadencji zaproponowałem mu, by zostawił ten dział i pomógł w kulejącym marketingu. Powiedziałem mu, że zrobił już doskonały produkt, a teraz musi go sprzedać. Po, przyznaję, niełatwych negocjacjach dorzuciłem mu również dział bezpieczeństwa, który ze swoim talentem rozwinął. Nie tylko dbał o ochronę naszych danych, ale także stworzył nowe produkty w tej dziedzinie i zaczął je sprzedawać łącznie z programem szkoleniowo-konsultingowym. Coś, co było tylko kosztem, przekształcił w działalność samofinansującą się.

— To musiała być w pewnym sensie strata dla technologicznej części firmy — zauważył Czerski.

Drzwi windy otworzyły się na piątym piętrze.

— Być może byłaby w innych okolicznościach — zgodził się Aivar — ale renoma firmy była już taka, że ściągali do nas najlepsi z najlepszych. Między innymi dyrektor Maks Szefler. Zrobił karierę jeszcze szybszą niż Farney i sprawnie przejął po nim ten dział. No i jest jeszcze dyrektor Donatan Relik, stażem starszy nawet od Farneya. Podobno znał osobiście jednego z założycieli korporacji. Poznaliście go rano. To nasza święta trójca.

Przechodzili przez ogromną salę, zwaną w korporacyjnym żargonie open space’ em. W równych rzędach, za przepierzeniami wysokości niespełna półtora metra, siedzieli wpatrzeni w monitory młodzi ludzie. Skalskiego i Walczaka zaskoczyła obojętność, jaką wywołali. Jeśli ktoś ich zauważył, to tylko rzucił beznamiętne spojrzenie i trudno było powiedzieć, czy patrzył na nich, czy gdzieś w dal. A przecież prowadził ich szef tej firmy. Zakrawało to wręcz na brak szacunku.

Bez pukania weszli do jednego z gabinetów.

— Witam panów policjantów, witam, prezesie. — Człowiek zza biurka zerwał się na ich widok. — Dyrektor Bernard Farney. Uprzedzono mnie o waszej wizycie.

Skalski przedstawił krótko swoją grupkę i przyjrzał mu się bacznie. Garnitur, drogi zegarek, siwiejące, ale gęste włosy, dość wysoki, dobrze zbudowany, wzrok chłodny, oceniający.

— Pozwolą panowie — rzekł oficjalnym tonem prezes Aivar — że panów przeproszę. Mam dużo obowiązków, a nie chcę krępować was swoją obecnością. Mój gabinet jest bezpośrednio nad tym, na szóstym piętrze. Moją wizytówkę przekaże wam sekretarka, która powinna zdążyć już

dokonać dla was rezerwacji odpowiedniej sali. A teraz zostawiam was w rękach dyrektora. — Skłonił się lekko i wyszedł.

Farney zaprosił ich na kanapy i fotele. Chętnie skorzystali.

— Jak wam mogę pomóc? — Dyrektor do spraw bezpieczeństwa informatycznego szeroko rozłożył ręce.

5
10.30, biuro kierownika Kowalskiego

Gustaw Kowalski, człowiek o posturze szkieletu z naciągniętą ciasno skórą, był kierownikiem do spraw bezpieczeństwa IT. Teraz jednak znajdował się w niebezpieczeństwie, odchylając się ryzykownie do tyłu wraz z całym fotelem. Spoglądał na siedzącego obok nieokrzesanego młodzieńca, z którym dzielił pokój od prawie dziewięciu miesięcy. Przejrzeli już wspólnie logi z nocnych aktywności skanerów podatności, zaznaczyli nieprawidłowości i w tym momencie oddawali się niezobowiązującej dyspucie o niczym, gdy zadzwonił telefon na biurku.

— Kowalski, słucham! — rzucił do słuchawki. Serdecznie nienawidził swojego imienia i nie podawał go, jeśli nie musiał.

— Tutaj Bernard. Słyszałeś o dzisiejszym wypadku w labie?

— Nie… co się stało, panie dyrektorze?

— Wypadek. Później poznasz szczegóły. Nie opuszczaj biura, dopóki nie zjawi się u ciebie ktoś z policji.

— Z policji? — Kowalski zrobił wielkie oczy, a jego kolega je zmrużył, patrząc z zaciekawieniem.

— Odpowiesz im na pytania. Gdyby chcieli zabrać jakiś sprzęt, to im go wydaj, ale niech wszystko pokwitują. Jeśli chcą dane, zrób im kopie. W pełni współpracujemy.

— Ale… — zdążył powiedzieć, nim połączenie się zakończyło.

Kowalski popatrzył na słuchawkę.

— Marceli — zwrócił się do kolegi — słyszałeś o jakimś wypadku w labie?

— Nie… jakim wypadku?

— Nie mam pojęcia. Mam czekać na policję.

— To usłyszałem. Jakby co, to cię nie znam. — Marceli patrzył przed siebie, trochę nieswój. — Stary mówił, kiedy przyjdą?

— Nie. — Kowalski pomyślał i zdecydował. — Dzwonię do szefa labu.

— A ja do kumpla.

Po kilku chwilach wreszcie ktoś odebrał.

— Zajączek, czym mogę służyć? — Kowalski nie jego spodziewał się usłyszeć, ale lepsze to niż nic.

— Jest Orzeł? — Tak mówili na Orłowskiego, szefa i opiekuna laboratoriów. Zajączek zaś był jednym z jego podwładnych. Siedziała z nimi jeszcze pewna miła dziewczyna nazwiskiem Osa, nic dziwnego, że ich biuro nazywano adekwatnie — ZOO.

— Jest w labie… — usłyszał wyraźne wahanie w głosie.

— Właśnie dzwonił do mnie święty Bernardyn, że niby tam jakiś wypadek. — Kowalski delikatnie zmienił cel telefonu od przełożonego — Wiesz coś o tym?

— Lab został dla wszystkich zamknięty. Jest tam policja i paru ludzi z firmy. Między innymi Orzeł. Powiedział mi tylko, że ktoś tam padł trupem. Nic więcej nie wiem.

— OK, dzięki. Kiedy wróci, niech się do mnie odezwie.

— O ile wróci… — tajemniczo szepnął Zając i się rozłączył.

Marceli też już zakończył swój wywiad, ale zdążył zapytać pierwszy:

— Czego się dowiedziałeś?

— W labie jest policja i faktycznie ktoś nie żyje. A ty?

— Mój kumpel Bartek mówi, że na jego piętrze jest jakieś dziwne poruszenie w projekcie… wyleciał mi z głowy skrót. Kuchenna plotka niesie, że nie mogą się doliczyć jednego kolegi. Jego menedżer drze ryja, że są w dupie z poprzednią iteracją, że cały bieżący planning też jest w dupę, w ogóle samo jakieś „analne” słownictwo. Faktycznie nie można tam wejść, mowa o labie, bo strażnik nie wpuszcza. Spece od teorii spiskowych już to ze sobą powiązali. Przy kolejnej wizycie w kuchni będą mieć rozwiązanie.

— Pewnie na innych piętrach też gdybają — mruknął Kowalski.

— Pewnie tak. — Marceli się ożywił. — Słuchaj, tobie kazali siedzieć tutaj i czekać na policję. — Niewinnym ruchem wyciągnął przed siebie ręce skrzyżowane w nadgarstkach. — Co ja będę się im narzucał? Przejdę się po piętrach i posłucham, co ludzie gadają. W końcu robimy w służbie bezpieczeństwa, nie?

6
Biuro dyrektora Farneya

Biuro dyrektora Bernarda Farneya było wyjątkowo schludne. Nie że wysprzątane. Skalskiemu uparcie chodziło po głowie jedno słowo opisujące pomieszczenie. Zen. Za cholerę nie wiedział, gdzie i kiedy je usłyszał — po prostu było i pasowało mu do tego, co widział. Z prawej strony na białej ścianie były tylko dwie półki; na każdej z nich stały zwrócone okładkami do pomieszczenia książki o dziwnych tytułach kojarzących się w jakiś sposób z kulturą Wschodu. Po lewej, pod samym oknem, znajdowała się nowoczesna, zielono-czarna sofa. Dla odmiany na brązowej ścianie za biurkiem wisiały w równym rządku trzy wielkoformatowe zdjęcia. Na

pierwszym z nich szybował z szeroko rozpostartymi skrzydłami orzeł. Drugie przedstawiało alpinistę zdobywającego właśnie jakiś szczyt. Na ostatnim zaś prężył się dumnie lew. Uwagę Skalskiego przykuła też stojąca na biurku mała statuetka samolotu.

Farney, jak można było oczekiwać, okazał pełną otwartość na wszelką współpracę. Wprowadził ich z grubsza w znajomość schematu organizacyjnego firmy, posiłkując się komputerem, szybko ustalił współpracowników denata i ciąg jego menedżerów, sięgając samego dyrektora Szeflera. Później uprzedził telefonicznie dział bezpieczeństwa o wizycie policji.

— Wiedzą panowie — tłumaczył, odkładając słuchawkę — w bezpieczeństwie IT jest albo pożar, albo nic się nie dzieje. Kiedy nic się nie dzieje, to chłopaki potrafią iść na obiad na dwie godziny albo zabunkrować się w jakiejś sali i grać w karty. Niech dziś poczekają na miejscu i nie marnują waszego cennego czasu.

Skontaktował się także z ochroną, nakazał zabezpieczenie i przygotowanie wszystkich posiadanych danych.

— Ochronę zapewnia nam firma zewnętrzna — instruował. — To powszechna praktyka w dużych korporacjach. Ochrona gromadzi dane dwóch rodzajów: zapis z kamer monitoringu oraz z systemu rejestracji wejść i wyjść. W przeciwieństwie do wielu innych firm, gdzie rzeczywiście rejestrowane są tylko wejścia i wyjścia, nasza ochrona łapie także przejście przez każde drzwi w budynku. — Pokazał im własny identyfikator.

— A nie podsłuchujecie? — zapytał z głupia frant Walczak.

— Nieee… — dziwnie przeciągnął Farney. — Próbowaliśmy, był taki pilotaż, ale pojawiły się ogromne kłopoty z jakością. To jak słuchanie tłumu kibiców na meczu albo na bankiecie, gdzie próbujemy zrozumieć wszystkie konwersacje naraz. Do dobrego efektu należałoby użyć zespołu

mikrofonów, fazować przy odsłuchu i takie tam. Trudne i czasochłonne. Po prostu nie opłacało się tego robić.

— Czy mógłby pan zaprowadzić nas teraz do zespołu, w którym pracował de Bugaj?

— To nie mój departament. Najlepiej, gdyby zaprowadził was dyrektor Szefler.

— Pokaże nam pan, gdzie jest jego biuro?

— Poproszę go tutaj — zaproponował i podniósł słuchawkę. Nikt nie odbierał, więc sięgnął po smartfona i spróbował ponownie. Tym razem się udało i Farney rzekł: — Cześć… Słuchaj, zajrzyj do mnie teraz, bo policja ma do ciebie pilną sprawę. — Odłożył aparat i potwierdził: — Jest już w drodze, zaraz przybędzie.

Nie minęła minuta, gdy w drzwiach pojawił się przystojny mężczyzna, znacznie młodszy od Farneya. Przedstawił się z hollywoodzkim uśmiechem, który musiał działać na płeć piękną:

— Witam panów serdecznie. Maksymilian Szefler. Chcieli mnie panowie widzieć?

Śledczy przedstawili się i poprosili o wskazanie drogi do zespołu de Bugaja. Opuszczając gabinet, Skalski rozkazał Czerskiemu, by zszedł do umówionych specjalistów od bezpieczeństwa.

Zjechali dwa piętra niżej. Skalskiemu wydawało się, że i Szefler wyczuł od Walczaka woń alkoholu. A może był zbyt przewrażliwiony na tym punkcie. Szefler nie uczynił żadnego gestu zdradzającego, że ma wystarczająco sprawny węch. Nie chcąc, by ich gospodarz za dużo myślał o tej niezręcznej sytuacji, zapytał go o jego pozycję w firmie. Ten jedynie potwierdził to, co usłyszeli od prezesa, tylko w znacznie skromniejszej formie. Szefler był dumny ze swoich osiągnięć i nie zamierzał tego ukrywać, ale i nie chwalił się, zdając sobie sprawę, że świadczą o nim

czyny, nie słowa. Skalski zdążył jeszcze spytać o poznanego rano trzeciego z dyrektorów, Donatana Relika.

Zauważył mimowolny grymas na twarzy współrozmówcy.

— Dyrektor Relik to wyjątkowo spokojny człowiek. Jest współtwórcą sukcesu tej firmy i zarządza jednym z najważniejszych jej działów, badawczo-naukowym. Zarząd bardzo docenia jego zaangażowanie w pracę — odpowiedział wyuczonym, neutralnym tonem.

— A jakie są wasze relacje?

— Obaj mamy równorzędne stanowiska, obaj jesteśmy w Radzie Dyrektorów. Nasze relacje muszą być dobre, nie możemy sobie pozwolić na żadne animozje. Inaczej ta firma nie byłaby tam, gdzie jest.

— To samo dotyczy również pana Farneya?

— Oczywiście — zamknął temat Szefler.

***

Układ trzeciego piętra był identyczny jak pierwszego i piątego. Różniła je nieco tonacja niebieskiego koloru ściany, która nieśmiało próbowała wyglądać zza wielkich posterów. Prawie wszystkie plakaty były w języku angielskim, gdzieniegdzie mignął napis hiszpański, rosyjski, a nawet coś jakby chiński. Jedno z haseł szczególnie utkwiło Skalskiemu w pamięci: *Task cannot wait! Be fast and agile! Be the first one!* Zaraz, zaraz… kiedyś słyszał przy kawie coś w tym stylu od Walczaka, coś na podobnym poziomie: „Kiedy pierwsza na zegarze, wtedy sąsiad pije w barze. Bądź tak szybki jak króliczek, wrzuć sąsiadkę na stoliczek, sięgnij zwinnie po wiewiórkę i wsadź lekko w mokrą…”.

Szefler nachylił się do jednego z siedzących przy komputerze pracowników i cicho o coś zapytał. Ten wskazał ręką drzwi pobliskiej sali,

skąd dochodziły odgłosy burzliwej dyskusji. Na twarzy dyrektora odbiło się lekkie zawahanie i jakby konsternacja.

— Zespół de Bugaja kończy właśnie planning. To jeden z najistotniejszych elementów naszego procesu. Podejdźmy tam.

— Jak? Pytam, jak to się stało, że nie macie domkniętego scope'a na tę iterację? — Grzmiący głos dobiegł ich uszu, gdy dyrektor cicho uchylił drzwi. — Mówiłem wam tyle razy: Plan! Plan! Plan! Plan jest najważniejszy! A czy wy w ogóle zrobiliście spotkanie preplanningowe?!

Zgromadzeni tłoczyli się w milczeniu pod tablicą pokrytą małymi, różnokolorowymi karteczkami. Być może nie mieli nic na swoją obronę, a może po prostu czekali, aż prowadzący spotkanie wyładuje swoje emocje.

— Nie akceptuję backlogu w takiej postaci! Po prostu nie ak-cep-tu-ję — akcentował każdą sylabę, wymachując swoim nieodłącznym notesem jak młotem. — Gdzie wyście w ogóle podziali *definition of done* dla waszych backlogów? — Postukał palcem w jedną z kartek. — Zobaczcie sobie, jak modelowo, wręcz książkowo, robią to koledzy z innych zespołów. — Sapnął, oblizał wargi i raz jeszcze obrzucił wzrokiem zawartość tablicy. — Za godzinę chcę mieć *scope* domknięty. Urządzimy teraz *brainstorm*, a wy potem dopracujecie i rozbijecie mi backlogi na poszczególne taski. Dzień po dniu… najlepiej godzinowo! Zrozumiano?

Kaszlnięcie Szeflera przerwało tę tyradę. Prowadzący podszedł do grupki przy drzwiach.

— Panie dyrektorze… panowie… do mnie? — zapytał niepewnie, dostrzegając wreszcie gości.

— Tak, mamy ważną sprawę. Kończycie może?

— Niestety nie, panie dyrektorze. Zespół nie zrealizował celu spotkania planningowego i musimy zrobić sobie burzę mózgów — skrzywił się. — Czy możemy się spotkać za półtorej godziny? Albo za dwie?

Skalskiego uderzyła arogancja tego człowieka. Dyskretnie pokazał mu policyjną odznakę, na której widok ten pobladł.

— Prowadźcie spotkanie dalej beze mnie! — Klasnął w ręce, ale głos mu zadrżał. — Dołączę do was, kiedy będę już wolny. Pamiętajcie, że choćby się paliło i waliło, *scope* ma być domknięty równo za godzinę! — dodał, stukając palcem w tarczę zegarka.

Odczekał, aż wszyscy opuszczą salę, i przymknął drzwi.

— Słucham panów.

7
11.45, RCUS, prowizoryczny pokój przesłuchań

Szef zespołu Henryk Diukiewicz sprawiał dziwne wrażenie. Twarz niby kamienna, ale z nieschodzącym grymasem pogardy. Do tego czujny wzrok, wydawałoby się, że drapieżnika. Dopiero po dłuższej chwili skojarzył się on Skalskiemu z hieną węszącą za padliną. Jego sposób bycia, każde spojrzenie, wiecznie pogardliwy uśmieszek na twarzy, arogancja przebijająca przez każdy gest sprawiały, że śledczy poczuł do niego irracjonalną niechęć.

Szefler zaprowadził ich do zarezerwowanej specjalnie dla nich sali. Była ona nieco ciemna, wydawało się, że głównie przez żaluzje w oknach, które przypominały Skalskiemu więzienne kraty. Jednak przebijał przez nie obraz ściany z identycznym oknem po drugiej stronie. Klaustrofobia w małym pomieszczeniu przejęła serce Skalskiego jakimś żalem. Przyszło mu do głowy, że tak powinni urządzać miejsca do przesłuchań w komisariatach — z oknem na areszt. Może policja powinna zatrudnić tego samego architekta?

Wyposażenie było minimalistyczne. Podłużny stół z jakimś urządzeniem, a wokół osiem plastikowych krzeseł. Pod blatem schowany komputer. Na

ścianie biała tablica. W rogu sali, na wysokości niespełna dwóch metrów zamontowane było ciemne pudełko: kamera.

Uśmieszek Diukiewicza wzbudził w Skalskim irytację. Zauważył, że Walczak również z trudem utrzymuje kamienny wyraz twarzy. Muszą zachować profesjonalizm i obiektywizm, a to będzie trudne z tym człowiekiem.

Wreszcie rozsiedli się wygodnie. Odprawili grzecznie dyrektora Szeflera, a kierownik Diukiewicz położył na stole telefon. Najnowszego flagowego smartfona.

— Pewnie już pan wie o zdarzeniu? — zaczął Skalski, włączywszy dyktafon.

— Ten wypadek rano w laboratorium? — odrzekł pytaniem.

— Tak, o nim mowa.

— Czyżbym miał z tym jakiś związek? — Diukiewicz delikatnie przechylił głowę.

Skalski poczuł nieprzepartą chęć starcia mu z twarzy tego ironicznego grymasu. Spojrzał w sufit i policzył w myślach do pięciu.

— A ma pan? — zapytał.

— Z jakiegoś powodu panowie zaszli do mnie i chcą rozmawiać właśnie ze mną. Czyli zgaduję, że coś jest na rzeczy.

— Dobrze pan trafił. Czy intuicja nie podpowiada panu również, jaki to związek? — cicho zapytał Skalski.

Diukiewicz, kręcąc głową, rozłożył bezradnie ręce.

— Nic pana nie zaniepokoiło? — dopytywał Skalski.

— O co pan pyta?

— O pracę, o dzisiejszy dzień — podpowiedział.

— Zastanówmy się… — Przysunął się i oparł łokciami o stół. — Jeden z członków mojego zespołu wziął przed chwilą wolne, powołując się na

samego prezesa.

— Czy jeszcze coś?

Zadumał się i rzekł:

— De Bugaj nie uzupełnił statusu testów w narzędziu.

— To takie ważne? — wyskoczył Walczak.

— Oczywiście. Miał to skończyć w piątek. Właściwie bym o tym nie wiedział, ale z samego rana dzwonił do mnie Kilian Osik i rozpytywał o wyniki. Byłem zdumiony, że ich nie ma.

— I to było aż tak dziwne? — Nie mógł pojąć Walczak.

— Debugger zawsze był skrupulatny. Trudny, ale skrupulatny! Zawsze!

— Kto to jest Debugger? — zapytał Skalski.

— Przepraszam, tak mówimy na Nikodema de Bugaja. To nazwisko nie jest typowe…

— Rozumiem. I co z nim?

— Nie wiem, jeszcze nie przyszedł do pracy.

— I pana to nie dziwi?

— Może troszeczkę. Zazwyczaj pojawiał się przed stand-upem. On jest taki *latecomer*…

Skalski zachodził w głowę, dlaczego rzeczy naprawdę dziwne nie wydawały się takie kierownikowi i odwrotnie. Rozmowa może być trudna, kiedy każdy odbiera świat inaczej…

— Jaki jest ten de Bugaj? — zainteresował się.

— To pracowity, skuteczny człowiek, ale strasznie trudny w prowadzeniu. Zaciekły wróg metod zwinnych, buntujący się na najlepsze metodyki i procesy naszej firmy. Normalnie już bym się go pozbył, ale jest nam potrzebny. *Craftsmanship*, znaczy rzemiosło, i *skillset* ma bez zarzutu, choć performuje po swojemu, co strasznie denerwuje zespół. No ale już

moja w tym głowa, by dawał z siebie wszystko i pracował nad swoim charakterem, nie?

— A oprócz pana ma jakichś wrogów? — podsunął neutralnym głosem Skalski.

— Niech pomyślę… — przerwał i uśmiechnął się po chwili. — Ale mnie pan podszedł! To nie wrogość, tylko niechęć do tego typu postawy. Bo widzi pan, oficerze, zespół musi się składać z elementów współpracujących, a on jest strasznym indywidualistą, wykopanym z jakiejś minionej epoki. To prawdziwe wyzwanie dla najlepszych menedżerów!

— Wróćmy do tego, jak dotarła do pana wiadomość o wypadku w laboratorium.

— Kiedy przyszedłem do pracy, mój telefon już dzwonił. Kilian Osik, jeden z deweloperów w zespole Cezarczuka, od rana próbował się ze mną skontaktować. Interesowały go wyniki testów. Mówił, że w narzędziu śledzącym ich postępy nie było żadnego nowego wpisu od czwartku, a de Bugaja nie może złapać. Zszedł nawet do laboratorium, ale jego *badge*… to znaczy karta dostępu, nie działała. W stróżówce ochroniarz powiedział mu, że lab jest zamknięty do odwołania. Podobno wydarzył się jakiś wypadek.

— Zainteresował się pan tym?

— Nie, nie bardzo… Mam ogrom pracy. Muszę przygotować prezentację dla managementu średniego szczebla, wytyczne definicji zakończonej pracy dla mojego zespołu, zaadresować spływające defekty, pokierować moimi resource’ami do nowych wyzwań. Mam też zaplanowane spotkanie z…

— Rozumiemy — przerwał to smęcenie Skalski. — Czy ten współpracownik, Osik, tak? Czy on przejął się faktem, że nie może pracować?

— Ależ on mógł pracować — odpowiedział spokojnie Diukiewicz.

— Jak to? — wtrącił Walczak. — Przecież miał pracować w tym… labie, a lab był zamknięty.

Kierownik uśmiechnął się, wyczuwając swoją przewagę intelektualną:

— Każdy z naszych pracowników ma dostęp do labu przez *remote* desktopa…

— To miał ten dostęp czy nie miał? — Walczak poczuł, że świat nowoczesnej korporacji i technologii przekracza możliwości jego percepcji.

— No miał… zdalny… Nie osobisty… aaa, już rozumiem panów kłopot. Otóż zdalny dostęp to możliwość wejścia, znaczy zalogowania się przez komputer osobisty do komputerów ulokowanych w labie. To tak jakby… no wie pan, zalogować się do swojego banku. Jest pan w banku, siedząc w domu. Rozumie pan, taki…

Skalski gestem przerwał ten miniwykład, wybawiając przesłuchiwanego z konieczności tłumaczenia rzeczy dlań oczywistych. Zdał sobie sprawę, jaki problem dla fachowca z branży komputerowej musi stanowić tłumaczenie laikom rzeczy tak banalnych. Pewnie jego wnuk, gdyby go tylko miał, byłby w stanie to pojąć.

— Skoro miał dostęp… zdalny, to po co tam poszedł? — zapytał raczej dla formalności.

— Nie wiem. — Diukiewicz był już całkiem rozluźniony. — Może chciał coś przekonfigurować, przepiąć przewody, a to wymaga pracy na miejscu. Albo zajął się innymi taskami z tablicy. Mają sporo opóźnień.

— Chyba — zaczął nową myśl Skalski — musimy sobie porozmawiać z panem Osikiem.

— Przypominam, że to nie jest mój podwładny.

— Ale de Bugaj już tak — wtrącił Walczak. — A on, jak zapewne pan wie… — i wymownie zamilkł.

— Coś nabroił? — westchnął kierownik, ale oni tylko pokręcili smutno głowami. Wtedy przeląkł się i wreszcie skojarzył fakty:

— Coś mu się stało?

— Nie żyje — oznajmił złowieszczo komisarz.

Zrobiło się bardzo cicho. Obserwowali się wzajemnie.

— Debugger? — wyszeptał Diukiewicz.

— Nikodem — dopowiedział Skalski.

— Jak to się stało? Zawał czy co? W labie?

— Tak.

Zapadła cisza, Diukiewicz obrzucał spojrzeniem to Skalskiego, to Walczaka, jakby szukając dowodu na to, że to wszystko jest tylko ponurym żartem.

— Jaka strata… — wykrztusił wreszcie i albo faktycznie się wystraszył, albo z jakiegoś powodu zaczął panikować. Nie mógł uspokoić trzęsących się rąk i krew napłynęła mu do twarzy.

— Widzę, że jest pan w szoku… — powtórzył ulubioną kwestię Skalski.

— Właśnie do mnie dotarło, że nie będzie raportu z testów… W ten sposób mamy pierwszy czerwony *risk* do trackera. Niedobrze, niedobrze… — paplał bezmyślnie, ale się zreflektował i dodał: — Takie nieszczęście!

Obaj śledczy byli kompletnie zdezorientowani. Reakcje były dalekie od jakichkolwiek wzorców znanych im z doświadczenia.

Skalski zmienił temat:

— Co pan może powiedzieć o jego życiu prywatnym?

— Nic. Nie interesuje mnie.

— Czy ktoś z zespołu ma jakieś nietypowe skłonności?

— Powiem szczerze, że miałbym problem, gdyby pan zapytał, kto z nich jest normalny.

— Zapytam może tak: czy ktoś z nich ma skłonność do przemocy? Albo zadawania bólu?

— W życiu! Może się ożywiają, gdy zaczną rozmawiać o krajowej polityce czy innej patologii, ale to urodzeni pacyfiści. Muchy by nie skrzywdzili!

— Jeżeli miałby pan zgadywać, to jak mogło dojść do śmierci de Bugaja?

— Zgadywać? Ja? — Chrząknął i zmarszczył czoło. — No nie wiem. Może poraził go prąd?

— Dlaczego akurat prąd? — zaciekawił się Walczak.

— Często samodzielnie coś skręcał, lutował, bo mówił, że nie będzie wystawiał ticketów i czekał na fachowców, kiedy szybciej może to zrobić sam. A jak panowie wiedzą, elektryka to nie żarty… Ale nigdy nie słuchał. Uparty osioł. Doigrał się.

— OK. Czyli żadnych konfliktów, żadnych wrogów…

— Prócz mnie? — Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie tamto pytanie. — Gwarantuję, że u mnie nikogo takiego nie znajdziecie. Nikt poza de Bugajem do labu raczej nie chodził.

— Dlaczego? — zaciekawił się Skalski.

— No… ja im to odradzałem. Tylko de Bugaj lubił się tam zaszywać wbrew moim zaleceniom. Był pan tam już, prawda?

— Tak — skinął głową.

— Zimno, ciemno, hałas…

— I to ma być ten powód?

— Ludzie łapią tam choroby, przeziębiają się, biorą zwolnienia lekarskie. Narażenie na hałas to konieczność odbywania dodatkowych badań audiometrycznych, promieniowanie elektromagnetyczne to z kolei gwarantowana wizyta u neurologa. To wszystko to kłopot dla firmy. To

kłopot dla mnie, by sprint się domknął. No bo kto ma pracować, jak wszyscy na chorobowym albo na badaniach okresowych? A na planningu nie wpisuje się takiego overheadu.

— Widzę wielką troskę o zdrowie podwładnych, to rzadkie dzisiaj — zakpił Walczak.

— Dobrze, będę miał do pana prośbę. — Skalski postanowił zakończyć rozmowę, nie rozumiejąc kompletnie toku myślenia rozmówcy. — Albo nawet dwie. Po pierwsze, poproszę o listę osób z pana zespołu, bym mógł ich przesłuchać. Proszę mi również zaznaczyć tych, którzy bezpośrednio współpracowali z ofiarą.

— Dobrze. Listę zaraz wyshareuję albo wyślę panu mailem. — Zauważył spojrzenie Skalskiego pełne bezradności. — Po prostu wydrukuję. A co do bliskich współpracowników, to cóż. Mówiłem panom, że Nikodem de Bugaj lubił działać solo. To typ, który nie potrafił pracować scrumem. Najbliższy był mu wspomniany już Kilian Osik. Przyjaźnili się chyba nawet od studiów, a może nawet wcześniej.

— To dobrze — pokiwał głową Skalski. — Niech mi go pan znajdzie i sprowadzi tutaj.

— To ostatnia prośba? — upewnił się Diukiewicz.

— Nie. Ostatnia brzmi tak: wiadomość o tym, kto zginął, dzisiaj nie może się roznieść po pańskim zespole. To dla dobra kolejnych rozmów, które musimy z nimi przeprowadzić. Rozumiemy się?

— Mam o tym milczeć? Tylko dzisiaj?

— Tak. Niech im pan powie, jak już skończymy swoje czynności wyjaśniające.

— Oczywiście.

8
12.50, zespół Diukiewicza

Po krótkiej rozmowie z Kilianem Osikiem kierownik Henryk Diukiewicz udał się wprost do swojego zespołu. Miał nadzieję, że zastosują się do wniosków wyciągniętych z kilku ostatnich iteracji, głęboko przemyślanych wniosków, które on sam…

Z daleka zobaczył, że się nie zastosowali. Z pół tuzina osób zamiast pracować nad wyznaczonymi zadaniami tworzyło kółko dyskusyjne na fotelach. Kilku kolejnych nie brało aktywnego udziału w rozmowie, ale przysłuchiwali się, nawet nie sprawiając wrażenia zapracowanych. Paru następnych nie było nawet przy biurkach. Wiele monitorów już zgasło, co świadczyło o tym, że komputery nie były używane przez dłuższy czas.

„Jak ja mam nimi drajwować?” — zdenerwował się Diukiewicz. „Zostali uświadomieni, jak ważna jest to iteracja, jak ważny jest to produkt. Jedna czwarta metryk świeci się na czerwono, ponad połowa na żółto, a oni sobie jakieś pogawędki urządzają”.

Skrył się, jak mógł, za przechodzącym przypadkiem pracownikiem, dzięki czemu udało mu się niepostrzeżenie podejść do grupy. Kiedy go zauważyli, natychmiast się rozpierzchli , ale Diukiewicz wezwał ich z powrotem. Wbrew pewnym zasadom zdecydował się na publiczną połajankę.

— Drodzy koledzy — zaczął łagodnie. — Zaledwie w piątek zakończyliśmy sprint. Na podsumowaniu, na *sprint summary*, wyciągnęliśmy wspólnie wnioski, że przestoje w pracy pochłaniają zbyt dużą część staffingu.

Nie było to do końca prawdą. To były wyłącznie jego wnioski przygotowane jeszcze przed piątkowym spotkaniem. A skoro wszyscy stanowią zespół, któremu on lideruje, to nagle stały się one także

wnioskami zespołu. Przecież żaden szeregowy *resource* w zespole nie będzie kwestionował tak postawionego stwierdzenia.

— Również dzisiejszy planning zaczęliśmy od przypomnienia jednego z czterech filarów sukcesu. Kto pamięta którego?

Zapadła cisza.

— To nie jest pytanie retoryczne.

— *Delivery* — zabrzmiało gdzieś cicho.

— Tak jest. *Delivery*. Naszym obowiązkiem jest dostarczyć produkt na czas. Z tego jesteśmy rozliczani, za to nasza firma płaci nam niemałe pieniądze. Żeby to się wydarzyło, należy wytworzyć ten produkt, czyli przygotować plan pracy oraz — zawiesił głos i uniósł notes zamiast palca — realizować go. *Scope* został domknięty. Jest przygotowany i na bieżący pi-aj, i na bieżącą iterację. Jest to najlepszy plan, jaki mogliśmy opracować. W końcu sami nad nim pracowaliście i sami go zatwierdziliście. Zdaję sobie sprawę, że jest to zadanie ambitne. A może zbyt ambitne?

Zamilkł i powiódł po nich wzrokiem hieny. Musiał zamilknąć, bo wewnętrzne zasady firmy uniemożliwiały mu pełną ekspresję jego uczuć. Kiedy znów zaczął, jego głos był jeszcze cichszy i być może dlatego jeszcze bardziej było w nim słychać złość i pogardę.

— Nie zrealizujemy naszego własnego planu, jeśli nie skupimy się na obowiązkach. A wydaje mi się — odgłos szykującego się do ataku grzechotnika wydawał się bardziej sympatyczny niż jego ton — że prowadzenie kółek dyskusyjnych w chwili, kiedy mamy precyzyjne cele oraz opóźnienia z poprzedniej iteracji, nie pomoże nam w osiągnięciu sukcesu. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

Patrzył na nich z góry. Szczególnie chciał się skupić na tych, którzy spuścili wzrok. Jacy oni są słabi…

— Księciuniu, czy ty aby nie przesadzasz? — usłyszał. No tak, Damian „Brodaty” Fierro. Mógł się po nim tego spodziewać. Jeden ze starszych wiekiem, wiecznie niezadowolony, wiecznie kwestionujący nowoczesne metody pracy. Typek podobny do de Bugaja. — Dotarło może do ciebie, że w labie zginął człowiek?

„Czyżby już wiedzieli kto?” — Przebiegło przez myśl Diukiewiczowi. Zmrużył oczy i nieświadomie wysunął podbródek. Szykował się do walki.

— Doskonale o tym wiem. Przed chwilą rozmawiałem z policją, z którą ściśle współpracuję nad wyjaśnieniem okoliczności tego wypadku. Jestem więc świetnie poinformowany. Zapytam ponownie: co z tego?

Fierro nie zrozumiał. Patrzył na Diukiewicza z niedowierzaniem.

— Więc wytłumaczę wam. — Kierownik zwrócił się ponownie do podwładnych, podkreślając wagę swoich słów notesem. — Nie powinno mieć to dla was, jako zawodowców, żadnego znaczenia. Oczywiście śmierć człowieka dla wszystkich jest ciosem. Dlatego złożymy się na wieniec i kto chce, weźmie udział w pogrzebie. Jednocześnie jesteśmy doświadczonymi i doskonałymi pracownikami, a ta firma jest przygotowana na taki *bus factor*. Korporacja tej klasy musi być na to gotowa, dlatego zatrudnia najlepszych z najlepszych. Wypadek, nawet śmiertelny, nie może zmienić naszych planów i możliwości ich realizacji w zadanym tempie. Gdzie jest *backup* Nikodema?

— Dałeś mu wolne! — ktoś prychnął.

— Aaa, tak. — Diukiewicz zajrzał do notesu i znalazł odpowiedni wpis. Natychmiast odtworzył mu się cały kontekst okoliczności, kiedy go dodawał. Nie mógł użyć kija na zastępcy de Bugaja, którego prezes osobiście wyprawił do domu, więc musiał wyciągnąć marchewkę.

— A czemu o niego pytasz? — zapytał Fierro.

Diukiewicz zrozumiał, że się zdradził. Spróbował szybko uciąć niewygodny temat:

— Bo go nie będzie. Ale to żaden problem. Właśnie dlatego jesteśmy krosfunkcjonalni. Wasze skille pozwalają wcielić się w każdą rolę i wykonać założone cele. To właśnie przez pracę w trudnych warunkach możecie udowodnić swoją szczególną wartość jako zespół. A teraz do pracy!

9
13.00, RCUS, prowizoryczny pokój przesłuchań

Czerski dołączył do przesłuchujących, gdy tylko skończył rozmowę z Kowalskim. Usiadł w kącie, jak mu kazali. Teraz miał się tylko przyglądać, notować i nie odzywać.

Do pokoju, bez przywitania, wszedł zarośnięty, gruby, lekko przygarbiony osobnik w T-shircie z napisem „Koszulka testowana na zwierzętach. Nie pasowała”. Szybko zapytał, siadając:

— Państwo coś ode mnie chcą, tak? Byle szybko, bo mi się tam kod builduje.

— Podinspektor Skalski z wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji.

— Glina, znaczy się — orzekł gburowato gość.

— Pan oficer… — zagotował się Walczak i ugryzł w język, zanim dodał coś obraźliwego w myślach.

Skalski uśmiechnął się, ale tylko na moment. Po chwili twarz oblał nieprzyjemny chłód. Gość się zjeżył, skulił i… zamknął. Jakby spokorniał.

— Zasada jest taka — zaczął spokojnym tonem Skalski. — Ja pytam, ty odpowiadasz. Szybko, bo podobno się spieszysz. Twoje imię i nazwisko.

— Kilian Osik.

— Znasz Nikodema de Bugaja?

— Znam.

Skalski zastukał palcami o blat.

— No i? — wycedził.

— Zadał pan pytanie zamknięte — odpyskował Osik.

— Jestem cierpliwy tylko do czasu. — Skalski policzył w myślach do pięciu. — Długo się znacie?

— Od szkoły średniej. Siedzieliśmy w jednej ławce. Potem studiowaliśmy na jednym kierunku.

— Jaki jest ten cały Bugaj? Ma jakieś zatargi z ludźmi?

Osik zamrugał oczami i niespodziewanie parsknął śmiechem.

— Zatargi? On? To najspokojniejszy człowiek, jakiego znam! Zawsze wszystkim pomaga! O cokolwiek by go poprosić. Chcesz, by ci przetestować kod — idziesz do Debuggera! Chcesz rozwiązać defekt — idziesz do Debuggera. Chcesz zreprodukować *issue* w labie…

— Czy ktoś mu groził, szkodził?

— Skądże! Dlaczego?! — Programista zrobił wielkie oczy.

Skalski się zamyślił. Powoli zaczynał żałować, że zlecono mu tę sprawę.

— Ma jakąś rodzinę?

— Dlaczego pan tak o niego pyta? — zaniepokoił się Osik.

— Dojdziemy do tego. Ma jakąś partnerkę, partnera, psa?

— Nie. To nie ten typ.

— Skąd pan wie?

— Bo znam go dobrze i bym wiedział. Raczej by mi sprzedał takiego newsa.

— A wcześniej miał?

— No kiedyś, ze dwa razy miał jakieś przelotne znajomości. Nic poważnego.

— Czy te osoby mogłyby żywić jakąś urazę, gniew, chęć odwetu?

— Jedna z tych lasek była zdrowo powalona. Szybko się rozeszli.

— I?

— Poleciała za ocean robić karierę. Druga się obraziła, bo ją olewał. To znaczy… nie rozumiała go.

— Nie była mściwa?

— Nie. Dumna taka była. Nie rozumiała, że mężczyzna wieczorem musi trochę pograć na kompie. Teraz jest już po ślubie z jakimś bagażowym z lotniska.

— A rodzice, rodzeństwo?

— Nikodem przyjechał tutaj z innego miasta. Ma do nich czterysta kilometrów w linii prostej. Wszystkich tam zostawił.

— Utrzymuje z nimi dobre relacje?

— Jak każdy w podobnej sytuacji. Wizyty dwa razy w roku na święta.

— Jakie odchyły ma de Bugaj? — Skalski spróbował z drugiej strony, nie spodziewając się jednak usłyszeć czegoś wartościowego.

— Noo… Raz czy dwa razy przyszedł do pracy skacowany. A tak… To samo co inni… czytanie reddita, siedzenie na fejsie… Ale to raczej norma niż odchył…

— Zapytam inaczej. Zauważyłeś u niego jakieś skłonności do przemocy? Do zadawania bólu?

Osik skrzywił się z niesmakiem, przypominając sobie fragmenty kodu, od których krwawiły oczy.

— Jak się oglądało jego kod pisany if-em na if-ie, to człowieka aż serce bolało. Żeby tak chociaż w jednym miejscu użył *variadic template*… Tyle razy mu mówiłem o TDD i *clean code*, polimorfizmie, a on dalej te swoje

if-elsy. Myślę, że był kryptomasochistą. Normalny człowiek nie robi sześciu zagnieżdżeń wyrażeń warunkowych, a potem goto do etykiety labelowanej et1, et2, et3… Dlatego przerzucili go do testów. Nie musiał już pisać kodu w języku nienawiści. A i nam ulżyło. W sumie był nawet zadowolony, ale tylko do czasu, jak sformowali teamy krosfunkcjonalne.

— Przyjaźnicie się, co? — wrzucił Walczak.

— Owszem. Dobrze mi się z nim pracuje, rozumiemy się.

— Jaką ostatnio miałeś z nim sprawę?

— Miał zwalidować fixa w piątek, ale nie wysłał mi żadnego info z wynikami.

— Może się pokłóciliście i zrobił ci na złość? — dopytywał komisarz.

— Co pan?

— Byłeś w piątek w laboratorium?

— Cały zeszły tydzień w ogóle mnie tam nie było.

— Czyżby?

— No chyba wiem, co robię!

— O której skończyłeś pracę? — Wszedł w słowo Skalski.

— O osiemnastej zabrałem się z kolegą. Auto miałem w warsztacie, to mnie podwiózł.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z de Bugajem?

— W piątek oczywiście.

— Nie wydawał się niespokojny, inny niż zawsze?

— Nooo… Nie wiem. Trudno powiedzieć. Raczej nie. A właściwie to co on takiego zrobił, że tak o niego wypytujecie? — zaczął się niepokoić. Nie podobał mu się kierunek tych pytań. Wyczuwał w nich coś niedobrego.

— On nic. Ale to za chwilę. Uskarżał się ostatnio na kogoś w zespole?

— Diukiewicz go wkurwia. Jego menedżer. Dziad jeden. Psychofan wszelkich sekciarskich nowinek w zarządzaniu.

— Uwziął się szczególnie na de Bugaja?

— Niekoniecznie. Inni ludzie po prostu to olewają, a Nikodem za bardzo się tym wszystkim przejmuje. Nawet rozważał zmianę pracy.

— Czyli było jakieś zarzewie konfliktu?

— Bałem się, że kiedyś mu nawrzuca, choć nigdy go takiego nie widziałem.

— A z drugiej strony?

— Ja tego Diukiewicza to za bardzo nie znam. Tyle, co mi Nikodem opowiada i inni ziomale. Na zebraniach pieprzy jak każdy menedżer. I jak każdy próbuje się przypodobać swoim zwierzchnikom. Omijam go szerokim łukiem.

— Nie doszły cię zatem żadne słuchy o przemocy z jego strony?

— Przemoc fizyczna nie, ale cała reszta arsenału jak najbardziej.

— Dobrze wiedzieć — mruknął Walczak i zapisał coś w notesie.

— Dowiem się wreszcie, co zrobił Nikodem? — Niecierpliwił się Osik.

— Co zrobił? — Skalski zawahał się, nim odpowiedział: — Nic. My tylko wypytujemy o relacje w zespole.

— To dlaczego odnoszę wrażenie, że tylko ON was interesuje?

— Oj tam. Zastanawiamy się tylko, dlaczego nie ma go dziś w pracy. — Walczak spróbował wybawić inspektora z kłopotu.

— Zwykle przychodzi później — wymamrotał niepewnie Osik, ale zaraz spojrzał nieufnie. — To teraz policja zajmuje się nieobecnymi?

— Jest już po pierwszej. To u niego normalne? — Komisarz zignorował jego pytanie.

— No… nie bardzo… Zawsze pojawiał się przed południem.

— I to pana nie martwi?

— Teraz… — zaciął się. — Teraz już tak… Coś podejrzewacie?

— Na tym etapie nie wolno nam niczego ujawniać — uciął Skalski.

— Czy on ma jakiś związek z tym wypadkiem?

— Ustalamy to.

— Rozumiem. — Osik skinął głową. Nie miał pojęcia, czy to prawda. Był zdezorientowany. — Od rana próbuję go złapać… Co się z nim dzieje?

Skalski widział teraz przed sobą człowieka mocno zaniepokojonego. Rzekł do niego uspokajającym tonem:

— Dziękuję za rozmowę. Tylko proszę zachować ją dla siebie, dobrze? Pańskie uwagi są dla nas niezwykle cenne. Żegnam pana.

Kilian Osik potrząsnął głową i wyszedł bez pożegnania.

***

Po wyjściu Osika zarówno Skalski, jak i Walczak w milczeniu skupili się na przeglądaniu swoich notatek. Planowali zrobić przerwę w przesłuchaniach na zjedzenie czegoś ciepłego. Czerski był mocno rozczarowany wynikami przesłuchań.

— Panie inspektorze — zaczął nieśmiało. — Nie mam żadnego doświadczenia w prowadzeniu śledztwa, nigdy nie przesłuchiwałem… Czy to jest normalne? Mam wrażenie, że niczego się nie dowiedzieliśmy. Pytamy o różne sprawy, ale nie widzę w tym niczego, co by nas nakierowało na jakiś trop.

Skalski przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Widzisz, aspirancie, to nie jest tak jak w filmach, że bierzesz jakiegoś znajomego ofiary, a ten mówi ci, że widział podejrzanego osobnika z nożem, w kapturze i z tatuażem na karku. A potem idziemy nad rzeczkę i znajdujemy w niej nóż, oczywiście tak unikatowy, że sklepikarz pamięta, komu go sprzedał ostatniej zimy. Aresztujemy podejrzanego w jego ulubionym pubie, a on, porażony naszą przenikliwością i inteligencją, od razu się przyznaje i do morderstwa, i do dręczenia kotów. To tak nie działa.

— Więc jak?

— Robimy przesłuchania, by, po pierwsze, dowiedzieć się wszystkiego o ofierze i jej relacjach z otoczeniem. Może ten miły martwy człowiek oszukał kogoś na wielkie pieniądze? Albo stukał komuś żonę? Nikt tego wprost nie powie, bo zwykle nikt tego nie wie. Musimy budować portret z okruchów rozrzuconych na wielkim polu. Po drugie, najczęściej mordercą jest ktoś, kto zna ofiarę osobiście. W tym wypadku, w tak zamkniętym miejscu, jesteśmy tego prawie pewni. Z przesłuchań możemy się dowiedzieć, czy ktoś nie miał zatargu z ofiarą albo czy nie zmienił nagle swojego zachowania. Takie rzeczy musimy znaleźć i skupić na nich uwagę. Często wskazują na motyw, a gdy jest motyw, to łatwiej znaleźć sprawcę.

— I to jest wystarczający dowód? — zapytał z niedowierzaniem Czerski.

— Nie, to nie jest dowód. To poszlaka. Nam, śledczym, pozwala wytypować głównych podejrzanych i na nich skupić nasze dalsze działania.

— Spójrz na to miejsce — wtrącił Walczak. — Strażnicy, wszędzie kamery, przejście przez każde drzwi jest rejestrowane, można odtworzyć ruch każdego z dokładnością do minut. Założę się, że sprawdzają nawet, kto i jak długo siedział w kiblu i czy umył ręce po skorzystaniu. Do tego ślady, jakie pozostawia sprawca — przy współczesnej technice kryminalistycznej nie da się ich zatrzeć. Między nami mówiąc, przesłuchujemy tych ludzi tylko do formalnego raportu, żeby komendant się nie czepiał. A tak naprawdę to jutro czy pojutrze dostaniemy odciski palców, ślady butów i profile DNA. A w tych ich rejestratorach sprawdzimy, kto był na miejscu zbrodni; na obrazach z monitoringu zobaczymy jego facjatę i dokonamy zatrzymania, mając twarde dowody. To będzie jedna z łatwiejszych spraw, niewiele się z niej nauczysz. Wypijmy za to! — Przechylił piersiówkę, po czym z rozczarowaniem zajrzał w jej wylot. — No coś podobnego… Nieudany toast… Zły znak.

— Niech pan nie będzie przesądny, komisarzu — pocieszył go Czerski. — To przynosi pecha.

10
15.30, RCUS, sala reprezentacyjna Siódme Niebo

— Panie prezesie, zarząd już czeka — powiedziała cicho sekretarka, zaglądając przez drzwi.

— Już idę. — Aivar wstał energicznie z fotela i obszedł biurko.

— Są w sali reprezentacyjnej.

— Dziękuję.

Ruszył za nią. Stukała pantoflami na obcasie i prowadziła go niczym skazańca na sąd kapturowy. Po drodze wszyscy mu się kłaniali, a on nieświadomie odpowiadał im w wyuczony sposób. Jego myśli krążyły gdzieś indziej. „Dlaczego ta cholerna policja musiała zjawić się właśnie dzisiaj? Ciekawe, czy zarząd to zauważył?”. Zastanawiał się, czy to może mieć jeszcze jakiekolwiek znaczenie. Chłodna kalkulacja i doświadczenie mówiło mu jednak, że czasem nawet drobiazg może wywołać bolesne skutki. Wszystko zależy od okoliczności. Ale bywa i tak, nieczęsto, że można to nieoczekiwanie przekuć w sukces. „Czy jest na to cień szansy?” — rozważał, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Sekretarka otworzyła drzwi niczym bramę kościelną, przez którą miał przejść tylko on.

— Moje uszanowanie państwu — rzekł od progu, a drzwi za nim zamknęły się bezszelestnie.

11
16.45, RCUS, prowizoryczny pokój przesłuchań

Śledczy byli wymęczeni. Nie rozumieli tutejszego żargonu. Zaburzało im to zarówno sam proces, jak i tempo przesłuchania. Ciągle musieli dopytywać o znaczenie słów, o procedury, system i przepływ pracy. Przesłuchiwani starali się im pomóc, jak tylko mogli, próbowali używać słów z języka ogólnego, odwoływali się do analogii, czego skutkiem było zwykle jeszcze większe niezrozumienie. Szczególnie trudne były zdania obwarowane wieloma zagnieżdżonymi warunkami „jeżeli” i „dopóki”. No cóż, inżynierowie nie byli lingwistami. Potrafili wyrazić swoje myśli w kilku językach komputerowych, ale nie potrafili tego zrobić w żadnym ludzkim. Skalski i Walczak z każdą godziną coraz bardziej doceniali Czerskiego, który pierwszy łapał, co przesłuchiwany miał na myśli, a czasem nawet potrafił to wytłumaczyć.

Robili właśnie krótką przerwę przed dwoma ostatnimi na dziś świadkami, kiedy tajemnicze urządzenie na stole rozświetliło się pomarańczowym pulsującym światłem i zagrało skoczną melodyjkę.

— Co to ma być? Telefon? To odbierz, młody! — Walczak skrzyżował ręce na piersi.

Czerski, nie bardzo wiedząc, co zrobić, dotknął pudełka i w tym momencie pomarańczowa linia zmieniła kolor na zielony i z głośnika popłynął głos:

— Dzień dobry panom oficerom! Tutaj biuro ochrony firmy. Mamy przygotowane rejestry wejść i wyjść oraz zapisy z monitoringu.

— Dziękujemy, zaraz ktoś po nie przyjdzie.

Zaoferował się Czerski, któremu właśnie skończył się notatnik. Wracając z biura ochrony, poszedł rozejrzeć się za czymś, na czym mógłby kontynuować. Ludzie skierowali go piętro niżej na odpowiednie

stanowisko. Materiałów biurowych było mnóstwo, ale i tak musiał zapisać w zeszycie, co wziął i dlaczego. „Ciekawe, kto to czyta?” — przeszło mu przez myśl. Zapytał o to osobę, która kazała mu złożyć podpis, ale ta nie wiedziała.

— Takie zarządzenie!

Czerski wzruszył ramionami. Próbował wrócić, ale zapomniał, z której klatki schodowej dotarł na to piętro. „Dwie klatki, mam pięćdziesiąt procent szans” wyliczył bezbłędnie i wybrał na chybił trafił. Obok była winda, z której wyszła uradowana czteroosobowa grupka, krzycząc:

— Niby jedno piętro, ale zaoszczędziliśmy aż cztery staff-floory!

Jeden trzymał kanapki, drugi pudełko z ryżem, trzeci kawę w porcelanowej filiżance, a czwarty różowe przewody. Przy drzwiach rozdzielili się i trójka poszła w lewo, a człowiek z przewodami w prawo. Czerski ruszył za nim. Gdy doszedł do swojego stanowiska, przykleił na białej tablicy żółtą karteczkę z napisem BLOCKED.

— Cholera, lab zamknięty! — pożalił się koledze, rzucając kable na biurko.

— Nie wiedziałeś? Od rana jest tam policja. Jakiś wypadek — odezwał się dwumetrowy drągal z gęstymi dredami na głowie.

— Szkoda, Predator, że nie powiedziałeś, jak schodziłem.

— Przecież nikt cię ze skóry nie obdarł. Na zdrowie ci wyjdzie.

— Słuchaj, słyszałem, że parę dni temu nie chcieli cię wpuścić do labu.

Grupa zarechotała. Długie dredy i słuszny wzrost faktycznie przypominały Czerskiemu postać z filmu ze Schwarzeneggerem. Widział go jako parolatek, a potem miesiącami bał się chodzić do parku, bo na każdym drzewie czaił się łowca krwawych trofeów.

— Taaa, ktoś wywiesił kartkę „Obcym wstęp wzbroniony!”.

— Ale im chodziło o nielegalnych imigrantów — bronił się nieudolnie nazywany Predatorem.

Czerski przeprosił i zapytał, skąd wziął takie przewody.

— W pudle przed laboratorium można pobrać. Trzeba się tylko wpisać — poinformował i popatrzył na kolegę. — Ale dzisiaj tam zamknięte, nie ma po co iść.

— Dzięki! — Czerski pokazał legitymację i poprosił: — Zaprowadzisz mnie?

W drodze spekulował: „Może zabójca też wpisał się przed zbrodnią, może ktoś go zapamiętał?”. Na miejscu poprosił administratora o piątkowy rejestr. Skalski by mu jednak nie wybaczył, gdyby coś przeoczył, dlatego poprosił o szybką inwentaryzację okablowania.

Kwaśna mina pracownika nie zmieniła jego losu. Przejrzał zapisy i stan pudła. Brakowało jednej sztuki.

— Niesłychane — rzekł administrator i pokręcił głową niedowierzająco. — Ktoś po prostu, ot tak sobie, wziął przewód i się nie wpisał!

„Szkoda” — pomyślał zrezygnowany Czerski. Walczak zaimponował mu zmysłem obserwacji i poczuł przyjemne mrowienie na myśl, że mógłby w iście sherlockowskim stylu wpaść na trop mordercy. Wtedy Skalski i Walczak nie traktowaliby go tylko jako łebka od komputerów. Spojrzał na drzwi do laboratorium i zapisał ich numer z dopiskiem „a) Szlak sprawcy(?) b) Pobranie przewodu”.

12
17.35, siedziba firmy AMOD

Dyrektor medialny kończył referowanie wyjątkowo nudnego tematu.

— …ostatnią akcją, jaką planujemy przeprowadzić, jest zasponsorowanie małego artykułu…

Przerwał na dźwięk dzwonka telefonu. Było to dla wszystkich obecnych dość nieoczekiwane, bo prezes Thomas Ives nie tolerował przerywania narad Rady Dyrektorów. Jeszcze bardziej nieoczekiwane było to, że dźwięk telefonu dochodził właśnie z jego marynarki. Ten, niczym niespeszony, nakazał gestem kontynuować przemowę, a sam wyciągnął aparat i nonszalancko odebrał.

— Tak?

Wysłuchał rozmówcy, nie zwracając uwagi na lekko poirytowanego przemawiającego. W końcu spytał:

— Możesz teraz przyjechać?… Świetnie.

Dyrektor medialny patrzył na niego wyczekująco.

— Przepraszam — zabrzmiało to bardzo nieszczerze. — Proszę kontynuować.

— Już skończyłem…

— Aha, OK, dziękuję, więc…

— Jaka jest pańska decyzja? — wszedł mu w słowo wciąż stojący dyrektor.

— Czy może pan sprecyzować swoje potrzeby? — rzucił automatycznie Ives, kompletnie nie rozumiejąc, czego dotyczy pytanie.

— Czy akceptuje pan ten ruch? — Dyrektor do spraw mediów zdawał sobie sprawę, że ignorując pytanie, zirytuje zwierzchnika. Nie lubił go, lecz właśnie znalazł świetną okazję do publicznego wyeksponowania, że prezes AMOD-u w momentach istotnych dla firmy bywa nie tylko rozkojarzony, lecz także niepoważny.

Przeliczył się.

— Aaa, to! Oczywiście, że akceptuję — rzekł prezes spokojnie. — Nie wiem, dlaczego szukałem w pana propozycji drugiego dna. Takie operacje są w pańskiej kompetencji, proszę z nich korzystać.

Dyrektor, czerwony jak burak, pacnął na fotel. Patrzył na niego spode łba. Ives zaś wzrok miał wbity w stół, ewidentnie coś rozważając. Jego sekretarz chrząknął.

— Panie prezesie, to był ostatni punkt dzisiejszej narady…

— Tak, wiem. Dziękuję wszystkim za przybycie. Proszę jeszcze o pozostanie panów ze ścisłego grona dyrekcji technicznej i marketingu. Pan… — spojrzał przeciągle na dyrektora do spraw mediów — pan również.

Dobór dyskutantów na nieplanowane spotkanie mógł świadczyć tylko o wściekłości prezesa na stan i tempo prac nad nowym systemem. „Ktoś zaraz straci posadę — pomyślało wielu opuszczających pokój — a ja za żadne skarby nie mam zamiaru jej objąć. To stanowisko ma kształt naostrzonego pala”.

— Czy mam protokołować tę naradę? — zapytał sekretarz.

— Nie, dziękuję za organizację. Proszę wprowadzić gościa, gdy tylko się zjawi. I proszę wezwać naszego prawnika, powinien być jeszcze w biurze.

— Oczywiście. — Sekretarz zamknął za sobą drzwi. Prezes też był całkowicie pewien, że w tej chwili stoi pod drzwiami i pilnuje, by nikt nie wrócił po telefon lub notatnik, których rzekomo zapomniał.

Dyrektor Marcus Gordon, zajmujący się technologiami użytkowymi, spiął się, jakby gotując się do walki. Ives zauważył to i uśmiechnął się w duchu. „Garnitur i najlepsze szkoły nie ukryją milionów lat ewolucji” — pomyślał. „Gdyby tylko dać mu teraz maczugę”. Te miłe rozważania przerwało mu przyjście starszego, dystyngowanego mężczyzny z kilkoma

złotymi sygnetami na palcach i w okularach w złotych oprawach. Główny prawnik AMOD-u. Ives natychmiast pogrążył się z nim w cichej rozmowie.

Niespełna dziesięć minut później drzwi się uchyliły i przeszła przez nie nieznana nikomu postać. Szary, doskonale skrojony garnitur dobrze komponował się z jasnoszarą koszulą i ciemnoszarym krawatem. Ciemne włosy przyprószone już były gdzieniegdzie siwizną, za bardzo delikatnymi okularami błyszczały szare oczy. Jedynym punktem przyciągającym wzrok był zegarek w szarej, matowej kopercie. Nienaganną figurę podkreślały ruchy sprężyste jak u kota. Wszyscy wstrzymali oddech, przyglądając się niespodziewanemu gościowi. Wątpliwe, by ktokolwiek był w stanie opisać jego wygląd następnego dnia. Ot, szary człowiek.

Prezes Ives osobiście przygotował rzutnik i podłączył do niego swojego laptopa.

— Niech panowie pozwolą, że nie przedstawię naszego gościa, ale dla wygody konwersacji nazwijmy go Konsultantem. Za chwilę zrozumieją panowie powody. Ta narada ma najwyższy stopień tajności, a potencjalny przeciek miałby katastrofalne dla wszystkich konsekwencje. — Przyjrzał się każdemu z osobna. Nikt nie odwrócił wzroku. — Uprzedzam również, że informacje tutaj ujawnione mogą budzić obawy natury etycznej… Dlatego też, jeśli któryś z was czuje się w tej sytuacji… niekomfortowo, powinien natychmiast opuścić to spotkanie.

Nikt nie drgnął. Niektórzy wręcz wczepili się w poręcze foteli, szczególnie Gordon. Obecność prawnika podpowiadała mu, że za chwilę otrzyma propozycję nie do odrzucenia. Mylił się.

Ives oddał laptopa nieznajomemu. Ten wsunął swojego pendrive’a. Okienko wymagające wpisania hasła wskazywało, że był zaszyfrowany.

— Panie prezesie, panowie dyrektorzy — zaczął nijakim, lekko sennym, niczym niewyróżniającym się głosem. — Od kilku lat próbujecie przejąć

lukratywny rynek z rąk RCUS-u. — Co bystrzejsi z uczestników spotkania zauważyli, że dziwny gość mówił o ich firmie w drugiej, a nie w pierwszej osobie.

Na slajdzie pokazał się mało emocjonujący i jeszcze mniej pocieszający wykres kołowy składający się z trzech części: RCUS-u, AMOD-u i reszty. Udziały rynkowe były powszechnie znane i na nikim nie zrobiły wrażenia. Niektórzy poczuli z tego powodu irytację.

— W trudnym świecie współczesnego biznesu — kontynuował Konsultant — kluczem do sukcesu stają się działania agresywne, toczące się na granicy prawa. Biorąc pod uwagę, że granice te często są nieostre i elastyczne, niektórzy mogą zinterpretować je jako ich przekroczenie…

— Dlatego na spotkanie zaprosiłem naszego prawnika — wszedł mu w słowo Ives.

Wywołany skłonił się, siedząc, a Konsultant przełączył slajd. Na ścianie pojawił się schemat ze zdjęciami, nazwiskami i strzałkami.

— Tak wygląda struktura organizacyjna RCUS-u w pionie zajmującym się systemem, który jest dla was solą w oku. Na czele całego działu stoi Maksymilian Szefler. — Zdjęcie dyrektora wypełniło czwartą część ekranu, obok pojawiła się notka biograficzna. — Bardzo młody jak na swoje stanowisko, świetne operujący ludźmi i projektami. Ma dobrą opinię zarówno rady nadzorczej, jak i prezesa Aivara. Ponosi główną odpowiedzialność za produkt od strony technologicznej. System, mimo pewnych trudności i opóźnień, może odnieść sukces.

Uderzył w klawisz i zdjęcie Szeflera zostało zastąpione innym.

— To Bernard Farney, dyrektor do spraw marketingu. Ma sprzedać produkt przygotowany przez pion Maksa Szeflera. Wspominam o nim raczej dla formalności, bo ze względu na wielkość i istotność kontraktu ostatnio pracuje on głównie z prezesem Gabrielem Aivarem.

Kolejne zdjęcie przedstawiało przeciętnej urody kobietę.

— Maura Zdowacka, główny architekt systemu. Mam informację, że to najlepszy architekt, jakiego RCUS miał od dekad. Genialny umysł, pracowita i mocno zaangażowana, techniczny guru. Formalnie podlega Szeflerowi, ale w praktyce jej pozycja jest konkurencyjna: ma ten sam obszar i siłę oddziaływania. Wraz z nią współpracuje kilkanaście zespołów — na ścianie pojawiły się na kilka sekund małe zdjęcia. — To ich liderzy. Każdego z nich można zastąpić. Jej nie.

Kolejne zdjęcie.

— Podwładni pani Zdowackiej są wymienialni, jednak niektórzy nie bez szkody dla terminowości i jakości produktu. Tworzą oni jądro systemu i kluczowe obszary jego działania. Jednym z nich jest Norman Weiss.

Szary człowiek przedstawił jeszcze kilka osób z zespołu Szeflera. Po tej prezentacji wrócił do ogólnego schematu:

— Mamy też pewne informacje na temat finansów RCUS-u. Firma siedzi na kredytach i jest, a raczej była, na granicy płynności finansowej. Sprzedaż produktów i usług jest głęboko poniżej planów. System, nad którym pracują, podobnie jak i wasz, jest bardzo drogi i został mocno niedoszacowany. Pewną winę ponosi też kontrahent, który zmieniał specyfikację w trakcie negocjacji, nie ma co wnikać w szczegóły. Ostatnio udało im się jednak wynegocjować bardzo korzystny kredyt na dalszą działalność, a ich prawnicy wygrali w sądzie sprawę przeciwko urzędowi skarbowemu, który naliczył nienależny podatek w okresie zmian przepisów. To daje im oddech finansowy. Próbują także wynegocjować przesunięcie terminu gotowości systemu w zamian za znacznie wyższe kary umowne, gdyby nastąpiło opóźnienie…

— Skąd pan ma takie informacje? Przecież to jest objęte tajemnicą umowy handlowej! — Nie wytrzymał któryś z dyrektorów.

— Moja praca polega na tym, by to wiedzieć. — Konsultant zakończył równie monotonnym głosem, jakim prowadził całą prezentację, i usiadł.

Prezes Ives przejął pałeczkę.

— Dziękujemy panu… Konsultantowi. Zdecydowałem się wtajemniczyć was z kilku powodów. Nieprzewidziany zastrzyk finansowy dla naszej konkurencji i sprzyjający im los jest groźny dla naszych żywotnych interesów. Pozwala im to na szersze pole manewru i łatwość ucieczki do przodu. A my nie możemy na to pozwolić. Musimy podjąć odważne, szybkie decyzje i wdrożyć takie działania, nawet te brutalne, które wytrącą im z rąk wszelkie atuty. Potrzebuję waszej pełnej uwagi, a zwłaszcza pomysłów, jak wykorzystać tę szczególną wiedzę, którą się z wami podzieliliśmy. Możemy zacząć od czegoś drobnego, jak choćby od informacji o wypadku w RCUS-ie — zawiesił głos. — Zdarzył się on w jednym z zespołów zajmującym się najgroźniejszym dla nas projektem. Czy zechce pan podać więcej szczegółów? — zwrócił się do Konsultanta.

Ten przebiegł kilka slajdów i zatrzymał się na jednym.

— Oto Norman Weiss, już o nim wspominałem. A to Henryk Diukiewicz, jego bezpośredni podwładny. Dzisiaj jeden z testerów z zespołu Diukiewicza uległ śmiertelnemu wypadkowi na terenie firmy. Policja prowadzi śledztwo wyjaśniające okoliczności tej nienaturalnej śmierci.

— Nienaturalnej? — ktoś się upewniał.

— Był młody, nie zmarł w łóżku, więc muszą się tym zająć. — Szary człowiek wzruszył ramionami.

— To otwiera pewną szansę — podjął temat prezes Ives. — W mediach muszą się pojawić artykuły tworzące odpowiednią atmosferę do zmiany wektorów inwestorów. Zaczniemy od dość neutralnej akcji medialnej. W środę, najpóźniej w czwartek, chcę zobaczyć w prasie artykuły o wypadkach w miejscach pracy. Inna gazeta ma napisać o nadgodzinach w

korporacjach. Nadgodzinach na granicy prawa. I poza granicami ludzkiej wytrzymałości. Marketing zaś — wycelował palcem w dyrektora do spraw marketingu — będzie musiał zintensyfikować prace nad klientem. Nasi handlowcy mają w trakcie rozmów zwracać uwagę, że renoma wielu uznanych firm została wypracowana zwykle wiele lat temu. Dziś panują w nich takie same warunki pracy jak w firmach nowoczesnych. Albo nawet i gorsze. No i jak bardzo cierpi prestiż firmy, robiącej biznes na krwi szeregowych pracowników.

Gordon do pomysłu podszedł znacznie mniej entuzjastycznie.

— Myślę, prezesie, że akcja medialna nie spełni pokładanych w niej nadziei. Już większy skutek ma ta śmierć, ale firmy zazwyczaj uwzględniają *bus factor* w swoich ryzykach — powiedział pewny siebie.

— To tylko pierwszy, mały krok człowieka. Natomiast od pana, panie Gordon, chcę czegoś więcej. Mając na uwadze lepszą płynność RCUS-u i znajomość ich organizacji pracy, chcę wiedzieć, jak wpłynie to na tempo wdrożenia i przygotowania produktu. Poza tym chcę poznać możliwości dostosowania naszych planów do tych przewidywań. Niech pan też zdefiniuje krytyczne potrzeby, by móc im dorównać.

Człowiek zwany Konsultantem nachylił się do Ivesa i coś mu szepnął do ucha, przekazując jednocześnie kartkę. Ten przejrzał ją, przeczytał pobieżnie i zmarszczył brwi. Po chwili wahania skinął delikatnie głową.

Konsultant znów zabrał głos.

— Powiedziałem, że RCUS wygrał sprawę o zwrot niepoprawnie naliczonego podatku. Wyrok jest w zasadzie niepodważalny, jednak z pewnych źródeł wiem, że RCUS nie pokazał wszystkich dokumentów finansowych w tej sprawie… — Przerwał, widząc zdumione spojrzenie prawnika. — Nie wiem, czy złamali prawo, skoro sąd ujawnienia tych dokumentów nie zażądał. Powinniście użyć wszelkich prawnych środków,

by nie dopuścić do uprawomocnienia się wyroku oraz do zmuszenia RCUS-u do ich upublicznienia.

— To zadanie dla działu prawnego — podsumował Ives.

— Nie możemy tak po prostu zażądać wydania ściśle tajnych dokumentów. — Prawnik rozłożył ręce w geście bezradności. — Jeszcze ktoś się zainteresuje tym, skąd my wiemy o ich istnieniu.

— Ma pan rację — zgodził się Konsultant. — To operacja bardzo delikatna i nie można jej przeprowadzić frontalnie, bo, jak pan słusznie zauważył, groziłoby to wam poważnymi konsekwencjami. Potrzebny jest jakiś pomysł, by to wyciekło, a was pozostawiało poza podejrzeniami.

— Czyli znów prasa — żachnął się prawnik. — Mówiąc wprost, potrzebny nam dziennikarz śledczy, najlepiej ktoś przy prokuraturze. Tylko oni mają prawo chronić swoje źródło informacji. Ale…

— Tak? — zachęcił go prezes.

— Dziennikarz z pewnością będzie chciał mieć jakieś dowody. Wiarygodne kopie albo wręcz oryginały tych dokumentów, które by upublicznił. Inaczej niczego nie napisze, nawet jeśli wyrazi jakieś zainteresowanie. Czy mamy takie możliwości?

— Zawsze trzeba być gotowym — podsumował filozoficznie Konsultant.

Ives nachylił się do niego i zasłonił usta, szepcząc:

— Panie Derek, mamy niepowtarzalną szansę na uderzenie z wielu stron. Nie możemy tego zmarnować.

— Są pewne szanse na sukces.

— Wyciek ściśle tajnych dokumentów finansowych… Musiałby pan mieć kogoś w dziale finansowym. I to bardzo wysoko.

Konsultant uśmiechnął się i odparł:

— Jak mówiłem, są takie możliwości.

Ives spojrzał na niego z uznaniem.

— A kto pójdzie do prasy z tymi papierami? — zapytał Gordon.

— Fakt. — Prawnik pokiwał głową, rozumiejąc wątpliwości dyrektora. — To nie może być nikt od nas, bo to wzbudzi jego niezdrowe zainteresowanie i zacznie drążyć, skąd mamy takie informacje. Ci ludzie są bardziej dociekliwi i upierdliwi niż policja. Najlepiej, gdyby to był ktoś z RCUS-u.

— Spróbuję i to załatwić — zaproponował Konsultant. — Potrzebuję tylko waszej zgody i… budżetu na tę operację.

Ives skinął głową i głośno zwrócił się do obecnych:

— Czy jest jasne dla wszystkich, co mają robić?

Milczenie oznaczało potwierdzenie.

— Jak powiedziałem — prezes Ives wstał, co wskazywało na to, że zebranie dobiega końca — to tylko początek. Oczekuję od was przede wszystkim propozycji, jak wpłynąć na RCUS od zewnątrz i od wewnątrz, by mu jak najbardziej zaszkodzić. Jeżeli potrzebujecie dodatkowych informacji, nasz Konsultant jest do dyspozycji.

Rozdział 2

Dzień sprintu 2/10. Wtorek

1

Za oknem już świtało, kiedy Czerski wyciągnął ciepłe kartki ze starej drukarki laserowej kupionej jeszcze na pierwszym roku studiów. Wiedząc, że Skalskiego i Walczaka odpycha praca z komputerem, przygotował dla nich papierową wersję podsumowań swoich internetowych poszukiwań. Jeszcze raz rzucił okiem na tekst, mając nadzieję, że zainteresuje nim przełożonych.

RCUS, czyli Rational Computer Utilities Systems, był na wskroś amerykańską firmą o ponad półwiecznej historii, typowym przykładem spełnienia amerykańskiego snu. Został założony przez dwóch zdolnych inżynierów z Bell Telephone Laboratories, podwładnych Johna Bardeena i Waltera Brattaina.

Obiektywnie patrząc, założycieli RCUS-u cechowała małostkowość i zwykła chciwość. Przez prawie pięć lat pracowali nad praktycznym zastosowaniem półprzewodników, a kiedy w 1950 roku firma Bell zaprezentowała tranzystor bipolarny, uznali, że ich udział w tym przełomowym wynalazku był mocno niedoceniony. Obrazili się więc na firmę i rok później założyli własną, mając zamiar opracowywać urządzenia elektroniczne pracujące na tranzystorach półprzewodnikowych. Firmę nazwali Rational Computed Utilities Systems i o mało nie zbankrutowali.

Projektowanie i produkcja urządzeń okazały się znacznie łatwiejsze niż ich sprzedaż. Przez pierwsze dwa lata działalności firma przynosiła ogromne straty. Świat jednak potrzebował nowoczesnej elektroniki. Do

RCUS-u zwróciły się władze miasta zainteresowane wykonaniem dla nich systemów łączności pracujących z możliwie małymi aparatami tranzystorowymi, które zastąpiłyby niezmiernie ciężkie i nieporęczne urządzenia lampowe. To pozwoliło firmie w miarę bezpiecznie przetrwać kolejnych kilka lat i zdobyć doświadczenie na nowo rozwijającym się rynku zbytu.

W 1956 roku ich byli szefowie z Bella, wraz z trzecim, Williamem Shockleyem, za skonstruowanie tranzystora bipolarnego otrzymali Nagrodę Nobla. Kiedy rozniosło się, że w Kalifornii działa firma założona przez współpracowników noblistów (tak się przedstawiali, o powodach rozstania opinii publicznej już nie informowali) i ma pewną renomę w kręgach władz stanowych, zamówienia na sprzęt tranzystorowy posypały się jak króliki z rękawa iluzjonisty.

RCUS z trudem panował nad swoim rozwojem. Liczba zamówień przekraczała zdolności projektowe działów rozwojowych i możliwości produkcyjne. Nie chcąc chwytać wszystkich srok za ogon, postanowiono, że firma zostanie oparta na niezawodnych systemach łączności — takich, jakich wymagały najróżniejsze służby stanowe, federalne i wojskowe. Wtedy też po raz pierwszy zmieniono nazwę firmy na Rational Connected Utilities Systems.

Kontrakty rządowe i wojskowe zapewniły RCUS-owi górę pieniędzy. Rząd czy wojsko nie mogły zbankrutować, zawsze były wypłacalne. Nie płaciły też swoimi pieniędzmi, ale pieniędzmi podatników. Wszystkie te czynniki gwarantowały pewne i duże wpływy. Warunki były tylko dwa: systemy mają być niezawodne i dostarczane na czas. I były. A każdy udany kontrakt był zapowiedzią kolejnego. Oczywiście pojawiła się konkurencja, ale mogła ona zagrozić RCUS-owi wyłącznie na lokalnych obszarach. Im większy był kontrakt, tym bardziej pewne było, że zajmie się nim RCUS.

Renoma firmy dotarła też do Europy. Tutejsze instytucje rządowe również potrzebowały nowoczesnych i niezawodnych rozwiązań. RCUS otworzył swoje przedstawicielstwa w największych krajach Europy Zachodniej. Europejscy klienci chcieli mieć systemy działające w ich językach narodowych, zaczęto więc tworzyć lokalne centra rozwojowe, początkowo jako skromne biura zatrudniające kilkunastu pracowników, a później przejmujące coraz więcej projektów. Przeniesiono również część fabryk. Szybko się okazało, że pracownicy w wielu krajach Europy są znacznie tańsi niż w USA.

Ten szczęśliwy układ trwał mniej więcej do początków lat osiemdziesiątych. Firma opracowywała nowe rozwiązania, wprowadzała na rynek wysoko specjalizowany sprzęt, budowała własną infrastrukturę i zdobywała coraz większy kawałek tortu. W końcu jej rozrostem zainteresował się urząd antymonopolowy, ten sam, który kilkanaście lat później nakazał podział Microsoftu.

Pierwsze potknięcie było tylko potknięciem. Mając niezagrożoną pozycję na rynku, przeoczono upublicznienie przez IBM specyfikacji komputera osobistego. Po prostu to zignorowano, nie widząc w nim zastosowania we własnej branży. Wówczas do jednego z założycieli RCUS-u, będącego już na w pełni zasłużonej emeryturze, poszedł młodzieniec zafascynowany możliwościami urządzenia typu IBM PC. Oto mamy, argumentował, urządzenie uniwersalne, sprzęt, który będzie w stanie zastąpić każde inne urządzenie elektroniczne. Wystarczy tylko napisać na niego odpowiedni program. A komputery można łączyć w sieci, projekt ARPANET działa już od roku 1969. Według młodego fascynata połączone w sieć tanie, uniwersalne komputery wykonujące uniwersalne programy będą przyszłością łączności.

Udało się. Założyciel RCUS-u swoim autorytetem i majątkiem nakłonił zarząd do rozpoczęcia prac nad nowymi technologiami sieciowymi. Kiedy sieć stała się powszechna, firma była już na nią gotowa i z ufnością patrzyła w przyszłość. Chcąc podkreślić swoje panowanie nad zmieniającym się światem, ponownie zmieniła nazwę, tym razem na Rational Computer Utilities Systems.

Przyszłość nie okazała się łaskawa. Nowe technologie i protokoły wymiany danych dawały mniej więcej równe szanse wszystkim zainteresowanym. Monopolistyczna pozycja RCUS-u stała się nieoczekiwanie jego kulą u nogi. Dotychczasowi klienci, czyli głównie instytucje rządowe, były bardzo zadowolone z doskonale działających, obecnie stosowanych rozwiązań i nie widziały potrzeby ich wymiany na inne, tym bardziej że po kryzysie gospodarczym z lat osiemdziesiątych zaczęto oglądać z uwagą każdego dolara wydawanego z publicznych pieniędzy.

Kolejną kłodę pod nogi świetnie prosperującego przedsiębiorstwa rzuciła nowo powstała Unia Europejska. Kraje członkowskie chciały dla swoich służb doskonałych i zintegrowanych systemów, ale nie chciały wspierać amerykańskiego monopolu. RCUS zareagował na to podziałem firmy na część amerykańską i europejską, z całkowicie odrębnymi osobowościami prawnymi, ale wspólnymi technologiami.

Byli też potencjalni nowi klienci, zdecydowanie mniejsi i mniej prestiżowi. Ci z kolei oczekiwali szybkich efektów po możliwie najniższych kosztach. RCUS, gigantyczny moloch, nie był w stanie konkurować na tym polu z nowo powstałymi firmami. Wszystkie te młode firmy nie miały gigantycznego garbu, jakim dla RCUS-u było utrzymywanie wciąż działających, ale mocno już przestarzałych systemów.

Jedną z nich był AMOD — Advanced Mobile Operation Devices. Skupiony na wąskim rynku małych i średnich firm oferował bardzo tanie systemy pracujące na zwykłych komputerach osobistych podłączonych do sieci. Łączność z użytkownikami w terenie zapewniały, wbrew nazwie firmy, bardzo proste urządzenia bezprzewodowe produkowane tanio w Chinach. Prosty software, małe możliwości i niska cena to było to, czego oczekiwało wielu komercyjnych klientów.

Konkurent pierwszy też wykorzystał zalety globalizacji. Główna siedziba firmy i dział prawny były w Europie, a praktycznie wszystkie ośrodki rozwojowe i produkcyjne rozsiano po całym świecie, od obu Ameryk po Azję.

AMOD przebojem wdarł się na rynek i z tego tortu wykroił dla siebie spory kawałek. Kiedy miał już ugruntowaną pozycję, stworzył na Europę systemy będące w stanie współpracować z produktami RCUS-u. Współpraca taka była wymuszona przez europejskie prawo i dotyczyła tylko kluczowych funkcji, takich jak prowadzenie rozmów czy łączność alarmowa, ale okazało się, że wiele instytucji jest chętnych do kupna tanich urządzeń korzystających z nadal niezawodnie działającej infrastruktury zbudowanej przez RCUS.

Patrząc na same udziały rynkowe, nikt nie postawiłby na AMOD złamanego centa. Ale już analiza trendów pokazywała jasno, że RCUS z roku na rok tracił swoją przewagę właśnie na rzecz AMOD-u.

2
6.45, komenda policji, biuro inspektora Skalskiego

Jak zwykle Skalski był w pracy przed wszystkimi. Wstawał wcześnie, w pustym domu nie miał co robić, więc jeździł na komendę, gdzie w zaciszu

swojego gabinetu mógł uporządkować bieżące sprawy.

Zimny poranek i mżawka nie nastroił go pozytywnie. Kiepski nastrój Skalskiego jeszcze się pogorszył, gdy przywitał go stos akt piętrzących się na biurku w jego pokoju. Z obrzydzeniem odsunął dokumenty jak najdalej na skraj biurka, a następnie podniósł ukrytą w gąszczu papierów szklaną statuetkę z zatopionym w środku płatkiem róży. Wytarł rękawem powierzchnię z kurzu i przybliżył statuetkę do okna. Na jej dolnej części mienił się dumnie wygrawerowany napis: „By zawsze dążyć do celu”.

Odłożył pamiątkę na biurko i rozejrzał się po pomieszczeniu. Było dziś wyjątkowo przygnębiające. To znaczy zawsze takie było, ale dzisiaj wywoływało szczególnie smutne uczucia. Metalowe szafki pełne starych spraw podpierały pożółkłe ściany, a jedyne umeblowanie stanowiło biurko z dwoma krzesłami. Okno pomieszczenia wychodziło na północ, co sprawiało, że zawsze panował w nim półmrok.

Skalski swój dzień tradycyjnie zaczynał od kawy, która pozwalała mu jakoś przecierpieć pierwsze minuty w pracy — jednak tym razem nawet kawa smakowała paskudnie. Zastanawiał się, kiedy ostatnio czyścił elektryczny czajnik stojący w rogu, ale w końcu machnął ręką. Posłodził podwójnie i nie wyjmując łyżeczki z kubka, upił łyk. Skrzywił się. Czuł, że zaczyna go boleć głowa — odszukał więc w szufladzie biurka aspirynę, łyknął i przymknąwszy oczy, rozsiadł się w fotelu. Sięgnął po raport koronera. Wolał na razie poczytać o kimś, kto w tej chwili ma gorzej od niego:

Stan zwłok wskazuje, że śmierć nastąpiła 48–60 godzin przed ich znalezieniem. Wskazują na to:

- *tkanka podskórna lekko przesiąknięta barwnikiem krwi,*
- *ustępujące stężenie pośmiertne,*
- *zmatowienie powierzchni rogówki przy zamkniętych oczach,*

• widoczne zabarwienie podbrzusza koloru zielonkawego.

Układ plam opadowych świadczy o nieprzenoszeniu zwłok.

Trzeba zaznaczyć, że ustalenie momentu śmierci na podstawie stanu zwłok jest jedynie formalnością, ponieważ technicy zabezpieczyli dowody znacznie dokładniej określające moment śmierci. Zgodnie z raportem z systemu wejść i wyjść śmierć nie mogła nastąpić przed godziną 19.14. Telefon ofiary miał kilka nieodebranych połączeń, pierwsze o godzinie 22.47.

Rzucił okiem na zdjęcia, pobieżnie przeleciał wzrokiem szczegółowe informacje o zastosowanych metodach i przeprowadzonych analizach. Skupił się na wnioskach.

Na ciele denata znaleziono następujące obrażenia mogące się przyczynić do śmierci:

1. Rozległy uraz czaszki w lewej części potylicy. Ranę zadano tępym i elastycznym narzędziem o okrągłym lub owalnym kształcie, przypominającym miękką policyjną pałkę.

2. Rozległy uraz wokół szyi, powstały w wyniku zadzierzgnięcia przewodu. Zaciśnięty przewód spowodował zmiażdżenie krtani, odcięcie dopływu powietrza do płuc i zaciśnięcie tętnic szyjnych. Była to bezpośrednia przyczyna śmierci.

3. Otarcie i zsinienie na karku, pochodzące od bardzo dużego, miękkiego ciała, prawdopodobnie kolana.

Z lewej strony pleców, pod siódmym żebrem, znaleziono ranę kłutą, przebijającą serce. Pchnięcie zadano po śmierci, kiedy serce nie pompowało już krwi. Charakter rany wskazuje, że zadano ją ze zbyt małą siłą, by ostrze dotarło do serca. Napastnik, nie wyjmując ostrza, zmienił wówczas nieco kierunek i pchnął ponownie.

Nie stwierdzono innych ran, sińców czy zadrapań, co świadczy, że ofiara nie walczyła o życie. Najprawdopodobniej została ogłuszona uderzeniem w tył głowy, co spowodowało utratę przytomności. Zanim upadła, sprawca złapał ją i położył na podłodze. Leżącej ofierze sprawca zadzierzgnął na szyi przewód elektryczny, po czym docisnął kolanem, doprowadzając do uduszenia. Następnie sprawca wbił ostrze w serce denata.

Skalski westchnął ciężko, czując, że musi w końcu lepiej poznać ofiarę, i otworzył jego akta.

Nikodem de Bugaj od zakończenia studiów pracował w korporacji RCUS. Początkowo był zwykłym deweloperem — jak mu wyjaśnił Czerski, nie oznaczało to kogoś związanego z budowlanką, ale zwykłego programistę.

Skalski nie bardzo wiedział, dlaczego tego samego słowa używa się na określenie tak różnych zawodów. Przestał się jednak dziwić, kiedy poznał wiele podobnych przypadków. Na przykład buildować, oznaczające tyle co zbudować, w świecie komputerowców, jak ich w myślach określał, oznaczało też wciśnięcie kilku klawiszy na klawiaturze, wpatrywanie się w ekran i zwyczajowe zakończenie tego dziwnego rytuału przekleństwem. Czerski wyjaśnił, że proces ten polega na tym, że komputer buduje całe oprogramowanie, łącząc elementy stworzone przez wszystkich uczestników projektu, przekłada to na kod zrozumiały tylko przez maszyny i sprawdza, czy to na pewno działa. A ponieważ zazwyczaj nie funkcjonowało wedle oczekiwań, stąd wywodziła się ta ekspresja komputerowców, pardon, deweloperów.

Kolejnym trudnym słowem bezpośrednio związanym z bohaterem jego rozważań było debugowanie. Dawniej zwano to odpluskwianiem. Po tym wyjaśnieniu był równie mądry co przedtem. Na szczęście pomocny Czerski zauważył oznaki zagubienia i wyjaśnił, że chodzi o bardzo szczególny

sposób znajdowania i usuwania błędów w programie. Skalski przetarł czoło i wczytał się uważnie w pozostałą część notki biograficznej, opisującą szczegółowo edukację, karierę zawodową i życie rodzinne de Bugaja.

W jakiś niepojęty sposób jego myśli przeniosły się w zupełnie inne miejsce. Oczy przesuwały się po literach raportu, ale mózg już ich nie rejestrował. Powróciły wspomnienia, jakieś dawno nieodwiedzane obrazy…

***

Tak, Piotr Skalski kochał swoją pracę, choć oczywiście była to teraz miłość dojrzała, a nie młodzieńcze zauroczenie. Nadal wyraźnie pamiętał swój pierwszy dzień służby. Przepisowo umundurowany, z dumą zameldował się na posterunku i otrzymał swoje pierwsze zadanie — nocny patrol po osiedlu. Wykonał je z entuzjazmem, który wzbudził powszechną wesołość wśród starszych kolegów. Wróżyli mu szybką karierę: już za dwa lata będziesz patrolował ulice za dnia — podśmiewali się — a po kolejnych pięciu, to kto wie, może nawet samochód dostaniesz. Nie zrażał się docinkami, bo życie zdążyło go już utwardzić. To była praca jego marzeń.

Miał może sześć lat, kiedy w jego życiu nastąpił prawdziwy przełom. Do tego momentu jego dni i noce wypełniał strach. Strach przed wiecznie pijanym, agresywnym ojcem. Z zewnątrz stanowili rodzinę doskonałą. Nie byli zamożni, ale biedy też nie klepali. Matka zajmowała się wychowywaniem jego i dwóch młodszych sióstr bliźniaczek. Ojciec był mało znaczącym kierownikiem w jakimś państwowym zakładzie. Został awansowany na to stanowisko, bo rzekomo świetnie sobie radził z ludźmi. W domu też…

Po odbębnieniu swojej kierowniczej pracy, która polegała na terroryzowaniu robotników wrzaskiem bądź groźbą wyrzucenia na bruk,

chętnie wpadał z podobnymi do siebie kolegami na jednego głębszego. Jak mawiał z uśmiechem, na trzeźwo z takim motłochem się nie da. A kiedy wracał do domu napruty, matka zamykała się z dziećmi w małym pokoiku. Wiedzieli, że muszą być cichutko, bardzo cichutko… Modlili się wtedy bezgłośnie. Czasem przynosiło to skutek, ojciec zwalał się do łóżka i spał do rana. A czasem nie… Wtedy szukał ich po całym domu, krzycząc, jak bardzo ich kocha i chce przytulić swoje cudowne dzieci. Łomotał w każde napotkane drzwi, wygłaszał przed nimi monologi o swoim poświęceniu dla nich, prowadził tyrady na temat matki, co zrujnowała mu życie, a potem płakał i przepraszał, obiecując poprawę.

Raz w matce coś pękło i nie wytrzymała. Ucałowała płaczące bliźniaczki i otworzyła drzwi. Ojciec o mało się nie przewrócił, wpadając do pokoju, bo ledwo stał na nogach. I wtedy, pierwszy raz w życiu, wygarnęła mu, co o nim myśli. Nie przebierała w słowach, a cała jej pokora i strach gdzieś zniknęły. Tamten słuchał ogłupiały przez długą chwilę. Nie docierało to jednak do jego zamulonej głowy. Gdy tak patrzył na żonę coraz szerzej otwartymi oczami, nagle, bez ostrzeżenia, zamachnął się i wierzchem dłoni uderzył ją w twarz. Poleciała do tyłu, uderzyła głową o szafę i zsunęła się na podłogę. Zakryła dłonią głowę w miejscu uderzenia. Spomiędzy palców przeciekły strużki krwi.

***

— Szefie, śpisz? — Ze wspomnień dzieciństwa wyrwało go szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy i spojrzał na Walczaka. Świdrujące spojrzenie policjanta do reszty przebudziło inspektora.

— Szef nigdy nie śpi. Szef regeneruje siły. Co jest?

— Mieliśmy omówić znalezione ślady i kontynuować przesłuchania…

— Tak mówisz? — mruknął Skalski, zrywając się z krzesła. — No, czeka nas trochę roboty. Ale po kolei, powiedz mi na początek…

Pukanie do drzwi przerwało mu w połowie zdania. Do pomieszczenia wszedł Czerski i ukłonił im się grzecznie — nagle Skalski zdał sobie sprawę, że trzeba zrobić odprawę, zapoznać ze sprawą całą ekipę i omówić wszystkie sprawy bieżące. Spojrzał na zegarek i zrozumiał, że ma w zapasie najwyżej pięć minut. Rozkazał przygotować wszystko, co do tej pory zdołali zebrać w sprawie, i wezwał cały zespół.

3
8.45, komenda policji, pokój odpraw

Skalski oddawał głos kolejno funkcjonariuszom odpowiedzialnym za poszczególne sprawy. Nie było tego wiele, nic specjalnie wymagającego. Znał je z grubsza wszystkie i dlatego po tym, jak przekartkował wydruki Czerskiego, bezwiednie odpłynął myślami do wydarzeń dnia poprzedniego — do rozmów z kierownictwem i pracownikami.

Było to znacznie ciekawsze, bo, jak wiadomo, przesłuchania bardzo często wzbudzają całą gamę emocji. Ale już taka analiza chłodnych danych, całego zbioru informacji i dezinformacji to przekleństwo. Wymaga mozolnej pracy analitycznej i ogromnej determinacji, by nie ugiąć się przed jej nadmiarem lub wewnętrznymi sprzecznościami i wybrać to, co ważne, a pominąć rzeczy nieistotne. W całym tym zgiełku najtrudniej jest nie odrzucić istotnego szczegółu, detalu, który może mieć znamienne znaczenie dla sprawy. Co gorsza, trzeba to zrobić odpowiednio wcześnie, inaczej śledztwo idzie na szerokie pola spekulacji.

Dzień wcześniej przesłuchano tylko najbliższych współpracowników de Bugaja. Siedem osób, włączając Kiliana Osika i szefa projektu

Diukiewicza.

Z chaosu całościowego przekazu wyłonił się jeden wspólny wzorzec. Cała piątka wskazała na szefa zespołu jako na osobę terroryzującą podwładnych, wręcz lubującą się w zadawaniu cierpienia. Najlepszym patentem było wyznaczanie niewłaściwych ludzi do niewłaściwych zadań. Zamęt, który tym powodował, wywoływał zwątpienie we własne siły i umiejętności, zwiększał podatność na manipulację i akceptację kolejnych niezrozumiałych, niedoprecyzowanych zadań.

„Nie mnie osądzać rzeczy, na których się nie znam” — pomyślał Skalski. „Czy ktoś z zespołu nie wytrzymał i targnął się na życie kolegi? Ale dlaczego nie bezpośrednio na menedżera?” Nikt z nich jeszcze nie wie, że to było zabójstwo. Na razie łyknęli bajeczkę o dochodzeniu w sprawie zbadania okoliczności nieszczęśliwego wypadku. „Czas zebrać grupę, pomyśleć, wysunąć hipotezy i coś, do cholery, zaplanować”. Postanowił podejść do analizy metodycznie.

Ostatni z funkcjonariuszy zakończył swoje krótkie podsumowanie. Nadszedł czas na omówienia ich najświeższej sprawy. Doskonale wiedział, że wszyscy na to czekają i są tym ogromnie zainteresowani. Zwłaszcza że zajmuje się tym osobiście ich inspektor.

— Przypomnij fakty, Walczak. — Skalski oparł się ramieniem o framugę okna. Nie chciało mu się robić wprowadzenia, więc skierował uwagę od razu na konkrety, i do tego wyręczył się komisarzem.

— Ustaliliśmy, że do zabójstwa doszło pomiędzy godziną dziewiętnastą a dwudziestą w piątek. — Walczak otworzył swój służbowy notatnik na stronie oznaczonej wytartym i pożółkłym rachunkiem ze sklepu. Czerski był gotów się założyć, że z monopolowego. — Denata, Nikodema de Bugaja, znaleziono w poniedziałek około godziny siódmej dziesięć w pomieszczeniach korporacji RCUS. Wstępny raport mówi o tym, że de

Bugaj najpierw został uderzony długim i wąskim przedmiotem, który spowodował pęknięcie czaszki, a następnie duszono go kablem, na co wskazuje struktura ran szyi, wybroczyny podspojówkowe i pod opłucną. Uduszenie było bezpośrednią przyczyną śmierci. Na końcu ugodzono go od tyłu, jeden raz, długim narzędziem z ostrzem obustronnym, o długości około 15 centymetrów… — Walczak przerwał, poślinił palec i przewrócił kartkę. — Ważne: prócz kabla żadnych innych narzędzi nie znaleziono. Ślady krwi to pojedyncza kałuża, wykrwawiał się już po utracie przytomności. Sprawca nie zostawił żadnych wyraźnych śladów biologicznych, żadnych innych wydzielin. W każdym razie ofiara zachowała dziewictwo — powiedział, rechocząc. — Technicy znaleźli trochę odcisków palców, niektóre już zidentyfikowano…

— Tak szybko? — zdziwił się Skalski, odwracając do Walczaka.

— Wszyscy pracownicy mają obowiązek posiadania paszportu.

— Dobra, wrócimy do tego. Przepraszam, wyrwałem cię z ciągu.

— Dzięki szefie, o czym to ja mówiłem, a tak… nie piję już od… aaa, to nie ten ciąg… Pchnięcie nożem wykonano od tyłu z lewej strony, w okolice serca, nieznacznie je przebijając. Koroner twierdzi też, że był to jeden cios, ale jakby z dopchnięciem. Uderzenie z lewej strony wskazuje na mańkuta. — Walczak z trzaskiem zamknął swój notatnik, dając do zrozumienia, że to już wszystko.

— Tak jest. To dobrze, to bardzo dobrze. Leworęcznych jest znacznie mniej, krąg podejrzanych się zawęzi… — Skalski przerwał i wbił w Czerskiego czujne spojrzenie.

— A ty? Masz coś z monitoringu i z rejestru wejść i wyjść?

— Tak jest. Zacznijmy od tego, że RCUS to bardzo nowoczesna firma. — Młody zajrzał do swoich notatek. — Oprócz zwykłego monitoringu wszystkie ważne drzwi i pomieszczenia otwierają się na elektroniczne karty

dostępu. Też takie wczoraj dostaliśmy. Każdy pracownik musi posiadać taką kartę. Każde jej użycie jest monitorowane w systemie ochrony. To pozwala ustalić, kto i gdzie przebywał danego dnia. Problemem jest liczba pracowników. RCUS we wszystkich swoich budynkach w tym miejscu zatrudnia ich, uwaga, ponad dwa tysiące trzystu!

— O kur… — wyrwało się Walczakowi. — Toż to całe miasto!

— Na szczęście nie jest tak źle. Nie wszyscy pracownicy mają dostęp do wszystkich miejsc. Na przykład do laboratoriów, zwanych w tamtejszym żargonie labem, dostęp ma tysiąc siedmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi…

Walczak wywrócił oczami.

— No niech tam! Strasznie nam to pomogło…

— Walczak, pozwólmy mu skończyć…

Czerski z wdzięcznością skinął głową.

— Pozostali to pracownicy kadr, reklamy, finansów, służb pomocniczych itp. Oczywiście liczba będzie się zawężać, i to znacząco. Po pierwsze, myślę, że możemy wykluczyć kobiety. Trzeba mieć sporo siły, żeby utrzymać dorosłego mężczyznę na kablu jedną ręką, a drugą zadać jeden mocny cios, który sięgnie serca. W korporacji, na interesujących nas stanowiskach, aż piętnaście procent stanowią kobiety.

Walczak był zszokowany.

— Aż? Aż? Czy to jest jakaś kopalnia, że jest tam tyle bab?

— Raczej seminarium duchowne — zakpił ktoś z sali.

Czerski, niezmieszany, ciągnął wywód:

— Wykluczyłem także osoby na urlopach, zwolnieniach lekarskich, tacierzyńskich oraz będących w delegacjach albo pracujących z domu. Tych ostatnich jest całkiem sporo.

— Dobrze, ile mamy w sumie?

— Tysiąc siedemnastu.

Skalski westchnął ciężko.

— Ale to nie wszystko. Tysiąc siedemnastu to liczba tych, którzy w piątek byli w pracy i mogli wejść do labu. Dziewięciuset siedemdziesięciu wyszło z pracy przed dziewiętnastą, system zanotował ich na zewnętrznej bramce. Zostaje więc tylko czterdziestu siedmiu. Trzynastu z nich wchodziło do labu.

— No i od tego trzeba było zacząć! — ryknął radośnie Walczak. — Trzynastu to my tutaj przerobimy w czterdzieści osiem godzin, jak ustawa przewiduje! Oto komputery pożrą komputerowców! *Mors certa, hora incerta!* [1]

Skalski i Czerski spokojnie przeczekali ten wybuch niekontrolowanego optymizmu. Mimo że Czerski nie znał dobrze Walczaka, to znał ludzi jego pokroju. Wiedział, że lepszy jest atak entuzjazmu niż frustracji.

— A co z monitoringiem? — spokojnie zapytał Skalski. — Warto iść tym tropem?

— Dopiero dzisiaj będziemy w stanie przejrzeć jego zapisy. Potrzebujemy do tego odpowiednich dekoderów… to znaczy sprzętu. Rozmawiałem już z technikami, nie ma problemu, przygotują nam wszystko jeszcze przed południem. — Dumnie wypiął pierś.

— No trudno, poczekamy z tym. — Skalski nieznacznie się skrzywił. — Morderca nie zając, nie ucieknie… Czerski, kiedy będziesz przeglądał nagrania, spróbuj je dopasować do tych wejść i wyjść. Kogo nie będziesz w stanie zidentyfikować sam, zrób zdjęcie. Potem pojedziesz do firmy. Masz ustalić każdego, kto się przewinął przez te ich laboratoria. Ale to pewnie jutro. Dobra robota, młody! — uśmiechnął się z uznaniem. Przez chwilę sprawiał wrażenie, że chce go poklepać po plecach.

— Dobra robota — potwierdził Walczak.

— Punkt drugi. Ślady butów. — Skalski przeszedł do kolejnego punktu zebrania. — To była akurat moja działka… Technicy porobili zdjęcia w różnych spektrach i mikrofotografie najbardziej podejrzanych miejsc, ale nasz ekspert od traseologii pojechał na urlop. Chłopaki mówią, że zrobią, co mogą, a zdjęcia wyślą do innego laboratorium kryminalistycznego. Na razie zajęli się innymi śladami. Musimy poczekać dwa, trzy dni. I tyle z tego teraz mamy. Co z tymi odciskami? Walczak, wspomniałeś coś o paszportach.

— Zgadza się. Nasze laboratorium wysłało odciski do Centralnego Rejestru Paszportowego. Na denacie i w pobliżu zidentyfikowało odciski należące do prawdopodobnie kilkunastu, może nawet dwudziestu kilku osób. Najwięcej było na samych urządzeniach, wiele już zatartych. Podobnie na kablach. Widocznie sprzątaczki tego nie myją. Kilka bardzo wyraźnych odcisków było na ochraniaczach uszu, trochę na stelażach.

— A na karcie dostępu? — zapytał Czerski. — Morderca zdjął ją z szyi ofiary.

— Tylko odciski de Bugaja.

— Mówiłeś, że część odcisków już zidentyfikowano dzięki Biuru Paszportowemu.

— Mieli wysłać komplet informacji z samego rana. Zaczynają pracę o dziewiątej, więc lada chwila powinniśmy to dostać.

Skalski coś zanotował.

— Ślady na kablu z szyi denata? — rzucił pytanie.

— To akurat ciekawe i musimy poddać wnikliwszej analizie. — Walczak zaczął się bujać na krześle. — Są na nim tylko te pozostawione przez de Bugaja. Żadnych innych, jakby kabel był oczyszczony przed działaniem sprawcy. Gantiskopia również niczego ciekawego nie wykazała. Sprawca użył typowych lateksowych rękawiczek. Musiały być świeżo wyjęte z

opakowania, nie zarejestrowano żadnych charakterystycznych zanieczyszczeń. Przebadają również włókna samego przewodu, bo izolacja musiała się poddać naprężeniu, zdeformować, i dzięki temu określimy zarówno siłę sprawcy, jak i wielkość dłoni. Chociaż co do tego opinie fachowców są podzielone.

— W porządku. — Skalski odhaczył kolejny punkt. — Ślady biologiczne?

Walczak przewertował kartki.

— Bida. Czysto, wręcz sterylnie. Wszystkie próbki krwi pobrane z różnych miejsc pochodzą od ofiary. Za paznokciami denata w miarę czysto, w każdym razie żadnego naskórka. Nie bronił się, nie ranił napastnika, nie podrapał go.

— Włosy?

— Coś znaleźli, nawet na ubraniu denata. Poszło już do polimerazy DNA. Wyniki będą jutro po południu.

— OK. Ostatni punkt. Ślady zapachowe?

— Gówno zebrali. To znaczy… gdyby chociaż gówno zebrali, to byłoby świetnie. Tam są takie przeciągi i nadmuch klimatyzatorów, że nie zarejestrowali nic podejrzanego. Nawet mój nektar — Walczak złapał się za flaszeczkę — ledwo im się pojawił, a stałem tuż obok olfaktometru.

— Rozumiem… A komendant oczekuje wyników… Plan na dziś… — Skalski przewrócił kartkę w notesie i zaczął notować. — Czerski, idź do naszych techników, dowiedz się, kiedy będą gotowi ze sprzętem do odtwarzania filmów. Przywiozłeś je z ochrony?

— Tak. — Ten pomachał mu pendrive’ em.

— Zajmij się nimi, jak wrócisz z ich kadr. Przejrzymy filmy i skorelujemy je z rejestrami. Zakładam, że ktoś, kto tak umiejętnie zaciera ślady, raczej nie odbił swojej karty, więc będziemy potrzebować do

identyfikacji kogoś z przedsiębiorstwa. Może rozpozna podejrzanego po sylwetce, ubraniu, fryzurze. Musimy mieć jakiś punkt zaczepienia. Na przykład kogoś, kto nie miał powodu wchodzić do laboratoriów. Walczak, zabierz ze sobą młodego, spotkamy się na miejscu i przesłuchamy dalszy krąg znajomych ofiary. Ja złożę wstępny raport w prokuraturze i zajmę się odciskami palców, jak tylko…

Rozległo się pukanie do drzwi i bez zaproszenia wszedł przez nie kierownik zespołu technicznego.

— Cześć, chłopaki. Mail z Centralnego Rejestru Paszportowego. Lista osób, których odciski palców wysłaliście do identyfikacji. — Podał wydruk i zniknął.

Skalski przebiegł wzrokiem listę nazwisk. Zatrzymał się na jednym. Dokładnie powtórzył czynność, ale tylko to jedno przykuło jego uwagę.

— Zmiana planów! — zakomenderował. — Musimy się dowiedzieć, dlaczego na miejscu zbrodni znajdujemy odciski palców jednego z najważniejszych dyrektorów.

Wskazał palcem nazwisko na otrzymanym właśnie wydruku: Bernard Farney.

4
9.00, RCUS, sala reprezentacyjna

Prezes Gabriel Aivar wszedł ostatni. Nim spojrzał po wszystkich, usiadł, przysunął się do stołu, potem położył na nim smartfona. W sali zebrało się w sumie siedem osób: oprócz Aivara były to: szefowa kadr Zuzanna Elkebaum, zastępca dyrektora departamentu finansów Monika Reshke, główny prawnik firmy profesor Marcus Juryst oraz trzech dyrektorów odpowiedzialnych za różne wydziały techniczne.

Maksymilian Szefler zarządzał rozwojem najważniejszych produktów, które przynosiły firmie największe zyski. Był młody, przystojny, utalentowany i głodny sukcesów — tak przynajmniej mówił o nim prezes Aivar. W zaledwie sześć lat od zatrudnienia na stanowisku zwykłego programisty poprzez szczebel zarządzania projektem awansował na menedżera średniego szczebla. Koordynował całą linię produktów tworzących spójny system zarządzania flotą własnych, dedykowanych urządzeń oraz oprogramowaniem od embedded aż po przetwarzanie w chmurze. Skalą i różnorodnością technologii zawsze trudno się zarządza, a on świetnie sobie radził. Był na tyle skuteczny, że obecny prezes chciał go u siebie i awansował trzy lata temu. W niecałe dziewięć lat od zatrudnienia został *de facto* numerem dwa w firmie.

„Uliczny cwaniaczek, farciarz i… niewdzięcznik” — pomyślał o nim zgorzkniały Bernard Farney, dzierżący wcześniej to stanowisko. Farney pracował czternaście lat dłużej i pamiętał firmę od jej podziału na część europejską i amerykańską. Drugi najdłuższy staż wśród obecnych na sali. Teraz zajmował się marketingiem, bezpieczeństwem i ochroną danych firmy.

Ostatnim dyrektorem był Donatan Relik opiekujący się już od ćwierć wieku stosunkowo niewielkim działem naukowo-badawczym. Zatrudniał on najlepszych specjalistów i to tam powstawały wszelkie prototypy, publikacje, patenty. Choć pracowały tam osoby wpływowe, często ulokowane w ciałach standaryzujących, zarządzało się nim niełatwo. Ze względu na nieprzyzwoicie wysokie koszty utrzymania i brak bezpośrednich dochodów dział badawczy nie był lubiany przez księgowych i prezesa. Zwłaszcza że świat przyspieszał, a oni nie nadążali. „Przez ostatnie dwa lata nie wyszło stamtąd nic, co miałoby wartość dla firmy” — kpił w duchu Szefler.

— Dzień dobry — rozpoczął prezes Aivar, zwracając się do młodej kobiety siedzącej naprzeciw. — Tradycyjnie poproszę najpierw o raport finansowy za zeszły miesiąc. Dlaczego nie ma pana dyrektora Frosta?

Monika Reshke, trzydziestoletnia blondynka o wysportowanej sylwetce, w obcisłej bluzie z niemałym dekoltem, odrzekła niepewnym, ciepłym głosem:

— Pan Lucjan… to znaczy dyrektor Frost, rozchorował się i musiał dziś zostać w domu. Poprosił mnie o zastępstwo. — Wertowała nerwowo kartki. — Od czego mam zacząć? A tak… Dobre wieści. Na skutek wyroku sądu urząd skarbowy zwróci nam bezzasadnie naliczone należności wraz z odsetkami. Na konto firmy wpłynie…

— Najwyższe słowa uznania dla naszego departamentu prawnego! — ze szczerym entuzjazmem przerwał jej Aivar. — Profesorze, z racji tego wspaniałego sukcesu zapraszam pana na uroczystą kolację w piątek.

— Wyrok nie jest jeszcze prawomocny. — Juryst udawał, że nie czuje dumy z tej pochwały. — To była ciężka praca naszych prawników i działu finansowego, zwłaszcza dyrektora Frosta.

— Proszę, proszę… — rzucił Farney. — A tak się obawiał szczegółowej kontroli dokumentacji…

— Nic podobnego! — przerwał mu ostro prawnik, a Farney ze zdumieniem zauważył dyskretnie położony palec na ustach prezesa.

Reshke, wyraźnie zaskoczona tym incydentem, stała i nie była pewna, czy kontynuować. Aivar zachęcił ją gestem, więc przeszła do kolejnych spraw i zaczęła cytować wykazy oraz tłumaczyć tabele. Relik ziewnął, próbując to ukryć. „Jak można maltretować ludzi czytaniem liczb na głos? A to dopiero początek zebrania. I ten zachwyt Gabriela dla papugi… o co chodzi z tymi dokumentami?”

— Wykluczając jednak ten jednorazowy wpływ, przychód jest najniższy od trzech kwartałów i tendencja spadkowa się utrzymuje. Najbliższy czas pokaże, czy…

Bernard Farney patrzył na nią oceniającym wzrokiem, ignorując zupełnie przekazywane informacje. Łatwo odczytał podstęp Starego Liczykrupy, jak mówili o podstarzałym dyrektorze Lucjanie Froście. „Wystawił atrakcyjną prezenterkę, by rozmiękczyć złe wiadomości. Zamiast słuchać będziemy ją oglądać”.

Rozejrzał się po sali. Zuzanna Elkebaum, władająca kadrami od co najmniej trzech dekad, uporczywie wpatrywała się zimnym wzrokiem przez pancerne okulary w rozwijającą arcyciekawy temat dziewczynę. „Ile lat trzeba, by wytrenować takie spojrzenie? Wygląda, jakby naprawdę tego słuchała. Pracuje tu od zawsze… i od zawsze była tam szefową. Przeżyła wszystkich prezesów. Ciekawe, ile jej jeszcze zostało do emerytury” — płynął w rozmyślaniach.

Zerknął na Donatana Relika. Czarna, kędzierzawa fryzura przyprószona już wielce atrakcyjną siwizną, elegancka marynarka i wzrok utkwiony w dekolt Reshke. „Zdrowy chłop, zdrowe reakcje, oleju w głowie mu nie brakuje. Tylko los mu nie sprzyja albo… decyzje prezesa. Jak ma kierować zespołami, kiedy ciągle mu sypią piasek w tryby? Taki dział… najlepsze talenty, światowi ludzie i… największy garb tej firmy. Nieźle ugrzązł”.

— …no i dodatkowe koszty badań oraz konferencje to kolejna pozycja do omówienia — ciągnęła wywód Reshke, unikając kontaktu wzrokowego.

— Pozwolę sobie przerwać. — Aivar zatrzymał ten słowotok. — Donatan, jaki masz plan na redukcję kosztów?

Relik, zaskoczony pytaniem, aż podskoczył, ale szybko się opanował i odpowiedział:

— Akurat te pozycje muszą zostać. Badania są ważne dla kondycji firmy. No i moi ludzie muszą jeździć na te konferencje.

— Naprawdę muszą?

— Stracimy pozycję w branży. Zauważą, że nas nie ma.

— Kto? Nasi klienci?

— Bezpośrednio nie, ale konkurencja, firmy kooperujące, prasa… Plotki szybko się rozejdą. Mamy ustaloną opinię, szkoda by było…

— Więc powiem tak. Ta pozycja właśnie znika z budżetu. Biorę to na siebie.

— Prezesie, bardzo bym prosił o rozważenie…

— Rozważyłem i zdecydowałem. Trzeba oszczędzać. Cały świat widzi nasze kwartalne raporty, więc nie powinno ich to zdziwić. Inwestorzy będą zadowoleni, że obniżamy koszty.

— Ale badania zostają?

— Badania tak, ale wszelkie zakupy waszego działu zamrażamy.

— Przecież to utrudni…

— Masz zdolnych ludzi, niech pracują z tym, co mają. Trzeba się dostosować do sytuacji.

— Tak nie można…

— Tak trzeba! — Prezes Aivar podniósł głos i zapadła cisza.

— Tak… jest. — Dyrektor Relik spuścił wzrok.

„Świetnie” — pomyślał Farney. „Cała złość wyładowała się na tym żałosnym biedaku. To złagodzi całą resztę spotkania. Swoją drogą ciekawe, co go jeszcze trzyma w tej firmie”.

— Proszę mówić dalej. — Aivar wykonał ręką gest w kierunku wystraszonej kobiety, która wpisała coś do notatnika i kontynuowała raportowanie.

Maksymilian Szefler patrzył na nią łapczywym wzrokiem i przez głowę przeszła mu myśl, by się z nią bliżej zaprzyjaźnić. Musiała niedawno awansować, bo wcześniejszy zastępca nie był godzien zapamiętania. Chyba odszedł po jakimś nieporozumieniu. „Jaka korzystna zmiana!” — skwitował w duchu Szefler. Skierował wzrok na Farneya. „Ten to pewnie jedzie już na niebieskich tabletkach” — zaszydził z radością. Nie znosił tego człowieka. Zresztą z wzajemnością, bo w końcu podkradł mu największy dział firmy. Farney nie potrafił dobrać właściwych metod pracy w nowoczesnym świecie. Może kiedyś był w tym dobry i wszystko działało bez zarzutu, ale świat się zmienia i trzeba umieć się dostosować. Co mu najbardziej przeszkadzało? Pewnie jego skostniały sposób myślenia i stare modele wytwórcze, które gniotły swoją grawitacyjną masą efektywność organizacji, dynamikę jego działania i ludzkie motywacje. Przekładało się to na powolne wprowadzanie produktów na rynek. Istna Niagara ociężałości procesu zalewała wszystkie trybiki firmy, a konkurencja, zwłaszcza AMOD, wysuwała się na prowadzenie.

I tu pojawił się on, Maksymilian Szefler, który mimo oporów tego dinozaura dostał zielone światło na wprowadzenie technik zwinnych w swoim małym, modelowym projekcie. Doskonale wiedział, że skala przedsięwzięcia była tak znikoma, iż musiało się udać. Z takim czy innym procesem. Farney mógł się wreszcie czymś pochwalić, jakąś dobrą zmianą w swoim departamencie, i ten sukces był mu bardzo na rękę. Obaj zyskali. Farney dostał premię, uznanie, zaszczyty, a potem pełen dumy pochwalił się swoim podwładnym. W ten sposób prezes zauważył młodego Szeflera, obserwował go uważnie i przy najbliższej okazji awansował na miejsce mentora. I to bardzo zabolało Farneya. Poczuł się podwójnie zdradzony.

„Twój czas minął, dziadku” — Szefler westchnął. Jego spojrzenie padło na przyglądającego mu się Relika. Ten speszył się i odwrócił wzrok.

Dyrektor badań i rozwoju miał najsłabszą pozycję, najmniejszy dział, a niektórzy twierdzili, że inne rzeczy też. Miał pewien potencjał — legendę wielkiego wizjonera oraz talent swoich ludzi. „Legenda jest już tylko legendą, ale ludzi trzeba by zredukować — pomyślał — dla dobra nas wszystkich”.

Donatan Relik w duchu czuł ulgę. Przyjął dzisiaj cios, stracił, ale niewiele mógł na to poradzić. Jego podwładni nie wypracowywali zysków, tylko generowali koszty. Najłatwiej było na nich oszczędzać. Odliczał swój czas, pogodzony z tym, że nieuchronne nadchodzi. Jeszcze rok temu złościło go to ciągłe przykręcanie kurka, ale teraz już nie. „Nie o to przecież chodzi, by oszczędzać na najlepszych. Doprowadzono do sytuacji, w której najdrożsi specjaliści mają najgorsze warunki pracy; nie mają na czym pracować, tak odstają pod względem dostępu do informacji od równorzędnych ośrodków innych firm, że zwyczajnie przestali się liczyć w branży. Od ponad dwóch lat co ambitniejsi odchodzą, a zostają tylko zdemoralizowani frustraci, którzy markują swoją pracę”. Gorycz i poczucie porażki kazały coś zrobić. I nie mógł liczyć na swój zespół. „Gdyby tak zdarzyła się jakaś okazja… jakaś szansa wyjścia z impasu niemożności…” Wzrok padł na skamieniałą twarz Elkebaum.

Ta jakby się przebudziła i zerknęła na swojego smartfona, który właśnie zawibrował. Tylko dla jej oczu przeznaczone było jedno słowo: „POTWIERDZONE :-)”.

5
9.05, komenda, pokój odpraw

Po tym, jak znalazł nazwisko dyrektora na liście, Skalski potrzebował dłuższej chwili, by na nowo zorganizować dzień. W milczeniu kreślił coś w

swoim notesie, podczas gdy Walczak głośno ziewał. Za trzecim razem Skalski nie wytrzymał i rzucił w niego kulką zmiętego papieru. Nawet Czerski podniósł zdumiony wzrok znad ekranu swojego smartfona.

— …szeepraszam, tak mi się coś zie-e-e-ewa. — Tym razem Walczak zatkał dłonią usta.

Skalski pokręcił głową i wrócił do notatek, układając z nich w myślach nowy plan. Podrapał się z tyłu głowy i ostatecznie przekonał sam siebie, że najważniejsze będzie teraz zmotywowanie najmłodszej części zespołu. Czerski mu się spodobał; miał dużo zapału i potrafił zadziałać. A w tym przypominał Skalskiego z czasów, gdy ten zaczynał swoją przygodę z policją. Wstał, dał znak Czerskiemu, by się udał za nim, i obaj wyszli na korytarz.

— Muszę cię pochwalić — powiedział poufale, przymykając drzwi. — Na odprawie świetnie ci poszło. Masz do tego dryg, przyznaję. Czy myślałeś już o awansie? — zawiesił głos.

Czerski uśmiechnął się i niezdecydowanie rzekł:

— Nie, panie inspektorze, nie myślałem o tym jeszcze zbyt poważnie.

— A powinieneś. — Skalski pokręcił głową. — Duży sukces zapisany w raporcie z pracy u nas byłby nie lada atutem, prawda?

— Tak jest…

— I w związku z tym mam dla ciebie odpowiedzialne i ważne zadanie — oznajmił tajemniczo Skalski.

W oczach Czerskiego dostrzegł błysk.

— Zadanie wynikające wprost z tego, co powiedziałeś na spotkaniu. Potrzeba bowiem do niego wytrwałości, spostrzegawczości, otwartego umysłu i dokładnej analizy. To właśnie TY — zaakcentował, podkreślając, jak odpowiedzialne zadanie daje młodemu — przejrzysz cały monitoring.

Czerski wyszczerzył się szeroko.

— Gdybyś miał jakiś kłopot, poproś kogoś z techniki, by ci pomógł — dodał szybko Skalski. — Tylko nie naciskaj. Oni tego strasznie nie lubią. Za to będziesz miał okazję poćwiczyć delikatną perswazję. My z Walczakiem, niestety, mamy mnóstwo pracy w terenie. — Skalski jeszcze bardziej ściszył głos i rozejrzał się czujnie wokół, dając do zrozumienia, że owa „praca w terenie” owiana jest jakąś tajemnicą.

— Ruszamy najpierw do prokuratury, potem z raportem mamy się stawić w Komendzie Głównej. Dopiero wtedy jedziemy do RCUS-u i pogadamy z Farneyem. Opcjonalnie przesłuchamy zespół. Najwcześniej będziemy o osiemnastej.

— Ale czy to zgodne z przepisami, żebym tak sam… — W głosie Czerskiego pojawiła się nuta niepewności.

— Śledztwo nie może czekać, aspirancie — przerwał stanowczo Skalski. — Czasem trzeba zrobić wyjątek. Mógłbym ci wydać zwyczajnie rozkaz, ale tego nie zrobię. Nie. I nie dlatego, że cię lubię. Ale dlatego, że TY doskonale rozumiesz, jakie to ważne. — Zaczerpnął powietrza i zapytał: — Wiesz, jak maleje szansa na wykrycie sprawcy z upływem czasu?

— Wiem, panie inspektorze!

— Doskonale. Rozumiemy się zatem! — Klepnął go w ramię.

— Tak jest! — wykrzyknął entuzjastycznie Czerski. Uprzednie obawy, jakie zrodziły się w jego głowie, gdzieś zniknęły.

— Pamiętaj, będziemy o osiemnastej. Liczymy na postęp w sprawie i raport z monitoringu. Twój raport!

Czerski skinął głową i radośnie ruszył korytarzem przed siebie.

„I tak trzeba!” — pomyślał Skalski, odprowadzając go wzrokiem. Odetchnął przy tym z ulgą; wiedział bowiem, że mowa motywacyjna w jego wydaniu nie zawsze przynosiła pożądane skutki. Tym razem jednak w

pełni się udało. Wrócił do pokoju odpraw i huknął na rozwalonego na krześle Walczaka:

— Ruszaj się! Jedziemy do RCUS-u!

6
9.40, RCUS, sala reprezentacyjna

„Potwierdzone! Potwierdzone! Ha! Zatem plotka okazała się prawdziwa”. Zuzanna Elkebaum uśmiechnęła się lodowato. Poprawiła swoje popielatozłociste włosy pachnące jeszcze farbą. „Żegnaj, szanowny prezesie Aivar! Twój czas się skończył. Zarząd wreszcie stracił cierpliwość”. Triumfowała i jej nastrój wyraźnie się zmienił.

Wszyscy zauważyli przemianę. Zwiotczała, odprężyła się i odchyliła lekko do tyłu, przymykając oczy: „Dobrze jest mieć znajomych w zarządzie. Krecia robota przynosi efekty. Teraz skończą się sentymenty technokratów i muszą wybrać kogoś, kto rozumie, że zysk jest dzisiaj priorytetem. Kogo wybiorą?” — zapytała cicho i omiotła wszystkich pogardliwym spojrzeniem: „Nieśmiały Donatan, taki uroczy, nie ma szans. Nie ma za sobą żadnych świeżych sukcesów, a mit założycielski nie przekłada się już na realne zyski. Może Bernard? Jest szansa, bo sukcesy ma, doświadczenie też, ale to przeniesienie trzy lata temu i ta niedawna afera z wynoszeniem danych firmy przez jego głównego inżyniera… Ciacho Maksiu jest za młody. Pasmo spektakularnych wyników to jego mocna strona, ale znam zarząd. Wiem, czego chcą. Nie postawiłabym na niego. Do tego lubi się z prezesem. Partyjki squasha, wspólne wystąpienia… a prezes Aivar teraz jest *passé*. Za duże ryzyko dla zarządu. Czyżby jednak kochany Lucjan? Dyrektor finansów, wbrew pozorom, może

mieć dużą szansę. Idealnie wpasowuje się w oczekiwania szybkich działań podnoszących rentowność. Byle tylko nie ktoś z zewnątrz…”

— Dziękuję pani — rzekł posępnie Aivar. — Bernardzie, co masz z bieżących spraw?

— Podpisaliśmy pierwszy kontrakt na nasz najnowszy system. — Farney ukłonił się w kierunku Szeflera, dając wszystkim jasny sygnał, kto go przygotował. — Co prawda klient jest bardziej prestiżowy niż rentowny, ale to pozwoli nam z przytupem wejść na rynek z nowym produktem.

— Czy AMOD też do tego startował? — Aivar zapytał o największego konkurenta.

— Nie tym razem.

— Czyli nie mają niczego, co by nam zagrażało? — zapytał zaczepnie Relik. Słyszał pewne plotki, więc czas to sprawdzić.

— No… coś mogą mieć, bo zgłosili się do kolejnych przetargów na tego typu system.

— Skoro startują, to zakładamy, że mają. Widocznie jesteśmy tylko trochę przed nimi. Czy dostarczycie nasze rozwiązanie na czas? — rzucił kolejne pytanie Aivar. Farney spojrzał na Szeflera, który był odpowiedzialny za produkcję systemu.

— Już tydzień temu nakazałem wrzucić to na *priority list* — powiedział Szefler — ale *top deliverable* były zablokowane, więc zaczynamy ASAP.

— Jakie blokady? — Udał niewinne zaciekawienie Farney.

— Jeden z naszych ludzi zmarł, a to nie pozwoliło osiągnąć *definition of done*. *Product owner* poprosił więc inny *team* o pomoc i startują na dniach. Spowoduje to mały *delay* na początku, ale po ramp-upie powinniśmy przyspieszyć i sobie z tym poradzić.

Relik się skrzywił, ale nic nie powiedział. Nie znosił korpomowy w ustach najważniejszych ludzi w firmie. To było dobre dla zespołów

inżynierskich, ale nie do zniesienia w gronie dojrzałych dyrektorów.

— Przykra wiadomość z tym testerem, ale dobrze, że mamy kontrakt. To pomoże w późniejszych przetargach, zbuduje zaufanie klientów. A wygrane przetargi to nasz klucz do skarbca, z którego wysypie się na nas deszcz pieniędzy — rzucił banałem Aivar.

„Prędzej to pompka do lewatywy. A to, co na nas spłynie…" — przemknęło radośnie przez myśl Elkebaum. „Jakie to szczęście, że odchodzisz, matołku".

— A co w dziale *security*? — prezes znów zwrócił się do Farneya.

— Miesiąc stabilny. Sprzedaliśmy dwa komplety usług zabezpieczających dla banku i jednej agencji rządowej. Popyt na szkolenia wzrósł o jakieś trzy procent. Chyba tyle.

— Co z naszymi gośćmi z Japonii?

— Odlatują dziś wieczorem. Zaprosiłem ich jeszcze na pożegnalny lunch. Stać nas? — zażartował lekko. Wiedział, że może sobie na to pozwolić. Ten klient był bardzo zainteresowany nowym systemem, a jeśli umowa dojdzie do skutku, to pojawi się szansa wejścia na bardzo hermetyczny rynek japoński.

— Brawo, coś jeszcze? — Aivar rozejrzał się po wszystkich.

Trochę zaniepokoił się postawą kadrowej. Nigdy się tak nie zachowywała. Wzrok utkwił w Farneyu. Kiedyś się nawet przyjaźnili, ale nie mógł dopuścić, by firma stoczyła się w przepaść. Szkoda, że wziął to tak bardzo do siebie. „W nowej roli idzie mu znacznie lepiej. Dlaczego tego nie dostrzega?" Ale nie oczekiwał wdzięczności, tylko zrozumienia dobra wspólnego. Co do Szeflera, to musi sobie z nim porozmawiać. Szkoda, by chłopak się zmarnował… to jego ego dorównuje tylko jego talentowi. Co do introwertycznego Relika, to „nic już z tego nie będzie". Niestety, nie miał komu przydzielić tej roli, bo raz, że nikt nie chciał, a dwa, że on nie

miał serca łamać komuś kariery takim przydziałem. „Jeden Donatan w przyrodzie wystarczy”. Szkoda było jego bystrego umysłu i wiedzy, ale bez wątpienia był najsłabszy w grupie dyrektorów. Jego *leadership* zawsze epatował sztucznością, nienaturalnością, jakby przeżywając wewnętrzny konflikt. Prezesa cieszyło jednak, że miał narzędzie nacisku. — „Jak mi nie zrobisz tego na jutro, przeniosę cię do badawczego”.

Spojrzał znudzony na obie kobiety i pomyślał „Siostry Łachowskie, kiedyś męskie, teraz boskie”. Wreszcie rzucił, wieńcząc spotkanie:

— Na koniec dwie informacje. W sprawie tej nagłej śmierci zróbcie jakąś pożegnalną pizzę w zespole tamtego testera czy coś. Na zebraniu pracowniczym powiem kilka słów, tylko przygotujcie mi jakieś podstawowe informacje o tym człowieku. Druga rzecz, powinniście porozmawiać ze swoimi podwładnymi. Nie chcę, by rozpowiadali, że policja się tu kręci i węszy. To normalne czynności wyjaśniające przy każdym zgonie, a nie chcemy rozsiewać plotek. To wszystko. Dziękuję.

Wszyscy wstali, a Aivar położył dłoń na ramieniu Szeflera i szepnął:

— Zostań na chwilę.

7
10.20, redakcja „Naszego Miasta”

Naczelny gazety „Nasze Miasto” Adam Ackerman powoli odłożył słuchawkę, wpatrując się w nią, jakby miała mu podpowiedzieć, co dalej robić. Kiedy nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie — głosiła znana maksyma. Nie wątpił, że jako dziennikarz zachowa się, jak należy.

Nie był nowy w tej branży. Miał w końcu kilkuletnie doświadczenie jako redaktor dziennika; jego doświadczony nos nie czuł żadnego

niebezpieczeństwa. Dostał obietnicę kontraktu reklamowego w zamian za opublikowanie artykułu na całkowicie neutralny temat. Otworzył maila, który właśnie pojawił mu się w skrzynce. Był to list intencyjny w sprawie zawarcia umowy o świadczenie usługi reklamowej. Uśmiechnął się szeroko; zaraz jednak dopadło go zwątpienie.

„Tylko kogo by tu wziąć do tej roboty?” — zamyślił się. Oparł czoło o rękę i zastygł w bezruchu. Wszyscy najlepsi byli zajęci innymi tematami. Zresztą pewnie będą gwiazdorzyć, a na to nie ma czasu. W ogóle jest go zbyt mało, by zrobić to, jak na redakcję o takiej renomie przystało. I ten ciąg skojarzeń naprowadził go na myśl. Wstał, przeczesał dłonią włosy, poprawił krawat, a następnie wyjrzał z biura, szukając kogoś wzrokiem.

— Jest Tores? — zapytał najbliżej siedzącą dziewczynę pracującą nad składem piątej strony jutrzejszego wydania. Tematów na strony z wiadomościami bieżącymi jeszcze nie było, tekstów tym bardziej. Strony od piątej do ósmej poświęcone były zagadnieniom ogólnogospodarczym lub społecznym, w zależności od tego, co było właśnie w modzie.

— Jeszcze nie przyszła. O tej porze przegląda komunikaty prokuratury — odparła, podnosząc wzrok.

— Niech do mnie zajrzy, jak tylko się zjawi. Tylko na jednej nodze! — dodał żartobliwie.

— OK. — Dziewczyna wróciła do swojego zajęcia. Po chwili rzuciła jednak w jego kierunku ukradkowe spojrzenie. Redaktor naczelny Ackerman, mimo swoich lat i srebrnych nitek połyskujących we włosach, miał błysk w oku, sprężysty chód i dystyngowany sposób bycia. Wśród pracowników krążyły opowieści o jego uwielbieniu dla kobiet — jednak wobec braku potwierdzenia z pierwszej ręki plotki o romansach pozostawały plotkami.

Dwadzieścia minut później do biura redaktora zajrzała młoda kobieta.

— Wzywałeś mnie? — zapytała. Ten skinął głową i dał znak, by weszła; właśnie kończył z kimś rozmowę telefoniczną.

Anna Tores potrafiła zwracać na siebie uwagę. Była atrakcyjną szatynką o włosach do ramion i — jak to kiedyś określiły koleżanki z jej działu — słonecznikowych oczach. Należała przy tym do tego typu kobiet, którym okulary dodawały wyjątkowego seksapilu. Miała też ładny uśmiech, o czym można się było przekonać w lepsze dni.

Ale dzisiaj nie była w najlepszym humorze. W zasadzie wszystko się układało, nie miała większych problemów zawodowych, jednak cały czas czegoś jej brakowało, nie spełniała się w swojej wymarzonej pracy. Czasem czuła się tak, jak gdyby ktoś wymazał jej marzenia albo, co gorsza, je skradł. Plany miała niegdyś wielkie. Uważała też, że ma talent i jest wystarczająco pracowita. Studia zakończyła z wyróżnieniem, jej praca magisterska nie była zwyczajowym odbębnieniem tematu, ale sprawiła jej sporo satysfakcji i, jak jej się wydawało, była nawet przydatna. Od drugiego roku studiów brała udział w redagowaniu gazetki studenckiej, a od czwartego była nawet jej redaktorem naczelnym. Zawsze miała smykałkę do wyszukiwania tematów i świetny talent do ich opisywania. Nikogo więc nie dziwiło, że jeden z największych dzienników w kraju zatrudnił ją zaraz po tym, jak odebrała dyplom.

Początek układał się fantastycznie. Wielkie biura, odprawy dziennikarskie z redaktorem naczelnym i redaktorem wydania, wielkie hasła, wielkie plany. Czasem trafiła się nawet podróż służbowa za granicę.

Potem entuzjazm opadł i Anna zaczęła zauważać pewne niedopasowanie własnych wyobrażeń do rzeczywistości. A rzeczywistość była taka, że z gwiazdy uczelnianego dziennikarstwa stała się zwykłym pionkiem w korporacji wydawniczej. Pisała teksty, ale dostawała tematy dalekie od tego, o czym marzyła. Oczekiwano też od niej researchu dla spraw

prowadzonych przez innych. Pocieszała się, że to początek i w ten sposób zdobędzie doświadczenie, ale mijał już rok, a ona nadal czuła się jak na stażu. Jej umiejętność wyszukiwania spraw nagle okazała się mało przydatna. Słyszała zewsząd: „Nasza gazeta ma inny profil” albo znienawidzone: „To interesujące, ale na tapet bierzemy ważniejsze tematy”, czy „Jesteśmy zbyt poważnym dziennikiem, by się zajmować takimi rzeczami”.

Patrzyła więc na niego z lekkim wyczekiwaniem, z pewnym niepokojem. Komu ma dzisiaj pomagać za poklepanie po plecach i pełne fałszywego współczucia życzenia ciekawego tematu?

— Jak twoja akredytacja przy prokuratorze? Przydaje się do czegoś? — zagaił, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Tores, nie czekając na pozwolenie, usiadła na krześle po drugiej stronie biurka i założyła nogę za nogę. Nie umknęło to jego uwadze; miał zresztą wyrobione zdanie na temat nóg i pośladków dziewczyny. Należały do pierwszej dziesiątki na jego liście. I to ich dotyczyły jego fantazje za każdym razem, gdy kochał się z żoną.

— Chyba tylko do nadymania swojego ego — prychnęła. — Ale teraz już wiem, dlaczego na tę fuchę nie było wielu chętnych. W barze przy ulicy Solnej pobiło się dwóch pijaczków. Z piwnicy skradziono rower. Nieznany sprawca podpalił samochód. Fas-cy-nu-ją-ce — wysylabizowała, wykrzywiając wargi. Ale nawet z takim grymasem było jej ładnie.

— Taka karma — mruknął. — Raz na kozie, raz pod kozą. To, jak rozumiem, są sprawy dzisiejsze.

— Wczorajsze. Dzisiejsze będą jutro. Aż trudno uwierzyć, że w tak wielkim mieście nie ma poważnej przestępczości. Chciałeś porozmawiać o czymś konkretnym?

— Potrzebuję rzetelnego artykułu do czwartkowego wydania. O ile pamiętam, kiedyś miałaś kilka propozycji, by napisać o korporacjach.

Tores założyła za ucho kosmyk włosów.

— Korporacje? Tam się nigdy nic nie dzieje. Wyjątkowo smętni i ugrzecznieni ludzie. A jak już coś miałam, to mi to uwaliłeś. — Zmrużyła oczy. — O ile ja pamiętam, miałeś wtedy ważniejsze tematy. Zawsze.

— Możliwe, możliwe… — Uśmiechnął się jakby przepraszająco. — I bardzo cię za to przepraszam. Teraz trzeba napisać artykuł o łamaniu praw pracowniczych przez korporacje… Miałaś już zrobiony research.

— Prawie rok temu. Musiałabym zaktualizować dane — żachnęła się. — I to na czwartek? Miał przecież iść artykuł o *copyright trolling*, nieprawdaż?

— Pójdzie w piątek… Słuchaj, wybrałem cię do tego tematu, bo wiem, że jesteś w stanie zrobić go rzetelnie i na czas. Masz wszystko, co potrzeba. A co do nieaktualnych danych, to po prostu podasz datę badania i tyle. Rzetelność zapewniona. Napisz artykuł jutro do południa i przyjdź z nim do mnie.

— Chcesz mi redagować tekst? — Nerwowo poruszyła się na krześle, jeszcze bardziej eksponując nogi. Widząc to, Ackerman odruchowo zaczął się bawić długopisem. W tym momencie wkładał całą siłę woli, by się skoncentrować.

— Nie, nie… nie redagować, ale zaakceptować. Muszę go uważnie przejrzeć. W końcu idzie na nasze najważniejsze strony.

— Ooo, chyba powinnam być wdzięczna — zakpiła. — Mam pisać pod jakąś tezę?

— Bezpieczeństwo i higiena pracy. Z naciskiem na bezpieczeństwo. Przytocz dane o wypadkach w dużych firmach i o tym, jak korporacje ze względów PR-owych tuszują te informacje.

— Dlaczego to jest takie pilne?

— W zasadzie to nie jest. — Poluźnił krawat. — Ale wyczuwam w powietrzu, że będziemy na fali i może wykiełkuje z tego poczytny cykl. Przyznaję, że zwlekałem z lepszym wykorzystaniem twoich talentów. Widzę, jak solidnie wypełniasz swoje obowiązki. A ja… cóż… odnoszę wrażenie, że praca u nas nie wzbudza w tobie entuzjazmu. Nie to ci obiecywano, kiedy zaczęłaś tutaj pracować… Widzę też, że akredytacja w prokuraturze to był kolejny mój błąd w stosunku do ciebie. Bardzo mnie to boli. Ze swoim talentem zmarnujesz się, pisząc o pijaczkach w barze. Dlatego… rzucam ci temat i zapewniam główne szpalty gazety, by wreszcie dać ci należną szansę. Uczciwa propozycja?

Anna Tores uśmiechała się lekko, ale w środku cieszyła się całą sobą. Musiała się jeszcze upewnić w jednej kwestii…

— Czyje nazwisko pojawi się pod artykułem?

8
10.30, RCUS, sala reprezentacyjna

Sala opustoszała, drzwi się zamknęły i Aivar zaczął spokojnym tonem:

— Maks, dowiesz się jako pierwszy. Dzisiaj zrezygnowałem ze stanowiska i jestem tu tylko do czasu wyboru mojego zastępcy.

— Jak to tak, szefie? — Szefler lekko się zdziwił.

— Otwierają się przede mną inne możliwości, dlatego ten etap trzeba zamknąć.

Szefler dobrze znał takie mydlenie oczu, ale udawał, że chce zrozumieć.

— Co na to zarząd?

— Przyjęli to trochę rozczarowani…

„Rozczarowani byli na pewno… już od jakiegoś czasu” — zaśmiał się w duchu.

— …ale zapytali mnie o radę, kogo bym widział na tym stanowisku.

„Zaczyna się ciekawie…”

— I pewnie się domyślasz, kogo wskazałem?

Szefler otworzył szeroko oczy, siląc się na zaskoczenie.

— Właśnie tak… Nie mam wątpliwości co do twoich kwalifikacji, profesjonalizmu i zaangażowania. Mam pełne zaufanie do tego, co robisz. Bardzo ciężko zapracowałeś na swoją markę. Jest jednak drobna sprawa, na którą muszę cię uczulić.

Aivar zawiesił głos, a Szeflerowi serce zabiło mocniej.

— Każdy z nas ma jakieś słabości. Ulegamy pokusom, idziemy na skróty czy wręcz szkodzimy… czasem innym… czasem sobie — sączył słowa, by dobrać je jak najlepiej. — Czasami nikt o tym nie wie i wówczas specjalnie nam to w życiu nie przeszkadza. Są jednak sprawy, które nie zostają niezauważone…

Chwila ciszy, Aivar westchnął i dodał:

— Są takie wpadki, z których trudno się wyplątać, które mogą na lata cię uziemić. Każdy może zostać takim Donatanem. Najpierw cichutko, gdzieś za plecami, ktoś coś dostrzega. Potem mówi komuś, a ten powtarza następnym…

— Co mówi? — Szeflerowi zaschło w gardle.

— Powiem wprost: źle się prowadzisz, przyjacielu. Kobiety, rozbite samochody… A ludzie patrzą, szepczą…

— Przecież to nie ma związku z moją pracą — skomentował chłodno.

— Chodzi o twój wi-ze-ru-nek. Pół biedy, że szepczą, gorzej, że rada martwi się o takie rzeczy. A kiedy to do nich dojdzie, to może być to poważna obstrukcja. Do mnie już doszło, jak widzisz… ja o tym wiem…

Kto jeszcze może wiedzieć? A to zła droga. Musisz, chłopie, zakończyć pewne sprawy, by nie dać nikomu pretekstu, rozumiesz?

— Zrobię, co będzie konieczne.

— Wybacz tę szczerość. — Aivar ujął go za ramię. — Nie chcę cię pouczać, jak żyć, ale zależy mi na tym, byś to ty przejął moje miejsce.

„Jaki ma w tym interes? Po co miałby mi pomagać?” — Kotłowało się w głowie Szeflerowi.

— Dziękuję, szefie — przytaknął i rzucił badawczo: — Jak ja się panu odwdzięczę?

— Och, niczego nie oczekuję. — Poklepał go po plecach.

„Nie teraz… czyli jeszcze za wcześnie, by to ujawnić” — pomyślał Szefler. „Zdradzi intencje wtedy, kiedy sytuacja będzie pewna. Ciekawe, w co gramy”.

Do salki niespodziewanie wszedł Relik:

— Przepraszam, telefon chyba wypadł mi z kieszeni. — Wskazał na miejsce, gdzie wcześniej siedział.

— Wejdź, my już skończyliśmy — rzekł Aivar i po chwili zniknęli za drzwiami.

Relik podszedł do miejsca, które wcześniej zajmował podczas zebrania, i podniósł leżący telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Jednym dotknięciem zatrzymał nagrywanie.

Wyjrzał przez drzwi, upewnił się, że obaj rzeczywiście poszli, i włączył odtwarzanie. Odsłuchał nagranie od momentu, w którym wyszedł. Z trudem mógł zrozumieć poszczególne słowa, bo mikrofon słabo wychwytywał głos z poziomu podłogi. Wpiął słuchawki do smartfona i powtórzył czynność raz jeszcze na maksymalnej głośności. Najważniejsze usłyszał, a całą rozmowę oczyści sobie ze zniekształceń później. W końcu to jego dziedzina.

Oparł się o stół i utkwił wzrok w podłodze. „Jak mogę to wykorzystać?” — chodziło mu po głowie. Dobrze rozegrane, mogło wreszcie poprawić jego sytuację. Ba! W żaden sposób nie mógł jej już pogorszyć. Paradoks polegał na tym, że cokolwiek zrobi — a miał wiele możliwości — wyniesie go to z miejsca, w którym osiadł. Uśmiechnął się. Iskierka nadziei nabierała prawdziwego blasku.

***

— Mogę na słówko? — rzucił Farney, dobiegając do Elkebaum przed windą.

Dopiero co opuścili spotkanie.

— Pewnie, Benek! — rzekła, promieniejąc. Dobra Nowina z rajskiego smartfona wiadomości dobrej i złej uskrzydliła ją i niosła przed siebie.

— Czy wodzowi kontrakt nie kończy się jakoś niedługo?

To ją zaalarmowało. Rozejrzała się, a potem spojrzała na Farneya. Winda się otworzyła i weszli do środka. Byli sami.

— Tak, a dlaczego pytasz? — zachmurzyła się.

— Bo się obawiam, że nie ma wysokich not. Ale tak szczerze, to martwię się, że kolejna zmiana mogłaby być trudna dla firmy.

— Albo dobra… kto wie…

— Nie wierzysz chyba, że ktoś następny z zewnątrz ogarnie ten bajzel? A tu trzeba szybkich działań. Lepszy stary wódz niż świeżynka, co to trzy lata będzie dochodzić do tego, o co w tym wszystkim chodzi.

— Też jestem zdania, że to musi być ktoś, kto rozumie nasze sprawy.

— Myślisz, że zarząd ma to z tyłu głowy? Że to rozważy?

— Myślę, że już rozważył. Ale to tak między nami.

— Zostaje? — Farney doskonale wiedział, że między nią a Aivarem źle się układa.

Milczała. Ale nie wytrzymała i się uśmiechnęła. Wyszła na swoim piętrze, rzucając pożegnalne:

— Miłego dnia!

I mimo że bardzo tego nie chciał, Farney nie był w stanie nie odwzajemnić uśmiechu. „Potwierdziło się! Sytuacja jest pewna”.

***

„I tak masz marne szanse” — pomyślała Elkebaum o towarzyszu z windy. Radosna wpadła do swojego gabinetu. Odblokowała laptopa i włączyła komunikator:

„Siemka” — zaczęła staromodnie.

„Joł” — odpowiedziała druga strona pod nickiem XJH412.

„Szczegóły poproszę :-P”.

„Prezes nie miał żadnego poparcia, jednogłośnie ustalili, że już go nie chcą. Poinformowali go o tym”. — Z rozkoszą pomyślała, jaką musiał mieć minę.

„Kto będzie po nim?”

„Wstępnie na listę wpisali wszystkich dyrektorów technicznych i finansów. Ciebie tam nie ma”.

„To zrozumiałe. Dyskutowali o nich albo o kimś nowym z zewnątrz?”

„Nie chcą nikogo z zewnątrz. Ścierali się nad kandydatami. Niczego nie ustalili”.

„Kto jest na top liście?”

„Dwa nazwiska: Frost i Szefler”.

„Szefler jest na liście?” — Była lekko zdziwiona, bo jednak pomyliła się co do jego osoby. — „Thx” — ucięła dialog.

Zadumała się chwilę. „Trzeba jakoś pozbyć się z listy tego żigolakowatego typka, bo zagraża naszym planom”. Wstała i przeszła w

zaciszne miejsce. Złapała za smartfona, wybrała numer:

— Lucjan… dwie bardzo dobre wiadomości. Od której zacząć?… Tylko się droczę. Słuchaj, informacje są pewne. Aivarowi podziękowali za współpracę, a ty jesteś na top liście… Takiej szansy jeszcze nie mieliśmy… Tak, tak… — zaśmiała się głośno — teraz musimy popracować nad twoimi planami. No i mamy problem — drugiego kandydata z listy… Ten problem to Szefler.

9
12.15, RCUS, prowizoryczna sala przesłuchań

Planowany pierwotnie przez Skalskiego raport u prokurator udało się odwołać telefonicznie. Wymienili jedynie najświeższe informacje. Z komendantem niestety nie poszło tak gładko — Głowa nie odbierał telefonu, więc byli zmuszeni stawić się u niego osobiście. Na wizytę czekali dobrą godzinę. Wreszcie weszli do środka i krótko zreferowali postępy śledztwa, a dziesięć minut później byli już w drodze do siedziby RCUS-u. Koniecznie chcieli spotkać się z dyrektorem Farneyem, ale ku ich zaskoczeniu nie było go w firmie. Dowiedzieli się tylko, że właśnie wyjechał na lunch biznesowy z ważnym kontrahentem. Na pocieszenie dostali zapewnienie, że na pewno tego dnia pojawi się jeszcze w firmie.

Chcąc nie chcąc, musieli się zająć indagacjami kolejnych współpracowników de Bugaja. Rozsiedli się w przydzielonej im sali, wyciągnęli teczki, notesy i dyktafon. Z kuchni przynieśli kawę. Walczak wzmocnił zawartość kubka procentami z piersiówki. Przygotowali listę osób do przesłuchania, czyli dalszych współpracowników de Bugaja. Nie spodziewali się po rozmowach zbyt wiele, ale profesjonalizm nie pozwalał im iść na skróty, bo mogli pominąć jakiś ważny szczegół.

***

Przez cztery godziny zdołali przepytać piętnastkę. Pytani ogólnie zdawali się inteligentni i nie mieli powodów do ukrywania czegokolwiek, a jednak kontakt z nimi był mocno utrudniony. O ile rozumieli pytania, o tyle mieli problemy z formułowaniem odpowiedzi. Jedni odpowiadali bardzo krótko i konkretnie, używając jednak bardzo specyficznego zasobu słów. Inni, jakby przewidując, że starzy policjanci ze świata zewnętrznego będą mieć kłopoty z ich zrozumieniem, od razu próbowali odpowiadać w zawoalowany sposób. Uciekali się przy tym do dziwacznych analogii, czasem nawet próbowali coś rysować na ściennej tablicy. W efekcie poziom niezrozumienia był jeszcze większy. Wrażenie obcości ich światów tylko się pogłębiało.

Merytorycznie też niewiele osiągnęli. Wszyscy zgodnie twierdzili, że de Bugaja znali lepiej lub gorzej, lubili mniej lub bardziej, współpracowali z nim częściej lub rzadziej. Nie słyszeli, żeby miał z kimś na pieńku, nie słyszeli, by ktoś mu groził, nie zauważyli, by kogoś się obawiał. Wielu potwierdzało, że menedżerowie mieli z nim „problemy wychowawcze”, w szczególności absurdalnie pedantyczny i złośliwy kierownik Diukiewicz.

Skalski już przy drugim przesłuchiwanym dodał w swoim notesie pod punktem: „przesłuchania, dzień drugi” adnotację: „strata czasu”. Liczył po cichu, że może choć Czerski znajdzie coś ciekawego na monitoringu. Wahał się, czy do niego zadzwonić, ale zrezygnował. Młody nie może ciągle czuć nad sobą bata. Trochę samodzielności mu się przyda.

W chwilach między kolejnymi przesłuchaniami zerkał do zgromadzonych już akt sprawy. Zaczął od przyjrzenia się fotografiom. Kilka kolejnych zdjęć przedstawiało wnętrze laboratorium z perspektywy oczu człowieka. Znów praktycznie całe kadry były wypełnione szafami z aparaturą. Skalski pamiętał przytłaczające wrażenie zagubienia, kiedy

prowadzono go na miejsce zbrodni. Ciasne przejścia, czasem skręt w prawo, czasem w lewo, by znaleźć się w identycznym tunelu jak przed chwilą. Trzeba się dobrze orientować, by znaleźć właściwe miejsce. Zabłądzenie raczej nie groziło, w końcu nie był to labirynt kreteński…

Drgnął i zmarszczył brwi, próbując złapać myśl błąkającą się gdzieś na granicy ulotności. De Bugaj oczywiście doskonale wiedział, dokąd ma się udać, co ma zrobić i ile czasu mu to zajmie. A morderca? Co musiał wiedzieć o jego pracy? Czy mógł się spodziewać, ile czasu zajmie mu wykonanie tego zadania?

Następny świadek wszedł bezpardonowo do salki, wypychając Skalskiemu jakiś istotny szczegół poza zdolność kojarzenia. Inspektor spojrzał na niego niechętnie i po raz nasty dziś zadał te same pytania. W jego notesie przy adnotacji „strata czasu” pojawił się wykrzyknik.

***

Przesłuchiwanie ostatniego świadka zakończyli tuż przed czwartą. Wbrew zapewnieniom Farney wciąż się nie pojawił; nie odbierał również telefonu. Walczak przeżuwał w milczeniu kanapkę, Skalski kupił jakieś batony i orzeszki w kuchennym automacie.

Wyciągnął notes i zaczął przeglądać co ważniejsze zapisy z właśnie odbytych przesłuchań. Często powtarzało się w nich, że de Bugaj lubił pracować po godzinach i wielu w zespole o tym wiedziało. Znów nieśmiało zaświtała mu w głowie zgubiona wcześniej myśl. Walczak widział skupienie na jego twarzy, ale Skalski machnął tylko ręką i przymknął oczy. Jego umysł wszedł na wysokie obroty. Było to też po części zasługą hektolitrów darmowej kawy, którą bezwstydnie czerpali z ekspresu w kuchni.

Skalski czuł podskórnie, że to kluczowa informacja.

Strażnik na pewno nie znał specyfiki konkretnego zadania. Nie mógł wiedzieć, że de Bugaj przyjdzie do laboratorium o określonej godzinie. Tym bardziej nie mógł wiedzieć, ile czasu spędzi w pomieszczeniu ani w której części będzie pracował. Jeśli więc planował zamordować de Bugaja, to powinien iść za nim do laboratorium natychmiast. To oczywiste. Ofiara nic nie będzie podejrzewała, w korporacji nawet obcy są jak wielka rodzina — skrzywił się z przekąsem. Morderca powinien śledzić de Bugaja, by potem nie błądzić, nie tracić czasu na poszukiwania i uniknąć zbędnego ryzyka, że ktoś jeszcze pracujący go zauważy. Tym bardziej że strażnicy nie mają powodów wchodzić do komputerowego serca firmy. Zwyczajowy obchód jest o innej godzinie.

Skalski pamiętał też, że od stróżówki do wejścia do laboratorium jest zaledwie kilkanaście metrów. Strażnik widzi kilka sekund wcześniej, że ktoś się zbliża i może mu wyjść naprzeciw. Wiedząc o dziwnym układzie kamer i sprytnie się ustawiając, może pozostać nierozpoznany. A laboratorium opuścić trzecim wyjściem. Na monitoringu będzie widoczna zapewne tylko sylwetka, więc oby nagranie było dobrej jakości… De Bugaj otworzył drzwi swoją kartą, a strażnik to wykorzystał. Rodzi się problem z niezauważonym wyjściem… Skalski uderzył się w czoło. A kto wyrabiał karty dostępu dla niego i jego ekipy? Strażnicy! Mógł sobie wyrobić lewą kartę dostępu!

Walczak przeciągnął się, spojrzał do pustego kubka i wstał.

— Przynieść ci jeszcze kawy? — spytał.

***

Walczak wszedł smętnie do korporacyjnej kuchni. Jak zwykle było w niej kilka osób, tym razem wyjątkowo zgromadzonych przy lodówce, a nie nonszalancko rozwalonych na krzesłach. W nozdrza uderzył go smród

zgnilizny. Zaraz za nim do kuchni władował się człowiek z gęstą, długą brodą.

— Rany boskie, co tu tak śmierdzi? — Damian „Brodaty” Fierro złapał się za nos.

Dwoje ludzi, powstrzymując odruch wymiotny, trzymało czarny foliowy worek na śmieci. Ktoś schowany za drzwiami lodówki wrzucał do niego wielkie porcje zzieleniałego mięsa.

— Miało być na grilla w zeszły weekend… — usprawiedliwiał się jeden z trzymających folię — ale padało i schowaliśmy tutaj… No i zupełnie o tym zapomnieliśmy. Kto by pomyślał, że zepsuje się tak szybko.

— Nie czuliście wcześniej?

— Było w plastikowej torbie, w dolnej szufladzie… W końcu torbę rozdęło, a jakiś mądry inaczej ją przedziurawił…

— Od takich rzeczy jest zamrażarka! — pouczył „Brodaty”, zatykając nos i usta.

— Teraz już wiemy… — Pokiwał głową ze zrozumieniem. — *Lessons learnt*.

— Gotowe! To już wszystko — usłyszał zza drzwi głos człowieka od brudnej roboty.

— Niech panowie pozwolą — poprosił „Brodaty”, zaglądając do worka i zezując jednocześnie na Walczaka — że pożegnam się z teściową.

***

Skalski skupił się na drugim wariancie. Jak powinien się zachować morderca, który dokładnie wie, gdzie i jak długo będzie przebywała ofiara? Po pierwsze, może bardzo swobodnie wybrać moment ataku. Psychopatyczny przełożony Henryk Diukiewicz musiał to wiedzieć. Po drugie, może lepiej przygotować się do ataku. Na przykład zająć się

systemem monitoringu, nawet wiele godzin wcześniej. Pytanie, czy Diukiewicz ma pojęcie o systemie pracującym w firmie. Przejrzał swoje notatki, ale nic nie znalazł. Zanotował, by naprawić to przeoczenie. Po trzecie, wybór chwili ataku daje też więcej możliwości zatarcia śladów. A wyglądało na to, że śladów znaleziono tylko tyle, ile morderca chciał, by znaleziono.

No i motyw zabójstwa. W wypadku Diukiewicza motyw był bardzo słaby, bo i tak znęcał się nad de Bugajem. Rozładowywał swoje napięcia na bieżąco. Motyw mógłby mieć de Bugaj.

Wrócił do strażnika. Jeśli kierownik miał bardzo słaby motyw, to strażnik nie miał żadnego. Dlaczego miałby zabijać jednego z pracowników firmy? Jakieś sprawy osobiste? Zadra z przeszłości? Postać de Bugaja, rysująca się z zeznań świadków, w niczym nie wskazywała, że mógłby on komukolwiek dać pretekst do takiej zemsty. Jego życiorys był tak nudny, jak tylko nudny może być życiorys informatyka. To w ogóle nie miało już sensu.

Wziął kilka kolejnych zdjęć. Pokazywały na ogólnym planie ciało ofiary i najbliższe otoczenie. Podłoże było pozornie całkowicie gładkie i czyste — nie widać było na nim żadnych odcisków, nie było niedopałków czy kropli śliny. Ale technicy czytali z tej podłogi jak z książki. Bezduszne szafy stały idealnie równo, umieszczone w nich urządzenia elektroniczne nie miały żadnych uszkodzeń. Jedno ze zdjęć pokazywało kabel owinięty wokół szyi de Bugaja i wpięty do jednego z nich. Ciekawe, czy…

Skalski sięgnął po telefon.

— Cześć, Czerski. Jesteś zajęty?

— Przeglądam filmy, ale dla szefa zawsze jestem wolny. — Usłyszał w słuchawce.

— To bądź szybki i idź po kopię zdjęć ze sprawy; potrzebuję twojej pomocy w myśleniu. Zadzwoń, jak będziesz gotów.

Czerski oddzwonił po kilku minutach. Skalski zdążył już wypić kolejny kubek świeżej kawy przyniesionej przez Walczaka. Wyjaśnił mu swój tok rozumowania odnośnie do strażnika i kierownika.

— …i dlatego — kończył — koniecznie trzeba się dowiedzieć, o której dokładnie zginął de Bugaj. Znajdź zdjęcie dziewięćdziesiąte siódme. — Było to zdjęcie z kablem wpiętym do jakiegoś urządzenia. — Masz? Przyszło mi do głowy coś takiego… Czy te komputery, które wszystko zapisują, rejestrują i śledzą, odnotowały, o której godzinie włożono tę wtyczkę?

Czerski przypomniał sobie scenę z Walczakiem, kiedy zapytał go o podobną rzecz na miejscu zbrodni.

— Chyba mam w starym notesie. Wtedy zapisałem go w całości przez te przesłuchania. Sprawdzę.

Skalski poczekał, hipnotycznie wpatrując się w zdjęcie i próbując odtworzyć przebieg morderstwa. Ofiara stoi między szafami skupiona na pracy. Od tyłu zachodzi ją zabójca, ale ofiara nie słyszy go z dwóch powodów: hałasu i słuchawek. Tamten uderza z dużą siłą, oplata kablem i wbija ostrze… O co chodzi z tym kablem? Dlaczego go wpiął?

— Zapisałem, że nie mamy godziny wpięcia przewodu, bo nie był podłączony z drugiej strony.

— Szkoda. — Patrzył z rozczarowaniem na zdjęcie. — Dobra, dzięki…

— Szefie! — Usłyszał w słuchawce krzyk. — Widzi pan ten dyndający tu przewód?

— Tak… — Rzeczywiście. W ogólnym porządku sceny ten wiszący swobodnie kabel kłócił się z całością. — Jakby…

— Ktoś go wyciągnął! — dokończył Czerski. — Dzwonię do nich!

— Ale… możesz mi jednak wytłumaczyć po co?

— Zaraz! — Rozłączył się.

Skalski lekko zdumiony spojrzał na telefon, a Walczak zerknął na Skalskiego.

— Starzejemy się, szefie? — zakpił. — Młody zauważył coś, co tobie umknęło?

***

Czerski oddzwonił po niecałych dziesięciu minutach.

— Sprawa wygląda tak, inspektorze: jest informacja o wypięciu przewodu w okresie, kiedy popełniono zbrodnię. Nastąpiło to o…

— Chciałbym wiedzieć, kiedy został wpięty, a nie wyciągnięty… — Wciął mu się lekko zniecierpliwiony Skalski.

— Proszę spojrzeć raz jeszcze na zdjęcie! — pouczył go Czerski. — Na panelu tego switcha nie ma wolnego portu, widzi pan? Żeby wpiąć przewód, trzeba najpierw zrobić dla niego miejsce, czyli coś wyciągnąć. I zapis tego momentu mamy! — Uniósł z triumfem kartkę. — Godzina dziewiętnasta trzydzieści trzy i trzydzieści cztery sekundy!

— Switch? Tak się to nazywa? — upewnił się Skalski. — Od tej chwili staje się on dowodem rzeczowym w sprawie. Zadzwoń jeszcze raz. Niech go wymontują. Zabierzemy go, wyjeżdżając. Świetna robota, młody!

Nikodem de Bugaj zginął dopiero dwadzieścia minut po tym, jak wszedł do laboratorium. Nikt go nie śledził. Morderca wiedział, gdzie go szukać.

„No, panie Diukiewicz — pomyślał Skalski z satysfakcją — musimy się jeszcze raz spotkać. Niech tylko nasi chłopcy coś na pana przyniosą, to porozmawiamy długo i bardzo, bardzo poważnie”.

10
15.59, RCUS, biuro prezesa Aivara

Prezes Gabriel Aivar rozsiadł się w swoim gabinecie, przekręcił fotel i zwrócił się w kierunku okna. Jego wzrok błądził po dachach budynków na zewnątrz. Niewiele już musiał robić. Jego czas tutaj dobiegł końca.

„Sześć lat pracy — wspominał — i smutny koniec. Czy szczyt kariery jest już za mną? Czy ktoś odpowie na moją ofertę?” — zamartwiał się. Od jakiegoś czasu już próbował, ale bez odzewu.

Pamiętał, jak męczył się w pierwszym roku pracy, kiedy firma dołowała, i niczym kołem łamał wtedy ludzkie charaktery. Najgorzej wspominał współpracę z wredną Elkebaum i przeceniającym się Farneyem. Przyczyniły się do tego grupowe zwolnienia, które nakazał przeprowadzić, co nie mogło być dla nich miłe. On również doskonale rozumiał zasadę, że do rozdawania awansów i podwyżek garnie się każdy, a nikt nie chce przekazywać wypowiedzeń, bo to na posłańcu skupiają się złe emocje. Elkebaum jednak odpuściła, kiedy postraszył ją trochę pozbyciem się stanowiska.

Farney był na to odporny, ale przycichł, gdy zaczęli zatrudniać tańszych, młodych i energicznych ludzi z głowami pełnymi pomysłów, a firma przestała notować straty. To nie zmieniało faktu, że wciąż się z nim nie dogadywał. Jego dział ogarniał stan coraz większej niemożności. Na szczęście dał się przekonać do eksperymentu i nowe sposoby zarządzania zaczęły przynosić efekt.

Niestety, Farney nie zmienił sposobu myślenia, więc trzeba było… zmienić jego samego… na młodszy model, który był dużo łatwiej sterowalny. Stosunkowo młody, nieprawdopodobnie ambitny Maksymilian Szefler już wcześniej ujawnił swój talent do organizacji efektywnej pracy i

teraz dostał ofertę dyrektorowania całemu działowi produkcji. Sam Farney miał wydźwignąć z bagna drugi kulejący dział: sprzedaż i marketing.

Dzięki temu, że zmiany przyniosły efekt, zarząd przedłużył kontrakt Aivarowi na kolejne trzy lata. Tylko że chwilę potem znów zaczęły się kłopoty: mniej klientów, ścinanie cen, obniżanie kosztów, ciśnienie konkurencji, dekoniunktura i problemy wewnętrzne. I wsparcie tylko w młodym dyrektorze Szeflerze. Teraz może to być nawet korzystniejsze, niż zakładał. Miał w zanadrzu pewien pomysł, ale mógł on wypalić tylko pod pewnymi warunkami. To mogło choć trochę osłodzić mu odejście z firmy.

Mimo wszystko był trochę zaskoczony decyzją zarządu. Liczył na kolejne trzy lata i trochę zawalił pewne własne sprawy. Sprawy rodzinne, jak zwykł o nich mawiać. Teraz będzie musiał przedstawić to w lepszym świetle niż w rzeczywistości.

Wybrał numer w telefonie.

— Witaj, braciszku…

Brat Gabriela Aivara, Jonatan, był w wyśmienitym humorze.

— Cześć, Gabrielu! Miałeś zadzwonić, jak się zastanowisz. Więc zgaduję, że bierzesz nasz przeznakomity system CBM? — Jonatan bardziej stwierdził, niż spytał.

Gabriel przymknął oczy.

— Sprawy się skomplikowały…

— Jak to się skomplikowały? — zajęczał. — Decyzja należy do ciebie. Jesteś przecież cholernym prezesem tej wielkiej firmy!

— Właśnie mnie wylali — rzekł, z trudem przełykając ślinę.

— Że co? — Zabrzmiał ton niedowierzania.

— To informacja nieoficjalna. Formalnie ciągle mam jeszcze wszystkie pieczątki. Ale jak tylko wybiorą następcę, to mam tydzień na przekazanie spraw. Za miesiąc prawdopodobnie już mnie tutaj nie będzie.

Jonatan trawił przez chwilę tę informację i kalkulował, jak to wpłynie na jego biznes. W końcu uznał, że trzeba zrealizować zyski krótkoterminowe.

— Póki jesteś prezesem, wciąż możesz wszystko. Ogłoś jutro ten cholerny przetarg, a za miesiąc rozstrzygnięcie. Tak się przecież umawialiśmy. Dam info do prasy, będzie dla mnie świetna reklama. RCUS bierze system CBM od…

— Słuchaj, Jonatanie… — przerwał mu łagodnie Gabriel. — Tak tego nie załatwimy, to się po prostu nie uda. Nie rozumiesz, że nie mogę wyłonić zwycięzcy, kiedy jestem na wylocie? Zwłaszcza jeśli to ty wygrasz? Jak nic taki przetarg zostanie unieważniony.

— Niby dlaczego? Wygra ten, kto zaoferuje system najbliższy wymaganiom RCUS-u.

— Dlatego, braciszku, że my, po co owijać w bawełnę, odpieprzamy ordynarny nepotyzm. Miesięczny termin na złożenie ofert na tego rodzaju przedsięwzięcie? Każdy konkurent oprotestuje nierealne terminy i zwycięzcę przetargu. To śmierdzi na kilometr. W takich sprawach trzeba działać delikatnie.

Sapanie do słuchawki jasno pokazywało, że radosny humor brata minął. Nie uszło uwagi Gabriela, że brat jego losem wcale się jakoś specjalnie nie przejął. Rodzinne…

— Zainwestowałem w ten system ogromne środki… własny autorytet… — wysyczał Jonatan. — Za twoją zresztą namową. Specyfikacja CBM była pod ten twój RCUS. Uwzględniałem w niej waszą strukturę, wasze procedury, raporty, wszystko… — Gorączkował się coraz bardziej. — A teraz mówisz mi, że to wszystko psu na budę? Czy ty wiesz, ile pieniędzy władowałem…

— Uspokój się, proszę — przerwał mu ponownie Gabriel. — Jeszcze nic straconego, bo widzisz, mam pomysł. Tylko uważnie mnie wysłuchaj.

— No więc słucham…

11
16.35, RCUS, biuro dyrektora Farneya

Dyrektor Bernard Farney pojawił się dopiero po wpół do piątej. Uprzedzony przez prezesa natychmiast zadzwonił do policjantów i gorąco przepraszał za wyłączoną komórkę. Zaprosił ich do biura i z rozbrajającą szczerością oddał się do ich dyspozycji.

Skalski z Walczakiem zastali go rozmawiającego z dyrektorem Relikiem.

— Panowie mnie szukali — stwierdził gospodarz. — Jeszcze raz przepraszam…

— Tak, chcemy zapytać o… — Skalski wyciągnął dłoń, by się przywitać. Niezgrabnie zahaczył ręką o pasek swojego identyfikatora i próbując odruchowo się wyplątać, upuścił teczkę z aktami sprawy. Na podłogę posypały się papiery i zdjęcia. Relik schylił się energicznie i poskładał wszystko, by zapakować to z powrotem do teczki. Jedno ze zdjęć spowodowało, że zamarł. Wpatrywał się w nie przez kilka sekund jak zahipnotyzowany.

— To doprawdy straszne, straszne… Taki młody człowiek. — Zwrócił dokumenty.

Skalski podziękował za uprzejmość i poprosił o rozmowę w cztery oczy z Farneyem. Kiedy wreszcie zostali sami, zapytał:

— Czy może pamięta pan, dyrektorze, kiedy ostatnio przebywał w laboratorium?

— Nie tak dawno — zastanowił się. — Zeszła środa… Tak. Pamiętam.

— Co pan tam robił?

— Oprowadzałem gości, klientów zainteresowanych naszymi rozwiązaniami.

— To normalna procedura?

— Tak, częsta praktyka. Jako marketingowiec muszę dużo mówić, pokazywać i robić właściwe wrażenie. Wycieczka to część naszej rutynowej praktyki. Przepraszam, czy jestem o coś podejrzany? — zapytał z uśmieszkiem.

Skalski wyciągnął plan laboratorium i pochyliwszy się nad biurkiem, pokazał palcem miejsce znalezienia ofiary. Zapytał:

— Był pan tutaj?

— Mowa o tej wycieczce?

— Tak.

— Owszem. Nasz nowy system, który jest naszą tajemnicą, chlubą i nadzieją, dopiero powstaje i właśnie tam jest zlokalizowany.

— I ot tak go pokazujecie?

— To tylko szafy ze sprzętem. — Dyrektor wzruszył ramionami. — Tajemnicą jest kod w środku.

— Rozumiem. Czyli pokazywał pan swój produkt?

— W zasadzie to do mnie należy tylko jego sprzedaż. Za produkcję odpowiada dyrektor Szefler.

— Która to była godzina?

— Jakoś przed lunchem. Kwadrans przed dwunastą.

Skalski zapisał to w notesie, wyprostował się i zadumał.

— Czy chce pan coś jeszcze wiedzieć, panie inspektorze? — Farney ostentacyjnie spojrzał na zegarek. W jego głosie było słychać nutę zniecierpliwienia.

— Ostatnie pytanie. Czy był pan tam również w piątek? — Spojrzał uważnie w jego oczy.

— Nie. — Pewnie potrząsnął głową.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Ludzka rzecz zapomnieć…

— Możliwe. Jednak to bym akurat pamiętał, bo ta sprawa ciągle siedzi mi w głowie.

— W takim razie to wszystko. Dziękuję. — Miał się odwrócić, ale Farney zdążył rzucić:

— Jeśli mogę o coś zapytać…

— Tak?

— Dlaczego wypytujecie mnie o laboratorium?

— Drobnostka. Sprawdzamy wszystkich, którzy w zeszłym tygodniu je odwiedzili. Bez wyjątku.

— To zrozumiałe. Macie jakieś tropy?

— Za wcześnie, by o tym mówić.

— Mogę wam jakoś pomóc?

— A wie pan coś szczególnego? Coś pan widział albo słyszał?

— Nie. Chciałem tylko powiedzieć, że jak coś, to możecie na mnie liczyć.

— Dziękujemy. — Skalski skinął mu głową.

Nie trzeba było drążyć tego dalej. Zeznanie zgadzało się z zapisem systemu wejścia i wyjścia, co jeszcze rano zdążył sprawdzić Czerski. W stróżówce zaś potwierdzili, że wycieczka faktycznie odbyła się w środę.

Raz jeszcze objął wzrokiem biuro i wyszedł.

12
17.00, gdzieś na mieście

Pół godziny później Skalski i Walczak dojechali pod stylową kamienicę w starej części miasta. Najpierw wstąpili do taniej restauracji naprzeciw, usiedli przy swoim ulubionym oknie, z którego mieli widok na ulicę. Rzadko jadali normalnie. Posiadali tutaj stałą zniżkę od czasu, kiedy to po kilku udanych akcjach zamknęli bądź rozpędzili bandy haraczowników. Zdobyli tym szacunek wielu restauratorów, sklepikarzy i hurtowników, a nawet właściciela kamienicy, pod którą zaparkowali. W środku mieścił się bowiem lokal poświęcony uciechom ciała, gdzie często wizytowała śmietanka półświatka. Świetne miejsce do wyciągania aktualnych informacji o tym, co się działo na mieście. Stawali zatem tutaj dość regularnie, bo łączyli przyjemne z pożytecznym. Do tego okoliczni znali ten wóz i czuli się bezpieczniej, będąc pod stałą ochroną. Auto odstraszało też wszelkich uzurpatorów i wichrzycieli, którzy chcieli przejąć kontrolę nad tą dzielnicą. Ta stała obecność wystarczała, by zachować spokój mieszkańców, a w ramach nieustającej wdzięczności policjanci mogli tutaj korzystać z wszelkich wygód i bonusów.

Popołudniowa aura za oknem nie przypominała w niczym tej z rana. Chmury przegnało i ulice były już suche. Słońce chowało się za budynkami, oświetlając tylko najwyższe piętra.

Walczak był milczący. Skalski zaś, przegryzając dobrze wypieczony kotlet, przypomniał sobie poranne obrazy dzieciństwa: matka z rozciętą głową i pijany ojciec w pokoju. Mały Piotruś przecisnął się wtedy przez drzwi i uciekł, zanim pijany oprawca zdołał go złapać. Wybiegł na ulicę w cienkiej piżamce, biegł ślepo przed siebie mimo chłodu i padającego deszczu. Niespodziewanie chwycił go człowiek w mundurze o oczach tak

dobrych jak oczy jego matki. Zabrał do samochodu, ogrzał i delikatnie wypytał, co się stało.

Wrócili do jego domu. Malec, wczepiony w policjanta, zasłaniał się nim jak tarczą przed złem tego świata. Nie chciał wracać, ale w domu były jego siostrzyczki i kochana mamusia. Chciał być odważny. Chciał być silny. Chciał być jak ten stróż prawa, którego sama obecność wystarczyła, by ojciec skulił się i zaszlochał ze wstydu. Słowa były zbędne.

Ów policjant odwiedzał ich później wielokrotnie. Rozmawiał z nim, z siostrami, z matką i z ojcem. Czasem nawet przynosił malcom jakieś słodycze. Nie zmieniło to pijaństwa ojca, ale już nigdy nie podniósł na nikogo ani głosu, ani ręki. Matka uwierzyła wreszcie, że jej mąż nie jest panem i władcą. Piotruś wiedział, komu to zawdzięcza.

Walczak mlasnął głośno. Znak, że skończył posiłek. Obaj zapragnęli mocniej zakosztować lokalnej gościnności i przekroczyli bramę kamienicy. Nie wiedzieli tylko, że ponownie nie zajrzą tutaj szybko.

13
19.00, w drodze na komendę policji

Walczak, zanim zapiął pas, wyciągnął spod pazuchy swoją ukochaną piersiówkę. Skalski patrzył na to z pewną dezaprobatą, bo służba jeszcze się nie skończyła, ale wreszcie zagadnął niby bezinteresownie:

— Co ty tam tak pociągasz?

— A tam, taki miejscowy wyrób. — Walczak uśmiechnął się szeroko. — Może kropelkę?

— Przecież prowadzę — żachnął się Skalski. — Jakby nas zatrzymała drogówka i kazała dmuchać, jak by to wyglądało?

— No fakt! Ja już nie mam siły dmuchać. — Uśmiech przeszedł w ordynarny rechot. — Nie ma obawy, magiczne naczynko jest prawie pełne. Skosztujesz?

Bez słowa wyciągnął rękę.

Walczak poluzował zakrętkę i podał piersiówkę przyjacielowi. Ten kciukiem zwalczył ostatnią linię broniącą dostępu do trunku.

Skalski nie był abstynentem. O, co to, to nie. Pijał dość często, czasem nawet się upijał. Interesowała go bardzo różnorodność smaków i ludzka pomysłowość w wynajdywaniu klasycznych środków ogłuszających w płynie. Sam miał imponującą kolekcję mocnych alkoholi z różnych stron świata, nie stronił też od bardziej pospolitych odmian. Jednym słowem — koneser.

Profilaktycznie podszedł do procesu kosztowania z pewną dozą ostrożności. Temu zawdzięczał zachowanie panowania nad kierownicą.

— Rany boskie, co to jest? Chińska wódka? — spytał słabo Skalski, bo poczuł ogień w gardle.

— Na litość boską, szefie — zachrypiał Walczak — czy ośmieliłbym się nalać szefowi wódki? — Popisał się parafrazą Bułhakowa. — To spirytus. Receptura niejakiego pana Zbyszka.

— A kto to jest… ten pan… Zbyszek? — Skalski z trudem łapał powietrze.

— Taki miejscowy Panoramix.

Skalski ze zrozumieniem skinął głową. Piekło z gardła przeniosło się już do żołądka i zmieniło w łagodne ciepełko, przyjemnie roznoszące się po kościach. Fala uderzeniowa dotarła też do komórek mózgowych, nieodwracalnie spaliła kilka z nich i udrożniła drogę filozoficznym rozważaniom.

Wrzucił bieg i samochód ruszył.

— Najważniejsza, Walczak, jest równowaga — mówił rozluźniony już Skalski, prowadząc miękko. — Równowaga ducha i ciała. A ta jest niezbędna do czystego, nieskażonego procesu myślenia. W naszej pracy najgorsze jest zmęczenie, natręctwa popędów, myśli i demotywacja porażkami. Do każdej nowej sprawy trzeba wejść z czystym umysłem, nie uważasz?

— Może to działa na ciebie. — Walczak wgryzał się w ciepłego hot doga. — Niejeden chciał cię naśladować. Nawet ja wiodę podobny styl życia. I co? Ty masz to coś, ten dar, ten szósty zmysł, ten nos psa Pluto. We mnie ani żarcie, ani dziewczynki nie wyzwalają takiej przenikliwości. Może to przez picie?

— Miło, że mi schlebiasz. Ale tak jeszcze myślę, że pozwolę sobie na taką drobną uwagę, że potrzeba ci więcej przebywania na otwartej przestrzeni.

— Myślisz?

— Ewidentnie. — Rzucił okiem, nim skręcił w przecznicę. — Dla przykładu popatrz na tych z RCUS-u. Kalka więzienia, Walczak, widzisz to?

— Niby dlaczego?

— Zamknięci w ciasnych boksach jak w areszcie. Żywieni ziarnem poleceń i raportów niczym chlebem i wodą. Unikający pułapek, które na nich zastawiają współwięźniowie… pardon, koledzy lub przełożeni. Pod ciągłą obserwacją menedżerów, kamer i systemu wejść i wyjść. Używają slangu, nie uświadamiając sobie, jak bardzo naśladują grypsowanie.

— Masz to oko!

— Praca w terenie wyzwala, Walczak. Pozwala przewietrzyć stęchliznę psującego się z nadmiernego ucisku kłębowiska substancji szarej. Taka jest prawda.

Na skrzyżowaniu zatrzymało ich czerwone światło. Skalski zerknął, jak partner wciąga colę przez słomkę.

— Pamiętasz, jak byłem w Stanach?

— Tak. Na szkoleniu. Rok temu?

— Wiesz, że tam, jak zamawiasz colę, to oni nie rozumieją?

— Co ty gadasz? — zaśmiał się głośno.

— Serio. Wołasz: „Proszę o szklankę coca-coli”, ale nic się nie dzieje. Patrzą na ciebie jak na jakiegoś złamasa.

— I tego nie rozumieją? To niby jak trzeba zamówić?

— Trzeba ci wiedzieć, że oni mówią na to *coke*. Inaczej nie załapią. Mówisz *coke* i masz. Proste, nie?

— Kurczę, to mnie zaskoczyłeś…

— Ale jest gorzej. Uważaj! Jak źle to wymówisz, to możesz obrazić obsługę. Mają podobne słowo w slangu, bardzo obraźliwe. Możesz sobie niezłej biedy napytać. — Przycisnął gaz, by wyprzedzić rowerzystę.

— Jakie to słowo?

— *Cock*, które wymawiasz prawie tak samo jak *coke*. Jeśli wypowiesz to źle, to masz kłopot. W najlepszym przypadku wywołasz jedynie konsternację i wyrzucą cię z lokalu. W końcu obrażasz ich godność osobistą. — Uśmiechnął się, widząc, że partner przestał przeżuwać i znieruchomiał zamyślony. — Myślisz sobie: OK, wiem już, jak zamówić. Spinasz się, koncentrujesz i ostrożnie wypowiadasz *coke*. Patrzysz i wierzysz, że zadziałało, bo nie dostrzegasz żadnej negatywnej reakcji. I kiedy już odczuwasz ulgę i rozluźnienie, pada decydujące pytanie.

— Jakie? — wymlaskał osłupiały Walczak.

— O rozmiar szklanki — mruknął Skalski z ironicznym uśmieszkiem. — Myślisz, że to łatwizna? Co byś odpowiedział?

— Że wystarczy półlitrowa albo nawet zero dwa — wymamrotał.

— To błąd! Duży błąd. Obsługa cię nie zrozumie!

— Żart jakiś?

— Wszystko w funtach albo uncjach. A wiesz dlaczego?

— Nie wiem.

— Nie stosują tam miary metrycznej, rozumiesz? Żadnych kilogramów, litrów… funciaki albo uncje. Mile, a nie kilometry, Fahrenheity, a nie Celsjusze. Tam wszystko inne jest.

— Zaraz, to jak ich dzieciaki radzą sobie w szkole? Przecież to musi być trudne! — Walczak zatroszczył się nagle o młode pokolenie Amerykanów.

— No i pewnie jest. Ale myślę, że to zaplanowany rodzaj selekcji lepszych uczniów. Jak taki szczyl pojmie, co to są metry i litry, to jest łebski chłopak i idzie na studia. A reszta na zmywak. — Wziął głębszy oddech. Byli już blisko, więc przeszedł do puenty. — Ale ważniejsze, że to skutecznie zahamowało emigrację ze Stanów. Czy mądry, czy głupi, będzie miał za granicą problemy przystosowawcze. Nie zna miar, języków… Genialne w swej prostocie. Słyszałeś kiedyś o emigrantach z USA?

Walczak trawił usłyszane informacje. Szczególnie zaniepokoiła go możliwość problemów z kupnem pół litra. To stawiało niejako pod znakiem zapytania sens wyjazdu do USA.

Popitką się nie zamartwiał. Zamówiłby pepsi.

14
19.30, komenda policji

Dojechali na miejsce. Zabawili dłużej, niż planowali. Wersja wydarzeń dla ucha Czerskiego była jednak delikatnie zmodyfikowana.

— Wspomniałem o tobie w Komendzie Głównej!

— Naprawdę, szefie? — Przemęczone oczy Czerskiego patrzyły jak przez mgłę.

— Tak, tak. Ale my z akcji, trudnych rozmów, a ty tu filmy oglądasz. Co masz dla nas?

— Nie jest dobrze. Monitoring na niewiele nam się zdał. Pokazuje dosłownie tłumy ludzi wchodzących i wychodzących z labu.

— To nie pierwszyzna. — Walczak wzruszył lekko ramionami. — Po to są kamery, by obserwować tłumy, a policja ma przeglądać taśmy.

— Dane są na dyskach — pouczył Czerski i ciągnął: — Skorelowałem obraz wideo z zapisami z systemu wejść i wyjść. Tam jest troje drzwi prowadzących do labu, każde wejście bardzo ruchliwe — dodał jakby z wyrzutem. — Co gorsza, czasami do pomieszczeń wchodziły całe grupy, pierwszy otwierał drzwi, a za nim jak kaczki wbijali się inni. Tacy nie są, niestety, rejestrowani w systemie. Mam wydruki wszystkich niezidentyfikowanych.

— Jutro weźmiemy kogoś z firmy — zdecydował Skalski — i pomogą nam rozpoznać twarze.

— Aaaa, inspektorze… nie jestem pewien, czy ten monitoring się przyda… Z niezrozumiałych względów kamery są umiejscowione nie nad drzwiami do labu, ale gdzieś z tyłu. Nie widać wchodzących do środka.

Skalski zamarł, a Walczak uderzył czołem w stół. Rozległ się głuchy, pusty dźwięk.

— Zaraz… — ocknął się, masując czoło — ale widać wychodzących.

— Tak. O ile nie korzystali z wejścia numer trzy. Tam drzwi są tak usytuowane, że wychodzący na korytarz odwraca się do kamery plecami. Gdybym chciał wejść nierozpoznany do labu, to wszedłbym wejściem jeden lub dwa, a wyszedł wejściem trzy. Nie byłoby widać mojej twarzy i nie musiałbym się maskować.

— Trudno, nie zawsze gołąbki lecą wprost do mordki — skwitował Skalski. — Powiedz, co masz.

— Ostatni zarejestrowany w systemie wejść i wyjść człowiek wychodził o dziewiętnastej dwadzieścia trzy, ale… — zawiesił dramatycznie głos — nie ma go na kamerach monitoringu. Przejrzałem uważnie nagrania pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą i odkryłem ważną rzecz. To są nagrania z dnia poprzedzającego morderstwo, z dokładnie tego samego przedziału czasowego. Poprosiłem laboratorium o sprawdzenie tego. Poza tym nie ma już nic ciekawego na kamerach laboratorium aż do poniedziałkowego poranka.

— Wiemy, kim był wchodzący o dziewiętnastej dwadzieścia trzy?

— Tak. To ktoś, kto od miesiąca jest w delegacji.

— Jak to mamy rozumieć?

— Że ktoś posłużył się podrobioną kartą dostępu…

Jakiś jazgot muzyki współczesnej przerwał Czerskiemu. Ten odebrał telefon i chwilę słuchał. Wreszcie powiedział:

— Poczekaj, dam na głośnomówiący. — Odwrócił się i rzucił: — Szefie, dzwonią ze wstępną ekspertyzą wideo.

— Już? OK — upewnił się głos po drugiej stronie. — Próbowaliśmy zobaczyć, co z tymi nagraniami o dziewiętnastej. Otóż obraz wideo nagrywany jest interwałami, co jakiś czas otwierany jest plik z nową, dość przewidywalną nazwą i zapis jest kontynuowany. Wszystkie strumienie z kamer rejestrowane są zbiorczo w pojedynczym pliku. Najpierw myśleliśmy, że ktoś umyślnie nadpisał nagranie tym z dnia poprzedniego. Jeśliby tak zrobiono, to gdzieś na dysku mogłyby pozostać poszatkowane fragmenty oryginalnej wersji, normalnie niewidoczne w systemie plików. Sprawdziliśmy i nic. Nie ma. Gdyby tylko były, tobyśmy je odzyskali. Mamy do tego narzędzia. A tak klops. Wygląda to tak, jakby system

monitoringu wcale ich nie nagrał, tylko skopiował sobie stare nagranie sprzed 24 godzin.

— To w ogóle możliwe? — zapytał Skalski, zerkając na Czerskiego.

— Mało prawdopodobne, ale wszędzie, gdzie jest oprogramowanie, cuda się zdarzają — rzekł głos z telefonu.

Czerski parsknął śmiechem… jako jedyny.

— W pierwszej chwili podejrzewaliśmy jakiś globalny błąd systemu i sprawdziliśmy logi inżynierskie w systemie.

— A co to takiego? — zapytał Skalski.

— Logi inżynierskie to takie robocze składowisko, gdzie programy mogą się wyżalić, kiedy pojawiają się problemy. No i znaleźliśmy pierwszy błąd dokładnie o dziewiętnastej, że nie można otworzyć pliku. Wtedy nas olśniło i faktycznie, ktoś nagrał plik o takiej samej nazwie z atrybutem „tylko do odczytu”. Sprawdziliśmy go: powstał tego samego dnia o osiemnastej czterdzieści jeden. Ten ktoś musiał znać tę lukę, tę szczególną słabość tego oprogramowania. Wiedział, że ono nie radzi sobie z obsługą błędów i że czeka na kolejną szansę w przypadku kłopotów. W efekcie nagrywanie wznowiło się dwie godziny później, a my mamy lukę od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej.

— Świetna robota — pochwalił Czerski i się rozłączył.

Skalski jednak martwił się, że nie przybliża go to specjalnie do podejrzanego. Chciał mieć nagranie, na którym zobaczyłby go wprost. Jego sylwetkę, najlepiej twarz, ruchy ciała i to, co miał przy sobie. A tak wie tyle, co już wiedział. „No, nie do końca” dodał w duchu i rzekł głośno:

— Ktoś potrafił zmanipulować plik wideo, ale już nie rejestr wejść i wyjść. Inaczej by się nie fatygował z podróbką. Sprawca zna dokładnie ten szczególny typ systemu monitoringu. Czy to jakoś zawęża krąg?

— Musi posiadać co najmniej elementarną wiedzę z zakresu funkcjonowania tego konkretnego systemu plików — dodał Czerski. — Czyli wiedzieć, jak skopiować stary zapis wideo w miejsce nowego i zmienić uprawnienia.

— To chyba nic nadzwyczajnego w firmie komputerowej? — wtrącił z sarkazmem Walczak.

— Pozbierajmy to do kupy — próbował uporządkować wnioski Skalski. — Szukamy kogoś, kto bardzo dobrze zna się na tym systemie monitoringu, potrafi obsługiwać system plików… — Spojrzał wyczekująco na Czerskiego.

— Jednym słowem, ma do niego dostęp. Czyli jakiś login i hasło — ten podpowiedział.

— A sprawcą morderstwa jest zwykle osoba z najbliższego otoczenia — wyrecytował formułkę Walczak.

— Był też w firmie między osiemnastą czterdzieści jeden a dziewiętnastą trzydzieści trzy — powiedział do siebie Skalski. Nagle przypomniał sobie fragment z zeznania Diukiewicza o zdalnym dostępie. — Czy mógł wejść do tego systemu monitoringu ze swojego komputera? To się chyba nazywa zdalny dostęp, tak?

Czerski przez chwilę się zastanawiał.

— Powiedziałbym, że i tak, i nie. Tak, bo wszystkie komputery oraz urządzenia sieciowe jakoś się łączą. Nie, bo skonfigurowanie takiego połączenia wymaga ogromnej wiedzy o budowie infrastruktury sieciowej firmy, czasochłonnego konfigurowania routingów… Zdecydowanie łatwiej wejść do stróżówki i użyć ich komputerów.

— Albo z niej nie wychodzić — mruknął Walczak. — Jak sprawdzić, czy któryś ze współpracowników ofiary zna się na tym?

— Skontaktujemy się z producentem tego systemu i weźmiemy od nich listę wszystkich zwolnionych pracowników z paru ostatnich lat — zanotował Skalski. — Inne opcje?

Zamyślili się.

— Rzeczywiście, możliwe, że to zrobił ktoś z ochrony. Oni mają najłatwiejszy dostęp — przerwał ciszę Czerski, poruszony uwagą Walczaka.

— Możliwe. Oprócz obsługi kamer programują też identyfikatory. — Skalski pokiwał głową na zgodę.

Podszedł do białej tablicy i zapisał zmywalnym flamastrem: „1. Koledzy? 2. Strażnik?”. Po krótkiej chwili wahania dopisał: „3. H. Diukiewicz?”.

Walczak spojrzał na niego zdziwiony.

— Czuję, że nie powinniśmy tracić go z celownika. — Lekko usprawiedliwiającym tonem oznajmił Skalski. — Tak czuję… Morderca już o… — zerknął do notatek — już o osiemnastej czterdzieści jeden rozpoczął realizację planu. Ale de Bugaj zszedł do laboratoriów dopiero o dziewiętnastej czternaście. Kto inny mógł wiedzieć, gdzie będzie ofiara pół godziny później? — Zamyślił się. — Dobra, koniec na dziś. Jutro nowy dzień. Spotykamy się, jak dziś, o ósmej czterdzieści pięć. Mam nadzieję, że nasi chłopcy coś nam wyczarują.

Walczak ziewnął i zagadnął:

— Wiesz, Czerski, czemu w Ameryce nie można kupić pół litra?

— Bo nie stosują miary metrycznej? — bąknął.

— Patrzcie, jaki mądrala! — zacietrzewił się i rzucił: — To może wiesz, dlaczego wódka i pała to policjanta chwała?

Tego nawet Skalski nie wiedział.

— Bo jedno i drugie można wziąć i w mordę lać, he, he! — Aż się zgiął ze śmiechu. Oczy zaszły mu łzami i minęła dobra minuta, nim się uspokoił. Wtedy dodał: — Tak właśnie bym to zrobił, szefie. Trzeba ich spić i postraszyć pałką. Jeszcze takiego nie widziałem, co by wytrzymał taką kombinację.

Walczak dalej miał ochotę dręczyć Czerskiego i z teatralną przesadą zaczął go obwąchiwać jak, nomen omen, policyjny pies.

— Oho! Coś tu wyczuwam… — Przysunął się bliżej nad jego ramię. — Wypachniłeś się dla kogoś? Kakao Szanel? Fryz odstrzelony, gładko ogolony… — Przesunął dłonią po czuprynie młodego i obejrzał palce lepkie od żelu.

— Panie komisarzu! — Czerski zrobił się czerwony.

— Lekka nutka alkoholu… Nocą będzie gol po golu! — Zarechotał i poklepał go po ramieniu.

Purpurowy już Czerski bąknął coś pod nosem i zmył się, nie czekając na kolejne docinki.

15
22.20, mieszkanie Anny Tores

Anna Tores miała prosty sposób na taki dzień jak dzisiaj: długa kąpiel i wino. Dzisiejszego wieczoru pozwoliła sobie na jeszcze jedną słabość — zaprosiła do siebie Czerskiego. Z tej okazji przypomniała sobie o kupionym niedawno nowym komplecie bielizny, w której Czerski jej jeszcze nie widział, a następnie spędziła dłuższą chwilę przed lustrem. Chociaż wciąż nie do końca była zadowolona ze swojej sylwetki, to ostatnich kilka miesięcy wytężonych ćwiczeń zrobiło swoje.

Usłyszała pukanie do drzwi. W końcu! Skoczyła do nich pełna radości, ale w ostatniej chwili opanowała się i przyjęła naburmuszoną minę. Spojrzała jeszcze w lustro w przedpokoju, sprawdzając, czy sukienka rozchyla się we właściwych miejscach, i otworzyła drzwi.

— Spóźniłeś się — powiedziała ze świetnie udawanym wyrzutem.

— Przepraszam. — Czerski był autentycznie skruszony.

— Mogłeś chociaż zadzwonić.

— Słońce, przecież pisałem, że muszę jeszcze zostać w pracy…

— Mhmm… A zadzwonić to jaśnie pan nie raczył? — Zrobiła nadąsaną minę. — Chciałam usłyszeć twój głos, zamienić z tobą parę słów, a nie czytać bezduszne wiadomości… — rzuciła mu swoje przeciągłe i najbardziej niewinne spojrzenie, przygryzając przy tym wargi. To zawsze działało.

Objął ją mocno w biodrach i zaczął całować po szyi, mrucząc coś, co mogło brzmieć jak: „Ojej, jak musiałaś straszliwie cierpieć”.

— No już dobrze, dobrze — fuknęła i odepchnęła go. — Ale następnym razem zadzwoń do mnie. Masz szczęście, że jestem taka wyrozumiała…

— A czy chciałabyś, żebym zadzwonił do ciebie tylko po to, by powiedzieć, że nie mogę rozmawiać? — Objął ją w pasie. — Jak byś się wtedy czuła? A poza tym przez telefon nie mógłbym ci powiedzieć na przykład, że… — Nachylił się nad jej uchem i coś wyszeptał.

— Ty świntuchu! — zachichotała. Splotła mu ręce za karkiem, a następnie ugryzła w szyję.

— Wiesz zresztą, z jakimi ludźmi pracuję — wymamrotał, rozpinając niecierpliwie jej sukienkę. Z cichym szelestem opadła na podłogę. — Po prostu tak nie wypada…

— Och ty…! — jęknęła, gdy jego palce powędrowały po jej nagich plecach. Udawane opory zostały schowane. — Z kim ty się zadajesz na tej

komendzie?

— Z dzikusami! — mruknął i ścisnął ją za pośladek. — Ze zramolałymi alkoholikami!

— Głupol! — Odepchnęła go i ruszyła w kierunku sypialni. — Pytałam poważnie! Myślałby kto, że na komendzie macie taką patologię…

— Nie tylko taką. — Chwycił ją za rękę, obrócił i pocałował. — Niektórymi kierują inne pierwotne instynkty.

Anna czuła, jak pod wpływem wina na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

— Wytłumacz mi, proszę — pociągnęła go za sobą na łóżko — co takiego ważnego cię zatrzymało, że nie mogłeś nawet zadzwonić?

— Wiesz przecież, że nie mogę mówić o toczących się śledztwach. Zwłaszcza tobie.

— „Zwłaszcza tobie”? Dlatego, że jestem dziennikarką? — Usiadła na skraju łóżka i znów zrobiła minę niewinnej dziewczynki. — To jak skromne dziennikarki mają zdobywać informacje? Panie policjancie, to niech pan mi powie, jak mamy zdobywać informacje?

— Może skromne dziennikarki muszą mieć akredytację w prokuraturze? — Rozpinał w pośpiechu koszulę.

— Och, jaki pan formalny… Przecież mam akredytację… — Pomagała mu z koszulą. — No i po co mam jeździć do prokuratury i ich wypytywać, skoro mam tutaj pana?

— Bo przepisy… — Bronił się słabo, lecz ona wprawnym ruchem rozpięła i wyszarpnęła pasek z jego spodni.

— Dobro śledztwa… — Nie bronił się już w ogóle, gdy rozpinała mu spodnie. — Zagrożenie karą do dwóch lat pozbawienia wolności…

— Pieprzysz… — Zajęła pozycję właściwą do wspomnianej właśnie czynności. — Tyle tu na ciebie czekałam… taka samotna. Mam prawo

wiedzieć, jaka to wielka sprawa mi cię zabiera.

— Masz prawo milczeć. Bo wszystko, co powiesz, wykorzystam przeciwko tobie. A teraz… — Uśmiechnął się lubieżnie i przeszedł do ataku. — Teraz ja ci pokażę moją akredytację.

---

[1] *Mors certa, hora incerta* (łac.) — Śmierć pewna, jej godzina niepewna.

Rozdział 3

Dzień sprintu 3/10. Środa

1
7.00, laboratorium kryminalistyki

Olaf, doświadczony zarówno pod względem wieku, jak i stażu pracy laborant, starannie porządkował zdjęcia śladów butów z miejsca zbrodni w RCUS-ie. Ze względu na rodzaj podłoża można było zrobić wyłącznie odciski na foliach kryminalistycznych, podobnych do tych, na których zbiera się odciski palców.

Śladów było całkiem sporo, ale były one niezwykle czytelne. Przynajmniej dla kogoś z jego doświadczeniem. Wiedział, którego mopa używał sprzątacz, jaki detergent wlał do wody, i zrozumiał, że źle dobrał proporcje. Na takiej warstwie z łatwością był w stanie określić, które ślady były stare, co najmniej sprzed dwóch tygodni, kiedy to umyto podłogę, a które zostawiono całkiem niedawno. Mógł policzyć, ile kobiet przechodziło przez miejsce zbrodni. I to nie dlatego, że były w szpilkach. Rozpoznawał je po sposobie chodu i długości kroku.

Jeśli chodzi o szpilki, to znalazł tylko dwa ślady — jedne przykrywały prawie wszystkie inne, musiały więc być pozostawione tuż przed tym, jak Witek zebrał próbki. Zgadywał, że to odciski prokurator Skalskiej. Drugie miały już kilka dni i nawet dla niego były zadziwiające. Buty miały bardzo nietypowy kształt, dość szeroką szpilkę, a ich właścicielka przebierała nogami idealnie w linii prostej i tak drobnym krokiem, jakby miała stopy związane krótkim sznurkiem. Kiedy zobaczył wczoraj ich fotografie, nie

dawało mu to spać. W końcu o pierwszej nad ranem postawił hipotezę, że są to ślady pozostawione przez bardzo drobnej budowy kobietę z Dalekiego Wschodu. Nie bardzo mógł tę hipotezę zweryfikować, bo żona zrobiła mu dziką awanturę. Jakoś nie chciała uwierzyć, że oglądanie młodziutkich Japonek po nocach w internecie ma coś wspólnego z morderstwem w mieście.

Zbadanie tego tropu stanowiło dla niego pewne wyzwanie intelektualne, pozostałe to była czysta rutyna. Szybko odseparował ślady Witka, które znał niemal tak dobrze jak swoje. Wiedział, gdzie zatrzymali się Skalski i Walczak — ci dwaj zawsze zachowywali się tak samo. Skalski podchodził do bezpośredniego miejsca przestępstwa bardzo ostrożnie, nigdy się nie wiercił, nie łaził dookoła i zawsze wracał po swoich śladach. Walczak stał zwykle nieco za jego plecami, na szeroko rozstawionych nogach. Z oczywistych śladów wykluczył odciski policyjnych butów. Wokół było jeszcze dosłownie wydeptane niewidzialne pole śladów tanich sportowych butów. Z relacji Witka wynikało, że był to znalazca zwłok, pracownik firmy, który nerwowo chodził w kółko, a mundurowemu jakoś nie przyszło do głowy, aby go powstrzymać.

Z pewną dumą pomyślał o sobie, że może odtworzyć chronologicznie całe zdarzenie; że jest pierwszym, który wie dokładnie, co się wydarzyło. Nawet przed chłopakami zajmującymi się DNA. Z satysfakcją patrzył na całkiem wyraźny trop. Krok był krótki, co na pierwszy rzut oka sugerowało kogoś o niskim wzroście. Ale on nie dał się nabrać. Mikrozdjęcia wyraźnie pokazywały minimalne rozmazanie odcisków, czyli ktoś szedł bardzo, bardzo ostrożnie i dlatego robił krótkie kroki. Ślady dochodziły tylko do miejsca zwłok. Tam była cała ich grupa, wyjątkowo wyraźnych — jakby ktoś specjalnie dociskał buty do podłogi. I oczywiście tak było — twórca śladów, dusząc ofiarę, przyjął na siebie część jego masy, rozstawił też

bardzo szeroko nogi, by zapewnić sobie stabilność. Potem zawrócił na pięcie, co było widoczne jako koliste rozmycie, i szybkim, teraz już dość długim krokiem, wrócił tą samą drogą.

Zdjęcie tych odcisków było już w komputerze. Oby mieli ten wzorzec już zidentyfikowany… A to nie było oczywiste. Gwałtownie rosnący handel międzynarodowy, zwłaszcza z Chinami, rzucał rocznie na rynek tysiące modeli obuwia. Trudno przypuszczać, żeby…

Nie skończył nawet myśli, kiedy komputer zgłosił dopasowanie obrazu do wzorca zgodne w 99,97%. Model produkowany przez firmę z Europy, bardzo popularny i łatwo dostępny, ale i bardzo, bardzo specyficzny — stosowany przez firmy ochroniarskie.

Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Szykowała się wódeczka ze Skalskim i Walczakiem.

2
9.00, w drodze do mieszkania podejrzanego

Poranek był równie podły, jak dnia poprzedniego. Znowu mżyło, a na dodatek zrobiło się chłodniej. Na szczęście przynajmniej odprawa była krótka; zajęła im dosłownie kwadrans.

Skalski z dumą wskazał grubą teczkę wypełnioną dokumentami:

— Panowie! — zaczął z emfazą. — Na początku gratuluję wam ciężkiej i doskonałej pracy. Oto pierwszy tom akt naszej sprawy: zeznania świadków — tutaj Walczak skrzywił się mimowolnie — dokumentacja fotograficzna, akta osobowe ofiary i jego najbliższego kręgu, przyjaciół i przełożonych, opis środowiska, miejsca zbrodni i parę innych zbędnych papierów. To będzie ważny dowód w sądzie, kiedy już ujmiemy sprawcę — zakończył mentorskim tonem.

— Statystyki mówią — odezwał się niepewnie Czerski — że nazwisko sprawcy zazwyczaj pojawia się już w pierwszym tomie akt.

— Może dlatego, że właśnie pierwszy tom zawiera nazwiska bliższego i dalszego kręgu rodziny i znajomych? — wyjaśnił tę zaskakującą prawidłowość Walczak.

W ciągu kolejnego kwadransa zostały podjęte wszystkie ważne decyzje na cały dzień. Spłynął rzeczywiście tylko jeden, ale za to jakże ważny dowód z laboratorium ekspertyz sądowych. Ekipa techniczna, nie czekając na śledczych, wyruszyła już z samego rana, by zabrać z RCUS-u wszystkie buty strażnicze do analizy porównawczej. Walczak z typowym dla siebie wyczuciem taktu stwierdził, że schludnie umundurowana ochrona będzie biegać po piętrach na bosaka, a wykształciuchy od ekspertyz będą wozić obuwie jak hurtownicy z fabryki.

Skalski nie dał tego po sobie poznać, ale był zaskoczony takim obrotem sprawy. Gdyby to były odciski sportowego obuwia albo pantofli, krąg podejrzanych byłby znacznie szerszy, ale też zgodny z jego wczorajszymi przemyśleniami. Tymczasem ciężkie buty, podobne nieco do wojskowych, chociaż nie tak masywne, nie były obuwiem ani programistów, ani menedżerów. Na pewno też nie nosił takich wyglancowany jak panienka Diukiewicz. Nie spodziewał się śladów, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu, prowadzących do któregoś ze strażników.

Na podstawie raportu laboratorium Skalski zarządził, że należy przesłuchać, a może nawet zatrzymać strażnika pełniącego służbę w dniu morderstwa. Zdecydował, że pojedzie po niego z Czerskim, a Walczak zbierze wszelkie dostępne informacje o podejrzanym i przygotuje się do przesłuchania na komendzie.

Kwadrans po zakończeniu odprawy Skalski prowadził już wóz. Czuł się niespokojnie. Nie wiedział, czy to przez nadchodzące zatrzymanie strażnika

firmy, czy też powodem tego stanu było dokuczliwe milczenie siedzącego obok Czerskiego. Jedyną metodą na przerwanie tego dyskomfortu mogła być rozmowa.

— I jak myślisz, młody, przyzna się?

— Nie wiem. Obawiam się raczej tego, że będzie się stawiał przy zatrzymaniu — pokręcił głową Czerski.

— Nie martw się. Z tym sobie poradzimy. Najważniejsze, że mamy ślad potwierdzający jego pobyt na miejscu zbrodni.

Czerski skinął głową, ale Skalski tego nie widział, zajęty obserwacją ruchu na drodze. Nie chcąc jednak jechać w ciszy, znów zagaił:

— A właśnie… Czytałem twoje akta…

— Co takiego? — Czerski niemal wyskoczył z fotela.

— …chciałem tylko powiedzieć… źle to zabrzmiało… Chodzi o to, że tam się wszystkiego nie wyczyta. — Ton Skalskiego był więcej niż uspokajający. — Opowiedz mi coś o sobie — wykrztusił wreszcie.

— Ale… Ale co pan chciałby wiedzieć? — Prośba ta zupełnie zaskoczyła Czerskiego.

— Zacznijmy od tego, dlaczego trafiłeś do policji. Przecież ciągnie cię do techniki, komputerów i tego wszystkiego, nie?

Czerski przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— To prawda. Marzyłem o studiach informatycznych. Ale nie wyszło. — Westchnął z żalem. — Może wyda się to panu głupie, ale chciałem być dokładnie taki jak ci z RCUS-u.

— I co się nie udało? Słabe stopnie, egzamin?

— Rozbiło się o pieniądze — ponownie westchnął Czerski. — Nie dostałem żadnego stypendium. Moja rodzina nie należy do tych majętnych, wie pan?

— To nie grzech. Ani wstyd.

— Niby renta dla półsieroty, ale komornik siedział na koncie za długi nieżyjącego ojca. Z tego względu miałem tylko dwie realne opcje, które wspierały finansowo edukację. Wojsko lub policja. Wybrałem to drugie.

— Nie żałujesz?

— Specjalizację mam informatyczną, więc chyba nie powinienem narzekać — mruknął. — No i w końcu trafiłem w pewnym sensie do korporacji.

— Teraz musisz to odpracować, nie?

— Zgadza się. Taki układ.

— Jak mieszkasz?

— Miałem szczęście i z przydziału dostałem mieszkanie służbowe. Sprowadziłem matkę, bo sama na wsi zostać nie mogła. Ma nie najlepsze zdrowie i wymaga opieki.

— Nie masz rodzeństwa?

— Mam dwie siostry. Byłem najmłodszy, a one dawno rozeszły się do miast z rodzinami. Ale to pan pewnie też już wie.

Znów zapadła cisza, która zaczęła się irytująco przedłużać. Głupio było tak naciskać na zwierzenia.

— Szefie — zagaił Czerski. — Niepokoi mnie jedna sprawa…

— Wal śmiało — zachęcił Skalski.

— To taka niezręczna sytuacja. Ja… W żaden sposób nie chciałbym, aby odebrał pan to jako kwestionowanie kompetencji kogokolwiek, ale… odnoszę wrażenie, że komisarz Walczak nadużywa alkoholu — wydusił z siebie. — A co gorsza robi to na służbie. Widzą to wszyscy, z którymi rozmawiamy. Bynajmniej nie podbudowuje to naszego autorytetu. No bo jaki autorytet ma policjant cuchnący gorzelnią? Pan go zna, ja nie. Czy on zawsze jest taki?

— Zawsze. — Skalski spojrzał na niego przenikliwie. — Widzę, mój młody kolego, że masz z tym problem.

— Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Po prostu nie chcę, żebyśmy zaprzepaścili to śledztwo tylko dlatego, że on jest ciągle urżnięty. To moja pierwsza sprawa i z całą pewnością będzie rzutować na moją karierę.

— A widziałeś go kiedyś na bani?

— Nooo… nie… — odparł niepewnie Czerski.

— Walczak zna swoje granice. Wie, ile mu wolno na służbie, a ile po. Jednak faktem jest, że ma taki swój… specyficzny styl bycia.

— Styl bycia? — oburzył się Czerski. — Toż to pijaństwo!

— Powiem tak: przyzwyczailiśmy się do tego. Nie położył przez to żadnej sprawy. Co więcej, nie tylko nie położył, ale niejedną genialnie rozpracował. To mistrz pracy w terenie. Podam ci przykład. Był taki czas, że miejscowe gangi gnębiły haraczami lokalny biznes. Doszło nawet do serii morderstw. Walczak, właściwie w pojedynkę, zidentyfikował wszystkich członków najważniejszych grup przestępczych. Zakumplował się z nimi, znalazł informatorów, rozmawiał nawet z ich szefami. Myślisz, że abstynent by tego dokonał? Jakiś sztywniak trzymający się ścisłej dyscypliny, regulaminu i procedur? On odwalił całą brudną robotę. Bez nacisków, bez ponagleń. On po prostu wie, co ma jakie znaczenie. I powiem więcej, sam komendant Głowa przymyka oko na to jego picie, bo wie, że właśnie takich ludzi mu trzeba. Takich, co mają jaja i wyniki, a nie wyglancowane mundury i tępe, służalcze spojrzenie.

***

Podejrzany Istvan Rado zgodził się na przesłuchanie wyjaśniające. Śledczy nie ujawnili mu żadnych szczegółów, ale poprosili o zeznanie w siedzibie policji, pouczając, że może odmówić. Ten jednak z tego prawa nie

skorzystał. Wyraźnie chciał pomóc w dochodzeniu i niczego jeszcze nie podejrzewał. Bez oporów wsiadł do samochodu i w niespełna pół godziny dotarli na komendę. Walczak, jak było mu nakazane, podjął z nim rozmowę, a Skalski z Czerskim przyglądali się temu w drugim pokoju poprzez kamerę zamontowaną w sali przesłuchań.

— Czym się zajmujesz w firmie RCUS? — zapytał Walczak.

Etap wstępnej rozmowy o personaliach i statusie rodzinnym mieli już za sobą.

— Jestem strażnikiem — odpowiedział grzecznie. Ton głosu silnie kontrastował z posturą tego człowieka. Istvan był bowiem wysoki i mocno zbudowany, miał orli nos i świdrujące spojrzenie.

— Jak długo? — Walczak coś zapisywał.

— Pracuję tam od pół roku.

— Na czym polegają twoje obowiązki?

— Obserwacja, kontrola, obchód o ustalonych porach, reagowanie w sytuacjach zagrażającym porządkowi lub bezpieczeństwu ludzi i mienia.

— Czym się zajmowałeś wcześniej?

— Byłem bezrobotny. Czasem prace dorywcze. Głównie w nocnych klubach.

— A jeszcze wcześniej?

— Odbywałem wyrok — rzekł, spuszczając wzrok.

— To się zgadza z moim raportem — potwierdził Walczak, zerkając do teczki. — Za co siedziałeś?

— Za pobicie…

— Taka błahostka? — udał zdziwienie. — To raczej nie powód do osadzenia w więzieniu. Jak to z tym było?

— To nie był mój pierwszy raz… sąd stracił do mnie cierpliwość — przyznał niechętnie.

— Jak więc cię zatrudnili w takiej firmie? Z pewnością kazano ci przedłożyć zaświadczenie o niekaralności.

— Kara uległa zatarciu, bo złożyłem wniosek do sądu. Tak mi doradził kolega z celi…

— Powiedz, Istvan, co robiłeś w ostatni piątek? — Walczak wbił wzrok w strażnika.

— Pracowałem na nocnej zmianie.

— Od której do której?

— Przyszedłem na osiemnastą, wyszedłem o szóstej następnego dnia. Mamy system dwunastogodzinny.

— A wcześniej?

— Przed osiemnastą? — upewnił się przesłuchiwany.

— Tak. Opowiedz, co robiłeś od samego rana.

— No, wstałem późno, jakoś o dziesiątej, prysznic, potem śniadanie, zakupy, o czternastej przygotowałem obiad, o piętnastej pozmywałem, obejrzałem mecz, o siedemnastej zebrałem się do pracy i tyle.

— Może to ktoś potwierdzić?

— Nie. Mieszkam sam.

— Masz własne mieszkanie?

— Tak. Po rodzicach.

— A oni gdzie teraz są? — dociekał Walczak.

— Oboje nie żyją… — wyszeptał smutno.

— Mówiłeś, że oglądałeś wtedy mecz. — Wrócili do poprzedniego tematu.

— Tak. Towarzyski.

— Ile było do przerwy?

— Jeden zero dla naszych. Lawendinio strzelił z karnego — odparł pewnym głosem.

— A po dziewięćdziesięciu mintach?

— Wtopa dwa do jednego. Wbili nam w doliczonym czasie — mówił bez wahania.

— Byłeś zły?

— Eee, nie bardzo. Raczej zawiedziony.

— Mówią co innego…

— Kto mówi?

— Kolega ze zmiany. Mówił, że byłeś pobudzony. — skłamał Walczak.

— Naprawdę?

— No tak powiedział. — Pomachał kartką, na której było zeznanie kogoś zupełnie innego.

— Skoro tak mówi… — Skrzywił się strażnik, nie dowierzając. — Ale to dziwne.

— Wiesz, wracając do meczu, ja też go oglądałem — dołożył kolejne kłamstwo Walczak. — I byłem rozczarowany. Strasznie mnie nosiło i zwyczajnie chciałem komuś jebnąć. Czaisz?

— Wiem, o czym pan mówi — skinął głową.

— Machnąłem trzy kolejki i poszedłem z psem na spacer, zanim się uspokoiłem. A ty jak sobie radzisz z takimi nerwami?

— Teraz się tak nie spinam. Pomogła mi terapia, jak odbywałem wyrok. Kiedyś to co innego…

— Opowiedz mi o tym.

— Nie ma się czym chwalić. Wstyd. Po prostu wstyd. Dawniej to mi to, cholera, strasznie imponowało i mnie cieszyło. Bywało tak, że wystarczyło jedno wrogie spojrzenie i gość dostawał między oczy. Rozumie pan? Tylko tyle. Jaką wtedy radochę z tego miałem! Najbardziej jak koleś padał na ziemię od jednego strzała… jaki ja głupi wtedy byłem… Tępa zgraja

podrostków wałęsająca się bez celu po osiedlu i szukająca przygód. Żałosne.

— Nie wraca ci to?

— W ogóle. Trzeba zrozumieć stan swojego „pustogłowia”. Dostać w dupę. Wtedy się człowiekowi odmienia. Dobrze z tą terapią trafiłem.

— Pamiętasz, jak wchodziłeś do laboratorium o dziewiętnastej trzydzieści? — Walczak przeskoczył na właściwy tor.

— O jakim dniu mówimy?

— O ostatnim piątku.

— Nie wchodziłem w tym czasie. Obchody mamy o pełnych godzinach — pewnym głosem odpowiedział strażnik.

— A, prawda — przyznał Walczak. — W systemie nie zarejestrowano wtedy twojej karty. Tylko inną… wiesz coś o tym?

— Nie. Patrzę tylko w monitory.

— To kto tam wchodził? Musiałeś to widzieć, nie?

— Obrazy się zmieniają. Jest kilkadziesiąt kamer. To nie takie proste.

— Widziałeś czy nie?

— Nie.

— Dlaczego?

— No… po prostu.

— Powiem ci dlaczego. Nie widziałeś, bo nie było cię w stróżówce. — Walczak pochylił się nad stołem, zbliżając twarz do przesłuchiwanego.

— Jak to? Skąd pan wie? — Strażnik szeroko otworzył oczy.

— My dużo wiemy. Was też ktoś obserwuje… — Walczak wyczuł przewagę, bo prosta sztuczka chwyciła.

— No tak — przyznał. — Kamery są wszędzie. Siedziałem wtedy za biurkiem recepcjonistki, przy głównym wejściu do budynku.

— Co tam robiłeś? — zapytał szorstko.

— W pomieszczeniu z monitorami jest słaby zasięg, a ja chciałem obejrzeć serial na swoim smartfonie.

— Kuźwa, nie wciskaj mi bzdur! — Walczak wrzasnął tak głośno, że strażnik aż się wzdrygnął.

— Nie kłamię!

— Mam uwierzyć, że zamiast obserwować monitory poszedłeś oglądać film?

— Właśnie tak!

— A ja ci mówię, że wciskasz mi kit! Wyszedłeś, bo trzeba było komuś jebnąć w łeb! — Uderzył w stół.

— NAPRAWDĘ! — krzyknął strażnik.

— Wiesz, że w labie był trup?

— Tak, wiem. — Trząsł się.

— Poszedłeś tam, zajebałeś gościa i wróciłeś! Tak?

— Nie! — Był poważnie przerażony. Musiało do niego dotrzeć, że jest głównym podejrzanym.

— Jak nie, to jak? Powiedz, bo tracę cierpliwość.

— Przecież już mówiłem! Dlaczego pan mi nie wierzy?!

Przerażony, trzęsący się strażnik patrzył długo w oczy Walczaka. Słowa wybrzmiewały echem, ale treść jakoś wolniej docierała do świadomości. Wreszcie dobył się załamany głos:

— To jego… zabito?

— Tak. — Walczak stonował i spojrzał z drwiącym uśmieszkiem. — A ty… ty zostawiłeś tam swoje ślady.

***

Czerski, patrząc nieobecnym wzrokiem w ekran z mieniącymi się grymasami twarzy przesłuchiwanego i przesłuchującego, błądził myślami

zupełnie gdzieś indziej. Zapytał głośno trawiony ciekawością:

— A te jego umiejętności… praca w terenie. Nauczył się tego w policji?

— Mówisz o Walczaku?

— Tak.

— Częściowo na pewno tak, bo samo praktykowanie jest najlepszym szkoleniem, ale już wcześniej miał spore doświadczenie.

— A co robił wcześniej?

Oczy Skalskiego zwęziły się w szparki, ale zaraz lekko się uśmiechnął.

— Był księdzem.

— Co? — Czerski zastygł w bezruchu.

— Był księdzem. Skończył seminarium duchowne i był wikarym na jakimś zadupiu.

— Poważnie? Wkręca mnie pan!

— Ile razy mam to powtórzyć? — zapytał łagodnie Skalski.

— Jasne, jasne… Ale trudno mi w to uwierzyć. Walczak księdzem! Niesamowite! — Podniósł się ze złośliwą iskrą w oku. Spojrzał na ekran, na którym komisarz toczył bitwę z podejrzanym, ale nie potrafił się skupić na tym przesłuchaniu. Nie wytrzymał i drążył dalej:

— Walczak księdzem… To nie do uwierzenia… Ma z tym problem? Jak z alkoholem?

— Może kiedyś sam ci opowie. Jeśli cię polubi.

***

— Jakie znowu ślady? — zapytał strażnik łamiącym głosem, nie wierząc w realizm całej sytuacji.

— Butów. Wzór podeszwy i rozmiar pasuje do twoich. Odciski z miejsca zbrodni zdjęli nasi specjaliści od traseologii. Popatrz tylko na te zdjęcia. —

Wysunął jedno z teczki i podał przesłuchiwanemu, który nie mógł opanować drżenia.

— To niemożliwe! — krzyknął.

— Możliwe, możliwe. Mów, bracie, jak było. Od początku! — ponaglił Walczak.

— Mówiłem. Możecie to chyba jakoś sprawdzić, nie?

— Co znowu sprawdzić?

— Że oglądałem film w recepcji!

— Kurwa, jak włączę sobie telewizor w domu, to wcale nie muszę go oglądać. Mogę wtedy sobie, dla przykładu, wyjść na miasto i zajebać jakiegoś kolesia, nie?

— No chyba widać mnie na nagraniach z kamer?

— O ile ich ktoś nie wyłączy, to tak. Ale tego zapisu nie mamy. A kto mógł przy nim grzebać? Kto jest panem monitoringu w firmie?

— Co pan mówi? — Istvan zupełnie tracił kontrolę nad ciałem wstrząsany nieregularnymi spazmami.

— A czy nie zajmujesz się wyrabianiem kart dostępowych dla pracowników?

— Jaki to ma związek ze sprawą?

— Ktoś wszedł do laboratorium, używając podrobionej karty. Kto mógł ją podrobić, co?

— Nooo… — zaciął się, oblewając się potem i tracąc oddech.

— A kto zgłosił się do posprzątania krwi po ofierze?

— Zgłosiłem się, bo nikt tego nie chciał zrobić. — Odblokował się. — Nikt z ekipy sprzątającej! Wszyscy odmówili!

— A ty niby taki twardziel i spływało to po tobie, co?

— Ja w więzieniu nie takie rzeczy widziałem! Nie takie rzeczy sprzątałem.

— I serduszko ci nagle zmiękło? Wzruszające…

— Powiedziałem, że jak zapłacą, to wyczyszczę podłogę.

— Za kasę sprzątniesz wszystko, co?

— Cholera, przecież mówię o czyszczeniu wykładziny po wypadku. A pieniędzmi nie gardzę, bo za długo byłem bezrobotny.

— Nie było wypadku, tylko morderstwo — poprawił Walczak. — Mów szczerze, co się tam stało. Całą prawdę!

— Ale się pan uparł. Ciągle pyta pan o to samo. Ileż można?

— Tyle, ile będzie konieczne.

— Ale ja już mówiłem! Niczego nie zrobiłem! — zapierał się.

— Ha! Sprawa poszłaby naprzód, gdybyś jednak coś powiedział — przekonywał Walczak. — Problem zniknie, nie będziemy tracić czasu i wszyscy poczujemy ulgę. Ja chętnie i cierpliwie posłucham. Jestem w tym świetny i potrafię wszystko zrozumieć. No i byłoby to dla ciebie bardzo korzystne.

— Niby co?

— Powiedz mi jak na spowiedzi, jak było, a wtedy przedstawię ci opcje gwarantujące wyjście z tej sytuacji. A na współpracy z nami zawsze dobrze się wychodzi. Wszyscy, to znaczy my, prokurator, sąd będą ci przychylni. Naprawdę chcemy ci pomóc. Po co się tak dręczyć?

Walczak chwilę mu się przyglądał. Tamten unikał spojrzenia, wodząc wzrokiem ze stołu na krzesła i z powrotem.

— Istvan… widzę, jak się męczysz… trawi cię to… Jestem tutaj też po to, byś mógł to z siebie wyrzucić, poukładać.

— Jeżeli pyta mnie pan, czy mam wyrzuty sumienia, to tak, mam! — Wybuchł.

Walczakowi zabłysły oczy. Wyostrzył zmysły, wyczekując na właściwy moment. Przesłuchiwany ciągnął dalej:

— Przyznaję, nawaliłem. Mogłem go uratować… gdybym tylko był na wartowni i patrzył w te cholerne monitory. Może bym coś widział, zareagował. A tak… skąd miałem wiedzieć, że dojdzie do morderstwa? Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają!

— Skoro tak… — westchnął Walczak i spróbował inaczej: — To powiedz mi, czy jest możliwość i powód, dla którego jakiś administrator serwerowni, a może sprzątaczka, widzieli cię wychodzącego z laboratorium około godziny dziewiętnastej trzydzieści?

— Nie mogli mnie tam widzieć. Nie robiłem obchodu o tej porze, bo wtedy oglądałem film!

— To jak wytłumaczysz ślady twoich buciorów na miejscu zbrodni?

— Nie było mnie tam wtedy! Nigdy tamtędy nie przechodziłem!

— W jakich okolicznościach wyrobiłeś duplikat karty dostępowej?

— Jakiej karty? Nic takiego nie zrobiłem! W ogóle mnie tam nie było i nikogo nie zabiłem. Mówię PRAWDĘ!

— Skoro tak… — Walczak się uspokoił. — Istvanie Rado, zatrzymuję cię jako podejrzanego o morderstwo Nikodema de Bugaja. Nie usłyszałem niczego, co mogłoby choć trochę zachwiać moim przekonaniem o twojej winie. Dowody są wystarczające.

3
12.00, kawiarnia

— Wiesz, wynająłem domek nad jeziorem na weekend — szepnął starszy człowiek do równej mu wiekiem kobiety. Na nosie miał kanciaste okulary, twarz dość miłą, spojrzenie dobrotliwe, a włosy białe i lekko przerzedzone. Wnętrze kawiarni, w której siedzieli, było bardzo intymne — stoliki przedzielone zostały lekkimi, zdobionymi ściankami. W tle brzmiała

spokojna muzyka. Na stole oprócz filiżanek stały dwa talerzyki z kawałkami ciasta.

— Jedziesz z rodziną? — Kobieta w okularach zrobiła smutną minę. Grube oprawki pogłębiały jej żal i wiek.

— Zaskoczę cię. — Uśmiechnął się. — Chciałem się wybrać z tobą!

— No nie wiem… — Udała powściągliwie kobieta.

— Skoro nie chcesz…

— Pewnie, że chcę! — Niemal klasnęła w ręce. Poczuła się jak nastolatka.

— A zdążysz do jutra się spakować? — Dotknął zaniepokojony jej dłoni. — Myślałem, by wyjechać o osiemnastej.

Spojrzała na niego rozpromieniona.

— Och! To muszę dziś wyjść z pracy wcześniej. Trzeba kupić kilka drobiazgów i przygotować wszystko na podróż. — Zaplanowała pełna radości. Kiwnął głową i zajęli się ciastem i kawą. Ta niespodzianka bardzo ją ucieszyła i potwierdzała, że sprawy między nimi układają się wzorowo. Kiedy zostały jej już tylko okruszki na talerzyku, wróciła myślami do pracy.

— Jak to rozegramy z zarządem, Lucjan? — zagadnęła.

— Nie wiem, Zuzia, ale mam pewien pomysł na Szeflera. — Lucjan Frost wydawał się tym zafrapowany.

— Jaki? — zaciekawiła się.

— Myślę, że trzeba poróżnić dyrektorów. Wiesz, zrobić taki kwas, ferment, by zarówno prezesa, jak i zarząd zemdliło.

— Coś konkretnie? — Upiła łyk.

— Nieścisłości w wydatkach. Jest kilka pozycji, które można właściwie dowolnie przypisać do departamentów.

— I co z tego?

— Suma wydatków w księgach będzie się zgadzać. Czyli wszystko będzie w porządku, ale wyjdzie, że pewne obciążenia departamentu Szeflera pójdą na konta departamentów Farneya i Relika.

— Chcesz obciążyć pozostałych dyrektorów wydatkami Maksymiliana?

— Właśnie. Opóźnimy też zaksięgowanie zwrotu ze skarbówki. To ograniczy ich i tak już wątłe możliwości operacyjne. Nagle zabraknie im gotówki… co prawda tylko na chwilę, ale czasu nie potrzebujemy wiele. Byle do głosowania.

— Czyli wyjdzie, że Szefler ma na koncie pieniądze kosztem pozostałych wydziałów?

— Owszem.

— Będą wściekli. — Uśmiechnęła się tak, że zajaśniały jej implanty zębów.

— O to właśnie chodzi. I rozsiejemy plotkę, że to dzięki układom Szeflera z prezesem. Ten smród musi dojść do zarządu. A tak się świetnie składa, że ty akurat znasz tam kogoś…

— Świetny pomysł. Zarząd zobaczy, że to takie obrzydliwe, tandetne faworyzowanie tego lowelasa. — Pochwaliła, kiwając głową z uznaniem. — A wiesz, mnie też właśnie przyszło coś do głowy. Coś, co uzupełni twój plan.

— Co takiego?

— Gdyby tak Aivar niespodziewanie podziękował niektórym pracownikom za współpracę.

— Zwolnienia? — Zmarszczył czoło i przymknął powieki.

— Mogę spróbować to tak ustawić, że wyjdzie na jego autorytarną i samowolną decyzję. Takie siłowe szukanie oszczędności. Idealnie do niego pasuje. Żebyś widział, jak ostatnio potraktował Relika. Ale mniejsza z nim. Ważne, że mogę narobić niezłego zamętu.

— Jak chcesz to osiągnąć?

— Skoro ty doprowadzisz do małego kryzysu płynności finansowej u Farneya i Relika, ja podsunę mu konieczne rozwiązanie: szybkie zwolnienia w deficytowych departamentach. Nie u Szeflera, oczywiście. Koniec końców wyjdzie, że Aivar działał w pośpiechu, ale oszczędził swojego pupilka. Ile z tego będzie nienawiści!

— Imponujące. To zdopinguje Farneya i Relika do odegrania się na Szeflerze. Moja ty bogini Isztar!

— Mój ty piekielny Mefisto!

— A jak tam nasz zaufany konfident? — Zmienił nagle temat.

— Czeka na rozkazy. Jest ambitny, młody i liczy na szybkie awanse.

— Zna prawdę?

— Nie mówiłam mu. Przecież wiesz.

— Chcę go wreszcie poznać.

— Dobrze. Zorganizujemy jakieś spotkanie, może w następny weekend.

— Cieszę się — rzekł nieszczerze, bo obawiał się tego spotkania.

— A jak ja się cieszę! Ten wyjazd! Taka niespodzianka! — I zerknęła na zegarek. — Ojej! Najwyższy czas wracać do biura!

— Odprowadzę cię do samochodu.

Rzucił pieniądze na stół, wstał i wyszli.

4
12.25, RCUS, gabinet dyrektora Lucjana Frosta

Monika Reshke wróciła z lunchu nieco wcześniej niż zwykle. Pod drzwiami do gabinetu Frosta napotkała jednego z ludzi dyrektora Jurysta. Mężczyzna w średnim wieku, o niezwykle pociągającej — i to obie płcie — aparycji, był znany jako zarozumiały pyszałek, arogant i mitoman, a także

jako ulubieniec i, jak głosiła plotka, kochanek Jurysta. Był ubrany w garnitur od Armaniego i złote okulary. W ręce trzymał fioletowy segregator.

„Ależ mu ten kolor pasuje” — przemknęło jej przez myśl.

— Bardzo mi się spieszy. Gdzie szef? — zapytał szorstko.

Krew się w niej zagotowała.

— A czy ja jestem jego sekretarką?

— Nie wiem. Tak wyglądasz.

Zacisnęła zęby i chciała go wyminąć, gdy zatrzymał ją władczym gestem, używając segregatora jak szlabanu.

— Dyrektor Juryst polecił mi dostarczyć ten materiał.

— Co mnie to obchodzi?

— Powinnaś wiedzieć, gdzie jest twój szef.

— A listonosz powinien wiedzieć, gdzie dostarczyć przesyłkę. Połóż to na moim stole, a ja mu przekażę.

— Słuchaj… to ważne dokumenty, które mam przekazać osobiście dyrektorowi Frostowi. Dyrektor Juryst rozmawiał z nim kilka minut temu.

— To możesz tu poczekać, aż przyjdzie. — Wzruszyła ramionami.

Zawahał się. Widać było, że nie chciał stać pod drzwiami jak ostatnia ofiara losu.

— To może rzucę mu na biurko?

— Gabinet zamknięty.

— To otwórz! — rzucił rozkazującym tonem.

— Może na waszym folwarku możecie sobie dowolnie wchodzić do pokoju szefa, ale tutaj jest wydział finansów i obowiązują pewne zasady. Klucz ma tylko dyrektor i strażnik. Nawet sprzątanie tutaj odbywa się pod jego bezpośrednim nadzorem.

— Z wami jest coś nie halo — wymamrotał niezadowolony.

— Nie mam czasu na pierdoły, więc wybacz, ale wrócę do pracy, a ty tu sobie postój.

— Dobra, masz to i mu przekaż. — Rzucił jej segregator na biurko i odmaszerował zniecierpliwiony.

Reshke odprowadziła go wzrokiem i upewniwszy się, że nikogo nie ma w okolicy, odchyliła sztywną okładkę. Tytuł na pierwszej stronie brzmiał: „Analiza prawna” i było na niej logo znanej firmy audytorsko-konsultingowej. Poniżej zauważyła pieczątkę: „Materiały poufne”.

Przeszła ją fala ciepła. Otworzyła szerzej i zaczęła kartkować z zainteresowaniem. Co prawda już wcześniej widziała ten segregator, ale nigdy nie było jej dane zajrzeć do środka. Oficjalnie nie istniał. Zawartość sprawiła, że przypomniało jej się wczorajsze zdarzenie. Treść nawiązywała bezpośrednio do krótkiej, nieco zagadkowej wymiany zdań, która wywiązała się wtedy na zebraniu u Aivara. Teraz ich rozmowa okazała się dużo bardziej zrozumiała. Co to wtedy Farney powiedział? Że Frost obawiał się pewnych dokumentów, które mogłyby zmienić wyrok sądu. Jeden wtedy na niego napadł, a drugi natychmiast zmienił temat. Czyżby chodziło o te właśnie papiery? Studiując kolejne strony, była już tego pewna. Zrozumiała, dlaczego Frost nigdy ich jej nie ujawnił. A tak ciężko pracowała nad sprawą zwrotu podatku! Szkoda, że nie ufał jej tak, jakby sobie tego życzyła.

Zaczęła się zastanawiać, co może teraz z tym zrobić. Sytuacja trochę ją zaskoczyła i nie była na to przygotowana. Taka okazja! Jakże byłoby dobrze to przytrzymać albo zrobić kopię. Kserokopiarka stała niedaleko, ale telefon miała pod ręką. Wyciągnęła aparat w momencie, gdy otworzyły się drzwi z klatki schodowej. Szybkim ruchem zamknęła okładkę, przyłożyła aparat do ucha i rzuciła:

— Tak, oczywiście. Przekażę. Do usłyszenia.

W drzwiach pojawił się Lucjan Frost, który zbliżając się, wyszperał ze spodni klucze. Jego wzrok koncentrował się na nich i prawie nie zwrócił na nią uwagi. Niestety, zauważył segregator.

— Skąd to masz? — zapytał zaskoczony.

— Człowiek od dyrektora Jurysta przyniósł — odrzekła szczerze.

— Miał mi to przekazać do rąk własnych! — zirytował się.

— Jak widać, niektórzy ludzie w niektórych departamentach mają z tym niemały problem.

— To nie tylko przykre, ale i wysoce nieodpowiedzialne! — oburzył się.

— Co to właściwie jest? — zapytała, udając naiwną.

— Weź to i chodź ze mną.

Przekręcił klucz w drzwiach i wpuścił ją do swojego gabinetu.

— Położyć na biurku czy włożyć do szafy? — Reshke chciała się pozbyć ciężaru.

— Zamknij drzwi i połóż na stole — polecił.

Ułożyła segregator wśród innych pałętających się tam papierów. Pomieszczenie było urządzone staromodnie i sprawiało przytłaczające wrażenie: hebanowe meble, wykładzina dywanowa o purpurowej barwie oraz beżowe ściany. Naprzeciw biurka wisiała ręcznie malowana reprodukcja *American Gothic* Granta Wooda.

— Jestem ci winien przeprosiny, Moniko… — wyznał Frost. — To bardzo ważne dokumenty. Trzymaliśmy je na wypadek kontroli skarbowej. Zleciłem ich analizę działowi prawnemu, bo kilku rzeczy nie byłem wcale pewny.

— Ty? Nie byłeś pewny? Lucjan, dlaczego mi ich nie pokazałeś, kiedy pracowałam nad sprawą zwrotu? — zapytała z wyrzutem.

— Nie okazały się potrzebne i dzięki temu miałaś mniej pracy. Zobacz, jaki gruby jest ten segregator!

— To niczego nie tłumaczy… — próbowała powściągnąć emocje.

— Przepraszam za to — powiedział, robiąc nieszczęśliwą minę.

Stała osłupiała. Zmarszczyła czoło i wymamrotała:

— A mogę to teraz wziąć i przeczytać?

— Żartujesz? — oburzył się. — Już po sprawie, a my tu mamy sporo nowych kłopotów. Wrzucę to zaraz do szafy na wieczne zapomnienie. Dziękuję ci za pomoc. Zrobiłaś dużo dobrego dla naszej firmy i wynagrodzę ci to. Ale na razie to tyle.

Reshke stała jeszcze chwilę niepewna, ale Frost popatrzył na nią przeciągle, wyrażając zniecierpliwienie. Wreszcie wyszła, a on podszedł do biurka i ciężko oparł się o jego krawędź.

Delikatnym ruchem palca opartego jedynie o krawędź okładki otworzył segregator. Nie chciał, by odciski jej palców starły się z powierzchni. O swoje nie dbał, bo i tak nie budziłyby podejrzeń. Wypiął kartki, zostawiając stronę tytułową i wpiął na ich miejsce kilkanaście innych, porozrzucanych bezładnie po blacie biurka. Wydobyty plik dokumentów wsunął do swojej skórzanej teczki. Wrócił po segregator i schował go w szafie zamykanej na klucz.

5
13.00, redakcja „Naszego Miasta”

— Niezłe, pani Tores, całkiem niezłe. — Adam Ackerman kończył właśnie czytanie wstępnej wersji artykułu. — Musiałaś włożyć mnóstwo pracy w zebranie tych wszystkich danych. I to w tak krótkim czasie.

— Odświeżyłam tylko niektóre statystyki. Prawie cały tekst miałam, jak dobrze wiesz, przygotowany dawno temu — z przekąsem odparła Tores. Siedziała teraz swobodnie na wprost redaktora naczelnego, z nogą założoną

na nogę i bawiła się kosmykiem włosów, wściekle nakręcając go na palec wskazujący.

„Szkoda, że nie włożyła spódniczki” — Ackerman nie zdołał powstrzymać się przed zawieszeniem wzroku na jej krągłych biodrach. „I bardziej obcisłej bluzki”. Wzrok przeskoczył na biust stłumiony niestety przez elegancki żakiet.

— Jasne, ale nadal to wielka praca w krótkim czasie.

Pochylił się do niej z wydrukiem w jednej i piórem w drugiej ręce.

— Musimy lekko skrócić artykuł — ocenił. Wyglądał przy tym, jakby bolał go ząb. — Dwie kolumny muszą iść na *copyright trolling*.

— Czekaj, czekaj, przecież to prawie jedna trzecia tekstu! — Oczy Tores zwęziły się podejrzliwie. — A jeszcze wczoraj mówiłeś, że tekst o trollingu dasz na piątek!

— W piątek pójdzie duża analiza projektu nowej ustawy antyterrorystycznej. Jest znacznie obszerniejsza, niż przewidywaliśmy. — Grymas bólu nie schodził z jego twarzy. Łatwo przykrył tym kłamstwo. Analiza, o której wspomniał, miała zająć dokładnie tyle, ile zaplanowano i nigdy nie miała współdzielić łamów wydania z innym tematem.

Nie chciał ujawnić sporu z redaktorem zajmującym się zagadnieniami *copyright trolling*. Było to stosunkowo świeże zjawisko, jeszcze niedawno traktowane dość humorystycznie, ale ostatnio przybrało ono patologiczne rozmiary. Kiedy więc dziennikarz pracujący nad tym tematem dowiedział się, że jego tekst zostaje przesunięty na następny tydzień, wpadł w furię. Ściany gabinetu Ackermana nie słyszały jeszcze tylu przekleństw, co w czasie tych pięciu minut wybuchu wściekłości. Naczelny musiał w końcu przyznać mu rację i zaproponował publikację w dwóch częściach. Tores nie musiała znać szczegółów. Jeszcze by się zaciekawiła, dlaczego sprawy praw pracowniczych w korporacjach stały się nagle tak ważne dla gazety.

— Ale pozbyć się trzeciej części tekstu? — Tores nadal była oburzona. — To rozwala całą strukturę. Trzeba zrezygnować z czegoś istotnego albo wszystko potraktować powierzchownie, tam jest masa ważnych statystyk…

— O widzisz, tutaj jest coś, nad czym i tak trzeba by popracować. — Ackerman uśmiechnął się do niej niepewnie.

Anna zjeżyła się.

— O co chodzi? Zdobycie tych danych było bardzo trudne. Korporacje niechętnie ujawniają takie informacje. Jeśli więc…

— I to powinno być istotą twojego artykułu — przerwał łagodnie zbliżający się wybuch. — Statystyki są ważne, ale głównie dla policji i ubezpieczeń społecznych. Ludzie nie chcą czytać statystyk — ludzie chcą czytać o sprawach ich dotyczących, dotyczących ich dzieci, ich bezpieczeństwa. Odwołaj się do ich emocji, a zdobędziesz ich uznanie.

— Zdobywałam uznanie, pisząc obiektywnie o faktach… — mruknęła Tores zła, że naczelny poucza ją jak pierwszą lepszą stażystkę.

— Wiem, znam twoją karierę. Tyle że wielka gazeta, taka jak nasza, ma łatwiejszy dostęp do faktów niż do emocji czytelników. Wszyscy tutaj piszemy o faktach, staramy się być obiektywni, analizujemy suche liczby i podajemy je w suchej postaci, licząc na mądrość czytelnika. I co? Nasza sprzedaż spada, rynek reklamowy się kurczy, byle tabloidy mają lepsze perspektywy rozwoju niż my. Czytelnik jest coraz głupszy, musimy się do niego dostosować. Nie mogę wpłynąć na starych redaktorów, oni nie potrafią inaczej. Za to ty możesz wnieść nowy wiatr w żagle. — Tores skrzywiła się, słysząc to dziwaczne sformułowanie u kogoś, kto językiem ojczystym powinien się posługiwać bezbłędnie. — Nie dostosowuj się do profilu tej gazety, bo umrzesz zawodowo razem z nią. Zmieniaj go, pokaż, że z nudnego tematu dla specjalistów można wyciągnąć sprawy dotyczące osobiście każdego z nas.

Anna Tores siedziała z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie dała się porwać tej przemowie. Ackerman wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem i gorączkowo myślał, jak jeszcze ją podejść. Miał już jej artykuł, ale nie o taką formę chodziło tajemniczemu zleceniodawcy. W ostateczności sam zarwie noc, aby go poprawić. Wydanie musiało być zamknięte do godziny drugiej nad ranem, aby zdążyło zostać wydrukowane na czas.

Westchnął z ulgą, kiedy Tores skinęła powoli głową.

— Zrobię to. Przerobię tekst na bardziej… osobisty. Nie wiem, co mi z tego wyjdzie. Wyślę ci go dziś przed… przed dziesiątą. Nie wiem, czy to mi się spodoba na dłuższą metę, czy będę tak potrafiła.

— Dziękuję ci, Aniu. — Pozwolił sobie na odrobinę poufałości. — Niech z tych liczb i faktów, które tam masz, wyzierają ludzkie tragedie. Nadaj im twarze, imiona i nazwiska, rozpacz bliskich. A z drugiej strony bezduszność i egoizm korporacji zapatrzonych tylko w swój PR i notowania giełdowe.

Ackerman wstał, dając znak, że odprawa dobiegła końca. Wyciągnął do niej dłoń na pożegnanie. Uścisnął ją o jakieś pół sekundy dłużej, niż powinien.

— A właśnie, byłbym zapomniał. Jakieś ciekawe sprawy z prokuratury? — Uśmiechając się, spojrzał prosto w jej oczy.

— W naszym mieście? — Pokręciła głową Tores. — Nic się nie dzieje. Przecież tutaj są same korporacje.

6
13.30, RCUS, kuchnia, grupa de Bugaja

— Myślicie, że Nikodem coś odkrył? Jakąś tajemnicę firmy? — zapytał cicho blondyn siedzący w kącie za okrągłym stołem.

Pomieszczenie było całkowicie wypełnione ludźmi, którzy albo jedli, albo dopiero przygotowywali sobie posiłek lub napełniali kubki wrzątkiem.

— W labie? No, chyba że to był nowy gatunek myszy… — powiedział „Brodaty”, wciskając do ust kolejną porcję ryżu.

— To dlaczego nas sprawdzają? Po co nas przesłuchiwali?

— To pewnie rutynowe postępowanie w wypadku śmierci — objaśnił, przeżuwając.

Wszyscy ucichli, kiedy wszedł ich przełożony. Henryk „Księciunio” Diukiewicz podszedł śmiało do maszyny z napojami, wrzucił monetę i wybrał ekologiczny sok marchewkowy bez konserwantów. Odkręcił butelkę, z szafki wyciągnął gustowny kubeczek z napisem „FEEL SAFE 4.5” i przelał zawartość. Rozejrzał się po ludziach i zaczepił:

— Jak wam się podoba pomysł ze zdrową żywnością w poniedziałki? Dobry, nie?

— To znaczy, że w każdy poniedziałek będą skrzynki z owocami?

— Nie, tylko w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. Mamy ograniczony fundusz socjalny.

— A to podobno był szefa pomysł, nie? — dociekał blondyn.

— Tak, na zebraniu u dyrektora Szeflera zaproponowałem taki *improvement*. Był zachwycony i dał *green light*.

W tym momencie wstał jeden z siedzących blisko wejścia, przezwany „Toudim”, i rzekł:

— To jeden z najlepszych pomysłów, o jakich ostatnio słyszałem. — I gestykulując żwawo rękami, wykrzyknął: — Pomyślcie, ile to korzyści! Zdrowa żywność, nasze zadowolenie, wyższa motywacja. Pamiętam, jak w mojej poprzedniej pracy…

„Brodaty” nachylił się i szepnął do siedzącego z drugiej strony grubasa:

— Oho. Nasz „Toudi” się rozkręca.

— Taaa. Jak go znam, to w poniedziałek, gdy tylko przyniosą tę skrzynię, on pierwszy ją zapierdoli do swojego boksu…

— …i po cichu sam wszystko zeżre. Jak każda korpoświnia w tej firmie.

7
14.40, w drodze do aresztu

— Komisarzu — zagadał Czerski, chcąc jakoś stonować dziwne pomieszanie nastrojów zaciekawienia, podenerwowania, pewnego rodzaju podziwu oraz niechęci do kierującego.

— Taa? — zachrypiał Walczak. Gardło mu siadło po przesłuchaniu i myślał tylko o tym, czym je przepalić.

— To moja pierwsza w życiu sprawa kryminalna.

— Kiedyś trzeba stracić dziewictwo, nie? — zaśmiał się, ale wywołał tylko lawinę kaszlu. Gardło było mocno nadwerężone.

— Pamięta pan swoją?

— Ale że co? Morderstwo? — Walczak myślami błądził wokół zwłok w laboratorium. Na tylnym siedzeniu wieźli skutego Rado, który skulony i zgaszony wpatrywał się nieprzytomnie w boczną szybę.

— Nie, w ogóle pierwszą sprawę.

— Pierwszą sprawę, hę? Nie bardzo… To było jakieś włamanie czy pobicie. Nie pamiętam — rzucił na odczepnego. Nie dość, że był już zmęczony przesłuchaniem, to jeszcze teraz ten młody szczyl koniecznie chciał go pociągnąć za język.

— Jak to? Nie pamięta pan? — Czerski wybałuszył oczy.

— Nie — warknął Walczak. Smarkacz naprawdę zaczął go irytować dociekaniem o sprawy, do których nie miał ochoty wracać pamięcią.

— Trudno… — rzekł zrezygnowany Czerski.

Kierujący ściął zakręt z nadmierną prędkością, co pozwoliło mu udawać skupienie na prowadzeniu. Chwilę się jeszcze zastanawiał i trochę pożałował swojej ostrości. Przecież ten chłopak znał się na swojej robocie, a że to nie była dokładnie działka typowo śledcza, to nie jego wina. Zdecydował się przećwiczyć młodego:

— Mogę ci opowiedzieć o sprawie, przy której poznałem Skalskiego.

— Poproszę! — Ożywił się Czerski.

— Słuchaj uważnie, bo to nie tylko opowieść, ale i zagadka.

— Mam notować? — zapytał ironicznie Czerski.

— Masz myśleć. Wolno pytać — usłyszał poważną odpowiedź.

Przez chwilę poważnie się zastanawiał, czy nie wyjąć notesu lub włączyć dyktafonu w telefonie.

— Zaczyna się jak bajka. Dawno, dawno temu Skalski był młodym i obiecującym podkomisarzem policji kryminalnej. Ja zaś… to nieistotne dla sprawy. Był też biskup. Biskup jak to biskup, wielki pan na włościach. Ale ogólnie bardzo przyzwoity człowiek, starszy już, mający ogromne zaufanie do ludzi. Zdarzyło się, że został okradziony. Sam przebywał wtedy w kurii, o włamaniu poinformował go jego sekretarz. Biskup wolał zdać się na ziemskie służby niż interwencję z niebios i natychmiast zawiadomił policję. Przyjechał Skalski. Jego posiadłością był wielki dom, w domu służba, w kurii tłum sióstr zakonnych służących za sekretarki oraz osobisty sekretarz, młody ksiądz z ambicjami. W domu, na piętrze, w gabinecie — sejf. Klasyczny sejf na zamek szyfrowy, w którym trzymał dokumenty kościelne oraz pieniądze. Te dokumenty kościelne to jakieś akty własności, nadania, przekazania, więc z ziemskiego punktu widzenia bardzo istotne. Samych pieniędzy też nie było bardzo wiele jak na biskupa, ot, moja paroletnia pensja. No i go okradziono. Jego bezpieczny sejf stał otwarty. Nie był rozpruty i od razu rzucało się w oczy, że nie użyto siły. Dokumenty walały

się po biurku i wokół niego. Ale nie było pieniędzy. Co zrobił Skalski? Oczywiście wezwał techników do zabezpieczenia odcisków palców. W tamtych czasach nie było jeszcze badań DNA, ale daktyloskopia bardzo się już rozwinęła i stała się wyjątkowo skuteczną dziedziną kryminologii. Co więcej, wielu ludzi, zwłaszcza niewykształconych, nie wiedziało nawet, że popełniając przestępstwo bez rękawiczek, zostawiają niewidoczne ślady, które policja może z łatwością odszukać. Pewnym problemem było później ich szukanie w zbiorze zarejestrowanych odcisków, ale było to utrudnienie zrzucane zazwyczaj na nowych pracowników. Mówię ci, monotonna robota — spojrzał znacząco na Czerskiego. — Technicy robili swoje — kontynuował. — Szukali odcisków palców. A Skalski zajął się przesłuchaniami. Najpierw samego biskupa. Oto co nam opowiedział:

„Wcześnie rano, jak zawsze, wyszedłem do kurii, do pracy. Kiedy przybyłem na miejsce, zauważyłem, że zapomniałem bardzo ważnych dokumentów, nad którymi pracowałem wieczorem poprzedniego dnia. Schowałem je na noc w sejfie, a rankiem zwyczajnie o nich zapomniałem. Wezwałem więc mojego osobistego, zaufanego sekretarza i kazałem po nie jechać. Zadzwonił po niespełna godzinie, że sejf stoi otwarty, dokumenty są, ale nie ma żadnych pieniędzy. Kazałem mu zaczekać, zadzwoniłem na policję i sam natychmiast przyjechałem”.

Skalskiemu natychmiast nasunęło się właściwe pytanie do biskupa:

„Czy sekretarz zna szyfr do sejfu?”

„Tak, zna. Pracuje dla mnie od lat, często przenosi dokumenty między kurią a moim domem”.

„Kto jeszcze zna szyfr?”

„Moja gosposia. Ona też służy u mnie od lat. Często korzysta z pieniędzy w sejfie, kiedy robi zakupy”.

„To wszyscy?”

„Jeszcze mój bratanek, mieszka u mnie od niedawna. Też jest księdzem, niedawno złożył śluby. Tak między nami mówiąc — wyszeptał konfidencjonalnie do Skalskiego — to lekko nadużywa wina. I nie mówię oczywiście o winie mszalnym. Ale to bratanek… po święceniach… Dałem mu szyfr do sejfu, póki nie dostanie jakiejś posady gdzieś na parafii, bo nie ma zbyt wiele swoich pieniędzy. Nie wierzę, po prostu nie wierzę, by to on mógł mnie okraść!”

Skalski przesłuchał pozostałych. Każdy potwierdził dokładnie to, co mówił biskup. Sekretarz zeznał, że kiedy przyjechał do mieszkania, drzwi zewnętrzne były zamknięte. Dzwonił przez chwilę, aż w końcu użył swoich kluczy. Wchodząc, zobaczył gosposię, która właśnie zmierzała w jego kierunku. Powiedziała, że sprzątała w drugim końcu domu i nie od razu usłyszała dzwonek. Po tej krótkiej rozmowie sekretarz poszedł na piętro do gabinetu, gdzie zastał otwarty sejf. Natychmiast zadzwonił z gabinetu do kurii i poinformował przełożonego o zdarzeniu. Potem zawołał gosposię. Zeznania gosposi były zgodne z jego wersją. Natychmiast po wyjściu biskupa zabrała się do sprzątania, poczynając od piętra i właśnie gabinetu. Sejf był wtedy jak zwykle zamknięty. Sprzątając pakamerę, usłyszała dzwonek do drzwi. Zanim doszła do drzwi wejściowych, zobaczyła, że sekretarz wchodzi, używając własnego klucza. Wróciła do sprzątania, a po chwili usłyszała, jak sekretarz wzywa ją na górę i pokazuje otwarty sejf. W domu, w pokoju na piętrze, mieszkał jeszcze ów bratanek, świeżo wyświęcony ksiądz. Jego stan wskazywał, że musiał w nocy odprawić wyjątkowo wiele mszy. Twierdził, że nie brał żadnych pieniędzy, nie wchodził do gabinetu, w ogóle nie wychodził przez cały ranek z pokoju. Z nikim się nie widział, a ta straszna maszyna do odkurzania, którą od samego ranka operowała gosposia, wywoływała u niego potężny ból głowy. Po zakończeniu przesłuchań podejrzanych przyszli technicy. I wiesz, co

powiedzieli? Że nie znaleźli odcisków palców. Żadnych. Nigdzie. Gabinet był czystszy niż sala na kardiologii. Jak z tych wzajemnie zgodnych zeznań i braku dowodów rzeczowych można dojść do prawdy? I wtedy… wtedy Skalski wskazał złodzieja.

— Co? Jak? Kogo? — ocknął się Czerski. — Kto zwinął kasę?

Walczak uśmiechnął się z triumfem.

— Ty mi powiedz, detektywie. Wiesz wszystko, co potrzebne, by to rozwikłać.

8
15.00, RCUS, Dział Bezpieczeństwa Informatycznego

Gustaw Kowalski kiwał się niebezpiecznie na krześle. Nogi miał oparte o biurko, co bardzo szkodziło jego powierzchni. Była to mała gra z wydziałem zaopatrzenia. Już od dawna prosił o wymianę biurka na model z regulowaną wysokością, większą powierzchnią i kilkoma otworami na kable. Jako kierownik działu bezpieczeństwa informatycznego uważał, że właściwie przygotowane stanowisko pracy jest kluczowe dla prawidłowego pełnienia obowiązków. A jego aktualne biurko nie było w stanie pomieścić w ergonomiczny i bezpieczny sposób dwóch komputerów stacjonarnych, laptopa, w sumie sześciu monitorów, telefonu stacjonarnego, dwóch tabletów i trzech smartfonów.

Szefował tutaj zaledwie od pół roku. Jego poprzednik pozostawił po sobie spory smród i wyleciał w trybie natychmiastowym. Dyrektor Bernard Farney, jego bezpośredni szef, wykazał wówczas mnóstwo dobrej woli i nie zawiadomił policji. W ciągu kilku zaledwie dni awansowano nowego specjalistę od bezpieczeństwa — właśnie Kowalskiego. O ile nikt nie

kwestionował jego kompetencji, o tyle zdziwienie wzbudziło małe doświadczenie w RCUS-ie.

Jak się szybko okazało, Farney wiedział, co robi. Kowalskiemu natychmiast rozkazano zająć się znalezieniem i zlikwidowaniem luk pozwalających na kradzież własności intelektualnej firmy. Wziął się do tego bez chwili zwłoki. O nic nie pytał, tylko działał.

Wysoka premia po dwóch miesiącach potwierdziła trafność podjętych akcji. W końcu, zapytany przy okazji, dyrektor Farney wyjawił mu powody tego pośpiesznego awansu. Potwierdził też przypuszczenia Kowalskiego. Nikt nie wiedział, jak głęboko i jak szeroko sięgała afera z przeciekami poufnych informacji. A przecieki były większe niż na „Titanicu”. Złapano tylko ostatnie ogniwo: Nielsena, poprzedniego kierownika działu bezpieczeństwa. Farney nie mógł zaufać nikomu z pracujących w IT. Nieformalne powiązania i koleżeństwo nie było przestępstwem, ale mogło mieć wpływ na toczące się wewnętrzne śledztwo. Kowalski, świeży i nieznany nikomu człowiek, nie miał w firmie ani przyjaciół, ani wrogów. Nie miał też, na wyraźne polecenia Farneya, żadnego respektu wobec kogokolwiek. O wszystkich próbach nacisków i oporów miał meldować bez zwłoki. W sprawach bezpieczeństwa do niego miało należeć ostatnie słowo. Miał być niczym kapitan samolotu odpowiedzialny za bezawaryjne lądowanie.

— Nic się nie dzieje — rzucił niby do siebie, niby do siedzącego obok Marcelego. Po raz dziesiąty w ciągu ostatniego kwadransa sprawdził pocztę.

Nad głową szumiała monotonnie klimatyzacja, a za oknem było szaro i smutno. W takie dni kawa była nieskuteczna. Siedzieli śnięci i bez życia.

— Nuda jak cholera! — zawtórował mu Marceli. — I jeszcze dwie godziny do końca! Wiesz, że w internecie nie ma żadnej wzmianki o

wypadku u nas?

— Nie dziwię się… nie jest to dla firmy powód do dumy. — Kowalski przerzucił następną stronę z popularnymi w internecie głupkowatymi obrazkami i jeszcze głupszymi podpisami. — Wiesz, jak informatyk unika niechcianej ciąży? — zapytał znudzonym głosem.

— Nie.

— Smaruje myszkę nonoxynolem.

— Myślałem, że zakłada gumkę na pendrive'a — zamruczał beznamiętnie Marceli, przeglądając kolejny portal społecznościowy.

— Jest też wersja, że zasypia, gdy ona za długo ściąga…

Zabrzęczał firmowy smartfon i Marceli odebrał, ale nikt się nie odezwał. Spojrzał na numer — był zastrzeżony. „Dziwna sprawa" — pomyślał. Za chwilę przyszedł SMS z nieznanego numeru „Drzwi nr 3 LAB. Natychmiast!".

„Co jest?" — zdenerwował się.

— Kochanka rzuciła wyjątek? — zakpił Kowalski.

— Muszę na chwilę wyjść. — Zignorował pytanie, wstał i skierował się do laboratorium.

Kiedy tam dotarł, nikogo nie zastał. Rozglądał się niespokojnie przez chwilę, ale było cicho, pusto i spokojnie. Nikogo w zasięgu wzroku. Ktoś wyszedł z laboratorium, ale tylko go ominął. Miał właśnie zajrzeć za drzwi laboratorium, kiedy przyszła kolejna wiadomość: „Nieaktualne".

„Co to za ciuciubabka?" — Rozejrzał się niepewny. Wzrok zatrzymał na oku wysoko zawieszonej kamery. Pierwszy raz w życiu wydawało mu się, że obiektyw patrzy właśnie na niego.

9
16.00, start-up Future Definition

Wieżowiec Cloud Bridge był dumą miasta. Oddalony zaledwie dwa kilometry od jego centrum stanowił wizytówkę i świetny punkt orientacyjny widziany chyba z każdego zakątka miasta. Nie zawsze tak było. Niegdyś jego niekompletny, dwudziestoczteropiętrowy szkielet szpecił przez dwadzieścia lat krajobraz miasta, a trwało to tak długo z powodu serii niefortunnych zdarzeń.

Najpierw bankructwo spółki, która podjęła się tego przedsięwzięcia. Potem syndyk upadłościowy miał spore kłopoty zarówno ze zburzeniem budowli, jak i ze sprzedażą działki. Głównym tego powodem była konieczność zabezpieczenia znaleziska archeologicznego, które ujawniło się podczas prac ziemnych tuż przy schnących fundamentach. Wreszcie pojawił się bogaty inwestor, który oznajmił, że ma projekt harmonizacji wykopalisk z wizją przebudowanego biurowca. Miał to być majstersztyk myśli inżynierskiej, który godził dawne z nowoczesnym. I kiedy już miały ruszyć prace, czerwone światło zapalili obrońcy praw zwierząt oraz przyrody, gdyż na stalowej, mocno już pordzewiałej konstrukcji zamieszkały rzadkie gatunki ptaków. Szczęśliwie udało się wynegocjować z ekologami formę rekompensaty za jakieś tam straty oraz koszt przeniesienia gniazd do lasu. Wówczas roboty ruszyły pełną parą.

Budynek rósł i stawał się coraz bardziej okazały. Po roku jego szklista powierzchnia lśniła w słońcu i z dumą czekała na zasiedlenie. Bezskutecznie. Nastał kryzys ekonomiczny. Spółki dołowały na giełdach, oszczędzały i ani myślały o wprowadzeniu się do kosztownych wnętrz biurowca. Było wspaniałe ciało, ale nie było duszy. I nie było… wyjścia. Trzeba było drastycznie obniżyć koszt najmu. I tylko dzięki temu start-up Future Definition zajął czwartą część szesnastego piętra.

Wewnątrz królowały szkło, biel ścian i sufitów. Niskie ściany działowe przestrzeni biurowej właściwie niczego nie oddzielały. Ludzie widzieli się nawet w pozycji siedzącej. Wśród tego otoczenia przemykały swobodnie i niegustownie ubrane postacie.

Do środka wszedł nowy człowiek. Był tu pierwszy raz. Miał zacząć pracę od następnego poniedziałku, ale zżerała go ciekawość. Chciał też spotkać się z nowymi, choć starymi znajomymi. To szczerze ucieszyło dwójkę ludzi, która go spostrzegła, gdy wchodził.

— Witaj, Dimka! — usłyszał radosne powitanie.

Widzieli się w tym gronie po raz pierwszy od kilku miesięcy, a wcześniej przez lata pracowali ze sobą, szanując bardziej lub mniej swoje kompetencje. Zwyczajnie się też przyjaźnili. W rolę gospodarza spotkania wczuł się dobrze zbudowany, trochę otyły i łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Na jego twarzy wiecznie gościł jowialny uśmiech. Obok niego siedziała kobieta w podobnym wieku, z bardzo dyskretnym makijażem. Jej ubiór mógłby być wzorcem żeńskich kostiumów biurowych. Ona również z sympatią wpatrywała się w trzecią z obecnych osób.

Nowo zatrudniony Dmitrij Oniegin usadowił się naprzeciwko tej dwójki. Był niewiele od nich młodszy, całkowicie łysy, ale za to z obfitą, wypielęgnowaną brodą. Początkowo czuł się odrobinę niepewnie, ale już po minucie otwarte przyjęcie wpłynęło na niego ośmielająco.

— Znów razem! — Gospodarz pochylił się nad stołem. — Co tak długo? Nie powiesz chyba, że miałeś mnóstwo pracy u Relika? — zaśmiał się.

— Co słychać u naszego Donka? — zapytała uprzejmie kobieta.

Łysy brodacz, lekko zdezorientowany, od czego zacząć, sięgnął po szklankę z colą. W końcu wybrał kwestię mniej osobistą.

— U Relika… chyba nic się nie zmieniło przez te parę miesięcy. Jakby czas stanął. Czasem mam wrażenie, że to najbardziej skostniały wydział

rozwojowy na świecie. Niby coś tam robimy, niby są spotkania w sprawie patentów, innowacji, nowych technologii, ale to wszystko jest psu na budę.

Zamilkł, a atmosfera stała się nieco nostalgiczna. Wszyscy przez lata pracowali w dziale rozwojowym RCUS-u. Chociaż oni sami wspięli się po korporacyjnej drabince wysoko, to dział, którym od dawna się opiekowali, tracił swą pozycję. Żartowali między sobą, że ich R&D był dokładnie taki sam jak przed dwudziestoma laty — wtedy dekadę przed konkurencją, teraz dekadę za nią. Nie do końca była to prawda, ale poczucie utraty pozycji światowego lidera było i powszechne, i uzasadnione. I bolało tych, którzy oddawali się swojej firmie bez reszty.

— Dyrektor Relik… — ciągnął łysy, a kobieta uśmiechnęła się dyskretnie, słysząc to mimowolne tytułowanie byłego szefa. — Cóż, wydaje mi się, że nawet on zauważa tę marginalizację. Próbuje robić dobrą minę do złej gry, ale właściwie co on może? Budżet ma narzucony i cały czas przycinany, traci powoli ludzi — wskazał ich gestem. — Najciekawsze pomysły okazują się tak kosztowne, że są z miejsca ucinane przez finanse. Wsparcia od pozostałych dyrektorów też nie ma, bo to nie ich interes. Marazm i stagnacja.

— Oczywiście, że to zauważa — odparł gospodarz. — Dlatego tutaj jesteśmy. Pewnie nadal chce zrobić… coś naprawdę wspaniałego. I trzeba mu w tym pomóc.

— Jak tutaj trafiliście? — zainteresował się Oniegin. — Byliście w tym start-upie pierwsi, prawda?

Gospodarz się roześmiał.

— Kiedyś wezwał mnie do siebie Donek i mówi, że tak bardzo mu przykro, ale dyrekcja po dwudziestu latach postanowiła podziękować mi za współpracę. Trudna sytuacja, brak zadań, które odpowiadałyby moim kompetencjom. Ot, takie tam uprzejmie korpolizanie, które zawsze znaczy

to samo: zarabiasz za dużo i za długo przesiadujesz w kuchni. Wręczył mi wypowiedzenie z tym swoim optymistycznym uśmiechem, jakby tylko żartował. Jeszcze papieru z rąk nie puścił, a już mówi, że to otwiera mi nową drogę życiową. Zapytał wprost, czy chciałbym popracować w świeżutkim start-upie, nad pewnym przełomowym projektem. Zwięźle podał szczegóły. Jaki miałem wybór? Nie brać tego to jakby nie mieć jaj. — Towarzyszka obok westchnęła. — Wziąłem odprawę i oto jestem!

— Moja historia nie była tak dramatyczna — odezwała się kobieta. — Na którymś spotkaniu powiedziałam po prostu, żeby nie planowali prac z moim udziałem, bo mam zamiar odejść. Miałam już dosyć tej fikcji. Poprosił mnie grzecznie do gabinetu, a tam powiedziałam mu, co mnie najbardziej boli. I podobnie jak z kolegą… złożył mi ofertę… No i ja także jestem! Ale żeby było śmieszniej — dodała — wyszło bardzo wiarygodnie, bo to niby on mnie zwolnił, aby go dyrekcja pochwaliła, a chodziło o to, bym wzięła odprawę.

— I jak widzisz, mamy najwyższą średnią wieku spośród wszystkich start-upów na tej planecie. — Zaśmiał się gospodarz, a kobieta spojrzała na niego gniewnie.

— Nie twój wiek jest problemem, tylko zapach.

Mężczyzna zignorował docinek i zapytał:

— A jak ciebie ściągnął?

Oniegin był lekko zmieszany.

— Hmm, Relik dość długo wyrzucał mnie z roboty… Powiedział, że się nie nadaję do R&D w RCUS-ie i już się postara, żebym stamtąd wyleciał. Negocjował ze mną, jeśli można tak to ująć, parę miesięcy. Nawet namawiał mnie, żebym się z wami skontaktował i pogadał. A wystarczyło, że usłyszałem, kto tutaj pracuje. To mnie przekonało. Takie towarzystwo

gwarantuje, że to musi być COŚ. Zgodziłem się. Wtedy mnie zwolnił i też wziąłem swoje na do widzenia. Przyda się.

Pełniący obowiązki gospodarza rozsiadł się wygodnie, wyciągnął nogi i popatrzył w sufit. Miał coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon jego przyjaciółki.

— Tak jest, właśnie go urabiamy… — zachichotała. — Jeszcze nie wie, w co się pakuje… Och, to przykre… Zrozumiałam. Do zobaczenia.

Odłożyła telefon.

— W ten weekend mamy pracę i gościa.

Gospodarz kiwnął głową i rzekł:

— Jak wiesz, nie chodzi o szybkie pieniądze. Zarabiamy tutaj mało, a nawet bardzo mało. Większość wynagrodzenia odbieramy w udziałach, które teraz nie są nic warte. Ale jeśli wszystko wypali, jeśli my damy z siebie wszystko i wyprujemy z siebie flaki, wynosząc się ponad szczyty naszego intelektu, to będziemy bardzo, ale to bardzo bogaci.

10
19.45, siedziba firmy AMOD

Stara fabryczna dzielnica miasta powoli podlegała transformacji. Wynikało to głównie z przemian gospodarczych, nowych traktatów handlowych i otwarcia granic dla ludzi i kapitału. Wielkie fabryki albo upadły, albo podlegając erozji, dzieliły się na pomniejsze, niezależne spółki. Pozostałe przenosiły swoją działalność w tańsze rejony świata. Cały ten teren graniczył od północy z rzeką, a od wschodu z ośrodkiem wojskowym ulokowanym przy lesie. Choć w innym miejscu miasta powstawały nowoczesne biurowce, tutaj wyburzono jedynie część fabryk i cała reszta wciąż straszyła mrokiem epoki industrialnej. Powoli pojawiały się tutaj

hurtownie i sklepy wielkopowierzchniowe wraz z rozległymi parkingami, ale wciąż zbyt nieliczne, by trwale odmienić oblicze okolicy. Mimo wszystko to właśnie ten rejon zainteresował włodarzy AMOD-u, którzy szukali miejsca dla swojej siedziby.

Podstawowym kryterium była cena, a tutaj stało mnóstwo opuszczonych budynków, które tylko czekały na swoich nowych właścicieli. Przez długi czas trudno było jednak znaleźć coś, co nie wymagało kapitalnego remontu lub wyburzenia. Wreszcie pewnego dnia agencja mienia wojskowego postanowiła pozbyć się swojej części zabudowań i przyległego terenu, które to wprost idealnie wpasowywały się w wymagania AMOD-u. Dwa pokoszarowe budynki, magazyn oraz górujący nad wszystkim gmach centrum dowodzenia w zupełności nasycił apetyt nabywcy. Wszystko w dobrym stanie wymagającym jedynie urządzenia wnętrz. Całość do tego była otoczona płotem z wartownią.

Drobny remont, powiększenie parkingu i odmalowanie elewacji nie pomogło dorównać wyglądem temu, co prezentował konkurencyjny RCUS swoim błyszczącym, szklanym biurowcem. Pocieszeniem był spokój okolicy, pobliski las i żadnego sąsiedztwa innych firm.

Izolacja doskonała.

***

Do niewielkiej sali pełnej rozrzuconych wydruków wszedł Thomas Ives.

— Witamy, panie prezesie — powitał go człowiek w zielonym swetrze. Miał około czterdziestu lat i właśnie rysował flamastrem po białej tablicy jakiś diagram. Wraz z nim w pomieszczeniu przebywała kobieta w zbliżonym wieku.

— Jak sytuacja? — zainteresował się gość.

— Skomplikowany system — tłumaczył rysujący. — Dokumentacja jest jeszcze w opracowywaniu i ma wiele luk.

— A kod? — zwrócił się do siedzącej kobiety, którą otaczały cztery monitory.

— Przerabiam. Straszni ci ich programiści. Robią tyle zmian, że to niepodobne już do niczego, co oglądaliśmy wcześniej.

— Dezinformacja? — zaniepokoił się Ives.

— Nie wygląda mi na to — potrząsnęła głową. — Ale chaos w tym jest ogromny i trudno się odnaleźć. Ostatnia paczka źródeł przerasta nasze możliwości przerobowe! My naprawdę nie dajemy we dwójkę rady!

— Inese… — zwrócił się do niej po przyjacielsku. — Nie mogę wtajemniczyć nikogo poza wami. Rozmawialiśmy już o tym. Żaden młody leszcz wam nie pomoże, a wdrożenie nawet lotnego specjalisty obciąży was dodatkową pracą nad nim przynajmniej na miesiąc i tylko spowolni. Na zwłokę nas nie stać. Liczy się każda minuta! Poza tym znasz kogoś, komu byś zaufała?

— Nie wiedziałam, że tego będzie aż tyle! — poskarżyła się Ines.

— Spokojnie. To i tak lepsze niż wymyślanie wszystkiego od zera, nie? Nasz informator dostarczył wam kod, który trzeba tylko przerobić na niby-nasz-prototyp i przekazać zespołom tak, by się na niczym nie poznali. Pieniędzy wam nie zabraknie… i premii również nie pożałuję.

— Nie o to nam chodzi — wszedł w słowo mężczyzna z flamastrem. — Nie przewidzieliśmy, że nasze zespoły zaczną nas pytać o szczegóły. A tych nie znamy, bo siedzą w głowie RCUS-owego architekta. Próbujemy odgadnąć to i owo, ale zazwyczaj, jak już się czegoś dowiemy, to wyprzedza to nasze wyobrażenia i okazuje się, że wpuściliśmy naszych w maliny.

— Trudno. Nie główkujcie, tylko analizujcie to, co macie, i przerabiajcie. Pytania zespołów ignorujcie.

11
20.11, dom Donatana Relika

Donatan Relik niespokojnie wyczekiwał na sygnał telefonu. Stał na werandzie swojego domu i samotnie popijał whisky.

Lampy zmierzchowe włączyły się automatycznie i rozświetliły wjazd do jego posesji. Ich blask nie sięgał jednak już ogrodu, jego chluby, który tonął teraz w ciemnościach. Uwielbiał tam pracować. Bardzo go to uspokajało i napełniało dumą, kiedy widział estetyczny wynik swojego wysiłku. To nie to samo co bezduszne oprogramowanie komputerów: bez kształtu, formy, beznamiętny zapis znaczników i słów kluczowych. Może widok tej zieleni choć na moment by go teraz uspokoił, ale mrok pochłonął go całkowicie i nie miał czym zdusić trawiącej go niepewności.

Zamówienie było w drodze, ale kurier z przesyłką był już mocno spóźniony. Relik nie cierpiał niepunktualności, miał wtedy poczucie marnowania czasu. A to skłaniało najczęściej do próżnych rozmyślań, które nie wprawiały go w dobry nastrój. Wracały wtedy jakieś natrętne obrazy z młodości. Problemy, które miał już dawno za sobą, choć w pewien sposób był ich beneficjentem.

Reflektory nadjeżdżającego samochodu oblały światłem drogę dojazdową. Jednocześnie ożył smartfon, wybrzmiewając skoczną melodię. Nareszcie! Przesyłka przybyła. Ona pozwoli mu rozpocząć działanie już jutro. Wyrwie się z niewoli, z dołka, w którym tkwi już tyle czasu. Przestaną nim pomiatać i go ignorować. Skończą się redukcje i spychanie na margines. Jego machina ruszyła już jakiś czas temu — sam ją wprawił w

ruch i włożył w nią wszystko, co miał. Trzeba jej jednak przygotować właściwy grunt i postanowił właśnie rozpocząć ten etap. To wymagało przychylności, a tę musi zdobyć przez właściwe i korzystne układy. Musi działać zdecydowanie, konsekwentnie i ostrożnie. Musi być skoncentrowany i pewny siebie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ryzyko jest ogromne.

12
20.15, pub Ctrl-Alt-Del

Towarzystwo było już nieźle rozbawione. I o to chodziło. Codzienna praca w stresujących warunkach wymagała cyklicznego odprężenia, tym bardziej że znalazł się znakomity powód: spotkanie ze starym druhem. Co prawda powód był tylko formalny, bo gdyby go nie było, to bez problemu wymyślono by inny. Najważniejsze, by się dobrze zabawić.

— Dobra, Sylwek — oczy rudego chłopaka z delikatnym zarostem były już lekko mętne — mów, co chcesz, ale mnie nie przekonasz, że w AMOD-zie jest lepiej niż u nas.

— Mireczku, mówię ci, że jest! — Sylwek był główną postacią tego wieczoru. — A ja jestem tego najlepszym przykładem! W RCUS-ie zapieprzałem jako prosty deweloper, często biorąc nadgodziny i mając nad sobą jakiegoś pojebanego menedżera. A teraz? A teraz co? — Uniósł kufel piwa.

— Teraz sam jesteś pojebanym menedżerem! — rzucił mały grubas i stuknął się z Sylwkowym kuflem. — I tego się trzymaj!

Rudy Mireczek nie był przekonany.

— Odszedłeś od nas równe dwa lata temu — smęcił. — Fakt, żaden z nas nie awansował… To jest zarezerwowane dla lepszego sortu.

— Ależ koledzy… — Sylwek pochylił się do nich, a jego głos przeszedł w konspiracyjny szept. — Dostałem awans, bo miałem doświadczenie w pewnym specyficznym rodzaju oprogramowania… To doświadczenie zdobyłem razem z wami w RCUS-ie, bo gdzieżby indziej? Przecież nie z oglądania filmów na YouTubie. Dlatego mówię wam — rozejrzał się teatralnie po sali, szukając nieistniejących szpiegów — jeśli chcecie awansu i lepszej płacy, przyjdźcie do AMOD-u. Ja was zarekomenduję.

Zapadła niezręczna cisza. Nie wiadomo, czy to z powodu oburzenia tak jawną próbą podkupienia pracownika konkurencji, czy po prostu z powodu konieczności skalkulowania zysków i strat z potencjalnego transferu. Grubas przerwał ją w końcu w mało elegancki sposób:

— Pleciesz bzdury, Sylwek. U was nie ma otwartych stanowisk.

— Jak to nie ma?

— Popatrz. — Pokazał mu smartfona. W zakładce przeglądarki internetowej rozpoznał podstronę „Kariera w firmie AMOD”. Lista wakujących stanowisk była pusta.

— Faktycznie. — Sylwek poczuł lekkie zażenowanie obiecywaniem gruszek na wierzbie.

— Nie dla psa kiełbasa. — Grubas upił łyk piwa.

— To pewnie sytuacja tymczasowa. Jeszcze niedawno braliśmy ludzi garściami.

— To daj znać, tak po koleżeńsku, jak znowu będziecie.

Przez następne pół godziny i kolejną kolejkę piwa omówiono wszystkie możliwe scenariusze wydarzeń niczym transfery ligowe najlepszych zawodników.

Mirek wzniósł w końcu toast za kolegę i zakończył:

— Dziś… — lekko już bełkotał — radujemy się szczęściem naszego przyjaciela, jego awansem i tym, że on dzisiaj stawia! — Ostatnim

stwierdzeniem wywołał głośny aplauz u pozostałych dwóch przyjaciół z RCUS-u i niepewny uśmiech Sylwestra.

— Panowie, bez przesady, jeszcze wczoraj klepałem kod — bronił się słabo. — Słuchajcie, ale jaja mieliśmy w zeszłym tygodniu. No taki babol, że masakra.

— O nie… — żachnął się grubas. — Nie da się tego słuchać o suchym pysku. — Spojrzał smętnie do pustej szklanicy. — Zaraz wracam. — Podreptał chwiejnym krokiem do baru.

Sylwek na niego nie czekał.

— Słuchajcie, słuchajcie, jestem profesjonalistą, więc nie powiem wam, nad czym pracujemy, ale zdradzę, jak ktoś u nas spieprzył sprawę w samym kodzie. Implementowaliśmy pewien algorytm, właściwie to dostaliśmy już jego wstępny prototyp z góry, jakiś miesiąc temu. Wszystko na testach działało jak ta lala, no po prostu nasi architekci odwalili kawał dobrej roboty. No to robimy refaktoring i tutaj zonk, cały system idzie w krzaki…

Mirek słuchał tego jednym uchem. Nie lubił rozmów o technicznych detalach poza godzinami pracy. Kątem oka zauważył, że grubas odbierał kolejne piwo.

— Najśmieszniejsze jest to, że cały refaktoring to było usunięcie z funkcji jakiejś nieużywanej zmiennej. Czaicie? Masz zmienną, której do niczego nie potrzebujesz i nie używasz, ale jak się jej pozbędziesz, to wszystko się wywala. Ciekawe, nie?

Teraz Mirek patrzył już na niego z niedowierzaniem i z szeroko otwartymi ustami. Sylwek błędnie pomyślał, że jego opowieść była fascynująca.

— Ale co? Że co? Nie słyszałem — zapłakał grubas właśnie dosiadający się do stołu.

— Sylwek, opowiedz jeszcze raz — zachęcił Mirek. — Dawaj, ze szczegółami!

Sylwek nie dał się prosić.

Mirkowi nadal szumiało w głowie, ale umysł pracował mu jak rzadko kiedy. Rejestrował każde słowo, każdy detal opowiadany przez przyjaciela z AMOD-u. To było dla niego niesamowite. Nie ze względu na to, co się stało, ale dlatego, że dokładnie wiedział, co powie Sylwek w swojej opowieści. Tydzień temu rozwiązywał dokładnie ten sam problem, z takim samym scenariuszem i takim samym błędem.

13
20.22, komenda policji

— Szefie! Szefie! — wołał Czerski, wbiegając do biura Skalskiego. Zamachał trzymaną w ręku dużą, grubą kopertą, dysząc przy tym ciężko.

— Młody, gdzie się pali? — Skalski oderwał się od pisania raportu. Jego stanowisko oświetlała tylko mała, biurkowa lampa. Reszta pomieszczenia była spowita w mroku. — I zapal mi światło, przy okazji.

— Goniec przyniósł coś z laboratorium ekspertyz sądowych. Mówił, że ważne.

— Pokaż.

Skalski rozerwał przesyłkę. Wyciągnął spięte kartki i zaczął wertować. Pominął wykresy i skupił się na podsumowaniu. Czerski dostrzegł tylko duży napis strony tytułowej „Raport z badań porównawczych DNA”.

— I co?

— Napisali tu, że na ubraniu ofiary znaleźli włosy obcej osoby. A teraz zagadka: do kogo należały?

— Niech pomyślę — uspokoił oddech Czerski. — Skoro napisali, kto nim jest, to znaczy, że pobraliśmy od niego próbki. Czyli strażnik i wszyscy obecni we wtorek z zespołu de Bugaja są w kręgu naszego zainteresowania.

— To oczywiste — uśmiechnął się Skalski. — Ale który?

— Skoro pan wygląda na zadowolonego, to znaczy, że trafiliśmy w strażnika!

Skalski pokiwał głową i rzekł:

— Nie trafiliśmy! Ale cieszę się, bo mój nos dobrze węszył. To włosy Henryka Diukiewicza.

Rozdział 4

Dzień sprintu 4/10. Czwartek

1
8.00, komenda policji

Skalski trawił wydarzenia poprzedniego wieczoru, zwłaszcza ów fakt odnalezienia włosów Henryka Diukiewicza na odzieży ofiary. Sąd, widząc dowody w postaci zidentyfikowanego DNA, bez wahania wydał nakaz aresztowania.

Przez telefon Skalski poinformował o nakazie Aivara. Ten poprosił, by zrobiono to możliwie po cichu. Zaproponował też, że sami przygotują stosowne miejsce, gdzie będzie można dyskretnie dokonać aresztowania.

Pojechali w trójkę, a Skalski przez cały czas analizował nowe okoliczności. Czerskiemu powiedział tylko o włosach Diukiewicza, ale nie były to wszystkie wnioski z raportu. Na ciele i ubraniu de Bugaja znaleziono pięć obcych włosów. W najbliższej okolicy kilkadziesiąt kolejnych, co bardzo skutecznie zaciemniało obraz sytuacji. Widocznie laboratoria były rzadko sprzątane, często odwiedzane, a potężne klimatyzatory mogły nanieść tak lekkie włosy nawet z drugiego końca pomieszczenia.

Schematyczny rysunek postaci wskazywał dokładne miejsce znalezienia tych pięciu, które były bezpośrednio na ofierze. Dwa z nich, oba z przodu na lewej nogawce należały do jego najbliższych współpracowników. Skalski pamiętał ich z przesłuchań. Wyszli z pracy przed osiemnastą.

Czerski raz jeszcze mu to potwierdzi, a w razie wątpliwości przesłuchają ich ponownie.

Trzeci włos nie został zidentyfikowany, czyli nie należał do żadnego z przesłuchiwanych. Raport opisywał go też jako kobiecy, nie było więc powodu brać go pod uwagę.

Dwa zidentyfikowano jako włosy Henryka Diukiewicza. Jeden był krótkim włoskiem porastającym zazwyczaj ręce lub przedramiona — zebrano go z prawego ramienia ofiary. Drugi zaś — włos z brwi — został znaleziony na karku, tuż pod kołnierzykiem koszuli.

„To wspaniałe, co potrafi dzisiejsza kryminalistyka" — pomyślał z uznaniem i jednocześnie pewną niechęcią. „Niedługo śledczy nie będą potrzebni, bo wszystko i wszyscy będą pod stałą obserwacją kamer i komputerów". Ziewnął, zjeżdżając z ronda. „Nasi technicy zdjęli ślady… nasi laboranci powiedzieli, do kogo należą… nasi komputerowcy przejrzeli ich komputery… o przepraszam… przepraszam… nasz Czerski przejrzał komputery… A my? Co myśmy z Walczakiem zrobili w tym śledztwie? Za starzy już jesteśmy na te wszystkie supertechnologie. Komu potrzebni dziś tacy detektywi? Wymienią nas na komputery, na laboratoria… Na Czerskich nas wymienią!". Spostrzegł, że biadoli jak rencista na świadczenie.

„Skupmy się!" — spróbował się zdyscyplinować. „Jak to wreszcie było? Jaki był przebieg zdarzenia? Jakie mamy warianty? Załóżmy, że istnieją trzy podstawowe hipotezy robocze.

Primo — Istvan Rado samodzielnie pozbawił życia de Bugaja, a włosy Diukiewicza znalazły się przypadkowo na ofierze. W końcu pracują razem, spotykają się. Mógł się podrapać po głowie, gdy stał nad pracującym na komputerze de Bugajem.

Secundo: sprawcą jest Diukiewicz. W szarpaninie z ofiarą pozostawił włosy, które spoczęły na ubraniu denata. Zastanawiający jest brak śladów obuwia kierownika. Jak wiadomo, najświeższe są te, które przykrywają poprzednie i nie są ucięte przez inny ślad, a tylko wzór podeszwy strażnika spełniał te kryteria. Buty same tam nie poszły…

Tertio: Obaj są uwikłani w zajście. Jak jednak wtedy by to wyglądało? Możliwe, że weszli jeden za drugim, używając jednej, fałszywej karty. Diukiewicz mógł zwrócić na siebie uwagę ofiary, a Istvan zaszedł go niepostrzeżenie od tyłu. Uderzył go, udusił i zadźgał. Przełożony de Bugaja musiałby jednak stać wystarczająco daleko, poza obszarem, gdzie technicy zdejmowali ślady. Ale jak miałby zostawić włosy na ciele ofiary, nie zbliżając się do niej? I ten równo ułożony identyfikator”.

Uśmiechnął się: „Ha! Już wiem! Kiedy Diukiewicz wchodzi do środka, chowa fałszywą kartę wstępu i prosi de Bugaja o swoją, bo nie może się wydostać. Swojej rzekomo zapomniał i zostawił na biurku. De Bugaj spełnia życzenie kierownika, podchodzi i wręcza mu identyfikator. Niepostrzeżenie włosy Diukiewicza lądują na ubraniu inżyniera. Potem de Bugaj zostaje uderzony i jest wleczony na kablu przez Rado w miejsce znalezienia zwłok. Jednak to strażnik musiał położyć identyfikator na podłodze. Tyle że nie sprawiał wrażenia dbającego o porządek. Co innego pedantyczny kierownik”.

Skalski zdał sobie sprawę, jak trudne będzie wyciągnięcie takiego zeznania od Diukiewicza. I jak bardzo tego potrzebował, by uspokoić trawiące go wciąż wątpliwości. A jeżeli istnieje jeszcze jakaś czwarta opcja? Quatro…

2
8.40, biuro dyrektora Szeflera

Donatan Relik zapukał do gabinetu Maksymiliana Szeflera, otworzył kartą drzwi i zapytał niepewnie:

— Miałbyś chwilę?

— Wejdź, śmiało. — Szefler uśmiechnął się szczerze zza biurka. Kiedy tylko chciał, mógł zjednać każdego. Ale kiedy nie chciał…

— Dziękuję.

Relik zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka. Cały poranek mobilizował się do tej rozmowy.

— Czuj się komfortowo! — Szefler miał wybitnie dobry humor.

„To wręcz idealnie! Los mi sprzyja” — pomyślał gość.

— Cóż to cię sprowadza do mojego office’a? — zachęcił Szefler.

— Kilka rzeczy. Ale zanim zaczniemy, coś ci przyniosłem. — Relik wyciągnął z kieszeni małe pudełko.

— Cóż to takiego? — Szefler zaciekawił się i zaczął otwierać.

— Kiedyś mówiłeś, że kolekcjonujesz stare mikroprocesory.

— Woow! — krzyknął, widząc szesnastonóżkowy, lśniący układ scalony z ceramiczną obudową i złoconym wierzchem. Odczytał symbole i wykrzyknął: — Intel 4004!

— Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Oryginalny i nieużywany czterobitowy mikroprocesor.

— No, to mi sprawiłeś niespodziankę! Design samego Federica Faggina, dwa tysiące trzysta tranzystorów.

— Przypadkiem trafiła się okazja, więc pomyślałem o tobie.

— Fantastyczny prezent. Jak ja ci się odwdzięczę? — Szefler napawał się prezentem.

— Och tam, drobnostka. Nie ma sprawy. A jak u ciebie? Ciągle gracie w squasha z Gabrielem?

— Tak, nawet dzisiaj mamy mały trening, ale jego poziom się nie poprawił. Może ty się dasz namówić jak kiedyś?

— Mam teraz nowe hobby.

— A może jednak? Szukam nowego partnera.

Relik zastanowił się, bo to mogła być niepowtarzalna okazja do lepszego zbliżenia.

— To może w przyszłym tygodniu? — zaproponował.

— Fantastycznie! Zarezerwuję salę i podeślę ci czas i miejsce. Robi sens?

— Nie będziesz przemęczony? W końcu jednak gracie dość często.

— To się niedługo zmieni.

— A czemuż to? Prezes Aivar odchodzi? — pytanie Relika było zaskakujące i celne, zupełnie nie w jego stylu.

„Wygadałem się!” — wyrzucił sobie Szefler i pośpiesznie zaczął roztrząsać: „Sam się domyślił czy ktoś mu powiedział?”. Chcąc zyskać na czasie, wpatrywał się uważnie w układ scalony. Udawał, że próbuje dostrzec ledwie widoczne symbole. W końcu zapytał z uśmieszkiem:

— Czy ty aby nie za dużo wiesz?

— O czym? — Relik udał zdziwienie i chwilę później dodał: — To Aivar wylatuje? Wiesz, zupełnie przypadkiem przyszło mi to do głowy.

— Widzę, że wiesz. A skoro i ja się zdradziłem, to będzie nam teraz łatwiej rozmawiać. — Wciąż miał radosną minę. — Tylko pamiętaj, że do oficjalnego komunikatu to jest absolutnie *top secret*!

— Doskonale to rozumiem.

— Z czym więc przychodzisz?

Szefler odłożył prezent na biurko i splótł ręce na brzuchu. Relik założył nogę na nogę i poprawił marynarkę.

— We własnej sprawie. Jak wiesz, ugrzązłem na dobre w swoim departamencie. W takim miejscu trudno się wykazać, zwłaszcza po tych zwolnieniach i wstrzymaniu finansowania jakichkolwiek badań. A ja potrzebuję coś rozwijać, zmieniać, mieć pole i możliwość działania.

— Doskonale to rozumiem. Sam pamiętam boje z Farneyem i to, jak mnie we wszystkim blokował.

— Jesteśmy więc jakby z tej samej gliny ulepieni. Potrzebujemy przestrzeni, by móc rozwinąć skrzydła.

— Dokładnie. Ale żeby nie przedłużać, jaki jest twój plan?

— Chcę zmienić departament.

Nastała chwila ciszy. Szefler ponownie wziął mikroprocesor z biurka i oglądał go z zainteresowaniem.

— Potrzebny byłby wakat — myślał na głos.

— Zgadza się. — Relik wstrzymał oddech.

— A to może być tylko pozycja moja albo Farneya.

— Nie da się ukryć. Nie nadaję się ani do kadr, ani do księgowości.

— A jeśli zarząd to ciebie namaści na prezesa?

Zaskoczył Relika, ale tylko na moment:

— Nie ma takiej opcji. Jestem realistą.

— Realistą, powiadasz?

— I dlatego przyszedłem do ciebie.

— I dlatego do mnie… — Teraz Szefler bawił się w wyciąganie informacji.

— Powiem wprost: według mnie to ty masz największe szanse. I co więcej, bardzo bym tego chciał.

— Dlaczego byś tego chciał? — Szefler zadał trudne pytanie.

Relik niespecjalnie się na to przygotował, ale że młodzikiem też już nie był, więc zaczął tyradę:

— Jesteś menedżerem, który w historii tej firmy najszybciej robi karierę. Najmłodszym dyrektorem największego działu tej firmy. Doszedłeś do tego sam, własną inicjatywą i skutecznością. Tylko małostkowi ludzie nie potrafiliby tego docenić. Można ci zazdrościć i cię za to nienawidzić, ale nie można lekceważyć. Dlatego chciałbym być przy twoim boku. I uprzedzę twoje kolejne pytanie: nie przeszkadza mi, że jesteś młodszy. Nie mam z tym żadnego problemu.

Szeflerowi spodobała się ta przemowa. Ale nie byłby sobą, gdyby nie drążył dalej:

— Czyli chcesz zająć moją pozycję?

— Tylko wtedy, jeśli ty zostaniesz prezesem.

Zapadła cisza. Szefler ledwo powstrzymywał wybuch śmiechu:

— Wiesz, że na to miejsce czeka kolejka moich podwładnych?

— Jak zostaniesz prezesem, będziesz mógł robić, co uznasz za stosowne. Jeśli komuś już to miejsce obiecałeś, nie mam nic przeciwko.

— Nie masz? — Szefler zdziwił się i zastanowił, w co gra Relik.

— Będąc prezesem, masz nieograniczone możliwości kadrowe. Możesz, na przykład, pozbyć się Farneya.

To już było czytelne. Jednak, by sprawdzić lojalność, musiał jeszcze przycisnąć:

— A jeśli to właśnie on zostanie numerem jeden?

A to już Relik miał przećwiczone:

— To wolę z tobą stracić niż z nim zyskać.

3
8.55, RCUS, kuchnia

Damian „Brodaty” Fierro siedział w kuchni, siorbiąc cicho swoją poranną kawę. Dyskusja, której właśnie się przysłuchiwał, zaczynała się robić interesująca. To napawało nadzieją, że kolejny raz przekroczone zostaną jakieś granice.

— Ale wytłumaczcie mi, jak on mógł jechać, mając trzy promile we krwi? — pomstował nad rozłożoną gazetą łysiejący człowiek. — No jak?

Rozłożona na stoliku strona poświęcona była mrożącej krew w żyłach historii kierowcy na podwójnym gazie.

— No, ale zatrzymali go, tak? — dociekał stojący obok okularnik. — O, proszę… Piszą, że dostał dwa lata…

— Dwa lata… Dobre sobie! Ja wam powiem, co ja bym zrobił — mruknął osobnik siedzący obok „Brodatego”. Oczy wszystkich w kuchni zwróciły się ku niemu. — Pręgierz! — oznajmił. — W każdym mieście, w każdym komisariacie postawiłbym pręgierz. Historia dowodzi, że była to najskuteczniejsza metoda karania kretynów!

— Najskuteczniejszą formą to jest dobór naturalny.

Abstrakcyjność dyskusji wznosiła się powoli na nowe poziomy.

— Skuteczne to chyba było obcinanie dłoni…

— Lepiej to niż koni. — Ktoś bez sensu, ale za to do rymu dodał swoje trzy grosze.

— Ale to chyba tylko przy kradzieżach?

— *À propos* historii. Ostatnio gdzieś czytałem, że Czyngis-chan miał ciekawy patent na karanie — zmienił temat okularnik. — Pozbawiał majątku i skazywał na banicję…

— Czyngis-chan? A wy wiecie, że w Azji osiem procent ludności ma jego geny?

— Mężczyzn. Osiem procent mężczyzn — wtrącił swoje „Brodaty”.

— Też chłop miał zdrowie — zadumał się łysiejący. — Musiał rozsiewać geny na prawo i lewo…

— A wiecie, co powiedział gen do gena? — Szum młynka w ekspresie do kawy zwrócił uwagę chudzielca, który właśnie robił sobie espresso: — Halogen!

„Brodaty” parsknął. Rozmowy w kuchni zawsze w jakiś fascynujący sposób potrafiły przeskakiwać ze skrajności w skrajność. Atmosfera zrobiła się weselsza i zaczęli sobie opowiadać niewybredne dowcipy. Ktoś z tyłu właśnie narzekał na nieudany zakup golarki:

— Ile razy próbuję, to nie mogę tego zrobić do gołej skóry. Ona jest po prostu do dupy!

— A próbowałeś golić twarz? — doradził ktoś życzliwie.

— …bo koleżance zawiesił się orgazm! — zakończył kawał sąsiad „Brodatego”, ale nie chciał być gorszy:

— Przychodzi facet do sklepu całodobowego i pyta: „Czy ma pani czystą?”, „Tak, myłam rano…”

— Teraz na inteligencję: „Przyszła jesień i moja stara znów zbiera liście. Za zimną zupę, za syf w mieszkaniu…”

Jednak zamiast salwy śmiechu usłyszał pełen dezaprobaty głos Diukiewicza od dłuższej chwili stojącego w drzwiach kuchni:

— Tak was sobie słucham i dochodzę do smutnego wniosku, że wy to jednak macie zwyrodniałe poczucie humoru…

„Parszywy pasterz, to i owce parszywieją” — siorbiąc ostatni łyk, przypomniał sobie starą mądrość „Brodaty”.

Cały dobry nastrój prysł w okamgnieniu. Kuchnia opustoszała w ciągu sekund.

4
9.00, RCUS, biuro prezesa Aivara

— Pani Olu, jakie dobre wieści dziś przyniosły ptaszki? — Prezes Aivar nie byłby prezesem, gdyby nie potrafił świetnie maskować swoich problemów.

Chociaż, przemknęło mu przez myśl, to prawie wszystkie problemy właśnie się rozwiązały. Fakt przecieku z Rady Nadzorczej w sprawie jego odsunięcia od prowadzenia firmy odsuwał jednocześnie wszystkie troski z tym związane. Teraz jego następca będzie finalizował jedne z najważniejszych rozmów biznesowych i właśnie ten ktoś zadba o pozycję firmy na rynku. On ze swojej strony zrobi wszystko, by właściwie wdrożyć tego człowieka. Teraz już nieuchronnie zbliża się ten dzień, kiedy po raz ostatni przekroczy próg swojego biura, wyśle ostatniego maila do wszystkich pracowników, a potem wyłączy komputer, pożegna się z panią Olą i na zawsze opuści tę firmę przez zewnętrzną bramę. Kiedy odda swój elektroniczny identyfikator, zostanie on zdezaktywowany, a jego konto w systemie komputerowym zablokowane. „Już wkrótce” — pomyślał. „To nieuniknione”. Prawdopodobnie to na barkach Szeflera spocznie cały biznes i odpowiedzialność za reputację firmy.

Myśl o reputacji ukłuła go niczym żądło. „Aivar, ten prezes, któremu zamordowano pracownika”. Tak będą mówić.

— Dzień dobry, panie prezesie, dzień dobry. Prasa jak zawsze już czeka w pańskim gabinecie.

— Dziękuję, pani Olu. Jest pani najlepszą sekretarką, z jaką pracowałem — odrzekł z uśmiechem i w tym samym momencie złapał się, że już mówi o niej w czasie przeszłym.

Włączył komputer. Pośród setek maili z różnych ośrodków, a zwłaszcza z centrali w USA, jego uwagę przykuły te opatrzone wykrzyknikiem. Jeden

od Elkebaum z kadr, drugi od Farneya, trzeci od Szeflera. I nagłówek, i treść wszystkich mówiły mniej więcej to samo: „Nasze Miasto”, strona czwarta.

Ze złym przeczuciem odnalazł gazetę i artykuł.

Już po pierwszym akapicie wiedział, że dbanie o reputację będzie jeszcze trudniejsze, niż mu się wydawało.

5
9.00, AMOD, biuro prezesa Ivesa

Prezes AMOD-u Thomas Ives również kończył czytanie artykułu w „Naszym Mieście”. W gabinecie przebywał jeszcze dyrektor do spraw mediów, który wręcz promieniał, widząc satysfakcję na twarzy szefa.

— Tego mniej więcej oczekiwałem! — pochwalił Ives, odkładając gazetę. — Ta, jak jej tam… Tores, ma niezłe pióro. — Rozluźnił się całkowicie. — O ile pamiętam, to jeszcze któraś z gazet miała coś skrobnąć?

— Nie dało się na dziś. — Dyrektor medialny miał skruszoną minę. — Propozycje zmian w ustawie antyterrorystycznej dosłownie wysysają wolne miejsce we wszystkich gazetach. Gdyby to były zmiany w prawie pracy, to łatwo byłoby im wkomponować się w bieżące wydarzenia. Ale będzie jutro.

Prezes Ives pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie miało to teraz większego znaczenia. Spodziewał się jakiegoś komunikatu o wypadku w RCUS-ie najpóźniej w środę. Fakt, że takowego nadal nie było, zaczynało działać przeciwko ich konkurentowi. Im lepiej przygotują grunt w prasie, tym boleśniejsze będzie dla RCUS-u ujawnienie wypadku.

— Masz jeszcze jakieś pomysły?

Przez następne kilka minut dyrektor zaproponował kilka ruchów, które generalnie zyskały aprobatę.

— Chciałbym, żebyś jakoś wykorzystał raz jeszcze tę… — Ives wskazał na „Nasze Miasto” — Tores. Przyda się ktoś, kto będzie przewodnikiem stada urabianych przez nas dziennikarzy.

— Ma być samcem alfa? — zaśmiał się dyrektor.

— Właśnie. Aha! Myślę, że powinieneś popracować z naszym Konsultantem. Dam mu twój numer.

— Jak pan sobie życzy.

— Dziękuję. Dobra robota. — Ives wstał i mocno uścisnął rękę podwładnemu.

Kiedy ten wyszedł, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki drugi telefon i wybrał numer.

— Panie Derek?… Zanotuj, proszę, numer… popracuj z nim, ma jakieś pomysły, może coś się z tego urodzi… A przy okazji, czytałeś „Nasze Miasto”?… Świetnie! Znasz tę Tores?… Akredytacja przy prokuraturze? Skąd wiesz? To chyba osoba, której potrzebujesz, co?

6
10.00, RCUS

Kierownik Cezarczuk, zwany Cesarzem, podszedł do Diukiewicza pilnie coś studiującego w tabelkach Excela. Laptop wpięty do stacji dokującej szumiał głośno, jakby przetwarzał co najmniej *Wiedźmina*.

— Przyszedłem z jednym tylko pytaniem.

— Słucham — odrzekł Diukiewicz, nie odwróciwszy nawet głowy.

— Dlaczego to my robimy wasze testy?

— Słyszałeś o Nikodemie? — Diukiewicz zerknął na niego, odpowiadając pytaniem.

— I co z tego?

— Zwyczajnie nie dalibyśmy rady w tym sprincie — tłumaczył. — Poza tym to decyzja Normana Weissa.

— Boś mu wcisnął ten głupi pomysł, nie pytając mnie o zdanie! Wiem o wszystkim!

— Spokojnie! Może faktycznie wyszło trochę niezręcznie. Źle to zaczęliśmy. Spróbujmy od początku… i może wreszcie przejdziemy na ty? — zaproponował protekcjonalnie Diukiewicz.

Cezarczuk nie wahał się ani chwili:

— Ty chuju!

***

— Panie inspektorze, na co czekamy? — niepokoił się Czerski.

— Cierpliwości — odrzekł Skalski, ale jego też denerwowało to przedłużające się zabezpieczanie trasy. Żałował, że zgodził się na propozycję Farneya, by dokonać aresztowania w sali położonej nieopodal windy i zjechać nią do podziemnego parkingu, unikając spojrzeń ciekawskich. Do tego w drodze do RCUS-u wysiadł im wóz i musieli poczekać na drugi pojazd.

To dało mu czas, by wrócić myślami do dawnych lat. Do momentu, w którym musiał zdecydować o studiach i swojej przyszłości. Wiedział, czego chce, bo miał do spłacenia dług wdzięczności, a przynajmniej takie było jego przekonanie. Przygotowywał się do szkoły policyjnej. I wtedy w okolicy popełniono morderstwo. Ofiarą była siedemnastoletnia dziewczyna. Skalski znał ją z widzenia, chodziła do szkoły plastycznej niedaleko jego liceum. To nim wstrząsnęło. Jak można kogoś tak niewinnego i słabego

pozbawić życia? Widział, jak na miejsce zbrodni podjechał samochód i wysiadł z niego niski, drobny mężczyzna. Zaczął wydawać polecenia i nagle wokół ciała dziewczyny zapanował ożywiony ruch. Wszyscy posłusznie wykonywali swoje obowiązki, krzątali się, coś sprawdzali. Skalski nie zapomniał skupienia na twarzy tego człowieka, zmarszczonego czoła i rzucanych półgłosem poleceń. Prokurator. Uświadomił sobie, że są na świecie ludzie potężniejsi niż policja. Był w rozterce. Z jednej strony czuł, że zdradza swojego wybawcę z czasów dzieciństwa, z drugiej wiedział, że jako prokurator mógłby zdziałać więcej. Znalazł kompromis: postanowił zostać śledczym. Z determinacją dążył do tego celu, choć droga do właściwego wydziału prowadziła przez zwykłą służbę.

Cóż po tym wszystkim znaczyły docinki kolegów? Nie znali jego historii i dlatego nie mogli zrozumieć, dlaczego z taką radością przyjął polecenie patrolowania osiedla. Może być wreszcie jak bohater z lat własnej młodości. Historia zatoczyła koło. Spłaci swój dług lepiej, niż planował, a potem z czystym sumieniem odda się nowej pasji — kryminalistyce.

Koledzy, wróżąc mu kilkuletnie obowiązki krawężnika, byli w wielkim błędzie. Wystarczyło ledwie kilka tygodni służby, kiedy zwrócił na siebie zainteresowanie przełożonych. Stało się to w dniu, w którym doszło do włamania w domu pewnej zamożnej rodziny. Sprawca stłukł szybę z tyłu zabudowania, otworzył od wewnątrz drzwi i skradł drobne dzieło sztuki. Na podłodze znaleziono kawałki szkła i naniesione błoto, była jesień, a ziemia w ogrodzie zrobiła się grząska. Sprawca wiedział doskonale, po co przyszedł, bo skierował się wprost po obraz. Wrócił tą samą drogą po swoich śladach, które urywały się przy jezdni.

Kiedy starsi koledzy przepytywali właściciela — otyłego, kulejącego mężczyznę — Skalski przyjrzał się uważnie błotnistym odciskom, a szczególnie jednemu z nich — z małym płatkiem róży. Zadał gospodarzowi

kilka niezobowiązujących pytań, zwłaszcza o gości tego dnia, czym wywołał ironiczne uśmieszki współpracowników. Młodszy aspirant Skalski nie miał jednak zamiaru ulegać kpinom i zapytał, z kim jeszcze mieszka w domu. Na piętrze przebywał syn właściciela, zbuntowany nastolatek, typek w rodzaju „wszyscy-możecie-mi-naskoczyć". Wówczas wywołał zdumienie, pytając właściciela, czy chce wnieść sprawę przeciwko temu nieletniemu podrostkowi. Niedowierzanie właściciela i policjantów było zrozumiałe, a przerażenie chłopaka stanowiło wystarczające potwierdzenie tego, że miał rację.

Pokazał im płatek róży. Te rosły tylko u wejścia, zatem sprawca musiał tamtędy przechodzić. Młodzieniec okrążył zabudowanie, by wejść od strony ogrodu. Gości dziś nie przyjmowano, a kulawy właściciel zostawiłby charakterystyczne ślady. Chłopak rozpłakał się i przyznał do wszystkiego, a Skalski zarobił pierwsze punkty w drodze do upragnionego wydziału.

Jego kariera wystrzeliła. Prasa go uwielbiała — młody, elokwentny, pewny siebie i z niepodważalnymi sukcesami. Przełożeni przymykali oko na jego gwiazdorzenie, bo robił dobrą opinię całej policji. Szybko awansował na komisarza, co dało mu jeszcze większe pole do popisu.

A potem… A potem wszystko się zmieniło.

Zerknął na kolegów.

Czerski niechętnym wzrokiem obserwował stojącego obok Walczaka, który od dłuższego czasu nieprzytomnie wpatrywał się w podłogę. „Walczak księdzem? Dobry żart. Albo chory żart" — pomyślał.

Do sali wszedł dyrektor Farney i spytał, czy wszystko jest przygotowane. Przez radio Skalski potwierdził, że wóz i obstawa już czekają w podziemnym garażu. Dał znak, by wezwano podejrzanego.

***

Kierownik Henryk Diukiewicz odebrał telefon. Dzwonił dyrektor Farney, który wzywał go pilnie do skonsultowania jakiejś ważnej sprawy dotyczącej bezpieczeństwa. Nakazał mu odwołać wszystkie spotkania, bo może się to trochę przeciągnąć. Zachodził w głowę, o co może chodzić? Jakie bezpieczeństwo? Co on czy choćby jego zespół mogą mieć z tym wspólnego? Pewnie to przez sprawę de Bugaja…

— Andrzeju — zwrócił się do siedzącego obok człowieka — nie mogę być na mitingu groomingowym z Szanghajem. Znajdź, proszę, Normana i przekaż mu to ASAP. Poproś go, by mnie zastąpił.

— Normana Weissa? — upewniał się zakłopotany Andrzej.

— Mam powtórzyć? — Diukiewicz groźnie wbił wzrok w inżyniera. — A gdy będziesz miał chwilę, to pochyl się, proszę, nad tematem performance'u i przygotuj raport zgodnie z nowym templatem.

— Czy to znaczy, że tematy securowe mamy teraz odparkować?

— Można, ale tylko jak dostaniesz ACK od naszych partnerów. Podrajwujesz ten topic?

— Mam teraz obłożenie z…

— Zmień priorytety, to jest ważniejsze dla zespołu. Zrozumiałeś, co masz zrobić?

— Tak jest… To jeszcze ostatnia sprawa. Mam zrobić *follow-up* z Harishem?

— Nie, Harish jest *out of office* do końca sprintu. O ile wiem, to raportuje do Johna, więc zapytaj go o L-trójki. Jakby nie odpowiadał, daj mnie na CC i forwardnij mi maila. Nie zawiedź mnie — dodał groźnie na koniec.

Młody inżynier Andrzej skinął potakująco głową. Diukiewicz wstał i jeszcze chwilę myślał pogardliwie o podwładnym: „Zawsze trzeba pilnować właściwych priorytetów i dobierać do zadań właściwych ludzi.

Mam nadzieję, że to go nie przerośnie”. Otworzył notes i coś w nim zapisał, po czym ruszył przed siebie. „Nie mogą przecież tak wiecznie tkwić w strefie komfortu”.

Minutę później kierownik Diukiewicz wszedł do salki. Jego uśmiech zamarł błyskawicznie, a już chwilę później, skuty kajdankami i nerwowo się trzęsący, niepewnie kroczył wraz z obstawą wzdłuż ustalonego z dyrekcją szlaku. W windzie zemdlał, ale bez problemu go ocucono i doprowadzono do wozu.

Droga do prokuratury zajęła im dwadzieścia pięć minut.

7
12.02, RCUS, biuro dyrektora Farneya

Na ekranie komputera wyskoczyło okienko informujące o pilnym spotkaniu. Farney nie przypominał sobie, by miał coś zaplanowane, i było to tym bardziej dziwne, że informacja została opatrzona czerwonym wykrzyknikiem. I rzekomo spotkanie zaczęło się dwie minuty temu w jego biurze. Uporządkował biurko, schował wszystkie papiery, poprawił krawat i w chwili kiedy się przeciągał, rozległo się pukanie do drzwi.

— Uważaj, Kowalski — powiedział, uśmiechając się do wchodzących. — Musisz znać priorytety. Jest pora lunchu, a ja jestem głodny i jestem twoim przełożonym. Premia ci niemiła?

Kowalski nie odwzajemnił uśmiechu. Bezceremonialnie podszedł do stolika z rzutnikiem i majtnął na niego swój laptop. Towarzyszący mu rudzielec wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i zajął wskazane mu miejsce na skraju kanapy. Farneya na moment rozbiło to dziwne i niestosowne zachowanie nieproszonych gości.

— Powiedziałbym dzień dobry, dyrektorze, ale skłamałbym — odezwał się Kowalski majstrujący przy podłączaniu laptopa do rzutnika. — Mamy przeciek.

— Co takiego?!

— Mamy przeciek — powtórzył. — Ktoś wynosi kod źródłowy.

Farney nie byłby dyrektorem, gdyby nie potrafił powstrzymać emocji i wyciągać logicznych wniosków.

— Domyślam się, że masz z tym coś wspólnego — zwrócił się do rudzielca.

— Mirek poinformował mnie z samego rana. Pracuje nad nowym systemem u Szeflera. Do tej pory zbieraliśmy ślady. Mirek, powtórz, co mi powiedziałeś.

Rudy Mirek najpierw nieśmiało, a później z coraz większą pewnością siebie zdał relację z wczorajszego spotkania w pubie. Farney słuchał go w skupieniu, nie przerywając.

— Podejrzewaliśmy, że AMOD może pracować nad identycznym systemem — odezwał się w końcu. — Może po prostu zrobili identyczny błąd? Może to tylko przypadkowy zbieg okoliczności? Czasem pewne rzeczy muszą być zrobione w określony sposób z zachowaniem pewnego porządku, niezależnie od tego, kto i jak programuje.

Kowalski zdecydowanie pokręcił głową.

— Właśnie nad tym pracowaliśmy od trzech godzin. — Włączył rzutnik i po chwili na ścianie pojawił się obraz z kodem programu. — To jest główny plik z implementacją dość zawiłego algorytmu. Mirek, powtórz raz jeszcze detale techniczne. Ja pokażę je tutaj.

Mirek chrząknął:

— W kodzie była zadeklarowana nieużywana zmienna…

Kowalski wskaźnikiem wskazał na odpowiednią linię.

— Ta zmienna tak naprawdę jest u nas używana, jest potrzebna do wypisywania danych do logów inżynierskich. Gdyby rzeczywiście nie była używana, to kompilator zgłosiłby ostrzeżenie i błąd ujawniłby się od razu — wtrącił.

Mirek kontynuował:

— Podczas oczyszczania kodu, między innymi z nadmiarów logowanych informacji, ktoś zauważył, że zmienna jest niepotrzebna, i ją usunął.

— To nie powinno spowodować zawieszenia się programu — rzucił Farney. Wpatrywał się w kod, cieszyły go te wszystkie instrukcje. Kiedyś był programistą.

— Nie powinno. Sylwester, ten, co teraz pracuje w AMOD-zie, też to stwierdził i dokładnie wskazał, gdzie jest błąd — zgodził się Mirek i podniósł się z kanapy. Wskazał jedną z wyjątkowo zagmatwanych linii kodu. — Jak pan widzi, dyrektorze, tutaj robią się jakieś bardzo złożone operacje, między innymi skakanie po tablicy wskaźników. Przy pewnym zestawie danych testowych indeks tablicy wylicza się na dokładnie minus jeden. Program zapisuje jakąś wartość pod tym indeksem. Proszę spojrzeć na tę zbędną zmienną. Jest zadeklarowana bezpośrednio przed tablicą. Kiedy program wpisywał coś w indeks minus jeden, to w rzeczywistości pisał po tej zmiennej. A że jest ona nieużywana… Po jej usunięciu program nadal wpisuje jakąś wartość pod ten indeks i niszczy w ten sposób prawidłowy fragment pamięci. Wszystko „idzie w maliny”.

— Rozumiem… — Farney kiwał głową. — Jaka jest szansa, że w AMOD-zie niezależnie zrobili ten sam błąd?

Mirek zrobił wielkie oczy.

— Szansa na identyczny błąd? Zerowa! Musieliby wymyślić analogiczny algorytm i zaprogramować prototyp identycznie jak Maura Zdowacka. Musieliby też popełnić taki sam błąd w implementacji docelowej. Już to

praktycznie jest niemożliwe. Dodajmy do tego fakt, że musieliby zadeklarować tę feralną zmienną dokładnie przed tablicą, po czym nie używać jej jawnie w kodzie. Dalej, musieliby mieć taki sam zestaw testów, żeby wykryć błąd po zmianach. To całkowicie i absolutnie nieprawdopodobne. Panie dyrektorze — wskazał oskarżycielsko na wyświetlany obraz — AMOD używa naszego kodu.

— Rozumiem… — powtórzył Farney. — Rozumiem…

Kowalski uderzył w klawisze laptopa i na ścianie pojawił się prosty schemat.

— Teraz moje poletko. — Uśmiechnął się smutno. — Plik został stworzony przez Maurę Zdowacką, naszego głównego architekta, cztery iteracje temu, czyli ma osiem tygodni. Pozostała część zespołu zaczęła go używać w okresie następnych dwóch tygodni. Wtedy napisali zestawy testów jednostkowych. Po kolejnych dwóch, zgodnie z tym, co mówił pracownik AMOD-u, mieli go już u siebie. Kradzież nastąpiła najprawdopodobniej jakoś od sześciu do czterech tygodni temu. Tydzień temu Mirek naprawił ten błąd u nas i dzięki temu rozpoznał problem.

Farney wstał i wyciągnął dłoń do Mirka.

— Dziękuję ci za czujność. To jak najwłaściwsza postawa. Tylko proszę, nie mów o tym nikomu. — Był mocno przybity. — Takie są zasady i wymogi naszej pracy w bezpieczeństwie. No i nie chcemy spłoszyć sprawcy.

Po raz drugi w ciągu pół roku mieli problem ze szpiegostwem przemysłowym, a to Farney odpowiadał za bezpieczeństwo danych.

— Dziękuję. Będę milczał jak ta zmienna.

— Kowalski, zostań jeszcze na chwilę.

Mirek skłonił się i wyszedł.

— Kto jeszcze o tym wie? — zapytał Farney po dłuższej chwili.

— Cały kontekst znamy tylko my…

— A tych dwóch, co też byli na piwie?

— Słyszeli tylko historyjkę o zabawnym błędzie, a pracują w innym departamencie. No i Marceli mógł usłyszeć to i owo. Był bardzo ciekaw, nad czym tak pracujemy.

Farney skrzywił się mimowolnie.

— Pomyśl o dwóch sprawach. Po pierwsze: kto mógł skraść kod? Chcę mieć listę wszystkich osób z dostępem do tego pliku, od stażysty, po dyrektora Szeflera.

— Dyrektora Szeflera?

— Nie możesz wykluczyć nikogo. Nikogo. Nawet mnie.

— Pan nie ma dostępu do tego repozytorium — złapał go Kowalski.

— Naprawdę? Rzeczywiście, po aferze z przeciekami… po poprzedniej aferze z przeciekami — poprawił się z ociąganiem — mocno ograniczyłeś wszystkim uprawnienia. Druga sprawa. Pomyśl, jak można się zabezpieczyć przed dalszymi tego typu działaniami. Wiem, że to właściwie niemożliwe — dodał szybko, widząc zrezygnowanie w oczach Kowalskiego — ale zrób wszystko, by maksymalnie utrudnić taką działalność. Może złodziej zostawi jakiś ślad.

— Przyjdę jutro z listą — obiecał Kowalski, ale w jego oczach nie było widać wielkiego entuzjazmu.

— Dziękuję ci — rzekł, uścisnąwszy mu mocno dłoń. — I powodzenia.

Farney zawołał go, kiedy ten już prawie zamknął drzwi.

— I jeszcze jedno… — Patrzył jakby w dal. — Kiedy będziesz nad tym pracował… zrób to sam. Bez pomocy Marcelego.

— Tak jest… — odpowiedział Kowalski niepewnie.

— Nie ufaj mu… Nie ufaj Marcelemu.

8
15.30, RCUS, sala konferencyjna

Maksymilian Szefler szeptał coś do stojącej obok Moniki Reshke, kiedy do pokoju wszedł Bernard Farney. Natychmiast zaprzestali konwersacji, ale uśmiechy na ich twarzach nie zniknęły. Cała trójka rozsiadła się w fotelach. Dziewczyna poprawiła zalotnie fryzurę, odsłaniając długą szyję, i poprosiła:

— Poczekajmy jeszcze na Donatana.

Szefler przypomniał sobie poranne spotkanie z nim i zachodził w głowę, jakie to korzyści może mieć z takiego sojuszu. Na krótką metę nie widział żadnej, ale w dłuższej perspektywie mógł się pozbyć Farneya i zastąpić go kimś zaufanym, oddanym i z ogromnym długiem wdzięczności. Warto by było jednak najpierw jakoś przetestować tę zadeklarowaną lojalność. W tym właśnie momencie wszedł Relik, a Reshke, nie czekając, aż usiądzie, rozpoczęła:

— Przepraszam za to nagłe spotkanie, ale dyrektor Frost polecił mi przekazać, że są pewne nieścisłości wydatkowe w waszych departamentach. Zdążyłam szybko to podsumować i wydrukować. Proszę. — Podała każdemu kilkustronicowe kopie.

— Przepraszam, ale może powinniśmy się najpierw w spokoju z tym zapoznać, nim zaczniemy o tym rozprawiać? — rzucił Farney.

— A co, nie trakujesz tego online? — Szefler z satysfakcją pozwolił sobie na złośliwość.

— Nie używam w pracy traktora, tylko komputera — odparł.

— Skupmy się na liczbach — poprosił Relik.

— Dziękuję. — Reshke zaczęła wyliczać wydatki kapitałowe i operacyjne. Żaden z dyrektorów nie był na tyle biegły, by przetworzyć te dane tak szybko.

Zniecierpliwiony Farney przerwał jej w końcu:

— Mogę poprosić o jakieś logiczne streszczenie? O jakieś wnioski? Nie mamy tu wszyscy zbyt wiele czasu.

— Dobrze. Niech tak będzie. Do szczegółów wrócą panowie po spotkaniu. Ja pozwolę sobie tylko podsumować słowa dyrektora Frosta. Dobiliście z wydatkami do granicy dopuszczalnego budżetu na ten rok i dyrektor zamroził wam dostęp do kont do czasu, aż nie znajdziemy jakiegoś rozwiązania.

— Dwa dni temu omawialiśmy to na zebraniu i nie było tematu. Coś się zmieniło? — zaniepokoił się Relik, którego departament szczególnie cierpiał przez nieustające oszczędności.

— Tak, do systemu księgowego spłynęły nowe zobowiązania i przyszedł czas na realizację opóźnionych płatności.

— Wszystkie wydziały właśnie osiągnęły limit, i to tego samego dnia? To jakaś pomyłka! — wściekł się Farney.

— Nie, w sumie to problem stanowi tylko departament pana i dyrektora Relika.

— A jego? — Wskazał na Szeflera.

— Jego wydatki idą zgodnie z planem.

— To dlaczego go zaprosiłaś? — obruszył się Farney.

— Bo wśród opcji do rozważenia jest również taka, by dyrektor Szefler ograniczył swoje wydatki, uwalniając część budżetu dla was.

— Hola! — zaniepokoił się Szefler. — Mam im oddać moje pieniądze?

— A masz jakieś inne propozycje, dobre dla interesów firmy? — zapytał drwiąco Farney.

— Zastanówmy się nad tym chwilę — rzekł pojednawczo Relik.

— Mówię spokojnie. — Szefler wstrzymał oddech. — Ryzykiem wstrzymania moich wydatków są opóźnienia i kary wynikające z zawartych

umów. Do ugrania zaś naprawdę lukratywne kontrakty i pieniądze z nadchodzących wdrożeń.

— To może zróbmy tak — zaproponował Relik — że ten kwartał ciągniemy wszyscy z twojego konta normalnie, a w następnym się zobaczy, jakie mamy kolejne opcje.

— I mnie wydrenujecie szybciej, niż się ktokolwiek zorientuje? *No way!* — Szefler bronił swojego sejfu.

— Nie ufasz nam? — zapytał Farney.

— Może firma zaciągnie kredyt? — zignorował zaczepkę Szefler i spojrzał na Monikę Reshke, ale zdał sobie sprawę, że nie jest ona osobą decyzyjną.

Nastała chwila ciszy. Szefler spojrzał na kartki raportu, przez chwilę rozważając inne możliwości. Nic sensownego się wykluć nie mogło. Nikt nie był przygotowany na taki obrót spraw. Wreszcie pogodził się z losem i rzekł:

— Mam taką konstruktywną propozycję. Zrobię transfer części środków na wasze subkonta zamiast podłączać was pod moje. Z grubsza widzę, że mogę trochę ograniczyć się w ostatnim kwartale i zaoszczędzoną różnicę przelać wam już teraz. Na jakiś czas powinno wam wystarczyć, a mnie to wprost nie zaimpaktuje.

Monika Reshke była zachwycona taką postawą. Farney i Relik mieli kwaśne miny. A może jej się tylko zdawało? Wątpliwości rozwiał Bernard Farney:

— Wiesz, Maksiu, że aresztowano ci dzisiaj jednego menedżera?

9
15.40, prokuratura

— Masz tutaj informacje, o które prosiłaś.

Skalski położył delikatnie teczkę na prokuratorskim biurku. Półmrok spowijał wnętrze i tylko światło laptopa rozjaśniało twarz kobiety oraz uporządkowany stos papierów wokół.

— Nie prosiłam, tylko wydałam rozkaz — poprawiła złośliwie, zerkając nieznacznie.

— Czy to już wszystko, pani prokurator? — cofnął się.

— Żadnych świeżych informacji? Żadnych postępów? — zapytała, ignorując słowa Skalskiego.

— OK — sapnął ciężko. — Streszczę ci nasze ustalenia.

— Poproszę — zachęciła chłodno.

— W sprawie strażnika Istvana Rado mamy: ślady jego butów w miejscu przestępstwa, był wtedy na zmianie i, jak sam potwierdził w zeznaniach, poza stróżówką w godzinie tego zajścia. Był wcześniej karany za częste pobicia. Jako ciekawostkę dodam, że na ochotnika zgłosił się do czyszczenia miejsca zbrodni.

— Ciekawe. — Ociepliła ton.

— Sprawdziłem to. Sprawa wygląda tak, że ich ekipa sprzątająca nie chciała tego zrobić. Zbuntowali się. A nasz strażnik powiedział, że jak mu zapłacą, to wybawi ich z kłopotu.

— Nie miał oporów? — zdziwiła się.

— Z przesłuchania Walczaka wynika, że nie miał; że więzienie uodporniło go na takie rzeczy. A pieniędzmi nie gardzi, bo za długo był bezrobotny.

— A co nowego masz o pieszczochu, którego dzisiaj maglowałam?

— Z panem Diukiewiczem mamy dwa problemy: pierwszy to jego włosy na ciele denata. DNA potwierdzone. Ale to już znasz. Natomiast drugi, bardziej interesujący… Czerski sprawdził dziś dla mnie trasy poruszania się Diukiewicza i de Bugaja w dniu morderstwa. Rozmijali się przez cały piątek. Żadna z kamer nie uchwyciła ich razem. System wejść i wyjść również na to wskazuje. Nikodem de Bugaj przyszedł późno do pracy, nie zdążył na stand-up i większość czasu spędził w laboratorium.

— Co nam to daje?

— Wzmacnia hipotezę, że włosy Diukiewicza musiały się tam znaleźć nieprzypadkowo.

Pokiwała głową z uznaniem.

— Widzę, że pomysł z Czerskim był trafiony. Czerpiecie z jego talentów.

— Potwierdzam. Jest pożyteczny.

— To dobrze. Pewnie interesują cię zeznania Diukiewicza. — Szybko wróciła do meritum.

Skalski skinął głową.

— Powiedz mi, czy ty też miałeś wrażenie, że on mówi w obcym dialekcie?

Poczuł na sobie głębokie, hipnotyzujące i onieśmielające spojrzenie.

— Owszem, oni tam są trochę specyficzni. — Zrobił kilka kółek w okolicy skroni.

— Strasznie mnie zmęczyło to jego bredzenie. Mają taki specyficzny język. — Odgarnęła dłonią włosy do tyłu. — Do tego był taki władczy i przeświadczony, jaki to z niego kogut. Jak ten mały kapral. Przez moment się zapomniał, z kim rozmawia. Ale spotulniał, jak powiedziałam, o co jest oskarżony. — Pogroziła palcem.

„Oho, rozkręca się” — pokiwał głową Skalski i słuchał dalej:

— Oczywiście, nie przyznał się. Wyobraź sobie, że prawie się rozpłakał. Tacy słabi są dzisiaj ci metroseksualni osobnicy. Szkoda mi się go zrobiło, bo nawet go nie docisnęłam. I zaczął mówić o szkoleniach miękkich, które był zmuszony odbyć, o nauce empatii, o piramidzie potrzeb, o tym, co motywuje ludzi, o dbałości o uczucia pracowników. Że on rozumie, że musi nad sobą pracować, że ma takie cele wpisane, bo go z tego jego menedżerowie rozliczają. Wyobrażasz sobie? Oni tam pracują nad swoim zachowaniem! Powiedz mi, czy to szpital jakiś? Oni tam problemy mentalne naprawiają czy programy piszą? Wytłumacz mi?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Takich rzeczy w życiu jeszcze nie widziałem.

— Tak, wiem. Przecież to nie burdel ani dziwki, które cię informują o łajdactwach swoich klientów czy też świadczą ci inne gratisy. Żadne tam zatargi z lokalną mafią. Skąd ty byś miał takie rzeczy wiedzieć — zaszydziła, ale on wiedział, że chciała tylko wywołać kolejną awanturę, która skończy się wylewaniem żalów i oczekiwaniem na samobiczowanie. Nie miał na to siły i nastroju.

Podniósł się z fotela.

— Pozwolisz, że pójdę? — poprosił najspokojniej, jak potrafił.

Stał niewzruszony. Zamilkła na chwilę i pojęła go w lot:

— Możesz odejść.

10
16.55, RCUS, biuro Maury Zdowackiej

Komputer brzdąknął i na ekranie pojawiło się okienko informujące o zbliżającym się spotkaniu. Maura spojrzała na nie niechętnie i westchnęła.

Zaczynała już dziewiątą godzinę w pracy, a czekały ją jeszcze dwa godzinne spotkania. Znowu wyjdzie po 19.00.

Nikt nie powiedziałby o niej, że jest zabójczo piękna. Być może mało kto powiedziałby, że w ogóle jest piękna. Straciła już swą młodość, wokół oczu i kącików ust zaznaczały się wyraźne zmarszczki. Ukrywała jej pod coraz mniej delikatnym makijażem. Niespecjalnie dbała też o dobry wygląd. Nie pochodziła z pokolenia, dla którego wygląd oznaczał pozycję w społeczeństwie. Jej figura nie była zgodna z modnymi aktualnie trendami, nie uprawiała popularnego joggingu, na siłownię chodziła tylko po to, by nie siedzieć samotnie w mieszkaniu. Niemniej, a może dzięki temu, zachowała kobiece kształty i naturalny seksapil. W ramach potrzeby zachowania naturalności nigdy nie malowała się wyzywająco, nie myślała też o żadnych korektach biustu, pośladków, nosa ani niczego, co sobie poprawiają kobiety. Jej naturalne blond włosy oczywiście nigdy nie doświadczyły farby, delikatnie zakręcały w kierunku twarzy, nadając nieco dziewczęcego uroku. Zaczesane do góry odsłaniały wysokie czoło kryjące nieprzeciętny umysł, największy skarb i największe przekleństwo.

Maura Zdowacka miała ponadprzeciętnie rozwinięty analityczny umysł. W lot łapała złożoności projektowe, ich wzajemne relacje i wpływy. Potrafiła z łatwością opracowywać w drobnych szczegółach scenariusze rozwiązań i potencjalne skutki ich zastosowań. Jeśli chciała i miała na to czas, mogła zejść z konkretnymi rozwiązaniami niemalże na poziom algorytmów i kodu źródłowego. Była przez to bardzo podziwiana, szanowana i doceniana, zarówno przez podwładnych, jak i przełożonych.

Ten sam umysł był też jej problemem w relacjach międzyludzkich. Nie potrafiła stworzyć normalnego związku z mężczyzną. Większość była zwyczajnymi głupcami, którzy licząc na złapanie atrakcyjnej blondynki, zwyczajnie jej nie doceniali i nie nadążali za jej tokiem myślenia. Ona też

bardzo szybko zauważała, że szkoda marnować resztę życia na półgłówka. Inni adoratorzy, nieco bystrzejsi od przeciętnych, szybko dochodzili do wniosku, że w tym związku nie będą mieli wiele do powiedzenia, i sami czym prędzej uciekali. Zanim się zorientowała, że strumień wielbicieli wysechł niemal zupełnie, na twarzy i szyi pojawiły się pierwsze zmarszczki, a za chwilę pojawi się pierwszy siwy włos.

Jej życie prywatne cierpiało przez tysiące takich nieistotnych wydarzeń jak spotkanie mające się za chwilę odbyć. Z każdym rokiem żałowała tego coraz bardziej.

Ostatnią nadzieją był jej aktualny partner. Inteligentny mężczyzna, na poważnym stanowisku, pewny siebie i zdecydowany, elegancki, niesamowicie przystojny, o znośnym poczuciu humoru, tyle że… żonaty, co było poważną przeszkodą do zbudowania normalnego związku. Postanowiła jednak dopiąć swego za wszelką cenę.

Zamknęła okienko i wstała od biurka, gdy rozległo się pukanie, drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich głowa Kiliana Osika.

— Mauro, mogę na sekundę? — Nerwowo rozbiegane oczy patrzyły na nią błagalnie.

— Mam pięć minut — odpowiedziała. — Chyba że jutro…

— Proszę… To zajmie chwilę… Ja… ja nie wiem, co robić…

— Mów. — Zaprosiła go do środka, sama usiadła na kanapie, zakładając zmysłowo nogę na nogę. Osik zupełnie tego nie zauważył, co świadczyło źle albo o jej kobiecości, albo o jego stanie.

— Wiem, że nie masz wiele czasu, więc walę prosto z mostu… Zastanawiam się nad odejściem z firmy… — wyrzucił z siebie, a Zdowacką lekko zmroziło. — Nie chodzi o to, że robota jest do bani, bo nie jest. Ale jej organizacja to kur… no… pozostawia wiele do życzenia.

Zdowacka uśmiechnęła się i od razu odmłodniała. Rzuciła:

— Wiem, widzę ten kabaret. Na szczęście mnie nie sięga.

— A mnie to dobija… Czuję, że potrzebuję zmiany. Zwłaszcza teraz, po śmierci Nikodema. Rozumiesz?

Skinęła głową.

— Nikodem… Nikodem parę dni temu powiedział mi, że też chce odejść z firmy. Ktoś go namawiał, by przeszedł do jakiegoś start-upu. Odmówił, ale potem miał wątpliwości, czy dobrze zrobił. Zapytał, czy nie chciałbym tam pójść razem z nim. Potrzebują lotnych rzemieślników i testerów, bo na razie mają tylko jajogłowych. Obiecał, że następnym razem wszystko mi opowie ze szczegółami.

Zdowacka zerknęła na zegarek, co nie uszło uwagi Osika.

— Chodzi mi o to… — patrzył jej w oczy — żebyś po prostu pomyślała za mnie. Ja… ja nie potrafię, nie teraz, nie po tym, co się stało.

— Dobrze, Kili. — Wstała. — Pomyślę, zrobię to dla ciebie. Powiedz mi tylko, co to za firma. Czym się zajmują, co o nich wiesz… takie tam.

— Nikodem nie zdążył opowiedzieć o szczegółach, niestety. Wspomniał jedynie, że wiele osób od nas już tam przeszło.

— To jak mam ci pomóc, jeśli nie wiem, o czym mowa? — spytała z łagodnym uśmiechem.

— Trochę wiem… Są na rynku od niecałego roku i mają siedzibę na szesnastym piętrze Cloud Bridge. I jak to start-up, zajmują się czymś supernowoczesnym. Łatwo ich namierzę. Pójdę tam w weekend i się dowiem. Przecież to nie sektor wojskowy. Albo lepiej, zadzwonię rano na recepcję tego budynku i poproszę o połączenie z szesnastym piętrem. Dowiem się wszystkiego i może pogadamy w czasie lunchu

— Dobrze, Kili — powtórzyła i gestem zachęciła do udania się w kierunku drzwi. — Teraz jestem już spóźniona na spotkanie. — Z jakąś

trudno wytłumaczalną radością stwierdziła, że akurat ta niepunktualność sprawia jej szczególną satysfakcję.

— Dzięki, Ma!

— Tylko nie rób niczego pochopnie. Najpierw dowiedz się czegoś więcej o nich, a potem pomyślimy. Do jutra!

11
17.00, siedziba AMOD-u

— Słuchaj, jak naprawdę wygląda sprawa systemu? — zapytał prezes Ives.

Wpatrywał się wnikliwym, świdrującym wzrokiem. Pomieszczenie było małe, bez okien, zakonspirowane tak, że nikt nie mógł im teraz przeszkodzić. Tylko zaufani ludzie mogli się poruszać po tej części budynku. Wystrój pokoju był dość mroczny, mimo sztucznego oświetlenia, a to za sprawą wiekowego dębowego biurka, wykopanego pewnie z jakiegoś antykwariatu, o rozmiarach takich, że rozpychał się po niemal całej dostępnej powierzchni.

— Ciągle w powijakach. Idzie wolno i mamy strasznie dużo defektów — odpowiedział Gordon. Miał na sobie najnowszą koszulę Armaniego. Złoty zegarek lśnił na wydepilowanej ręce.

— Wiesz, że RCUS już za miesiąc wdraża pierwszą pokazową instalację?

— Tak. Konsultant powiedział mi przedwczoraj.

— Startujemy we wszystkich przetargach, by nie dać się wydymać. Ale musimy mieć jakieś działające demo.

— On mówi, byśmy się nie martwili. Ma wszystko pod kontrolą.

— O czym ty mówisz, człowieku? Oni już za miesiąc instalują pierwszy system! Gdzie ta kontrola?

— To maleńka wersja ich produktu, pokazowa… Ważne, że mamy ich cały design, wymagania i najważniejsze: kod źródłowy!

— I bonus w postaci fury defektów!

— Nie ma co panikować. To akurat może być naszym atutem! Przemyślałem to.

— Co chcesz mi wmówić? — nie dowierzał Ives.

— Nie naprawiajmy ich… to znaczy naprawiajmy, ale tylko te mniej ważne!

— Chyba nie rozumiem.

— Kod jest kradziony, tak?

Ives skinął głową, milcząc.

— Zgodzisz się, że RCUS usunie najpierw najważniejsze usterki. Brzmi logicznie? My zaś naprawimy te, które RCUS odłoży na później. Kiedy spłynie do nas świeża porcja ich kodu, będzie zawierać wszystkie istotne poprawki, a my dodamy nasze. Który produkt będzie miał finalnie lepszą jakość: nasz czy ich?

Ives uśmiechnął się, a Gordon ciągnął:

— Do rozstrzygnięcia istotnych przetargów jest jeszcze trochę czasu. Jeżeli nie zdążymy, to znaczy tylko tyle, że to RCUS nie zdążył. Ale zabawniejsze jest to, że ich terminowość będzie oznaczała nasz sukces, bo wygramy jakością.

— I wreszcie ich wyprzedzimy. Chytre! Pamiętaj jednak, że nie doinwestujemy już ani w ludzi, ani w sprzęt. Jedziemy na pożyczkach. Jesteśmy tak cholernie blisko, jak nigdy dotąd. Cholernie ryzykujemy, implementując ich design i kradnąc ich kod. Wystarczy, by znalazł się jeden mały przeciek i mamy przesrane. Oni też tu mogą mieć jakiegoś kreta!

— Na razie nie ma ku temu żadnych przesłanek — uspokajał Gordon.

— Mogą czekać, aż się czymś pochwalimy. I wtedy uderzą! — zamartwiał się Ives.

— Nie będzie im tak łatwo. Ich projekt narusza kilka naszych patentów.

— Prawda. — Zastanowił się przez moment. — Możemy ich przyblokować, a oni nas. Ale to nas nie stać na zwłokę. Takie sprawy ciągną się latami.

— Do tej pory nie walczyli z nami w ten sposób.

— Mogą zacząć, bo nigdy nie czuli naszego oddechu na plecach.

12
18.30, komenda policji

Skalski wrócił do komendy z późnego obiadu, a właściwe obiadokolacji. Był nieco zmęczony po akcji i śpiący po posiłku. Nikogo już nie było, a na biurku czekały kolejne raporty. Cóż mogą nowego wnieść do sprawy? Trudniejsze pytanie, które chodziło mu po głowie, brzmiało: dlaczego oskarżeni nie chcą się przyznać? Przygotowali się na to? Spodziewali się tego? Nie sprawiali wrażenia twardych, ale to mogą być tylko pozory, czego już nieraz doświadczył. I po jakie licho zrobili to, co zrobili?

Rozciął kopertę, wyciągnął spięty plik kartek. Założył nogi na krzesło stojące obok. I tak samotnie zaczął przeglądać świeży raport dotyczący butów strażniczych. Nie spodziewał się znaleźć niczego odkrywczego, ale im dłużej to robił, tym bardziej jego znudzenie przeobrażało się w zainteresowanie. Poprawił lampkę, schował nogi pod swój fotel, położył raport na blacie i pochylił się, czytając uważnie. Przeskoczył na wnioski. To było jak uderzenie młotem! Coś tu się posypało!

Wrócił i zaczął od początku. Nie zgadzały się mikroślady podeszew. Wszystkie używane buty miały charakterystyczne dla siebie uszkodzenia, odzwierciedlające zarówno sposób chodu użytkownika, jak i teren, po którym się poruszał. Do tego skład chemiczny i mikrobiologiczny z podeszwy buta zabezpieczonego u strażnika był odmienny od śladów pozostawionych na miejscu zbrodni. Jak to możliwe? Porównano również obuwie całej załogi. Skład ich wszystkich był z grubsza podobny. Ale ślad pozostawiony na miejscu zbrodni był zupełnie inny. Najbardziej pasował do zapasu nowych, nieużywanych jeszcze butów z magazynu. Dobrze, że technicy zabrali wszystko, co im wpadło w łapy.

Skalski przypomniał sobie, z jaką dumą Olaf prezentował mu wskaźnik zgodności odcisku z miejsca zbrodni z bazą danych — 99,97%. Wtedy nie wzbudziło to jego podejrzeń, a powinno! W bazie danych były odciski nowych butów, taka zgodność od razu powinna im powiedzieć, że patrzą na ślady równie nowych egzemplarzy. Ze złością zazgrzytał zębami, że wbrew samemu sobie bezrefleksyjnie zaufał wynikom z komputera.

— Podsumujmy. — Skalski zamruczał, uspokoiwszy się nieco. — Sprawca chodził w fabrycznie nowych butach. Te strażnika nie pasują, a innych nie znaleziono.

Poszukał w raporcie, czy buty z magazynu były faktycznie nieużywane; czy czasem ktoś ich sobie nie pożyczył. Znalazł taką informację, więc miał potwierdzenie, że nikt ich nie wkładał. Brak na to śladów. Morderca miał po prostu identyczne buty, które założył przed zabójstwem. Nie wyklucza to strażnika, tylko że jest nielogiczne! Skoro Istvan Rado był świadom, że policja zabezpieczy odciski podeszew, to dlaczego włożył buty w tym samym rozmiarze? Mógł, dla zmyłki, wziąć numer większe. Nie mówiąc już, że mógł kupić jakiś masowy, popularny model ze sklepu. Tylko się pogrążał.

Chyba że to… Diukiewicz! Skombinował sobie taką parę i celowo skierował ślady na strażnika! Chytra bestia! Trzeba przeszukać jego mieszkanie jeszcze raz. A może ich obu? Trzeba znaleźć te cholerne trepy!

13
21.30, biuro dyrektora Farneya

Bernard Farney mocno uderzał w klawisze, odpisując na kolejnego bezsensownego maila. Zazwyczaj doskonale potrafił nad sobą panować, ale w takich momentach tracił kontrolę. Najchętniej sięgnąłby po stare metody, nawrzucał wprost tej miernocie, by się ocknęła, wykonała należycie swoje zadanie i dała znać, kiedy skończy.

Jednakże czasy kierowania się zdrowym rozsądkiem przeminęły na rzecz wprowadzenia nowoczesnych metod zarządzania, głaskania pracowników, słuchania parapsychologów, coachów, konsultantów od tego i owego. Nie pocieszała go ta daremna walka. No bo jak walczyć z ludzką głupotą? I to o godzinie wpół do dziesiątej wieczorem? I ze świadomością, że kolejny dzień będzie kalką z dziś? Zapewne jutro będzie odpisywał na tego samego maila wydłużonego o naście maili najróżniejszych menedżerów, niemających pojęcia, o co chodzi. Jako dyrektor powinien załatwiać ważne sprawy, a nie tłumaczyć oczywistości jakiemuś młodocianemu menedżerowi, który o pewnych sprawach nie ma bladego pojęcia. Dawniej nikt bez smykałki technicznej, nie przeszedłszy udeptanej własną nogą ścieżki, nie miał szans na awans. Dawniej…

Pukanie do drzwi wyrwało go z ponurych myśli. Momentalnie się opanował, uniósł ręce i przyjrzał im się uważnie. Nie drżały.

— Proszę! — zawołał głośno.

— Cześć — rzucił smętnie Relik. — Nie za dużo pracujesz?

— Za dużo, Donek, za dużo. Ale nie tyle chodzi o pracę, ile o jej bezsensowność. Zobacz — wskazał ręką monitor — jakiś leszcz z Kalifornii pyta mnie o jakieś pierdoły. Czy ja tutaj jestem po to, żeby zadowalać takich leszczy? Nikt ich nie uczy, jak się pracuje z szefem?

— To po co mu odpisujesz? Olej go. Jak to będzie ważne, to zapyta ponownie. — Relik przypomniał starą korporacyjną zasadę.

— Leszcz wyeskaluje problem i w końcu trafi to do prezesa. Wiesz, jaki on teraz jest przeczulony. Musimy dopieścić ten kontrakt. Nie przelewa nam się dzisiaj. I nawet jeśli będzie po twojej stronie, to należy się spodziewać marudzenia. A konflikty nam teraz niepotrzebne, bo to tylko strata czasu. Musimy się skupić na produkcie, myślmy w kategoriach sukcesu. Czujesz to?

— Wiesz, jak jest u nas w badaniach? — Relik odwrócił głowę. — Nie bierzemy udziału w bezpośrednich pracach nad żadnym projektem, a połowa naszych osiągnięć do niczego się nie nadaje. Połowa z pozostałej połowy jest zbyt kosztowna, by ją wdrożyć. Reszta, nawet jak gdzieś zostanie zastosowana, to jest tylko fragmentem większego rozwiązania i ginie w otchłaniach projektu wymyślonego przez biznes. A to wszystko kosztuje, i to niemało. Powiedz, Bernard, o jakim naszym ostatnim projekcie słyszałeś, by został wdrożony do naszego oprogramowania? Albo sprzętu?

— Yyy, chyba te pomysłowe algorytmy redukujące szum w nagraniach… Mylę się? — niepewnie zapytał Farney.

— To było trzy lata temu, Bernardzie. Trzy lata! I nawet ty, człowiek świetnie orientujący się w tym, co produkujemy, nie potrafi wskazać nic nowszego. A przecież my tam nie robimy nowych tapet na pulpit Windowsa. A wiesz, co jest jeszcze gorsze? To, że taki Szefler nie ogarnia nawet tego. To świetnie, że potrafi pięknie opowiadać o naszym

oprogramowaniu i o jego innowacyjności, ale nie ma do tego duszy, nie budował tej firmy, jak ty czy ja. Pamiętasz, co powiedział Steve Jobs do Johna Sculleya? „Chcesz sprzedawać słodzoną wodę przez resztę swojego życia czy wolisz dołączyć do mnie i zmienić świat?” Sculley chciał zmienić świat. A nasz Szefler poszedłby sprzedawać słodzoną wodę, jeśli tylko zapłaciliby mu więcej.

Relik był całkowicie rozgoryczony. Farney podszedł do barku i wyciągnął stamtąd butelkę i dwie szklanki. Bez słowa pokazał ją gościowi.

— Nie mogę, stary. Autem przyjechałem.

— Weźmiesz taksówkę. — Bursztynowy płyn chlupnął zachęcająco.

— Muszę wrócić autem. Jutro mam mały wypad za miasto.

— Do jutra się rozejdzie — zawyrokował Farney, podając mu pełną szklankę.

— Właściwie to przyszedłem ci się pochwalić, a jakieś żale wylałem.

— Czym się chciałeś pochwalić? — zainteresował się Farney.

— O tym wypadzie mówię. Wyjeżdżam wczesnym popołudniem w kompletną górską dzicz w lesie. A może to leśna dzicz w górach? W każdym razie marsz na orientację przez ciężki teren, pływanie, wspinaczka na skały, zjazdy na linie. Ponad osiemdziesiąt kilometrów do przebycia w czterdzieści osiem godzin. Żadnego wsparcia, papierowa mapa, analogowy kompas, żarcia tyle, co w plecaku i jazda w las.

— Proszę, proszę. Czyli *challenge accepted*! — Farney roześmiał się z uznaniem. — Mówisz, że wspinaczka i zjazdy na linie?

— Też, ale niewiele. Niestety, bo to chyba najtrudniejsze odcinki. A że kiedyś uprawiałem wspinaczkę, to nie jest mi to straszne.

— A wiesz — oddał się wspomnieniom Farney — że kiedyś łaziłem po jaskiniach? Nie żebym był zaraz speleologiem, raczej dołączałem do zawodowców. Tam też trzeba było trzymać się liny.

— No proszę. Ja właziłem na góry, ku niebu, a ty zsuwałeś się do czeluści piekielnych. Pewnie dlatego się nie spotkaliśmy. A teraz? Nie ciągnie cię już do jaskiń?

— Trochę tak, ale mam na to za dużo… kilogramów. — Farney poklepał się po brzuchu. Było to raczej wspomnienie sporego brzuszka, bo od kilku już lat trzymał znakomitą formę. — Obawiam się, że utknąłbym w pierwszej szczelinie.

Zaśmiali się. Farney mówił dalej:

— Teraz ciągnie mnie wyżej. Mam własny samolocik. — Przysunął na środek biurka niepozorną statuetkę awionetki. Relik parsknął śmiechem, wziąwszy ją do ręki.

— Tylko wiesz… trochę tak plastikowo wygląda…

— Mam do osobistej dyspozycji cessnę. Praktycznie na okrągło. Kojarzysz zapewne aeroklub za miastem?

— To musi być świetna sprawa. — Relik był lekko zaskoczony. — Od dawna?

— Już od jakiegoś czasu. Doszkalam się pod okiem instruktora. Zresztą niedługo startuję w zawodach.

— Musi cię to sporo kosztować. — Gwizdnął z podziwem.

— Owszem. Musi.

Nastała chwila ciszy, więc przechylili szklanki. To zachęciło Relika.

— Zastanawiam się nad pewną delikatną sprawą.

— Słucham.

— Wiesz, że Aivar odchodzi? — Relik uważnie wpatrywał się w twarz rozmówcy.

— Nie wiem. — Farney skłamał, nie okazując żadnych emocji.

— Nie widzę zaskoczenia.

— Pewnie przez zmęczenie. Mówisz, że odchodzi? Raczej bym obstawił, że go wyrzucą. Ale widać uprzedził fakty. A ty skąd wiesz?

— Od Szeflera.

— Powiedział ci to, ot tak?

— Podpuściłem go i się wygadał.

— Dobrze z nim żyjesz, że zdradza ci takie tajemnice. — „Jaki interes chce ubić? Może go ktoś nasłał?” — zachmurzył się Farney.

— I jeszcze jedno: rozważają go poważnie na stanowisko prezesa. Ale nie tylko jego, co go strasznie martwi… — uśmiechnął się porozumiewawczo Relik.

— A mówisz mi to, bo… — Farney ordynarnie ciągnął za język.

— Bo chcę zaoferować ci swoją lojalność. — Rozłożył szeroko ręce w geście otwartości.

— W jakim sensie?

— Będę przy tobie. Możemy razem załatwić Szeflera. Nie wiem jeszcze jak, ale można by mu jakoś zaszkodzić, nie?

— Aż tak go nie lubisz?

— A ty to niby nie? — Relik odrzekł lekko zirytowany.

— Ja mam powody. Nie wiem, co ciebie do niego zraża. Zwłaszcza że tak cię lubi.

— Walczę o życie. Szefler na stanowisku prezesa skasuje mój dział w pierwszej kolejności. Jestem tego zupełnie pewien. Musi się przypodobać zarządowi, a mój teren to łatwy cel. A pamiętasz to dzisiejsze zebranie u tej zastępczyni Frosta, Moniki Reshke? Hojny i wspaniałomyślny Szefler wrzuca nam jałmużnę do kapelusza. Jak psom resztki ze stołu. Przeraża mnie myśl, że on zostaje numerem jeden, a ja będę mu czapkować… o ile w ogóle nie wywali mnie z firmy. Na zebraniach jeszcze jakoś go znoszę. Ale jako zwierzchnika? Nie mam na to siły. — Rozłożył ręce.

Na szczęście szklanka, którą trzymał, była już pusta.

— Liczysz na coś w zamian?

— Dla przyszłego prezesa to będzie drobnostka.

Zaśmiali się głośno, ale żaden z nich nie był w tym szczery.

— Zatem słucham — zapytał Farney mile połechtany.

Relik był uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Chcę jego obecne stanowisko.

14
22.30, mieszkanie Anny Tores

— Jesteś wreszcie! — Anna Tores była zła nie na żarty. — Co się z tobą dzieje?

Czerski łypnął na nią okiem i chłodno pocałował w policzek.

— Mówiłem ci, mamy bardzo dużo pracy.

— Każdy tak mówi, jak nie chce się spotkać ze swoją kobietą!

— Przestań, Aniu, ledwo żyję. — Usiadł w fotelu. — Jeszcze muszę współpracować z tymi… wielkimi inspektorami. Wiesz, jak to jest z młodym. Dostaje najczarniejszą robotę, najbardziej upierdliwą. — Przyciągnął ją do siebie.

Wcisnęła się obok niego, aż fotel jęknął, protestując. Pogładziła go uspokajająco.

— Wiem, biedaku, wiem. W każdej branży tak jest. Również w dziennikarstwie.

— Och, czyżbyś też była brzydko wykorzystana? — uśmiechnął się szelmowsko.

Spojrzała na niego bardzo poważnie.

— W sensie zawodowym: tak. „Niech się młoda uczy” słyszałam cały czas. „Przynieś to, załatw tamto, ucz się! Wykaż się!” Przy jednym z pierwszych moich śledztw, już po przejściu do działu śledczego, kazali mi przeglądać w archiwum wycinki gazet w poszukiwaniu jakiegoś zdjęcia! Wyobrażasz to sobie? Spędziłam cały dzień w jakiejś wilgotnej piwnicy, przeglądając spleśniałe gazety, bo to było potrzebne do sprawy szefa zespołu!

Czerski głaskał ją, uspokajając tym gestem. Starał się sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać w tej piwnicy wśród tysięcy gazet, ale natrętnie wdzierały mu się do głowy obrazy z monitoringu RCUS-u.

— Nie mógł cię ktoś zastąpić? — zapytał trochę bez sensu.

— A mógł, mógł! Tylko nie chciał! Mój szef wolał iść się schlać jak ostatnia świnia, niż pomóc mi w tym, pożal się Boże, śledztwie.

— No co ty nie powiesz? — mruknął. — Okropny człowiek.

— Co takiego ważnego robisz, że nie masz dla mnie czasu? — zaatakowała z innej strony.

— Aniu…

— Wiem, wiem… — Znów się nadąsała. — Jesteś cholernym służbistą.

— Aniu…

— Aniu i Aniu! Tylko Aniu i Aniu! A ja dalej nic nie wiem! Nie wiem, dlaczego się spóźniasz. Nie wiem, dlaczego dzwonisz tak rzadko, dlaczego przez telefon brzmisz tak sztucznie. Nie wiem, dlaczego jesteś taki zmęczony. Wiesz, o ile byłoby mi łatwiej zaakceptować tę niedolę, gdybym wiedziała chociaż ociupinkę? — Pokazała mu palcami, jak małą ociupinkę chciałaby znać. — No co ci zależy? Przecież nikt się nie dowie…

— To samo powiedział Clinton do Lewinsky — zarechotał.

— Jak mi nie powiesz, to ja też ci nie powiem, nad czym pracuję! — zagroziła.

— Aniu, przestań już. Tylko prokuratura…

— Dobrze już! Nie denerwuj się. Zrozum, jestem dziennikarką, a nie mam żadnego tematu…

— A miałaś mi nie mówić, nad czym pracujesz — podrażnił ją.

Dostał kuksańca. Przez chwilę milczeli, ciesząc się swoją bliskością. Nagle zmieniła pozycję, siadając na nim bezwstydnie.

— Powiedz, że jest ci bardzo przykro — rozkazała.

— Jest mi bardzo przykro… — wymamrotał posłuszny.

— Dlaczego jest ci bardzo przykro? — indagowała go dalej, eksponując swoje wdzięki.

— Jest mi bardzo przykro… ponieważ… — Zaczął rozpinać jej bluzę. — Ponieważ… zamykali cię w piwnicy!

— A fe! — Strąciła jego ręce, które już całkowicie bezczelnie zaczęły błądzić po jej piersiach. — Jakiej piwnicy?

— Tej, w której cię zamykali z gazetami! — Jego ręce opuściły posłusznie piersi i zaczęły badać kształtność bioder.

— Nie dlatego ma ci być przykro!

— A dlaczego?

— Ma ci być przykro, że mnie zaniedbujesz!

— Ja cię zaniedbuję?!

— Tak! Spotykamy się dwa razy w tygodniu, a ty jeszcze przychodzisz zmęczony! I pani zaraz cię ukarze! Niedobry piesek! Niedobry…

— Hau, hau!

15
23.15, kort do squasha

— Znowu mnie ograłeś. Za młodym nie nadążę — wydyszał skrajnie zmęczony Aivar. W rękach trzymał rakietę do squasha.

— Ależ prezesie… — odrzekł Szefler. — Mecz był dziś wyjątkowo wyrównany! Szef dał z siebie więcej niż kiedykolwiek. Jestem pod wielkim wrażeniem.

— Nie cukruj mi tu, nie cukruj. Tylko raz z tobą wygrałem, jak miałeś skręconą kostkę.

— Dawna historia. — Spojrzał na zegar ścienny. — No ale czas się zbierać.

— Hej, poczekaj! Mam dla ciebie pewną propozycję — zaoferował nagle Aivar.

— Mam grać z chustą na oczach? — zażartował Szefler.

— Nie o tym mówię. Interesy, Maks.

— Aaa! — żachnął się i lekko w duchu zirytował. Nie miał ochoty na takie rozmowy na koniec dnia. Ale w mig zrozumiał, że chyba przyszedł właściwy moment, by dowiedzieć się o cenie poparcia prezesa. Czas rewanżu.

— Jak wiesz, rozważamy wdrożenie informatycznego systemu CBM.

— Naprawdę? Inwestygowałem kiedyś rozwiązania dostępne na rynku, ale one się nie matchują z naszym profilem działalności.

Aivar jakby go nie słyszał.

— Nie skończę tej sprawy. Już nie zdążę. A to leży w interesie naszej korporacji.

— Również według Farneya to zbędny koszt — ciągnął swoje Szefler. — Twierdzi, i zgadzam się z nim, że moglibyśmy stworzyć taki system własnymi siłami.

— Dobrze wiesz, Maks, że nie mamy wolnych ludzi. — Aivar przycisnął ręcznik do twarzy. Szefler czekał na ciąg dalszy. — Nie mamy wolnych ludzi, a powinniśmy inwestować w bezpieczeństwo i stabilność. I masz rację… — popatrzył na podwładnego — rozwiązania ze sklepowej półki nie pasują do naszej firmy. Tak jak nie będą pasować do żadnej innej.

Szefler rozumiał, o co chodziło Aivarowi. W złotych latach końca XX wieku klient brał bez dyskusji istniejące rozwiązania i cieszył się, że komputery mogą zastąpić przynajmniej część rozrośniętej biurokracji. Z czasem coraz częściej żądano wprowadzenia do zakupionego oprogramowania zmian koniecznych do obsłużenia specyficznych wymagań, aż rynek został całkowicie zdominowany przez stronę płacącą. Firmy komputerowe już nie tylko sprzedawały oprogramowanie, lecz także wdrażały je w siedzibie klienta, dopasowując ściśle do jego potrzeb. Cena samego oprogramowania stanowiła ledwo kilka procent wartości całego kontraktu.

— Potrzebujemy czegoś skrojonego wyłącznie pod nas — tłumaczył Aivar. — Nie jesteśmy typową firmą produkcyjną i nie możemy mieć typowego systemu z półki. I, jak sam mówiłeś, to są bardzo drogie rozwiązania. Ale my postawimy na małego dostawcę, który zrobi dokładnie to, co nam pasuje, i za stosunkowo niewielkie kwoty.

— A pilotaż systemu?

— Wybrałem do niego trzy propozycje, których producenci zarzekają się, że mają lub szybko dorobią nam wszelkie potrzebne funkcjonalności. — Aivar uśmiechnął się z pobłażaniem. — Wiesz, jak jest. Pewnie mają zgrubny szkielet i będą go łatać, w miarę jak będziemy dostarczać im wymagania.

— *Sounds good.* — Wbrew słowom Szefler nie wyglądał na przekonanego. — Kiedy startujemy?

— Podpisałem już listy intencyjne z potencjalnymi dostawcami. Dla dobra reputacji RCUS-u powinny iść za tym czyny.

— Zlecę to odpowiednim ludziom i na bieżąco będę monitorował.

— I tu moja prośba. Doglądaj tego ze szczególną starannością, osobiście. Zwłaszcza jednego systemu.

— Coś z nim nie tak?

— Wręcz przeciwnie. Jest świetny… — Aivar wziął głęboki oddech i ponownie przetarł suchą już twarz ręcznikiem. — I musi zostać wybrany.

Szefler osłupiał.

— Wybrany w taki sposób, by sprawiało to wrażenie sprawy zupełnie naturalnej, niebudzącej żadnej wątpliwości. — Prezes nadal wycierał twarz.

— Czy to aby… — Szefler nie dokończył, nie odważył się. To nie brzmiało dobrze.

— …opłacalne? — dopomógł Aivar, rzucając ręcznik w kąt. — Jak najbardziej!

— Tylko…

— Nie przejmuj się. Zorganizujemy to tak, by było bezpiecznie. Panama, Gibraltar, Jersey, Kajmany, Cypr, Luksemburg… Jest tyle możliwości bezpiecznego ulokowania środków.

Chwila była napięta. Aivar przyglądał się stojącemu nad nim Szeflerowi. Nawet jak siedział, to patrzył na niego z góry.

— O jakiej kwocie mówimy? — zapytał niechętnie Szefler.

Aivar uśmiechnął się. Ten mecz wygrał.

Rozdział 5

Dzień sprintu 5/10. Piątek

1
6.05, mieszkanie komisarza Walczaka

Walczak ziewnął i głośno mlasnął. A następnie otworzył oczy. Z błogiego stanu niebytu wybudził go Abstynent domagający się wyprowadzenia na spacer. Na tyle niecierpliwie, że przyniósł w zębach smycz.

— Dobry piesek, dobry. — Walczak pogłaskał go po kudłatym łbie i zwlókł cielsko z łóżka. — No, już idziemy, już…

Odnalazł spodnie od dresu i założył kurtkę, trącając przy tym pustą butelkę po jakimś mocniejszym alkoholu — potoczyła się gdzieś pod łóżko i uderzyła o coś szklanego. Walczak kucnął i próbował pod nie zajrzeć, ale zniecierpliwione zwierzę szczeknęło dwa razy, machając przy tym energicznie ogonem. Dał więc sobie spokój z butelką i głośno ziewając, zapiął smycz.

Gdy wyszli na zewnątrz, okazało się, że siąpi — brutalne zderzenie z rzeczywistością do reszty go rozbudziło. Wycedziwszy przez zęby kilka niecenzuralnych słów, uznał, że nie będzie się wygłupiał i wracał po parasol. Okolica była opustoszała; gdzieś z oddali dobiegał dźwięk syreny radiowozu, którego echo wzywało na służbę. Gdy przechodzili przez park, pies, szczekając donośnie, gwałtownie szarpnął i rzucił się w stronę nieświeżo wyglądającego osobnika rozwalonego na ławce.

— Abstynent, zostaw!

Człowiek o czerwonej twarzy i jeszcze bardziej przekrwionych oczach łypał podejrzliwie to na psa, to na Walczaka i przycisnąwszy do piersi dzierżone w dłoni szklane naczynie z wysoce podejrzaną zawartością, wymamrotał coś, że nie zostawi.

— Kierowniku, poratuj dyszką niepraktykującego abstynenta! — zachrypiał, wyciągając wolną rękę po jałmużnę.

Walczak szarpnął za smycz, odciągając psa. Na widok butelki poczuł znajome łaskotanie w podniebieniu, co było dla niego sygnałem, że najwyższy czas zakończyć spacer. Jakby odczytując jego intencje, Abstynent podniósł nogę i kucnąwszy pod drzewem, załatwił poranną potrzebę.

Gdy wracali, usłyszał znajome gruchanie gołębia i, nim zdążył się zorientować i zareagować, poczuł, że ten zrzucił na niego balast.

— …mać! — warknął Walczak. I w tym samym momencie naszła go filozoficzna refleksja daleka od kwestii ontologicznych: ten dzień będzie wyjątkowo gówniany.

2
8.45, dom Donatana Relika

Donatan Relik trochę żałował. Jadąc samochodem do pracy, odczuwał wewnętrzne sprzeczności, niepokój, jakieś rozbicie. Bardzo lubił wyjazdy survivalowe, ale tym razem sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Wszystko robił jakby poza sobą, bez entuzjazmu, niczym zaprogramowany.

Zerwał się o 6 rano, wypolerował na błysk wojskowe buty, wyprasował moro i odkurzył wojskowy kapelusz. Dokonał przeglądu ekwipunku i spakował plecak — szukając idealnego balansu między ilością niezbędnego sprzętu a jego ciężarem. Przygotowania zakończył dokładnie o 8.30

przeglądem listy rzeczy do zrobienia. Z zadowoleniem pokiwał głową — wszystkie punkty kontrolne z listy były spełnione. Pożegnał w myślach śpiącą żonę i wrzucił wojskowy plecak do swojego hummera… Prawdziwego hummera nie miał, ale niczym dziecko marzył o kupnie tego wozu. Wrzucił więc cały sprzęt do swojego nissana qashqaia i usiadł za kierownicą. W perspektywie miał skrócony pobyt w firmie i niecałe dwie godziny jazdy na miejsce startu do biegu survivalowego.

Tegoroczny bieg miał nieco inną oprawę niż poprzednie, w których brał udział. Przede wszystkim został wydłużony do 80 kilometrów oraz zaplanowany na dwa dni. Jego uczestnicy mieli spędzić noc w terenie. Śpiąc, idąc, biegnąc — jak kto chciał, mieli dotrzeć do celu. Odpoczynek — według potrzeb. Posiłki i woda — z plecaka. W nocy może być zimno — weź koc do plecaka. Plecak za ciężki — nie bierz koca… Sam bieg był z przeszkodami — zarówno sztucznymi, jak i naturalnymi. Te sztuczne wyglądały na jakiś dziecinny plac zabaw. Pięciometrowa ścianka? Dziesięciometrowa kałuża błota? Przechodzenie po linie rozpiętej między drzewami? Co z tego, że powtórzone po kilka razy. Dużo ciekawsze wydawało się forsowanie rzeki z całkiem silnym nurtem, zwłaszcza po ostatnich opadach, pokonywanie niewielkiego jeziora otoczonego bardzo podmokłym terenem, czy zdobywanie naturalnych ścian za pomocą liny i czekana. Nie było też wyznaczonej trasy. Było kilka punktów kontrolnych, na których należało się zameldować. Sposób dotarcia do nich pozostawiono w gestii startujących. Mogli więc albo zdobyć ścianę, albo nadłożyć kilka kilometrów. Mogli przeprawić się przez rzekę w miejscu, gdzie do niej dotarli, albo szukać jakiegoś mostu lub brodu. Zdecydowanie łatwiej było pokonać to piekło, współpracując z kimś innym, bo nie chodziło tutaj o zwycięstwo nad innymi, ale nad sobą.

Teraz jednak czas ruszać do pracy. Ważne, by się pokazać w firmie. Schowa się w swoim gabinecie, odbębni te parę godzin i wymknie około trzeciej.

3
9.00, RCUS, biuro dyrektora Farneya oraz biuro prezesa Aivara

Dyrektor Farney, tak jak przewidział, miał długą listę maili w skrzynce odbiorczej. Ale to będzie już krótka piłka, bo ma powód, by eskalować to do samego prezesa. Wyprzedzający ruch przetnie tę przedłużającą się spiralę niemożności. Uparty i wyjątkowo upierdliwy menedżer zza Wielkiej Wody powinien dziś dostać lekcję pokory. Zastanawiał się jednak, w którym momencie to zrobić, bowiem w kolejce było co najmniej kilka spraw. Sposób i kolejność ich obsługi mogły zadecydować o porażce lub sukcesie.

Upił łyk kawy i przypomniał sobie wydarzenia poprzednich dni. Numer jeden to informacja, że prezes Aivar odchodzi. Drugie to sugestie Donatana Relika, że następcą może być Szefler lub on — Farney. Biedaczysko pewnie nie wie, że za kulisami jest jeszcze księgowy Lucjan Frost. „A może wie? Może chce mnie wmanewrować w jakąś śmierdzącą sprawę?” On do tej pory nigdy jednak tak nie działał. Szokujące było to, że jest do tego zdolny. Cicha woda. Co go do tego pchnęło? Wczoraj wydawał się szczery i jasno przedstawił oczekiwania. Sprawa numer trzy to te raporty finansowe i przekroczone wydatki. To może bardzo zaszkodzić w budowaniu pozycji. I chyba od tego trzeba zacząć działać. Czuł tutaj rękę działu finansów. Najpierw jednak należało sprawdzić, czy Aivar już o tym wie.

Chwycił za słuchawkę.

— Słucham, Bernardzie — usłyszał w słuchawce.

— Dzień dobry, panie prezesie — rzekł przymilnie. — Dzwonię w sprawie wczorajszej sprawy przekroczonych budżetów.

— Wczorajszej? Nie przypominam sobie. Nie rozmawialiśmy o tym we wtorek?

„Doskonale” — uradował się i mówił dalej:

— Właśnie wczoraj pojawił się zarzut ze strony księgowości, że ja i Relik mamy nadmierne wydatki. Sprawdziłem rachunki i raporty. Mam kilka pytań, bo nasuwają mi się pewne wątpliwości.

Odpowiedziała mu przedłużająca się cisza.

„Pewnie z wrażenia prezesa aż zemdliło” — pomyślał Farney i już miał wystosować uprzejme ponaglenie, gdy Aivar niechętnie się zgodził.

— Poczekaj. Sprawdzę w skrzynce, czy czegoś mi nie przysłali.

— OK.

— Nic nie mam — odrzekł po chwili. — O co chcesz zapytać?

— Są tu w raporcie pewne pozycje, których dotąd nie miałem. Musiały przejść przez pańską autoryzację.

— Jeśli tak, to w finansach powinni ją mieć.

— Myślałem, że będzie szybciej, jak pana zapytam, bo może pan coś pamięta?

— Lepiej sprawdź u nich. Tylko proszę, podeślij mi te rzeczy, co do których masz wątpliwości. Sprawdzę to niezależnie i oddzwonię.

— Dziękuję. — Farney odłożył słuchawkę.

Zakreślił kilka pozycji pomarańczowym markerem, zrobił zdjęcia telefonem i przesłał na komputer. Chwilę później mail z załącznikami został wysłany.

„A teraz zajmiemy się naszym jankesem” — przywołał w myślach sprawę zapchanej skrzynki pocztowej i młodego menedżera. Oto kolejna

pozycja na liście pilnych rzeczy do prezesa. Niech i tu wykaże się kompetencjami, a przede wszystkim siłą swojej władzy.

***

„Ktoś tu nieczysto gra” — zatroskał się prezes Aivar, odkładając smartfona po zakończonej rozmowie z księgowym Lucjanem Frostem. Nie był więc jedynym próbującym ugrać coś dla siebie w sytuacji ogólnego zamieszania. „Dlaczego Szefler nic mi wczoraj nie powiedział na squashu?” — trapił się. „Może nie uznał tego za ważne. Jego finanse rzekomo są w porządku, więc o czym tu mówić?” — rozważał. „Ktoś inny próbuje tu namieszać”.

Z informacji, którą uzyskał od Frosta, wynikało, że nie wydawał żadnych autoryzacji na pozycje z maila Farneya. Co z tego wszystkiego wynika? Jedyne sensowne wytłumaczenie, jakie znalazł, było takie, że sami zrobili te zakupy, by teraz rozkręcić jakąś aferę. Coś zahaczającego o proces dyscyplinarny. Prawdopodobnie chcą uwikłać go w jakieś skandale i pociągnąć z nim Szeflera, który koniec końców jest właścicielem tych pozycji wydatkowych. „A może to właśnie on wpadł na ten szalony pomysł? Jednak dlaczego wczoraj się o tym nawet nie zająknął?”

„Trochę się wszystko skomplikowało”. Zasiadł głębiej w fotelu. Był mocno skonsternowany. Rozwiązanie wydawało się jednak proste. Zbyt proste. Zbyt przewidywalne. Ale nie widział równie skutecznej alternatywy. Może zwyczajnie był przewrażliwiony i wszędzie węszył spiski? Owszem, może nieco opóźnić decyzję i zyskać nieco czasu, by to lepiej przemyśleć. Tylko po co? W końcu już postawił na jeden sojusz. Ochroni Szeflera i autoryzuje wszystkie te wydatki. Zwłaszcza że ten tak zgrabnie i hojnie wsparł pozostałych dyrektorów. „Od teraz musimy chronić się nawzajem” — pomyślał. Gra rozpoczęta. „Jeszcze sobie z nim porozmawiam” —

pokiwał głową. Nie może być tak, że udziałowcy nie wiedzą o swoich planach i zagrożeniach. To, czego się podjęli, wymagało wielkiej ostrożności.

4
10.00, komenda policji

— Z czym ta kanapka? — Walczak zagadał Czerskiego łapczywie pochłaniającego kęsy nad biurkiem. Zaskoczony pytaniem Czerski chwilę przeżuwał, nim przełknął, i odpowiedział:

— Z wiejską i cebulką.

— Też taką lubię. Bardzo zdrowe. Ja już swoją niestety zjadłem. — Zawiesił głos, ale Czerski to zignorował. — Sam je sobie przyrządzasz? — wnikał.

— To aż takie interesujące?

— Tak pytam. Warto coś wiedzieć o kolegach, nie?

— Matka rano mi robi.

— Żartowniś, co? — zarechotał.

— Obraziłaby się, gdybym nie wziął — tłumaczył się głupio Czerski.

— Mieszkasz z matką? — zdumiał się Walczak. — W sumie… z taką pensją.

— Ktoś z rodzeństwa musi się nią opiekować. Nigdy nam się nie przelewało. A ona ma swoje lata.

— O, pardon — żachnął się. — To tak na zgodę opowiem ci dowcip.

„Już się boję” — pomyślał Czerski i na wszelki wypadek przestał jeść.

— Jeden posterunkowy skarży się: „Wczoraj wywaliło korki na komendzie. Wiesz czemu?”. Drugi odpowiada: „Wiem. Testowano nowe

metody śledcze, ale przesłuchiwany stawiał za duży opór”. — Śmiech Walczaka wstrząsnął ścianami gabinetu.

Czerski popatrzył na niego niechętnie, nie wiedząc, jak się go pozbyć. Wybawił go Skalski, który zajrzał przez uchylone drzwi i palcem wskazał Czerskiego.

— Musimy dowieźć strażnika na przesłuchanie do prokuratury.

— Już się zbieram — rzucił rutynowo Walczak.

— Nie tym razem — odparł Skalski. — Ty go już przesłuchiwałeś i teraz się ciebie boi.

5
11.00, salka spotkań, zespół Kiliana Osika

Retrospektywa odbyła się z tygodniowym poślizgiem, ale nie z tego powodu Kilian Osik był wściekły. Wypadł przez drzwi pierwszy, gotów zrobić komuś krzywdę. Za nim powoli wylewali się pozostali członkowie zespołu. „Co za szopka?” — kłębiło mu się w głowie. „Że niby zblokowałem wszystkich, bo poprawka nieprzetestowana i nie ma raportu z testów. Pieprzone żółte karteczki! Niech je sobie na dupę poprzyklejają. Może by tak raczyli zauważyć, że straciliśmy Nikodema… Ostatniego kompetentnego inżyniera w tym grajdołku. Do tego mojego przyjaciela… Co za jemioły w tym zespole. Jeden głupszy od drugiego i jeszcze są z tego dumni”.

Ochłonąwszy, wrócił do rozmyślań. Karteczki służyły zapisaniu tego, co się udało lub pozytywnie wpłynęło na pracę w ostatnim czasie, oraz oczywiście tego, co się nie udało. Przyklejało się je na tablicy i głosowało, która to z nich była najważniejsza. Ta z problemem Osika przodowała

bezdyskusyjnie, a przypisane działanie było mało odkrywcze — miał się tym zająć na przedwczoraj.

„Może by tak, zamiast mnie obwiniać, ruszyli własne tłuste dupska”.

By stworzyć zespołową atmosferę, zamówiono pizzę. A on miał mdłości od zapachu oregano. No i oczywiście najważniejszy punkt, wieńczący zebranie: gry i zabawy! Przedszkolne gry, które częściej kłóciły, niż integrowały zespół. Tym razem zabawa polegała na przekazywaniu dmuchanych baloników między sobą na koniec pomieszczenia tak, by nie dotknęły kończyn ani podłogi. Kilian kilka razy ugryzł się w język — po tym, jak dwóm kolegom z jego zespołu oberwało się za odmówienie uczestnictwa w zabawach, postanowił nie skomentować tych wygłupów ani słowem. Z pokorą wykonał wszystkie polecenia, by scrum master odfajkował ten jakże zajefajny punkt retrospektywy i się od nich odczepił.

— Chciałbym z tobą porozmawiać. — Na ramieniu poczuł rękę wodzireja całej tej szopki. — Mam wrażenie, że nie wykazujesz wystarczającego entuzjazmu podczas naszych aktywności zespołowych.

W oczach Osika pojawiły się złowrogie błyski.

— A o co konkretnie chodzi? — zapytał najuprzejmiej, jak potrafił.

Scrum master westchnął.

— Wiesz dobrze o co. Zaangażuj się, proszę, bardziej w nasze gry i zabawy. I chciałbym, żebyś popracował nad przyjmowaniem feedbacku. Chodzi mi o te rzucane uwagi, gdy wytknięto ci opóźnienia w projekcie. To całe „Chrzanić proces; mamy zwłokę w pracy, bo w labie były zwłoki” było niesmaczne.

— To było stwierdzenie faktu, a nie uwaga.

— Postaraj się, proszę, być bardziej koleżeński i merytoryczny. Jesteś świetnym inżynierem, tylko popracuj, proszę, nad umiejętnościami miękkimi…

Przez ułamek sekundy Osik miał ochotę twardo mu przyłożyć. Na szczęście w tym momencie zadzwonił jego telefon. Odruchowo spojrzał na ekran i zauważył, że to jakiś numer wewnętrzny.

— Muszę cię przeprosić. To na pewno sprawa niecierpiąca zwłoki…

— Nie ma sprawy. — Scrum master wzruszył ramionami i odszedł.

Kilian odetchnął z ulgą. W tym człowieku było coś dziwnego. Nie lubił go. Nie ufał mu.

— Osik, słucham… — rzucił do słuchawki, z której coś zaczęło mamrotać. — Jakie zabezpieczenia odblokować? Kowalski, człowieku, nie mam na to czasu… No, chyba w przyszłym roku? Aha, że jestem niemiły?… A, i że to ważne… Posłuchaj. U mnie wszystkie sprawy są ważne, ale się nie sklonuję, więc musisz poczekać albo zacznijcie od kogoś innego… Od mojego kompa dzisiaj trzymajcie się z daleka… Nie tym tonem, kolego, bo będziesz na końcu mojej listy priorytetów… Chyba się nie dogadamy… Wiesz, przeciągasz tę rozmowę… Napisz maila i daj na CC mojego menedżera, jeśli potrzebujesz… Tak, jego menedżera też możesz dać i nawet samego prezesa. Słucham?… A wiesz, co mówił koń do konia?… Wal się!

„Kurwa, co za dzień!”.

Chciał gdzieś uciec. Jakby wszystkie rzeczy sprzysięgły się przeciw niemu. I to w jednym czasie. W Boga nie wierzył, ale co do istnienia diabła nie miał żadnych wątpliwości. Pewnie ma niezłą uciechę. Znowu ktoś zadzwonił. Maura.

— Hej. Wiesz, to nie najlepszy moment. Przepraszam. — Próbował uspokoić ton.

Kobieta po drugiej stronie, wyczuwając nastrój, zapytała krótko, czy wciąż chce z nią zjeść lunch.

— Tak, to wciąż aktualne — potwierdził. Miał przecież świeże informacje, bo rano dodzwonił się do start-upu.

Zdowacka prosiła, by wyszli później; najlepiej po godzinie drugiej. Coś jej nagle wypadło i nie mogła wcześniej. Osik zgodził się bez wahania. Do tego czasu może się jakoś uspokoi.

Zaszedł do swojego boksu. Siadł ciężko, odblokował hasłem komputer i nic. Jakby się zawiesił. Osik musiał się po prostu uspokoić. Znowu będzie trzeba wziąć działkę, by dotrwać do późnej nocy na pełnym speedzie. „Uzależniam się” — wysnuł trzeźwy, ale smutny wniosek.

Plan na dzisiaj był prosty. Zajmie się zadaniem numer dwa, podciągnie, ile może. Pod wieczór, kiedy już wszyscy obsługujący laboratorium pójdą do domu, będzie mógł powtórzyć testy Nikodema. „Kreska, trawka i strzykawka… muszę wziąć metę, to mi da kopa na parę godzin” — pomyślał.

6
12.04, zespół Diukiewicza

— Co tam, chłopcy? — zapytał wesoło Feliks „Toudi” Tauder, zaglądając do dwóch inżynierów pochylonych nad talerzem pełnym cukierków. Dzisiaj nie przeszkadzało mu to, że nie pracowali wystarczająco gorliwie. Czuł się wyśmienicie w roli szefa zespołu i chciał pokazać swoją „ludzką twarz”. Czas Diukiewicza przeminął.

— My? Nic takiego… Świętujemy zakończenie retrospektywy, kierowniku. Częstuj się śmiało! — zaproponował jeden z nich.

— Dzięki. — Wziął jedną sztukę i zaczął rozpakowywać. — Nawet nie wiecie, jak bardzo można zapragnąć tak prostej rzeczy…

— Smacznego! — życzyli mu chórem, a kiedy „Toudi” wystarczająco się oddalił, przeżuwając karmelową słodkość, zaśmiali się z niego.

Z tyłu ktoś zapytał:

— O co chodzi?

— Widzisz, jesteś tu nowy… — zaczął wyraźnie zadowolony, że nadarzyła się okazja pouczenia świeżo zatrudnionego praktykanta. — Dlatego należy ci się pewne wyjaśnienie… Pewien pracujący tutaj inżynier, Kilian Osik, wymyślił taką grę hazardową… dla prawdziwych twardzieli. Wymaga ona niezłomności i wielkiej siły charakteru…

Młody człowiek otworzył szerzej oczy i pochylił w ich kierunku.

— Słyszałeś o rosyjskiej ruletce?

— Oczywiście! — odrzekł pewnym głosem.

— A widzisz te cukierki na talerzu?

Kiwnął głową.

— Jeden z nich nasączony jest środkiem przeczyszczającym.

Młody skrzywił się nieco i obrzucił wzrokiem najpierw ich, a potem znikającego w korytarzu menedżera.

— Podobnie jak w pokerze, podnosimy stawkę przy każdej turze, a potem podjadamy po jednym cukierku. Ten, kto pasuje, traci pieniądze.

— A jeżeli zjecie wszystko? — dopytywał niedowierzająco.

— Wtedy przegrywa ten, który ucieknie do ubikacji. Albo, kiedy wypluje, kiedy wyczuje inny smak… — doprecyzował.

— Ale ten drugi wie, że nie zjadł trefnej sztuki, no nie?

— Wtedy przegrany gra o remis. Nie wolno mu niczego wypluć i przetrwać trudne chwile do siedemnastej. Rozumiesz?

— Skoro tak… — mruknął — to dlaczego poczęstowaliście swojego przełożonego?

— Cóż… — inżynier przeciągnął się leniwie na krześle. — To urozmaici trochę naszą rozgrywkę; doda pewien element niepewności, że się tak wyrażę, i… mówiąc zupełnie szczerze… nie mogłem się oprzeć.

Zachichotali, ale praktykant tylko poczęstował ich niechętnym spojrzeniem. Miał się nad czym zastanawiać. Głównie nad tym, czy droga kariery, którą obrał, była słuszna…

7
13.00, RCUS, biuro dyrektora Farneya

— Znalazłeś kreta? — Farney powitał wchodzącego.

— Na Morzu Śródziemnym. Niestety mam tylko podejrzanych. — Kowalski podał mu listę i bez zaproszenia usiadł na kanapie.

— Sporo tych nazwisk. — Farney był raczej zaciekawiony niż zmartwiony. — Jakie przyjąłeś kryteria?

Kowalski w dość nonszalanckiej pozie przedstawił przyjęte założenia poszukiwań. Najbardziej podejrzani byli architekci pracujący wspólnie z Maurą Zdowacką nad prototypem, który ujawnił się u konkurencji. Następni byli inżynierowie, którzy dostali ten artefakt z góry i bezpośrednio modyfikowali pliki tego komponentu. Szerszym kręgiem podejrzanych byli wszyscy ci, którzy mieli z racji uprawnień dostęp do repozytorium, czyli oficjalnego serwera przechowującego kod źródłowy. Dzięki temu, że projekt był stosunkowo nowy — pracowano nad nim zaledwie rok — oraz dzięki wysiłkowi Kowalskiego po poprzedniej aferze lista osób uprawnionych była stosunkowo krótka.

— Chciałem wykluczyć osoby na wyjazdach, ale przecież one też mają dostęp do repozytorium. Kilka udało się wyłączyć ze względu na długie urlopy lub chorobowe. Jedna dziewczyna jest na urlopie macierzyńskim.

Farney przebiegł wzrokiem listę. Na samej górze wyróżnione były nazwiska najwyższych menedżerów i architektów.

— Rozumiem, że są tutaj i Zdowacka, i Szefler… — Masował podbródek. — Ale co tutaj robi dyrektor Relik? I co najmniej połowa jego zespołu?

Kowalski rozłożył ręce.

— O ile pamiętam, to jako szef działu badawczego stwierdził, że musi mieć dostęp do wszystkich rozwijanych u nas technologii. Że nigdy nie wiadomo, co się może przydać w jego pracy. Zrobił nawet o to jakąś dziką awanturę.

Farney się skrzywił, przypominając sobie tę scenę. Rzeczywiście, sprawa otarła się o samego prezesa. Relik zagroził wtedy odejściem. Chyba jedyny raz. Wtedy jednogłośnie i Szefler, i Farney poparli jego żądania. Nie z obawy o to, że Relik odejdzie. Bali się raczej, że któryś z nich będzie musiał przejąć jego dział. A poza tym nie kosztowało ich to ani dolara.

— A te dwa wyróżnione nazwiska? To zwykli deweloperzy.

— W ciągu ostatniego roku przyszli do nas z AMOD-u.

— Hmm… Więc nie tylko od nas ludzie uciekają. Pocieszające. Podjąłeś jakieś kroki, aby wykryć sprawcę?

Kowalski splótł ręce na kolanie i zaczął się lekko bujać. Przestał zawstydzony, kiedy skórzana kanapa w rytm wychyleń zaczęła niemiłosiernie skrzypieć.

— Możemy spróbować złapać sprawcę na gorącym uczynku. Założyłem, że powinniśmy się skupić na osobach z listy. Dlatego zainstalowałem na ich komputerach program, który monitoruje porty USB. Jeśli wetkną w nie coś, co jest dyskiem, pendrive’ em albo telefonem, zrobi zrzut listy plików oraz będzie na bieżąco monitorował wszystkie operacje kopiowania. Polityki

audytorskie mamy skonfigurowane globalnie, dla każdego komputera w firmie.

— A współdzielenie plików przez sieć?

— Pod kontrolą.

— Dobra robota — pochwalił go przełożony.

— Nie gwarantuje nam niestety sukcesu. Nie jestem w stanie monitorować urządzeń, które łączą się autorskimi programami z komputerami po sieci i wypychają pliki po niestandardowych protokołach. Zwłaszcza gdy je szyfrują. Nawet taki Bluetooth, przez który w większości łączą się telefony, jest niezabezpieczony. Mogę napisać program, który będzie monitorował takie połączenia, ale… to wymaga mnóstwa czasu. A będzie mi go brakować przez analizę takiej masy logów.

— Możesz wyłączyć Bluetooth na komputerach pracowników?

— Mogę, ale wtedy po prostu przepną się na zwykłe Wi-Fi. A tego nie możemy zrobić. I, uprzedzając pytanie, nie da się jej podsłuchiwać, bo cały ruch jest szyfrowany.

— Widzę, że robisz, co w twojej mocy.

Kowalski uśmiechnął się.

— Jednak martwi mnie, że musimy czekać na błąd tego kreta — dodał po chwili refleksji Farney.

— Ma pan jakiś pomysł? — zainteresował się Kowalski.

— Zastanów się, jak można wypłoszyć tego zwierza. — Farney odbił piłeczkę.

— Zastawić jakąś pułapkę?

— Właśnie. Coś, na co się połasi, albo coś, co zmusi go do szybkiego działania.

— Może podrzucimy fałszywy komunikat, że do projektu właśnie dodaliśmy superważny element…

— Albo paczkę krytycznych poprawek. Tylko musi to wyglądać wiarygodnie.

— A jak złodziej sprawdzi, że to ściema? Wystarczy, że dla pewności przejrzy dokładniej zawartość plików.

— Dlatego musi to wyglądać wiarygodnie. Trzeba napisać prawdziwy kod. I to niemało.

— Dyrektor Szefler nie będzie zadowolony, że psujemy mu projekt.

— Jego niezadowolenie będzie większe, gdy się dowie, że konkurencja podkrada mu kod. Zresztą relacje z dyrektorami to akurat moje zmartwienie.

— A czas? Kto to napisze?

— Myślę, że ty i kolega Mirek, o ile pamiętam.

— Za mało nas… może chociaż wciągniemy Marcelego?

— Nie. Bez niego. I zacznijcie od zaraz. Nikomu ani słowa.

— Dyrektorze… — rzekł Kowalski błagalnie.

— Słucham?

— Sam mam pisać programy szpiegujące, oglądać logi podejrzanych i pisać kod z Mirkiem? I to wszystko poza moimi normalnymi obowiązkami?

— Taka praca… Zapłacę za nadgodziny. Żaden problem.

Kowalski sapnął. Taka nagła zmiana trybu pracy z przeciągającego się zbijania bąków na ostry zapieprz nie przyprawiała go o dobry humor. Zwłaszcza że miało się to przedłużyć. Potrzebował chwili, by się z tym pogodzić wewnętrznie. Rzucił niby do siebie:

— Swoją drogą to niesamowity zbieg okoliczności. Firma pracuje nad niezwykle ważnym projektem, ktoś kradnie jej kod i podrzuca konkurencji, a jeden z członków zespołu ginie w wypadku w laboratoriach. Gdyby to nie był wypadek, ale morderstwo, to można by pomyśleć, że te sprawy jakoś

się ze sobą wiążą. — Spojrzał przenikliwie na przełożonego. — Wówczas plotki o aresztowaniu strażnika i szefa ofiary byłyby bardziej wiarygodne.

— Policja twierdzi, że to był wypadek — rzucił sucho Farney.

— A jakie jest pana zdanie?

— Zajmijmy się naszym problemem — przypomniał o obowiązkach, ignorując pytanie. Doskonale wyczuł, że Kowalski chce wyciągnąć od niego informacje znane tylko ścisłemu gronu dyrektorów.

— Może powinniśmy powiadomić śledczych o kradzieży kodu? — zapytał łagodniej Kowalski.

Farney zastanawiał się przez chwilę.

— Nie — odparł wreszcie. — Nie mamy żadnego namacalnego dowodu. Mamy tylko nasze podejrzenia i zeznanie tego Mirka. Jak dla mnie jest to za słabe, by zainteresować tym prokuraturę. Potrzebujemy sprowokować naszego kreta, dotrzeć do niego i zebrać mocne dowody. Do tego czasu to nasza wewnętrzna sprawa i nasz problem. Zrób tę robotę jak najlepiej, a premii ci nie pożałuję.

— Postaram się.

— Nie słyszę entuzjazmu.

— Znajdę go! — krzyknął głośniej.

— Lepiej! — uśmiechnął się Farney. — Dorwij go i… — ugryzł się w język. — Powodzenia!

8
14.15, pomieszczenia firmy RCUS

— Pokój wam! — „Brodaty”, wchodząc do kuchni, ułożył palce w kształt litery V.

— Pokój ci. — Dzierżący kubek w rozmiarze XXL pracownik odpowiedział mu tym samym gestem i wrócił do przerwanej rozmowy. — …I wtedy levelowałem na następny *tier*.

— Co ty mówisz?! Z takim słabym działem? — zdziwił się stojący obok blondyn.

— A wy znowu o czołgach — skrzywił się „Brodaty”, zasiadając przy stoliku. — Wiecie, co wam powiem? Mnie już chyba nie chce się grać w gry. Za stary jestem. Ostatnio zamiast przejść grę do końca obejrzałem sobie zakończenie na YouTubie…

— Dam ci stówę, jak mi znajdziesz filmik z zakończeniem czołgów. — Sarkastyczny głos inżyniera przeplótł się z odgłosem siorbanej kawy. — Zaczynasz dziadzieć, „Brodaty”…

— Nie dziadzieć, tylko szkoda mi dwóch tygodni na przejście gry — zripostował. — Wy też, zamiast ciągle grać w czołgi, moglibyście zrobić coś konstruktywnego. Obejrzeć film, przeczytać książkę. Albo napisać.

— E, tam. Takie gadanie… Napisać to by się nawet napisało. Tylko kto to potem przeczyta?

— Napisać książkę jest łatwo. Napisać dobrą książkę jest bardzo trudno — wtrącił swoje zdanie znany w firmie defetysta.

— Więcej wiary w siebie! *You can do it!* Kto wam nakładł siana do głowy, że nie warto? A tak zmieniając temat, to coś wam teraz powiem… — „Brodaty” nachylił się nad stolikiem i ściszył głos: — Wczoraj była taka zabawna scenka. Cesarz z Księciuniem przeszli na ty!

9
14.30, RCUS, restauracja firmowa

O tej porze restauracja nie była już zatłoczona. Jednak znalezienie całkowicie wolnego stolika graniczyło z cudem, bo informatycy, jako ludzie z reguły nielubiący innych ludzi, miast dołączyć do już siedzących, zajmowali kolejny, by zjeść w samotności.

Kilian Osik zjawił się już dobre pół godziny temu i tak długo kluczył po wybranym rejonie sali, aż zdobył stolik w kącie pod oknem. Po chwili zjawiła się Maura Zdowacka ze swoim zamówieniem. Nie omieszkał przyjrzeć się jej wyborowi i z zadowoleniem stwierdził, że nie uległa modzie na wegańskie sałatki i wodę mineralną po euro za szklankę. Gdyby miał wyrazić w trzech słowach to, co zobaczył na jej talerzu, brzmiałoby to prosto: „Jadła jak chłop”.

Usiedli plecami do sali, dając wyraźny sygnał, by im nie przeszkadzać. Uprzejmie poczekał, aż skończy obiad, próbując opowiadać jakieś historyjki z pracy. Na szczęście Maura była inteligentna i bardzo szybko zauważyła, jak się z tym męczy. Chciała wiedzieć, jakie informacje zdobył o start-upie. Kilian zreferował krótko, że o samym projekcie ludzie ze start-upu nie chcieli mówić, ale według nich jest on przełomowym przedsięwzięciem w dziedzinie produkcji oprogramowania. Spora dowolność narzędzi, bazy danych, systemy agentowe. Słuchając go, Maura mogła przynajmniej spokojnie skończyć lunch.

— Wiem, czego chcę — oświadczył Kilian ze wzrokiem wbitym w okno. — Chcę rzucić tę pieprzoną robotę. Chcę się stąd wyrwać, robić coś innego, zacząć od nowa. Bez tego bagażu na plecach. Bagażu, do którego ciągle dorzucają mi obowiązków. Wiem też, czego nie chcę. Nie chcę być strażakiem, który gasi pożary tylko dlatego, że inni tego nie potrafią. Nie chcę też być wpychany do prac, których sens sprowadza się do wypełniania

excelowych arkuszy. Nie chcę w końcu mieć nad sobą menedżera, który został menedżerem tylko dlatego, że nie potrafił napisać prostego skryptu w Perlu czy Pythonie, za to świetnie potrafił znaleźć kogoś, kto zrobi to za niego. No i nie chcę przebywać w miejscu, gdzie straciłem najlepszego przyjaciela.

Maura otarła usta i przez chwilę wpatrywała się w stół, a potem spojrzała na Kiliana.

— Gdybyś powiedział mi coś takiego jeszcze tydzień temu, pewnie bym ci przyklasnęła. Bo, mimo że jesteś najlepszym koderem, z jakim współpracuję, i człowiekiem, którego zniknięcie narobiłoby mi ogromnego problemu, tobym cię wsparła. A to dlatego, że tydzień temu twoje słowa byłyby wynikiem przemyśleń i chłodnej kalkulacji. Teraz zaś myślę, że przemawiają przez ciebie emocje. I to głównie złe emocje. Strata przyjaciela, nienawiść do tego miejsca i przełożonych, procedur i stylu pracy. — Uniosła ręce, uciszając go, kiedy chciał zaprotestować.

— Staram się myśleć chłodno… — Usiłował się bronić.

— I dlatego przyszedłeś do mnie wczoraj? — zapytała, uśmiechając się łagodnie. — Kili, może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś tykającą bombą zegarową. Nie wiadomo, kiedy wybuchniesz ani jak to się skończy.

Kilian przypomniał sobie awanturę sprzed paru godzin ze scrum masterem i zaraz potem z Kowalskim. Zawsze był drażliwy, ale nigdy nie tracił panowania nad sobą tak szybko.

— No dobra, mów — westchnął. — Zady i walety odejścia.

— Walety sam już wymieniłeś. To, co mówisz, to są same plusy zmiany miejsca pracy: nowe środowisko, nowi ludzie, nowe projekty, nowe wyzwania. A minusy? Nowe środowisko, nowi ludzie, nowe projekty, nowe wyzwania. Pomyśl, gdyby w innych firmach było znacząco lepiej, to mielibyśmy ogromny odpływ pracowników. Owszem, mamy dużą rotację,

ale nie odbiega ona od średniej. Więc… co za różnica? I tutaj, i tam możesz mieć ciekawy albo beznadziejny zespół, i tutaj, i tam możesz trafić na menedżera psychopatę. Do tego tutaj masz uznanie i mocną pozycję, a tam? Zaczynasz od zera.

— Ale mówimy o start-upie, małej firmie, nowoczesnych technologiach, przełomowym projekcie.

— I to są rzeczywiste plusy. Ale w przyrodzie, księgowości i naukach komputerowych musi być zachowany bilans. Każdy, nawet najbardziej nowoczesny system musi przejść testy. Mnóstwo testów. Mogą być nawet pisane w supernowoczesnej technologii, ale to zawsze testy. Pomyśl: ten start-up działa już prawie rok, jak wspomniałeś wcześniej. Myślisz, że kogo teraz szukają? Według mnie mają już jakiś produkt, ale chyba nie są w stanie oszacować jego jakości. Wiesz, jak ważna jest niezawodność usług sieciowych? Nie muszę ci chyba przypominać, ile razy taki AMOD się na tym przewrócił. Albo popatrz na awarie dostawców usług chmurowych. Tam skala zniszczeń na skutek jednego ludzkiego błędu może położyć wiele firm i sparaliżować działanie kolejnych. To z kolei oznacza, że świat, a pewnie i ten start-up, potrzebuje testerów i tony testów do napisania, przeprowadzenia i automatyzacji. Kto wie, może dlatego próbowali zwerbować Nikodema, a nie ciebie.

Kilian milczał. Nie spodziewał się, że Maura będzie go zachęcać do przejścia, to nie było w jej interesie. Rzeczywiście jednak znalazła niuans, o którym wcześniej nie myślał. Przyjął bezwiednie, że Nikodem de Bugaj dostał ofertę przypadkowo, bo akurat ktoś go znał. A Maura zauważyła, że być może dostał ofertę, bo w swojej dziedzinie był najlepszym specjalistą. A rola testera nie była dla Kiliana atrakcyjna.

Maura przeprosiła go na chwilę i poszła po deser. W tym czasie miał szansę pomyśleć nad kolejnym aspektem.

— A projekt? Może jest naprawdę ciekawy i „innowacyjny”? Kurde, jak ja nie lubię tego słowa.

— Może jest ciekawy i innowacyjny — zgodziła się Maura. — Powiem więcej, każdy start-up ma takie pomysły. Wystarczy poczytać ogłoszenia. Żadna firma nie oferuje pracy przy nieciekawych projektach i przestarzałych technologiach. Niektóre z tych projektów udaje się nawet spieniężyć. Może jeden na dziesięć. Reszta upada w zapomnieniu, mając w portfolio jedynie ciekawe i „innowacyjne” pomysły.

Kilian spojrzał na nią z grymasem.

— Chyba wyczuwam w tobie nutę cynizmu.

— Możliwie, Kili, możliwe. Po prostu staram się realnie patrzeć na świat, na naszą branżę. To już nie lata osiemdziesiąte ani początek dziewięćdziesiątych, gdzie architekturę systemu robiło się w dwie noce, jego wstępną implementację w tydzień, a klient był szczęśliwy, że ma jakikolwiek program, który coś tam za niego policzy, zachowa i zrobi raport. Teraz rządzą wielkie korporacje i dotyczy to całej branży: od gier po systemy bankowe. Jak chcesz robić coś naprawdę wielkiego, musisz być w korporacji, bo to korporacje robią wielkie programy. To nie są czasy Gatesa i Jobsa, którzy zmieniali świat w garażu. Teraz w garażu czy małym pokoiku możesz sobie wyprodukować grę, którą umieścisz w Google Play po euro za pobranie. Pewnie, niektórym się udaje. Facebook, Instagram, Snapchat, a wcześniej choćby Google. Ale jakie masz szanse, że trafisz do twórców następnego Facebooka? Nie jesteśmy nawet po właściwej stronie Atlantyku.

Kilian markotnie grzebał w jedzeniu. Maura zaatakowała kawałek ciasta i skrzywiła się po pierwszym kęsie. Lepiej wyglądało, niż smakowało.

Oboje nagle poczuli na ramionach czyjeś ręce i usłyszeli nad sobą rubaszny głos:

— Co tak sami siedzicie, moje gołąbki? Coś knujecie? He?!

— Cześć, Donatan! — uśmiechnęła się do niego Maura, Kilian zaś skinął tylko głową lekko niezadowolony. — Widzę zmiany w garderobie. Nowa moda?

— Nie. Zaraz zmiatam za miasto i uderzam w gąszcz lasu. Garnitur tam nie pasuje.

— Siadaj, porozmawiamy — zaproponowała.

Kilian spojrzał na nią morderczym wzrokiem. To miało być ich prywatne spotkanie we dwoje, a ona teraz utnie sobie menedżerską pogawędkę z dyrektorem. Dlaczego mu to zrobiła?

— To może ja już… — chciał wstać, ale Maura go powstrzymała, przytrzymując jego ramię.

Donatan Relik rozsiadł się naprzeciw za stołem, spojrzał krytycznie na swój talerz i pociągnął podejrzliwie nosem.

— Czujecie? — zapytał. — Jak dalej będą tak gotować, to znów zmienimy catering. Jak można myśleć o stabilizacji w takich warunkach? Założę się, że połowa ludzi odchodzi przez jakość posiłków.

— To zabawne, że mówisz o odejściach — weszła mu w słowo Maura, a Kilian wbił wzrok w stół. — Kili się waha. Może ty go przekonasz?

— Ooo, naprawdę?! — Donatan spojrzał na niego z uznaniem, nie wiadomo, czy szczerym, czy udawanym. — Pracujesz u Szeflera?

Skinął twierdząco.

— To mogę tylko życzyć podjęcia dobrej decyzji! A jakąkolwiek podejmiesz, i tak będzie dobra. A co rozważasz?

Kilian był zaskoczony jego bezpośredniością.

— To mały start-up u nas w mieście.

— Start-upy to popularna sprawa ostatnio, niektóre są naprawdę warte uwagi. Ile płacą, jeśli mogę spytać?

— Nooo, nie wiem jeszcze, na razie tylko myślę… Pieniądze nie są najważniejsze.

— Jesteś żonaty?

— Nie bardzo. — Chłopak był zbity z tropu tak gwałtowną zmianą tematu.

— To dlatego wyznajesz ten mit, że pieniądze nie są najważniejsze, he, he — roześmiał się Donatan. — Poznasz babę, to zobaczysz… O, przepraszam, Ma, to zabrzmiało bardzo seksistowsko i prymitywnie. Udaj, proszę, że tego nie słyszałaś.

— Udaję, że nie słyszałam, jak mówisz, że baby lecą na kasę. Donatan ma rację. Pieniądze są bardzo ważne. Jak nie zarobisz ich dzisiaj, to kiedy? Trzeba piąć się w górę szerokim frontem. Ideami chleba nie posmarujesz.

— Firmy przede wszystkim są po to, by przynosić profity swoim udziałowcom — tłumaczył Donatan. — Skoro chcesz odejść, to dam ci radę starego, doświadczonego programisty, którym kiedyś byłem: będziesz miał taką satysfakcję ze swojej pracy, ile ktoś ci za nią zapłaci. I odwrotnie: pieniądz to miara twojej wartości. Zapytam wprost: zarobisz tam dużo więcej niż u nas? Masz tam perspektywy rozwoju i awansu?

Kilian powtórzył mniej więcej to samo, co mówił Maurze. Donatan zaś powtórzył mniej więcej to samo, co Maura powiedziała jemu. Wyglądało na to, że albo się zmówili, albo identycznie postrzegali pewne sprawy. Tylko że dyrektor Relik nie miał żadnego interesu w trzymaniu Osika w firmie, bo ten nie był nawet w jego pionie zatrudnienia.

Donatan skupił się na kolejnych kwestiach: w korporacji godziny pracy są unormowane nie tylko na papierze, nadgodziny są płacone, przelewy przychodzą regularnie, na urlopie można wyłączyć służbowy telefon i nie odbierać maili. Start-upy i małe firmy nie mogą pozwolić pracownikom na takie luksusy. Na pierwszym miejscu jest dyspozycyjność i większe

zaangażowanie pracownika w bieżącą działalność, jak to eufemistycznie ujął Donatan. Akurat w wypadku Kiliana taka zmiana byłaby raczej na plus — bez rodziny mógł poświęcać pracy nawet sto procent swojego czasu. Maura, słysząc to, spuściła tylko głowę. Znała gorycz i skutek takiego postępowania.

— Podsumowując… — Donatan ze smakiem kończył resztki dania z talerza, co nieco kontrastowało z jego teatralnymi gestami z początku konwersacji. — Po pierwsze, patrz przez pryzmat finansów. Po drugie, możliwość rozwoju. Nowoczesny projekt i technologie są tu z pewnością na plus. Szkoda, że nic więcej nie wiesz o tym start-upie. Może sam bym się tam przeniósł, ha, ha! — zaśmiał się.

— Myślę, że mógłby pan tam spotkać paru ludzi z RCUS-u, dyrektorze — odpowiedział Kilian.

Dreszcz przeszedł przez ciało Relika, aż filiżanka z kawą trzasnęła głośno w spodek.

— Przepraszam. — Złapał chusteczki i starł kilka rozbryźniętych kropel. — Jak to? Znasz kogoś od nas, kto tam pracuje?

— Niestety nie, a chętnie bym porozmawiał… Pewnie zajrzę tam jutro.

— Pracują w sobotę? — zdziwiła się Maura, usiłując dać mu do myślenia.

— I w niedzielę. Mówili, że mogę wpaść właściwie o każdej porze. Dowiem się wszystkiego na miejscu.

— Mówiłeś, że nie wiesz, co to za firma. — Donatan z przesadną ostrożnością uniósł filiżankę, wpatrując się w Kiliana.

— Bo nie wiem. Kazałem połączyć się z szesnastym piętrem w Cloud Bridge i wystarczyło. Okazało się, że tylko oni tam mają coś wynajęte.

— A jak się o niej dowiedziałeś? — naciskał Donatan.

— Od Nikodema de Bugaja… Odmówił im, ale potem żałował. Pytał, czy chciałbym razem z nim…

— OK, OK, ale skąd Nikodem o niej wiedział?

Kilian wzruszył ramionami.

— Któryś z jego kolegów go namawiał. Niedawno tam poszedł. Nikodem powiedział, że tamtego gościa zwerbował jakiś wysoko postawiony menedżer z naszej firmy, czujecie? Nie wiedział tylko który. Ale jakby się wtedy zgodził, to prawdopodobnie by się z nim spotkał.

Donatan uśmiechnął się dyskretnie, studiując uważnie fakturę kawowej pianki. Maura przysłuchiwała się z zainteresowaniem.

— To niepokojące! — Podrapała się po skroni. — Jesteś już drugą osobą, od której słyszę podobną historię. Nie dalej niż dwa tygodnie temu coś takiego doszło do moich uszu. Zignorowałam to, ale teraz… — myślała głośno. — Tym bardziej że Nikodem… To coś więcej niż plotka…

Kilian złapał się za głowę:

— Sam już, cholera, nie wiem… Prawie mnie przekonaliście, by zostać. Tamto miejsce jeszcze bardziej będzie mi się kojarzyć z Nikodemem.

Maura go nie słuchała. Układała właśnie plan.

— Kilian, dowiedz się jak najwięcej o tej firmie. Przede wszystkim, jak się nazywają i kto tam pracuje. Potem…

— Co chcesz zrobić? — wszedł jej w słowo Donatan.

— Nie jestem pewna, ale nie chcę robić zbędnego zamieszania. To może być ważne dla firmy, bo ktoś wszedł w wyraźny konflikt interesów. — Wskazała na Kiliana, a ten kiwnął głową. — A jeśli plotka się uwiarygodni, damy znać Farneyowi. Niech się zajmie tą sprawą.

***

Spojrzenie wszystkich skupiło się na „Brodatym”.

— Dziś mój ostatni dzień w firmie. Z tej okazji chciałem was zaprosić na pożegnalne cukierki! — oznajmił. Osiągnął tym samym oczekiwany efekt — na twarzach wszystkich obecnych pojawiło się zdumienie.

— Jak to? Odchodzisz z RCUS-u? — wykrztusił któryś, przeczuwając podstęp.

Kudłaty hippis trzymający kubek z napisem *var wine = convert(water)* dodał dowcipnie:

— Mówisz, że zapraszasz na cukierki do swojego vana?

— Ciebie nie. Zasmrodziłbyś mi w środku — zripostował „Brodaty", wysypując słodycze na talerz.

— Cukierki, kiedy Nikodem… — ktoś z tyłu zamruczał cicho, wyrażając delikatnie oburzenie. Okoliczności raczej nie pozwalały na radosne świętowanie.

— Wiem, ale nie chciałem się żegnać bez choćby drobnego gestu.

— Dokąd idziesz? — dociekał jasnowłosy okularnik.

— Raczej lecę. Londyn.

— Jaka specjalność? Stanowisko?

— To firma konsultingowa. Potrzebowali kogoś od IT. Nie mogę mówić więcej. — Spojrzał na podchodzącego Feliksa „Toudiego" Taudera. Wokół stłoczyli się już chyba wszyscy i łapczywie wybierali cukierki z talerza.

— I nic wcześniej nie powiedziałeś…

— Nie mogłem. — „Brodaty" rozłożył ręce. — Miałem układ, że będę mógł odejść z firmy wcześniej, jeśli do ostatniego dnia nikt się o tym nie dowie.

— W poprzedniej pracy mieliśmy taki zabawny zwyczaj, że jak ktoś odchodził… — zaczął „Toudi", przeżuwając czekoladowy smakołyk, ale przerwał mu „Brodaty":

— *À propos* zabawnych historii. Jak byłem u nich na rozmowie, to oprowadzili mnie po swojej serwerowni. Coś jak u nas w laboratorium. Patrzę, a tam w jednej szafie nasz sprzęt z RCUS-u.

— I co dalej?

— To wszystko… Zabawne, nie?

Chwila ciszy potwierdziła atrakcyjność przeżycia. „Dobrze, że odchodzi” — pomyślał „Toudi”. „Zawsze był taki trudny. Drugi po Nikodemie w moim rankingu”.

— Wiesz, nasz sprzęt daje radę — rzekł, by przekuć żart w przykład sukcesu.

— Racja i jest bardzo odporny. Od pięciu iteracji nie pozwala się naprawić — zakpił „Brodaty”.

— Oj. Wszyscy wiemy, że to przez dependencję od firmware’u naszego partnera — usiłował ratować twarz zespołu.

— A można było to napisać własnymi siłami… — „Brodaty” przypomniał sobie spotkanie sprzed roku, kiedy to głośno wyraził identyczną opinię. Zakrzyczeli go wtedy. Cóż, outsourcing stał się modny i podlegał wyłącznie ocenie kosztów. O jakość i opóźnienia się nie martwiono, bo zawsze zakładano tylko optymistyczne warianty. Hasło firmy wszak brzmiało: „Kiedy wszyscy przygotowują się na najgorsze, my jesteśmy gotowi na najlepsze”. Inne zdanie groziło ostracyzmem, problemami w awansach, bo głos rozsądku postrzegano jako malkontenctwo.

— A tak przy okazji. W laboratorium jest twój prywatny dysk — przypomniał ktoś.

— To muszę go odebrać. Zupełnie o tym zapomniałem.

— Ale dopiero po testach, dobra? Jest nam potrzebny! — rozpaczał „Toudi”.

— Oczywiście — zgodził się. I tak jeszcze musiał pożegnać wielu znajomych. Zostanie pewnie do późna.

Na koniec „Toudi” chrząknął głośno i zaproponował:

— Panowie, za dziesięć minut wracamy do pracy. Pamiętajcie, na co się dzisiaj komitowaliście na stand-upie! Deliverable same się nie zrobią.

***

Plan był prosty. Ostatnie zabójstwo było obarczone sporym ryzykiem, że ktoś przypadkowy go zauważy, że zapomni z emocji o jakimś detalu, no i miało zbyt dużo udziwnień — kabel, pałka, nóż. Trzeba minimalizować czynniki niepewne. Usprawiedliwiał się, że to był jego pierwszy raz i zbyt dużo kombinował, próbując zmylić tropy. Teraz zrozumiał, że efektywna prostota jest dużo ważniejsza.

Dzisiejsze testy w laboratorium potrwają dłużej. Już o to zadbał. Spostrzegł, że człowiek, który miał być celem, wyszedł na kolejne spotkanie wraz z całym zespołem.

Odczekał chwilę i ruszył w kierunku współdzielonej szafy z ubraniami. W jej wnętrzu włożył lateksowe rękawiczki i odnalazł właściwą kurtkę na wieszaku. Przeszukał kieszenie. To było najbardziej ryzykowne posunięcie w całym planie, a przynajmniej tak myślał. Nie znalazł żadnych torebek, tylko trzy luźno wrzucone drażetki. „Co za niechluj” — pomyślał z niesmakiem. Ale przynajmniej wszystko było tak, jak przewidywał. Musiał to sprawdzić, musiał mieć pewność. Zabrał je wszystkie i podrzucił jedną, ale swoją. Wyglądała niemal identycznie i była podobnej wielkości. Ściągnął swoją kurtkę, do kieszeni schował tabletki i rękawiczki, a potem wyszedł.

10
16.45, dział informatyczny komendy miejskiej

Dobrze mieć przyjaciół. A jeszcze lepiej, gdy ci przyjaciele są ulokowani we właściwych strukturach. Jednym z takich przyjaciół Czerskiego ze studiów był Cezar Costa, młodszy wykładowca technik informatycznych, który szybko dostrzegł w Czerskim talent do nauk komputerowych. Zaprzyjaźnili się ze sobą i chociaż ich drogi później się rozeszły, to nadal utrzymywali ze sobą sporadyczne kontakty towarzyskie. Teraz Czerski stał właśnie pod biurem Costy w komendzie miejskiej i zastanawiał się, jak daleko będzie mógł się posunąć w wyciąganiu informacji.

— Wejdź, Czerski! Myślałem, że spotkamy się na jakimś majowym grillu, a ty mnie w biurze nachodzisz. No jak tutaj grilla ustawić? Masz chociaż piwo?

— Cześć, Cezary! Z grilla mam tylko to. — Wyciągnął z głębokiej torby sześciopak piwa, na którego widok oczy Cezara się zaświeciły. — A serio to potrzebuję informacji w możliwie dyskretny sposób.

— Wal, przyjacielu! O co chodzi? Chcesz wyrwać nową recepcjonistkę? Widziałeś ją? Zaraz po studiach. Ja nie wiem jak z takim balastem — wykonał gest, jakby dźwigał przed sobą dwa arbuzy — przeszła testy sprawnościowe. Mówię ci…

— Nie, nie — żachnął się Czerski. — Nie chodzi mi o młode kobiety, ale o starych facetów.

— Ooo! — Costa spojrzał na niego teatralnie. — Mówię ci, nie idź tą drogą. Może jesteśmy w Europie i bardzo nowocześni, ale pewne zachowania mają ewolucyjne podstawy i ich zmiana może doprowadzić do wyginięcia gatunku.

Zasiadł przed komputerem.

— Najpierw sprawdzimy oficjalne dane. O kim mówimy?

— Inspektor Piotr Skalski.

Costa spojrzał na niego zaskoczony. Odwrócił się do monitora i wypełnił pole zapytania, mamrocząc jednocześnie:

— Skalskiego znam ze słyszenia. „Różyczka”. Jest całkiem niezły. O, popatrz! — Stuknął palcem w ekran. — Sporo odznaczeń i wyróżnień, ma też… dwie nagany! Za niewłaściwą postawę wobec przełożonych. Pewnie nie chciał włazić w dupę wierchuszce. No tak, poprzedni komendant, kawał fiuta. Co chcesz o nim wiedzieć?

— Skąd ksywka „Różyczka”?

— Tak go kiedyś wołali. Jako młodzik przyszedł do policji i jakoś zaraz potem rozwiązał sprawę, mając tylko listki czy płatki róży.

Czerski przypomniał sobie srebrną figurkę róży na biurku Skalskiego.

— Był kilka razy w Stanach, raz na pół roku — ciągnął Costa. — Jakieś konferencje i szkolenia. To półroczne było w siedzibie FBI, ukończone z wyróżnieniem. Ciekawe, nigdy się tym nie chwalił.

— Ile on już służy? Wygląda na takiego, co czeka na emeryturę.

— Nie tak znów długo, tylko ćwierć wieku. A nie, czekaj… — Costa wystukał coś na klawiaturze. — Dłużej, tylko miał jakąś przerwę.

— Jaką przerwę?

— Nie wiem, akta są utajnione. Ale miał ponad trzyletnią przerwę w służbie, a przed nią był jeszcze sześć lat w kryminalnym.

— Dostaniesz się do tych tajnych akt?

Przyjaciel zmierzył go wzrokiem. Czerski odpuścił.

— OK. A teraz sprawdź, proszę, innego. Komisarz Walczak.

— Trójkącik? Gdyby nie z dwoma starymi facetami, to sam bym się pisał, ale tak to fuj! Idź, zagadaj z tą na recepcji, może ma koleżankę… — gadał ni to do siebie, ni do Czerskiego, ale odszukał w bazie danych pożądany rekord.

Czerski przysunął sobie fotel.

— Co my tutaj mamy… — mruczał do siebie Costa. — O rany, facet jest po… seminarium duchownym i dwuletnich studiach zaocznych z psychologii ogólnej! Ja pierdzielę, mamy czynnego księdza na służbie. Kogo to już nie przyjmują do policji! I co, użyje gromnicy szturmowej zamiast pistoletu?

— Czyli nie robili mnie w jajo — mruknął do siebie Czerski. — Możesz zobaczyć, gdzie pracował wcześniej?

— Pracował? Raczej służył… Parafia rzymskokatolicka pod wezwaniem Świętego Apoloniusza. Ale krótko. Niespełna rok. Potem dwa lata się obijał na stanowisku jakiegoś wikariusza asystenta w kurii i porzucił sutannę. Poszedł na studia psychologiczne i wstąpił do naszej służby. Niedługo potem zaczął pracować ze Skalskim.

— Dziwne — mruknął Czerski. — Zwykle rezygnują jeszcze w seminarium albo po wielu latach. A tak sześć lat seminarium, trzy lata posługi i taka zmiana… Dobra. Dzięki, stary. Będę się zbierał, mamy od gromnicy roboty. — Podniósł się i pochylił nad monitorem. — Pokaż mi jeszcze akta Skalskiego. Chciałbym zobaczyć sprawę z różą.

Costa usłużnie zmienił okno i przełączył się na historię spraw Skalskiego. Znalazł tę, o którą prosił przyjaciel, ale Czerski go powstrzymał, wskazując na ekranie:

— Nie! Czekaj! Pokaż tę!

— Klient nasz pan! — zaskrzeczał Costa i wyświetlił szczegóły sprawy.

Śledztwo dotyczyło kradzieży pieniędzy z sejfu biskupa. Natychmiast przypomniała mu się zagadka Walczaka sprzed kilku dni. Teraz patrzył na podsumowanie śledztwa i widział datę i miejsce sprawy. Poprosił ponownie o życiorys Walczaka. Popukał w ekran i z szerokim uśmiechem zwrócił się do Costy:

— No kto by pomyślał… co za zbieżność miejsca i czasu!

11
17.30, tereny biegu survivalowego

Donatan Relik minął właśnie pierwszy znak kierujący uczestników na punkt startowy, gdy zza zakrętu wyłoniła się ubłocona terenówka. Zwolnił i przez chwilę utrzymywał stałą odległość, rzucając przekleństwa pod nosem. Droga była wąska i miałby problem z wyprzedzeniem zawalidrogi. Dojazd do punktu zbiorczego zajął mu trzy nerwowe spojrzenia na zegarek i około setki niewybrednych stwierdzeń na temat umiejętności prowadzącego samochód. Wbrew swoim obawom jednak się nie spóźnił; na parking dotarł niemalże o czasie. Wystarczyło mu go na tyle, by wymienić uściski ze znajomymi uczestnikami biegu.

— To co, Donatan? Powalczysz o pierwsze miejsce? — Przyjaźnie poklepał go po plecach znajomy współuczestnik biegu. Jako były specjals miał na koncie już dwa zwycięstwa — chociaż był po sześćdziesiątce.

— Na pewno będę chciał cię prześcignąć — odpowiedział, uśmiechając się. A przypominając sobie rozmowę sprzed roku, dodał: — Co tam u ciebie? Pies sąsiadów dalej zakrada ci się na działkę?

— A gdzie tam! — zaśmiał się komandos. — Rozmowa z sąsiadem nie pomogła, zgłoszenie na policji nie pomogło. No to sprawiłem sobie odstraszacz ultradźwiękowy. I wyobraź sobie, że teraz to wredne bydlę omija moją posesję szerokim łukiem.

— A pies?

— Pies też.

— Trochę szkoda zwierzęcia…

Specjals wzruszył ramionami.

— Jak ktoś nie umie trzymać krótko psa na smyczy, to nie powinien go posiadać. Dlatego wolę koty. To dużo mądrzejsze stworzenia.

Relik tak ogólnie nie podzielał jego poglądów; uważał go za radykała w wielu sprawach. Przez grzeczność jednak mu przytakiwał — zresztą nie chciał podnosić sobie bardziej ciśnienia przed biegiem.

Dyskusję przerwał organizator, przypominając uczestnikom reguły wyścigu: nie wolno używać pojazdów. Nie wolno używać telefonów komórkowych. Trasa musi być pokonana samodzielnie.

Piętnaście minut później bieg się rozpoczął.

12
17.35, komenda policji

Tuż przed zaczynającym się weekendem Skalski miał dwie możliwości. Albo będzie siedział za biurkiem, przeglądał papiery i myślał nad sprawą, albo pojedzie do domu, gdzie będzie siedział za biurkiem, przeglądał papiery i myślał nad sprawą. Zdecydował się na opcję pierwszą, przynajmniej nie zacznie pić zbyt wcześnie. Ogólnie nie lubił samotnych piątków. Po nich następowały dłużące się pustelnicze weekendy, które, zwłaszcza przy złej pogodzie, wpędzały go w nostalgiczne wspomnienia i stan, który sprzyjał sięganiu po łatwo dostępny alkohol. W końcu barek był jedynym właściwie utrzymanym meblem w jego mieszkaniu. A jak na horyzoncie do tego wszystkiego pojawiał się Walczak…

Zaczął szczegółowo przyglądać się aktom. Uważnie przeczytał raport z traseologii. Który to już raz? Wciąż nie mógł uwierzyć, że tak łatwo dali się nabrać. Oni, starzy, doświadczeni śledczy. A może już za starzy? Czyżby zmyliła ich własna rutyna? A może wręcz przeciwnie — zbyt szybko i ślepo zaufali wynikom z laboratorium? Bo to, że zazwyczaj dotąd to działało,

wcale nie implikowało, że jest to prawda absolutna. Niby drobne doprecyzowanie wyników, a jaka ogromna zmiana sytuacji!

Skalski czuł pewnego rodzaju wstyd, bo ta porażka mocno ubodła jego ego. Co dziwniejsze, odczuwał nawet pewne zażenowanie wobec młodego Czerskiego. Mieli mu być mentorami, a dali taką plamę. Olaf, traseolog, również poczuwał się do winy. Uważał, że powinien był zwrócić uwagę na zbyt idealną zbieżność odcisku z przechowywanym wzorcem, i ostrzec o tym Skalskiego. Inspektor się z tym nie zgadzał. To on prowadził śledztwo i do niego należało wyciąganie wniosków.

Zrzucił z siebie czarne myśli i zajął się kolejnym raportem, tym razem z laboratorium biologicznego. Ten przynajmniej wskazał podejrzanego po jego własnym DNA, a nie po śladach odzieży. Nie mogło być lepiej. Na pierwszych stronach omawiano procedury przygotowania próbek zebranych z ofiary oraz wymazów z jamy ustnej od osób z nią pracujących. Oczyszczenie i izolacja — nuda. Potem omówienie podejścia do eksperymentu.

Zdecydowano się na zbadanie mitochondrialnego DNA, które daje pewniejsze wyniki w wypadku materiału dowodowego w postaci włosów. Badania jądrowego DNA postanowiono wykonać, gdy będzie możliwość dostępu do cebulek, i odłożono je na później. To niewiele mówiło śledczemu szkolonemu w zupełnie innej materii. Wreszcie pojawił się opis metody namnożenia produktu genetycznego metodą multipleksowej reakcji łańcuchowej polimerazy. „Co to za licho?” — zafrapował się Skalski.

Potem następowało użycie maszyny służącej do elektroforezy kapilarnej, gdzie pod wpływem wysokiego napięcia fragmenty DNA o różnej masie przemieszczały się w cienkiej rurce z różną prędkością. Detektor laserowy śledził przepływający produkt i w momencie wykrycia określonej grupy na wykresach pojawiały się charakterystyczne „szpilki”.

Choć Skalski początkowo miał zamiar przeczytać raport od deski do deski, to użyta terminologia i zawiłość zdań opisujących pobrane próbki skutecznie go do tego zniechęciły. Wrócił do elektroforegramów, ale żeby je dokładnie zrozumieć, musiałby najpierw przestudiować cały raport i pewnie douczyć się czegoś na własną rękę. Wobec tego przeskoczył do wniosków widzianych już wczoraj i będących podstawą do aresztowania Diukiewicza. „Włosy zidentyfikowane jako włosy Henryka Diukiewicza są zgodne z pobraną od niego próbką mtDNA”. Wskazano na kogoś, kto od początku wzbudzał w Skalskim coś nieokreślonego: rodzaj niechęci, niezrozumienia i pojęciowej alienacji.

Przypomniał też sobie o pracy Czerskiego, który odtworzył trasy poruszania się zarówno Diukiewicza, jak i de Bugaja. W piątek nie spotkali się ani razu. Diukiewicz był na wielu spotkaniach i ze swoim zespołem widział się wtedy tylko dwukrotnie: raz na porannym zebraniu (jak to oni nazywali… stand-upie) i raz po południu, kiedy przez godzinę pracował na swoim miejscu przy biurku. De Bugaj zaś zwyczajowo spóźnił się na poranną odprawę, a później pracował w laboratorium. Czerski sprawdził też czwartek, a nawet środę, i wówczas teoretycznie mogli się ze sobą spotkać. Z przesłuchań współpracowników i skrzynki mailowej wyraźnie jednak wynikało, że de Bugaj robił wszystko, by nie widzieć się z przełożonym. Oczywiście doprowadzał go tym do szewskiej pasji i wzmacniał takim zachowaniem wzajemną niechęć. Stąd aż dwa włosy Diukiewicza znalezione na zwłokach były ważną poszlaką, że ci dwaj weszli ze sobą w bliski kontakt fizyczny. Szczególnie zaś włos zidentyfikowany jako pochodzący z brwi, a znaleziony na karku pod kołnierzykiem ofiary był dowodem mocno obciążającym. Skalski szukał jakiejś normalnej sytuacji, w której taki włos może się znaleźć w takim miejscu.

Dość bezwiednie wziął do ręki zestaw zdjęć przedstawiających ten właśnie włos w kilku powiększeniach. Patrzył na nie i gdzieś z tyłu głowy zapaliła mu się czerwona lampka. Wiedząc, że doprowadzi do wściekłości Lucasa, kierownika laboratorium biologicznego, zabrał wszystkie zdjęcia i poszedł do jego pracowni.

13
17.40, RCUS

Udając się do kuchni z pustym kubkiem, Kilian Osik zauważył, zupełnie bez zaskoczenia, że do domów rozeszła się już większość ludzi. Zrobiło się ciszej, spokojniej i leniwie.

Spojrzał w kierunku stanowiska Nikodema, wieloletniego przyjaciela. Było puste. Już go nie ma i… więcej nie będzie. Do tej pory nie miał odwagi przechadzać się tym korytarzem, ale dzisiaj poczuł jakiś wewnętrzny przymus. Bo nie zaglądając tam, unikając jak ognia tego miejsca, jakby go zdradzał. Nie mogło to trwać w nieskończoność i postanowił stawić czoła swojemu irracjonalnemu lękowi. Ile to minęło od tego tragicznego dnia? Równo tydzień? W sobotę pogrzeb. Z daleka przyjedzie rodzina i będzie go opłakiwać. Zabiorą jego rzeczy i zaginie po nim ślad w tym mieście. Ciekawe, czy zostawił po sobie dużo gratów. Trzeba by je przekazać rodzicom albo rodzeństwu. Postanowił podejść i ocenić, ile z tym będzie roboty.

Czuł się nieswojo, zbliżając się do tego stanowiska. Zauważył, że zostało ono doskonale uprzątnięte i było zupełnie puste. „Spóźniłem się” — pomyślał. Dwa rzędy dalej zauważył jedynego pracującego w okolicy człowieka. „Toudi”, jak na niego mawiali, zerknął na Osika.

— Szukasz czegoś? — zapytał.

— W sumie już nie, ale… z ciekawości zapytam: gdzie są rzeczy Nikodema?

— Wczoraj wieczorem kazałem uprzątnąć — tłumaczył „Toudi”.

— To znaczy?

— Komputer oddaliśmy do IT, resztę wyniosła ekipa sprzątająca.

— Resztę? A jego rzeczy osobiste? — Osik poczuł irytację.

— Nooo… — zmieszał się „Toudi”. — Też pewnie już poszły do kosza.

— Chyba sobie, kurwa, teraz żartujesz?

— A co mieliśmy z tym zrobić? Od poniedziałku będzie tutaj siedział praktykant.

— I Diukiewicz na to pozwolił?

— On teraz jest… hmmm. Przejąłem jego obowiązki… na jakiś czas.

— I wyjebaliście rzeczy Nikodema na śmietnik?

— A co mieliśmy zrobić? — wzruszył ramionami. — Relikwię i ołtarzyk?

— Kto cię, idioto, zrobił menedżerem? Może trzeba było to zebrać i oddać rodzinie?

— Czego się tak wściekasz o parę butów i kurtkę?

— A zdjęcia? Portfel? Zapiski?

— To wcześniej zabrała policja.

— Wszystko?

— No, tego nie wiem…

— Ja pierdolę! — Osik postawił kropkę.

— Masz szczęście — pogroził „Toudi”, jakby coś sobie uświadamiając — że inni siedzą teraz w labie albo w kuchni i nie widzą twojego wyskoku. Jeszcze słowo, a zgłoszę to do HR-ów.

Osik skończył rozmowę i popatrzył, czy w pobliżu nie siedzi Norman Weiss, szef tutejszych menedżerów. Nie było go w zasięgu wzroku.

Postanowił tak tej sprawy nie zostawiać.

Położył kubek na biurku Nikodema i szybkim krokiem pobiegł do windy. Minutę później bezceremonialnie i bez pukania wszedł do gabinetu dyrektora Szeflera. Miał szczęście, że ten akurat był u siebie.

— Maks — zwrócił się krótko. — Mam pilną sprawę.

— A gdzie szacunek należny dyrekcji? — przypomniał mu gospodarz. Kiedyś pracowali prawie jak równy z równym w jednym projekcie, ale to już było naprawdę dawno temu.

— Noo… — ugryzł się w język. — Panie dyrektorze…

— Słucham.

Osik przedstawił sprawę rzeczy de Bugaja i poskarżył się na bezmyślne zachowanie „Toudiego”.

— Rozumiem. — Szefler z trudem wysłuchał go do końca. — A teraz pomyśl jak dyrektor korporacji. Czy ktoś taki jak ja ma teraz rzucić wszystko i grzebać z tobą w śmietniku? Osik, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Spróbuj to załatwić sam z ekipą sprzątającą. Jeśli uważasz, że to takie ważne, to idź do nich i zobacz, jak się sprawy mają. I nie przychodź mi tu więcej z takimi głupimi problemami, zrozumiałeś?

— Szkoda, że Maura tego nie słyszała — wycedził złośliwie Osik.

— Uważaj, do kogo mówisz!

— Ty…

— Słucham?

— Tymczasem. — Opanował się, ale wychodząc, trzasnął drzwiami.

Dziesięć minut później powiedziano mu, że śmieci już wywieziono na wysypisko. „Czy tak kończą wszyscy dobrzy ludzie?” — pomyślał zrozpaczony i… winny, że nie dopilnował tego zawczasu. Po przyjacielu nie został nawet ślad.

14
17.55, biologiczne laboratorium kryminalistyki

— Piotrze, nie teraz — zgodnie z przewidywaniami warknął na Skalskiego Lucas, kierownik laboratorium biologicznego. — Za pięć minut kończy mi się tydzień pracy.

Wymownie przy tym pomachał zegarkiem.

— To ważne…

— Wszystko jest ważne w odpowiednich okolicznościach. To kwestia priorytetów. A teraz priorytety są takie, że ważny jest weekend. Cokolwiek chcesz, przyjdź w poniedziałek. — Lucas nie miał zamiaru ustąpić.

— Chcę cię tylko o coś zapytać… Weekend zaczynasz za pięć minut.

— Za cztery, służbisto. Dobra, pytaj — zgodził się łaskawie Lucas. — Masz cztery minuty.

Skalski wyciągnął zdjęcie włosa Diukiewicza.

— Co to jest? — wskazał palcem miejsce na zdjęciu.

Lucas nie zrozumiał jego intencji.

— Włos. Włos z brwi. Wszystko masz napisane w raporcie…

— Co TO jest? — Skalski podsunął mu zdjęcie pod nos i palcem zakreślił miejsce na fotografii.

Lucas poprawił okulary, zerknął na zegarek i wziął fotografię do ręki.

— Wygląda jak mechaniczne uszkodzenie włosa, obustronne zmiażdżenie czymś bardzo twardym. Czyli pęsetą, mówiąc po ludzku. Trzy minuty.

— Skąd się to wzięło?

— Pewnie ktoś złapał włos pęsetą…

Skalski położył przed kierownikiem laboratorium kolejne zdjęcia.

— To zdjęcia tego samego włosa, powiększenie o mniejszej skali. Ten uszkodzony fragment, jak się wydaje, jest tutaj… prawie w samym środku

włosa.

— Słuchaj, ja naprawdę już za chwilę wychodzę i mnie nie powstrzymasz. A co do tego czegoś, to pewnie stażysta złapał nieumiejętnie…

— Witek zbierał ślady osobiście… — zgasił go Skalski.

Lucas usiadł, wziął do ręki zdjęcia oraz szkło powiększające.

— Kurwa… — odezwał się po chwili.

— A co ja mam powiedzieć? — zapytał Skalski. — Na tej podstawie aresztowałem człowieka.

Lucas podrapał się po głowie z resztkami włosów. Spojrzał na swoją dłoń i stwierdził, że znowu je przerzedził. Kolejny włosek, z bujnej niegdyś czupryny, pokazał Skalskiemu.

— To znak… — westchnął. — Przynieś próbki z tamtej szafki, ja włączę mikroskop. Zróbmy tak — spojrzał tęsknie na zegarek — jeśli na tym cholernym włosie nie znajdziemy drugiego podobnego uszkodzenia, to odkładamy sprawę do poniedziałku. I pogadamy z Witkiem.

Położył próbkę pod obiektywem mikroskopu. Obraz był wyświetlany na monitorze, obaj mogli go wygodnie oglądać.

— Dobra, to chyba gdzieś tutaj… — Lucas delikatnie przesuwał niewielki manipulator, utrzymując obraz włosa w centrum ekranu. — Jest… powiększmy ten kawałek… — Zmienił ogniskową. Obraz rozmył się całkowicie, ale już po sekundzie wyostrzył. — Niezłe cacko, nie? — Był dumny ze swojego sprzętu. — Automatycznie łapie ostrość po zmianie obiektywu, kompensuje światło, potrafi oświetlić i prześwietlić próbkę; również w bliskiej podczerwieni i nadfiolecie. Cuda, panie, cuda.

„Zastąpią nas komputery i Czerscy” — zasmęcił znów w myślach Skalski.

— Dobra, to już mamy na zdjęciu. Szukajmy rzekomego drugiego uszkodzenia.

Lucas z wielką wprawą przechylił dżojstik. Widok falował delikatnie na ekranie i widać było, jak badany obiekt się przesuwa.

— Powoli zbliżamy się do końca…

— Każdy włos ma dwa końce — podpowiedział Skalski.

— A rozszczepiony nawet trzy… Ups! — Nitka zniknęła z ekranu. — Jadę w drugą stronę, a potem do domu.

Ciemna linia znów zaczęła płynąć po ekranie.

— Stop! — krzyknął Skalski. — Tutaj!

— To już mamy. — Lucas sprawdził odczyt i wskazał na zdjęcie. — Jedziemy dalej…

Wpatrywali się w ekran. Drugie zaburzenie pojawiło się pół milimetra przed końcem.

— Mówiłem, że to Witek… — Skalski odczuł satysfakcję. — Możesz to wydrukować?

Lucas skinął bez słowa. Był równie zaskoczony, co przybity.

Po chwili zaszumiała drukarka i wypełzła z niej karta. Skalski niemal wyrwał ją z podajnika. Patrzył jednocześnie na obie fotografie. Pokazał je Lucasowi.

— Czy oba zdjęcia mają takie samo powiększenie?

Lucas nie musiał tego sprawdzać, bo na oko grubość obiektów na obu wydrukach była jednakowa, ale teraz dla pewności przyjrzał się liczbom na marginesach.

— Tak. — Pokazał jedną z liczb. — To jest zoom.

— To dlaczego to drugie uszkodzenie wygląda inaczej, jakby… delikatnie? Sprawdźmy jeszcze inne próbki.

Przejrzeli trzy kolejne włosy. Wszystkie miały na końcach identyczne lekkie uszkodzenia. Jeden z włosów był wyjątkowo długi. Ten należał do kobiety.

Czwarta, ostatnia z podsuniętych przez Skalskiego próbek, znów miała dwa uszkodzenia. Jedno delikatne przy końcu i drugie, bardzo wyraźne, bliżej środka.

Skalski rozłożył na stole świeże wydruki.

— Wszystkie uszkodzenia na tych fotografiach są znacznie mniejsze niż to, z którym do ciebie przyszedłem. Mam taką teorię, że wszystkie te zdjęcia — zrobił szeroki gest — pokazują robotę Witka. Witek zdejmował włosy delikatnie, przy samych ich końcach, być może używając jakiejś specjalistycznej pęsety. Stąd minimalne ich zniszczenie i zawsze w tym samym miejscu. Z kolei to — wskazał na zdjęcie, z którym przyszedł — oraz to — pokazał na wydruk z ostatniej próbki — dowodzą, że ktoś chwycił te włosy nieumiejętnie, prawdopodobnie zwykłą pęsetą, jakich pełno w damskich kosmetyczkach. I na pewno nie był to Witek.

— Ktoś je… podrzucił? — zapytał niepewnie Lucas.

— Tak. By skierować podejrzenia na niewinną osobę — potwierdził Skalski.

— I dzięki mnie prawie mu się udało… Dałem dupy — wyszeptał rozbity Lucas. — I to na całej linii. Jak mogłem to przeoczyć… I co teraz? Jak ja się z tego wytłumaczę?

— Zrobiłeś swoje, jak należy. — Skalski poklepał go po plecach. — Machnąłeś mikrofotografie, zidentyfikowałeś DNA i pomogłeś śledztwu ruszyć dalej. Pytanie, jak ja się wytłumaczę w prokuraturze i przed komendantem? Nie będą zadowoleni, że znów aresztowaliśmy niewłaściwego człowieka.

15
18.40, tereny biegu survivalowego

Donatan Relik się nie spieszył. Dokładnie starał się wyważać każdy swój krok, by oszczędzać siły. Niektórzy zawodnicy już zniknęli gdzieś w gęstwinie, pędząc sprintem.

„Amatorzy!” — pomyślał. Wiedział doskonale, że najlepsza taktyka to spieszyć się powoli. Krocząc przez leśną gęstwinę, napawał się śpiewem ptaków oraz szumem wiatru pieszczącego uszy. Było całkiem przyjemnie. Mimo że trasa zapowiadała się na ciężką, to miał wrażenie, że jest na jakiejś wycieczce. Gdy przebrnął przez mokradła i dotarł do strumienia rzeki, zresztą jednego z kilku na trasie, z satysfakcją dostrzegł, jak dwóch sprinterów ledwo zipie, nie mogąc złapać oddechu.

— Wszystko w porządku, panowie? — usłyszał za sobą zatroskany głos komandosa. — Tak? Na pewno nic się panom nie stało? No to powodzenia! Do zobaczenia na mecie!

Relik się obrócił.

— No, Donatanie, czas pokonać pierwszy żywioł! — Komandos uśmiechnął się i poprawiwszy plecak, ruszył korytem rzeki, szukając najpłytszej drogi.

Relik wolno ruszył za nim, ważąc każdy krok. Gdy był w połowie, wojskowy już machał do niego z drugiego brzegu. Ale w końcu i Donatan dotarł na drugą stronę. Spojrzał za siebie. Sprinterzy wciąż odpoczywali, nie podejmując próby przekroczenia rzeki.

Przez kolejne pół godziny Relik błądził samotnie po lesie. W pewnym momencie z niepokojem stwierdził, że chyba zgubił drogę. Ruszył niepewnie przed siebie i jakieś sto metrów dalej z ulgą skonstatował, że jednak dotarł do celu. Rozsunął listowie — przed nim wiła się szosa. Usłyszał głuchy dzwonek telefonu, który był doskonale słyszalny w leśnej

ciszy. Zrzucił energicznie plecak i z jego kieszeni wyjął komórkę. Zdążył odebrać.

— Tu radio-taxi — usłyszał kobiecy głos z drugiej strony. — Samochód, który pan wczoraj zamówił, jest już na miejscu. Kierowca czeka.

— Dziękuję za informację. — Zmrużył oczy i w oddali spostrzegł wóz. — Widzę go. Zaraz tam będę.

— Życzę miłego kursu. Do usłyszenia. — Rozłączyła się.

Relik podniósł plecak i ruszył do taksówki. Wybrał kolejny numer.

— Mówi Donatan… Będę za dwie godziny. Przyniosłeś mi ręczniki, jak prosiłem?… Zrozumiesz, jak mnie zobaczysz. Dobrze, że nająłem dla was biura z prysznicami… Wiem, że to już prawie wasz dom… tak, w start-upach zawsze na początku jest ciężko… Muszę kończyć. Cała ekipa potwierdziła obecność?… Świetnie! No to ostrzymy laptopy i do roboty!

Schował do kieszeni telefon z kartą prepaidową. Kierowca taksówki, widząc jego plecak, otworzył bagażnik. Spojrzał zdegustowany na jego przepocone i ubłocone ubranie.

Relik, nic sobie z tego nie robiąc, wsiadł i przekazał cel podróży. Wszystko udało się znakomicie. Wracał do miasta.

16
20.00, RCUS

„Już ósma, a oni ciągle tam siedzą” — martwił się Kilian Osik, zerkając na zegarek. Chwilowo nie miał co robić, więc czytał wciągające *Niebezpieczne związki Bronisława Stroustrupa. KOD ujawniony*.

Kawa na stole ostygła, ale mimo to sięgnął po kubek. Usłyszał dźwięk telefonu i zastanawiał się, od kogo tym razem. Wcześniej był to sam Jaśnie Pan Dyrektor Szefler, który chciał się dowiedzieć, dlaczego Osik odmówił

działowi bezpieczeństwa pozwolenia na instalację ważnego programu. Nie mógł sobie pozwolić na niemiły ton, więc odnajdując resztki swojej kultury osobistej i unikając jak ognia obraźliwych słów, spławił go korpomową, że ze względu na krytyczny task musi tę sprawę zdeferować na poniedziałek. To akurat była prawda, ale druga jej strona wyglądała tak, że trochę nadużył zasobów służbowego komputera do własnych celów i nie bardzo chciał, by jakiś Kowalski mu to wygrzebał.

Do sprawy rzeczy po de Bugaju nie wracali.

A potem zadzwonił kolejny ważniak: Bernard Farney. „To dopiero fiut!” Królewiątko oświadczyło, że ma bezdyskusyjnie wykonać polecenia działu bezpieczeństwa. No, tym razem Osik już nie wytrzymał i dość niewybrednie wyjaśnił, dlaczego musi to wszystko odwlec.

Po tej rozmowie spodziewał się najgorszego, a telefon dzwonił natrętnie. Może to sam prezes Aivar? Zastanawiał się, gdzie jest ten punkt, w którym wreszcie uznają, że przegiął, i się go pozbędą. Teraz żałują, że go zatrudnili, ale potem, jak się wszystko posypie, pożałują, że go już nie mają. Co za paradoks!

Odebrał telefon.

— Już możesz, skończyliśmy testy. — Usłyszał głos przekrzykujący hałas otoczenia.

— OK, dzięki — odrzekł i odłożył słuchawkę.

Poszedł do szafy po kurtkę, bo w laboratorium potężnie wiało od klimatyzatorów, a on miał podrażnione śluzówki. Ubrał się i zszedł na parter. Zorientował się, że zapomniał wydruku planu testów i nie włączył rejestratora. „Znów tracę koncentrację. Bateryjki mi siadają…” Wrócił wraz z jakimś brodatym człowiekiem, który trzymał niewielki dysk SSD, mijając na schodach kilku schodzących ludzi — zapewne byli to jedni z tych, którzy przypomnieli sobie o czymś takim jak dom.

Na swoim komputerze Osik uruchomił rejestrator pakietów sieciowych. Miał zamiar uruchomić zestawy testów z laboratorium, ale przeanalizuje je już na swoim komputerze po powrocie. Rejestrator zapisze mu cały ruch sieciowy, który potem odfiltruje ręcznie, skupiając się na pakietach dotyczących jedynie wykonanych testów.

Ponownie wyruszył do laboratorium. Wszedł tam i poszukał właściwej alejki. „Jak tu głośno i zimno!” — pomyślał i się skrzywił. Znów zawrócił, by wziąć chroniące przed hałasem słuchawki. W końcu spędzi tu trochę czasu. „Co za miejsce! Że też Nikodem lubił się tu chować” — przeszło mu przez myśl. Mimowolne wspomnienia przyjaciela wpędziły go w jeszcze bardziej podły nastrój.

Spojrzał na wydruk i próbował go przeczytać przy słabym świetle. „Na nic to, muszę wziąć coś na pobudzenie” szepnął do siebie i skierował się do toalety. Sprawdził, czy jest pusta, a potem przeszukał kieszenie. Znalazł jedną tabletkę metaamfetaminy. Jeszcze raz się rozejrzał i upewnił, że nikogo nie ma. Połknął ją i popił wodą z kranu.

„Troszkę zejdzie, zanim zacznie działać” — pomyślał.

20.25

Pożegnanie „Brodatego” przeciągnęło się dłużej niż dziesięć minut. Ludzi, którzy z nim pracowali, wzięło na wspominki. Nowi w zespole mieli okazję usłyszeć kilka historii, które nosiły miano „epickich”. Pojawiło się nawet kilka niewybrednych żartów z brodą, które pozwoliły im na chwilę zapomnieć o ponurych zdarzeniach. Na koniec wymienili się mailami, telefonami i obiecali spotkać wkrótce na piwie. I to było tyle. Deweloperzy powrócili do pracy, a „Brodaty” do załatwiania swoich spraw.

Nie zajęło mu to wiele czasu, właściwie musiał już tylko wypełnić obiegówkę. Wcześniej zajrzał do laboratorium i zabrał swój dysk. Ostatni

raz obrzucił spojrzeniem migoczące różnokolorowymi światłami urządzenia wpięte do racków i czule poklepał jeden z routerów. Ten zamrugał na pożegnanie czerwoną diodą. „Brodaty” zamienił ostatnie zdanie z kolegą od testów — a żegnając się, dostrzegł w jego oku błysk smutku i zazdrości.

Gdy zszedł już na parter, ktoś, śpiesząc do wyjścia, trącił go łokciem. „Brodaty” przystanął i z nostalgią rozejrzał się po pustoszejącej przestrzeni hallu. Z kieszeni kurtki wyciągnął drażetkę i wrzucił do ust, by osłodzić tę smutną chwilę.

„Już nigdy tu nie wrócę. Tyle lat… Tyle zmarnowanych lat” — pomyślał. Właściwie to żałował tylko, że tak długo dojrzewał do tej decyzji. Poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Wyciągnął chusteczkę i je otarł. „No i mieli rację, dziadzieję… Poddawać się na sam koniec sentymentom!” — pomyślał z przekąsem i wziął głęboki oddech.

Przetarcie oczu pomogło tylko częściowo — obraz z lewego oka był wciąż niewyraźny. Uświadomił sobie, że musiało mu wypaść szkło kontaktowe.

— Jasny szlag! — zaklął i ruszył pędem do pobliskiej łazienki.

***

Dwa obrazy z monitoringu CCTV były sprytnie duplikowane na ekranie smartfona. Napawało to dumą jego posiadacza. Co więcej, tym razem nie zostawi żadnych śladów w logach systemu, które były już spalone i pod obserwacją kontroli wewnętrznej.

Oba widoki mieściły się bez problemu na wyświetlaczu wysokiej rozdzielczości. Interesowały go dwie kamery: jedna z klatki schodowej, druga przy wyjściu z laboratorium do toalety. Poprzez tę pierwszą zobaczył coś, co wprawiło go w nagłe osłupienie. Jego cel wracał na górę.

„Co robić?” — zwątpił w założony scenariusz akcji. Plan B nie byłby tak widowiskowy i musiałby się odbyć poza murami firmy. Postanowił zaufać instynktowi i poczekać jeszcze chwilę na rozwój wypadków.

— Ufff — jęknął z zadowolenia, widząc ofiarę ponownie przy drzwiach. „Jednak zszedł, widocznie czegoś zapomniał”.

Zegar nieodwracalnego ruszył.

***

Marceli czuł się paskudnie. Kowalski ewidentnie wiedział coś ważnego i coś knuł z nowym kolegą Mirkiem. Z udawanym zrozumieniem przyjął chłodną prośbę o niewtykanie nosa w nie swoją sprawę. Cholera! Tak nie może być, zostaje wykluczony i stoi poza informacjami dotyczącymi bezpieczeństwa firmy. Jak jej bronić, kiedy nie jest znane zagrożenie? To nie fair! Tamci dwaj oddalili się i zamknęli w jakiejś salce, zostawiając go samego w pokoju. Nad czym tak intensywnie pracują? Jak to rozgryźć? Dlaczego Kowalski zrobił się taki zdystansowany? Ta nagła zmiana jego zachowania była strasznie irytująca. Marceli był lekko rozchwiany i czuł się niepotrzebny.

Jedyne, co ustalił na własną rękę, to personalia Mirka. Pracował w firmie siedem lat, a pod Cezarczukiem leciał mu trzeci rok. Jeden skromny awans nie wskazywał na szczególną wartość dla korporacji. Przeszukując zdalnie jego komputer, nie znalazł niczego, co by rozwiało jego wątpliwości albo naprowadziło na jakąś odpowiedź. Na portalach społecznościowych też żaden z niego ciekawy typek. Należał do paru grup zainteresowań dotyczących programowania, jego designu i rozwiązań *big data*, a dodatkowo fotografia, film i muzyka. Jakie to banalne! Zabrakło tylko literatury science fiction albo kryminałów.

Spojrzał na zegarek i z satysfakcją stwierdził, że przynajmniej może normalnie wyjść do domu. Pracował na zakładkę z Kowalskim: w tym tygodniu przychodził i wychodził cztery godziny później niż jego przełożony. Skoro nie chcą jego pomocy… niech sobie mają te swoje tajemnice!

Uśpił laptopa i włożył go do plecaka. Ze stołu sięgnął również po smartfona i schował do kieszeni. Z wieszaka ściągnął kurtkę i pomyślał o matce. Znowu ją zawiódł i spóźni się na kolację! Już miał do niej dzwonić, gdy zdał sobie sprawę, że wczoraj to odwołała. Zatem dziś na kolację będzie piwo.

Idąc skąpanym w mroku korytarzem, spojrzał na kopułkę kamery przytwierdzonej do sufitu i zrobiło mu się nieswojo. Przypomniał sobie dziwnego SMS-a przywołującego go do drzwi laboratorium. Tego też nie potrafił rozpracować, ale coś podejrzewał, coś niejasno przeczuwał. Zagapiwszy się, wpadł na kogoś przy klatce schodowej, ale szybko go wyminął.

Wychodząc z budynku, spostrzegł w ciemnościach Mirka, który stał tuż obok wejścia i zaciągał się papierosem. Kiwnął mu głową na pożegnanie i poszedł do samochodu.

***

Pobudzenie szybko minęło i zaczął się mocno pocić. Ręce mu drętwiały i szumiało w uszach. „*Fuck!* Jaki ból!” złapał się za brzuch. Dopadło go to nagle i niespodziewanie. Paliło coraz mocniej i mocniej. Z rąk wypadły kartki i długopis. Zgiął się, cierpiąc, i zaczął biec przed siebie, obejmując brzuch rękami. Kiedy znalazł się przed drzwiami toalety, naparł łokciem na klamkę, a głową popchnął je do środka. Szybko ominął część umywalkową i przez kolejne wejście dotarł do ubikacji. Po prawej stronie zamontowane

były trzy pisuary, a na wprost — dwie kabiny. Wpadł do pierwszej i upadł na kolana. Próbował wymiotować do muszli. Zrobiło mu się słabo. Ból i płacz bezsilności. „Jak boli!!!” Zaczął się trząść z przerażenia, bo nie rozumiał, co się dzieje. „Muszę wezwać pogotowie!” — krzyczał w myślach. Ale gdzie jest telefon? Szukał po kieszeniach. Nie ma. Panikował, myśli plątały się coraz bardziej. „Uruchomić jakiś alarm, żeby strażnik mnie znalazł!” — zaświtało mu w głowie, ale kolejne torsje go obezwładniły. Wszystko dookoła wirowało i nie mógł się podnieść. Tracił siły i wisząc nad brzegiem muszli, zlany litrami potu, próbował powstać. „Co jest, kurwa!” Tracił kontrolę nad ciałem. Krzyknął, ale wydobył się tylko szept:

— Pomocy… Ratunku… Niech mi ktoś… pomoże…

Zadrżał na całym ciele i poczuł, że traci oddech, który stał się płytki i nierówny. Bolało chyba wszystko, a męka przeciągała się w nieskończoność. Nie mogąc zapanować nad swoim ciałem, powoli poddawał się i odpływał w nicość.

Aż wszystko ucichło i przeszedł na drugą stronę.

***

Znowu czuł te emocje! Wszystko pulsowało w nim i żyło! Kiedy to wszystko planował, nie przyszło mu do głowy, że obudzą się w nim nowe doznania. Nie tylko poczucie siły i kontroli, ale też moc odbierania życia. Widok wbiegającego do toalety inżyniera ucieszył go, bo potwierdzało to, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Ileż to radości, że dzięki najnowszym technologiom można to wszystko samemu zobaczyć. Jakby się tam samemu było!

Zaniepokoił go jednak widok jakiegoś człowieka, który niespodziewanie się tam zjawił i wszedł do tej samej toalety. Ten moment kosztował sporo

nerwów, czuł, że serce waliło jak młot. Co teraz? Wszystko może wziąć w łeb! Chociaż… tamten i tak umrze… za późno na pomoc. A jeśli powie coś ważnego?

O dziwo, po krótkiej chwili nieproszony gość wyszedł spokojnie, nie ujawniając żadnych oznak nerwowości czy niepokoju. Oddalił się, człapiąc niemrawo, aż zniknął za krawędzią ekranu.

Drzwi nie otwierały się przez kolejne długie minuty. Nie pojawił się tam już nikt, co wskazywało na to, że nie wszczęto żadnego alarmu. Po kwadransie było już pewne, że jest po sprawie.

Rozdział 6

Sobota

1
1.20, RCUS, toalety obok laboratorium

— Ależ spuchło to truchło.

Trzymając ręce w kieszeniach i starając się nie wdepnąć w materiał dowodowy, Walczak obojętnie patrzył na zwłoki w kabinie. Głowa otyłego człowieka zanurzona była w muszli. Dookoła rozlewały się wymiociny przemieszane z krwią, których widok i smród przyprawiały o mdłości. Skalski milczał, a Czerski właśnie dotarł z informacją:

— Technicy już w drodze. Prokurator też.

Przyglądali się chwilę w bezruchu, ale Skalski nie mógł znieść ciszy i rozkazał:

— Mów, Czerski, co widzisz.

Młody przełknął ślinę, choć wolałby nią splunąć, i walcząc z obrzydzeniem, wykonał polecenie.

— O… o… ofiara z głową w sedesie. Wymiotowała gwałtownie. Wszystko dookoła zarzygane… ubranie też… chyba się trochę spóźnił. Żadnych ran na ciele… Trudno mówić o bezpośredniej przyczynie śmierci. Jakaś choroba albo zatrucie. — Zrobił krok w tył, szukając po omacku jakiegoś oparcia.

— Jeszcze się, cholera, zarazimy. Jak to się stało, że go znaleźli?

Czerski zajrzał do notatnika, robiąc kolejny krok w tył.

— Strażnik na zmianie robił obchód. Po poniedziałkowym wypadku i aresztowaniu jednego z nich są szczególnie wrażliwi na każde odstępstwo od normy. Przeglądał system ewidencji wejść i zaalarmowało go, że jeden z pracowników nie wyszedł z tego sektora. Według niego zawsze zostaje kilka martwych dusz w rejestrze, tych, co to rzekomo nie wyszli. Normalna sprawa. Wychodzą za kimś, nie przykładając swojej karty do czytnika, więc według komputera wciąż są w środku. Uwagę jego zwróciło to, że nigdy nie zdarza się to w tym sektorze. Tutaj zwykle przebywa zbyt mało ludzi. Zwłaszcza w piątek. I tak według chronologii: pewna grupa wyszła chwilę po ósmej. Potem wchodziły dwie osoby i obie wyszły. Po nich weszła już tylko jedna. A ona nie może wyjść inaczej, niż przykładając swoją kartę do czytnika przy drzwiach. Zawiadomił nas za dziesięć pierwsza.

„Ten, kto będzie musiał tu posprzątać, będzie miał przesrane. I to dosłownie” — stwierdził w myślach Walczak i przypomniał sobie aresztowanego strażnika, który zgłosił się wcześniej do podobnej roboty na ochotnika. „Nawet on by tu nie dał rady” — podsumował.

— Ostatni wpis w systemie po ósmej, powiadasz. Nie żyje od pięciu godzin. Budynek jest pusty? Ktoś jeszcze dziś pracuje? — dociekał Skalski.

— Jak mówiłem, w systemie zawsze ktoś zostaje, taki urok. Nie wiem, mogę zapytać, czy widać kogoś na kamerach.

„Za sprzątnięcie takiego bajzlu ktoś musi dostać jakiś ekstra bonus…” — kontynuował rozważania Walczak, drapiąc się po nieogolonej brodzie. „Albo chociaż parę dni wolnego na dojście do siebie”.

— Wiemy, kto to?

— Eee… — wydobył z siebie zaskoczony Czerski. — Nie zapytałem…

— Chcesz być śledczym, a nie zapytałeś o nazwisko? To miłość do techniki tak strasznie zaślepia? — rzucił złośliwie Skalski. Nie miał

humoru, bo drugi trup w środku nocy na koniec tygodnia nie mógł wywołać innej reakcji.

„No, ja to bym dał takiemu cieciowi przynajmniej tydzień wolnego za ciężkie i szkodliwe warunki pracy! Szkodliwe zwłaszcza dla nosa, żołądka, nie mówiąc już o trwałym uszczerbku na mózgu. Tam muszą pozostać jakieś blizny…” — skonkludował Walczak. Pokraśniał na twarzy i już na głos podsunął myśl:

— A może ma identyfikator?

— Młody, sprawdź — rozkazał Skalski.

Czerski, po raz kolejny zwalczając odruch wymiotny, podszedł do zwłok, założył rękawiczki i podniósł delikatnie głowę. Nagle coś zagrzmiało i wystraszyło ich wszystkich, aż się lekko cofnęli. Zlękniony podskoczył, puszczając głowę denata. Ta uderzyła z impetem w deskę. Delikatny wstrząs wzbudził do ruchu dekiel, który opadł, wieńcząc całe zdarzenie.

— Co, do cholery?! — wrzasnął Walczak.

— To kibel… — uspokajał się Czerski.

— Że niby co z nim?

— Automatyczny — tłumaczył. — Spłuczka się aktywuje, kiedy się wstaje. Tu jest taki czujnik.

— Co za pojebany budynek! — Po raz pierwszy tego dnia na twarzy Walczaka odmalowała się rozpacz. — Nawet w tyłek tu zaglądają. Człowiek normalnie wysrać się nie może!

— Jest gorzej… Rurami odpłynęło trochę materiału dowodowego — zatroskał się Skalski.

— Dobre wieści! Chyba rozpoznałem jego twarz, szefie. — Czerski próbował się rehabilitować.

— Tak?

— Przesłuchiwaliśmy go. To Kilian Osik.

Spojrzeli po sobie. Bez wątpienia to ich zaskoczyło i dało do myślenia. Wyczuwali nosem jakiś związek. De Bugaj, a teraz Osik. Skalski otworzył usta i już chciał coś powiedzieć, ale w tym samym momencie do pomieszczenia weszła prokurator Sara Skalska. Jak zwykle elegancko ubrana przykuła wzrok całej trójki.

— Witamy panią prokurator — rzekł Walczak.

— Witajcie, chłopcy. Co mamy? — szybko przeszła do rzeczy.

„Zdążyła wziąć prysznic, zrobić makijaż i przybyć tu po nas w kwadrans” — zdumiał się Czerski. Skalski wiedział, że o tej porze jest już dawno po kąpieli, a makijaż potrafi zrobić w samochodzie na czerwonym świetle. Zaczął jej wyjaśniać sprawę, obficie gestykulując. Gdy skończył, zapytała:

— Nie ruszaliście niczego?

— Absolutnie — odpalił szybko Skalski.

Przyjrzała im się i pokazała palcem na podłogę. Urywane ślady wymiocin w kształcie butów prowadziły do Czerskiego. Ten zrobił się czerwony jak burak.

— Mam cię aresztować? — zapytała chłodno i zwracając się do Skalskiego, pokręciła głową z niesmakiem. — Ja naprawdę nie wiem, jak wy szkolicie tych młodych… To może teraz tak dla odmiany i dobra śledztwa niech popracuje tu ktoś kompetentny. — Dała znać technikom zaglądającym przez uchylone drzwi, by śmiało weszli do środka.

— Tylko nie waż mi się ładować z tymi butami do wozu — szepnął Walczak do ucha Czerskiemu.

— Panowie — Skalska zwróciła się do wchodzącej ekipy — proszę dokładnie tu wszystko udokumentować. Żadnej fuszerki. I czy da się otworzyć okna? Od tego smrodu nie można się tu na niczym skupić. A wy,

na co jeszcze czekacie? Na specjalne zaproszenie? — zakpiła z grupy Skalskiego. — Wynoście mi się stąd!

— Chodźmy — wybełkotał. — Nic tu po nas.

Odprowadziła ich chłodnym, niemal wrogim spojrzeniem. Walczak jednak bardziej zmartwił się losem kolegów, którzy spędzą w tym miejscu kolejne godziny. Żadna skala ludzkiej wytrzymałości tego nie obejmowała. „Może życie sprzątacza nie jest najgorszym z możliwych” — dumał. „Jeśli ciuchy przejdą im tym smrodem, będą musieli je chyba spalić albo wyrzucić”.

Wychodząc, poczuli ulgę, bo uwolnili zmysły od wielkiego cierpienia.

2
1.50, RCUS, biuro prezesa Aivara

— Słucham! — prezes Aivar rzucił gniewnie do telefonu. Położywszy się około północy, niewiele skorzystał ze snu. Jednak informacja, którą usłyszał, otrzeźwiła go skutecznie. — Będę za pół godziny. Wezwijcie wszystkich dyrektorów — rozkazał i zerwał się z łóżka.

Ubrał się w pięć minut i wybiegł do swojego bmw 750. Zapalił silnik i ruszył szybko przez wymarłe nocą miasto, ignorując ograniczenia i czerwone światła. Nie zapamiętał tego, co działo się na drodze. Zamiast tego powróciły myśli o przegranej sytuacji, piętrzących się problemach, o braku mocnej grupy sojuszników w firmie, o ryzykownej operacji, której się podjął. Potrzebował do tego spokoju, chłodnej rozwagi, działania w cieniu i poza podejrzeniami. Złościło go, że sprawy tak szybko się skomplikowały, a najbliższe godziny oddalają go od powrotu do łóżka. Nie tak zaplanował ten wieczór.

Wreszcie ujrzał posępne kształty biurowca, ledwie odcinające się od nocnego nieba. Bryła budynku powiększała się z każdą sekundą, wzbudzając w nim coraz większy niepokój, nie wiadomo, czy to przez mrok nocy, czy poprzez prymitywną formę swojej geometrii. Zdał sobie nagle sprawę, że właściwie nigdy nie przybył do firmy nocą. Na parkingu przed wejściem tańczyły błyski policyjnych świateł. Dobrze, że rozpoczął się weekend i żaden z pracowników tego nie widzi. Do poniedziałku jest wystarczająco dużo czasu, by jakoś uspokoić tę sytuację.

***

Dobiegając do pokoju prezesa, Bernard Farney z telefonem przy uchu dostrzegł umundurowanego funkcjonariusza policji. Ten przepuścił go po okazaniu identyfikatora. Wchodząc, Farney zakończył rozmowę i schował aparat. W środku przebywały już cztery osoby: inspektor Skalski, prezes Aivar, dyrektor Szefler oraz prokurator Skalska.

— Dobry wieczór — przywitał się, ale nie zabrzmiało to właściwie.

— Czekamy jeszcze na kogoś? — zapytała Skalska, trzymając niewielki brązowy notes.

— Nie wiem, nie można się dodzwonić do Donatana, Lucjana i Zuzanny — rzekł Aivar. Oczywiście to nie on do nich wydzwaniał, tylko ktoś z działu HR. Ciekawe, czy z pracy, czy z domu.

— Donatan biega gdzieś po lesie w jakimś ultramaratonie. Pewnie jest poza zasięgiem sieci komórkowej — wytłumaczył Farney.

Szefler przyjrzał mu się badawczo.

— A Frost i Elkebaum?

Farney rozłożył tylko ręce.

Skalska zaczęła zniecierpliwiona:

— Trudno, przejdźmy do tematu bez nich. Śledztwo dotyczy w tym momencie już dwóch zgonów, panowie. W tej chwili zabezpieczane jest miejsce zdarzenia. Ciało ofiary niezwłocznie zostanie przewiezione do zakładu medycyny sądowej. Tam ustalą dokładną przyczynę zejścia.

— Kto zginął? — przerwał Farney.

— Inżynier Kilian Osik. Znaleziono go martwego w toalecie przy wejściu do laboratorium.

— Osik? To mój podwładny! — krzyknął Szefler.

— Podobnie jak wcześniejsza ofiara, prawda? — zapytał Skalski.

Tamten pobladł.

— Prawda… — szepnął.

— Spokojnie — zaoponowała Skalska. — Jeszcze zdążymy porozmawiać. Do oficjalnego przesłuchania będziemy wzywać tylko wytypowane przez nas osoby. Czy panowie planują jakieś wyjazdy dziś i jutro?

Nikt nie odpowiedział.

— Rozumiem, że są państwo do dyspozycji?

Potwierdzili gestami i pomrukami.

— Dobrze, bo w tej chwili i w tym miejscu nie mamy warunków do zapisu zeznań. — Spuściła wzrok, zaglądając do notesu. — No to pierwsza sprawa: czy dysponują panowie w chwili obecnej jakąkolwiek wiedzą, która mogłaby pomóc prokuratorze i organom ścigania w ujęciu przestępcy?

Spojrzeli po sobie lekko skonsternowani pytaniem. Nie odezwali się. Wznowiła po chwili:

— Dwa: sprawa mediów i pracowników. Tak jak poprzednio… proszę o powstrzymanie się od komentarzy do czasu ustalenia przyczyny śmierci.

— A jak będą nas naciskać? — zapytał niepewnie Farney.

— To doradziłabym trzymania się, jak poprzednio, wersji o wypadku. W ostateczności proszę zasłonić się żądaniami prokuratury i odesłać dziennikarzy do naszego rzecznika prasowego.

— OK.

— Kolejny punkt: będę panów prosić o listę bezpośrednich współpracowników zmarłej osoby. Który z panów może mi w tym pomóc? — zerknęła na Szeflera. Potwierdził skinieniem.

W tym momencie wszedł Walczak i zaczął szeptać coś do ucha Skalskiego. Kiedy skończył, wyszedł bez słowa, a Skalska ciągnęła:

— …i dlatego dla dobra śledztwa proszę o zachowanie szczegółów w możliwie największej dyskrecji. Panie prezesie? — zwróciła się do najważniejszej osoby w firmie.

Ten energicznie pokiwał głową.

— Zgadzam się z panią prokurator. Musimy całą sprawę mieć pod kontrolą i starannie operować informacją. Nie tylko dobro śledztwa jest ważne, ale również dobro naszej firmy. Musimy być teraz szczególnie wyczuleni na to, co mówimy i co robimy. Pozwolę sobie zadeklarować — skierował wzrok na prokurator Skalską — że w imieniu wszystkich dyrektorów i pracowników jesteśmy gotowi i otwarci na współpracę.

„Tylko braw brakuje i świateł jupiterów” — zakpił w duchu Farney i odezwał się pewnym głosem:

— Jako szef działu bezpieczeństwa dodam, że wszystkie nasze zapisy mogę udostępnić od ręki.

— Jak możemy jeszcze pomóc? — zapytał Aivar.

— Na razie to wszystko. Jakieś pytania? — rzuciła i nie widząc zainteresowania, skierowała się do wyjścia, zostawiając za sobą na wpół otwarte drzwi.

— A pan, inspektorze? — Aivar skierował uwagę na Skalskiego. — Czy ma pan do nas jakieś pytania? Bo jeśli nie, to chciałbym się naradzić z moimi ludźmi co do dalszych kroków.

Skalski zastanowił się przez chwilę. Instynkt podpowiadał mu, by nie dopuścić do żadnej narady. Nie wiadomo, czy ci ludzie nie znajdą się wkrótce w grupie podejrzanych i czy nie chcą właśnie ustalić wspólnych zeznań. Zmęczenie nie pozwoliło mu jednak wymyślić żadnego inteligentnego powodu, by rozbić to spotkanie. Wyciągnął tylko notes i poprosił o numery telefonów. Po ich spisaniu podążył śladem prokurator.

Za drzwiami czekał Walczak. Skalski dał mu dyspozycję:

— Zajrzyj tam za chwilę i rozgoń ich do domów. A gdzie Sara?

— Mówiła, że skończyła i wraca.

Wyciągnął telefon z kieszeni marynarki i wybrał jej numer.

— Słucham, inspektorze — odezwała się oficjalnie.

— Czy mogłabyś zarządzić założenie podsłuchu?

— Kogo podejrzewasz? — zainteresowała się.

— Może to głupie, ale nie ufam żadnemu z tych ważniaków. Nie miałem jeszcze do czynienia z takimi typkami. Zrób to dla mnie. W tej sprawie masz uzasadnione powody.

W słuchawce długo nie było jej słychać, tylko równy stukot butów. Pewnie myślała to samo co i on. Ktoś wodził ich za nos i to coraz mniej prawdopodobne, by stał za tym szeregowy pracownik firmy.

— Nie. Nie zgadzam się — rzekła chłodno. — Daliśmy już dwie duże plamy. Dowody obciążające Rado i Diukiewicza słabną każdego dnia. A ta sprawa dzisiaj? Myślisz, że to zabójstwo?

— Intuicja tak mi podpowiada.

— A moja mi mówi coś zupełnie innego. Mógł popełnić samobójstwo. Może trapiły go wyrzuty sumienia? Jeśli to on odebrał życie koledze, to

wszystko by tłumaczyło…

Skalski zirytował się takim sposobem myślenia.

— Że co? Dręczony poczuciem winy decyduje się otruć w pracy? Nie klei mi się to. Tyle zachodu, by zaplanować zbrodnię i rzucić podejrzenia na innych, a tu nagle jakieś dylematy moralne? To po co w ogóle dziś pracował, zamiast kulturalnie zrobić to w domu? No i dodajmy do tego, że miał wcześniej solidne alibi.

— Za wcześnie, by to wszystko osądzić. Zbierzmy, co się da, i wtedy pomyślimy.

— A co z podsłuchem?

— Odmawiam — ucięła krótko.

Przystanął. Dawniej dałaby się przekonać. Teraz jednak to już nie było takie pewne. Wcale nie miał jej tego za złe, był tylko trochę zaskoczony. Czuł, że racja jest po jej stronie, a on był zwyczajnie bezradny i działał chaotycznie. Może podświadomie potrzebował jej uwagi, jakiejś pomocy porządkującej myśli, czy samej obecności nadającej wewnętrzny spokój.

— No nic, trudno. Dobranoc, Saro — szepnął.

Rozłączyła się bez słowa.

***

„Zajrzyj i rozgoń ich do domów” — mruczał pod nosem niezadowolony Walczak. „Jak? Świecę dymną mam tam wrzucić?” Zabrzęczał telefon. Przyłożył go do ucha i poznał głos Czerskiego.

— Dzięki. Zajmę się tym — odparł, uśmiechając się. Los był mu życzliwy, bo powód znalazł się jak na zawołanie. I jak tu nie wierzyć w cuda?

Wszedł do pomieszczenia bez pukania. Dyrektorzy spojrzeli wystraszeni w jego stronę. Aivar, żywo gestykulujący, zamilkł.

— Potrzebuję ustalić miejsce pracy ofiary. Sprawa pilna. Technicy chcą zabezpieczyć sprzęt.

— Co to znaczy „zabezpieczyć”? — zapytał Farney.

— Najpierw zbiorą ślady, obfotografują, co trzeba, a potem zabierzemy jego komputery, dokumenty i tak dalej.

— Nie mogę na to pozwolić. Tam są zastrzeżone informacje firmy! Nie wolno tak! — zaprotestował.

Walczak uśmiechnął się złośliwie i wycedził:

— Nie wolno? Nam nie wolno? Naprawdę chce się pan o tym przekonać? To zapraszam na widowisko.

— Bernardzie — wtrącił się Aivar — spokojnie. Przecież nie chcemy przeszkadzać w śledztwie. Mieliśmy pomagać, pamiętasz?

— Sprawa monitoringu i zapisu systemu identyfikacji personelu to jedno, ale tajemnice firmy to coś zupełnie innego. A za bezpieczeństwo odpowiadam ja!

— Bernard ma rację — przyznał Szefler, otrzeźwiony konsekwencjami dla podległego mu odcinka prac. — Ten projekt jest dla nas najważniejszy.

— Panowie! — Aivar podniósł głos najdelikatniej, jak potrafił. — Proszę o lepszą kolaborację i o więcej dobrej woli! Nie twórzmy niepotrzebnych obstrukcji!

— Panie prezesie, jeżeli wydamy komputer Osika, to mogą przepaść jego dane i praca deweloperska. Poza tym nie wiem, jak policja chroni takie dane. Co będzie, gdy wyciekną przez ich… dyletanctwo?

— Oddamy wam ten sprzęt po zakończeniu sprawy. Niczego nie zepsujemy i nic nam nie wycieknie! — zapewniał dobrodusznie Walczak.

— Nie o to chodzi. Oddacie pewnie za rok, a to, co tam jest, będzie bezwartościowe pewnie już za miesiąc.

— Nie macie kopii?

— Z pewnością większość pracy jest na branczach systemu wersji, ale ostatnie dni ma raczej tylko u siebie — podkreślał znaczenie sprawy Szefler.

Aivar się zamyślił. Jego oczy rozbiegały się po twarzach zebranych ludzi.

— Pozwolę sobie przerwać — wtrącił Walczak, naśladując styl Skalskiego. — Gów… niewiele mnie obchodzi, nad czym tak państwo deliberują. Nalegam na bezzwłoczne wskazanie miejsca pracy denata.

Aivar wyrwał się z zamyślenia:

— Dyrektorze Szefler, wie pan, gdzie to jest?

— Wiem, panie prezesie.

— Proszę zatem wskazać temu tu panu to miejsce!

— Nooo… dobrze. — Szefler chciał coś powiedzieć, jakoś zaprotestować, ale się wstrzymał. Spojrzał w twarz szeroko uśmiechniętego Walczaka i z przesadną kurtuazją wskazał na drzwi.

— Pójdę z nimi. Muszę wiedzieć, co zabierają — dorzucił Farney.

— Jak pan chce — zamruczał Walczak. — I tak dostaniecie pełną listę zatrzymanych rzeczy.

— Jednak pójdę.

3
10.10, mieszkanie Damiana „Brodatego” Fierro

Właściciel nader bujnej brody, której nie powstydziłby się sam Mojżesz, Damian Fierro, uważnie przyglądał się Skalskiemu i Walczakowi, którzy trzymając w górze odznaki, weszli do jego mieszkania. Wskazał im miejsca w fotelach, z czego czym prędzej skorzystali. Wnętrze było urządzone w iście męskim guście, czyli bez składu i ładu. Nacisk położony był

wyłącznie na wygodę i praktyczność, pomijając zupełnie aspekty dopasowania kolorów, stylów czy estetycznego układu mebli.

— Mówią panowie, że jaka sprawa panów sprowadza? — zapytał podejrzliwie.

— Właśnie ustalamy pewne fakty. Pan wczoraj skończył przygodę z firmą, nieprawdaż? — zaczął wymijająco Skalski.

— A i owszem. Może zrobię panom coś do picia? Kawa, herbata? — zaproponował Fierro.

— Nie, dziękujemy — rzekli niemal chórem, choć po nieprzespanej nocy mieli ochotę napić się czegoś ciepłego.

— W sprawie de Bugaja? — dopytywał.

— Poniekąd. Może nam pan zrelacjonować swój wczorajszy dzień?

— Wczorajszy? No… mogę… Dlaczego wczorajszy? — zdziwił się.

— Po pierwsze, dlatego, że zaszły pewne okoliczności, które mogą nam bardzo pomóc w sprawie — odrzekł wykrętnie Walczak. — Po drugie, dlatego, że to my zadajemy pytania, a pan odpowiada.

— No… rozumiem… — pojął aluzję brodacz. — Od początku? Od rana?

— Każdy szczegół może być ważny, prosimy.

— No spoko. Rano pobudka, kibelek, śniadanko, jak zawsze. Kolejką podmiejską do centrum, przesiadka na tramwaj. Nic szczególnego po drodze się nie działo. Nie pamiętam ani żadnej karetki, straży, czegokolwiek. No i jestem w pracy, chyba przed dziewiątą.

— Dokładnie dwadzieścia po — poprawił Walczak, czytając notatki.

— Nooo, spóźniłem się, bo tramwaj przyjechał później. — Zawstydził się przyłapany na nieścisłości.

— Taaak. — Walczak coś zanotował.

— No więc… przyszedłem do kubika, przywitałem się jak co dzień, przeczytałem maile, zaprosili mnie do kadr po kartę obiegową. Z tym

papierem biegałem potem po firmie, zbierając podpisy, oddawałem różne rzeczy. Po obiedzie rozmontowałem komputer, zaprosiłem wszystkich na cukierki, potem zaniosłem kompa… no i kolejny podpis. Potem długo rozmawialiśmy w kuchni. Około ósmej zszedłem do labu po dysk, bo dopiero wtedy skończyli testy. Kolega na górze zgrał wyniki, wykasował dane i wrzuciłem napęd do plecaka. Zszedłem na dół do stróżówki, oddałem obiegówkę i identyfikator. Poszedłem na tramwaj powrotny…

— Momencik — przerwał Skalski. — Wróćmy do tej godziny ósmej.

— OK.

— Jak to dokładnie przebiegało?

— No… zadzwonili z dołu, że testy skończone, więc zszedłem do labu. Wymontowałem dysk i wróciłem na górę.

— Zaglądał pan gdzieś po drodze?

— No… nie. Tylko do labu i z labu. Bez przystanków, jeśli pan o to pyta. — Zmrużył podejrzliwie oczy.

— I co było potem?

— Kolega wziął dysk, zrzucił dane, skasował pliki i oddał. Wrzuciłem go do plecaka, wziąłem kartę obiegową i wyszedłem.

— Proszę kontynuować — zachęcił go Skalski. Obaj z Walczakiem przysunęli się bliżej. Fierro również, choć mimowolnie.

— No… zszedłem na dół klatką prowadzącą do labu, a stamtąd korytarzem do stróżówki.

— Wchodził pan tam?

— No… nie.

— Czyli skierował się pan od razu korytarzem do wyjścia…

Zamilkł na chwilę. Odchylił się i dorzucił niechętnie:

— No… wszedłem jeszcze do toalety, a potem korytarzem do wyjścia.

— Dlaczego pan tam wszedł? — zapytał niższym, cieplejszym głosem Skalski.

Chciał odpowiedzieć coś opryskliwego o tym, co się tam zazwyczaj robi, ale się powstrzymał. Może zakłóciłoby to miły ton przesłuchujących. Czuł, że byłoby to nie na miejscu.

— No… gdy byłem już na dole, od oka odkleiło mi się szkło kontaktowe. Musiałem sprawdzić, czy nie wypadło, a że w pobliżu była łazienka…

— Ktoś tam był, widział pana?

— No… nie, nikogo tam nie było…

— A w części z ubikacjami?

— Tam nie wchodziłem.

— Dlaczego? — zapytał Walczak.

Skalski z zażenowaniem opuścił głowę.

— Nooo… — przewrócił oczami, szukając zgrabnych słów — bo nie miałem takiej potrzeby?

— Czyli — chrząknął Skalski — co dokładnie pan tam robił? Niech pan to opisze.

— No… wszedłem do środka… — wracał myślami, wpatrując się w stół. — Położyłem swoje rzeczy obok zlewu… poprawiłem szkło kontaktowe… wziąłem rzeczy do ręki i wyszedłem.

— Umył pan ręce? Wytarł w papierowy ręcznik?

— Nie pamiętam… chyba nie.

— Czy widział pan kogoś, wchodząc lub wychodząc? Może na korytarzu?

— Nikogo. — Pokręcił zdecydowanie głową.

— Czy było coś nietypowego, coś, co chciałby nam pan opowiedzieć o tej chwili?

— No… hmmm… niech pomyślę. — Zawiesił głos. — A i owszem, skoro panowie pytają o ten moment, to faktycznie…

— No, proszę nie trzymać nas w niepewności — pogonił Walczak.

— Przypomniałem sobie właśnie, że chyba było tam zapalone światło.

— Co to ma do rzeczy?

— No… ono zazwyczaj jest wyłączone i aktywuje się automatycznie, kiedy…

— Wiemy, u was wszystko jest automatyczne — rzekł pewnie Walczak, wspominając znajome zdarzenie.

— No więc ktoś tam jednak musiał być, bo już się świeciło, jak wchodziłem. Czujki zazwyczaj łapią ciepło w określonej strefie i z opóźnieniem.

— Ledwo pan widział, ale to akurat zauważył? — zdziwił się komisarz.

— Owszem. Problem miałem tylko z jednym okiem. A wchodziłem ostrożnie, bo chciałem odczekać, aż się rozświetli. Jednak nie musiałem. I chyba nawet słyszałem jakieś jęki. Ale mogło mi się wydawać. Wie pan, jak woda płynie przez rury, to czasem te dźwięki są takie nienaturalne.

— Jakie jęki? — przerwał wspomnienia Skalski.

— No jęki. Takie dziwne, nieludzkie. — Wzruszył bezradnie rękami.

— Ktoś mógł przebywać w ubikacji ?

— No… raczej musiał… tak myślę. Światła były włączone nie bez powodu. Na zewnątrz nie spotkałem nikogo, kto mógłby akurat wychodzić.

Ucichli. Skalski spojrzał na Walczaka przecierającego czoło. Miał wysuszone usta.

— Powtórzmy. — Znowu utkwił wzrok w przesłuchiwanym. — Zszedł pan schodami do tej toalety?

— Już to mówiłem. Tak.

— Ktoś pana tam widział?

— No nie, raczej nie.

— Nie czy raczej nie?

— Nie przypominam sobie nikogo. Na pewno widział mnie monitoring.

— Na schodach, w korytarzu i w toalecie było pusto?

— Owszem. Pusto. Ale w męskiej ktoś musiał być, bo to światło…

— Jest pan tego pewien?

— No to też już mówiłem. Nie widziałem człowieka przez ścianę, ale musiał tam być. Świeciło się… — Lekko się zirytował tym powtarzaniem i potwierdzaniem.

— A w jakich okolicznościach wypadło panu to szkło kontaktowe?

— Ktoś mnie trącił… — zawahał się i szeroko otworzył oczy — jak byłem już na dole…

— Jeszcze przed chwilą… — zmarszczył czoło Skalski.

— Pardon! Myliłem się.

— Kto to był?

— Nie wiem.

— Mężczyzna, kobieta?

— No raczej facet. Kobiety tak się nie zachowują.

— Blondyn, brunet, niski, wysoki?

— Nie… nie pamiętam. Pojawił się nagle, wpadł na mnie. Przykro mi… nie wiem.

Skalski był zmęczony i niewyspany, ale hamował emocje, jak potrafił. Rozmasował klejące się oczy, które nie zdążyły zaznać snu. Odezwał się:

— Mówił pan coś o kawie. Czy oferta aktualna?

— No oczywiście… Ale niech panowie powiedzą, o co chodzi.

4
10.30, mieszkanie dyrektora Farneya

„Co za noc!” — pomyślał Farney. Nie potrafił spać w dzień. Przewracał się z boku na bok już od dwóch godzin. I to mimo pozasłanianych okien i zażycia leków nasennych. Nic nie skutkowało. Serce kołatało, pocił się, irytował. Może jednak przeczeka jakoś do wieczora i wtedy się położy? Myśl wydawała się rozsądna.

Włączył telewizor. Skakał po kanałach i zatrzymał się na wiadomościach lokalnych. Ryk głośnika go denerwował, więc wyciszył głos i czytał tylko pasek informacyjny. Nic o RCUS-ie, więc do mediów jeszcze nie dotarło. Ale ile czasu minęło od zdarzenia? Parę godzin? Miał ochotę uwolnić się od tych natrętnych, pomieszanych myśli i migawek obrazów z nocy. Tyle jeszcze spraw do okiełznania!

— Pomyślmy o czymś innym — zamruczał do siebie. Jutro musi być w formie, wyspany, bo celem jest aeroklub. Trzeba przygotować samolot, odbyć lot, obejrzeć trasę. Tak, to będzie przyjemne. Uwolni się od tych wszystkich spraw, ludzi, spisków, układów, całej tej paskudnej grawitacji codzienności. Wzniesie się ponad wszystko…

Farney miał nieodparte wrażenie, że przydzieleni do sprawy Skalski i Walczak nie radzą sobie w środowisku jego firmy. O ile jeszcze można zrozumieć ich nieznajomość branży i nowoczesnych technologii, o tyle zastanawiająca była bezproduktywność przesłuchań pracowników.

Najpierw słowo o tym szepnął mu Szefler, który jako najwyższy przełożony przesłuchiwanych wziął ich na niewinne, niezobowiązujące spytki. Nieporadność działań śledczych niepokoiła go i wolał zwrócić się do Farneya. Aresztowanie strażnika było błędem — to stało się oczywiste w momencie zatrzymania Diukiewicza. Dowody przeciwko niemu są mocne,

ale jak to wygląda teraz, kiedy ginie drugi człowiek, a podejrzani są w areszcie? Czy oni w ogóle coś wiedzą i są w stanie to rozwiązać?

„No właśnie! Czy oni mają na tyle rozumu?” — pomyślał i ziewnął przeciągle.

Nocna akcja wymęczyła go bardziej, niż się spodziewał. Nie mogąc tkwić tak bezczynnie, sięgnął po laptopa i w wyszukiwarkę wpisał hasło: inspektor Piotr Skalski.

Materiałów było całkiem sporo, co świadczyło o popularności medialnej inspektora, a wcześniej komisarza Skalskiego. Zwykle były to suche relacje z prokuratury lub oświadczenia rzecznika prasowego policji. Czasami jakaś lokalna gazeta w dziale kryminalnym wyrażała się o Skalskim w samych superlatywach.

Początki kariery Skalskiego tonęły w mrokach prehistorii, czyli w czasach, gdy nie było jeszcze internetu. Wiele gazet zadało sobie trud digitalizacji swoich zbiorów, jeszcze więcej zdołało upaść, zostawiając po sobie, w najlepszym wypadku, archiwum papierowych wydań. Zazwyczaj jednak nabywca pomieszczeń po bankrucie nie miał sentymentów do starych gazet i zwyczajnie wyrzucał je na śmietnik.

Na szczęście prokuratura poszła z duchem czasu i umieściła w sieci wszystkie swoje komunikaty, od lat osiemdziesiątych poczynając. Gdzie tylko odnalazł Skalskiego, ten zawsze był przedstawiony jako niezwykle błyskotliwy oficer. Na przykład: „Policja rozbiła gang przemycający alkohol. Brawurowa operacja udała się głównie dzięki aspirantowi Piotrowi Skalskiemu, który prześwietlił struktury gangu, a w trakcie policyjnej obławy osobiście i z narażeniem życia ujął przywódców przestępczego procederu”.

Udało mu się nawet znaleźć powiązany z tym zdarzeniem artykuł prasowy. Tam dziennikarz bez ogródek nazwał policyjną obławę strzelaniną

na miarę drugiej wojny światowej, a Skalski miał według niego postrzelić dwóch szefów mafii i pobić do nieprzytomności trzeciego.

Farney zmienił swoją pierwotną opinię i zaczął traktować Skalskiego z respektem.

Krótko potem Skalski nagle zniknął zarówno z prasy, jak i z komunikatów policyjnych. Zaintrygowany Farney ustalił w przybliżeniu, kiedy to się stało, i zaczął uważnie przeglądać gazety z tego okresu. Jego uwagę przykuła w końcu zwięzła notka z działu kryminalnego lokalnego dziennika. Dziennikarz, w wyjątkowo sensacyjnym tonie, poświęcił kilka akapitów niezrównoważonemu psychicznie sprawcy, który z atrapą broni napadł na placówkę kasową. Był to dzień wypłat i zgromadziło się tam sporo osób. Sprawca napadu, grożąc kasjerce, zażądał wydania pieniędzy. Ta, zgodnie z instrukcjami, otworzyła kasę, uruchamiając jednocześnie cichy alarm. Złodziej z łupem wybiegł na zewnątrz, ale zjawiła się policja. Wówczas wrócił do środka i wziął jedną z osób jako zakładnika. Policjanci, nie czekając ani na wsparcie, ani na negocjatora, obezwładnili napastnika, a w wyniku przypadkowego postrzału zakładnik zginął.

Farney raz jeszcze przeczytał notatkę.

Nazwisko komisarza Skalskiego ponownie pojawiło się w prasie ponad trzy lata później i jeszcze przez bardzo długi czas nie dotyczyło poważniejszych spraw. Wyglądało, jakby zaczynał karierę od nowa i już bez takiego wigoru jak za pierwszym razem. Farney instynktownie czuł, że Skalski w jakiś sposób był związany ze śmiercią zakładnika.

Pod lampką zawibrował telefon i spadł na dywan, tuż obok laptopa. Farney sięgnął po niego, spojrzał na wyświetlacz. Skrzywił się, widząc numer zastrzeżony. Chwilę się zastanawiał, ale odebrał.

— Słucham — rzekł, ale słuchawka milczała. Miał się już rozłączyć, gdy rozpoznał znajomy głos.

Wysłuchał do końca, nim się odezwał:

— Słuchaj, w nocy mieliśmy piekło… A powinno, bo to ważne… Zależy od punktu widzenia… Nie na telefon… Powinniśmy się spotkać i ci powiem… Jutro nie mogę. Tylko dzisiaj… Za, dajmy na to, godzinę?… Szesnasta też jest OK… Tak, miejsce mi pasuje.

5
12.30, komenda policji

— Podsumowując, sytuacja wygląda tak. — Skalski kończył wywód w pokoju odpraw. Mocno sfatygowani Czerski i Walczak walczyli ze snem, a siedząca w kącie prokurator Skalska bawiła się smartfonem, machając nogą założoną na drugą. — Strażnik Rado i kierownik Diukiewicz w areszcie, a w RCUS-ie nowy trup. Wstępna diagnoza eksperta to otrucie bardzo silną i błyskawicznie działającą trucizną. Sposób i miejsce śmierci raczej wykluczają samobójstwo, nie ma też żadnego listu pożegnalnego, no, chyba że wysłał go do kogoś mailem. Swoją drogą, to byłby chyba pierwszy przypadek samobójcy, co zamiast pożegnalnego listu pisze maila… Ale w tej bandzie dziwaków to kto wie… Świadek, brodaty krasnolud, który opuszczał firmę w czasie zdarzenia, jest jedyną postacią, do której można się odnieść w miejscu i czasie.

— A mój billing? — zapytał Czerski.

— Racja. — Przypomniał sobie, że przed spotkaniem dostał jakiś papier. — Dość interesujący. Na numer wewnętrzny aparatu Kiliana Osika dzwoniło tego dnia kilka osób. I to nie byle jakich. Był to dyrektor Maksymilian Szefler o godzinie osiemnastej cztery, a kwadrans później dyrektor Bernard Farney. Minutę po dwudziestej dzwoniono do niego z laboratorium.

— Ci ważni panowie nawet o tym nie wspomnieli. — Prokurator Skalska podniosła głowę, opuszczając smartfona na krótką spódnicę. — W środku nocy obaj słowem się nie zająknęli, że dzwonili do ofiary. Trochę to podejrzane. Chyba muszę się zająć tymi panami.

— I ustalić, kto dzwonił do niego z laboratorium o dwudziestej — przypomniał Walczak.

— To ostatnie wezmę na siebie — zaoferował się Czerski.

— Znowu świetna robota, młody — pochwalił go Skalski. — Wróćmy do podsumowania: nasuwa się dręczące mnie pytanie, czy nocną zbrodnię popełniła w ogóle ta sama osoba. Czy oba morderstwa są ze sobą powiązane? A może mamy do czynienia z grupą przestępczą, a nie z pojedynczym sprawcą?

— Grupa? Dupa! — oburzył się Walczak. — Niby jak?

— Hipoteza świetna — przyklasnął Czerski, ziewając. — Zakłada pan, że to grupa ludzi, która w jakimś niejawnym układzie eliminuje pracowników RCUS-u?

— Czyli kogo? I po co? — Walczak nie odpuszczał.

— Nie znamy motywu, a przy dwóch ofiarach trudno znaleźć sensowny klucz. Czy ważne jest to, że byli przyjaciółmi? Albo to, że pracowali w tym samym dziale? — Czerski wzruszył ramionami. — Jednak grupa ludzi ma większe możliwości. Większy dostęp do zasobów firmy, lepsze przygotowanie do przeprowadzenia zbrodni, skuteczniejsze zacieranie śladów i dezinformacja.

— A niby jak mieliby tego wszystkiego dokonać? — podpuszczał dalej Walczak.

— Spośród siebie wybierają jedną osobę do wykonania zadania, by zamieszać i nie móc powiązać go z następną zbrodnią. Reszta troszczy się o to, by nie było świadków. Dbają, by wszelkie usługi rejestrujące były

wyłączone lub uszkodzone w czasie przestępstwa i by pomóc wybrańcowi w niewidoczny sposób zniknąć po zdarzeniu.

— Im grupa wyżej ulokowana w strukturze władzy, tym skuteczniejsza — zgodził się z nim Skalski. — Nie możemy też wykluczyć zwykłych specjalistów, którzy świetnie znają się na różnych systemach. Niestety, nie zdołałem zdobyć pozwolenia na podsłuch. — Spojrzał gorzko na Skalską. — Do tego klasyczna obserwacja jest bez sensu, bo musielibyśmy to robić nie tylko od wewnątrz, ale na bieżąco śledzić ich maile i telefony — dodał.

— Czy ta cała teoria z grupą spiskowców to nie jest czasem tylko wygodne wytłumaczenie naszych niepowodzeń? — wyraził wątpliwość Walczak. — Nie pamiętam takich spraw z historii kryminalistyki. Może w jakichś sektach, w grupach kryminalistów. Ale wśród pracowników biurowych? Z niczym mi się to nie zgadza.

— To prawda, że brak snu zaburza wam rozsądek — potwierdziła przysłuchująca się temu Skalska. — Weszliście już na dość wysoki pułap fantazji. Zróbcie sobie przerwę, chłopcy.

Skalski puścił to mimo uszu, ale zastanowiły go słowa Walczaka. Dlatego właśnie darzył go szacunkiem, że potrafił być merytoryczny, krytyczny i trudno go było przekonać. Dodał głośno:

— Z drugiej strony nigdy nam się nie zdarzyło, by zbrodnie były tak starannie przeprowadzone i tak trudne do rozwikłania. Nawet motyw jest trudny do uchwycenia.

— Przeciwnie, uważam, że właśnie motyw i sam akt zbrodni wiele nam mówi. — Walczak wstał i zaczął się przechadzać, by zwalczyć objawy senności. — Miejsce to samo. Ofiara to znowu inżynier pracujący do późna. Znał poprzednią ofiarę. Motyw roboczy, jak dla mnie, jest taki, że to mord z nienawiści albo z zawiści. Obaj wszak byli utalentowani, choć wyobcowani, no i trudno się nimi zarządzało. Rys psychologiczny sprawcy?

Zawistny psychol, seryjny morderca, cwany inteligencik, który pozbywa się mądrych ludzi, by wreszcie zostać zauważonym albo docenionym. Nie jest moją rolą, by spłaszczyć całą sprawę, ale by kierując się regułą brzytwy Ockhama, przyjąć najprostsze rozwiązanie i nie mnożyć bytów ponad potrzebę.

— Jaki masz plan? — Czerski był lekko oszołomiony.

— Przespać się i wrócić, kiedy laboratorium kryminalistyczne będzie mogło się czymś pochwalić. W końcu uwijali się przez całą noc, nie? Znajdźmy sprawcę. Nieważne, czy pierwszej, czy drugiej zbrodni. Wtedy łatwiej nam będzie dotrzeć do prawdy.

6
15.30, wynajęta chatka nad jeziorem

— Jak tu pięknie, Lucjan! — zachwyciła się Zuzanna Elkebaum.

Stali na krótkim molo z przycumowaną łódką. Tafla jeziora była płaska, nie wiało. Obok przepływały kaczki, a w dali ścigały się żaglówki. Pas przybrzeżny stanowiły szuwary porośnięte pałką szerokolistną.

— Przyniosłem ci kawę — powiedział, podając jej filiżankę. — Taką jak lubisz, wzmocnione latte z odrobiną miodu.

Złożyła głowę na jego ramieniu i zapatrzyli się w dal. Wstali bardzo późno, więc zjedli śniadanie dopiero w porze lunchu. Planowali wyjazd do miasteczka na obiad i spacer. Dreszcz i smak upojnej nocy wciąż w nich pulsowały. Wreszcie mogli być dla siebie bez żadnych ograniczeń. Przeżyć chwilę totalnego zapomnienia. Teraz ten widok i powiew rześkiego, wilgotnego powietrza pozwalał poczuć się kimś innym i wyzwolić z roli dyrektora finansowego i szefowej kadr. Nie musiała dziś myśleć o tych

wszystkich trybikach korporacyjnej maszyny, które miała oliwić bądź wymieniać. Jednakże jedna sprawa wciąż czekała na przedyskutowanie.

— Chcesz się z nim zobaczyć, prawda?

— Tak, najdroższa.

— A jak nie będzie tak, jak myślisz? Jeśli rozmowa pójdzie nie po twojej myśli?

— Zbyt długo zwlekałem. A im później się dowie, tym większe będzie rozczarowanie. Przecież on myśli, że wszystko robi dla ciebie!

— Nie miej do mnie żalu, błagam. Inaczej nie mogłam z nim postąpić. W końcu to…

— Ja to rozumiem, kochana — przerwał jej. — I właśnie dlatego trzeba to wyprostować.

— Ale czy moment jest najlepszy? Przed nami trudna i delikatna rozgrywka. Poczekajmy z tym jeszcze tydzień, dwa…

— Nie chcę tkwić w tym stanie zakłamania. Jeżeli sam się dowie, to już tego nie odkręcimy.

— Lucjan… Ale to może być ryzykowne. Naprawdę nie wiem, jak on zareaguje. Co, jeśli zacznie mieć wątpliwości? Co, jak się wycofa ze współpracy? Wtedy wszyscy na tym stracimy.

Westchnął. Kochanka miała rację i jej nie miała jednocześnie. Reakcje ludzkie są momentami naprawdę trudne do przewidzenia.

7
15.30, gdzieś na mieście

— Gustaw Kowalski, słucham — rzucił krótko zaraz po tym, jak zatrzymał wózek z zakupami. Stał pomiędzy półkami z nabiałem i nie

spodziewał się telefonu. Sobotnia gorączka uzupełniania zapasów nie tylko jego wygoniła z domu. Było tłoczno i głośno.

— Aspirant Czerski — przedstawił się głos w słuchawce. — Potrzebuję ustalić jedną sprawę.

— Aaa, to ty! Witam. Jaka to sprawa? — zapytał zakłopotany.

— Dzwoniłeś wczoraj ze swojego telefonu na numer prywatny Kiliana Osika, prawda?

— Ja? Wczoraj? — próbował sobie przypomnieć. Czuł się lekko zdezorientowany. Kret, zlecenia na dodatkową robotę od Farneya, zakupy, a teraz jeszcze policja. Pomału tracił wątki wszystkich tych wydarzeń.

— Po jedenastej — podpowiedział Czerski.

— Faktycznie. Chciałem sprawdzić stan zabezpieczeń jego komputera. Miał jakąś blokadę i nie mogłem tam zdalnie wejść.

— Czy tylko o tym rozmawialiście?

Trudno to było nazwać rozmową. Chamski ton i nieustępliwość Osika doprowadziły do tego, że chciał przeciw niemu użyć jakiegoś ciężkiego przedmiotu. Najlepiej o ostrych krawędziach. Trudno o tym zapomnieć.

— W zasadzie tak.

— Czy był jakiś dziwny, niespokojny?

— Taki jak zawsze — odpowiedział wymijająco.

— Mówił coś szczególnego, czegoś się bał?

Serce zabiło mu mocniej, bo te pytania zapowiadały coś niemiłego.

— Coś się stało, prawda? — odpowiedział pytaniem.

— Nooo, nieszczęśliwy wypadek. Kilian Osik nie żyje — obwieścił Czerski.

Kowalskiemu zmiękły nogi. Rozejrzał się, ale w zatłoczonym sklepie nie było gdzie usiąść. I jeszcze ten gwar! Nie oczekiwał po sobie takiej reakcji.

— Jaki był w czasie tej rozmowy? — dociekał Czerski.

— Nic szczególnego nie zapamiętałem.

— Nie rozmawiałeś z nim później, w trakcie dnia albo wieczorem?

— Nie.

— Może byłeś świadkiem jakiejś rozmowy z nim?

— Przykro mi, ale nie.

— No trudno. Dziękuję. Gdyby coś ci się przypomniało…

— Oczywiście. Rozumiem.

— Do usłyszenia.

— No cześć.

Kowalski próbował zebrać myśli. Uświadomił sobie, że jeszcze wczoraj rozmawiał z żywym człowiekiem, którego dzisiaj już nie ma. Był w rozterce. Nurtowało go coś, co przemilczał. Czy powinien był powiedzieć Czerskiemu o tym, że poskarżył się swojemu szefowi na Osika? Że doniósł, gdy tamten odmówił odblokowania zdalnego dostępu? Czy miał wypaplać, że Osik to grubiański cham niemający za grosz kultury?

Poprzedniego wieczoru bezskutecznie próbował się dostać do jego komputera. Po telefonie liczył, że mimo buntowniczej natury Osik się jednak ogarnie i go odblokuje. Kolejna porażka uświadomiła mu wtedy, że niektórym ludziom nie powinno się dawać kolejnej szansy. Cholera! Przecież ten człowiek już nigdy jej mieć nie będzie! Dobrze, że poczciwy Czerski nie wypytywał go zbyt sprawnie i właściwie nic ważnego nie wyciągnął. Zresztą sam się wygadał z tym wypadkiem. Mimo wszystko czuł do niego sympatię.

Spojrzał na ekran smartfona i zastanowił się, co dalej. Dlaczego Farney nie zadzwonił w tej sprawie? Nie poinformował o niczym, chociaż na pewno o wszystkim wie. No ale nie o tym, że policja wokół nich węszy. Co prawda była sobota, ale chyba musi do niego zadzwonić. Tylko nie stąd. Należy znaleźć jakieś ciche miejsce.

8
15.30, mieszkanie komisarza Walczaka

— Widzisz, Abstynent, Skalski zwariował — rzekł Walczak do swojego psa, wrzucając mu karmę do miski. — On myśli, że tam działa jakaś grupa przestępcza. No po prostu naczytał się tanich kryminałów! Takie typki musiałyby kryć wielką tajemnicę. — Z satysfakcją przypomniał sobie sentencję właśnie z taniego kryminału: — Jak wiadomo, trzech utrzyma tajemnicę tylko wtedy, gdy dwóch nie żyje.

Abstynent z wielką miłością patrzył w jego oczy i entuzjastycznie machał ogonem. Zaraz skupił się na zawartości miski, nie zaprzątając sobie głowy problemami swojego pana.

Walczak nie mógł się pogodzić z teorią przyjaciela. Stał odziany tylko w bokserki i z mokrą głową po prysznicu. „Załóżmy, przy maksimum mojej dobrej woli, że ma rację!” — rozmyślał. „Zacznijmy od motywu… Rytualny mord? Sekta wewnątrz firmy? Może odwrócenie uwagi dla osiągnięcia innych celów?” Schował karmę do szafki i wziął łyk piwa z butelki. Nie samą kąpielą wszak człowiek żyje.

„Zabijają dla samego zabijania? Duchowe przeżycie czy próba osiągnięcia jakiejś korzyści? Obszar możliwości jest dość szeroki, było, nie było”. Przeszedł do pokoju i rzucił się na kanapę. „Gdyby chodziło o władzę, nie ubijaliby zwykłych robotników. To osoby niedecyzyjne, od których niewiele zależy. W walce o władzę wrogiem są inni władcy. Żołnierze to tylko narzędzia. Ale mówimy o korporacji… Tam istnieją łatwiejsze i bezpieczniejsze metody budowania koalicji i rozbijania wrogów. To wszystko jest jakieś bez sensu”.

Zamknął oczy i chwilę później wyczuł, że syty pies spoczął mu u stóp. „Inna opcja?” — pomyślał, ale nie znalazł odpowiedzi. Ze wstrętem przypomniał mu się widok zwłok Osika i fetor unoszący się w powietrzu.

— Biedaczysko — szepnął ze smutkiem. Zaczął się martwić, że mają mniej niż poprzednim razem. Użycie trucizny to nie to samo co kontakt bezpośredni, gdzie łatwiej o pozostawienie śladów. Znowu będą przeglądać szlak wędrówki ofiary, kamery, zaczną się nowe przesłuchania, a Czerski będzie się wymądrzać. I smęcąc tak sobie, niemal natychmiast zasnął. Piwo wylewało się z przechylonej butelki na podłogę, lecz pies nie podjął tematu.

Śnił, że stado baranów przeprawiało się przez rzekę. W tle piękny, zielony gaj, słoneczny, letni dzień, na horyzoncie majaczyły wysokie góry. Stadko forsowało bród, ale jedna z owiec przewróciła się i wpadła w głębię. Wtedy kilka skoczyło na ratunek. Wśród nich niektóre się utopiły, lecz ta jedna i kilka ratujących dopłynęły o własnych siłach do brzegu. I stało się coś niepokojącego. Walczakowi zrobiło się gorąco. Przeraził się tak, że aż jęknął i się obudził, ale wciąż miał przed oczami obraz jak żywy. To był wzrok tych przemokniętych zwierząt. Patrzyły mu prosto w oczy zimnym spojrzeniem — spojrzeniem morderców. Wtedy pojął, że zobaczył wilki.

9
15.30, komenda policji

Skalski odtworzył już niemal cały przebieg dnia śmierci ofiary. Pomogły mu, a może raczej przeszkadzały w odpoczynku, informacje od Skalskiej i Czerskiego, który chyba poczuł się jak bohater jakiegoś filmu i nie zamierzał odpuszczać. „Zdążę się wyspać” — żartował sobie młody. Skoro młody, to ma sporo sił. Co innego pani prokurator. Królowa wyspała się w domu i przyjechała rano na gotowe ustalenia. Potem obdzwoniła dyrektorów i uważała, że swoje już zrobiła.

Koniec końców ostatni dzień życia ofiary musiał wyglądać tak: Kilian Osik w pracy pojawił się o ósmej pięć. Kuchnia, praca przy komputerze, o

dziesiątej spotkanie zwane retrospektywą. Około jedenastej telefon od Kowalskiego — to ustalił Czerski — a potem od Maury Zdowackiej. Znowu wizyta w kuchni i powrót do komputera. Za pięć druga wyszedł z kolegami na obiad. Druga trzydzieści pięć znowu przed komputerem i tak do piątej, z jedną przerwą w kuchni. Siedemnasta czterdzieści: awantura z Feliksem Tauderem o rzeczy Nikodema de Bugaja i chwilę potem to samo u dyrektora Szeflera. Schodzi do stróżówki, by zasięgnąć informacji, co się z tymi rzeczami stało. Wraca na swoje stanowisko punkt osiemnasta. Osiemnasta cztery: telefon od Szeflera, trzynaście minut później od Farneya. Skalska dowiedziała się, że chodziło o sprawę zabezpieczeń jego komputera, o które prosił rano Kowalski. Sama dyrekcja do niego dzwoniła? W takiej błahej sprawie? O dwudziestej telefon od kolegi z zespołu, że skończyli testować. Schodzi na dół, ale wraca z poziomu parteru, o czymś prawdopodobnie zapomniał. Sześć minut potem jest już w laboratorium, ale opuszcza je już po dwóch kolejnych, kierując się do toalety. Spędza tam dosłownie sekundy, by znowu zająć się pracą w labie. Dwudziesta dwadzieścia dziewięć wychodzi znowu do toalety. Dwie minuty później pojawia się brodaty Fierro, którego wcześniej trącił przy schodach Marceli, i wchodzi do sąsiedniej toalety. Wychodzi po trzech. Strażnik pojawia się czterdzieści cztery minuty po północy. Od razu podchodzi do drzwi toalety. Skąd wie, że za nimi dzieje się coś niepokojącego? System wejść i wyjść pokazał mu, które drzwi laboratorium były otwierane jako ostatnie, a resztę sprawdził na podglądzie kamery, cofając nagranie do właściwej godziny. Widział, że ktoś tam wszedł i już nie wyszedł.

Telefon wybudził Skalskiego z drzemki. Był zdezorientowany. Kiedy zasnął? Czy ta analiza mu się tylko śniła, czy to prawdziwe ustalenia? Prostując sylwetkę na biurowym krześle, odczuł bolesne skutki snu na

meblu do tego nieprzeznaczonym. Podniósł słuchawkę i przypomniał sobie, że faktycznie Czerski i Skalska byli w terenie. Głosu w słuchawce nie rozpoznał. Informacja pochodziła z Laboratorium Kryminalistyki i była intrygująca, lecz dzwoniący wzbraniał się przed podaniem szczegółów.

Skalski wybiegł z biura, wsiadł do samochodu i popędził do nich. Znalazł szefa zmiany, który prowadząc go do właściwego działu badawczego techniki informatycznej, powiedział mu, że na analizę śladów biologicznych będzie trzeba jeszcze poczekać. Najciekawsze na razie znaleźli na komputerze Osika. Gdy Skalski wszedł do pracowni, łysiejący okularnik przywitał go i zaprosił do swojego stanowiska. Na stole stał rozbebeszony komputer, obok walały się wymontowane elementy, a wszędzie leżało mnóstwo specjalistycznego sprzętu. W tle grało radio, trując jakimiś przebojami sprzed dekad.

— Mówił pan, by go wezwać, jeżeli cokolwiek wyda się podejrzane. Myślę, że mamy coś takiego. Przygotowałem dla pana kopie skrzynki mailowej ofiary na tym tu komputerze — rzekł, wskazując laptopa na stanowisku obok. — Może ją pan swobodnie przeglądać.

— Dlaczego nie mógł mi pan tego przesłać?

— Procedury bezpieczeństwa i pojemność skrzynki. Nie chciałem też streszczać tego wszystkiego, by nie narzucać swojej interpretacji. Nie jestem od tego specem, a nie chcę wprowadzać śledczych w błąd. Zatem niech pan sam zapozna się ze znaleziskiem. Polecam użycie filtru z adresem fmail.ru, wiadomości wysłane i odebrane.

— Może mi pan to przygotować? — poprosił, bo nie chciał studiować nieznanego oprogramowania.

— Jasne — odrzekł ze zrozumieniem. — Miejmy nadzieję, że to pomoże.

Kilka stuknięć na klawiaturze, magiczne ruchy myszką i było gotowe.

— W lewym oknie wiadomości odebrane, w prawym wysłane — wytłumaczył.

Skalski pochylił się nad ekranem, a laborant wrócił do swojej pracy. W tle szumu pomieszczenia, wzbudzanego wiatrakami i klimatyzacją, rozgłośnia radiowa nadała piosenkę The Police *Message in a Bottle*.

10
15.55, parking

Farney podjechał na umówione miejsce i zgasił silnik. Połowa miejsc parkingowych była wolna, ale on zatrzymał się nieco dalej. Nie zamierzał wysiadać. Dotarł przed czasem i, nie mając wiele do zrobienia, postanowił załatwić jedną zaległą sprawę. Wybrał kontakt na służbowym smartfonie: Kowalski.

Opowiedział mu krótko o wydarzeniach w RCUS-ie. Nie widział powodu informowania go o tym w środku nocy. Co prawda policja zabrała komputer denata, ale skoro sam Farney nie mógł temu zapobiec, to w czym miałby mu wtedy pomóc? Nie miał ani większej władzy, ani możliwości. Większość rzeczy i tak była utrzymywana w zbiorach repozytoriów kodu źródłowego.

Kowalski zapytał w pewnym momencie:

— Dyrektorze, co mam zrobić, jeśli policja będzie dociekać, czy czegoś nie podejrzewamy?

— Nie rozumiem pytania.

— Chodzi mi o nasze wewnętrzne śledztwo. Śmierć de Bugaja i Osika może mieć związek z kradzieżą kodu.

— Lepiej nic o tym nie mówić.

— Ale…

— Powiem tak: znajdziemy dowody, to będziemy wiedzieć, co robić. Wszystko w twoich rękach, Kowalski. — Usłyszał w słuchawce klakson i warkot ruszającego ostro samochodu. — Jak praca z Mirkiem?

— Powoli do przodu. Dzisiaj pracujemy zdalnie, ale jutro rano przyjdziemy do pracy.

— W porządku. Informuj mnie na bieżąco o postępach. I alarmuj, jak znajdziesz coś w logach.

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Tak mi przyszło do głowy… — Farney zawiesił głos. — Gdybyś tak przyjrzał się działaniu komputerów wczorajszego wieczoru, tych, które podejrzewasz… Jeżeli twoja teoria jest słuszna, może skorelujesz to z jakimś ich nienaturalnym zachowaniem. To mógłby być ślad, nie? Uwiarygodniłyby się twoje przypuszczenia.

Kowalski, czego Farney nie mógł widzieć, spuścił głowę. KIEDY ma to zrobić?

— Postaram się… w miarę możliwości.

— To trzymaj się.

— Do usłyszenia — odrzekł oschle i bez wiary.

11
16.30, wynajęta chatka nad jeziorem

Zuzanna Elkebaum usiadła na krzesełku wystawionym na patio. Syciła się widokiem jeziora, szumem lasu i zapachem przyrody. Sięgnęła po smartfona, taki mały akcent cywilizacyjny na tym odludziu. Przezornie poprzedniego wieczoru oboje wyłączyli urządzenia, a teraz była ciekawa, czy ktoś do niej nie napisał. Aktywacja zajęła chwilę, wpisała PIN i

czekała. Za chwilę jedna ikonka poinformowała o wielokrotnych próbach połączenia, druga o wiadomości tekstowej. Przeczytała: „Zadzwoń. Pilne”.

Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. Wybrała numer i odczekała moment, nim sygnał łączenia przerwał trzask i usłyszała znajomy głos.

— Co się dzieje? — zapytała i słuchała relacji. Czuła, jak narasta w niej fala gorąca. — Kiedy, tej nocy?… Kilian Osik? Nie znam, ale pamiętam nazwisko z różnych list kadrowych… Dziękuję… Nie, prezes nie dzwonił i w ogóle nikt jeszcze. Tylko ty… Jak się czujesz?… Gdzie jestem? Za miastem, ale pewnie zaraz wrócimy… Jesteśmy z koleżankami za miastem w miasteczku handlowym. Nie martw się, pa.

Chwilę zastanawiała się nad czymś oszołomiona. Dlaczego nikt z firmy nie zadzwonił w tej sprawie? Ach, przecież oboje wyłączyli wczoraj telefony. Czuła, że powinna być w centrum całej sprawy. Koordynować ją od strony personalnej i wizerunkowej. Do kogo zadzwonić w tej sprawie? Kto może coś wiedzieć i dyskretnie włączyć ją w wir akcji? Przejrzała listę kontaktów. Wzrok padł na nazwisko Farneya. Wybrała numer.

12
18.30, komenda policji

— Siadajcie i zapoznajcie się z tymi wydrukami. — Skalski podał arkusze Czerskiemu i Walczakowi wezwanym pół godziny wcześniej.

— A cóż to jest? — zapytał Czerski.

— Korespondencja Kiliana Osika z pewną tajemniczą osobą. Bez żadnej tam ekspertyzy laboratorium, sam to druknąłem. — Czerskiemu wydawało się, że zabrzmiało to dumnie. — Osoba ta używa skrzynki spoza zasięgu naszych jurysdykcji i, niestety, zarejestrowana jest jako użytkownik mo07zs. W mailach posługuje się kryptonimem Bolek.

— Co wynika z korespondencji? — Czerski wciągał się w temat.

— Przeczytałem kilka razy, ale was też proszę o dokładne zapoznanie się z tym materiałem. Streszczę ogólnie. Z treści wynika, że jest to układ między dilerem środków psychoaktywnych a naszą ofiarą. Umawiają się na różne dni i stawki. Stosunki między nimi malują się różnie, podlegają nastrojom. Czasami Osik jest pod presją albo na głodzie, czasami diler ciśnie o spłatę długów. Bywa szorstko, ale, jak to w życiu, są sobie potrzebni.

— Czy wiadomo, gdzie i w jakich warunkach się spotykali, by przeprowadzać transakcje? — dopytywał Walczak.

— Posługują się swoistym żargonem. Osik, jak widać, używa pracowniczej skrzynki dość beztrosko, więc pewnie druga strona zabezpiecza się, jak może. Stosują wyrażenia zastępcze „towar”, „proszek”, „w Morii”, „na placyku”, „na parasolu”, „wc” itp. Możemy zgadywać, ale nie potrafiłbym wskazać bezpośredniego miejsca.

— Przekazywali sobie z ręki do ręki czy przez jakąś sieć skrzynek kontaktowych? — kontynuował Walczak.

— Nie wiem. Może znajdziecie jakąś podpowiedź w korespondencji.

— Kamery coś by nam powiedziały. Może złapały moment takiej wymiany? — Czerski szeroko otworzył oczy.

— Możliwe, o ile działo się to na terenie firmy. Osobiście unikałbym wnoszenia narkotyków do środka, gdzie węszą strażnicy. Jednak pewne poszlaki wskazują, że przynajmniej do części takich incydentów tam doszło, ale o tym później. Śledząc marszruty Osika, może dotrzemy do dilera. Należałoby jednak przejrzeć sporo materiału wideo. Zadziałasz w tej sprawie?

Czerski skrzywił się niechętnie, pamiętając, ile to go kosztowało poprzednim razem.

— Tylko czy to ma związek z morderstwami? — próbował znaleźć jakiś wykręt i pożałował swojego wyskoku. — Bo to może być zupełnie inna historia. Narkotyki to nie morderstwo.

— I tak, i nie — rzekł Skalski tajemniczo.

— Nie rozumiem tej odpowiedzi — wtrącił Walczak. — Zgadzam się z wątpliwością Czerskiego. Poprzednia ofiara była czysta, nie brała proszków. Myślę, że nie ma związku ze sprawcą zbrodni. To jakiś poboczny wątek dobry dla Wydziału Narkotyków.

— Też dochodziłem do takiego wniosku. Wątpliwości zasiały jednak dwa ostatnie listy.

— Co jest w tych listach? — zacharczał Walczak.

— Wymiana korespondencji nastąpiła w dniu zbrodni o godzinie dwudziestej czternaście i dwudziestej szesnaście. Zapoznajcie się z treścią — rozkazał Skalski.

Śledczy przerzucili kartki na ostatnią stronę. Tekst brzmiał tak:

„Co ty mi tu, kurwo, sprzedałeś? Oddawaj kasę, pizdo jebana. Ostatni raz kupiłem coś od ciebie. Spróbuj się stawiać, to ci koło dupy narobię. Stracisz wszystko: stanowisko, pracę, wolność”.

„Loch, WC, punkt S1. Zaraz” — padła odpowiedź.

— Ktoś diluje w firmie! — krzyknął Czerski.

— Ktoś na stanowisku! — krzyknął Walczak. — I spotkali się twarzą w twarz!

— Można chyba założyć, że przestraszony diler pozbył się Osika w toalecie — ciągnął Czerski.

— Proste i logiczne wytłumaczenie — przyznał Walczak.

Skalski przerwał, chrząkając, i wtrącił:

— Wychodząc z laboratorium kryminalistyki, zagadnąłem toksykologa. Wykrył akonitynę. To była jakaś sprytnie spreparowana tabletka,

wielowarstwowa. Z zewnątrz trucizna, wewnątrz środek wywołujący ból i wymioty.

Nastała cisza. Nic nie przychodziło im do głowy. Nie kleiło się, bo brzmiało to trochę bez sensu. Czerski jednak nie odpuszczał i rzucił myśl:

— Może diler dał mu coś na spróbowanie. Podszedł go, że niby ma dla niego coś ekstra w ramach przeprosin, dla przykładu.

— Coś jak lodzik na zgodę? — zażartował Walczak.

— Ochłońcie — rzekł dobrodusznie Skalski. — I pomyślcie. Kilka dosłownie faktów: diler w kilka minut preparuje skomplikowaną pigułkę i organizuje zbrodnię doskonałą? Nie mamy jego śladów biologicznych, żadnych odcisków, śladów butów. Chyba że coś tam znajdą na odzieży…

— Ale wiemy, kto w tym samym czasie był w tym samym miejscu. — Czerski aż przebierał nogami, czując instynkt łowcy.

— Ten brodaty krasnolud, Fierro? — zapytał Skalski. — Że niby on jest naszym dilerem?

— Nie można tego wykluczyć — wsparł kolegę Walczak. — Spotkali się, diler przekazał mu towar i wyszedł. Jednak ten nieogolony jaszczur nie miał żadnego stanowiska i odchodził z firmy. Co on by miał do stracenia albo zyskania?

— Diler mógł od dłuższego czasu czuć napięcie, jakieś groźby i chciał zmienić środowisko — nie odpuszczał Czerski.

— Poproszę prokurator o przeszukanie mieszkania podejrzanego. — Skalski zapisał w notesie kilka słów. — Rozważymy też areszt, ale mam wątpliwości. Na jego miejscu od razu po wyjściu z firmy uciekłbym z kraju. Nie ryzykowałbym czekania w mieszkaniu na policję. Nie zadbał, by choćby trochę utrudnić powiązanie go z miejscem i czasem. Na idiotę nie wyglądał. Ile nam zajęło jego namierzenie? Godziny? Czy mamy jakąś alternatywną hipotezę?

Walczak podjął temat:

— Załóżmy, że krasnolud mówi prawdę i jest zupełnie poza nawiasem sprawy. Może być tak, że nasz diler zaplanował to dużo dokładniej, niż sądzimy. Spryt na poziomie poprzedniej akcji. Celowo dał Osikowi trefny towar, by ten się wkurwił. Przewidział taką reakcję i tylko wskazał miejsce i czas, gdzie chciał skierować swoją ofiarę. A tam, w kiblu koło tych ich laboratoriów, w jakimś schowku, o którym obaj wiedzieli, zostawił mu trującą tabletkę. W momencie zgonu zabójca mógł być nawet poza budynkiem firmy!

— No nie wiem — zwątpił Skalski. — A gdyby Osik nie łyknął piguły? Poza tym z obu wiadomości w skrzynce wynika, że umawiają się na spotkanie.

— Do spotkania, wykluczając krasnoluda, nie doszło — dorzucił Czerski. — Nie ma tego na monitoringu.

— Chyba że znowu obraz został zmanipulowany — zauważył Walczak.

— Nie tym razem — odparł Czerski. — Zaostrzyli kontrolę wewnętrzną, a to, co dostaliśmy, nie nosi znamion ingerencji. Przynajmniej do tej pory jej nie wykryli.

— Zatem… — podjął Skalski, zapisując coś w notesie — musimy ustalić, kim jest Bolek, właściciel konta pocztowego mo07zs. Poszukamy potencjalnych sprzedawców akonityny. Wskażemy technikom naszego laboratorium, by przebadali banknoty w portfelu ofiary, bo może diler faktycznie zwrócił mu kasę. Musimy jeszcze raz przeszukać toaletę w RCUS-ie, by zlokalizować skrytkę. Może znajdziemy tam pieniądze Osika albo jakąś wiadomość.

— Teraz przynajmniej mamy motyw i krąg potencjalnych sprawców, czyli ludzi na stanowiskach — zauważył Walczak.

— Tak jest! Ale też coś, co kłóci się z poprzednią zbrodnią. — Czerski dodał łyżkę dziegciu do beczki miodu. — Pierwsza ofiara, de Bugaj, był czysty, nie brał. W jego kompie nie było niczego podejrzanego. W jego domu też nic. Łączy ich tylko przyjaźń.

— Istnieje szansa, że kiedy zrozumiemy wczorajszą zbrodnię, poprzednia okaże się oczywista — podsumował Skalski i dodał: — Musimy dostać listę wszystkich menedżerów w RCUS-ie. Dasz radę, Walczak? I proszę, Czerski, pooglądaj trochę tego wideo z Osikiem. Jeżeli dilerem jest ten brodacz Fierro, to wpadnie w naszą sieć i będziemy mieć dowód.

„A kiedy wilk wpadnie do rzeki, zobaczymy, czy inne rzucą mu się na ratunek. Może choć zawarczą?” — naszło Walczaka, gdy wspomniał swój sen.

— W obliczu faktów musimy również zwolnić z aresztu obu podejrzanych — rzekł Skalski niechętnie. — Miałem w tej sprawie telefon z prokuratury. Nie ma sensu ich dalej przetrzymywać. Ale możemy zlecić obserwację. Ich i tego brodatego dziwoląga. Tak dla pewności.

13
21.00, restauracja A Bonny Bunny

„Jakżeż ona jest apetyczna” — pomyślał Maksymilian Szefler, dostrzegając zbliżającą się do stolika kobietę. Odziana w wieczorowy strój, wykrojony w miejscach, gdzie należało patrzeć, i zakryty tam, gdzie chciało się odsłonić, podeszła, kołysząc miękko biodrami. Długie nogi ozdobione szpilkami na bardzo wysokim obcasie przykuwały uwagę wszystkich mężczyzn siedzących przy sąsiednich stolikach. Wynagrodziło mu to długie

oczekiwanie, to niedopuszczalne spóźnienie z jej strony. Szefler wstał i przywitał ją ciepło:

— Witaj, Moniko. Jakżeż olśniewająco wyglądasz! Zapiera mi dech z zachwytu!

— Dziękuję. Za komplement i za zaproszenie — odrzekła Monika Reshke, siadając naprzeciw.

Wzrok Szeflera przeniósł się na dekolt, gdy tylko stracił z widoku nogi. Naprawdę nie chciałby być tak ewidentnie natarczywy, ale nie mógł zwalczyć sił natury.

— Jakie danie proponujesz? — zagadnęła, by skierować jego uwagę w inne miejsce. On doskonale wiedział, co schrupać, ale wymagało to jeszcze trochę pracy.

— Robią tu wspaniałą potrawkę z królika. — Udał znawcę, odczytując w menu specjalność zakładu. — I obowiązkowo lody na deser. Pistacjowe to niebo w gębie…

— Podziękuję, jestem uczulona na orzechy — odparła, studiując dania. Łatwo wyczuwała dwuznaczność przekazu. Nie podobało jej się to.

— Wielka szkoda! — zatroskał się. — A jaki smak lubisz?

— Klasyczne, waniliowe w polewie malinowej. Dziś mam jednak ochotę na tiramisu.

— Interesujące. Wezmę to samo.

— Wyglądasz na zmęczonego — zerknęła znad karty dań.

— Wezwano nas w nocy do firmy. Nieciekawa i smutna historia. Kolejny wypadek. W poniedziałek będzie oficjalny komunikat w tej sprawie. No ale zostawmy pochmurny nastrój i pracę z boku. Zacznijmy od przystawki i wina. — Zmienił temat, nie chcąc się nad tym rozwodzić.

21.07, mieszkanie Lucjana Frosta

Lucjan Frost podniósł stawkę. Komputer natychmiast przekazał to pozostałym graczom. Nie znał ich w ogóle; w przybliżeniu tylko wiedział, z jakiego kontynentu pochodzą. Poker przez internet potrafił być równie wciągający, jak w rzeczywistym kasynie. Brak stosownej atmosfery rekompensowała szybkość rozgrywki, mnogość partii i natychmiastowe wygrane. Lub przegrane. Dzięki tej drobnej przyjemności zapomniał o zawodzie, który czuł, odwożąc Zuzannę do domu. Nie mogła jednak zignorować wydarzeń z poprzedniej nocy i musiała wracać do miasta. Chciała mieć nad wszystkim kontrolę. Zgodził się z nią z ciężkim sercem i nie było łatwo wracać ani jej, ani jemu. Zwłaszcza do pieleszy swojego domowego życia. Smutnego i poddanego erozji czasu.

Nocne zajście nie miało bezpośredniego przełożenia na pracę departamentu finansów, więc akurat tym się nie dręczył. Może troszeczkę tym, że nazwisko Osika nie było mu obce. Wiedział, że dla dobra swojego i jego spraw nikt nie powinien go z nim wiązać. Im dalej od niego, tym lepiej.

Znowu jego tura. Texas Hold’ em miał tę siłę przyciągania, która działała na niego w szczególny sposób. Cóż, zawsze kochał pieniądze; chciał być blisko nich i mieć szansę na ich szybkie pochwycenie. Od niedawna było to wyjątkowo silne uczucie. Ciekawe, że stało się to, odkąd zbliżył się do Zuzy. Poczuł się i młodszy, i bardziej energiczny. I chyba też odważniejszy. Taka młodzieńcza brawura, utęsknione poczucie beztroski i szczęścia. Nagle zaczęło mu zależeć na tylu sprawach. Kariera, nowa miłość i nowe szanse na duże zmiany.

Zawodnik sprawdził. Strit Frosta przegrał z fulem. To i tak drobnica. Prawdziwym hazardem było to, co uczynił z finansami firmy. I nie miał prostego patentu, jak teraz z tego wybrnąć. Czas działał na jego niekorzyść.

Kupując akcje firmy za wydzielony pracowniczy fundusz emerytalny, liczył na szybką zwyżkę. Dlaczego? Bo wreszcie nastąpiło udane wdrożenie systemu, również skarbówka naprawiła swój błąd. Giełda jednak kieruje się swoją logiką i akcje spadły o prawie siedem procent. Nie mógł wyłożyć takiej straty z własnej kieszeni. Gdyby tylko nie kupował ich tak wiele, to coś by uratował. A tak? Kilka dni jeszcze potrzyma te akcje, ale potem zaczną się pytania, kontrole, a jeśli nie wymyśli szybkiego rozwiązania — oskarżenia. Trzeba będzie je sprzedać tak czy inaczej. Jeżeli będzie stratny, to przywłaszczy sobie całą gotówkę i ucieknie. Jeżeli nie, to odda i zbierze skromny zysk. Ale od pewnego czasu w ogóle już się tym nie martwił. Pojawiła się bowiem trzecia opcja: prezesura. A to oznacza duże możliwości manewru. Gra mogłaby się rozpocząć od nowa. Właśnie tutaj dopatrywał się szansy na ugranie najwyższej stawki. Tak, kochał pieniądze ponad wszystko. I wiedział nie tylko, na kogo zrzucić wszelką odpowiedzialność za malwersacje, lecz także, jak to uczynić.

14
22.15, mieszkanie Anny Tores

Anna Tores wracała właśnie ze spotkania z przyjaciółmi ze studiów i jeszcze bardziej złościło ją to, że musi nadrabiać miną, opowiadając o swojej pracy. Zastanawiała się, dlaczego ich oszukała, opowiadając, jak wspaniale jest być dziennikarką w tak dużym zespole i pracować nad poważnymi tematami. Czyżby sama przed sobą bała się przyznać, że brakuje jej sił i odwagi, by odejść? Jej?

Otwierając drzwi do mieszkania, zobaczyła w blaszanej skrzynce na listy kopertę. Miała to zignorować i odłożyć do jutra, ale mętnie sobie

przypomniała, że listy są roznoszone zwykle z rana. Nieco zaintrygowana otworzyła skrzynkę.

Na kopercie nie było ani znaczka, ani adresu odbiorcy. Wewnątrz można było wyczuć kilka złożonych kartek. „Przynajmniej nie bomba” — pomyślała sarkastycznie. — „Wąglik pewnie też nie, jest droższy niż cała moja robota w tej gównianej gazecie”. Weszła do mieszkania, szybko zrzuciła płaszcz, zzuła buty i poszła do kuchni po nóż. Mimo wszystko, zanim rozcięła kopertę, uważnie obejrzała ją pod światło.

Z wnętrza wyjęła trzy kartki, z czego dwie były kserokopiami jakichś akt osobowych, a trzecia — wydrukiem komputerowym. Odłożyła na chwilę wydruk, przyglądając się pozostałym kartkom. RCUS, Nikodem de Bugaj, starszy inżynier, numer ewidencyjny… Przejrzała pobieżnie dalsze dane, nie bardzo wiedząc, na co ma zwrócić uwagę, aż w uwagach na końcu strony zauważyła wydrukowany wpis: zmarł tragicznie w dniu… i ręcznie wpisaną datę sprzed ośmiu dni. Lekko zaintrygowana sięgnęła po drugi dokument. Kilian Osik, starszy inżynier… zmarł tragicznie… wczoraj! Spodziewając się jakichś wyjaśnień, wzięła do ręki ostatnią z kartek.

Szanowna Pani Redaktor — lekko prychnęła, widząc to sformułowanie, ale ciekawość kazała jej przestać się wreszcie użalać nad swoim losem. — *Przesyłam Pani część akt osobowych dwóch pracowników firmy RCUS. Obie te osoby łączy fakt, że zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach na terenie firmy w odstępie tygodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi inspektor Piotr Skalski, ze strony prokuratury nadzoruje je Sara Skalska. Oficjalnym powodem śmierci świętej pamięci Nikodema de Bugaja jest nieszczęśliwy wypadek, oficjalnym powodem śmierci nie mniej świętej pamięci Kiliana Osika jest przedawkowanie środków pobudzających i lekarstw.*

W rzeczywistości pan de Bugaj został znaleziony w laboratorium firmy z pętlą na szyi i nożem w plecach, a pan Osik nieświadomie przedawkował narkotyki. Ma pani legitymację dziennikarską, proszę jej użyć do otwarcia drzwi i ust. Gdyby miała pani wątpliwości, czy to nie ponury żart kolegów z redakcji, proszę jechać na cmentarz komunalny, alejka Błękitna, grób 197. Spopielenie zwłok pana Osika jest planowane na poniedziałek, na godzinę 15.00. Do tego czasu będą w miejskiej kostnicy.

Firma robi dobrą minę do złej gry, ukrywa fakt, że na jej terenie doszło już do dwóch morderstw. Uważam, że w interesie bezpieczeństwa wszystkich pracowników firmy oraz w interesie społeczeństwa powinno się o tym fakcie poinformować opinię publiczną.

Jeżeli zechce pani podjąć ten temat, proszę o wysłanie pustego maila na adres sucr@fmail.ru do soboty do północy. Jeśli zaś to pani nie interesuje, zwrócę się do innego dziennikarza.

Przeczytała list jeszcze dwukrotnie.

Autorem musiał być ktoś z kierownictwa — znał z imienia i nazwiska prowadzących śledztwo. Musiał mieć też dostęp do akt kadrowych. To wykluczało szeregowych pracowników. Co więcej, dostęp ten musiał być natychmiastowy — z kserokopii wynikało, że Kilian Osik zmarł… został zamordowany wczoraj, a ona już miała dokument z naniesioną adnotacją.

Włączyła komputer. W wyszukiwarce znalazła najpierw stronę lokalnej siedziby RCUS-u, a tam sekcję Aktualności. Te kończyły się na poprzednim miesiącu i zawierały typową propagandę sukcesu: RCUS wygrał wielki kontrakt na dostarczenie systemów komputerowych. Wpadła jej też w oko notka, że firma otrzymała nagrodę za najbardziej obiecujące miejsce pracy dla młodych. Teraz brzmiało to jak makabryczny żart.

Przejrzała jeszcze wydania wszystkich lokalnych gazet z ostatniego tygodnia. Żadna nie pisała o śmierci w korporacji. Weszła jeszcze na strony

lokalnej komendy policji i prokuratury — z tym samym skutkiem.

Pociągające w tej sprawie było nie tylko to, że popełniono dwa morderstwa w jednej z największych i najnowocześniejszych firm, lecz także to, że kierownictwo firmy chciało ten fakt ukryć. Jednak ktoś z tego grona zamierzał to ujawnić.

Nurtowało ją jeszcze jedno pytanie. A właściwie cały ich ciąg, jedno wynikające z drugiego. W głowie zaczął rysować się szkic wielkiego spisku, którego ona miała być małym, ale jakże ważnym trybikiem. Jaki związek, brzmiało najważniejsze z pytań, ma ten list z artykułem, który napisała dwa dni temu do „Naszego Miasta”? Czy można za zbieg okoliczności uznać, że jej przełożony, redaktor Ackerman, prośbą i groźbą nakłania ją do pośpiesznego napisania artykułu o niemoralnych działaniach wielkich korporacji? Że doprowadził do awantury w zespole redakcyjnym, byle tylko artykuł ukazał się w mijającym tygodniu? Czy ktoś przekupił Ackermana, by stworzyć odpowiedni klimat medialny? Czy wizerunek RCUS-u ucierpi, kiedy informacje o dwóch wypadkach zostaną wreszcie ujawnione?

Tores nie wierzyła w takie zbiegi okoliczności. To była rozmyślna gra, a ona stała się jej mimowolnym uczestnikiem. Na razie nieświadomie zatańczyła, jak jej zagrano. Czuła się z tym źle, została wykorzystana. A teraz ktoś chciał, by wystąpiła w akcie drugim tej sztuki. Czyżby liczył na jej młody wiek i brak doświadczenia? Desperację w poszukiwaniu tematu życia? Co, do cholery, miała zrobić? Iść z tym na policję?… A potem znów biegać w poszukiwaniu jakiegoś temaciku na szóstą stronę gazety, wciśniętą między wiadomości sportowe a prognozę pogody?

Nikt nie będzie jej tak traktował. Podejmie wyzwanie w grze, do której ją wciągnięto, ale skoro przejrzała jej zasady, to zmieni je tak, by jej było na

wierzchu. Zagra w drugim akcie, a jednocześnie przyciśnie Ackermana, dotrze do źródeł nacisków i sama wyreżyseruje akt trzeci.

Anna Tores wiedziała, że jutro będzie miała pracowity dzień i nie będzie to czas spędzony wyłącznie w biurze. Pierwszy raz od wielu miesięcy czuła dreszczyk, którego smak tak uwielbiała, redagując studencką gazetkę.

Rozdział 7

Niedziela

1
10.00, cmentarz miejski

Kostnica w niedzielę była nieczynna. Strażnik na portierni poinformował Annę Tores, że on o niczym nie wie, nie zna się, a w ogóle to jest zarobiony i lepiej, żeby przyszła w poniedziałek. Został jej więc do sprawdzenia tylko cmentarz. Artykuł nie będzie mógł się ukazać jutro, nie mogła ryzykować kompromitacji.

O tej porze na cmentarzu komunalnym było bardzo mało ludzi, więc udało jej się zaparkować w pobliżu głównej bramy. Z dala dochodził szum miasta, a gdy się wytężyło słuch, można było usłyszeć świergot ptaków z nielicznych drzew wokół. Przy bramie znalazła plan cmentarza. Aleja Błękitna zaczynała się niedaleko, jednak miejsce 197 było niemal na samym jej końcu.

Grób był ozdobiony lekko zwiędłymi już kwiatami, na płycie paliło się tylko kilka tandetnych zniczy. Wszystkie były prawie pełne. Musiała się minąć z kimś bliskim de Bugajowi zaledwie o parę minut. Sprawdziła daty narodzin oraz śmierci i porównała z danymi osobowymi otrzymanymi wczorajszego wieczoru.

Stała nad grobem, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Usłyszała za sobą kroki. Obok stanął młody mężczyzna i pochylił głowę w skupieniu, być może w cichej modlitwie. Tores poczuła się nieco zmieszana

i miała już odejść, kiedy zwyciężyła w niej zawodowa ciekawość. Odczekała jeszcze chwilę i zapytała cicho:

— Kim był dla pana Nikodem?

— Kolegą z pracy. — Tores zastrzygła na to uszami. — Pracowaliśmy razem przez kilka lat.

— W RCUS-ie? — upewniła się aż nazbyt entuzjastycznie, co uświadomiła sobie poniewczasie.

— Tak… — odpowiedział nieznajomy. — W RCUS-ie… A kim był dla pani?

— Przyjacielem z dawnych lat — odpowiedziała wymijająco. — Jak to się stało? Był przecież taki młody.

— Wypadek. — Zawiesił na chwilę głos. — Tak nam przynajmniej powiedziano — dodał po chwili, wybawiając ją z konieczności dopytania.

— Jak to: „tak nam przynajmniej powiedziano”? — udała zaskoczenie.

— Taki był oficjalny komunikat dyrekcji. Mailem. — Wydawało się, że chłopak był nieco rozgoryczony. — Nasz kolega ginie w dziwnych okolicznościach, a jego koledzy i współpracownicy dostają maila. W zasadzie utrzymanego w identycznym tonie i formie jak każdy inny korporacyjny mail od zarządu. Trzy czwarte ludzi pewnie od razu wywaliło go do kosza, pozostała jedna czwarta odłożyła czytanie na później.

— Co to znaczy, że w dziwnych okolicznościach? Co się stało? — Tores intensywnie myślała, jak okazać zainteresowanie, ale jednocześnie nie wzbudzić podejrzeń.

— Śmierć młodego, zdrowego człowieka zawsze jest dziwna — zaczął asekurancko. — Powiedziano nam, że poślizgnął się lub potknął w laboratorium firmy i uderzył głową w regał. Stracił przytomność i upadł tak nieszczęśliwie, że zaplątał się w kable i udusił.

Tores wstrzymała oddech. To, co mówił ten chłopak, zgadzało się z wczorajszym donosem.

— No tak… ale nie rozumiem, co w tym dziwnego. Wypadki się zdarzają — powiedziała, zastanawiając się, czy rozmówca będzie skłonny do zwierzeń.

— Zdarzają się, zdarzają… — rozmówca pokiwał głową ze zrozumieniem. — W naszym laboratorium podłoga jest wyłożona antypoślizgową wykładziną. Raki… to jest szafki, w których trzyma się sprzęt, są tak zaprojektowane, że nie można się o nie potknąć. Kable, w które się rzekomo zaplątał, zawsze są wpinane do urządzeń w ten sposób, by nie wyłaziły poza szafki. Pracownicy laboratorium bardzo o to dbają, bo odpowiadają za porządek i… bezpieczeństwo. Nigdy w naszej firmie nie doszło do takiego wypadku! Nikt nigdy nie złamał sobie nogi ani nawet nie rozbił głowy. Może drobne skaleczenia. A Nikodem miałby najpierw potknąć się na równej, antypoślizgowej podłodze i to tak, żeby po upadku jego głowa zaplątała się w kable schowane w szafie? Podkreślę, że kable najczęściej są ze sobą spięte opaską czy rzepem, by nie majtały się na wszystkie strony. Setki razy mógłby to ćwiczyć i by mu się nie udało. I co mamy od szacownej dyrekcji? Mail o takiej treści: „Z żalem zawiadamiamy, że wasz kolega uległ wypadkowi ze skutkiem śmiertelnym”. Z żalem, kuźwa, zawiadamiamy, że może to wpłynąć na wizerunek naszej boskiej firmy i kurs naszych drogocennych akcji, i przypominamy, że wszyscy dbamy o cholerny PR!

Zamilkł. Poczerwieniał cały na twarzy, ręce miał zaciśnięte w pięść. Widać było, że jest mocno poruszony. Wpatrywał się intensywnie w płytę nagrobną.

— Przepraszam — odezwał się cicho. — Niepotrzebnie się uniosłem. Pójdę już.

— Nie, nie, proszę zostać — zareagowała szybko. — Potrafi pan opowiadać bardzo zajmująco. Szkoda, że w takich okolicznościach… — Wzięła głęboki oddech. — Czy to jedyny taki incydent, do którego ostatnio doszło w firmie? A może komuś innemu też coś się przydarzyło?

Chłopak spojrzał na nią z ukosa.

— O czym pani mówi?

— O… o… no, tak ogólnie, o tego typu wypadkach. Może ktoś ostatnio, nie wiem, zachorował i… umarł. Albo… przedawkował leki… też śmiertelnie.

Teraz już patrzył na nią przymrużonymi oczami.

— Czy pani jest dziennikarką?

Znowu ją zaskoczył. Był bystrzejszy niż znakomita większość ludzi, od których wyciągała informacje.

— Ależ nie — zaśmiała się, licząc, że to odczaruje sytuację. — Jestem sekretarką w banku. To duży bank i właśnie mnie zaniepokoiło, wie pan, że niedawno też nas informowano o śmiertelnym przedawkowaniu, to znaczy zatruciu lekami.

— Naprawdę? — Nadal wydawał się sceptyczny.

„Czy wypadłam wiarygodnie?” — zachodziła w głowę. Trochę się motała, ale w jego oczach widziała, że niepokój ustępuje. Patrzyła na niego niewinnym wzrokiem. Chyba udało jej się wyjść z opresji, bo skierowała ciężar rozmowy na fikcyjną, ale wiarygodną historię i uprawdopodobniła swoje natarczywe pytanie w tym kontekście. Chłopak już jej nie kojarzył z niezdrowym zainteresowaniem, stała się w jego oczach podobną do niego ofiarą korporacyjnej bezduszności i PR-owej tajemnicy.

Mimo to zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Nie, u nas nic podobnego się nie wydarzyło.

Skinęła głową.

— Nie widzieliśmy się z Nikodemem od kilku lat — mówiła niby do siebie. — Nie wiedziałam nawet, że pracował w RCUS-ie. To dobrze znana na rynku firma dająca dobre referencje, z tradycjami. Kiedyś próbowałam się tam zatrudnić przez innego znajomego, ale nie wyszło. Może gdybym próbowała przez Nikodema… Ciekawe, czy mój znajomy nadal tam pracuje… Może go pan zna?

— Wątpię… W firmie jest zatrudnionych ze dwa tysiące ludzi, a co roku przychodzi i odchodzi setka. Jak się nazywa?

— Kilian Osik.

— Ach, Kilian! Znam go, jest przecież… nieważne — zamilkł.

Cisza się przedłużała.

— Wszystko u niego w porządku? Też nie widziałam go od lat. Mogłabym go odwiedzić?

— Drzwi naszej firmy są zawsze otwarte dla gości — odpowiedział oschle. — Proszę przyjść w poniedziałek i na portierni poprosić Kiliana. Z radością odświeży starą znajomość. — Spojrzał na nią przeciągle. — Przepraszam, jestem już spóźniony. Żona na mnie czeka. — Ton jego głosu nie był wcale przepraszający i Tores to zauważyła.

— Oczywiście, proszę pozdrowić małżonkę.

Skłonił się lekko i odszedł.

— Jak pan ma na imię?! — krzyknęła za nim.

Musiał ją słyszeć i wyraźnie widziała, że przez chwilę chciał się zatrzymać, ale tylko wtulił głowę w ramiona i przyśpieszył kroku.

***

Bartłomiej Lewin był wściekły, wychodząc z cmentarza. Był wściekły głównie na siebie, bo nie rozpoznał zagrożenia. Z drugiej strony to wredne babsko okłamało go w żywe oczy, a na to nie był przygotowany. Kobieta

spotkana na cmentarzu musiała być dziennikarką, dowiedziała się jakoś o wypadku i przyszła żerować na ludzkiej tragedii. A on tak dał się podejść…

Zdradziła się dopiero na sam koniec rozmowy. Każdy, kto znał Nikodema i Kiliana, wiedział, że są bardzo bliskimi przyjaciółmi. A kiedy wspomniała o Kilianie, zabrzmiało to, jakby nie miała o tym pojęcia! Chciała się zatrudnić w RCUS-ie przez Kiliana? Ten na pewno powiedziałby Nikodemowi, że ich wspólna znajoma chce z nimi pracować i ten by się z nią skontaktował. Albo powiedziałby jej, że są z de Bugajem w jednym zespole. A ona nawet nie wiedziała, że Nikodem pracuje w firmie, do której aplikowała. Kłamliwe babsko, dziennikarska hiena cmentarna.

Ochłonął nieco i podszedł do sprawy bardziej analitycznie. Przypomniał sobie, co jej powiedział o firmie i co myśli o dyrekcji… Dobrze, że się nie przedstawił, nie podał choćby swojego imienia… Uznał w końcu, że najlepiej będzie zachować sprawę dla siebie. A może jednak nie była dziennikarką, może jest po prostu przewrażliwiony?

2
11.00, mieszkanie Dereka

— Mam dobre informacje. — Derek, w pewnych kręgach lepiej znany jako Konsultant, zwracał się do tableta płasko leżącego na hotelowym biurku. Prywatny, opracowany w AMOD-zie program komunikacyjny, działał po zaszyfrowanym kanale. — W RCUS-ie doszło do drugiego wypadku.

— Jakiego znowu wypadku? — Obraz wideo był miernej jakości, ale sportowy T-shirt prezesa Thomasa Ivesa widać było wystarczająco wyraźnie. Niestety odbierał mu on wszelkie atrybuty powagi i autorytet władzy.

— To ich trzecia strata w tym projekcie. — Uśmiechnął się badawczo. — Dwa wypadki, jedno aresztowanie…

— Brawo — oznajmił bez większego entuzjazmu Ives. Był niewyspany i zły. Nawet jogging nie poprawił jego podłego humoru.

— Coś jest nie tak? — zainteresował się Derek tą mało entuzjastyczną reakcją.

— Trzech ludzi w projekcie prawie stuosobowym? Czy jakoś nam to pomaga?

— Nasz człowiek mówi, że tak. Przewiduje bałagan i opóźnienia.

— Strata na poziomie trzech procent — bąknął kpiąco. — Tak to widzę. Trudno mówić o nokautującej sile. Spodziewam się jakiegoś skutecznego działania. Przekaż mu to. Potrzebujemy czegoś, co udupi tych sukinsynów, rozumiesz?

— Chcesz, żeby się odsłonił? Zdajesz sobie sprawę, że to skieruje podejrzenia na nas? — Derek bacznie przyglądał się rozmówcy.

— No tak, ale mamy jeden istotny problem: wciąż nam idzie za wolno, a im zbyt szybko. A skoro twój człowiek jest taki inteligentny i postawił takie, chyba się ze mną zgodzisz, zaporowe warunki, to niech się wykaże. Niech się postara o jakiś sabotaż czy coś.

— Jak go namierzą, to może nas sypnąć — ostrzegł Derek, który zaniepokoił się takim tonem i dystansowaniem się od jakże ważnego informatora. Jeszcze mu dźwięczało określenie „twój człowiek”. Już nie „nasz”? To rozwiało jego wątpliwości co do tego, czy ujawnić cały arsenał swoich środków. Przyznał sobie w duchu rację; dobrze zrobił, zatajając, że istotne informacje sprawdza z kilku źródeł.

— Drobna przeszkoda — żachnął się Ives, lekko dysząc. — Nawet jak nas sypnie, to się wyprzemy. Nie takie pomówienia przeżyliśmy. W końcu co on może na nas mieć? I pomyśl, on sam ma więcej do stracenia, jeśli o

nas powie, niż gdy tego nie zrobi. Szpiegostwo przemysłowe i kradzież własności intelektualnej to chyba większe kłopoty niż zwykła niekompetencja, nie?

— Celna uwaga — rzekł Derek odruchowo, choć był rozczarowany przebiegiem całej tej rozmowy. — Zważmy jednak, że straciwszy go, nie będziemy już nic wiedzieć o sprawach RCUS-u.

— Przyznałbym ci rację, gdyby osoba ta nie była tak pazerna. Chyba mam prawo w zamian dużo wymagać. Coś jeszcze?

„Co się z nim dzieje?” — zastanowił się Derek, zerkając w hotelowe okno. Trzeba to wybadać, więc zapytał:

— Coś się u was stało?

— Nic, wszystko jest pod kontrolą — skłamał gładko Ives. Księgowy wczoraj przekazał mu złe wieści. Przychody malały szybciej, niż się spodziewali. Bez szybkiej restrukturyzacji się nie obejdzie.

— Doszła świeża dostawa kodu?

— Tak.

— I jak?

— Podobno doskonała. Zgraliśmy wszystko w piątek wieczorem i zgodnie z instrukcją usunęliśmy konto. Mamy wszystko na dyskach. W sobotę moi ludzie to obejrzeli i są zachwyceni. — Uśmiechnął się chyba po raz pierwszy tego dnia.

— Świetnie. Jak widzisz, nasz człowiek jest skuteczny.

— Nie mówmy o nim więcej — uciął. Ciągle nie mógł przełknąć jego wygórowanych żądań, na które zgodził się chyba nazbyt pochopnie. Ale bez tego nie mieliby ani kodu, ani nadziei na przetrwanie.

— To pomówmy o kimś innym — rzekł tajemniczo Derek.

— O kim?

— Cóż… sprawa jest delikatna.

— Mów — rozkazał władczo Ives, przeczuwając kolejny problem.

— Musisz powstrzymać swoich inżynierów, by nie kłapali gębą na lewo i prawo o tym, nad czym pracują. Wzbudzili w RCUS-ie podejrzenia, że mogliśmy im coś podkraść.

— Cholera! — wrzasnął Ives. — Wiemy kto?

— Tak. Niejaki Sylwester Nieć, świeżo awansowany menedżer.

— Przypominam sobie. Jakoś niedawno podpisywałem jakiś dyplom dla niego.

— Ten gość wcześniej u nich pracował. Ma za długi język.

— Skrócę mu go. Bardzo powoli… I wzbudzę w nim taką, kurwa, motywację i chęć do ciężkiej pracy, że będzie płakał z wdzięczności, kiedy odkręcę o jeden stopień imadło ściskające jego jaja. A kiedy już skończymy nasz projekt, to przerobię jego ścierwo na nawóz i wypluję na pole srających krów…

„A to mnie mają za bezwzględnego” — pomyślał ze zdumieniem Derek.

3
12.00, park miejski

Szeflerowi nie było łatwo zmusić się do tej randki. Bał się jej, bo wyczuwał, że ostatnio sprawy idą w złym kierunku. Może warto posłuchać Aivara i odważnie przeciąć pewne znajomości? Pozostawiłby sobie tylko te najsmaczniejsze kąski. Ale natura nałogowca burzyła się w proteście. Nie pozwalała mu się ograniczać, tylko nienasycona wołała o więcej i więcej. A to wczorajsze z Moniką!

Spotkali się z Maurą Zdowacką u wejścia do parku. Wymieniając kilka zdawkowych zdań, podążyli do budki z lodami, a potem alejkami w odosobnione i zaciszne miejsce. Przelatujące ptaki ćwierkały radośnie, ale

stan ducha spacerujących był zgoła melancholijny. W ich głowach dryfowały ukrywane i niewypowiedziane myśli, obawy. Żadne z nich nie ośmielało się wydobyć ich w ten piękny dzień. Maks odczuwał do tego ogromne znudzenie i senność, a przecież nie był wylewny. Jednak Maura nie wytrzymała tej nieznośnej ciszy i zagadnęła wreszcie:

— Kiedy już będziemy razem żyć, jak urządzimy salon?

Nienawidził takich pytań. Rzucił instynktownie drwinę:

— Ja bym najpierw wyposażył sypialnię.

— Znowu żartujesz.

— Absolutnie. Miłość to fundament domu!

— Nie widziałam domu stojącego na łóżku.

Zachichotał, wyobrażając to sobie, i odpowiedział:

— A dla lalek?

— Uważasz mnie za lalkę?

— Aleś ty dzisiaj drażliwa! — skrzywił się.

— Trochę przeciągasz sprawę z tą swoją żoną, wiesz? — Nie chciała tego powiedzieć, ale niestety powiedziała.

„To o to jej chodzi!” — pomyślał trzeźwo.

— Ma, wiesz, jak jest. To niedobry moment dla niej i dzieci.

— Każdy moment jest niedobry. Czekanie też jest niedobre. A ja nie chcę zadowalać się skrawkami. Chcę cię w całości, nie w ratach. Mam swoje marzenia.

— Rozumiem cię. Ale wiesz, jak ona cierpi…

— A ja nie? — oburzyła się.

— …chodzi mi o te jej stany lękowe. Lekarz nakazał jej unikać stresu. Jej napady szału są straszne. Dzieci się boją… — Pomyślał, jak już niewiele brakuje do orzeczenia takiego stopnia stanu chorobowego, by było

to korzystne w sprawie rozwodowej. Mógłby przejąć większość majątku, jeśli adwokat tego nie zepsuje.

— W ten sposób nigdy się nie doczekam, Maks!

Maura wstała z ławki. Rozgniewała się i spojrzała nerwowo na zegarek.

— To już niedługo, naprawdę. Lekarz daje nadzieję, że…

— Chcę jasnej odpowiedzi: „Kiedy?” — rzuciła oschle.

Nie był gotowy na odpowiedź i utknął:

— No wiesz, jak tylko…

— Zadzwoń, jak już będziesz wiedział. — Obróciła się i ruszyła przed siebie.

Maks wstał i poszedł za nią.

— Ma, nie bądź taka…

— Jaka? — obruszyła się.

— Niecierpliwa. Zrobię dla ciebie wszystko.

— Daj mi to przemyśleć. — Ucieszyła ją ta deklaracja, jednak duma kazała się trzymać kursu obranego wcześniej: — I zostaw mnie teraz, proszę.

— Kocham cię…

— Ja ciebie też, ale zostaw mnie. — Oddaliła się i zniknęła za gęstymi krzewami.

Maks nie lubił takiego zachowania, ale wiedział, że to jej styl. Zły humor szybko jej przechodził, a on mógł to przeciągać w nieskończoność. Jednak, jak zauważył, ostatnio przybrało to na sile. Może gdy złoży ten pozew, Maura złagodnieje i będzie jak dawniej.

4
14.00, komenda policji

— Przyciśnięcie krasnoluda nic nie dało — oznajmił Walczak, wracając z pokoju przesłuchań, gdzie przez ponad godzinę dociskał Damiana Fierro. Skalski nie zatrzymał się i poszedł od razu do siebie. — Tym razem nie będziemy go trzymać w areszcie, bo znowu wyjdzie jakiś kwas. Prokurator pozwoliłaby na to tylko pod warunkiem, że przyznałby się do winy. Ale się nie przyznał. Za to przeszukanie mieszkania w toku. Jego służbowy laptop już oglądają w pracowni kryminalistycznej. Podobno zdążyliśmy w ostatniej chwili. Ich IT-support, jak tam ich zwą, w poniedziałek chciał go wyczyścić dla nowego pracownika.

— A listę ludzi na stanowiskach masz? — zainteresował się Czerski.

— Od wczoraj — potwierdził Walczak. — Straszna kicha. Sto sześćdziesiąt nazwisk. Kto by pomyślał, że do zarządzania firmą potrzeba aż tylu ludzi.

— Pewnie niektórzy zarządzają zarządzającymi i tak dalej… A już myślałem, że masz łatwiej. Ja oglądałem pasjonujące filmy z RCUS-u. Już druga noc zarwana, cholera. Zaraz idę do domu trochę się przespać.

— Coś ustaliłeś?

— Oglądałem tylko wybrany materiał. Skupiłem się wyłącznie na dniach i godzinach, o których wspomina korespondencja Osika z dilerem. — Czerski przecierał przekrwione gałki. — Strasznie przy tym zgłodniałem, bo od rana nic nie jadłem. I jeszcze sprawy sercowe przypominały o sobie SMS-ami.

— Czyli nic?

— Nie… nie jest wcale tak źle. Ustaliłem trzy miejsca, do których Osik zachodził po otrzymaniu wiadomości od dilera. Zawęziłem krąg do ośmiu osób, które zjawiały się w umówionym miejscu. Samego przekazania nie

widać. Nie wszędzie zaglądają te kamery. Zdjęcia zostawiłem inspektorowi na biurku. Wydaje mi się też, że rozpracowałem kilka słów z ich słownika. Ale teraz spadam już do domu.

— *Bene est!*[1] — rzekł Walczak z podziwem. — Trzymaj się. Ustalimy, co to za jedni.

— Jeszcze jedno. — Czerski odwrócił się od drzwi. — Rozwiązałem twoją zagadkę. — Uśmiechnął się chytrze. — To był sekretarz. To on dzwonił do biskupa, mówiąc, że było włamanie. Nie znaleziono żadnych odcisków palców, a jego odciski powinny były zostać na telefonie. Musiał je wytrzeć.

— Brawo, młody! Jeszcze będzie z ciebie policjant pełną gębą! Wydedukowałeś to jak rasowy śledczy! — Z uznaniem poklepał go Walczak.

— Rozwiązałem jeszcze jedną zagadkę… Ten hulaka, bratanek biskupa, jeden z podejrzanych… to byłeś ty, prawda? Skalski prowadził śledztwo u biskupa, kiedy ty byłeś u niego wikariuszem.

— Znowu brawo. A jak do tego doszedłeś?

— Sprawdziłem w komputerze komendy…

Walczakowi opadły ręce.

— Walczak! — Usłyszał wołanie z pokoju Skalskiego.

— Idę, szefie!

Wchodząc do środka, usłyszał:

— Wszystkiego najlepszego! — Skalski, stojąc na progu, wręczył Walczakowi zawiniątko. — Mały prezencik urodzinowy, przyjacielu!

— Nie trzeba było… — Uśmiechnął się i podrapał zakłopotany. Zaczął rozwijać podarunek i dziwił się sobie, że zapomniał o swoich urodzinach. Szybko wykombinował plan działania: — Zapraszam wieczorem na poczęstunek. Ktoś mi polecił nowe miejsce. Słyszałeś o DNA?

— Nie. Ale chętnie przetestuję. — Uśmiechał się szeroko. Wskazał ręką na stos papierów na biurku: — Widziałeś, co mi Czerski zostawił?

— Tak, mówił o tym. Ale właśnie wychodzi. To jakieś zdjęcia z kamer. Że jest tam ósemka pracowników, którzy przewijali się w okolicach miejsca przekazania towaru.

— Rozumiem. Leży tu też raport z sekcji Osika. Ale nic nowego, tylko że z pieczątkami i podpisami. Ciągle nie ma raportu z pracowni komputerowej.

— Czyli ustalamy, co to za jedni ze zdjęć i czy któryś pasuje do mojej listy menedżerów?

— Zgadza się.

Z zawiniątka wyłoniła się butelka pięciogwiazdkowego koniaku. Walczak był wzruszony.

5
17.30, w drodze na lotnisko aeroklubu

Niedzielne popołudnie Bernard Farney chciał przeznaczyć na przelot samolotem pod okiem instruktora. Samolot, którym latał, czyli kilkuletnia cessna 162, należał wcześniej do aeroklubu, ale po usilnych namowach sprzedali mu go za równowartość osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Farney, nie wiadomo czemu, po prostu zakochał się w tej maszynie. Może dlatego, że wyprodukowano ich niewiele. Sprzedano poniżej dwustu sztuk. Traktował to zatem jak serię limitowaną, choć po prawdzie przyczyn zaprzestania ich montażu było co najmniej kilka. A to za duża masa własna, a to za mały kokpit, niedostosowany dla wysokich pilotów, czy znów nazbyt delikatna konstrukcja. Jemu to nie przeszkadzało. Nie był przesadnie wysoki, ciężki czy niezgrabny w prowadzeniu maszyny.

Cena zakupu, na którą przystał, nie była okazyjna, ale w pakiecie mógł w okresie dwóch lat hangarować go za darmo. Musiał mieć pewność, że będzie do jego dyspozycji w każdej chwili. A dziś czuł, że to dobry dzień na sprawdzenie siebie za sterami. Działało to na niego uspokajająco i porządkowało jego myśli. Niczym modlitwa albo raczej medytacja.

Aeroklub znajdował się ledwie kilka kilometrów od miasta, więc podróż zajęła mu tylko chwilę. Na lotnisku polowym było pusto. Pobrał klucze do hangaru i przygotował samolot. Przy okazji schował pod siedzenie szarą, wybrzuszoną od zawartości kopertę. Uznał, że to będzie lepsze niż wożenie jej ze sobą, a wiedział, że w samolocie będzie bezpieczna.

— Zapowiada się piękny dzień, Bernardzie — mruknął do siebie z zadowoleniem.

6
17.45, redakcja „Naszego Miasta”

Anna Tores skakała z jednej strony internetowej na drugą, kopiując jednocześnie wybrane fragmenty tekstu do notatnika. Słuszniej byłoby jednak powiedzieć, że fragmenty te były nie tyle wybrane, ile losowe, bo wszystko to miało sprawiać wrażenie, że autorka jest mocno zapracowana nad jutrzejszym wydaniem. W rzeczywistości jednak stale obserwowała drzwi, czekając na naczelnego. Ten, jak na złość, dzisiaj akurat musiał wyjść na jakieś przyjęcie organizowane przez jedną z partii politycznych, chociaż niedziela w redakcji każdej gazety jest normalnym dniem pracy.

Ackerman w końcu się zjawił. Ubrany był w drogi, nawet jak na niego, garnitur i fatalnie dobrany jaskrawy krawat. Tores pochyliła się nad komputerem, pozornie ignorując szefa. Ten minął stanowiska redaktorów, rozdając wszystkim radosne uśmiechy. „Świetnie, ma dobry humor, musiał

coś załatwić, łatwiej będzie go przekonać” — myślała. Rozejrzała się jeszcze po koleżankach i kolegach, sprawdzając, czy nikt nie ma sprawy do naczelnego. Poprawiła bluzkę, delikatnie poluzowała guzik, wzięła notes i ruszyła do biura naczelnego.

— Aniu! — Ackerman pozwolił sobie na poufałość. Ponownie. — Miło cię widzieć! Jak zawsze! — Jego wzrok prześlizgnął się po jej biuście.

— Cześć, Adam. — Usiadła w fotelu, zmysłowo zakładając nogę na nogę. — Czyżbyś znów załatwił świetny biznes?

— Ja zawsze załatwiam świetne biznesy. — Uśmiechnął się szeroko.

— I świetne tematy — odwzajemniła uśmiech.

— Od tego jestem naczelnym.

Tores przyglądała mu się przez chwilę.

— Mam coś wyjątkowo ciekawego — rzuciła.

— Z prokuratury? — zapytał uprzejmie, ale bez większego zainteresowania.

— Z redakcji.

— Z jakiej redakcji?

— Z naszej redakcji.

— Co? Nie rozumiem…

Tores pochyliła się nad biurkiem, eksponując piersi. Zgodnie z planem guziczek powinien się teraz odpiąć. Ackerman przełknął ślinę. Guziczek się odpiął.

— Sądzę — mówiła powoli — że zostaliśmy zamieszani w coś wielkiego. Coś, co może nam wybuchnąć w twarz, jeśli nie będziemy mieli nad tym kontroli.

— No dobra, zaintrygowałaś mnie, ale może więcej szczegółów?

— Szczegóły na razie ustalam.

— To z czym do mnie przychodzisz? — Ackerman zaczął się irytować tymi gierkami.

Tores usiadła, wzięła notes i zaczęła go kartkować.

— Ktoś wykorzystał naszą redakcję do swoich celów. Nie wiem kto, nie wiem też, co jest celem. — Powstrzymała go gestem, widząc, że chce coś powiedzieć. — To miał być niewiele znaczący artykuł. Ot, taki wypełniacz miejsca na stronie, pewnie i tak nikt go nie przeczytał. Jeden z redaktorów bardzo naciskał, by ten artykuł tam się znalazł.

— Który? — zapytał ostrożnie, ale już czuł, do czego pije Tores.

— Naczelny. — Wycelowała w niego długopis.

— Nie przeginaj, Tores, nie przeginaj… Pozwolę ci skończyć wywód i uzasadnić te… insynuacje.

— Adamie… — Spojrzała na niego ze znakomicie zagranym szczerym zdumieniem. — Gdybym cię o coś podejrzewała, to czy przyszłabym z tym do ciebie?

— Mów.

— Z pewnego zupełnie niezrozumiałego dla mnie powodu bardzo chciałeś, bym napisała w zeszłym tygodniu artykuł o korporacjach. Bardzo nalegałeś na jak najkrótszy termin. Pokłóciłeś się na odprawie o szpalty. Zmieniłeś punkt ciężkości mojego artykułu na, jak to sam ująłeś, bardziej emocjonalny. Dlaczego?

Zauważyła, że na czole Ackermana pojawiły się kropelki potu.

— Mówiłem ci już. Chciałem dać ci szansę. Zaczynasz szukać jakiegoś spisku w rodzimym gnieździe. Nie wiem, o co ci chodzi.

— To dlaczego się pocisz?

— Tores, nie pozwalaj sobie!

— Mówię przecież, że gram w twojej drużynie! — zagrała oburzoną. — Dobra, nie pytam o przyczyny, to twoja sprawa — spuściła z tonu. — Ktoś

cię naciskał w tej sprawie?

— Oszalałaś? Jesteśmy niezależni i wszyscy wiedzą, że naciski na naszą redakcję nie działają! O co ci, do cholery, chodzi?

— Napisałam artykuł o zatajaniu przez korporacje wypadków w miejscu pracy. Dostałam od ciebie polecenie we wtorek. A tymczasem w poniedziałek w RCUS-ie doszło do śmiertelnego wypadku.

— Wiesz to z prokuratury? — zapytał, bawiąc się nerwowo długopisem.

— Prokuratura nadal nie wydała żadnego komunikatu. RCUS również.

— Więc skąd wiesz?

Tego pytania się spodziewała, więc gładko skłamała.

— Mam swoje źródło. To jeden z pracowników firmy.

— Ufasz mu?

— Nie muszę. — Wyciągnęła smartfona i pokazała mu zdjęcie. — To grób Nikodema de Bugaja, pracownika RCUS-u. Zmarł tragicznie w poniedziałek.

Ackerman przyglądał się zdjęciu grobu z podwiędłymi już kwiatami i metalową tabliczką z trumny.

— Wypadek? — spytał w końcu.

— Taką wersję przedstawiono pracownikom. Ale oni w to nie wierzą. Za dużo dziwnych zbiegów okoliczności, a po firmie ciągle kręci się policja.

— Ciekawe… — mruknął. — Ale to jeszcze nie oznacza…

— Ciekawe rzeczy dopiero się zaczynają. — Tores podała mu kserokopię danych osobowych de Bugaja.

— Skąd to masz? Twoje źródło to wykradło?

— Nie. Słuchaj mnie uważnie…

Szeptem zrelacjonowała mu wszystko, czego się dowiedziała rankiem na cmentarzu od pracownika RCUS-u, a potem już całkowicie wbiła go w fotel, informując o drugim zgonie w firmie. Kiedy zaś w swej opowieści

cofnęła się w czasie do wczorajszego listu, Ackerman nie wyglądał już jak pewny siebie rekin biznesu i mistrz lokalnych rozgrywek. W rozpiętej koszuli, z przekrzywionym krawatem, co rusz ocierał czoło z kropelek potu.

— Ktoś bardzo chce, byśmy opublikowali nowy artykuł — kończyła Tores. — Artykuł mocno uderzający w wizerunek korporacji. Kto?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem… — Ackerman był zagubiony. — Parę dni temu ktoś zadzwonił z propozycją ciekawego tematu. I tyle. Myślałem, że to po prostu jeden z naszych czytelników, często dzwonią z pomysłami. Temat przypadł mi do gustu, pomyślałem o tobie i ci go dałem. Tyle…

— Dlaczego mam wrażenie, że nie jesteś szczery?

— Anno, daj spokój… Jestem dość przerażony tym, w co możemy się wmanewrować. Dostałaś materiały z jakiegoś wysoko postawionego źródła. Wyglądają na rzetelne. Twoje inne źródło to potwierdza. Do cholery, mamy świeży grób! I rzekomo — zastrzegł — jeszcze jedną ofiarę wypadku. Rzekomo, bo ów pracownik o niczym tym razem nie wie. A to jest podejrzane. Do tego milczenie i firmy, i prokuratury. I zbieg okoliczności, że parę dni temu ktoś podrzuca nam temat.

Tores przemilczała, że musiało to być coś więcej niż tylko podrzucenie tematu. Ackerman walczył o jej artykuł jak lew.

— Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności — rzuciła ostro. — Twierdzę, że ktoś nami zagrał.

— Ale kto? I po co? Na pewno jakaś szycha, ktoś z dostępem do wrażliwych danych firmy.

Tores nie zdołała powstrzymać wywrócenia oczami. Do takich samych wniosków doszła wczoraj po paru minutach.

— To może być ktoś, komu bardzo nie podoba się polityka informacyjna firmy — spekulował, myśląc głośno, Ackerman. — Może po prostu nie lubi dyrekcji? Może…

— Chcę w to wejść. — Tores jasno postawiła sprawę. — Chcę zagrać w jego grę, ale zakończyć ją wtedy, kiedy to ja o tym zadecyduję.

— Co chciałabyś zrobić?

— Po pierwsze, opublikujemy artykuł, bazując na posiadanych materiałach…

— Najpierw je solidnie zweryfikujesz — przerwał jej, chcąc dać do zrozumienia, że to wciąż on tutaj rządzi. — Podejrzewam, że ktoś chce się zemścić na firmie i wrzucił nam fejki podszyte cząstkami prawdy. Nie użyję swojej gazety do brudnego ataku. Przede wszystkim masz się upewnić, że w korporacji rzeczywiście nastąpił drugi zgon. Sprawdź też, czy te akta osobowe są prawdziwe. I dowiedz się w końcu czegoś z prokuratury! Jeśli wszystko jest prawdą, dajemy to na pierwszą stronę. I to jak najszybciej. Jesteśmy zobowiązani do rzetelnego informowania społeczeństwa…

Wysłuchała cierpliwie i zażenowana patetyczną przemową zakończyła, jakby w ogóle jej nie przerywał:

— Po drugie, namierzymy tego, kto do mnie pisał — potrząsnęła kartkami — oraz tego, kto do ciebie dzwonił. Bez względu na to, czy podrzucił nam prawdziwe, czy fałszywe informacje. Coś czuję, że to ta sama osoba.

7
17.45, apartament Moniki Reshke

Monika Reshke przeglądała zestawienie środków firmy po tym, jak dostała SMS-em ostrzeżenie z aplikacji kontroli finansowej, notabene jednego z wynalazków działu badawczego RCUS-u.

Zdążyła już zapomnieć o wydarzeniach gorącej nocy. Zaspany Szefler wymknął się o poranku, jeszcze przed śniadaniem. Nie podchodziła do tego

zbliżenia zbyt uczuciowo, ale też nie dla czystej zabawy. Pomoc Szeflera w rozwoju jej kariery mogła się okazać nieoceniona, zwłaszcza że jedną nogą był już prezesem. Co prawda nie zająknął się o tym, ale ona była dobrze poinformowana. Najważniejsze, że złapał przynętę i poczuł jej słodki smak. Konkurencją dla niego był jej własny szef, Lucjan Frost, i o tym też wiedziała. Teraz mogła już wykorzystać tę lub tamtą znajomość. Sytuacja idealna.

Szkoda, że jej stary przyjaciel, Derek, tak się niecierpliwił i ciągle popędzał do działania. Ostatnio zrobił się wyjątkowo natarczywy i szorstki. Niepotrzebnie mu się zwierzyła, że miała w ręce ten cholerny segregator z dokumentami, o które tak nalegał. Nad wyraz czujny Frost bardzo się pilnował i nie była w stanie go wynieść ani skopiować. Łatwo było Derekowi powiedzieć: „Załatw to na wczoraj!”. A pamięta, jak niegdyś był taki łagodny, miły… i onieśmielająco przystojny. Tak, to ostatnie jest wciąż aktualne…

Znali się już prawie dwa lata. Pamięta wieczór, w którym ją zagadnął. Było to na międzynarodowej konferencji zarządzania finansami. Usiadł obok, elegancki i pachnący. Spytał, szeroko się przy tym uśmiechając, czy nie pomylił odczytu, mimo że temat był wyświetlony na wielkim telebimie.

A potem… potem było już tylko zabawniej. Nudny wykład komentował jej do ucha niewybrednymi żartami, zaprosił na kolację mocno zakrapianą drogim winem i błyskawicznie wylądowali w hotelowym łóżku. Tak łatwo poddała się jego czarowi.

Drugi dzień konferencji poświęcili już tylko sobie, nie wychodząc z apartamentu. Dowiedziała się, że pracował dla prywatnej agencji doradzającej w sprawach kontroli finansowej przedsiębiorstw w branży IT. Był uznanym ekspertem, którego zatrudniono w charakterze konsultanta. Dużo wiedział o sprawach wielu koncernów i z sukcesem im doradzał.

Ona z lekkim zawstydzeniem opowiedziała mu o swojej posadzie na podrzędnym stanowisku w firmie. Wieczorem zwierzyła się też ze swoich poważniejszych problemów. Miała na głowie duży kredyt, który żyrowała ojcu będącemu bankrutem. Te sprawy wydawały się błahe, ale sprawiała wrażenie, jakby strasznie jej ciążyły. Jakby była skazana na los cierpiętnicy.

Konferencja dobiegła końca, a wraz z nią wielka przygoda. I ta chwila była dla niej naprawdę trudna. Jakby wzniosła się tylko po to, by boleśniej upaść. Wróciły stare, nierozwiązane sprawy, kłopoty finansowe i korporacyjny wyścig szczurów. Na szczęście nie trwało to długo.

Tydzień później, ku jej wielkiemu zaskoczeniu i ogromnej radości on się znowu odezwał. Przyjechał do miasta, by podpisać nowe zlecenie, a przy okazji chciał się z nią zobaczyć. Przy wspólnej kolacji w bardzo klimatycznej restauracji poprosił ją o pomoc w sprawie jednej z firm. Miał kłopot z terminem, brakowało mu czasu, a ona się świetnie orientowała w przedmiocie sprawy. Zgodziła się. Swoje zadania wykonała sprawnie w ciągu kilku dni.

Zadowolony z rezultatów zaproponował stałą współpracę i świetne wynagrodzenie. Praca była dorywcza, dlatego mogła wykonywać ją poza RCUS-em lub w weekendy. Oczywiście połączona z różnymi rozkoszami życia we dwoje. Podpowiedział jej też, jak mogłaby szybko wspiąć się po szczeblach kariery w swojej macierzystej firmie. Potrzebował tylko zrozumieć, jak funkcjonuje jej dział; jakimi zamówieniami się zajmuje. Wkrótce pojawił się pierwszy awans, potem następny. Stał się jej wybawicielem i miłosną obsesją. Nawet nie wiedziała, kiedy przyszedł taki moment, że przekazywała mu niemal wszystko, do czego miała dostęp, że wykonywała bezkrytycznie jego polecenia.

Nie była jednak głupia. Zrozumiała szybko, co mogło się za tym kryć. Wiedziała również, że nie ma już odwrotu. Nawet nie pytała. Taki facet,

takie możliwości. Teraz stała się kobietą świadomą. Wiedziała, czego chce od życia i jaka jest stawka. To był bilet w jedną stronę.

Powitalny dźwięk gotowości laptopa wyrwał ją z rozmyślań. Chwyciła mysz, otworzyła aplikację, zalogowała się do systemu i zaczęła przeglądać te przeklęte alarmy.

Najpierw przyszły z bilansu funduszu kont emerytalnych, po dwóch godzinach szczęśliwie wygasły. Zdarzało się już, że banki w weekend uruchamiały jakieś skrypty automatyczne wyczyniające niecne rzeczy na kontach, a potem technicy przywracali stan poprzedni z kopii zapasowych, gdy coś się nie udało. Dlatego pojawienie się i wygaśnięcie stanu alarmowego nie było w weekend niczym szczególnym.

Ale godzinę temu pojawił się kolejny. Tym razem zagrożone zostały finanse operacyjne. Dlatego Reshke zdecydowała się włączyć komputer i poświęcić temu większą uwagę. Przeglądając rejestr, zauważyła, że pieniądze pojawiły się na funduszach emerytalnych, co wygasiło ostrzeżenia systemu. Zniknęły jednak na rachunkach bieżących, co włączyło nowe ostrzeżenia po upływie pewnego czasu. Jeżeli sytuacja do północy się nie ustabilizuje, potrzebna będzie eskalacja przewidziana procedurami wewnętrznymi. Zacznie się od telefonu do banku, potem kontrole wewnętrzne.

Jednak ciekawość zwyciężyła i sprawdziła dokładnie. Przelewy wyglądały na wykonywane dzisiaj, autoryzowane i przeprowadzane na bieżąco. Dziwne. Miała wgląd tylko na konta firmy, te docelowe były poza zasięgiem. Spostrzegła jednak, że pewne sumy przychodzące na konta emerytalne pasują do zsumowanych przelewów z kont operacyjnych różnych wydziałów. Co więcej, transfery bieżące zaczęły się na chwilę przed wygaszeniem alarmu. To nie wyglądało naturalnie. Ktoś prawdopodobnie przeprowadza jakieś niestandardowe operacje.

Zastanowiła się, czy zadzwonić do swojego szefa, dyrektora Frosta, i już miała wziąć telefon, gdy coś ją tknęło. Sprawdziła, kto jest inicjatorem każdego z przelewów. Spisała identyfikator i spróbowała sprawdzić w systemie aktywnych użytkowników. Ten jednak odmówił, twierdząc, że nie ma uprawnień do tej czynności. „Ktoś włamał się do systemu!” — przemknęło jej przez myśl. Jako zastępca dyrektora finansów miała dostęp do danych każdego pracownika. I wtedy zamarła. Jedynym użytkownikiem, którego sprawdzić nie mogła, był bezpośredni zwierzchnik, dyrektor Lucjan Frost!

„Co robić?” — pomyślała spanikowana. Operacje finansowe wydawały się bez sensu. Zamiast wyprowadzać pieniądze, ktoś je tylko przemieszcza. Tylko po co? I co ona właściwie ma teraz zrobić?

Co na taką sytuację powiedziałby jej mentor? Kiedyś pewnie doradziłby coś mądrego, ale od jakiegoś czasu był opryskliwy i oczekiwał jedynie wyników. Stał się niezwykle irytujący i ta znajomość zaczynała jej ciążyć. Dlatego wykorzysta właśnie zdobytą wiedzę do własnych celów i być może wreszcie się uwolni. Teraz może zadziałać na własną rękę i zmienić układ z Derekiem. Niech on wreszcie powstrzyma ten swój arogancki ton i spotulnieje. Niech, skamląc, podczołga się do drzwi jej apartamentu, zrobi się miły jak kiedyś, a wtedy może rzuci mu ochłapy z segregatora Frosta.

Reshke pojęła nie tylko szansę, jaką zyskała, lecz także jej skalę i siłę rażenia. Oczami wyobraźni rozegrała cały jutrzejszy dzień. Szefler, Frost, Derek… rozstawi pionki na szachownicy, a sama stanie na pozycji królowej. To będzie jej wielki debiut, a rozgrywka okaże się partią błyskawiczną.

8
18.00, lotnisko aeroklubu

Farney sprawdził wskazania przyrządów i za zgodą instruktora wytoczył samolot na pas startowy.

Rozejrzał się i zapytał:

— Co robi ten cały ciężki sprzęt za ogrodzeniem? — Wskazał w kierunku buldożerów.

— Od jutra ruszają prace ziemne. Trzeba wyrównać teren, podsypać tu i ówdzie, utwardzić… — wyjaśniał instruktor. — Czas na poważny remont.

— Lotnisko będzie zamknięte? — Farney się zafrasował.

— Tak, przez dwa tygodnie. Musimy zdążyć do zawodów. Inaczej je odwołają.

— Niedobrze… Nie poćwiczę za dużo.

— Dlatego się skup i ruszaj! — rozkazał.

Farney się uśmiechnął. Cieszyły go te chwile, gdy brał stery w swoje ręce. A moment, kiedy odrywał się od ziemi, był wyjątkowo przyjemny. Czuł, niemalże fizycznie, jak wszystkie problemy zostają za nim. Szybko zapomniał o tym, co się wydarzyło w pracy — zarówno piątkowej nocy, jak i w całym zeszłym tygodniu. Bezchmurne niebo potęgowało uczucie szczęścia — w tej chwili nie potrzebował niczego więcej.

Uczucie beztroski brutalnie przerwał instruktor, nakazując zmianę kursu, a przy okazji udzielając reprymendy za kilka błędów przy starcie. Tak naprawdę czepiał się na siłę, gdyż Farney radził sobie za sterami całkiem dobrze. Wykonał manewr, wkładając cały wysiłek, by zrobić go dokładnie. Tak, lubił precyzję. Nie tylko podczas latania. Uważał, że każde działanie należy zawsze dobrze przemyśleć i mieć gotowy plan. Dlatego wciąż utrzymywał się w firmie i był ceniony przez swoich kolegów. Zawsze miał ambicje, by się piąć wyżej i wyżej — i najbardziej bolał go fakt, że

pracodawca mu w tym nie pomagał. Po ostatniej reformie ścieżek kariery awansowanie osób na jego szczeblu było już kłopotliwe. A w perspektywie najbliższych lat nie zapowiadało się na żadne zmiany. Krótko mówiąc; obowiązków przybywało, podczas gdy kariera stała w miejscu. Nie tego oczekiwał od życia.

I znów z rozmyślań wyrwało go polecenie instruktora. Farney wykonał je perfekcyjnie i uśmiechnął się do siebie. Czuł, że jest w stanie sprostać każdemu wyzwaniu, przeprowadzając precyzyjne, zaplanowane i przećwiczone manewry.

Świat z góry zrobił się maleńki i łatwiej było dostrzec większy obszar, choć szczegóły stawały się nierozpoznawalne. Do zarządzania również potrzebny jest ogląd całego obrazka, pełnego mechanizmu. Wielu menedżerom to wystarczało. Farney jednak wiedział swoje. To one, te drobiazgi, jak w wypadku pracy silnika, mogą zdecydować o pracy całości. Wystarczy trochę piasku czy jakieś drobne pęknięcie, a potem już następuje reakcja lawinowa, nie do zatrzymania. To zrozumienie i własne podejście do zarządzania dawało mu przewagę, by zajść tam, gdzie był. Liczył, że i teraz wyrwie go to do przodu. Pchnął drążek i samolot posłusznie zanurkował.

Bernard Farney uwielbiał momenty, w których czuł, że wszystko jest pod jego absolutną kontrolą.

9
20.30, mieszkanie Anny Tores

Tores miała gotowy szkic artykułu oraz kilka wariantów jego rozwinięcia i zakończenia w zależności od tego, czego się spodziewała dowiedzieć jutro w kostnicy i od prokuratury. A jeśli prokuratura nadal będzie milczeć, to

trudno, nie będzie się w tej sytuacji asekurować. To jest za wielka sprawa na półśrodki.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z tych bojowych planów. Czerski! Na śmierć o nim zapomniała. I pierwszy raz od dłuższego czasu pomyślała o nim jak o intruzie. Nie chciała teraz tracić czasu na amory, miała do opracowania temat, który mógł być jej przepustką do elity dziennikarzy. Musi się go pozbyć. Zamknęła komputer i otworzyła drzwi.

Za nimi stał wielki bukiet kwiatów, z którego wyglądała głowa Czerskiego z wyjątkowo głupim wyrazem twarzy.

— Za te wszystkie ostatnie dni, przepraszam. — Wręczył jej bukiet.

Na ten widok poczuła, że mięknie, a jej irytacja mija.

— Och, jakiś ty słodki. — Zanurzyła twarz w kwiatach. — Piękne.

Czerski zrobił maślane oczy i próbował wejść do mieszkania. Anna przepuściła go, ale uwadze Czerskiego nie umknęło, że zrobiła to niechętnie.

— Coś się stało? Gniewasz się na mnie?

— Nie… tylko… — zawahała się. — Wejdź.

Czerski objął ją i mocno przytulił. Potem ujął jej twarz w obie dłonie i ucałował w usta. Oddała pocałunek, ale bez namiętności. Ponownie ją przytulił.

Zaprowadziła go do pokoju i usadowiła na jego ulubionym fotelu. Z barku wyciągnęła apetycznie wyglądającą butelkę.

— Jesteś autem?

— Tak… — odpowiedział niepewnie.

Schowała butelkę i wyjęła z lodówki karton soku.

— Co się stało?

— Nic się nie stało, mój ty wilczurku. Nadal cię kocham. Ale… nie możesz dzisiaj zostać — powiedziała stanowczym tonem.

Czerski milczał naburmuszony. Anna usiadła mu na kolanach, tak jak lubił. Mocno się przytuliła i go pocałowała. Teraz to on bez zaangażowania oddał pocałunek.

— Pracujesz? — zapytał, wskazując głową laptopa. Obok leżały notes i kilka długopisów.

— Jamniczku — kontynuowała — musisz mnie zrozumieć. Znalazłam fantastyczny, niesamowity temat… muszę… muszę być teraz skoncentrowana, a ty, mój dziki dobermanie, mi w tym nie pomożesz.

— Nie możesz przełożyć tego na później? Wielkiego artykułu nie napiszesz w jeden wieczór.

— Mam naprawdę mało czasu. W ogóle to dziwna sytuacja. Słuchaj. Wczoraj… — zamilkła.

— Co wczoraj?

— A guzik ci powiem. Ty mi nie mówisz o pracy, to ja tobie też nie powiem.

— Oj, nie bądź taka. Wiesz, że jestem policjantem i ciekawią mnie sprawy, jakie może mieć dziennikarz działu śledczego.

— Oj, nie bądź taki — przedrzeźniała go. — Wiesz, że jestem dziennikarką śledczą i ciekawią mnie sprawy, jakie może mieć policjant. Powiedziałam „nie”, a jak kobieta mówi „nie”, to znaczy „nie”. Proszę, nie naciskaj. Ja uszanowałam, że nie chcesz mówić o swojej pracy, teraz ty uszanuj, że ja nie chcę mówić o swojej.

— Mógłbym ci pomóc…

— Ja też mogłabym ci pomóc. Buldogu, bądź grzecznym pieskiem i pozwól dziś pracować swojej pani. I jutro — dodała stanowczym tonem. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to przeczytasz mój artykuł we wtorek rano. Dobrze? Czy mój pekińczyk jeszcze się gniewa? No, buzi, buzi, buzi, terierku.

— Hau, hau — westchnął Czerski. — Piesek będzie grzecznie warował do wtorku.

10
20.59, bar DNA

Walczak niczym wolny elektron przetoczył się przez próg, obrzucając czujnym spojrzeniem wnętrze. Skalski klepnął go w ramię i wskazał miejsce przy barze, które skwapliwie zajęli. Przez chwilę zdawało się, iż los — w postaci biuściastej barmanki o wyjątkowo zadbanym uzębieniu — uśmiechnął się do nich, lecz zamiast blond zjawiska przyczłapała ich obsłużyć jej mniej urodziwa koleżanka.

— Co podać? — zamlaskała gumą.

Walczak przez chwilę wodził wzrokiem po asortymencie.

— Dwa razy komandos.

— Nie mamy.

— Leśny dzban?

— Nie sprzedajemy.

— Amarena? — zapytał drżącym głosem z nutą nadziei.

— Przykro mi.

Walczak westchnął i posmutniał. Z asortymentu ulubionych win nic nie mieli — a chciał zacząć lajtowo. „Trzeba zagrać inaczej!” — zadecydował.

— Co polecacie z piw? — zagadnął.

— Mamy bardzo dobre smakowe. Polecam jabłkowe…

— Coś mocniejszego? — Skrzywił się.

— Mogę zaproponować zimnego lecha — mlasnęło dziewczę, spoglądając gdzieś w dal przez Walczaka.

Walczak zapowietrzył się i wstał. Skalski, chcąc szybko uspokoić sytuację, podniósł dwa palce w górę.

— Po secie, skarbie. — Puścił do niej oko.

Barmanka wzruszyła ramionami i poszła realizować zamówienie.

— Po secie język bzdury plecie — mruknął mocno rozczarowany i złożył ręce na blacie. Był wkurzony, że akurat zaczęli od tego miejsca, które nie spełniło — w jego mniemaniu — wysokich standardów. Ani estetycznych, ani degustacyjnych. Dyskretnie wyjął piersiówkę i pociągnął łyka, a następnie podsunął ją Skalskiemu.

— Dobry bimberek — pochwalił. W jego duszy od razu pojawiły się wesołość, miłość do otaczającej rzeczywistości i błogi spokój. No, prawie.

— E, młoda, skąd ta nazwa waszego lokalu? — zaczepił barmankę Walczak, gdy przyniosła pełne szklanki.

— Doskonałe, Najprzedniejsze Alkohole.

— Świetny żart — sapnął.

— Naprzeciwko was lokal ma konkurencja. Nie ma w tym konfliktu interesów? — zainteresował się Skalski.

— Oni? — zaśmiała się dziewczyna. — Tylko czekać, aż splajtują! Ich klientela nie ma wysokich wymagań. Tylko tanie wina zamawiają…

Walczak zerwał się na dźwięk tych słów i już chciał tam popędzić, ale Skalski usadził go z powrotem. Ten łypnął okiem, pociągnął łyk i zapytał:

— Skalski, *à propos* konfliktu interesów, to już wiesz?

Ten spojrzał niepewnie i pokręcił głową. Nie wiedział.

— Potem ci opowiem. — I uśmiechnął się tajemniczo.

Wieczór zapowiadał się interesująco.

11
21.59, bar DNA

Skalski, zataczając się, wrócił z toalety i opadł ciężko na krześle. Na stole czekało kolejne piwo. Walczak wytarł usta z piany i wyznał szczerze:

— Wszystkie barmanki zaczynają mi się podobać.

— Oho! Znaczy, dotarłeś do pierwszego checkpointu.

Mętnym wzrokiem oceniali krągłości barmanek.

— Jak ci się zaczną podobać mężczyźni… — sapnął Skalski — to będziemy musieli wychodzić.

— Ile byś dał tamtej w czarnych włosach?

— Tej… tej… z kolczykiem w nosie? — zapytał, zerkając za siebie. Chwilę zeszło, zanim oczy złapały ostrość.

— *In quidem*[2].

— Siódemka… nie! Ósemka… ale — spojrzał w oczy Walczaka — jak tu wchodziliśmy, to dałbym jej najwyżej pięć. A teraz chętnie bym pomerdał tą błyskotką.

— A ta blondyna? — pokazał palcem, ale szybko go schował.

— No dycha! — niemal wrzasnął. — A co cię tak wzięło?

— Tak sobie coś przypomniałem z tym konfliktem interesów.

— Właśnie, o co ci chodziło? — Pochłonął kolejny haust bursztynowego nektaru.

— Podobno to plotka, ale skoro już zacząłem…

Skalski ziewnął, a Walczak zaczął opowieść:

— Pamiętasz żonę komendanta?

— Którą? — Skalski zachowywał jako taką orientację.

— Obecną! To chyba już trzecia, jeśli mnie pamięć nie myli. — Walczak się zafrasował, bo sam nigdy żadnej nie miał. — Najmłodsza i najładniejsza w jego życiu.

— U mnie ma dziewięć punktów.

— I nie tylko u ciebie. Pół komendy za nią łypie.

— Ma Zakuty Łeb szczęście.

— Raczej pozycję, a babki na to lecą. Ale mniejsza z tym. Kolejne żony rzucały komendanta, ale teraz chyba rola się odmieni… Słuchaj! Pojawił się przedwczoraj rano w pracy. Jak zawsze. Ale był wyjątkowo niewyspany i przypomniał sobie, że zostawił akta spraw w mieszkaniu. Miał pecha, bo musiał przyjechać taksówką. Wcześniejszego wieczoru zdrowo się urżnął. Poprosił zastępcę, by zrobili rundkę do domu i z powrotem jego autem. Żaden problem. Zawozi go, szef wchodzi do mieszkania, a tam… trzech kolesi obraca panią komendantową!

— Że co? — Skalski zadławił się, aż mu piwo nosem wyszło.

— Wszystkie dziurki zajęte! Gorące krzesła czy raczej klasyczny konflikt interesów.

— Ależ… kuźwa… chrzanisz, Walczak… — Krztusił się, aż pociekły mu łzy.

— I wszyscy, normalnie, mundurowi…

— Byli ubrani? — dopytywał Skalski zdziwiony.

— Nieee — oburzył się. — To byli jego ludzie! Podwładni! Skończyli zmianę i wracali po służbie. Czaisz?

— W Głowie… w pale… to znaczy, no… nie mieści się!

— Jak wszystko zajęte, to się nie mieści — zarechotał rubasznie Walczak.

— I co teraz? — Skalski wracał do siebie, ale stół zdążył mocno zachlapać.

— No właśnie! Plotka niesie, że jego damę zabawiała szersza grupa, ale padło na tę trójkę, która miała wtedy swego rodzaju dyżur. Zawiesił ich, ale

o innych jeszcze nie wie. Nie ma pojęcia, że istniał jakiś grafik. Na razie. Teraz siedzą cicho i boją się, czy szanowna dama nie puści farby.

— W sumie… to chore jakieś.

— Samo życie.

— Żałosne.

Walczak zamilkł, rozumiejąc, że Skalski dotarł do kolejnego checkpointu: dekadencka nostalgia i melancholia.

12
22.59, bar DNA

Skalski przeciągnął się niezdarnie i delikatnie, zupełnie przypadkowo, trącił palcami przechodzącą obok barmankę. Osłupiała zdążyła tylko krzyknąć:

— Przepraszam!

— Co… ten… nic się nie stało — odpowiedział równie zaskoczony, ale w wolniejszym tempie.

Na szczęście kobieta miała pustą tacę i na tyle wyrozumiałości, by nie zdzielić go kuflem po głowie.

— Waaalczak… — zwrócił się do przyjaciela. — Sssłuchaj…

— Taaa? — Ten bazgrał coś ołówkiem po papierowej serwetce.

— Myślisz… tego… że celowo mnie zaaaczepiła?

— Nooo… nie wiem. — Kończył zapiski.

— Szkoda, że teeego… no… Czerskiego… nie zaaaprosiłeś.

— Jeszcze nie dojrzał do naszych spraw. Niech się nacieszy swoją kobietką.

— No tak! Młody jest… i mu w głowie tylko te… ko… ko…

— Komputery — pomógł Walczak. — A widziałeś ty ją kiedyś?

— Jego babkę? Kiedy? Znamy go od… od… od… — Nieudolnie próbował coś sobie przypomnieć.

— Od poniedziałku — dokończył Walczak. — Też nie widziałem. To może zakładzik?

— A jak… oobstawiasz? — Oparł łokieć o mokry stół, a głowę zwiesił na otwartej dłoni, jakby mu strasznie ciążyła. Miał coraz większe problemy z akomodacją wzroku.

— Myślę, że to jakaś w miarę atrakcyjna, o neutralnej twarzy, raczej szczupła, niezależna i pewna siebie dziewczyna. Inteligentna. Ma maksa na mojej skali. Kręcone włosy, średni biust, długie, szczupłe nogi…

— Przyjmuję saaakład! — wybełkotał Skalski. — Ja myślę, że to… laczej osoba oootyła… w okulalach… ma klóóótkie włosy… obfite pielsi… uuuśmiechnięta i psz… przymilna. Bip… bip… bib… bibliotekalka albo uszętnik państwowy. Mosze skarbówka? Pewnie bobsze gotuje i rano lobi mu kanapki.

— Skalski! — Walczak się obruszył. — Mówimy o jego dziewczynie, nie o matce!

— Czego się buszysz? — Skalski czknął. — Sakład to sakład, nie?

— Czyli ile punktów?

— Tszyyy.

— Na mojej czy… twojej skali?

— Mojej, cholera. Dlaszego… — zapytał, chwytając kufel — nie uznajesz skali… siesięciopuntowej?

— Bo ucina pogawędkę — wyznał szczerze Walczak. — Trzystopniowa jest najlepsza.

— Wyjaśnij — sapnął zmęczony.

— Mówiłeś, że dałbyś tamtej barmance osiem punktów, nie? — Skalski skinął niezdarnie i chrząknął. Oczy mu się lekko zamykały. — A ja bym

dał, dla przykładu, siedem. I co wtedy? Nic… przeszlibyśmy do innego tematu. Zero dyskusji, żadnej wymiany zdań. Temat zamknięty! Ty osiem, ja siedem, spoko, niech będzie. A tu chodzi o to, by pogadać, podyskutować, a nawet się pokłócić. Gdybyś dał dwa, a ja trzy, to pytanie brzmi: dlaczego, do cholery, dałeś dwa? Co skłoniło cię do tak surowego osądu? Mówisz, załóżmy, że góra, czyli twarz to jeden punkt, środek, deska, zero i nogi jeden punkt. Razem dwa. A ja wtedy, co z tego? Ale fajnie się z nią rozmawia, lubi psy i spacery. Uroda to maks jeden punkt, bo są jeszcze inne rzeczy. Rozumiesz?

— Nolmalnie moszesz to… — Skalskiemu kleiły się oczy i luzował język — dodać do siesięciu. I nie szeba myśleć. Uroda tfa pun… kty — czknął — gotowanie kolejny… gadka szmatka… i tak do… masymalnie… siesięciu.

— I skończymy tak: ja dam siedem, ty osiem, kiwniemy głowami na zgodę i koniec. Do kitu!

— Do kitu — przyznał Skalski, wyprostował się i wrzasnął: — Piwo!

— Jeszcze nie skończyłeś tego! — Walczak wskazał mu jego kufel.

— Aaaa… racja. Jeszcze nie szeba. — Przetarł oczy i potem je zmrużył. Chwilę wpatrywał się nieprzytomnie w bąbelki wzlatujące do góry i kiwnął głową, smutno oświadczając:

— Sastąpią nas Szerscy i komutery…

— Zmiana pokoleń to normalna sprawa. Starzy odchodzą, młodzi przychodzą…

— To soś więcej, Walczak…

— Tak myślisz?

— Nauka, kameeery, komuteeery, inteeernet… To nie naszsz szwiat.

— My łapiemy złych ludzi.

— Soras słabiej… nam to… wychosi. Szeba monszejszych od nas… uszonych, kuśfa… A dla nas? — Otworzył szerzej oczy. — Nic!

— Tak. Świat oszalał. Ludzie myślą, że są wolni… Dla ochrony tej wolności dają się beztrosko znaczyć, obserwować, śledzić. Dzielą się, bez żadnej refleksji, przed innymi swoim życiem, prywatnością, myślami… Nie tylko bliskim… wszystkim ludziom. A czy jeszcze są jacyś bliscy? To depresja całego pokolenia krzycząca o uwagę. Usiądzie taki jeden w tramwaju obok drugiego, napisze na komórce, jaki smutny dzień, jak mu źle. Do kogo to wyśle? Nawet nie wyjrzy za okno, nie odezwie się do sąsiada, bo ten też się żali swojej komórce. Nikt tego nie przeczyta! Kogo to obchodzi? Najpewniej tych o złych intencjach. A my potem musimy ich łapać. Złodziei, naciągaczy, pedofilów. Coraz trudniej ich dorwać, bo świat robi się coraz bardziej skomplikowany. A wystarczyłoby, jakby jeden człowiek zagadał do drugiego…

— Sam wisisz… jess soraz trudniej. W pszyszośści nie becie policji. Tylko duuuuszy komuter. — Skalski rozłożył szeroko ręce. — I Szerski, co stuka gusiczki.

— Tak to jest, stary, jak świat nie rozumie, dokąd zmierza. Jak ludzie myślą, że wiedzą lepiej, czego im trzeba.

— O so ci chosi?

— Znasz moje poglądy. Obaj walczymy ze złem. Po swojemu, według swoich przekonań. Ja wiem, co jest na końcu drogi. Ale czy ty wiesz?

— Jesem niewieszący. — Pokiwał palcem. Jego całe ciało chwiało się na boki.

— Dlatego nie wiesz, dokąd zdążasz. Los, przypadek i nic więcej?

Skalski przerwał mu zdecydowanie:

— Mosze i nie wiem… ale to wieszący idą do… swojego wyma… wymaga… wyimagony… kuśfa!… wymyślonego selu.

Walczak, nie słuchając przyjaciela, ciągnął dalej:

— No więc pytanie brzmi: dokąd ta historia zmierza? Czy istnieje jakieś rozwiązanie? Czy odnajdzie się samo podczas ślepej wędrówki? A może to prostsze, niż się wydaje. Nasza wspaniała cywilizacja szuka jedynie najlepszego sposobu wegetacji. Ewentualnie jakiejś formy maksymalizacji zadowolenia. Tylko po co to komu? Jeżeli to potrzeba istoty ludzkiej określa kierunek rozwoju, to co jest dalej? Ucieczka do innego świata czy droga do nieśmiertelności? Czas upływa, wszechświat się starzeje, człowiek ewoluuje. Może należy, według ciebie, przyspieszyć i dokonać genetycznej przemiany naszego gatunku, by poczuł, że to koniec drogi? Czy będzie szczęśliwy? A może trzeba jego całą świadomość przenieść do komputera? A tam, bez biochemii uczuć, wyzuty z instynktów przeżyje wirtualny… raj? Czy to jest ta droga? Czy tylko namiastka, imitacja, omam… halucynacja? Już dziś widzę takich osobników. Z głową w komputerach. W nowym, lepszym świecie… świetnie zaprojektowanym. Znerwicowani albo nieszczęśliwi. Istny raj. Raj, który zgaśnie wraz z prawdziwym kosmosem.

— Musze sie segooś napić — skwitował Skalski rad, że i Walczak osiągnął swój checkpoint.

13
23.59, bar DNA

Skalski oparty głową o blat stolika odpłynął w niebyt. Walczak pokiwał z litością głową, bo zawsze, kiedy otwierał mu się umysł, gasł on u przyjaciela. „A może to odwieczne prawo zachowania energii?” — zamyślił się, wchodząc w ten sposób na ulubioną ścieżkę rozmyślań. „Zasada zachowania świadomości?”

Oczami wyobraźni zobaczył, jak z fragmentów zdarzeń i faktów dochodzenia składa się, na podobieństwo układanki, jeden obraz sprawy. Prowadził do jednej osoby. Przestraszył się tego, co zobaczył. Rozejrzał się, przetarł ręką spoconą twarz i zdecydował, że nie może tak tego zostawić. Odwrócił serwetkę na drugą stronę i zaczął nerwowo pisać. Wysilał umysł i modlił się, by obraz nie zniknął.

W tym momencie Skalski przebudził się i głośno beknął. Nieprzytomnie podniósł głowę.

— Szszczerski szpi… szpiszcie lapolt i szosztafcie na pióI… ku. — Głowa Skalskiego ponownie uderzyła o stolik.

Walczak nie przestawał notować. Gorączkowo przelewał słowa mające odmalować projektowany w jego umyśle wzorzec. Lista powiązań, implikacje i zbiory zachodzące na siebie. „Szukamy części wspólnej i…”

— Falczak, co fy odbiel… odiel… opieldalacie? — Głowa Skalskiego znowu walczyła z siłą grawitacji. Zdumiał się niewymownie, widząc przyjaciela z szalonym spojrzeniem i ciągle coś bazgrzącego na blacie. — So to za robaki maszecie? Ten lapolt… jest nieszytelny! Baszność, jak do was mówię!

— To jest, to… — Walczaka irytowało to rozproszenie i rzucił na odczepnego. — To jest rachunek zbiorów.

— Oooo nie! — Skalski oburzył się, trzeźwiejąc na sekundę. — Ja płacę za rachunek! Z napiwkiem!

Walczak zerknął na twarz przyjaciela. Do czoła przykleiła mu się podstawka od piwa. Cztery duże, tłuste litery zaszokowały Walczaka. Znak? To słowo brzmiało: OMId.

— Wiesz, co masz na czole? — zapytał.

— So? Gdzie?

— Zgaduj!

— O so si… chosi? — Skalski wykrzywił usta.

— Podpowiem… Perskie imię oznaczające nadzieję — oznajmił i pomyślał: „To musi być znak z samej góry!”.

Skalski ślamazarnie zdjął z czoła podstawkę, sycząc „kufa”. Czknął, odwrócił głowę i zawołał, podnosząc trzy palce do góry:

— Szy piwa!

Nie wiadomo, po co chciał wstać, ale zwalił się na podłogę, przewracając za sobą krzesło. Cofnęło go i… w ten sposób sięgnęli dna w barze DNA.

Teraz mogli się już tylko od niego odbić.

---

[1] *Bene est!* (łac.) — Dobra robota!

[2] *In quidem* (łac.) — W istocie.

Rozdział 8

Dzień sprintu 6/10. Poniedziałek

1
7.55, w drodze do RCUS-u

Donatan Relik, jadąc do pracy, czuł się skrajnie wyczerpany. Cały weekend intensywnie harował w biurowcu Cloud Bridge. W niedzielę, po przespaniu tam niespełna dwóch godzin i kolejnych ośmiu ślęczenia nad kodem, musiał wrócić na bieg i go dokończyć. Jazda na miejsce, forsowny odcinek wyścigu, a potem późny powrót do domu dawały o sobie znać. Oczy piekły, mięśnie bolały — już nie te lata. Pragnął odpocząć. Ale doskonale wiedział, że to nie będzie dzisiaj możliwe. Miał w firmie jeszcze coś do zrobienia.

Zastanawiał się też nad wiadomościami, które odsłuchał dopiero poprzedniego wieczoru. Dotyczyły śmierci Kiliana Osika. Trapiło go, jak zachowają się ludzie. I co zrobi kierownictwo. Teraz może ich lepiej wysondować. Dobrze, że odważnie skrócił dystans do najważniejszych ludzi w firmie i wchodzi w ich światy. Teraz może wpływać zarówno na jednego, jak i na drugiego dyrektora, nastawiać ich przeciwko sobie lub wspomagać, jeśli tylko będzie to korzystne dla jego własnego interesu. Trzeba tylko cierpliwie poczekać na moment powołania nowego szefa ośrodka, a wtedy wykona decydujący ruch.

Zjeżdżając z obwodnicy, dostrzegł znajomy budynek firmy i westchnął. Wschodzące zza biurowców słońce wieściło niepewny los budzącego się dnia. Będzie on inny od każdego wcześniejszego, który znał. I nie tylko on,

bo i każdy następny będzie przynosił jakieś niespodzianki. Oto nadszedł czas niezwykły i pełen nieprzewidzianych zdarzeń.

2
8.00, RCUS, zespół de Bugaja

Poniedziałek, jak zwykle, był najgorszym dniem pracy. Iteracja w zespole trwała dwa tygodnie, więc każdy poniedziałek był albo pierwszym, albo środkowym jej dniem.

Pierwszy dzień iteracji był nieprzyjemny. Planowanie, co jest do zrobienia przez najbliższe dwa tygodnie z uwzględnieniem tego, co się zawaliło w poprzednich dwóch, było bardzo deprymujące. Na tablicy pojawiały się nowe zadania, które często trudno było zrozumieć. Nie wiadomo, jak się do nich zabrać, a nade wszystko — jak je zakończyć, by koledzy i przełożeni byli zadowoleni. Wybór łatwego lub ciekawego tematu był całkowicie przypadkowy. Równie dobrze można było wziąć coś z pozoru przyjemnego i lekkiego, co szybko okazywało się koszmarem prowadzącym na skraj obłędu i załamania nerwowego. Bartłomiej Lewin miał wrażenie, że ma wyjątkowego pecha do takich wyborów.

Kolejny poniedziałek, czyli środkowy dzień iteracji, był niczym środek tunelu — nie było już widać ani początku, ani końca. Zadania były kompletnie rozgrzebane, bez żadnych perspektyw na ich zakończenie nie tylko w tym tygodniu, lecz także w przyszłym miesiącu. Lewin sam zdawał sobie sprawę, że podchodzi do tego zbyt pesymistycznie i koniec końców zazwyczaj oddawał działający kawałek kodu, ale regularnie co dwa tygodnie wpadał w głębszą depresję zawodową i nieco więcej czasu poświęcał wówczas na przeglądanie ofert pracy.

Do tego mało entuzjastycznego podejścia nakładały się u niego jeszcze czynniki typowe dla większości pracującej części społeczeństwa — po dwóch dniach wypoczynku albo ostrego balangowania trzeba było wrócić do biura, mając w perspektywie spędzenie w nim kolejnych pięciu dni. A piąty dzień w każdej iteracji wypadał albo w jej środku — i był równie czarny jak następny poniedziałek; albo na końcu — kiedy trzeba było spowiadać się z wykonanej pracy. Było to wysoce stresujące, zwłaszcza jeśli zadania były zrobione po korporacyjnemu: byle jak, byle szybko. Jeszcze mniej pociągające było spowiadanie się z pracy niewykonanej. Jedynym plusem piątków było nieco więcej czasu spędzanego w kuchni na gadaniu o dupie Maryni.

Dziś od samego progu firmy powitały go ponure spojrzenia strażnika i recepcjonistki. Większość spotkanych po drodze do biurka znajomych była albo zafrasowana, albo wystraszona. Od wyjątkowo licznych o tej porze grupek dobiegały go strzępki słów:

— …to nieprawdopodobne…

— …kto następny…

— …miałem iść do labu, ale pierdolę, nie idę.

— Pójdę z tobą.

— Pójdziesz ze mną, a wrócisz sam. Pierdolę, nie idę.

— …wszyscy zginiemy…

W okolicach kubika Lewina zaczepił go kolega z zespołu.

— Słyszałeś już? — zapytał.

— O czym?

— Czyli nie słyszałeś… Przeczytaj maila od prezia.

Lewin cisnął plecak pod biurko i włączył komputer. Czekając na jego uruchomienie, gapił się tępo w ekran. Zarejestrował w umyśle, że stało się

coś ważnego, ale nie skupiał na tym myśli. Te krążyły wokół spotkanej wczoraj na cmentarzu kobiety.

Czuł się okropnie z powodu tego, co jej powiedział. O wypadku Nikodema, o atmosferze panującej w firmie, o plotkach tutaj krążących. Dopiero po całej rozmowie zorientował się, że niczego się od niej nie dowiedział. Nie znał nawet jej imienia. A to, że się przedstawiła jako sekretarka, było kłamstwem. Szkoda, że zdradziła się dopiero pod koniec rozmowy.

Westchnął ciężko i oparł głowę na rękach, czując, jakby ważyła tonę. To pewnie skutek nieprzespanej nocy. Miał gonitwę myśli związaną z sytuacją na cmentarzu i zasnął, dopiero kiedy zaczynało świtać.

Komputer w końcu się uruchomił i Lewin kliknął ikonę poczty.

W nocnych rozmyślaniach doszedł do absolutnie pewnego wniosku, że kobieta była dziennikarką. Niech to szlag. Jeśli go nagrywała, jeśli zacytuje jego słowa dosłownie, jeśli go zidentyfikują… wyleci dyscyplinarnie z roboty. Wredna suka, nie przesadził, prawdziwa hiena cmentarna.

Program pocztowy się otworzył. Jak zwykle kilkanaście maili do przeczytania. Wiadomość od prezesa była wysłana w niedzielę o dwunastej. Prezes siedział w biurze w sobotę do północy? — zastanowił się Lewin — pewnie chcą go wylać i próbuje udawać zapracowanego…

Z żalem zawiadamiamy, że Kilian Osik, nasz Kolega i Współpracownik, zmarł w sobotę nad ranem. Chcemy też uprzedzić plotki i nastroje, i informujemy, że śmierć ta nie miała nic wspólnego z okolicznościami poprzedniego wypadku. Kilian Osik ciężko chorował i jego serce nie wytrzymało przyjęcia nadmiernej ilości leków.

Prosimy o uszanowanie pamięci naszego Kolegi i powściągliwość w komentowaniu tego tragicznego zdarzenia. Odpowiedzialne zachowanie to jedyna godna postawa w obliczu takiej tragedii. Jednocześnie

przypominamy, że do publicznego wypowiadania się w sprawach dotyczących naszego ośrodka upoważniony jest wyłącznie właściwy personel Public Relations.

***

Zdowacką zmroziło. Czas jakby stanął. Szok. Kilian nie żyje? Jeszcze w piątek jadła z nim obiad! Tempo bicia serca i siła jego uderzeń rosły, jakby nigdy nie miały się zatrzymać. Ręce mimowolnie poczęły się trząść zupełnie poza kontrolą umysłu. Oczy rozbiegały się chaotycznie po tekście oficjalnego oświadczenia firmy, wracając ciągle do zdania, że Kilian Osik zmarł w sobotę.

„O co chodzi?” — to jedyne, co mogła wydusić z paraliżującej mieszaniny wstrząsu i strachu. Zlana potem zaczęła widzieć niewyraźnie. „To łzy” — spostrzegła. Rozpacz musiała znaleźć jakieś ujście. Po chwili makijaż rozpływał się po twarzy, więc zasłoniła ją chusteczką. Co za niesprawiedliwość losu! Odbiera najcenniejszą rzecz, jaką mamy. Wstała i uciekła do damskiej toalety, gdzie zwyczajnie mogła wydać rozrywający, pierwotny jęk ludzkiej strony człowieczeństwa — ból straty. Szloch wstrząsał nią raz po raz, nierówno, pomiędzy spazmami przeraźliwego lamentu a apatycznym zawieszeniem. I minęło dobre pół godziny, nim przeszła pierwsza fala reakcji godzenia się z okrutną prawdą.

„Najpierw Nikodem, teraz Kilian” — to była pierwsza poskładana myśl Zdowackiej. Przywróciła się do porządku i wyszła z toalety. Udając obojętny wyraz twarzy, szła niepewnie na trzęsących się nogach. Droga powrotna dłużyła się okrutnie, ale kobieta wreszcie dotarła na miejsce. Usiadła przed komputerem i kilkukrotnie próbowała przeczytać jakiś dokument, ale percepcja faktów zupełnie nie funkcjonowała. Przymknęła oczy, próbując zebrać myśli.

„Dlaczego oni?”

Powoli chłodna analityczna część jej osobowości wygrzebywała się z paraliżu emocjonalnego. Zaczęła składać fragmenty myśli. Tak, obie osoby były jej bliskie, znała je i lubiła. Dlatego to tak bolało. Ufali sobie, pomagali i wspierali nawzajem tyle razy. W pracy byli skupieni na zadaniach, które wykonywali. Potrafili myśleć samodzielnie. Może cała ich trójka zbyt osobiście podchodziła do wyzwań, zbyt wiele serca wkładała we wspólne działania. Taka mentalna solidność i solidarność. Nigdy nie ignorowała ich opinii ani wątpliwości, bo często wyłapywali istotne luki czy błędy w założeniach. Uratowali tym niejeden projekt. Zaoszczędzili firmie mnóstwo pracy, która byłaby do wykonania w konsekwencji czyichś zaniedbań. Widziała, że obaj współpracują i sobie pomagają, choć od dłuższego już czasu wchodzili w skład innych zespołów. I pomyśleć, że ten najbardziej obiecujący system, którego pierwsze zamówienie już zakontraktowano, okazał się ich ostatnim. A było jeszcze tyle do zrobienia! Teraz — bez Kiliana i Nikodema — nie będzie łatwo.

„Z kim kompetentnym ja tam teraz będę rozmawiać?” — pomyślała z goryczą.

I wtedy poczuła chłód, lodowate ukłucie w sercu. Dreszcz przeszył momentalnie jej ciało, kiedy w jej umyśle zrodził się pewien złowróżbny wzorzec. „Obaj umarli w dość niejasnych okolicznościach. Obaj znali się dobrze i pracowali nad naszym wspólnym przedsięwzięciem. A ja…” — rozmyślała i zakrywszy twarz dłońmi, szepnęła cicho:

— Z naszej trójki zostałam już tylko ja.

3
10.00, RCUS

— Jak my teraz, kurwa, skończymy iterację?! — wrzeszczał Norman Weiss, menedżer średniego szczebla na niższych stopniem kierowników Tymoteusza Cezarczuka i świeżo mianowanego Feliksa Taudera.

Widmo niemiłej rozmowy z Maksem Szeflerem doprowadziło go do ataku dzikiego szału. Nie wytłumaczy się z kolejnej obsuwy terminów. To już będzie dyscyplinarka jak nic.

— I jak skończymy cały ten projekt, ofermy?! — Wpatrywał się w nich nienawistnie.

— Agile mówi o deferowaniu zadań… — zaczął Tauder, ale nie był to majstersztyk wyczucia nastroju, bo ten mu przerwał naładowany złą energią. Po prostu na to czekał:

— Ale nie w nieskończoność! Czy wy potraficie, ścierwa korporacyjne, coś skończyć na czas? Tyle planowania, akcji mitygowania ryzyk, spotkania, ustalania, risk trackery, coachowanie i diabli wiedzą co jeszcze. I zawsze to samo! OBSUWA! Niemoty cholerne!

Spuścili głowy w poczuciu winy. Krzyk z pewnością przechodził przez cienkie ścianki małej sali, więc nie mógł ukryć przed załogą, jak się sprawy mają.

— Ale to siła wyższa! — zerwał się Cezarczuk. — Kto mógł przewidzieć, że on umrze?

— I że aresztują Diukiewicza… — cicho wtrącił Tauder.

— A jaka, kurwa, różnica, czy umrze, czy rzuci papierami i odejdzie? To powinna wam, drodzy geniusze zarządzania, załatwić cross-funkcjonalność. ZASTĘPOWALNOŚĆ RESOURCE’ ÓW! — zasapał się i dodał: — Pożytku z was tyle co z polipa w jelicie.

— Dopiero co przejąłem obowiązki! — próbował się bronić Tauder. — Kiedy miałem się zapoznać…

— Byłeś zastępcą Diukiewicza, powinieneś mieć na bieżąco oko na wszystkie sprawy, którymi się zajmował. Taki jest sens bycia zastępcą! Nawet tamtej roli nie wypełniałeś należycie. Co za amatorszczyzna!

Nastała cisza. Weiss przechadzał się tam i z powrotem, próbując rozładować swój gniew. Uspokoiwszy się nieco, przystanął i rzekł:

— Za godzinę u mnie z planem, który pozwoli skończyć tę iterację tak, jak to miało być od początku. Żegnam!

Wybiegli, jakby faktycznie wierzyli, że coś jeszcze można uratować. Tą starą sztuczką z limitem czasu Weiss uniemożliwił im wzajemną komunikację, bo każdego pochłonie własny problem i własna grupa. Ludzie zajmą się czymś i nie będą spiskować.

Weiss zastanowił się chwilę. Właściwie Szefler powinien zaakceptować nadgodziny dla zespołów, bo budżet departamentu jest pod kontrolą. Taką relację zdał im przecież w zeszłym tygodniu na zebraniu wydziału. Musi tylko zakomunikować ten problem, dobierając właściwe słowa. Nie musi go straszyć wszystkimi utrudnieniami, o których wiedział. Wystarczy jedno, byle tylko dyrektor zgodził się na poluzowanie kasy departamentu. To mogło przedłużyć agonię i jego własną egzystencję. A w tym czasie coś się wymyśli. Sięgnął po telefon i oczami wyobraźni sycił się obrazem, jak tamci dwaj wrócą z głupimi pomysłami, kajający się, a on im da takie proste i skuteczne rozwiązanie!

4
10.30, mieszkanie komisarza Walczaka

— O Jezuuu! Moja głowa!… — jęknął Skalski.

Próbował przyjąć pozycję wertykalną, ale ból był na tyle silny, że do kuchni udał się na czworakach. Niespodziewanie uderzył głową o metalową miskę. Ku swej radości skonstatował, że była wypełniona po brzegi zimną wodą. Cud? Łapczywie przyssał się do miski i zaczął pić, równocześnie odpychając nogą warczącego na niego owczarka niemieckiego. Wyglądał znajomo, ale to nie wystarczyło. Pies szarpnął go za nogawkę. Wobec tak agresywnej postawy Skalski odwrócił głowę i szczeknął groźnie. Osłupiałe stworzenie położyło uszy po sobie. „To Abstynent” — przypomniał sobie Skalski. Ponoć pił tylko wodę. Walczak opowiadał, jak próbował go kiedyś nauczyć picia mocniejszych trunków — bez skutku. Zawsze kończyło się tym, że zwierz w proteście obsikiwał mu buty.

Do jego uszu dobiegło głośne chrapnięcie Walczaka.

— Co Walczak robi w moim mieszkaniu? — zdumiał się, ruszając ostrożnie w kierunku dźwięków przypominających piłowanie drewna. Zaplątał się w psią smycz i gdyby nie fakt, że trzymał się obiema rękoma futryny, padłby jak długi.

— Co JA robię w mieszkaniu Walczaka? — Poprawił się. — Walczak! Walczak! Budź się, do cholery!

Przypomniało mu się, jak poprzedniego wieczoru wywalili ich z knajpy, uzasadniając to późną porą. Chociaż nie… Chodziło chyba o coś innego. Jakaś podłoga? Chciał wezwać wsparcie, ale nie mógł odblokować telefonu. Pamiętał jeszcze, że potem poszli pić do parku, gdzie wdali się w pyskówkę ze strażnikami miejskimi. Zaczęło się niewinnie — Walczak obraził ich, przyrównując do wampirów żywiących się krwią bezbronnych ludzi wracających spokojnie do domu. Krwią z pewną promilową zawartością, oczywiście. Odgrażał się potem, że ma znajomości na samej górze. Co dokładnie miał wtedy na myśli? Skalski długo tłumaczył

Walczakowi, że „on to by ich najchętniej wszystkich zwolnił”. Od izby wytrzeźwień ocalił ich tylko fakt, że strażnicy też byli wstawieni.

— Walczak! Walczak! — krzyknął, szarpiąc go za ramię.

Walczak mlasnął i obrócił się na drugą stronę.

Skalski postanowił zmienić taktykę.

— Mam komandosa — powiedział kusząco do ucha. — I chyba sam go wypiję…

Oczy Walczaka szeroko się otworzyły. Obrócił głowę i Skalskiego owionął smród przetrawionego alkoholu.

— Komandos? Zielony? Gdzie go masz? — wychrypiał. Na nieogolonej, spoconej twarzy zajaśniał błysk życia. Po brodzie spłynęła mu lśniąca kropla śliny, ale to już nie mogło pogorszyć jego wyglądu.

— Wstawaj, mamy sprawę do rozwiązania. No i trzeba nakarmić Abstynenta. Jedzenie mu się skończyło. Woda zresztą też…

Walczak poczochrał się po głowie. Miał wrażenie, że coś ważnego mu umknęło.

— Aleśmy wczoraj dali w palnik… — bełkotał zafrasowany, wstając. — Jaki dziś mamy dzień? — skupił się na wymowie z częściowym tylko sukcesem.

Skalski zmrużył oczy i potarł się po skroniach, oznajmiając:

— Poniedziałek…

— Czyli czas łapać bandytów.

— Rzucamy monetą, kto prowadzi wóz?

Walczak zamrugał oczami. Wyzwania, jakie stawiał dzisiejszy dzień, nie docierały do niego jeszcze w pełni. Poklepał się po kieszeniach.

— Nie mam monety.

Skalski również przeszukał kieszenie.

— Też nie mam — zafrapował się. — W takim razie… — Zatrzymał się w pół zdania.

Na stole stojącym tuż przy oknie spostrzegł broń Walczaka. Przyszło mu do głowy coś nie do końca przemyślanego.

— Zrobimy test celności! — Zbliżył się do parapetu i wskazał na gzyms budynku po drugiej stronie: — O! Widzisz tam?

Walczak wytrzeszczył przekrwione oczy, aż zapiekły niemiłosiernie.

— Jastrząb? Tutaj?

— Gołąb, jełopie! Wygrywa ten, kto w niego trafi! Strzelam pierwszy! — oświadczył Skalski i pewnym ruchem chwycił pistolet.

Odbezpieczenie broni i celowanie zajęło mu mniej niż sekundę. Oddał jeden strzał.

Dopiero potem pomyślał.

— Skalski, kurwa… mogłeś najpierw otworzyć to jebane okno — jęknął Walczak, spoglądając na rozsypane po pomieszczeniu kawałki szkła. Huk wystrzału dostatecznie ich rozbudził, aż w uszach piszczało. Bolesne poalkoholowe pulsowanie w głowie przybrało na sile. Skalski otworzył okno i wyjrzał. Posypały się jakieś odpryski. Na dole jakaś kobieta wydzierała się przerażona.

— Wszystko w porządku! Jesteśmy z policji! Sytuacja opanowana! — odkrzyknął, uśmiechając się przyjaźnie i ostrożnie zamknął okno.

Gołąb zwany jastrzębiem przeżył kolejny dzień. Kierowca został wybrany.

***

Skalski i Walczak na komisariat pojechali jednak tramwajem. Powód był prozaiczny; nie mogli odnaleźć kluczyków do wozu. Breloczek — mały policyjny samochodzik migający LED-ami — pozbawiony był nawet

metalowego kółka. Skalski jak przez mgłę przypomniał sobie, że w nocy go wyciągnął, włączył światełka i nakazał radiowozowi przywieźć jeszcze coś do picia. Ale co się stało z kluczykami?

Przez jakiś czas wzajemnie się obwiniali. W końcu, machnąwszy ręką, zdecydowali się na transport komunikacją miejską. Od mieszkania do komendy były zresztą ledwie trzy przystanki. Wagon był w połowie zapełniony, więc z ulgą zajęli miejsca siedzące. Po chwili nieco się wokół nich rozluźniło, nie wiadomo, czy za sprawą wyglądu, czy zapachu, i swobodnie zajęli cztery miejsca. Jakaś babinka pokręciła głową z dezaprobatą.

— Coś nie tak, brzydka kobieto? — zaczepił ją grubiańsko Walczak. Nienawidził takich spojrzeń.

— Pan jest pijany! — Odważyła się.

— Zgadza się — odrzekł ze złośliwym uśmiechem — ale do jutra mi przejdzie, a tobie, kobieto, tak zostanie.

Ta ostentacyjnie oddaliła się na drugi koniec wagonu. Dalej jechali już w spokoju, ale stary komisarz zaczął niespokojnie drapać się po głowie.

— Widzę, że coś cię męczy. I chyba nie tylko kac — zagaił Skalski.

Walczak zamrugał przekrwionymi oczami.

— Mam wrażenie, że wczoraj dokonałem jakiegoś ważnego odkrycia… Za cholerę nie pamiętam, czego ono dotyczyło. Ale czuję, że to było ważne. Męczy mnie to strasznie…

Skalski poklepał go po plecach.

— Masz na myśli te zapiski na serwetce?

Walczak wytrzeszczył oczy.

— Że jak? O czym do mnie mówisz?

— Przez pół nocy darłeś pysk o tym, jaka to eureka!

— Że ja coś takiego mówiłem? Coś mi się widzi, że chyba nadal jesteś na bani… — popatrzył na niego z troską.

Skalski poczerwieniał ze zdenerwowania i zaczął przeszukiwać kieszenie. Po kilku sekundach triumfalnie wyciągnął pomiętą, mokrą serwetkę z nabazgranymi drobno zapiskami i wcisnął ją do ręki Walczakowi. Ten z ogłupiałą miną prześledził kilkukrotnie jej zawartość.

— No i?

— Hmm… No, no… Wygląda to całkiem zgrabnie. — Gwizdnął z podziwem, a następnie głośno czknął.

— No to może powiesz w końcu, co to jest?

— Eee… A bo ja wiem? — zastanowił się Walczak. — Jakieś kółko i osiem oznaczeń na obwodzie… Jak zegar. Ale o co mi chodziło?

— Jakieś litery? Skróty?

— Czytając zgodnie z ruchem wskazówek zegara, to: Fr na dwunastej i dalej A, R, Sz, Fa, Ra, Diuk, Fi.

— Inicjały podejrzanych?

— Możliwe — chrząknął niepewnie. — Fr jak Frost, A jak Aivar… i tak dalej. Pasuje! Dopiszę, by się nie myliło. — Wygrzebał długopis z wewnętrznej kieszeni marynarki i dopisał, dociskając serwetkę do szyby:

Frost
Fierro *Aivar*
Diuk *Relik*
Rado *Szefler*
Farney

— A tam niżej? Masz tam coś jeszcze — zauważył Skalski.

— Tak… brzmi jak… hmm… instrukcja… Metoda Walczaka 8-6-3: Ustaw się na godzinie dwunastej, czyli inicjałach Frost. Wybierz dowolnie kierunek ruchu: prawoskrętny lub lewoskrętny, oraz magiczną liczbę od 6

do 10. Przesuń się w wybraną stronę o tyle pól, ile chciałeś. Skreśl dwie litery, na których z pewnością nie stoisz: Rado oraz Farney. Teraz, omijając skreślone litery, zmień kierunek ruchu na przeciwny i znów rusz się o tyle pól co wcześniej. Usuń wszystkie górne inicjały: Fierro, Frost i Aivar, bo i tak tam nie stoisz. Zostały ci trzy: Diukiewicz, Relik i Szefler. Znów zmień kierunek i rusz się o dwa pola. To on!

— Żartujesz? — zapytał zaskoczony Skalski.

— Właśnie… co tam… jak się zastanowić, to jakaś bzdura… — skwitował Walczak.

Skalski otworzył szeroko usta i już chciał coś wyjątkowo szpetnego powiedzieć, ale tramwaj akurat zatrzymał się na ich przystanku. Pomagając sobie nawzajem, wytoczyli się z niego i już w najlepszej przyjaźni, wolnym krokiem ruszyli do komendy.

Serwetka z zapiskami upadła na jezdnię, a następnie, pchnięta podmuchem przejeżdżającego samochodu, zniknęła w kratce ściekowej, wędrując prosto do czeluści kanału.

5
11.00, RCUS oraz komenda policji

Menedżerowie Tauder i Cezarczuk spotkali się ponownie po upływie godziny w umówionej sali. Rozsiedli się w grobowym milczeniu, złamani na duchu, wyprani ze wszelkiej nadziei i czekali na szefa, który dał im godzinę na opracowanie planu ratunkowego.

— Dupa i kamieni kupa — rzucił Tauder, jakby próbując zagadnąć, czy może wylać jakoś swoje żale.

— Ja straciłem jednego człowieka, a ty trzech: Nikodema, tego, no… „Brodatego”, nikt nie zna jego nazwiska… no i szefa Diukiewicza —

odezwał się drugi.

— Diukiewicz na pewno wróci za parę dni. To musi być pomyłka. — „Toudi” z trudem godził się z myślą, że jego mentor i przełożony mógł być przestępcą.

— Może i wróci, tylko czy nadal będzie tym samym człowiekiem? Wymyśliłeś coś?

— Tak. Skreślę numery na loterii. A potem zatrudnię się w AMOD-zie.

Klamka drzwi zazgrzytała i obaj poczuli uderzenie gorąca. Otworzyły się, ale postać nie wchodziła jeszcze, rozmawiając przez telefon. Zaschło im w gardłach. Nieuchronne stało u wejścia i jakby z nich drwiło. Wreszcie do środka wkroczył energicznie człowiek w garniturze.

— *Welcome*, chłopaki — powitał ich Maksymilian Szefler.

— Dzień dobry, dyrektorze — odpowiedzieli chórem. Podświadomie udzielił im się dobry nastrój gościa.

Szefler nie siadał, tylko obwieścił im, patrząc z góry:

— Pewnie to dla was *surprise*, ale przejmuję bezpośredni management w waszym projekcie. Od teraz raportujecie wprost do mnie.

Osłupieli. Nastała chwila napięcia i milczenia.

— A co z…? — próbował wymamrotać jakieś pytanie Tauder.

— Wasz były szef, Weiss, właśnie pakuje się do kartonowego pudełka w asyście strażnika. Zakończyłem z nim współpracę.

Siedzieli zmieszani. Podwyższone ciśnienie wciąż ich nie opuszczało. Niby powinni się cieszyć, ale podjęte drastyczne działania dyrektora nie pozwalały poczuć ulgi.

Szefler przyglądał im się chwilę, nim dodał:

— Wiele rzeczy się na to złożyło. Już wcześniej otrzymywałem zły *feedback*, jeśli chodzi o tę osobę, a dzisiejsza rozmowa przekonała mnie, że

to jedyna słuszna decyzja. Krótko powiem to, co mogę powiedzieć, ale zastrzegam, że to informacja tylko dla was, w sekrecie. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

— Wasz szef w niewybredny sposób był łaskaw dziś przedstawić pełną skalę problemów. Wy też je znacie, bo to wasze codzienne taski, żadna tam tajemnica. Ale Weiss ukrywał te fakty. Nie tyle nie pozwalało to nam, dyrekcji, na efektywną pomoc, ile było wręcz szkodliwe, co dzisiaj w pełnej skali do mnie dotarło. Jego zachowanie, brak respektu dla mojej osoby, próba zrzucania odpowiedzialności na was i na mnie, te idiotyczne pomysły… Cóż, ta persona nie pasuje do naszej organizacji. Na chwilę obecną przejmuję bezpośredni management, zanim sytuacja będzie opanowana i w pełni zaaprobowana.

— Tak jest, panie dyrektorze! — potwierdzili zgodnym chórem, promieniejąc radością, niczym skazaniec sprowadzany z szafotu.

— Rozumiem również, że ostatnie wypadki uderzają w morale wasze i waszych *coworkerów*. Dlatego pragnę was uspokoić. Pracujcie w normalnym tempie, żadnego tam *overtime'u*. Ja spróbuję ogarnąć ten bajzel, wyciągnąć ludzi do pomocy z innych grup. Z każdym *case' em* przychodźcie do mnie, wyznaczę właściwą godzinę, bo wiecie, mam też różne inne obowiązki. OK?

— Jak najbardziej — ucieszył się Tauder.

Dopiero teraz poczuli odprężenie, jakby ich niewypowiedziane nigdy modlitwy zostały właśnie wysłuchane.

— Jestem po waszej stronie — rzekł dobrodusznie Szefler. — Jedynie będąc razem, współpracując i rozmawiając ze sobą szczerze, przebrniemy przez ten ciężki czas. *Back to the job!*

— Dziękujemy, szefie! — krzyknęli radośnie i wyszli.

„Powodzenia" — życzył im w duchu Szefler.

Sytuacja była nieciekawa. Nie rozumiał, jak mógł tak długo pozwolić wodzić się za nos niekompetentnemu menedżerowi. „Kontrola podstawą zaufania” — przypomniało mu się stare hasło. Szkoda, że tak późno.

Wrócił myślami do świeżej rozmowy z tym toksycznym osobnikiem. Było to, notabene, arcyciekawe doświadczenie. Wystarczyło ignorować wymysły tego Weissa, aby wpadł on w istną furię. Najbardziej nieoczekiwany i jednocześnie najstraszniejszy był ten moment, kiedy zaczął ujawniać skrywane dotąd tajemnice. Widocznie łudził się, że wyciąga jakieś asy z rękawa i w ten sposób przekona Szeflera do jakichś absurdalnych działań. W istocie tylko się pogrążał. Szefler otwierał szeroko oczy ze zdumienia i słuchał, pobudzając rozmówcę monosylabą „nie” do skrajnych emocji. Szefler miał przed sobą niezrozumianego zbawiciela świata, Zaratustrę jakiegoś, który oto dzieli się swoim wybitnym intelektem i ofiarowuje całej ludzkości — czy może nieco skromniej: RCUS-owi — najlepsze recepty na sukces. Pomału pokonał szczebelki emocji poprzez ciskanie wulgaryzmami i roztaczanie apokaliptycznych wizji nadchodzących wydarzeń do etapu zastraszenia.

W pewnym momencie Szefler poczuł się na tyle nieswojo, że kazał mu się zamknąć i przypomniał mu, do kogo mówi. Nie podziałało. Wtedy pogroził mu sankcjami dyscyplinarnymi. To było jak płachta na byka. Wściekły Weiss klął na wszystko i wszystkich. Nie było rady i Szefler wezwał ochronę.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z jednej rzeczy. Że też wcześniej o tym nie pomyślał! Natychmiast wydobył smartfona z kieszeni. Wybrał numer i nadstawił ucha. Usłyszał znajomy, choć mocno zachrypnięty głos:

— Podinspektor Skalski, słucham.

***

— Widzisz? — niemal krzyknął Walczak, wstając energicznie zza biurka. — Wszystko pasuje!

— Co pasuje? — Skalski nie nadążał, kiedy był mocno skacowany. Każda próba składania myśli wywoływała bolesne reakcje wewnątrz czaszki. Z ogromnym trudem zrelacjonował świeżą informację, którą uzyskał telefonicznie od dyrektora Maksymiliana Szeflera. Nie sądził, że Walczak aż tak się z tego powodu ożywi. Przecież jemu też musi teraz rozsadzać łeb!

— Facet furiat, nie? — Walczak machał jedną ręką, podczas gdy drugą opierał się o blat biurka. — Kompletny brak kontroli nad emocjami, jedynie szczebel wyżej od tych, których podejrzewaliśmy na początku! Czyli pasuje zarówno rys psychologiczny, jak i bliski krąg znajomości. I co najważniejsze, jest to osoba z ośmiu zdjęć Czerskiego! Zdjęć, które miały ujawnić obwoźnego handlarza proszku do prania mózgu oraz jego odbiorców.

— Naprawdę? — zapytał Skalski, udając zdziwienie. Wziął do ręki plik zdjęć i zaczął przeglądać. Znalazł właściwe i podał, mówiąc:

— Przesłuchasz tego Weissa?

Walczak wziął zdjęcie, a Skalski przyłożył butelkę zimnej wody do czoła.

— *Non est tribulatio!* [1] — Walczak zasalutował. — U nas na komendzie?

— Tak, sprowadźcie go z Czerskim.

Walczak trochę się zjeżył, a Skalski szybko dodał:

— Ja zadzwonię do prokurator o nakaz przeszukania jego mieszkania.

— Dobra, dobra… zabiorę młodego. Czuję, że to będzie TEN człowiek.

„Jedźcie już, kurwa. Potrzebuję ciszy” — pomyślał Skalski. „I wody” — dodał smętnie, odkręcając butelkę.

6
11.30, RCUS, Dział Badań i Rozwoju

Donatan Relik zerknął w kierunku drzwi, w których pojawił się doktor Nakuma. Był niski, miał ciemne, proste włosy i azjatyckie rysy twarzy. Podszedł, skłaniając się w azjatyckim stylu.

— Pan mnie wzywał, dyrektorze.

— Tak. Proszę usiąść obok mnie. — Zaprosił go na sąsiedni fotel. — Chciałem panu coś pokazać i zainteresować pewnym tematem.

Nakuma obszedł biurko, siadł i zakłopotany, czy ma patrzeć na ekran, czy na dyrektora, przemieszczał wzrok z jednego miejsca na drugie. Zauważył zdjęcie, na którym Relik wraz z grupą przyjaciół pozuje w uprzęży wspinaczkowej.

— Mam tutaj dostęp do bardzo ciekawego oprogramowania. Pewien start-up próbuje zwrócić naszą uwagę na ich dzieło i…

— …i chce pan ocenić jego wartość? — dokończył.

— Właściwie tak. Sprawdziłem to osobiście, pracując na wymaganiach i kodzie naszego nowego produktu; wzorując się i porównując z pracą naszych inżynierów. To działa zadziwiająco sprawnie i aż boję się podjąć pochopną decyzję. Powiem tak, potrzebuję kogoś, kto upewni mnie, że to naprawdę działa tak doskonale, jak mi się wydaje. Tylko… dyskretnie. To bardzo ważne. Podpisałem z nimi stosowne zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy handlowej. Ufam panu jak nikomu w naszej firmie.

Nakuma pokiwał i głową i zapytał:

— Czy mogę dowiedzieć się czegoś więcej? O jakim rozwiązaniu mówimy?

— Jeżeli dobrze czuję, to… prawdziwy przełom. Coś, dzięki czemu możemy tworzyć własne programy niewiarygodnie szybko. To narzędzie, które redukuje do minimum koszty implementacji.

— Brzmi, delikatnie mówiąc, nieprawdopodobnie. — Nakuma zmarszczył czoło.

— Niech pan sobie przypomni, jak dzisiaj pisze się programy. Mamy narzędzia posiadające rozbudowane IDE, które podpowiadają składnię, refaktorują kod, wytykają błędy i… tym podobne. Z drugiej strony potrzebna jest specjalistyczna wiedza z dziedziny języków programowania, algorytmów i struktur danych, ewentualnie encyklopedyczna wiedza o wszelkich bibliotekach, frameworkach i szerokim spektrum technologii. Mamy wszak świat *embedded*, aplikacje desktopowe, mobilne, rozproszone, bazodanowe, w chmurach i tak bez końca. Niewiarygodna liczba kombinacji i coraz trudniejsze zadanie dla zagubionego w tym wszystkim inżyniera. Jak sobie radzi? Wyszukuje gotowe fragmenty kodu i nawet już się nad nim nie zastanawia, tylko wkleja. Czasem ogląda tematyczne strony internetowe albo zerka na poglądowe filmy. Wszystko już tylko powierzchownie.

Nakuma kiwał głową, nie odzywając się.

— A teraz proszę zobaczyć. — Relik otworzył zwyczajny edytor tekstu. — Oto krótka charakterystyka pewnego podsystemu naszego nowego projektu napisana językiem naturalnym. Trochę go poprawiłem, ale o tym później. A tutaj — wskazał palcem na drugi monitor — ma pan listę plików z kodem źródłowym. Ale uwaga! To wygenerowany kod, a nie stworzony przez programistę.

— Wygenerowany z tego opisu?

— Dokładnie z niego.

— Czy to się da czytać?

— Niech pan sam zobaczy — odparł, podając mu klawiaturę.

Doktor Nakuma przejął kontrolę i zaczął metodycznie przeglądać pliki, zerkając od czasu do czasu na drugi monitor z opisem wymagań programu.

Po chwili odchylił się i odezwał:

— Bardzo ciekawe… o ile prawdziwe.

— IMPONUJĄCE! — Relik niemal krzyknął. — Proszę pomyśleć o konsekwencjach! Programowanie czysto intencyjne. Na wejściu wprowadzasz opis systemu, komponentu, czegokolwiek, wszystko językiem wyszukiwarki internetowej, i ciach! Masz gotowy program! Programiści nie są ci potrzebni! Można się ich pozbyć, a wraz z nimi kłopotliwego systemu zarządzania. Wystarczą ogarnięci architekci.

— To dość spore uproszczenie. Na pewno jest masa pułapek. Zdania opisujące wymagania mogą zawierać sprzeczności lub nie domykać systemu. Niekompletność czy niespełnialność można łatwo i nieświadomie przemycić, nawet mocno to kontrolując. To kwestia skali, poza którą człowiek nie daje rady tego ogarnąć. A nawet, zakładając rzetelność i domknięcie opisu, mogą zaistnieć alternatywne rozwiązania tego samego problemu. Nie zawsze optymalne. Coś jak rodziny funkcji dla równań różniczkowych albo wielokrotne pierwiastki równania wielomianu.

— Wiem.

— Nie chciałbym gasić pańskiego zapału, nie jest to bynajmniej moim celem, ale… zazwyczaj takie rzeczy działają tylko do pewnego, dość niskiego poziomu, po którym trzeba dość sporo się namęczyć… ręcznie i w klasyczny sposób. Generowanie z grafów, maszyn stanów i innych wynalazków było już nieraz wałkowane.

— Dlatego proszę, by zbadał pan granice tego produktu.

— Nie ma problemu.

Zapadła krótka cisza, jakby dali sobie czas na chwilę zadumy. Dla Relika sprawa wyglądała bardzo obiecująco. To było coś, z czym jego dział nigdy się nie spotkał. Wielka nadzieja departamentu i… firmy. Dla naukowca zaś

to przedmiot badań i inspiracja do pracy. Jakby jeszcze nie zdając sobie sprawy ze wszystkich możliwych scenariuszy wydarzeń, Nakuma zapytał:

— Jeżeli to zadziała, to co pan chce z tym dalej zrobić?

— To kluczowa decyzja. Mamy dwie opcje: kupić produkt albo… kupić całą firmę.

— Po co ich kupować?

— Nie czuje pan?

Nakuma nie odpowiedział, jakby coś zablokowało jego proces myślowy, więc Relik go wyręczył:

— Jeżeli kupimy sam program, to kupią go też inni. I znowu będziemy walczyć na warunkach rynkowych. Ale gdy kupimy i firmę, i program… jesteśmy ustawieni na długie lata. Trzymając ten program pod kluczem, będziemy zdolni pisać dowolne aplikacje o każdej niemal wielkości, w dowolnej technologii i szybciej niż jakikolwiek konkurent. Monopol absolutny. To tylko kwestia podjęcia przez nas… czy raczej prezesa, właściwej decyzji biznesowej.

7
13.15, RCUS, biuro Maksymiliana Szeflera

— Cóż sprowadza cię do mojego gabinetu? — zdziwił się Szefler, widząc Monikę Reshke u drzwi.

Ta weszła, odwróciła się i przekręciła klucz, by nikt im nie przeszkadzał. W stroju biurowym nie była już tak wyzywająca, choć wciąż mocno działała na wyobraźnię. Zwłaszcza wtedy, kiedy, idąc ku niemu, poruszała się z taką lekkością.

— Zapewniam, że sprawy zawodowe.

Uśmiechnęła się szeroko i zalotnie.

— U ludzi najbardziej cenię profesjonalizm. Usiądź, proszę.

Usiadła z wdziękiem i spojrzała mu głęboko w oczy.

— A cenisz zaufanie? — zapytała.

— Owszem.

— A ufasz mi?

— W pełni — zarzekł się zdziwiony przebiegiem rozmowy.

Wstała, obeszła stół i usiadła Szeflerowi na kolanach, mówiąc tajemniczo:

— Zobaczymy.

Pochyliła głowę i przyjęła poważną minę.

— Bo widzisz, przychodzę tutaj z czymś, co tego wymaga. A ja nie mam wątpliwości co do swoich uczuć i tego, co dla nas dwojga najlepsze. Dlatego zapytam ponownie: Czy jesteś gotów na wszystko i czy mi ufasz?

Zakłopotał się. „Trudne pytanie” — pomyślał, ale odpowiedział zachowawczo:

— Jak już mówiłem: tak.

Uśmiechnęła się.

— Czy znasz pełną listę kandydatów na stanowisko prezesa?

— Wybacz, ale… — Nie dokończył, rozkładając ręce.

— Wiem, że chcesz ją znać! Nie udawaj! — Szturchnęła go, a uśmiechem próbowała wywołać jakąś pozytywną reakcję. Ale Szefler poczuł się podle, jakby wykorzystywany, przyciśnięty i pozbawiony możliwości manewru.

— Chcesz zawrzeć jakiś *deal*? — zapytał z goryczą.

— Za listę? Nie, absolutnie. Robię to dla ciebie, Maks!

Jakoś nie uwierzył, a ona mówiła dalej:

— I tak ci powiem: na liście jesteście tylko ty i Lucjan Frost.

— Frost? — zdziwił się.

— Nie wiedziałeś! Tak myślałam. — Reshke wyglądała na zadowoloną. — Zakochałam się w nowym prezesie!

— To miłe, co mówisz, ale jeszcze nim nie jestem.

— A gdybyś został? Chciałbyś mnie mieć przy sobie? Widzieć mnie każdego dnia?

— O tak! — Złapał ją w talii.

— Bylibyśmy razem: i tu, i w domu. Zawsze razem.

Wtulił się w nią.

— Chcę dla ciebie jak najlepiej, Maksiu. — Przeczesała mu włosy lewą ręką.

— Ja dla ciebie też. Ale skąd masz tę informację? — zaciekawił się.

— Stary Frost głośno mówi przez telefon. Rozmawiał z kimś, a ja akurat byłam przy drzwiach. Podsłuchałam niechcący — wyszeptała ostatnie zdanie w konfidenckim tonie i zrobiła niewinną minę.

— Kiedy?

— Dzisiaj, przed chwilą — skłamała.

— Niełądnie, niegrzecznie! — Wrócił mu dobry humor.

— Już ja nie powiem, kto był ostatnio bardzo niegrzeczny — rzekła z lekkim wyrzutem.

— A jak nie spełnię oczekiwań zarządu?

— Mogę ci pomóc, jeśli tylko mnie ładnie poprosisz. No, chyba nie chcesz mieć księgowego za szefa? — zapytała ostrożnie.

„Racja… księgowy prezesem?” — przemknęło mu. To by była porażka dla całej firmy. Zacząłby oszczędzać, redukować i ostatnie, o czym by myślał, to przyszłość przedsiębiorstwa. A tu trzeba odważnie iść naprzód, nie tylko trwać i więdnąć. Nie wolno dać się zepchnąć!

— Jaki masz plan? — zapytał.

— Zająć jego miejsce — szepnęła mu do ucha.

— Jak?

— Sam odejdzie — szepnęła do drugiego. — I wtedy na liście zostanie już tylko jeden kandydat: mój słodki kochanek.

— A ty?

— Co do mnie — odchyliła się nieco i spojrzała głęboko w oczy — będąc zastępcą, przejmę tymczasowo wszystkie obowiązki pana dyrektora. A to, czy nowy pan prezes skreśli słowo „tymczasowy”, to już będzie w tym wszystkim najmniejszym zmartwieniem, prawda?

— Prawda — zamruczał i przyssał się do jej ust.

8
16.00, komenda policji

Czerski z Walczakiem zasiedli naprzeciw Normana Weissa. Ten patrzył na nich wściekłym wzrokiem i z takim wyrazem twarzy, jakby chciał wszystkich dookoła zagryźć. Śledczy przedstawili się i rozpoczęli przesłuchanie w przygotowanym do rejestracji audiowizualnej pomieszczeniu:

— Powiedz mi, proszę, kiedy przestałeś dilować narkotyki? — zaczęli przymilnie.

— Nie przestałem! — krzyknął w proteście. — Nigdy nimi nie handlowałem!

— Chcesz mi wmówić, że to były lentilki? — Dobrotliwie pokiwał głową Walczak. — Podobno dają niezłego kopa…

— W ogóle nie będę z wami rozmawiał! Proszę o adwokata.

— A stać cię? Właśnie straciłeś pracę.

— Zawsze mogę dostać obrońcę z urzędu!

— Oczywiście, oczywiście. Nie wiem, wolisz pana Zacharego czy pana Adama? Tak się składa, że jestem chrzestnym córki Zacharego, a z Adamem jeździmy razem na ryby.

— Too… too… to jakaś republika kolesiów! Ja złożę skargę! Żądam uczciwego adwokata…

— Zanim znajdziemy uczciwego adwokata, to gwarantuję ci, że zmienisz zdanie i spotulniejesz. — Walczak był w dobrym humorze, choć siedzący obok Czerski bał się dalszego rozwoju wypadków. — I jeszcze nam dzisiaj, tu, w tym miejscu, do wieczora, wszystko opowiesz.

— Spróbujcie mnie tylko tknąć! — Pogroził drżącym głosem przesłuchiwany.

— Jestem rozczarowany! — Walczak odwrócił się do Czerskiego. — Aspirancie, czy pamiętacie, byśmy kiedykolwiek użyli siły?

— My? Nigdy! Zawsze sami wpadają na ściany i walą głową w stół.

— No właśnie. My działamy siłą przekonywania. Kierujemy się maksymą Bacona, że „milczenie jest cnotą głupich”. A ty taki nie jesteś, prawda? — Walczak spojrzał Weissowi głęboko w oczy. — Dzisiaj przeżyjesz pewien rodzaj oświecenia. Dowiesz się o nas prawdy, której nie znasz. Pojmiesz, że jesteśmy tu po to, by pomóc ci coś zrozumieć. Pytasz: co takiego? A to proste: uświadomisz sobie, dlaczego lepiej, żebyś był z nami szczery. Przekonasz się, jak korzystna jest współpraca z nami. — Cofnął się na krześle i skierował spojrzenie na bok. — Aspirancie, opowiedzcie o mieszkaniu.

Czerski przewrócił stronę w notesie i zerkając, raportował:

— Na mocy prokuratorskiego nakazu przeszukania znaleziono nielegalne substancje odurzające w ilości dwóch kilogramów. Raport będzie oczywiście do dyspozycji obrony. Zabezpieczono również komputer i

wszystkie nośniki danych. Całość materiału dowodowego jest obecnie badana w pracowniach kryminalistyki.

— Wiesz, co to znaczy? — wtrącił uśmiechający się Walczak. — To ci powiem. Masz zdrowo przesrane. Za takie coś nie sposób się wywinąć, a wyrok będzie dwucyfrowy. Aspirancie, mówię prawdę?

— Jak najbardziej, panie komisarzu. Sytuacja jest komfortowa, bo jest mocny dowód. Prokuratura uwielbia takie oczywiste sprawy. A jest ona wyjątkowo ciężkiego kalibru.

— Teraz powinieneś się zastanowić, co możesz zrobić dla poprawy swojej sytuacji — dołożył Walczak.

Norman Weiss milczał zniechęcony. Gdyby tylko nie trzymał tego tak nonszalancko w domu. Od tylu lat wszystko szło tak gładko i bezproblemowo. Żadnych wpadek. Szlag by to trafił!

Walczak przerwał tę ciszę:

— Jako człowiek inteligentny z pewnością masz sprawną wyobraźnię. Potrafisz spojrzeć w swoją przyszłość, prawda? Pomyśl o tym, że wychodzisz z więzienia za lat kilkanaście. Jak trudno będzie ci się wtedy odnaleźć? Świat i technika pójdą do przodu, a ty będziesz starszy i już tego nie nadgonisz. Młodzi zajmą twoje miejsce, a starzy koledzy nie będą chcieli mieć z tobą nic wspólnego. No i laski nie będą już na ciebie leciały…

Weiss zrobił głęboki wdech, a Walczak przetarł usta i ciągnął:

— Jakie będziesz miał wtedy opcje? Kto cię zatrudni? Wrócisz do dilowania? Jako osobę notowaną zawsze będziemy cię kontrolować, sprawdzać, podejrzewać… Taka smutna perspektywa, prawda? Przetrwasz tydzień na działce?

Cisza wypełniła pomieszczenie i trwała dobrą minutę, nim znów dorzucił do pieca:

— To jest ta optymistyczna wizja. Mam bowiem tutaj coś dużo mocniejszego. Chcesz wiedzieć co?

Weiss chwilę patrzył ogłupiałym wzrokiem, nim kiwnął głową.

— Znasz Osika?

— Kogo?

— Nie udawaj. Kilian Osik brzmi znajomo?

— Tak. Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Sprzedawałeś mu towar.

— Nie wiem, o czym mowa.

— Znamy treść twojej skrzynki pocztowej. — Czerski wszedł im w słowo, bo czuł się trochę niepotrzebny. — Mam tu twój nick: mo07zs. Zgadza się? Tam jest wszystko. Osik nam to wszystko dał i zreferował.

— Ciekawe. I co takiego wam powiedział?

— Przed śmiercią złożył zeznanie, które cię obciąża. No i pokazał nam swoje maile. Zacytować coś? A może lepiej sam zobacz. — Podsunął mu kartki, które wcześniej dostali od Skalskiego.

Weiss sięgnął po nie prawą ręką i zaczął przewracać luźne arkusze. Zbladł, nie musiał czytać wszystkiego. Grał jednak na czas, markując skupienie nad tekstem i bezskutecznie próbując coś wymyślić. Był w potrzasku.

— Nie ma co tyle czytać. — Zniecierpliwiony Walczak zabrał kartki. — Jest już po zawodach! Nie zdążyłeś w tej rozgrywce. Byliśmy przed tobą!

— W czym?

— Zdążył nam wszystko przekazać. Pozbyłeś się go zbyt późno!

— Że co zrobiłem?

— Wcisnąłeś mu truciznę, bo zaczynał być groźny. Patolog potwierdził. — Czerski rzucił na stół kolejną kartkę.

— Widzisz, my nie jesteśmy z wydziału narkotyków. — Walczak wrócił do narracji. — My prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Kiliana Osika. I chyba dziś się ono zakończy. My wygramy, ale pytanie brzmi: jak zakończy się ono dla ciebie? Z jakim wynikiem stąd wyjdziesz?

— Przedawkował? — wymamrotał Weiss.

— O, co to, to nie! — Pogroził palcem Walczak. — Nie zrzucisz winy na głupotę Osika. Przeżarty żołądek i trucizna w żyłach to sprawka czegoś innego. Czegoś, co wyglądało niewinnie, może nawet bardzo przyjemnie, ale takie nie było, oj, nie.

— W co wy mnie, kurwa, chcecie wrobić?!

— Nie chrzań. Sprzedawałeś mu towar?

— Tak. Ale go nie otrułem!

— Umawialiście się w piątek na dil?

— Nie! Sprzedałem mu pastylki we wtorek. Na pewno jeszcze miał.

— My mamy na to dowód. — Pokazał wydruki.

— Nie wrabiajcie mnie, błagam. Czego wy ode mnie chcecie?

— Chcemy ci pomóc.

— Taaa, kurwa, dziękuję za taką pomoc…

— To pomóż sobie sam. Zobacz i pomyśl, ile już mamy na ciebie. — Walczak podniósł plik papierów. — Posiedzisz bardzo, bardzo długo, albo i wiecznie.

— No kurwa, ja chyba śnię…

— Radzę zaakceptować rzeczywistość. A tylko my — wskazał na siebie i Czerskiego — możemy ją uczynić nieco bardziej znośną.

— Oskarżając mnie o zabójstwo? I handel towarem?

— Niemiła perspektywa, prawda? Ale gdybyś tylko okazał trochę dobrej woli, to my potrafimy się odwdzięczyć!

— Jak?

— Pomożesz nam?

— Ale ja go nie zabiłem!

— Pomożesz nam to ustalić?

— Jak? — Oczy mu załzawiły. — Jak… mogę wam pomóc?

— Pomagasz nie nam, ale przede wszystkim sobie. I wiesz, co ci jeszcze powiem, przyjacielu? To jest dziś twoja, kuźwa, najlepsza decyzja. Zwłaszcza w tej niefajnej, przyznasz, sytuacji. Dobrze, że chcesz pomóc i że trafiłeś właśnie na nas. Istny fart losu! — Walczak pokiwał głową, wyrażając aprobatę. — Potwierdzisz, aspirancie Czerski?

— Pewnie! — Czerski kiwał się na krześle. — Masz fart jak cholera. Mogłeś trafić na księdza.

9
16.30, RCUS, biuro dyrektora Frosta

— Dzień dobry, panie dyrektorze! — Monika Reshke przywitała się grzecznie i stanęła w drzwiach, które zazwyczaj były zamknięte. Starszy człowiek gestem przyzwolił jej na wejście do środka. Wchodząc, zamknęła gabinet, by nikt im nie przeszkadzał. Usiadła naprzeciw dyrektora Lucjana Frosta pozostającego za starannie uporządkowanym biurkiem.

— Z czym przychodzisz? — zapytał.

— Znalazłam niezmiernie interesujące zestawienie finansowe, które muszę z panem skonsultować.

— Mianowicie?

— Zacznę od tego, że wczoraj automatyczny system kontroli kont zaalarmował mnie o nieprawidłowościach. Nie były one wynikiem działań banku, co często się już zdarzało. Sprawdziłam to u źródła, dzwoniąc do ich

działu technicznego. Dlatego wczoraj dokonałam dokładnej analizy danych i mam kilka niepokojących obserwacji.

— Czy alarmy są dzisiaj aktywne? — zapytał przygotowany na takie wątpliwości.

„Dlaczego pyta? System informuje go tak samo jak mnie” — pomyślała.

— Nie, panie dyrektorze. Wszystko wróciło do pewnego rodzaju normy — odparła, patrząc mu w oczy.

— Pewnego rodzaju? — zapytał, hamując zaskoczenie. Zakładał, że w weekend nikt nie zwróci uwagi na jego działania. Miały odwlec nieuchronne.

— Jak mówiłam, przyjrzałam się sprawie dokładnie. Nawet bardzo dokładnie — podkreśliła ostatnie zdanie.

— Możesz rozwinąć temat? — zapytał zaciekawiony.

Podała mu jedną wydrukowaną stronę:

— To zestawienie stanu konta funduszu emerytalnego za ostatnie dwa tygodnie. Zwracam uwagę na duży, jednorazowy wpływ środków i jednorazowy transfer tych pieniędzy na konto zewnętrzne. Na koniec dnia ich stan był prawidłowy i nikt by na to nie zwrócił uwagi.

— Ma to jakiś związek z wczorajszymi zdarzeniami? — zapytał zaniepokojony.

— O tak, dojdziemy do tego. — Uśmiechnęła się triumfalnie.

— Trochę się spieszę. — Chciał przerwać dyskusję zmierzającą w złym kierunku. — Szczerze mówiąc, powinienem teraz wyjść na spotkanie. Czy możemy do sprawy wrócić później?

Frost wstał, ale zamarł, gdy usłyszał:

— Nie sądzę, panie dyrektorze. Myślę, że pan nie wyjdzie, dopóki nie skończę.

— Słucham?! — Wzdrygnął się. — Cóż to za impertynencja? Nie pozwala sobie pani na zbyt wiele?

— To i tak jest niewspółmierne do tego, czego się pan dopuścił, dyrektorze. — Reshke pochyliła się nad biurkiem. — W sytuacji, której panu jeszcze nie wyłożyłam, a której istnienia ma pan pełną świadomość, nie radzę odwoływać się do mojej grzeczności. Czy mam mówić dalej, czy może ma pan mi coś do wyjaśnienia?

— Proszę natychmiast wyjść! — Zamaszystym ruchem wskazał drzwi.

— Naprawdę nie rozumie pan sytuacji, dyrektorze? To pan powinien dzisiaj stąd wyjść. Skrępowany kajdankami. Przecież nie przyszłam tu nieprzygotowana! — stanowczo podkreśliła Reshke.

Zamilkł. Nie docenił swojej zastępczyni. Awansując ją przed rokiem, miał w tym swój cel. Zakładał, że jako osoba młoda nie będzie miała dość doświadczenia, wiedzy, czasu i determinacji, by takie sprawy ogarniać. A potrzebował kogoś takiego, by móc wykonać swój plan. Czyżby się przeliczył? Sytuacja stała się nieznośnie niebezpieczna, wręcz krytyczna. „Trzeba sprawdzić, co wie” — pomyślał.

— Zatem słucham — rzekł pewnym siebie tonem, ale przyszło mu to z wysiłkiem.

— W skrócie czy z detalami? — zapytała bezczelnym tonem.

— Do rzeczy! Co się pani nie zgadza?

— Więc w skrócie. Zdefraudował pan pieniądze firmy — wypaliła Reshke.

— To są pomówienia! I nie pozostaną bez konsekwencji! Nie tylko w ramach stosunków służbowych! — zaoponował, a jednocześnie zaśmiał się rubasznie. — Co za nieprawdopodobna historia! Podam panią do sądu za takie zniesławienie!

— Śmiało.

Cisza się przeciągała.

„Ta dziwka wie, na czym stoi” — pomyślał Frost.

— Proszę wyjaśnić, jak pani doszła do tego absurdalnego wniosku — zażądał.

Monika Reshke wyciągnęła z teczki wydruk. Nie patrząc na niego, podała go Frostowi.

— Najpierw przyszedł zwrot ze skarbówki. W magiczny sposób przelany na konto pracowniczego funduszu emerytalnego, a nie tam, gdzie być powinien. A kto mógł autoryzować zmianę konta w urzędzie bez naszej wiedzy? — zapytała. Nie czekając, mówiła dalej: — Chwilę po tym cała ta suma wyparowała gdzieś na zewnątrz. — Podała mu drugi z wydruków. — Sytuacja nie mogła trwać wiecznie, bo drogą urzędową przyszło do nas pismo ze skarbówki i zrodziłoby to pytania: gdzie są pieniądze. To wtedy zaczęły się dziwne transfery, które przesuwały środki między rachunkami bieżącymi, emerytalnym i jakimiś zewnętrznymi. Tutaj jest zbiorcze zestawienie tych operacji. — Kilka kolejnych kartek podążyło za poprzednimi. — Wszystko miało na celu uśpienie systemu kontroli, ale ten i tak zdał sobie sprawę, że brakuje ogromnej ilości pieniędzy. Dzień po dniu podnosił alarm, nie mogąc dopasować rubryk „winien” i „ma”. Drobne dosypywanie środków tu i tam nie pomogło panu uspokoić czujnych programów audytorskich.

Frost przyjrzał się wydrukom, potem długo patrzył na nią, mrużąc oczy.

— Dlaczego uważasz, że to ja mam z tym coś wspólnego? Pierwsze słyszę o całej sprawie!

— To żart? — Autentycznie się przeraziła. Czyżby coś przeoczyła?

— Chyba się nie zrozumieliśmy na początku albo błędnie interpretujesz fakty.

— Wszystko potwierdzałam, sprawdzałam…

— Rozumiem to. Nie kwestionuję ani twojej solidności, ani oddania firmie. Masz sporo racji. Teraz myślę, że sam pewnie zareagowałbym tak samo. Tylko że ja nie mam z tym nic wspólnego! Zastanów się! Czy człowiek pracujący na moim stanowisku mógłby się czegoś takiego dopuścić?

— Zawsze chce się mieć więcej…

— Miałbym przekreślić tyle lat mojej pracy tutaj? Moją reputację? Moją karierę? Przecież ja bardzo dobrze zarabiam! Czy kiedyś dałem tobie albo komukolwiek innemu powód do zwątpienia w moją uczciwość? Nie pomyślałaś, że może zrobił to ktoś inny?

— Tylko pan miał autoryzację do tych wszystkich operacji.

— I nie przyszło ci do głowy, Moniko, że ktoś mógł się włamać i wykraść moje poufne hasła? Czyż nie byłoby logiczne założyć, że złodziej wiedział, kogo okraść? Możliwe, że popełniłem jakiś błąd, że byłem mało czujny i pozwoliłem na tę sytuację; zupełnie poza moją świadomością. Musimy to natychmiast zgłosić do naszego działu bezpieczeństwa i znaleźć prawdziwego sprawcę! To musi być ktoś od nas. Ktoś, kto zna numery kont, procedury i całą organizację pracy działu finansowego!

Reshke stała przez moment bez ruchu. W jej głowie kołatały się różne myśli. Frost wydał jej się taki autentyczny w swoim zachowaniu. Wręcz mogłaby z nim teraz pobiec do ludzi od bezpieczeństwa informatycznego firmy, potem zgłosiliby sprawę w prokuraturze, zaczęli niekończące się narady i spotkania, opracowywali plany ratunkowe, usilnie szukali winnego i kto wie, co jeszcze by się działo.

Uśmiechnęła się wreszcie. Musiała przyznać, że był z niego pierwszorzędny manipulator.

— Pięknie powiedziane. Ale sprawdziłam jeszcze jedną rzecz.

— Tak? — Zaniepokojenie wróciło na twarz Frosta.

— Nikt nie włamał się do pańskiego komputera. Administrator wszystko dla mnie sprawdził. Bardzo skrupulatnie. Przejrzał logi w firewallu, systemowe, godziny logowania. Nie było żadnych wirusów ani trojanów. Nie znalazł istotnych różnic z oryginalnym, zarchiwizowanym obrazem dysku.

— Myślisz, że w domu nie mam drugiego komputera?

— Pewnie pan ma. Ale tam system nie udostępnia panu pełnych praw. Co najwyżej może pan monitorować operacje finansowe, ale nie może ich zlecać. Do ich autoryzacji potrzebny jest ten — wskazała palcem na stół — komputer, który nie może opuszczać ścian naszej firmy.

— Ależ oczywiście, że mogę to zrobić z domu. Wystarczy do tego ten oto token. — Wyciągnął z kieszeni maleńkie urządzenie z drobnym wyświetlaczem.

Reshke poczerwieniała zaskoczona, ale makijaż szczęśliwie to zamaskował.

— Zapomniałam o tym…

— Powinnaś bardziej ufać swoim przełożonym! I nie rzucać bezpodstawnych oskarżeń — poinstruował z radością, że odzyskał inicjatywę.

Reshke próbowała zapanować nad swoim oddechem i pozbierać myśli. Wreszcie patrząc na to, co trzymał w ręku Frost, powiedziała spokojnie:

— Dobrze pan wie i ja to wiem, że jedyny token, to ten, który ma pan w ręku.

— Naprawdę? — zdziwił się. — Myślałem, że są jeszcze inne w sejfie u administratora.

— Nie ma.

— Musi być. Gdyby mi go skradziono…

— …to dostałby pan całkiem nowy egzemplarz — weszła mu w słowo. — Ten zaś zostałby natychmiast unieważniony przez bank.

Popatrzył na nią przeciągle i rzucił z poirytowaniem:

— No dobrze. Co za różnica. Jest jeden token. I co z tego?

— Czym zatem posłużył się złodziej? — spytała.

— No, nie wiem — powiedział szczerze przez zaschnięte gardło. Nie znał się na tym aż tak dobrze. Wpadł we własne sidła. Spróbował się jeszcze wykręcić:

— Zapytajmy zatem naszych specjalistów, jak złodziej mógł tego dokonać!

— Myślę, że to nie będzie konieczne. Nie musimy tego przeciągać, bo i tak cała wina spadnie na pana. To, co mam, wystarczy, by pana pogrążyć. Odsuną pana jak nie dzisiaj, to jutro, najdalej pojutrze. Tylko to przedłużamy. A że pana lubię, to mam pewną propozycję. W podobnych okolicznościach takiej propozycji się nie odrzuca.

— O czym ty mówisz? — zapytał, udając oburzenie.

— Dam panu dwadzieścia cztery godziny, zanim zgłoszę to do prezesa i wydziału bezpieczeństwa.

— Niby co mi to daje?

— Czas na zabranie się stąd i zniknięcie poza granice kraju.

— Śmieszne, naprawdę zabawne.

— Zatem idę to zgłosić. — Reshke skierowała się do drzwi gabinetu, ale Frost zagrodził jej drogę.

— Nigdzie nie pójdziesz, mała dziwko! — syknął groźnie.

— Wiesz, kto stoi za drzwiami? — spytała niewzruszona.

Wciąż stał i myślał. Ta wredna spryciula z pewnością nie przyszła tu sama. Ktoś tam tylko czeka, by wkroczyć z odsieczą.

— Podzielę się pieniędzmi, tylko zostaw mnie w spokoju — zaproponował. — Wszystko wyprostuję!

— Nie chcę być w to zamieszana. Sam sobie radź z tym syfem, którego narobiłeś. Masz dwadzieścia cztery godziny, by zniknąć. Zabierz ze sobą te pieniądze i spieprzaj.

— Może jednak jest coś, na czym ci zależy?

Nie odpowiedziała. Stał zdrętwiały i posmutniały.

— Dwadzieścia cztery godziny?

— Token zostaw na biurku, jak będziesz wychodził. Hasła też. Do prezesa wyślesz maila, że właśnie dowiedziałeś się o swojej chorobie i przez najbliższy tydzień robisz specjalistyczne badania. Natomiast za dwa miesiące masz już nagraną terapię w zagranicznym ośrodku. I dodaj, że za tydzień pojawisz się w pracy i wtedy omówicie szczegóły dalszego postępowania.

— Tylko że ja już nie wrócę, prawda?

Reshke uśmiechnęła się gorzko, ominęła zrezygnowanego Frosta i wyszła zwycięska. Za drzwiami nie było nikogo.

10
17.30, laboratorium kryminalistyki

— Ostatnio często pan u nas gości — przywitał gościa laborant techniki informatycznej.

— Cóż poradzić, taka to specyficzna sprawa — odrzekł flegmatycznie Skalski.

Już po raz drugi zawędrował do tej pracowni w ostatnich dniach. Teraz jeszcze dodatkową motywację wyzwolił w nim komendant Zakuty Łeb. Ale

i bez takiej zachęty był ciekaw skrzynki pocztowej Normana Weissa, a nie chciał zabierać się do tego bez nadzoru fachowca.

— Jeśli tylko te komputery mogą pomóc w śledztwie, to zajrzę nawet tutaj. Potrzebuję pańskiej pomocy.

— Tak? — Laborant popatrzył badawczo poprzez grube szkła swoich okularów.

— Mam tutaj login i hasło podejrzanego do jego konta pocztowego. To ten, z którym komunikowała się nasza ostatnia ofiara.

— Naprawdę? Proszę pokazać. — Rzucił okiem na zapiski w notesie Skalskiego. — O, to ten serwer poza naszym zasięgiem prawnym! No ale nic to, zalogujemy się i spróbujemy zaraz wszystko zarchiwizować.

Zabrał się żwawo do pracy. Wyszperał jakiś laptop, wpiął do sieci, podłączył zewnętrzny dysk i uruchomił. Kiedy już wystartował proces ściągania danych, rzekł:

— Ten program to nasz nowy nabytek na takie okazje. Ma taką fajną funkcję, że w trakcie downloadu danych można przeglądać te, które już spłynęły. Nie trzeba czekać na pobranie całości — zachwalał. — Proszę, niech pan spróbuje.

— Oj, lepiej nie. Nie wiem, czy podołam. Nie wygląda znajomo.

— A, tak… to chwileczkę. — Podszedł do innego stanowiska, świadomy nie najwyższych umiejętności Skalskiego w obcowaniu z cyberświatem. Szybkimi ruchami pobudzał inny komputer do niezrozumiałych działań. W ich trakcie objaśniał: — Muszę zapisać godzinę, kiedy i ile razy się zalogowaliśmy. Z tego stanowiska ma pan normalny dostęp do skrzynki konta mo07zs. Proszę niczego nie usuwać, nie wysyłać i w ogóle niczego nie robić poza przeglądaniem wiadomości. Jeżeli będzie działo się coś niezrozumiałego, niech pan najpierw mnie zapyta, jasne?

— Jest pan naprawdę nieoceniony!

Pracownik laboratorium oddał miejsce.

Skalski usiadł i kliknął wiadomości odebrane. Już po chwili zdał sobie sprawę, jaki skarb wpadł mu w ręce. Lista kontaktów była całkiem pokaźna. Spostrzegł, że Kilian Osik nie był jedynym odbiorcą nielegalnych substancji w firmie. Mnóstwo zatrudnionych pozwalało sobie na taką nonszalancję, by używać skrzynki pracowniczej. Wśród nich byli ci, którzy mimo używania innych serwerów pocztowych podpisywali się imionami albo lepiej, wklejały im się stopki z pełną informacją personalną i firmową.

Oglądając całość, doszedł do wniosku, że Weiss swoją działalność prowadził od lat. Zapewne zaczął, zanim jeszcze został kimś ważnym. Musiało to być bardzo lukratywne; na tyle, że nigdy tego nie przerwał. Czy jest się czemu dziwić? Grupa odbiorców należała do ludzi raczej majętnych, niezalegających z płatnościami, więc ustawiony był idealnie. Jednakże, kiedy piął się po szczeblach kariery, ludzie stawali się coraz bardziej nieufni. Za bardzo zwracał na siebie uwagę. Ciekawe, jak sobie radził z szantażami? Przecież musiały się jakieś pojawić. Pomoc w awansie, darmowe prochy, kto wie? Mimo to nie odpuszczał.

Spojrzał na najnowsze wiadomości. Całkiem pokaźna liczba! Już się dopytywano, dlaczego wyleciał z pracy. Niektórzy się martwili, jak teraz będą odbierać towar. Skalski pomyślał jednak o Osiku i wrócił do piątkowego wieczoru. Dziwne. Sprawdził jeszcze raz. Niemożliwe. Pamiętał, że o dwudziestej czternaście i dwudziestej szesnaście w skrzynce Osika była korespondencja. Dlaczego nie ma jej tutaj? Usunął? O co chodzi?

— Przepraszam — zwrócił się do laboranta i podzielił obserwacją.

— Możliwe, że skasował. — Mimo to wstał, podszedł i przejął klawiaturę. — Nie ma w koszu. Jest pan pewien godziny i daty?

— W stu procentach!

Laborant wyprostował się i na chwilę zamarł. O czymś rozmyślał i wreszcie rzekł:

— Sprawdzę to jeszcze raz w mailach ofiary. — Poszedł w kierunku stanowiska, gdzie w sobotę Skalski sporo stracił ze swojego życia. Przystanął, przypatrywał się czemuś i powiedział: — Tutaj wszystko jest, tak jak pan mówił. Jeszcze chwilkę… tak… wpiszę filtr… o kurwa!

— Co jest? — Skalski wstał i zbliżył się do zdziwionego pracownika laboratorium.

— One zniknęły!

— Co to znaczy?

— Chwileczkę! Skasuję filtr… tak… i są! — Konsternacja trwała jeszcze chwilę. Uruchomił notatnik i coś powklejał. — Już wiem!

— Podzieli się pan ze mną odkryciem?

— To ktoś inny!

— Co? Kto?

— To inne konto pocztowe. Te dwa maile nie były korespondencją z pana podejrzanym!

— Jak to możliwe?

— Ktoś nazwał swoją skrzynkę w podobny sposób. Widzi pan te wpisy w notatniku?

— Tak. Identyczne: mo07zs.

— Tylko na oko. To wyżej, to cyfry zero i siedem. To niżej to litera O i cyfra siedem. To są dwa różne konta o bliźniaczej nazwie!

— Czyli ktoś zmylił Osika? Ktoś, kto podszywa się pod podejrzanego Weissa? Tylko…

— Właśnie, pierwszy mail został wysłany z komputera Osika, a nie przez klasyczny chwyt phishingowy „Odpowiedz na wiadomość” czy „Kliknij w link”. Jeżeli zaś ofiara by się pomyliła…

— …to druga strona nie rozumiałaby, o co chodzi — myślał na głos Skalski. — A tu krótki, zrozumiały komunikat. Może jednak Weiss ma dwie skrzynki. To możliwe?

— Jak najbardziej, ale podejrzewam coś innego. Niech mi pan da chwilę.

Faktycznie, fachowiec potrzebował kilkunastu minut, by przyjrzeć się sprawie uważniej. Od czasu do czasu mamrotał coś do siebie, patrzył z niedowierzaniem na monitory, przechodził od stanowiska do stanowiska, aż wreszcie zwrócił się do Skalskiego:

— Arcyciekawe. Zastanawiam się, jak to panu inspektorowi wytłumaczyć.

— Niech pan próbuje tak, jak potrafi.

— W interesującej nas godzinie ofiara miała włączony sniffer.

— No dobra, muszę zapytać… Cóż to takiego?

— Program nagrywający ruch sieciowy na wybranym interfejsie.

— Dalej wiem tyle samo.

— Hmmm… Ofiara wykonywała jakąś pracę w laboratorium i włączyła coś, co nagrywa wszystkie wiadomości, jakie wymieniają tam między sobą urządzenia. Robi się tak, by sprawdzić, czy nie ma jakichś anomalii w testowanym programie albo jego konfiguracji. Upraszczając, zarejestrowało się wszystko, co działo się w pewnej części laboratorium. — Mocno spłycił temat, bo nie chciał się pogrążać w wyjaśnianiu znaczenia VLAN-ów ani mirroringu portów. — Czyli oprócz tego, co go interesowało, nagrało się dużo więcej. Działo się to aż do wyczerpania miejsca na dysku i wtedy program się wywalił. Zachowały się jednak pliki, bo nagrywał, segmentując je na wiele pomniejszych.

— Rozumiem, że coś ciekawego się tam zarejestrowało. — Skalski chciał przyspieszyć ten niejasny wywód.

— Owszem. Tuż przed wysłaniem maila zauważyłem połączenie wykonane z laboratorium z pewnym znanym serwisem zdalnej kontroli zainstalowanym na komputerze ofiary. Nastąpiła wymiana certyfikatów na TLS-ie i zestawiło się bezpieczne połączenie. Dane są zaszyfrowane, więc ich nie odczytam. Chwilę później to coś z laboratorium się rozłączyło. Jakby szybka akcja zdalnego wykonania czegoś na komputerze.

— Czy dobrze to rozumiem? Pana zdaniem ktoś przejął kontrolę nad komputerem Osika i wysłał w jego imieniu mail na fałszywą skrzynkę? A tamta mu odpowiedziała?

— Właśnie tak. Sieć laboratorium jest zazwyczaj wydzielona od normalnej i często bywa wolna od zabezpieczeń, by nie utrudniać ludziom pracy. Ktoś mógł celowo zalogować się stamtąd, by ominąć zabezpieczenia i nie zostawić zbyt wielu śladów. Idę o zakład, że to klasyczne, zdalne przejęcie kontroli nad maszyną. Znamy IP maszyny hakera, więc spróbuję ją zlokalizować w ich laboratorium. Jutro do pana oddzwonię w tej sprawie. Może być?

— Jedźmy teraz. Zawiozę pana.

— Nie za późno? Ja już właściwie skończyłem pracę… Pół godziny temu.

— Sprawa jest pilna.

— A wpuszczą nas?

— Musi pan popracować w terenie. Odznaka policyjna otwiera wszystkie drzwi. Zapraszam do mojego wozu!

— Zatem ruszajmy. Wezmę tylko swoje graty.

11
17.45, RCUS, biuro dyrektora Frosta

Reshke weszła do gabinetu dyrektora. Był pusty. Nie minęła nawet godzina od ich rozmowy, kiedy Frost wymknął się cichutko z firmy. Wiadomość do prezesa napisał w domu, gdy już się spakował. Ona zaś wróciła do swoich obowiązków, których było bez liku, targana natrętnymi wspomnieniami słownej rozgrywki z dyrektorem i zadając sobie pytanie, czy nie popełniła jakiegoś błędu. Dopiero wieczorową porą uwolniła się od wszystkich spraw i pozwoliła sobie na własne podsumowanie, już na luzie.

Ostatecznie prezentowało się ono bardzo korzystnie. Chodziło jej nie tylko o storpedowanie kandydatury Frosta na najwyższe stanowisko w firmie. Nie chodziło też o pozbycie się go. Również nie chodziło o przejęcie funkcji głównego księgowego ani promowanie Maksymiliana Szeflera. Nawet nie o ten pieprzony segregator, o który skamlał Derek. To komputer jej szefa był celem. To on skrywał to, do czego nie miała dostępu: skrzynkę pocztową, czyli sieć powiązań wewnątrz i na zewnątrz firmy, zawiązane grupy i poufne wiadomości. Nareszcie uzyskała wgląd do informacji niejawnych spółki i kont, o których tylko słyszała. To właśnie na tym zależało jej najbardziej.

Poczuła swoją władzę i nowe możliwości. Dosłownie w jeden dzień posiadła skarb, z którego mogła czerpać przez długie lata. Trzeba tylko szybko spożytkować dostęp i wszystko zarchiwizować na boku, zanim zresetują konta i hasła. Nie wiadomo, czy faktycznie dostanie wszystkie pozwolenia i spełni warunki na pozyskanie właściwych certyfikatów bezpieczeństwa. Nie wszystko zależało od Szeflera.

Rozsiadła się zadowolona w gabinecie Frosta w jego dyrektorskim fotelu. Na stole leżał token i niewielka koperta, w której znalazła potrzebne hasła. Przeniosła myszkę komputerową na lewą stronę, zalogowała się i

zaczęła przegląd jego materiałów. Od czasu do czasu robiła zapiski, kopie, ale w przerwach rozkoszowała się wynikiem swojego dzieła. Nie czuła zmęczenia, tylko silne podniecenie.

Dopiero SMS od kochanka wyrwał ją z tego zamkniętego kręgu czynności. „Szefler na deser? Wisienka na torciku?” —uśmiechnęła się do siebie. „Będzie się musiał dziś bardzo starać, by przebić się przez moją euforię!” — dodała w myślach. Czekał na nią na dole, w samochodzie. Facet nie umiał się za bardzo maskować, o co trzeba będzie zadbać w przyszłości.

Wylogowała się, sięgnęła po torebkę i już chciała wybiec, ale o czymś sobie przypomniała. Podeszła do szafy, odszukała w niej segregator i otworzyła go na pierwszej stronie. Wszystko się zgadzało. Zamknęła i wsunęła go z powrotem. Zabierze go jutro, bo dzisiejszą noc ma już zajętą.

12
17.45, siedziba firmy AMOD

W sali konferencyjnej pozostali już tylko najbardziej zaufani ludzie prezesa Ivesa. W porównaniu z poprzednim tygodniem rzucał się w oczy brak Konsultanta, a nową osobą był główny architekt oprogramowania. Ten nie znał wszystkich operacji podjętych w ostatnim tygodniu i nigdy nie miał ich poznać — prezes przyjmował zasadę zdradzania minimum informacji niezbędnej do wykonania zadania. Teraz zaś uznał, że raport o stanie prac nad systemem wpłynie mobilizująco na pozostałych. I nie tylko to.

Młody w porównaniu z pozostałymi, trzydziestokilkuletni blondyn pewnym siebie głosem przedstawił aktualny status projektu. Widać było, że często szuka odpowiednich słów, aż do momentu, kiedy Ives go pouczył, że w tym gronie wszyscy wiedzą, co się dzieje i nad czyim kodem naprawdę

pracują. Wówczas rozluźnił się całkowicie i bez ogródek wypunktował sukcesy i porażki.

Najważniejszy był bardzo precyzyjny projekt kluczowych elementów systemu. Analizowali go w trójkę i dobrze go zrozumieli dopiero po kilku dniach intensywnej pracy wspartej hektolitrami kofeiny, nikotyny, tauryny, a czasem i kokainy. Mając pełne zrozumienie dokumentacji, jaką otrzymali, byli w stanie docenić jej geniusz i precyzję. Szef architektów powiedział bez ogródek: ta dokumentacja oszczędza nam trzy miesiące pracy. A ich projekt… no cóż, wierzą, że w trójkę byliby w stanie dorównać temu, co otrzymali… w prezencie.

Nie mniej ważny był kod źródłowy implementujący zamierzenia systemu oraz skrypty testowe ułatwiające zrozumienie jego działania. Kolejne kilka miesięcy oszczędności.

Efektem całej tej dokumentacji były spore zmiany w architekturze własnego systemu. Jeszcze kilka, kilkanaście miesięcy temu spływające „z zewnątrz” materiały, jak to eufemistycznie ujął architekt, służyły raczej do śledzenia postępów prac konkurencji i podkradania ich pomysłów, które bez żadnych ogródek dodawano do własnego przedsięwzięcia. Sam szkielet systemu AMOD-u był w całości pomysłem własnym. Ostatnie miesiące uświadomiły jednak wszystkim odpowiedzialnym, że w wielu miejscach podjęto błędne decyzje, a teraz wycofanie się z nich i przerobienie systemu będzie bardzo kosztowne. I nagle, w iście cudowny sposób, pojawił się prawie kompletny projekt RCUS-u. Wystarczyło go zaimplementować…

To była jedna z porażek architektów i programistów AMOD-u. Wycofanie się ze złych zmian i praca nad nowymi, w wielu miejscach zupełnie innymi rozwiązaniami musiała spowodować opóźnienia i frustrację pracowników. Testerzy byli wściekli i zniechęceni

niespodziewaną zmianą wymagań i scenariuszy testowych. Deweloperzy podobnie.

I nastąpił drugi cud — objawienie się kodu źródłowego, scenariuszy testowych i skryptów automatycznych. Wystarczyło po nie sięgnąć, wymienić nieudane fragmenty lub delikatnie dostosować do środowiska pracy AMOD-u.

Nie znaczyło to wcale, że rodzimi architekci czy programiści byli gorsi od swoich odpowiedników w RCUS-ie. I nie tylko prezes zdawał sobie z tego sprawę. Wszyscy byli tego świadomi. Tylko nikt głośno tego nie mówił. W AMOD-zie podjęto bardzo złe decyzje biznesowe, zgadzając się na nierealne terminy i kontrakt ledwo pokrywający koszty produkcji. Z drugiej strony była to decyzja konieczna — brak próby wejścia na rynek zmarginalizowałby ich koncern i umocnił konkurencję może nawet na dekadę.

Praca w iście wariackim tempie najpierw skłoniła do odejścia wielu doświadczonych pracowników. To fatalnie wpłynęło na tempo i terminowość pracy nad produktem. By powstrzymać tę falę, zaoferowano spore podwyżki oraz wysokie premie, co z kolei zwiększyło koszty, przekraczając i tak już mocno nadwyrężony budżet. Nowo zatrudnieni musieli mieć czas na wdrożenie się w tryby korpomachiny. Musieli mieć też mentorów wywodzących się z doświadczonych pracowników, a to z kolei odciągało tychże od właściwej pracy.

Główny architekt oczywiście w żaden sposób nie nawiązywał w swojej mowie do kontekstu biznesowego, który wepchnął firmę w tę nieciekawą sytuację. Miękka selekcja natury wybrała właśnie jego jako lidera technicznego, bo oprócz użytku ze swojej ponadprzeciętnej wiedzy i doświadczenia posiadł chyba najważniejszą ze zdolności: potrafił powściągnąć swoje opinie i popierać te oklaskiwane przez management.

Dlatego teraz skupił się na swojej dziedzinie i dał wszystkim nadzieję, że korzystając z materiałów z RCUS-u, są w stanie deptać konkurencji po piętach.

Prezes Ives podziękował architektowi i dał do zrozumienia, że powinien już opuścić spotkanie. Kiedy ów wyszedł, zwrócił się do pozostałych:

— Jak słyszeliście, nie jesteśmy na straconej pozycji. Jeśli utrzymamy tempo pracy, mamy szansę dotrzymać im kroku. I to wszystko, co możemy zrobić z naszej strony, by optymalnie wykorzystać nasze zasoby. Osobną sprawą jest spowolnienie prac w RCUS-ie i pogorszenie jego wizerunku. Chciałbym, abyście podsumowali aktualne działania. Zacznijmy od spraw medialnych.

Dyrektor do spraw kontaktów z mediami splótł ręce na kolanie i z dumą obwieścił:

— Akcja medialna udała się znakomicie… — dyrektor przez kilka minut przedstawiał kilka artykułów w prasie oraz program w lokalnej telewizji.

— Jakie są dalsze perspektywy?

— Bardzo obiecujące. Te kilka artykułów, a zwłaszcza audycje telewizyjne spowodowały pewne zainteresowanie społeczności, która poinformowała o swoim zaniepokojeniu radnych. Dzisiejsza informacja o… drugim wypadku w RCUS-ie wzbudziła zaniepokojenie radnego Miszczala. Jak pan z pewnością pamięta, był on wielkim orędownikiem naszej obecności w tym mieście. Odbyliśmy długą rozmowę telefoniczną…

— Przepraszam… — wtrącił Gordon, dyrektor technologii użytkowych. — Jakim drugim wypadku?

— Dziś rano zarząd RCUS-u poinformował swoich pracowników, że w sobotę doszło do kolejnego śmiertelnego wypadku na terenie ich firmy. Z powodu przedawkowania leków.

— A co na to prokuratura?

— Prokuratura milczy, co daje do myślenia… Albo może dawać do myślenia, jeśli odpowiednio tym pokierujemy. RCUS i prokuratura zwołały konferencję prasową na jutro, na godzinę czternastą. Radny Miszczal — dyrektor medialny wrócił do głównego nurtu swojej myśli — obiecał przyjrzeć się tej sprawie i jutro ma się spotkać zarówno z komendantem głównym Głową, jak i z prokurator Skalską. W tej chwili bardzo źle będzie wyglądało, że RCUS tak długo zatajał informację o pierwszym zgonie, a teraz doszło jeszcze do drugiego. Zasugerujemy dziennikarzom, w jakim świetle mają to przedstawić. Nie chcemy bezpośredniego ataku na prokuraturę, ale nie zaszkodzi dać do zrozumienia, że RCUS mógł wywierać naciski na wymiar sprawiedliwości, by ukryć te zdarzenia.

— Dziękuję, doskonała robota. — Ives był naprawdę w dobrym humorze.

— To jeszcze nie wszystko. — Dyrektor medialny czuł się niczym na skrzydłach orła. — Dzięki bliskiej współpracy z… Konsultantem będziemy mieć, być może już jutro, bardzo mocny artykuł uderzający bezpośrednio w RCUS.

— Świetnie, świetnie. Proszę mi przynieść jutrzejsze gazety. W zamian stawiam najprzedniejszą whisky. Co w marketingu? — Ives tryskał humorem.

— Niestety, nie mogę się pochwalić takimi sukcesami jak mój wielce szanowny przedmówca. — Dyrektorowi do spraw marketingu nie udało się ukryć zgryźliwości i złośliwości. — Mieliśmy tylko dwa poważne spotkania biznesowe, oba z obcokrajowcami, więc nie czytali naszej prasy. Proszę wziąć pod uwagę, że nie możemy podejmować działań tak aktywnych jak…

— Dziękuję, wystarczy — zdecydowanie przerwał mu Ives. — Proszę popracować z Konsultantem nad bardziej zdecydowanymi ruchami.

— Tak jest. — Dyrektor marketingu zwiesił głowę.

Ives milcząco spojrzał na Gordona, który zrozumiał gest i zabrał głos:

— Stan naszego systemu wyczerpująco przedstawił nasz główny architekt. Szczerze mówiąc, patrząc na te wszystkie zabiegi, zastanawiam się, dlaczego po prostu nie podkupimy ich architekta. Dać jej, tej Zdowackiej, dwieście tysięcy euro i niech do nas przyjdzie.

— Byłoby to jawne naruszenie umowy o zakazie konkurencji, o co niewątpliwie bylibyśmy oskarżeni — wtrącił się milczący dotąd prawnik. — Gdyby śledczy znaleźli tutaj choćby skrawek jej pracy, sąd zakazałby nam sprzedaży całego systemu. A niestety, z tego, co słyszę — nie odmówił sobie złośliwości — teraz w systemie są skrawki, ale naszych rozwiązań.

— Rozumiem — pokiwał głową Gordon. — W RCUS-ie w zeszłym tygodniu zginął tester pracujący w interesującym nas zespole. Jest to stosunkowo niewielki impakt na całość i nie spowolni w znaczący sposób prac. Jak kolega wcześniej powiedział, w sobotę doszło do kolejnego wypadku, ale nie wiemy nawet, gdzie ten drugi nieszczęśnik pracował…

— Ten drugi też pracował przy TYM projekcie — wtrącił Ives, a Gordon spojrzał na niego badawczo i zapytał:

— Skąd pan wie?

— Pan również powinien popracować z Konsultantem. — Ives był niezadowolony. — Miał pan przyjąć najbardziej niekorzystne dla RCUS-u założenia, o ile pamiętam.

— Ale nie zakładałem dwóch śmiertelnych wypadków — próbował się bronić Gordon.

— Doprawdy, pańska postawa mnie rozczarowuje. Nie wie pan o wypadkach i idę o zakład, że o aresztowaniach też pan nie wie.

Zamilkł. Nie wiedział.

— To informuję pana, Gordon, że doszło do aresztowania trzech osób. Strażnika Istvana Rado, menedżera Henryka Diukiewicza oraz, co najlepsze, jego zwierzchnika Normana Weissa. Czy to, pana zdaniem, jest dla nich korzystne czy niekorzystne?

Pytanie było retoryczne, więc wolał to przemilczeć. Jego lekceważące podejście do tematu było już nie do obrony.

— Jak panowie widzą — Ives uśmiechnął się cynicznie — los zaczyna nam sprzyjać. Zawirowania takie jak choroba w najważniejszym organie naszego przeciwnika osłabiają go, a nam pozwalają żywić się nim w najlepsze. W waszych rękach pozostawiam rozwinięcie tego tematu.

— Prezesie… — zaczął ostrożnie Gordon, próbując szybko odzyskać twarz. — Aresztowania zaraz po tych incydentach? To budzi pewne podejrzenia…

— Owszem — zgodził się Ives. — Policja wciąż jednak trzyma się wersji o wypadkach, ale chyba sami nie są tego pewni. Co o tym myśli nasz prawnik?

— Hmm, no oczywiście, dwa śmiertelne wypadki to doprawdy wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności. Traktowanie tego jako czysty przypadek przez prokuraturę i policję mogłoby być odebrane jako brak zaangażowania w śledztwo…

Prezes Ives przerywał dziś wszystkim:

— Nasz profesor chce powiedzieć, że policja podejrzewa morderstwo i dlatego dokonała aresztowań. RCUS jeszcze tego nigdzie nie skomentował, więc nie będę podpowiadał, co możecie teraz z tym zrobić. Nawiasem mówiąc: wyobrażacie sobie, jakie tam musi być morale wśród tłuszczy resource’ ów?

Uśmiech na twarzy go nie opuszczał:

— Na koniec powiem krótko: mamy sprzyjający wiatr, taki, jakiego możemy już nigdy nie mieć. Nie spieprzcie tego.

13
18.05, RCUS, laboratoria

— Chcieliśmy dostać się do waszego laboratorium w celu identyfikacji jednego urządzenia — zwrócił się Skalski do ziewającego aż do załzawienia administratora laboratorium RCUS-u.

W małym pomieszczeniu siedziało sześć równie zarobionych osób.

— Zawiadomię tylko szefa działu bezpieczeństwa. Taka procedura. — Sięgnął po biurkowy telefon, nacisnął guzik szybkiego dostępu i znowu ziewnął. — Kowalski? Jesteś jeszcze? To dobrze, bo wtedy czuję się bezpieczniej, he, he. Panowie z policji chcą wejść do laboratorium… Naprawdę? Dobrze. Dziękuję.

Odłożył telefon i wzruszając ramionami, powiedział:

— Za chwilę tu przyjdzie i pójdziemy razem. Nowe zarządzenie z góry.

— W porządku — skinął Skalski.

— Czego panowie właściwie szukają? — zapytał admin, tłumiąc kolejne ziewnięcie. Nawet wizyta policji nie wykrzesała z niego śladu ożywienia.

— Pokemonów — odrzekł technik kryminalistyki. — Podobno sporo się kręci między waszymi rackami.

— He, he, wszystkie wyłapaliśmy. Nic dla was nie zostało.

— Taa, pewnie. Przecież GPS-a tam nie macie.

— Mamy, mamy. Tylko pst…

— Właściwie to mam tutaj takie IP i chciałbym dostać się do tego urządzenia.

Znudzony administrator przyjrzał się, wziął klawiaturę i wystukał kilka komend.

— Nie pinguje się. Sprawdzę konfigurację DHCP. — Zaczął znowu coś stukać. Przez ekran przewinęło się sporo okien. Wreszcie poznali znajomy interfejs arkusza kalkulacyjnego.

— To urządzenie Wi-Fi. Serwer DHCP ustawia mu stałe IP. Według rejestru inwentaryzacyjnego to jakieś niewielkie pudełko IoT. Wydział Szeflera. Zapiszę alejkę i numer racka, byśmy nie błąkali się bez sensu.

W tym momencie wszedł Kowalski i spojrzał na nich przemęczonym wzrokiem. Z wymuszonym uśmiechem powiedział na przywitanie:

— Dobry wieczór. Panowie znowu u nas? Co panów sprowadza?

Technik przedstawił się, a potem krótko wyjaśnił okoliczności wizyty. Następnie ruszyli w kierunku znajomych korytarzy wiodących do laboratorium.

— Mówisz, Kowalski, że teraz robicie za ochroniarzy? — zakpił administrator, maszerując równym krokiem.

— Żebyś wiedział. Przez ten ostatni wypadek rano zrobili zebranie. Jakie głupie pomysły mieli! Żeby w labie zawsze pracować parami, by zakładać specjalne kapcie antypoślizgowe, by dmuchać w alkomaty przed wejściem i inne takie. Mam trwałe uszkodzenia na mózgu od tych bredni! To, że muszę z wami teraz iść, to pomysł samego Farneya. Wprowadzamy obcych tylko pod okiem kogoś z *security*! Takie zarządzenie. Pomyśl, ilu klientów tu przyłazi, a my robimy za statystów. Jakbyśmy nie mieli innych obowiązków!

— Nie mogłeś kogoś delegować?

— Sam zostałem. Wszyscy rozeszli się już do domów. Taki, cholera, bonus za pracowitość.

Przeszli przez drzwi, przyłożywszy identyfikatory. Widok znajomych szaf z elektroniką i hałas przywołał Skalskiemu niemiłe wspomnienie śmierci de Bugaja.

— Co by było, gdybyś to olał i nam nie towarzyszył?

— Pewnie nic. Ale jakby to doszło do Farneya, to mogłoby się skończyć jak pół roku temu. Pamiętasz Nielsena?

— Twój poprzednik. Wylali go za wynoszenie danych.

— Taaa… podobno. Byłem wtedy pod nim. Wiecznie z Farneyem się kłócili. Wolę nie dawać pretekstu, bo wiem, jaki potrafi być bezwzględny.

— No i w sumie na tym skorzystałeś.

— Dostałem awans, to fakt. Ale jak było mi trudno na początku, to szkoda gadać. Nie miał mnie kto wdrażać, bo tylko Nielsen wiedział wszystko.

— Już jesteśmy — poinformował administrator, wskazując na niewielkie urządzenie na półce.

— Co to jest? — zapytał technik kryminalistyki.

— Jakaś zabawka naszej produkcji. Trzeba pytać właściwy dział — odrzekł administrator, a Kowalski zamilkł na dobre.

— Chcielibyśmy to zabrać do analizy — poprosił Skalski.

— Trzeba będzie pokwitować — dodał administrator. — Ale pozwolę sobie coś zaproponować. Urządzenie jest teraz wyłączone. Mogę je włączyć i sprawdzić w logach, od kiedy jest nieaktywne.

— Proszę nie dotykać.

Skalski spojrzał na swojego technika, ale ten wyciągnął z walizki sprzęt do pobierania odcisków palców. Skrzywił się, widząc całą ich masę na urządzeniu i półce, na której stało. Najwyraźniej nigdy nie były czyszczone.

Bez słowa skończył swoją pracę, a Skalski kiwnął głową przyzwalająco w kierunku administratora. Ten wcisnął niewielki przycisk i podszedł do

szafy obok, wysuwając ukrytą klawiaturę.

Odczekał chwilę i przeprowadził kilka operacji.

— Wyłączone w poprzedni piątek, dziesięć dni temu.

— Między osiemnastą a dwudziestą? — zaciekawił się Skalski.

— Tak. Skąd pan wie?

„Dziesięć dni temu wieczorem tuż obok zginął Nikodem de Bugaj” — pomyślał Skalski i zapytał technika na ucho:

— Jak podejrzany użył wyłączonego urządzenia do wysłania maila z komputera ofiary?

— Nie użył. W ogóle nie da się go użyć do wysyłania maili. Prawdopodobnie podszył się pod to urządzenie, by zdobyć jego adres IP. A że jest to sieć bezprzewodowa, mógł działać z pewnej odległości.

— Na zewnątrz laboratorium też?

— Możemy zapytać lub sprawdzić. Które miejsce pana interesuje?

— Ubikacja tuż za tym wyjściem. — Wskazał w kierunku drzwi, za którymi były korytarz i toaleta, gdzie znaleźli martwe ciało Kiliana Osika.

Administrator potwierdził, że sygnał łapie też za ścianami. Goście nie mieli nic więcej do zrobienia, więc pokwitowawszy przekazanie urządzenia, podziękowali i opuścili siedzibę firmy.

Jadąc przez zatłoczone uliczki miasta, Skalski zwrócił się do technika:

— Co teraz?

— Przyjrzę się jeszcze raz tym logom ze sniffera. Jeśli dobrze pamiętam, autentykacja odbyła się za pomocą certyfikatu użytkownika.

— Nawet nie chcę pytać, co to takiego. — Skalski żałował, że nie ma z nim Czerskiego. Bał się, że coś ważnego mu umknie.

— Komputer hakera zamiast loginu i hasła wysyła certyfikat na żądanie programu zdalnej kontroli. Zawiera on podpis elektroniczny, który potwierdza jego autentyczność, a więc niejako autentyczność samego

użytkownika. Kluczem do sprawdzenia jego ważności jest inny klucz publiczny pochodzący od wystawcy certyfikatu, na który ten pierwszy się powołuje.

— Pogubiłem się — rzekł szczerze Skalski. Był zmęczony i głodny.

— Załóżmy, że chciałbym wysłać panu kartkę pocztową z pewną wiadomością napisaną otwartym tekstem, a pan chce wiedzieć, czy ona naprawdę pochodzi ode mnie. Jeżeli podpiszę go w szczególny sposób, to będzie pan wiedział.

— Podpis da się sfałszować. Mogę dostać mnóstwo kartek. Prawdziwych i fałszywych. Każda może zawierać pański podpis. Jak wyłuskać tę autentyczną?

— I tu wkracza technika, która panu pomoże w tym zadaniu. Tylko proces jest złożony. Określa się to w branży informatycznej podpisem elektronicznym.

— Ciekawe… — Skalski przeczuwał, że niewiele zrozumie, a do tego znowu rozboli go głowa.

— W naprawdę wielkim uproszczeniu powiem tak: podpis to ciąg zaszyfrowanych cyferek, który zmienia się w zależności od treści jawnej wiadomości. Czyli, gdy zapisuję coś jawnie, to otrzymuję ekstra jakieś liczby, które szyfruję swoim tajnym kluczem i już. Ale jeżeli potem zmienię choćby jedną literę mojej wiadomości, podpis już nie będzie pasował.

— Znam klucz do tego szyfru?

— No prawie… — Specjalista zastanowił się, czy słuchacz wytrzyma dalszą część.

— Czyli jak? — Skrzywił się lekko Skalski, czując już pierwsze oznaki niewydolności umysłowej.

— Pan ma tylko część klucza, zwaną kluczem publicznym. Można nim odszyfrować podpis, ale nie zaszyfrować, a co lepsze, zmanipulować.

Zaufana osoba, która podpisuje wiadomość, posiada klucz prywatny i trzyma go w tajemnicy, a klucz publiczny, jak sama nazwa mówi, powinien być łatwo dostępny dla każdego, by sprawdzić autentyczność podpisu. W ten sposób można się już komunikować tekstem jawnym, zachowując odporność na manipulacje informacji.

— I do tego służy certyfikat? Do komunikacji?

— Nie. Ale jak pan otrzymuje jakiś ważny dyplom, dla przykładu wyższej uczelni, to są na niej przecież pieczęcie, podpisy, prawda?

— Zgadza się.

— Można by taki dyplom podpisać elektronicznie, ujawnić wszystkim klucz publiczny i już. Nie zmieni pan oceny na dyplomie, bo podpis, podobnie jak suma kontrolna, się nie zgodzi. Każdy może to sprawdzić — wystarczy zadzwonić do uczelni i poprosić o klucz publiczny. Zaś klucz prywatny trzymają w sejfie z dala od ciekawskich. Ten dyplom, z pańskim imieniem, nazwiskiem i oceną jest uwiarygodniony i do tego łatwy do sprawdzenia.

— Modlę się, by moja sprawa była prostsza — jęknął Skalski, wjeżdżając na parking przy laboratorium kryminalistyki. Natychmiast wyrzucił z głowy poznane właśnie niuanse szyfrowania komputerowego i ból głowy przeszedł, jak ręką odjął. Jak dobrze, że technik nie drążył tematu.

Zatrzymał samochód, zgasił silnik i zapytał:

— Ile czasu pan potrzebuje, by ustalić, jak się sprawy mają?

— Kwadrans, może ciut dłużej. Proszę za mną.

Dwadzieścia minut później Skalski już wracał do domu, bogatszy o wiedzę, jak wysłano maila z komputera Osika. Sprawca wyłączył jedno z urządzeń Wi-Fi w laboratorium, by użyć jego identyfikatora MAC do pozyskania adresu IP. Adres ten posłużył do połączenia z komputerem

ofiary, a dokładnie z programem zdalnej kontroli, który za pomocą certyfikatu użytkownika upewniał się, że loguje się administrator, choć tym razem był to haker.

„Znajdźcie komputer z tym certyfikatem, to znajdziecie hakera” — usłyszał radę. Jest też inna opcja. Technik powiedział, że jeśli do sprawy podchodzi się poważnie, to każde wystawienie tego elektronicznego zaświadczenia powinno być gdzieś odnotowane — w jakimś szczególnie chronionym miejscu; w tym samym, gdzie trzyma się certyfikaty macierzyste służące do wystawiania pozostałych. Czy haker byłby aż tak głupi? Czy może nieuważny?

Skalski odczuł lekkie podenerwowanie, bo zapaliła się iskierka nadziei, a doświadczenie życiowe zbyt często potwierdzało, czyją jest ona matką.

„Znajdźcie komputer z tym certyfikatem, a znajdziecie hakera” — wciąż dźwięczało mu w głowie.

---

[1] *Non est tribulatio!* (łac.) — Nie ma problemu!

Rozdział 9

Dzień sprintu 7/10. Wtorek

1
9.00, RCUS, biuro prezesa Aivara

— Dzień dobry, pani Olu! — Aivar udawał przed sekretarką, że wszystko jest w porządku. — Proszę o kawę i plan dnia na dziś.

— Dzień dobry, panie prezesie — markotnie odpowiedziała sekretarka. — Zaraz przyniosę kawę.

Aivar zauważył gazetę rozłożoną przed panią Olą, co przy jej dioptriach było zjawiskiem rzadkim jak zaćmienie słońca. Zwalczył chęć zapytania jej o powody. Jeśli to coś ważnego, to na pewno mu powie. Wszedł do gabinetu, położył aktówkę na stole i włączył laptopa.

Szybko się okazało, że niestety miał rację.

Rozległo się ciche pukanie, drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich pani Ola z filiżanką kawy i gazetą.

— Pańska kawa… i… powinien pan to przeczytać. Piszą o nas, o naszej firmie. I o panu. Źle piszą. Bardzo, bardzo źle.

— Proszę mi to dać — polecił, wyciągając rękę po gazetę. — Na której stronie?

— Na pierwszej.

Rzeczywiście. Z pierwszej strony krzyczał wielki nagłówek: *Śmierć nadejdzie z komputera*. Zagłębił się w lekturze, nie zwracając uwagi na sekretarkę. Ta wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kwadrans później Aivar blady jak ściana wezwał ją do siebie.

— Pani Olu, zwołuję radę dyrektorów na dziewiątą trzydzieści. Do tego czasu każdy ma przeczytać ten artykuł. Proszę każdemu kupić gazetę i upewnić się, że się z tym zapoznał.

2
9.00, komenda policji

Skalskiego od przebudzenia prześladowały słowa: „Znajdźcie komputer z certyfikatem, to znajdziecie hakera”. Nie mógł się pozbyć tej powtarzającej się w jego głowie frazy. W domu, w drodze do pracy i w biurze. Nie mógł się uwolnić. Opowiedział kolegom o wydarzeniach w laboratorium i certyfikacie, ale nie pomogło. Dalej siedziało mu to w głowie i przeszkadzało myśleć. Udało się, dopiero gdy ostro zabrzmiał dzwonek aparatu na jego biurku. Doskonale wiedział, kiedy telefon od komendanta można zignorować, a kiedy lepiej go odebrać.

— Skalski — przedstawił się zwyczajowo.

— Kiedy możesz przyjechać do komendy? — Komendant Głowa nigdy nie robił długich wprowadzeń. Niektórzy uważali, że właśnie dlatego jest komendantem, bo kiedy inni próbowali politykować, podlizywać się i próbować wszystkim robić dobrze, Głowa walił prosto w twarz, poprawiał kopniakiem, przyduszał kolanem, a dopiero potem pytał, w czym problem.

— Będę za pół godziny, panie komendancie.

— Za dwadzieścia minut! — warknął Głowa.

Czerski spoglądał na niego pytająco zza kanapki, a Walczak wyciągnął piersiówkę i bez słowa podsunął ją Skalskiemu. Propozycja została zignorowana, ale Walczak w ogóle się tym nie przejął. Nie chował jeszcze butelki, spodziewając się, że być może również będzie musiał jechać na komendę. W pewnych aspektach był jeszcze bardziej doświadczony i

wygowaty od Skalskiego, ale nawet on nie próbowałby zionąć nieprzetrawionym alkoholem w gabinecie pierwszego policjanta w mieście.

— Komendant chce mnie widzieć. — Skalski mówił, jakby doświadczył nagłego bólu zęba. — Zapewne będzie chciał osobistego raportu, statusu śledztwa i tak dalej. A my… ja… nie mam dla niego nic prócz nowego trupa.

— Mamy jechać z panem? — spytał z troską Czerski.

— Nie, wspomniał tylko o mnie, więc nie róbmy mu najazdu. — Na te słowa Walczak otworzył piersiówkę i pociągnął mały łyk. — Zresztą pochwał nie będzie, więc lepiej nie rzucajcie mu się w oczy.

Wstał, a za nim pozostali.

— Popracujcie wspólnie koncepcyjnie. Może coś wam przyjdzie do głowy. Mamy sporo materiału i trzeba to uporządkować.

***

Równe dwadzieścia minut później Skalski przeszedł przez drzwi z napisem „Komendant główny Marian Głowa”. Za drzwiami, wbrew pozorom, nie było komendanta, lecz przerażający cerber. Nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, wyjątkowo kościstej budowy, bardzo mała głowa, włosy kiedyś kruczoczarne, teraz wściekle czerwone. Główną uwagę intruza przyciągały progresywne okulary zasłaniające pół twarzy. Oprawki miały jakiś palec grubości i były chyba grubsze niż ostatnio. Walczak śmiał się, że jak będą na dwa palce, to spadając do kufla, będą wystawać ponad pianę piwa. Skalski nie po raz pierwszy natknął się na panią Zofię i zawsze spotkanie to wywierało na nim niezatarte wrażenie.

— Pan komendant jest bardzo zajęty — poinformowała go, przyjmując wyzywającą pozę szatniarki dysponującej całym zapasem płaszczy.

— Wiem, czeka na mnie — odparł Skalski niewzruszenie.

— Zajęty jest, przecież mówię! Jest u niego radny Miszczal. Jak będzie wolny, to wpuszczę.

Wyraźnie zaznaczyła, kto tutaj rządzi. Skalski westchnął i rozejrzał się za jakimś krzesłem. Pani Zofia obrzuciła go triumfująco wzrokiem. Dopiero dźwięk telefonu sprawił, że oderwała od niego złośliwe spojrzenie.

Skalski zwrócił uwagę, że dziś było wyjątkowo dużo przychodzących rozmów. Ledwie kończyła się jedna, to dzwonek informował o kolejnym połączeniu. Zofia była zapewne masochistką, bo na nowoczesnym aparacie telefonicznym ustawiła ostry, terkoczący sygnał znany z aparatów sprzed kilkudziesięciu lat.

Ledwo usiadł, kiedy drzwi do wewnętrznego gabinetu się otworzyły. Pojawił się w nich człowiek znany Skalskiemu z kilku imprez organizowanych przez Ratusz. Radny Miszczal chętnie udzielał się w miejscowej polityce, zwłaszcza w zagadnieniach gospodarczych. Jego największym sukcesem było ściągnięcie przed laty do miasta AMOD-u i paru innych firm technologicznych. Teraz raczej odcinał kupony tego sukcesu, jednak z jego zdaniem wciąż należało się liczyć.

Miszczal rzucił mu ponure spojrzenie i skinął sztywno głową. Uśmiechnął się szeroko do Zofii, a ta odwzajemniła mu uśmiech, czym poważnie wystraszyła Skalskiego. Kiedy wyszedł, musiał zabrać ze sobą ten uśmiech, bo ta znów patrzyła zimno.

— Teraz pan komendant może pana przyjąć. — Położyła rękę na słuchawce terkoczącego telefonu i teatralnym gestem wskazała sztywno drzwi, patrząc gdzieś, gdzie nie było Skalskiego. — Ostrzegam, że nie ma dzisiaj najlepszego humoru.

„Też bym nie miał…” — pomyślał, przypominając sobie historię Walczaka o konflikcie interesów.

Gabinet komendanta Głowy był urządzony niczym Bizancjum. „Ciekawe, czy ma bidet w toalecie” — przemknęło Skalskiemu przez myśl. Głowa, jak to miał w zwyczaju, od razu przeszedł do rzeczy.

— No? — Zastukał na powitanie palcami o blat biurka. — I co to się tam u was wyprawia, Skalski?

Nie musiał tłumaczyć, co rozumie przez „tam” czy „wyprawia”.

— Wszystko zawarłem w raporcie, dzisiaj go uzupełnię o nowe ustalenia…

— Takie jak drugie morderstwo?

— Tak jest.

— Przejdę do rzeczy. — Komendant Głowa przeszedł do rzeczy. — Był tutaj radny Miszczal. Wie już o drugim zabójstwie i żąda wyników. Twierdzi, że to fatalnie wpływa na klimat inwestycyjny. I myślę, że wysłała go tutaj pani prezydent. Wiedziałeś, że w RCUS-ie pracuje jej syn? Boi się o niego.

Skalski milczał, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Polityka nigdy go nie interesowała, na wybory nie chodził, a kiedy jego siostrzeniec startował na radnego gminy, to wydawało mu się, że chodzi o dyrektora szkoły, bo tam obradowała komisja wyborcza.

— Czy ta sprawa cię aby nie przerasta? — zapytał jadowicie Głowa.

— Cały wydział nad tym pracuje. Także w weekendy. Laboratorium zasypuje nas wynikami ekspertyz. Nikt się nie obija.

— Znam cię. Wiem to wszystko. Ale, do kurwy nędzy, to ścierwo wciąż tam łazi i zarzyna ludzi! I śmieje się wam w twarz z tej waszej ślepoty. Musi go strasznie jarać, że elita policji w pocie czoła goni za duchem. A ty co? Czy ty, kurwa, ambicji nie masz? Że taki kutafon z tablecikiem robi was w chuja?

Skalski przełknął ślinę.

— Pracujemy metodycznie. Materia jest ciężka, nie wszyscy ogarniają kwestie techniczne…

— I od tego, kurwa, masz Czerskiego! Po to go wam dałem, żeby was nauczył czegoś nowego! Jak w ogóle układa wam się współpraca?

— Czerski? Jak to świeżak, młody i napalony… Na wszystko patrzy przez pryzmat najświeższych rozwiązań w dziedzinie kryminalistyki i techniki. Ale uczy się od nas…

— Nie o to pytałem. Ale widzę, że skoro nie umiecie wykorzystać potencjału świeżego umysłu, to może trzeba będzie rozważyć przesunięcia!

Zabrzmiało to groźnie.

— Przesunięcia?

— Masz problem ze słuchem? — warknął Głowa. — Odnoszę wrażenie, że przestajecie być przystosowani do nowych wyzwań, jakie stawia przed nami rzeczywistość!

Wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu z założonymi z tyłu rękami.

— Rozmawiałem z rodziną pierwszej ofiary. — Głowa spojrzał przez okno gdzieś w dal, stając tyłem do Skalskiego. — I wiesz, co było najgorsze? Nie, nie przekazanie wyrazów ubolewania. Powiedziałem, że robimy, co w naszej mocy, by złapać mordercę. I oni mnie poprosili tylko o jedno: czy mogę obiecać, że nie dojdzie więcej do podobnej tragedii. Wiesz, co im odpowiedziałem?

— Że zrobimy wszystko, co w naszej mocy…?

— Że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by to się nigdy nie powtórzyło! I co? Mamy drugie zabójstwo!

— Mamy pewne poszlaki… — zaczął nieśmiało Skalski.

Głowa, stojący tyłem do niego, podniósł rękę, każąc mu się zamknąć. Po chwili się odwrócił.

— Czytałeś, co piszą o sprawie w dzisiejszej prasie? — powiedział, cicho podnosząc z biurka gazetę. Zbyt cicho. Nagle uderzył zwiniętym dziennikiem o biurko.

— Czytałeś, do kurwy nędzy?! — ryknął i nie czekając na odpowiedź, szarpnął stronicami i machnął nimi przed oczami Skalskiego. — Patrz, kurwa, na te nagłówki! I to na pierwszych stronach! ŚMIERĆ-NA-DEJ-DZIE-Z-KOM-PU-TE-RA! — przesylabizował.

Skalski, który nagłówki widział już z samego rana, tylko kiwnął głową.

— I może mi teraz łaskawie wytłumaczysz, skąd prasa ma te informacje?!

— Nie mam pojęcia; może to ktoś z RCUS-u…

— Oczywiście, że nie masz pojęcia! — Głowa walnął pięścią o biurko. — Nie macie o niczym pojęcia! Banda zdziadziałych nieudaczników! I do tego partacze! W drogówce wam robić, a nie poważne śledztwo prowadzić!

Skalski nieraz widział napady furii Zakutego Łba. Wbrew pozorom Głowa na co dzień był opanowany i rzadko wpadał w taki stan. Ale to, co się działo dzisiaj, przechodziło wszystko, co do tej pory pokazywał. Poczuł, jak po karku spływa mu kropla potu.

— Komendancie, ja…

— Zamknij się! Jeszcze nie skończyłem! — Głowa zazgrzytał zębami i gwałtownie usiadł w fotelu. Założywszy nogę na nogę i złożywszy ręce w piramidkę, przez chwilę rozmyślał.

— I teraz będzie tak… — odezwał się ponuro. — Jutro z samego rana przyniesiesz mi w zębach sprawozdanie z postępów śledztwa z dnia dzisiejszego. Jutro. I pojutrze. I tak aż do rozwiązania sprawy. I macie też ustalić źródło przecieku. Chcę wiedzieć, kto i jak dotarł do tych szczegółów. I miejsce przecieku ma zostać uszczelnione.

Skalski w milczeniu kiwnął głową.

— I jeszcze jedno — dodał zrezygnowanym głosem Głowa. — Jeśli znów damy ciała, to obsiądą nas na dobre. I rodziny ofiar, i prasa. Prezydent tylko czeka na okazję, by się nam dobrać do tyłka, zwłaszcza że radny Miszczal gra w jej drużynie… Nieważne! Wywloką na nas wszystkie możliwe brudy. I z tego medialnego szamba będziemy się długo wygrzebywać.

— Rozumiem.

— Gówno rozumiesz! Od rana próbuję uspokoić sytuację; nasz rzecznik właśnie przygotowuje oświadczenie… Może się uda złagodzić napięcie… Wbij sobie, Skalski, do łba tylko jedno: kolejna porażka i polecą głowy. Dwie. Albo nawet i trzy. I wiesz, co jest, kurwa, najgorsze w całym tym gównie? Wiesz? — Oddychał ciężko.

Skalski gorączkowo zastanawiał się, czy pytanie jest retoryczne, czy może jednak powinien odpowiedzieć. Postanowił zaryzykować.

— Nie wiem… — zaczął niepewnie.

— Zamknij się! — Ponowny wybuch furii jasno dał do zrozumienia, że źle wybrał. — Najgorsze jest, kurwa, to, że nie mam nikogo, kto może was zastąpić! I muszę za was świecić oczami przed prasą i dupą przed panią prezydent, jacy to z was fachowcy. Ale Skalski — zaczął mu grozić zaciśniętą pięścią — przysięgam ci: jak, kurwa, ktoś się zorientuje, że gówno macie, i zażąda mojej głowy, to cię wypierdolę ze służby i nawet mi powieka nie drgnie.

Skalski rozumiał powagę sytuacji. Nie chodziło tylko o szum, jaki się zrobił. Głowa, który był najwyraźniej zaplątany w jakieś polityczne rozgrywki, mógł polecieć ze stanowiska. I najwyraźniej w tę podróż nie zamierzał się wybierać sam.

Skinął głową i otarł czoło.

— No? Mam ci jeszcze wysłać specjalne zaproszenie, byś zabrał się do roboty? — Głowa wstał z fotela, dając do zrozumienia, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Skalski truchtem opuścił gabinet. Zdążył tylko dostrzec irytację na twarzy Zofii podnoszącej kolejny raz słuchawkę.

3
9.30, siedziba firmy RCUS

Miny wszystkich dyrektorów mówiły, że każdy z nich zapoznał się z artykułem. Donatan Relik był najbardziej spokojny. Siedział z rękami założonymi na kolano i patrzył nieruchomo w stół. Szefler co chwila wycierał dłonie w spodnie i rzucał spojrzenie na każdego siedzącego za stołem. Bernard Farney kiwał się niebezpiecznie na krześle, przypominając teraz raczej nadpobudliwego uczniaka niż poważnego dyrektora. Zuzanna Elkebaum rzucała na wszystkich podejrzliwe spojrzenia, bębniąc palcami po stole.

— Dzień dobry wszystkim, że tak sobie pozwolę zażartować — zaczął prezes Gabriel Aivar, wchodząc do sali. — Zapytam dla formalności, czy wszyscy przeczytali artykuł pani… — zerknął do notesu — Anny Tores, poświęcony naszej firmie?

Ogólny pomruk i skinięcie głowami było wystarczającym potwierdzeniem nie tylko przeczytania, ale też zrozumienia jego wagi.

— Dobrze więc. Od śmierci tego… — znów zerknął do notesu — Osika wiedzieliśmy, że wcześniej czy później dziennikarskie hieny rzucą się na nas. Ale wszystko miało się odbyć pod kontrolą! — Niemal walnął pięścią w stół. — Co się stało?

Pierwsza odezwała się Elkebaum, pełniąca również funkcję rzecznika prasowego firmy.

— Wczoraj wieczorem wypuściliśmy komunikat prasowy. A więc pierwszego dnia roboczego po… wypadku, nikt nie może nam zarzucić ukrywania czegokolwiek. Na dziś, na czternastą, zaprosiliśmy chętnych dziennikarzy w celu udzielenia szczegółowych wyjaśnień. Zgłosiła się jedna osoba z lokalnego dziennika, co nam oczywiście bardzo odpowiadało.

— Ta Tores? — dopytał prezes.

— Nie, ona nie. Ktoś z innego tytułu.

— Ta Tores napisała w artykule, że próbowała się z nami kontaktować, ale ją zbyliśmy. Ktoś z nią rozmawiał? — Spojrzał na Elkebaum.

— Tak, zaprosiłam ją na konferencję. Ale nie zgłosiła swojego akcesu.

— Skąd więc miała tyle informacji? I to informacji, które są znane ledwie paru osobom?

Farney przestał się kiwać na krześle.

— Prezesie, wydaje mi się, że to błędne założenie. Wiele, bardzo wiele osób wiedziało w szczegółach o obu morderstwach. Po pierwsze, my wszyscy, ale to chyba możemy wykluczyć. Po drugie, osoby, które znalazły zwłoki — czyli strażnicy i ich przełożeni, także pracownicy laboratoriów, a więc także ich przełożeni. A oni mają wielu przyjaciół i na pewno dzielili się sensacyjnymi informacjami. Po trzecie, policja…

Maksymilian Szefler zaprotestował słabo:

— Ale przecież ani nie informowaliśmy naszych pracowników, że popełniono morderstwo, ani nie zdradzaliśmy żadnych okoliczności, skąd więc… — wskazał gazetę.

— Maks! Nie ma takiej kontroli, by sprawdzić, co ludzie gadają — odpowiedział Farney. — Niechby chociaż jeden chciał się poczuć przez chwilę ważny i opowiedział ze szczegółami, co widział. Plotka szerzy się

szybciej, niż rozchodzi się światło, zwłaszcza w tak gęstym środowisku, jak nasi pracownicy. I chociaż dla nas są tylko resource’ami, to zwykle są inteligentniejsi od przeciętnego zjadacza snickersów. Krótko mówiąc, nie dziwi mnie, że szczegóły morderstw wyciekły.

— Donatan? Co myślisz? — Aivar nie chciał oddać kontroli nad spotkaniem Farneyowi.

— Bernard ma rację. Zbyt wiele osób wiedziało o szczegółach. A jak się wczytać w relację, to widać drobne nieścisłości. Dlatego wykluczyłbym przeciek z policji.

Farney pochylił się do niego.

— Jakie nieścisłości masz na myśli?

Relik wziął gazetę.

— Na przykład to: według artykułu de Bugaja znaleziono z nożem w plecach. Mogę sobie wyobrazić, że ktoś widział ślady krwi, coś usłyszał o nożu i wydedukował, że ofiara tak właśnie skończyła. W wypadku Osika artykuł mówi o przedawkowaniu narkotyków. To zasadniczo prawda, bo wykryto u niego substancje odurzające, ale nie one były przyczyną zejścia. To jednak wiemy dopiero od wczoraj od śledczych.

Farney i Aivar pokiwali głową ze zrozumieniem.

— I co z tego wynika? — spytał Szefler.

Na twarzy Elkebaum widać było ulgę, że ktoś jej wyjaśni, jakie to może mieć znaczenie.

— To — kontynuował Relik — że ten, kto sprzedał to prasie, nie był ani naocznym świadkiem znalezienia zwłok, ani nie był blisko całego śledztwa. Sądzę, że ten ktoś miał mozaikę plotek, sklecił z tego całkiem prawdopodobną historię i poleciał do gazety. Może nawet blefował i nieszczęśliwie dla nas trafił w dziesiątkę.

— A co ze źródłem Tores, tajemniczym „anonimowym wysoko postawionym pracownikiem na stanowisku menedżerskim” — zapytała Elkebaum.

— Nic ważnego — odpowiedział Relik. — Co miała napisać? Że wyssała to z palca? Że rozmawiała ze sprzątaczką albo ochroniarzem? Napisanie o „anonimowym wysoko postawionym menedżerze” podnosi pozorną wartość artykułu. Nie przywiązywałbym do tego wagi. Ale coś innego mnie tutaj zastanawia… — spojrzał na nią.

— Co takiego? — zaniepokoiła się.

— Drugie morderstwo popełniono w nocy z piątku na sobotę — rozwijał myśl Relik. — Gazeta musi być złożona do, powiedzmy, poniedziałkowej północy. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin ktoś nie tylko zdążył stworzyć zaskakująco trafną teorię, i to w weekend; ale jeszcze przekonał do tego dziennikarkę poważnej gazety, która zapewne zrobiła jakiś research tematu i jakąś weryfikację faktów. A w ramach tego researchu miała zaskakująco dużo szczegółowych danych osobowych panów de Bugaja i Osika — zawiesił głos.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś wykradł ich kartoteki osobowe? Jakim cudem? — zapytała podejrzliwie.

— Nie wiem. — Patrzył jej w oczy. — Ty mi powiedz.

Bladość Elkebaum wspaniale kontrastowała z henną jej brwi i szeroko otwartymi ustami.

— Dość! — Tym razem Aivar nie zawahał się uderzyć w stół. — Nie spotkaliśmy się tutaj, by rzucać na siebie podejrzenia! Ale Donatan ma rację. Tores wiedziała zbyt dużo i zbyt szybko. Niech Skalski z nią porozmawia.

— Po co miałby to robić? — zapytał Farney. — Sądzi pan, że ten człowiek i tych jego dwóch przy… bocznych — dokończył po wyraźnej

pauzie, aby wypowiedzieć to, co wszyscy myślą — czegokolwiek się dowiedzą? Mamy już dwa morderstwa, nasz wizerunek leci na pysk. Za chwilę podobny los spotka nasze akcje, a kto wie, może nawet stracimy zaplanowane kontrakty. A kogo mamy do pomocy? Nieogarniętego człowieka, który przeżył zagładę dinozaurów, drugiego z problemem alkoholowym i do kompletu gówniarza po szkole, który śledztwa zna z obowiązkowych lektur Agaty Christie.

Zapadła cisza.

— W porządku — odezwał się Aivar. — Może to nie było politycznie poprawne, ale rozumiem, że martwi cię cała ta sytuacja. Sądzę też, że nie jesteś w swoim zdaniu odosobniony. — Uśmiechnął się kwaśno, a dyskretne uśmiechy pozostałych uczestników zebrania wskazywały jasno, że wszyscy zgadzają się z przedstawioną diagnozą.

— Przepraszam… Poniosło mnie… — Farney przetarł dłonią oczy, jakby chciał się za nią schować.

— W porządku. Przejdźmy jeszcze do podliczenia strat dla naszej korporacji. — Wszyscy zauważyli, że o skutkach osobistych nie ma zamiaru rozmawiać.

Szefler poczuł się wywołany do odpowiedzi.

— Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jest to potężny impakt na nasz prestiż. Same morderstwa jeszcze jakoś by uszły…

— Co takiego? — parsknął Relik. — Jak wytłumaczysz, że nasze HR-y — zerknął na Elkebaum — zatrudniły seryjnego mordercę?

— Donatan! — Aivar podniósł głos.

— Ten artykuł — Szefler kontynuował swoją myśl — rozwala całą naszą strategię zarządzania kryzysem, przedstawiając nas jako pazernych, bezdusznych, nieliczących się z nikim i niczym. Zresztą czytaliście. Straty wizerunkowe na naszym image’u spowodują realne straty finansowe:

możemy oczekiwać spadku kursu naszych akcji, zwiększenia stawek ubezpieczeniowych we wszystkich aspektach…

— A jaki związek z wizerunkiem rynkowym mają stawki ubezpieczeń na budynki? — zainteresował się Farney.

— Żadnych, ale każdy pretekst do ich podniesienia jest dobry — odpowiedział Szefler i wrócił do wyliczanki. — Zaimpaktowane zostaje zaufanie kontrahentów, którzy będą się obawiać o mieszanie ich wizerunku z naszym, trudniej będzie zdobyć nowych klientów lub deale z nimi będą dla nas mniej korzystne. Możemy też spodziewać się większej fali odejść resource' ów i mniej chętnych na ich zastąpienie, przez co będziemy musieli albo więcej płacić, albo zatrudniać ludzi o gorszych skilach.

— Jakieś propozycje, by nad tym zapanować? — zapytał Aivar.

Teraz Elkebaum poczuła, że to jej poletko.

— Po pierwsze, przeprowadzić briefing prasowy zgodnie z planem. Myślę, że teraz możemy się spodziewać znacznie więcej niż jednego zainteresowanego. Musimy odnieść się do tego artykułu — machnęła gazetą — ale przedstawić wszystko jako mało odkrywcze. Oczywiście niczego nie ukrywaliśmy, trzymaliśmy się ustaleń policji, dobra śledztwa i tak dalej. Jak zapytają o jakieś odszkodowania dla rodzin, radzę sypnąć groszem. — Aivar skinął twierdząco głową. — W żadnym wypadku nie możemy atakować Tores. Środowisko dziennikarzy jest bardzo czułe na ataki na siebie i jeśli to zrobimy, będziemy trupami, zanim wrócimy do swoich biur. Musimy potwierdzić wszystko albo prawie wszystko, co napisała Tores, i może sprzedać coś jeszcze. A czego nie będziemy chcieli powiedzieć, to zasłaniamy się tajemnicą śledztwa.

— Panowie chcą coś dodać? — Aivar zwrócił się do dyrektorów.

— Jeśli będzie okazja — odezwał się Farney — trzeba zapewnić, że dotrzymamy wszystkich zobowiązań i terminów.

— Dobrze, ale tylko jeśli padnie takie pytanie — zgodził się. — To chyba nie będzie najwłaściwszy moment na marketing. — Skrzywił się, symulując uśmiech.

— Panie prezesie — odezwała się cicho Elkebaum. — A co z panem? To pan jest oskarżony przez gazetę o taką politykę firmy. Bez względu na to…

— Jestem odpowiedzialny za politykę firmy i nie będę zrzucać tej odpowiedzialności na innych. Jeśli ta kwestia pojawi się na briefingu, powiem, że w trosce o dobro firmy, i tak dalej, oddałem się do dyspozycji zarządu.

***

Farney tak lawirował, wychodząc, że znalazł się w jednej windzie z Elkebaum. Pozwolił, by wcisnęła guzik swojego piętra, ale sam nie wcisnął swojego, tylko oparł się o blaszaną ściankę i wyczekiwał.

— Ten przeciek — zaczął niewinnie — ciągle chodzi mi po głowie.

— No wiesz, jeśli uważasz, że ktoś z moich ludzi… — oburzyła się natychmiast Elkebaum.

— Nie, nie o tym myślę. Chociaż może masz rację, trochę myślę. Ale bardziej chodzi mi o Donatana i o to, jak bardzo okazał się spostrzegawczy… — przerwał, bo drzwi windy otworzyły się i weszło dwoje ludzi.

— To nie twoje piętro? — spytała, patrząc na niego badawczo.

— Moje. — Nacisnął guzik zamykający drzwi. Przynajmniej na chwilę zamilknie. Ale nie odpuści.

A ona miała natłok myśli i z najwyższym trudem trzymała nerwy na wodzy. Sprawy od wczoraj mocno się skomplikowały. Poza sprawą morderstwa po głowie kłębiło jej się inne pytanie: gdzie się podział Lucjan? Dlaczego nie odbiera telefonu? Co oznacza ten jego e-mail do Aivara? Nic

jej wcześniej nie mówił o swojej chorobie. Może faktycznie cierpi albo wręcz zasłabł i leży sam w domu. Cholera!

Obaj pracownicy wysiedli na piętrze, gdzie biuro miała Elkebaum.

— To nie twoje piętro? — Farney zapytał z lekkim uśmieszkiem.

— Moje. — Nacisnęła zamykanie drzwi, a potem awaryjne zatrzymanie windy. — O co ci chodzi?

— Widziałaś, jak Donatan zareagował na nadchodzący armagedon?

— Nooo, wskazał mnie palcem?

— Ale jak on to zrobił! Wszystkie nasze zmysły drą się *pull up, pull up, terrain ahead*, a on chłodno dokonuje analizy tekstu w gazecie. Ile mieliśmy czasu na zapoznanie się z treścią? Parę minut? A potem zawiesza głos, rzucając cień oskarżenia w twoją stronę. Chyba nie wierzysz w to, że wcześniej tego nie przygotował?

— Może, może… rzeczywiście — potwierdziła niepewnie, z trudem próbując opanować wewnętrzne roztrzęsienie.

— Wszyscy przyszliśmy z gorącymi głowami, a wyszliśmy ze spotkania z przekonaniem, że to ktoś z załogi posklejał układankę i poleciał z tym do prasy. I że to ktoś mający bliski związek z kadrami. — Już miała zaprotestować, ale uciszył ją palcem. — A doszło do tego, bo Donatan przekonał nas, że mimo pewnych nieścisłości w artykule posłużono się precyzyjnymi danymi ofiar.

— Racja — mruknęła.

— I sama zobacz: te nieścisłości. Kto by je tam zobaczył, gdyby Donatan o nich nie powiedział? Po co to zrobił? Bo wiedział, że mieliśmy mętlik w głowach i potrzebujemy kogoś, kto podpowie nam coś mądrego. Coś podpartego prostą logiką, co uwolni nas od konieczności myślenia. Nie jest dziwne, że Donatan od razu wskazuje na rozbieżności, których nawet nasz inspektor Skalski by nie zauważył… no dobra, to był zły przykład. No i z

jaką łatwością skierował uwagę w twoją stronę! — Wycelował w nią palcem.

Spojrzała na niego przerażona.

— Ja przecież nic… — zająknęła się.

— Wiem, że jesteś niewinna. Znam cię — zapewnił ją łagodnym głosem. — I przekonuje mnie jeszcze jedno: to, jak bezczelnie próbuje cię w to wmanewrować.

— Tak, to na pewno. — Ożywiła się. — Ciekawe, czego jeszcze spróbuje…

Omal nie przewrócił oczami, nie wierząc, że może być tak tępa. Nie mógł jednak wiedzieć, przy jakiej bombie emocjonalnej majstruje.

— Zagra danymi osobowymi ofiar! To one czynią cię główną podejrzaną o przeciek! A sam z łatwością mógł je zdobyć. Przecież jest szefem działu innowacji. Podrzucił ci jakiegoś wirusa albo keyloggera odpornego na wykrycie.

— A to oznacza… — domyśliła się — że to on spreparował przeciek.

„Nareszcie” zahuczało mu w głowie i spojrzał na nią z ulgą. Ile to się trzeba nad niektórymi ludźmi napracować!

— Ale dlaczego? — zapytała.

Farney nachylił się i szepnął do ucha:

— Myślę, że nie działa sam. Ktoś go nasłał. Wiele na to wskazuje. Na kogo TY byś wskazała?

Patrzyła wylękniona. Niemal dusiła się w tym ciasnym miejscu. Chciała uciec, ale nie mogła. Przecież zatrzymała windę. Ocknęła się wreszcie i ją uruchomiła. I wydusiła, pojmując największe zagrożenie dla planu jej i Frosta:

— Szefler?

Farney wyszeptał:

— Mamy wspólnego wroga, który tchórzliwie wysługuje się innymi. I dlatego myślę, że powinniśmy się trzymać razem.

4
11.00, RCUS, kuchnia

Atmosfera w kuchni była zbliżona do grobowej. Niektórzy zwyczajnie przejmowali się śmiercią kolegów, inni, kojarzeni raczej z teoriami spiskowymi, zastanawiali się, kto następny. Próbowali ubrać to w swój ulubiony czarny humor. Bez większych efektów. Świetnie jest przy kawie opowiadać najbardziej makabryczne historie, ale nie wtedy, kiedy dwóch ich przyjaciół zginęło, i to w okolicznościach co najmniej niejasnych. Teraz ich lęki i podejrzenia podsycił jeszcze artykuł w gazecie. Potwierdzał większość krążących wśród nich racjonalnych plotek. Oczywiście zdawali sobie sprawę, że to oni sami byli źródłem tych plotek, ale przeczytanie tego w poważnej gazecie utwierdziło wielu, że nie są osamotnieni w swoich podejrzeniach i najwyraźniej coś w tym jest, skoro zajęli się tym profesjonalni dziennikarze.

Bartłomiej Lewin miał szczególnie markotną minę i starał się unikać rozmów na temat artykułu. W pewnym sensie czuł się jego współautorem.

— Co jak co — mówił jeden z chłopaków — ale trzeba przyznać, że gazeta piorunem się uwinęła z artykułem. Myślę, że ktoś od nas zadzwonił na gorącą linię redakcji.

Lewin poczuł, że policzki zaczynają mu płonąć. Wstał i podszedł do czajnika, by zalać kolejny kubek herbaty. I ukryć twarz przed kolegami.

— W przeciwnym razie skąd by wiedzieli o tylu szczegółach! — wtórował inny.

— Zwłaszcza że konferencja prasowa ma być dopiero dzisiaj — dodał trzeci, znany jako Zbyszek. — Dziennikarze nic nie wiedzieli. Mail był tylko do nas.

— Jak nie wiedzieli? — obruszył się czwarty. — Kilian zmarł w sobotę nad ranem. Mieli aż nadto czasu, by się dowiedzieć.

— A guzik tam mieli czas — zaoponował Zbyszek. — Śmierć nastąpiła w warunkach, jak by to powiedzieć, podejrzanych. Właściwie każda śmierć, oprócz tej ze starości, jest podejrzana — zamyślił się na chwilę. — W każdym razie firma powiadomiła policję i od tego momentu jest szlaban na udzielanie informacji komukolwiek. Naruszenie tego wiąże się z odpowiedzialnością karną z jakiegoś tam paragrafu. Nie ma mowy, żeby to wyciekło wcześniej. Firma organizuje konferencję dopiero dzisiaj, bo mają już wszystko ustalone z prokuraturą: co mogą, a czego nie mogą powiedzieć. Wszystkie ślady i wątki śmierci Kiliana są już w policyjnej maszynce. Gdyby nie to — wskazał na gazetę — reszta świata dowiedziałaby się dopiero dziś — zakończył dobitnie.

Lewin usiadł z herbatą.

— Ale nas powiadomiono całkiem wcześnie — włączył się do rozmowy. — Jeszcze w nocy z soboty na niedzielę.

— No co ty, Bart — zaprotestował pierwszy. — Mail był o dwunastej w niedzielę. Jak i tak nikogo nie było w biurze.

— Tak, o dwunastej w niedzielę. Dokładnie w nocy z soboty na niedzielę. — Lewin upierał się przy swoim. — Jestem tego pewien. Punktualnie dwunasta.

— Spokój, dzieci, zaraz to sprawdzimy. — Zbyszek wyciągnął smartfona. — *Memory*… *find*… Siara… i wszystko jasne. Tak, to była niedziela o dwunastej. Ale w południe! Wojtek ma rację. Nie pomyliłeś AM z PM? Ta anglosaska 12.00 to mnie do szału doprowadza. Nigdy nie wiem,

czy laska chce wpaść do mnie o północy, czy wyjść mi z łóżka w południe. Jak taki zaawansowany technologicznie naród może używać tak popieprzonego systemu?

Lewin nie słuchał już tego ględzenia. Kleił fakty i starannie rysował w głowie chronologię wydarzeń. Rzeczywiście pomylił godziny, AM z PM. Wszyscy pracownicy odebrali wiadomość o godzinie dwunastej, w niedzielę w południe. Z tego, co mówił Zbyszek, o Kilianie mogło wiedzieć tylko parę osób, a policja zagroziła im odpowiedzialnością karną za przedwczesne ujawnienie jego zgonu. Zupełnie zaś nie kleił mu się fakt, że dziennikarka z cmentarza wiedziała o Osiku co najmniej dwie godziny wcześniej.

5
11.30, pokój hotelowy Frosta

Lucjan Frost obudził się późno. To skutek tego, że położył się spać tuż przed świtaniem, gdy tylko tu dotarł. Rozejrzał się po swoim hotelowym pokoju pełen smutku. Wielkie poczucie przegranej nie ułatwiało decyzji o wyjściu z łóżka.

Wróciły myśli z dnia poprzedniego. Okłamał żonę, że ma nagły wyjazd służbowy. Nie powiedział też nic kochance. Biedna Zuza. Pognał na lotnisko pełen napięcia i obawy przed aresztowaniem. Strach opuścił go dopiero w momencie startu samolotu. Potem, siedząc już w fotelu przy iluminatorze, zadręczał się listą popełnionych błędów. Temat wałkował w kółko, męczył umysł detalami i odpływał, aż wreszcie stewardesa wybudziła go z odrętwienia, bo wylądowali i trzeba było wysiąść. Nie pamiętał, jak zamawiał taksówkę i czym się sugerował przy wyborze

hotelu. A teraz leży sam w małżeńskim łóżku w jakimś zapyziałym kraju. Bez woli i nadziei.

„Kim się stałem?” — zapytał. Frajerem, tchórzem, uciekinierem?

Zdefraudował pieniądze, długi zostawił za sobą i zabrał swoje jedyne zabezpieczenie. To dokumenty w skórzanej teczce, które mogły pogrążyć RCUS. Były jego najsilniejszą kartą przetargową, gdyby tylko doszło do nieszczęśliwego ujęcia i procesu. Poza tym zawsze można znaleźć na nie zainteresowanego kupca.

Czuł się za stary, by zaczynać wszystko na nowo. Został sam, zupełnie sam. Czy odtąd będzie wiecznie uciekać? Nie tak to sobie zaplanował. Nie to go motywowało. Nie o takiej nagrodzie marzył.

Sięgnął po smartfona z nocnego stolika i włączył go. Chwilę to trwało, bo tak to już jest w roamingu. Wiedział, że mogą go namierzyć, ale miał to gdzieś. Do wieczora zmieni hotel. Z bólem serca zauważył na maleńkim ekranie, że Zuza wielokrotnie próbowała się do niego dodzwonić. Wysłała też kilka SMS-ów. Ostatni w desperackim tonie wyrzucał mu, dlaczego nie odbiera, co z chorobą, i że prasa będzie w firmie. Czyli Reshke, ta młoda suka, puściła już informację w obieg…

Włączył Wi-Fi, wprowadził hotelowe hasło, które dostał w recepcji. Sprawdził, czy akcje sprzedane. Tak jak przewidywał. Kontrakt na wszystkie zrealizowany. Nic dziwnego, przecież ustawił tak atrakcyjną cenę, że musiały spłynąć jak foki po lodzie. Miał teraz sporo gotówki. Ale zaraz! Po informacjach prasowych o jego działaniu to dopiero polecą na pysk! A to rysuje pewną szansę. Ryzykancka część jego osobowości się ożywiła. Znów przełączył się na kontakty i wybrał numer. Ominął automat zgłoszeniowy i połączył się z działem obsługi.

— Witam. Biuro Maklerskie Owl & Friends. Czym mogę służyć? — usłyszał grzeczny żeński głos.

— Chciałem zlecić krótką sprzedaż mojemu brokerowi.

— Będę prosiła o pana dane i hasło.

6
12.00, biuro prezesa RCUS-u

— Słucham pana! — groźnie rzuciła pani Ola. Nie miał do niej pretensji. Wykonywała przecież swoją pracę.

— Ja do prezesa — odpowiedział lekko wystraszonym tonem. — To ważne.

— Ale w jakiej sprawie? Pan prezes jest w tej chwili niezwykle zajęty.

— To sprawa tylko dla uszu pana prezesa.

— Panie… Lewin — odezwała się pani Ola, odczytując nazwisko z jego identyfikatora. Dobrotliwy ton i ramiona wsparte na biodrach był jasnym sygnałem, że znajdowali się teraz w Morii, a Gandalf nikogo nie przepuści. — Pan prezes ma mnóstwo obowiązków. Prowadzi tę firmę, rozmawia z kontrahentami, a teraz ma jeszcze na głowie policję i te dwa wypadki. Wydaje się panu, że każdy może tu przyjść i powiedzieć, że ma do niego ważną sprawę? — Pytanie było całkowicie retoryczne.

— Mam ważne informacje dotyczące śmierci de Bugaja i Osika. Uważam, że pan prezes powinien się z nimi zapoznać i to on powinien podjąć decyzję, czy są to informacje ważne dla śledztwa, czy też nie. Jestem lojalnym pracownikiem naszej korporacji, dlatego w trosce o jej dobre imię, a jednocześnie w trosce o przestrzeganie prawa uważam, że powinienem przekazać je osobiście panu prezesowi. — Lewin unosił się coraz mocniej. — Chce pani, aby policja zaskoczyła prezesa jakimś pytaniem, na które nie będzie przygotowany? Jak to wpłynie na wizerunek

naszej korporacji? Powie mu pani wtedy, że był tu taki jeden, ale to pani zdecydowała, że nie jest wart pięciu minut spotkania?

Sekretarka prezesa bladła i czerwieniała na przemian. Widząc desperację młodego człowieka, sięgnęła po słuchawkę.

— Jeśli prezes zrobi mi awanturę, że zawracasz mu głowę bzdurami, przysięgam, że dopilnuję, żebyś mnie długo popamiętał. — Wybrała numer wewnętrzny. — Panie prezesie, jeden z naszych pracowników twierdzi, że ma bardzo ważne informacje odnośnie do zgonów… mówi, że policja też powinna o tym wiedzieć… dziękuję. — Odłożyła słuchawkę. — Prezes czeka — wskazała drzwi.

Lewin skinął głową w podziękowaniu i ruszył pewnym krokiem w kierunku gabinetu prezesa. „Albo mnie wyleją, albo awansują” — pomyślał, dodając sobie animuszu. „Albo powiedzą: tak, to było bardzo ważne, wracaj do roboty. A jeśli robię z siebie idiotę?”

Przekroczył próg gabinetu.

— Dzień dobry, panie prezesie…

— Siadaj, chłopcze! — Aivar wskazał mu fotel.

Lewin zauważył podkrążone oczy i ogólne przygaszenie prezesa. Z trudem rozpoznawał w nim tę samą osobę co na cyklicznych spotkaniach z pracownikami.

— Z czym ciekawym przychodzisz?

Z początku chaotycznie, ale później coraz składniej opowiedział o spotkaniu na cmentarzu. Wiernie odtworzył cały przebieg i niemal każde słowo — wciąż przeżywał to spotkanie na nowo. Na końcu dorzucił własne wnioski, oddzielając je od faktów.

Prezes Aivar od samego początku słuchał uważnie, a pod koniec relacji było widać, jak mocno to nim poruszyło.

— Tak więc, panie prezesie — kończył Lewin — pan wie najlepiej, kto wiedział o śmierci Osika. Ja nie mam żadnych kompetencji, by prowadzić jakieś akcje. Jako lojalny pracownik firmy… — powtarzał tekst, którym nieco wcześniej zastrzelił cerbera pilnującego wejścia.

— Oczywiście, bardzo to doceniam — przerwał mu Aivar. — No cóż, ja też nie mam w tej sprawie wszystkich kompetencji. — Uśmiechnął się. — Czy możesz to powtórzyć policji? Wszystko to, co mi powiedziałeś?

— Tak jest, panie prezesie.

Aivar wstał, a Lewin wraz z nim. Spotkanie było zakończone.

— Doskonale. Nie wychodź dzisiaj z firmy, dopóki z tobą nie porozmawiają. Postaram się być na tym przesłuchaniu… rozmowie. Myślę, że to naprawdę interesujące.

Otworzył drzwi przed Lewinem i zwrócił się do sekretarki.

— Pani Olu, proszę wezwać policję. — Kobieta zrobiła wielkie oczy. — Nie, nie, pan Bartłomiej nie jest aresztowany. Wręcz przeciwnie, jestem dumny z takiego pracownika. I z pani też! Zawsze pani wie, kiedy sprawy są naprawdę ważne.

7
12.15, komenda policji

— To bardzo interesujące, prezesie — powiedział Skalski do słuchawki i spojrzał na Walczaka i Czerskiego. — Kiedy możemy z nim porozmawiać? — Wysłuchał krótkiej odpowiedzi. — Dziękuję za informację. — Rozłączył się.

Walczak popatrzył na niego pytająco. Czerski gapił się w stół.

— Czerski, co ci jest? Gdzie twój entuzjazm? Gdzie kanapka?

— Nic, szefie. To przejdzie. Jedziemy do RCUS-u?

— Tak. Mamy tam dwie sprawy. Wcześniej rozmawiałem z ich prezesem na temat tego przecieku do prasy.

Czerski rozsiadł się wygodniej, zakładając nogę na nogę i krzyżując ręce na piersiach. Walczak spojrzał na niego ze zdziwieniem w oczach, ale zanim ktokolwiek to zauważył, już sięgał po piersiówkę.

— Aivar zarzekał się, że to na pewno nikt z zarządu, w końcu to poważne działanie na szkodę firmy. Uważa on, że to któryś z pracowników umiejący lepiej kombinować niż inni, ale ze słabszym instynktem samozachowawczym. No i niespodzianka. Właśnie zadzwonił, że przyszedł do niego chłopak, który twierdzi, że ktoś w niedzielę wyciągał z niego informacje na temat de Bugaja i, uwaga, Osika. Prezes prosi nas, by porządnie go przetrzepać, bo jak się okaże, że to on chlapał, to osobiście wykopie go za próg firmy i postara się, by nie znalazł więcej pracy w branży.

— A to tępy fiut — skwitował Walczak.

— Mogę się tylko z tym zgodzić. Pamiętajmy jednak, że naszym zadaniem jest rozwiązać sprawę morderstw, a nie osądzać kogoś, kto w dobrej wierze przychodzi z istotnymi informacjami. Nie chcę, żeby Aivar był obecny przy przesłuchaniu, więc wykorzystamy kalendarz firmy: o czternastej mają konferencję prasową. Pójdziemy tam ja i ty — wskazał głową Czerskiego. — Posłuchamy, czy nie ujawniają tajemnic śledztwa. Poobserwujemy obecnych. Może ktoś z dziennikarzy będzie miał naprawdę ciekawe pytania.

— Szefie… — zaprotestował niepewnie Czerski. — Jest tyle papierkowej roboty do wykonania, odebranie analiz z laboratoriów, wyniki sekcji, może pojadę do redakcji pogadać…

— Po cholerę masz jechać do redakcji, jak redakcja przyjedzie do RCUS-u? — zdziwił się Skalski.

— Spotkam się z szefem redakcji. Naczelny musiał puścić ten tekst, więc też coś wiedział. Dowiem się, co i jak, bardziej się tam przydam.

— Dobra, idź do redakcji — zgodził się Skalski. — W tym czasie ty, Walczak, przesłuchasz tego chłopaka. — Walczak pociągnął z piersiówki, co było wyrazem przyjęcia rozkazu. — Pamiętaj, że to on przyszedł z informacjami, więc żadnych nacisków. Miła rozmowa. Potem zdasz relację mnie i, jak się spodziewam, Aivarowi. Co mu powiesz?

— Oczywiście najprawdziwszą prawdę. — Ton Walczaka był tak niewinny i szczery, że anioły musiały zapłakać. — Chłopak nie zdradził żadnych tajemnic prasie. I, oczywiście, bardzo nam pomógł w śledztwie.

8
14.00, siedziba firmy RCUS

— Dzień dobry, komisarz Walczak z Komendy Miejskiej Policji. Pana szef, prezes Gabriel Aivar, poinformował nas, że może mieć pan istotne informacje w związku z prowadzonym przez nas śledztwem.

— Nie wiem, czy mam informacje związane z waszym śledztwem — odpowiedział Lewin. — mogę mieć informacje związane z przeciekiem prasowym. Do pana będzie należała ocena, czy są to informacje dla was przydatne.

Walczak głową pokiwał z uznaniem. Lewin miał głowę na karku i widać było, że nie zamierza konfabulować.

— Zacznijmy od początku. Najważniejsze: proszę wyraźnie rozróżnić fakty od swoich ocen. Pańskie przypuszczenia i podejrzenia są równie ważne, jednak musimy wiedzieć, co jest czym.

— Rozumiem. — Lewin skinął głową i wziął głęboki oddech. — W niedzielę, około dziesiątej rano, poszedłem na cmentarz, na grób Nikodema

de Bugaja…

***

Po artykule w „Naszym Mieście” pełniąca obowiązki kierownika do spraw kontaktów z mediami Zuzanna Elkebaum nie spodziewała się tylko jednego zaanonsowanego dziennikarza. Ale to, co się działo, przekroczyło jej wyobraźnię. Z daleka widać było, że sala przeznaczona na spotkanie z prasą była zdecydowanie za mała — kamerzyści nie mogli już wejść do środka.

Pośpiesznie zarekwirowała największą salę na parterze, wyrzucając stamtąd zespół menedżerów pochylających się nad jakimiś wykresami w Excelu. Przez głowę przemknęła jej myśl, czy ci ludzie zdają sobie sprawę, że ich analizy są w tej chwili tyle warte, ile papier, na którym je wydrukowano.

— Szanowni państwo! — Elkebaum zwróciła się do wszystkich obecnych, kiedy już się rozsiedli. Operatorzy włączyli kamery, dziennikarze wyciągnęli notatniki, dyktafony, laptopy i tablety. — Witam was wszystkich w tym trudnym dla nas okresie. Nasza międzynarodowa firma, przodująca na rynku nowoczesnych technologii i jedna z największych w tym rejonie Europy, postanowiła zorganizować tę konferencję prasową, poczuwając się do odpowiedzialności wobec naszych pracowników, akcjonariuszy i opinii publicznej. Tematem niniejszej konferencji będą oczywiście nieszczęśliwe wypadki, do których doszło w ostatnich dniach. Pragnę jednocześnie wyraźnie zaznaczyć, że wydarzenia te, jako… podejrzane, są przedmiotem śledztwa prowadzonego przez obecnego tutaj pana inspektora Skalskiego. — Wskazała ręką na siedzącego na skraju pierwszego rzędu.

Wyróżniał się na tle pozostałych uczestników zebrania — jako jedyny nie miał przy sobie żadnych elektronicznych urządzeń rejestrujących ani

nawet notesu. W jednej chwili stał się obiektem zainteresowania fotografów, najbliżej siedzący przyglądali mu się z zaciekawieniem, układając już zapewne w głowach podchwytliwe pytania.

— Muszę również poinformować państwa — kontynuowała Elkebaum — że nie możemy, nie chcemy i nie zdradzimy żadnych szczegółów dotyczących prowadzonego śledztwa. Jeżeli potrzebujecie takich informacji, to proszę zwrócić się do prokuratury rejonowej, do pani prokurator Sary Skalskiej.

***

Walczak nagrywał dyktafonem całą rozmowę i jednocześnie robił notatki. Wysłuchał do końca relacji Lewina i z uznaniem stwierdził, że zeznania są wyjątkowo konkretne i spójne. Powtórzył całe spotkanie niemal słowo w słowo, jak sam twierdził. Widać było, że musiało mu bardzo ciążyć. Potrzebował jedynie uściślić kilka kwestii, bardziej by je samemu precyzyjnie zrozumieć niż szukać w nich luk.

— Twierdzi pan, że nie ujawnił tej kobiecie… dziennikarce, jak pan uważa, żadnych informacji, które pojawiły się w artykule.

— Tak, tak twierdzę.

— W takim razie nie rozumiem, skąd podejrzenie, że to była dziennikarka? Skoro w artykule nie ma żadnego pańskiego słowa?

— To tylko moje przypuszczenie. Ciągnęła mnie za język. Wtedy tego nie zauważyłem. Jestem pewien, że mnie okłamała. A dwa dni później pojawił się ten artykuł. Łączę tylko thready.

— Co?

— Wątki.

— Co wątki?

— Łączę wątki — sapnął ciężko.

— A, wątki. — Walczak spojrzał w notatki. — Nie wspomniał pan wcześniej, że pana okłamała.

— Miałem mówić o wydarzeniach, a nie przypuszczeniach.

— Racja. — Walczak wykrzywił twarz w uśmiechu. Lewin odwzajemnił wykrzywienie twarzy. — W jakiej sprawie, według pańskich przypuszczeń, kłamała?

— Nie znała Nikodema de Bugaja. Twierdziła, że nie wiedziała o jego pracy w RCUS-ie. A chwilę potem żałowała, że nie wykorzystała jego znajomości w procesie rekrutacji do naszej firmy.

— Celne spostrzeżenie. — Walczak z uznaniem pokiwał głową i coś zanotował. — Chciała się tam dostać przez Kiliana Osika, tak?

— Tak powiedziała — potwierdził Lewin. — I wtedy zrozumiałem, że kłamie. Osik był od zawsze najbliższym przyjacielem de Bugaja. A ona sprawiała wrażenie, że nie ma o tym zielonego pojęcia. Dziwne jak na kogoś, kto się znał z nimi oboma i chce u nas pracować.

— Znów celne spostrzeżenie. — Walczak pochylił się do niego konspiracyjnie. — Nie chcesz czasem pracować w policji?

— A ile płacą?

— Jedną piątą tego, co masz teraz.

Lewin spojrzał na niego podejrzliwie, a Walczak uśmiechnął się szeroko.

— Żartowałem. I tak nie ma przyjęć. Proszę zaczekać. — Wyjął telefon i usiadł przy stole. — Mówi komisarz Walczak. Wyślijcie mi zdjęcie pani Anny Tores na mój telefon… To dziennikarka akredytowana przy prokuraturze rejonowej… Nie, nie na maila! Ani w żadną inną ciemną dupę… Chcę po prostu zobaczyć jej zdjęcie na moim telefonie, żebym nie musiał… Ty mnie też.

Położył telefon na stole.

— Za chwilę powiesz mi, czy to z tą kobietą rozmawiałeś na cmentarzu.

***

Zuzanna Elkebaum kończyła wydawać oficjalne oświadczenie dla prasy.

— Biorąc to wszystko pod uwagę, prosimy uszanować decyzje podejmowane przez kierownictwo firmy RCUS. Wszystkie one spowodowane były dobrem śledztwa, pracowników i akcjonariuszy. Czy są jakieś pytania?

Podniosło się kilka rąk. Elkebaum wskazała młodego chłopaka w szortach.

„Zapewne liczy na głupie pytanie od młodego pismaka” — przemknęło Skalskiemu przez myśl.

— Czy panowie de Bugaj i Osik zostali zamordowani?

Głupie pytanie. Przecież to oczywiste, że nie może potwierdzić takiej informacji. Skalski skupił się na lustrowaniu dziennikarzy. Z pewnym zdumieniem zauważył, długo po rozpoczęciu konferencji, Annę Tores. Autorka takiego artykułu powinna siedzieć w pierwszym rzędzie i strzelać pytaniami jak z magnum. A ukryła się na samym końcu, wciśnięta między dwóch barczystych operatorów kamer.

Odpowiedź Elkebaum była więcej niż oczywista.

— W sprawie śmierci panów de Bugaja i Osika trwa śledztwo. W tej chwili możemy jedynie stwierdzić, że obaj zginęli w wypadkach. W takiej sytuacji prokuratura i policja zawsze prowadzą dochodzenie, by wykluczyć udział osób trzecich. Gospodarzem śledztwa jest prokuratura rejonowa i tam należy kierować…

Elkebaum ewidentnie przedłużała wypowiedź, wielokrotnie się powtarzając, przez co zyskiwała na czasie. A mniej czasu to mniej niewygodnych pytań.

— Czy rodziny zamordowanych otrzymają od państwa odszkodowanie?

— Jeszcze raz powtarzam, że śledztwo prowadzi prokuratura i nie można w tej chwili mówić o morderstwie. Oczywiście, nasza firma zawsze troszczy się o swoich pracowników i w pewnym sensie poczuwamy się do odpowiedzialności, także finansowej, wobec tak strasznych wypadków. Chociaż uważamy, że firma nie jest winna żadnych zaniedbań…

Skalskiemu zrobiło się słabo. Co ta kobieta bredzi? Ileż można bełkotać w odpowiedzi na pytanie, na które da się odpowiedzieć tak lub nie.

Kolejne pytanie z sali. Anna Tores nawet nie podniosła ręki.

— Dlaczego firma tak późno poinformowała o wypadkach? Czy było to spowodowane obawą o kurs akcji?

— Oczywiście, że nie chodziło o kurs akcji…

„Ciekawe — pomyślał Skalski — że zaczęła odpowiedź od usprawiedliwienia, a nie zaprzeczenia. Jakby ważniejszą kwestią było to, dlaczego podjęli działania tak późno”.

— …i nieprawdą jest, że ukrywaliśmy jakiekolwiek istotne informacje przed pracownikami i opinią publiczną. Wszystkie nasze działania były uzgodnione z prokuraturą…

Elkebaum zerknęła na zegarek. Nie uszło to uwagi dziennikarzy.

— Dzisiejszy artykuł w „Naszym Mieście” wskazuje na, mówiąc bardzo delikatnie, szereg uchybień w polityce informacyjnej firmy. Ponadto sugeruje, że oba wypadki były morderstwami. Czy może się pani odnieść do tego artykułu?

Skalski przyglądał się uważnie Tores. Ta siedziała z głową wtuloną w ramiona i wyglądała na wystraszoną. Żałował, że nie ma z nim Walczaka.

— Nie mamy w zwyczaju komentować… — zaczęła Elkebaum, ale w tym momencie przerwał jej prezes Aivar.

— Szanowni państwo, na temat artykułu mogę powiedzieć jedynie to, że opiera się on na niesprawdzonych teoriach i godzi w dobro tego śledztwa,

dobro tej firmy i dobro jej pracowników. Raz jeszcze podkreślamy, że policja prowadzi czynności wyjaśniające…

***

Telefon Walczaka zabrzęczał i na ekranie pojawiło się zdjęcie kobiety. Walczak pokazał ekran Lewinowi.

— Tak, to ona — ten potwierdził. — To jej artykuł był dzisiaj w prasie?

— Zgadza się. Pani Anna Tores, dziennikarka akredytowana przy prokuraturze. Całkiem niezła. Mówię o sprawach zawodowych oczywiście. — Znów skrzywił się obrzydliwie. — No cóż, miał pan rację. Spotkał się pan z dziennikarką, która ciągnęła pana za język. Nie wnikam, co pan jej powiedział, po co ma pan mieć kłopoty.

— Jak to? — zaniepokoił się Lewin. — Przecież wszystko zrelacjonowałem.

— I tego proszę się trzymać. To, co pan powiedział dziennikarce, nie ma wielkiego znaczenia dla śledztwa, ale może mieć wielkie znaczenie dla pana…

— Zaraz… — Lewin uniósł się emocjonalnie. — Przecież mówię, że nic jej nie powiedziałem! Nie rozumie pan?! Miała te wszystkie informacje od kogoś innego! Po to przyszła na grób de Bugaja, żeby zdobyć ich więcej. Albo potwierdzić, co już wie!

Walczak zastanowił się chwilę.

— Przepytamy ją na tę okoliczność…

— A Osik? Co z nim? — Nie ustępował Lewin. Walczak widział w nim strach, ale strach nie przed ujawnieniem czegoś wstydliwego czy karalnego, tylko przez bycie niewłaściwie zrozumianym.

— Zgodnie z pana relacją — Walczak zerknął do notatek — pani Tores zapytała o Osika…

— No właśnie! Zapytała o Osika! Akurat o Osika! Zapytała, czy były inne wypadki w firmie! Przedawkowanie leków! Akurat to jej przyszło do głowy! Nie upadek z drabiny, nie potrącenie przez samochód, ale akurat przedawkowanie leków!

— Rozumiem — załapał Walczak. — Wiedziała wszystko to, co wy…

— Nie! Nie! Myśmy wtedy tego nie wiedzieli! Powiadomiono nas dopiero w niedzielę w południe! A ona wiedziała to wszystko już o dziesiątej! Rozumie pan?! Już dwie godziny wcześniej wiedziała, że Kilian Osik nie żyje. Wiedziała nawet, jak zginął!

***

Skalski przyglądał się Aivarowi, który z wielką pewnością siebie odpierał w długim przemówieniu najważniejsze zarzuty z artykułu. Dziennikarze słuchali go w skupieniu. Między słowami można było usłyszeć, że powoływanie się na ten artykuł może mieć skutki prawne.

Między jednym a drugim oddechem prezesa komuś udało się wykrzyczeć głośno pytanie, którego nie można było zignorować:

— Kto dopuścił się przecieku?

Aivar upił kilka łyków wody.

— Po pierwsze, nie było żadnego przecieku, ponieważ artykuł ten opiera się głównie na informacjach całkowicie jawnych, podanych przez naszą firmę w różnym czasie i w różnych okolicznościach. Rzeczywiście, zbiera je w syntetyczny sposób, próbuje uporządkować, ale nade wszystko dokonuje nieuprawnionej, naszym zdaniem, nadinterpretacji. Niemniej znajdują się tam pewne informacje, które rzeczywiście mogły być informacjami pochodzącymi z naszej firmy, a których nie chcielibyśmy ujawniać, jak na przykład dane osobowe ofiar. Mogły one jednak zostać

wykradzione zupełnie bez związku z tymi wypadkami, a teraz wykorzystane.

— Czy dopuszcza pan możliwość, że informacje wyciekły nie z firmy, ale z policji lub prokuratury?

— Nie wydaje mi się. Nasi oficerowie śledczy to najwyższej klasy profesjonaliści. Z pewnością zdają sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nich ciąży…

— Czy wie pan, że autorka artykułu, Anna Tores, jest partnerką jednego z prowadzących śledztwo, komisarza Czerskiego?

Skalski poczuł na sobie przeszywające lodowate spojrzenie Aivara.

— O kurwa… — wyszeptał.

9
16.45, mieszkanie Dereka

Tylko dzięki nabytemu profesjonalizmowi i wyuczonej powściągliwości nie nazwał jej tak, jak na to zasługiwała. „Reshke! Ty tępa idiotko!”

Derek odłożył telefon, tłumiąc wzbierający gniew. Z lodówki wyciągnął piwo, przeszedł do salonu i usiadł w fotelu. Musiał zmierzyć się z aktualną sytuacją, a złe emocje mu tylko przeszkadzały. Wyłączył pilotem telewizor. Pociągnął szybko trzy zimne łyki i pozwolił na to, by wezbrany w żołądku gaz uszedł z powrotem. Wyrównał oddech i zaczął rozważać.

Zmuszenie Lucjana Frosta do ucieczki tylko pozornie wpisywało się w plan destabilizacji sytuacji w RCUS-ie. Na pierwszy rzut oka nagłe zniknięcie głównego księgowego i pieniędzy z kont firmy na pewno musi wywołać szok w zarządzie i w radzie nadzorczej. Do tego kolejne śledztwo, nalot z urzędu kontroli skarbowej, przesłuchania działu finansowego…

Tylko… co z tego? Nie wpisywało się to w plan długofalowego pogrążenia RCUS-u. Śledztwo i kontrola spalą dostęp do wartościowych informacji. Ponadto dotyczyć będą wyłącznie finansów, a zespoły programistów pracujących nad systemem nawet nie będą o tym wiedzieć. A nawet gdyby wiedzieli, to będą mieli to głęboko gdzieś — główny księgowy nie był jednym z nich. Cokolwiek by się wydarzyło w dziale finansów, rozwój systemu nie zostanie zahamowany.

Potem zostanie zatrudniony nowy księgowy i z pewnością będzie to ktoś z zewnątrz. Mówiąc językiem nauk ścisłych: element losowy, czyli nieprzewidywalny, a tego nie znosił. Zasady księgowości są co prawda uniwersalne, więc z łatwością odnajdzie się w specyfice działalności. Księgowemu jest wszystko jedno, czym zajmuje się firma, byleby tylko miał zbilansowane strony „winien” i „ma”. Jednocześnie, jako nowy członek władz, w sprawach biznesowych będzie bardziej podatny na opinie prezesa Aivara i całej rady dyrektorów. Będzie posłuszny i bezstronny.

Frost ma zaś duszę hazardzisty i nie działa zachowawczo. Derek miał świetnie rozpoznane jego cechy osobowościowe i całkiem interesujące dossier. Wiedział, że jest on nałogowym hazardzistą i że obracał w kasynach sporymi kwotami. Kwotami tak dużymi, że można było mieć poważne wątpliwości, czy potrafiłby udokumentować ich pochodzenie. Niestety, nie potrafił dowieść, że Frost ryzykował pieniędzmi firmy. Gdyby to mu się udało… jadłby mu z ręki… A teraz, przez tę idiotkę Reshke, wszystko zaprzepaszczone! Nie będzie szansy rozegrania Frosta, źródło informacji zaraz znajdzie się za kratami… Nie zdobyła nawet tych pieprzonych papierów. Co za głupia pinda!

Stłumił atak gniewu potężnym haustem z butelki.

To była jego druga tak ogromna porażka w życiu. Za pierwszą zapłacił usunięciem ze służby. Źle ją rozpoznał czy źle prowadził? Gdzie popełnił

błąd? Czy wpoił Reshke zbyt wielkie poczucie wartości i ta zwyczajnie zerwała się ze smyczy? Czy może tylko chciała mu udowodnić, że umie się podjąć czegoś samodzielnie? Skąd w ogóle jej to przyszło do głowy? Jak można być tak nieprzewidującym, tak krótkowzrocznym? Czego się teraz spodziewa? Że odziedziczy pozycję Frosta? Kto jej pomoże?

Kiedy inspektorzy i kontrolerzy przejrzą wszystkie dokumenty, korespondencję, oferty, zweryfikują kontakty, to znajdą wreszcie podejrzane operacje. Będą drążyć i ustalać fakty. A co może być podejrzaną operacją? Na przykład logowanie do komputera Frosta pod jego nieobecność. Zapisy monitoringu jasno pokażą, kto wchodził do jego gabinetu, kto użył jego kluczy, kto wpisał jego hasło, kto kopiował jego tajne dokumenty… I co wtedy powie ta przemądrzała suka? Jak się obroni? Ile wytrzyma w krzyżowym ogniu pytań? Czy przewidziała taki scenariusz? Z rozmowy telefonicznej nic takiego nie wynikało… Czy jest świadoma, jakie ryzyko sprowadziła na siebie i niego? I co wtedy zrobi? Będzie chciała go zdradzić, by złagodzić wyrok? Co prawda zadbał, by Reshke nie znała jego prawdziwego nazwiska, unikał umieszczania zdjęć i prowadzenia profili w internecie, nie miał odcisków palców w rejestrach policji, ale dobrze wiedział, że w ten czy inny sposób może wpaść.

Znów mocno pociągnął z butelki.

W tej sytuacji zdecydowanie byłoby najlepiej, gdyby Lucjan Frost wrócił, a Monika Reshke zniknęła. Trzeba uspokoić ten wstrząs, zawrócić rzekę. I to się da wykonać.

Wypił duszkiem resztę piwa i wreszcie pojawił się na jego twarzy pierwszy drwiący uśmieszek.

10
21.00, mieszkanie Anny Tores

Stare chińskie przysłowie mówi: „Uważaj z życzeniami, bo mogą się spełnić”. Tores nigdy nie sądziła, że stare chińskie przysłowie będzie aktualne we współczesnych czasach w środku Europy. Nigdy też nie sądziła, że stanie się jego ofiarą.

Od momentu, kiedy na konferencji padło jej nazwisko, miała wrażenie, że jest gdzieś poza sobą, że wszystko, co ją spotyka, dotyczy jakiejś innej osoby, na którą spogląda z boku. W jednej chwili z pełnego szacunku uznania dla jej profesjonalizmu stała się zwykłą dziennikarską kurwą, która dla artykułu dała dupy pierwszemu lepszemu młokosowi z komendy. „Teraz określenie «news z dupy» nabiera nowego znaczenia” — usłyszała od znajomego dziennikarza z innej redakcji.

Raz po raz uderzały ją na przemian fale gorąca i zimna. Jak w transie wstała ze swojego miejsca i unikając pytań i wzroku kolegów dziennikarzy wyszła bez słowa z konferencji. Nie była w stanie prowadzić samochodu i wezwała taksówkę. Jeszcze w taksówce rozdzwoniła się jej komórka. Wyłączyła ją, nie sprawdzając nawet, kto dzwonił.

Przed domem czekały już na nią kolejne dziennikarskie hieny z każdego rodzaju mediów. Udała, że nie zauważyła kolegów z jej własnej redakcji, i weszła do mieszkania, starannie zamykając drzwi na wszystkie zamki. Zasunęła żaluzje i zaciągnęła kotary we wszystkich oknach. Rzuciła się w końcu na łóżko. Po chwili musiała wstać zirytowana dzwonkiem domofonu. Odłożyła jego słuchawkę na bok. Dobiegało z niej jej nazwisko wykrzykiwane przez jakiegoś napalońca. Przyniosła z sypialni wielką poduszkę i przykryła nią słuchawkę, żałując, że to nie gęba krzykacza. Za chwilę rozdzwonił się jej telefon stacjonarny. Również odłożyła słuchawkę.

Z barku wyciągnęła butelkę brandy. Nalała sobie pełny kieliszek i opróżniła jednym haustem. Potem drugi i trzeci. W końcu zabrała ze sobą butelkę do sypialni. Alkohol i gwałtowny stres zrobiły swoje. Zapadła w pełen majaków sen.

Lekko już zmierzchało, kiedy się obudziła. Była potwornie wyczerpana. Nie zapalając światła, wyjrzała ostrożnie przez okno. Pod wejściem wciąż kłębił się tłum, a samochody z najróżniejszymi logo jej branży nie pozostawiały wątpliwości, kogo ów tłum reprezentuje. Usiadła na kanapie i przesiedziała tak kilka kolejnych godzin. Nie chciała włączać ani telewizji, ani radia, ani internetu.

Wraz z ulatującymi promilami powoli wracała jej jasność myślenia. Dość się już nad sobą użalała. Na zawsze straciła swoją pozycję. Na zawsze zostanie dziennikarską dziwką. Musi odejść z tej redakcji, przeprowadzić się do innego miasta, pisać pod innym nazwiskiem, znów zacząć mozolną wspinaczkę w hierarchii. Ciekawe, co z Czerskim.

Ze zdumieniem stwierdziła, że coś ją to jednak obchodzi. Pewnie wyleci dyscyplinarnie z policji. Zostanie ochroniarzem w supermarkecie… albo chociaż w sklepie komputerowym. Stwierdziła, że musi się z nim skontaktować.

Włączyła komórkę. Zgodnie z oczekiwaniami natychmiast zaczęły przychodzić SMS-y o bezskutecznych próbach kontaktu. Wiele numerów było jej całkowicie obcych, niektóre poprzedzone były numerami kierunkowymi z innych miast. Z radością zauważyła kilka od Czerskiego. Ale próbujący się z nią skontaktować też dostali wiadomości, że jej telefon jest już dostępny i zanim Tores zdążyła połączyć się z Czerskim, telefon zadzwonił. Szef. Odrzuciła połączenie i ponownie kliknęła kontakt do Czerskiego.

Odebrał dopiero po sześciu sygnałach.

— Już myślałem, że mnie kompletnie ignorujesz — zaczął chłodno.

— Musiałam wyłączyć telefon.

— Maila, Skype’a, Facebooka i Hangouta też?

— Nie włączałam komputera — powiedziała wolno. — Boję się tego, co mogę teraz znaleźć w swojej skrzynce.

Zapadła cisza.

— Dzwoniłeś do mnie. — Ostrożnie oddała mu inicjatywę.

— Byłem wściekły. Chciałem się wyżyć. Zwłaszcza po dywaniku u prokuratora i drugim u komendanta głównego.

„Jezu Chryste!” — przemknęło jej przez myśl. — „Prokuratura! Akredytacja pewnie już cofnięta”.

— I… i co?

— Mam całkowity zakaz kontaktów z mediami. Wszczęto postępowanie wyjaśniające w sprawie przecieku. Na szczęście nie przeciwko mnie, tylko w sprawie, bo już byłbym zawieszony. Sądzę, że Skalski się za mną wstawił.

— A teraz? — spytała cicho.

— Co teraz?

— Nadal jesteś wściekły?

— Tak. Jak cholera. Ale mądrzej będzie się dowiedzieć, jak to się stało.

Tores zastanowiła się.

— Nie mam pojęcia. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Może któryś z dziennikarzy zauważył nas na randce? Może któryś zrobił research na temat prowadzących śledztwo i przypadkiem skojarzył mnie z tobą…

— Nie o to pytam — przerwał jej Czerski. — Jak to się stało, że miałaś informacje o RCUS-ie? Nie ode mnie, więc od kogo?

— Parę dni temu dostałam list… — urwała. Rzeczywiście… Czy ten, który wmanewrował ją w artykuł, chciał zdyskredytować Czerskiego? Ale

po co tak mało znaczącego Czerskiego? A może to szersza akcja mająca na celu… — Słuchaj, muszę to sobie uporządkować. Dam ci wszystko, co mam. Zadzwonię jutro z innego numeru.

— Nie wiem, czy jutro będę jeszcze policjantem… Może wpadnę do ciebie teraz?

— Pod moim domem sterczy dzika banda dziennikarskich hien. Zadzwonię do ciebie jutro, z samego rana, i gdzieś się spotkamy.

— Zgoda. Będę czekał.

— Kocham cię, wilczurku.

— Wiem. Trzymaj się… — rzekł oschle.

Tores rozłączyła się i pełna energii otworzyła laptopa. Jej telefon znów zadzwonił. Ze złością odrzuciła połączenie i wyłączyła go całkowicie. Jej skrzynka pocztowa była pełna maili. Zaznaczyła wszystkie nieczytane i przerzuciła do jakiegoś tymczasowego folderu. Najwyższym wysiłkiem woli zmusiła się, by ich nie przeglądać. Wyłączyła wszystkie komunikatory internetowe. Odcięta od środków komunikacji zaczęła kopiować dokumenty na pendrive’a. Z zamkniętej na kluczyk szuflady w biurku wyjęła niepodpisaną kopertę i wrzuciła do niej nośnik pamięci. Upewniła się, że w środku nadal tkwią akta Nikodema de Bugaja, Kiliana Osika oraz anonim, który dwukrotnie już wywrócił jej marzenia o dziennikarskiej karierze.

11
21.02, siedziba firmy RCUS

Maksymilian Szefler był bardzo zmęczony. Minęła już dziewiąta, był w pracy od trzynastu godzin, a łatwo było przewidzieć, że ostatnie wydarzenia utrzymają ten trend i pochłoną weekendy. Do tego morale jego zespołów

padło. Ludzie słaniali się wygaszeni, smutni i podejrzliwi. Wszędzie dookoła widział tylko błądzące lub wystraszone oczy, które alarmowały jego zmysł zachowania ostrożności. Musiał udawać pewność siebie, zarażać energią i wzmacniać wolę u wszystkich. Nie można pozwolić na malkontenctwo i zaraźliwy defetyzm, który sparaliżowałby ich wszystkich. Tylko czy wystarczy mu sił?

Ale co tam oni! Ten chaos medialny, tempo zmian i brak czasu, by podjąć właściwe decyzje, pożerał łapczywie jego energię życiową. Obawiał się, że przejęcie ręcznego sterowania projektem, zebrania kryzysowe, raporty, petenci, klienci i kto wie co jeszcze sprawią, że zajedzie się na śmierć. I to zanim zrobi to jakiś skrytobójca.

Dźwięk komunikatora zabrzęczał, wołając o uwagę. Kliknął właściwe okienko. Któż to się dobija? Maura? Wspomnienie o niej wywoływało w nim szyderczą radość. Tak łatwo było ją kontrolować i grać jej uczuciami. Nie jest już taka świeża jak niedawno poznana Monika, ale to nadal ciekawe erotyczne urozmaicenie. Niby taka mądra, a tak naiwnie dawała sobą manewrować. Po prostu dzika rozkosz. Lubił się przechwalać kolegom, oczywiście tylko tym najbardziej zaufanym, że ma dwie panienki, nie licząc żony, a żadna nie wie o innych. „Majstersztyk” — pomyślał z podziwem o sobie. No i Maura, pani architekt systemowy, nie była jakąś małolatą, której imponował jego samochód, domek letniskowy za miastem i jeżdżenie na zakupy do Paryża.

„Papieroska?” — napisała.

„Nie mogę” — odpowiedział.

„To ważne”.

Zastanowił się przez moment. Pewnie znowu coś w sprawie tych ich spekulacji na temat śmierci Osika i de Bugaja. Coś odkryła? Czy może

chodzi o coś zupełnie innego… Na myśl o tym uśmiechnęło się jego męskie ego.

„Za 5 minut”.

„Na dachu?”

„Tak.

Znalazł ledwie napoczętą paczkę papierosów. Przez chwilę się rozmarzył, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może nawet do czegoś dojdzie. W tej sprawie lubił zaskakiwać, a ona być zaskakiwana.

***

„Za 5 minut”.

„Na dachu?”

„Tak”.

Miał jakieś pięć minut, jak wynikało z rozmowy widocznej na ekranie. Wystarczy. Wstał, wziął zawiniątko pod pachę i raźnym krokiem skierował się w stronę toalet.

— Cześć, Marku — odezwał się do siedzącego niedaleko programisty. — Jesteś naprawdę nocnym markiem.

— To tak jak ty — odpowiedział z uśmiechem. — Skrzynka wciąż pełna niezałatwionych spraw?

— Jak zawsze, a dzisiaj fatalnie spałem. I jeszcze łazienkę mi w domu zalało. Niedługo kończę, wezmę tutaj prysznic i jadę. Dobranoc.

— Dobranoc! — Marek znów pochylił się nad klawiaturą.

Mężczyzna przyśpieszył kroku i wszedł do łazienki z kabinami prysznicowymi. Swój pakunek rzucił na blat przed lustrem. Wyjął z niego ręcznik i powiesił na haku obok kabiny. Wziął kosz na śmieci, wszedł z nim do jednej z kabin i starannie zamknął za sobą drzwi. Stanął na koszu i podważył płytę sufitową. Podciągnął się do dziury i był już na stropie.

Położył się i puścił strumień wody z prysznica. Nie obawiał się, że ktoś zauważy, że go tutaj nie ma — kabina była zupełnie nieprzezroczysta. Szum prysznica powinien zresztą skutecznie odstraszyć kogokolwiek od zaglądania tam. Za takie coś można było wylecieć z pracy w trybie natychmiastowym.

Przestrzeń między stropem a podłogą następnego piętra miała niespełna metr wysokości. Biegły przez nią rury prowadzące z nicości do nieskończoności oraz system wentylacji. Tuż obok był mały chodnik techniczny, którym można było dostać się do szybu windy. Tam właśnie się udał.

W skrzydle budynku były trzy windy. Jedna stała piętro pod nim, dwie były na parterze. Spojrzał w dół. Nie miał lęku wysokości, przyglądał się konstrukcji szybu i systemu wind z fascynacją i podziwem.

„To są prawdziwi inżynierowie” — pomyślał. „Idealnie zaprojektowanie, idealnie wykonane, idealnie w terminie i w kosztach. Z drugiej strony zasady projektowania i tworzenia takich konstrukcji budowlanych doskonalono przez wieki” — zaczął filozofować. „A zasady projektowania oprogramowania…”

Daleko z lewej szczęknęła winda. Przez chwilę się wystraszył, że Zdowacka i Szefler pojechali jedną z wind znajdujących się w drugim skrzydle. Było to bardzo mało prawdopodobne, bo oboje pracowali po tej stronie.

Winda na parterze ruszyła i zatrzymała się, o ile był w stanie ocenić, na trzecim piętrze. Dobrze. Jeżeli teraz stanie na piątym… Stanęła na piątym.

Winda znów zaczęła się wspinać. Kiedy znajdowała się pół metra pod nim, skoczył na jej dach, chwycił się lin, by zamortyzować uderzenie o dach. Już wiele dni temu przyjrzał się jej konstrukcji i wiedział, gdzie stanąć, by nie wpaść do środka. Jakiś czas temu przeprowadził nawet próbę.

Zatrzymała się na ostatnim, siódmym piętrze. Stąd na dach trzeba się było dostać schodami. On sam znalazł się w pomieszczeniu z silnikiem windy znajdującym się już na dachu. Wstępu do pomieszczenia broniły drzwi zamknięte zazwyczaj na klucz.

„Jaki to przypadek, że klucz zapasowy mam akurat przy sobie” — pomyślał perfidnie. No cóż, bratanie się z ochroną pozwoliło mu kilka razy zostać sam na sam z całym zestawem najróżniejszych kluczy, czytelnie opisanych. Najpierw podmienił ten właściwy na podobnie wyglądający. Strażnicy tak rzadko zaglądali do pomieszczeń technicznych windy, że nie było praktycznie żadnego ryzyka, że odkryją niepasujący klucz. Już następnego dnia zrobił jego duplikat i odwiesił na miejsce.

Teraz i tak nie potrzebował klucza, bo drzwi od ponad tygodnia były już otwarte. Zamiast niego wyjął telefon i wybrał numer.

— Kto tam? — usłyszał w słuchawce kobiecy głos.

— Mówi przyjaciel. Pani mąż ma kochankę. Jest z nią teraz. Ma na imię Monika. Proszę do niego zadzwonić. — Rozłączył się.

Otworzył ostrożnie drzwi i zaczął nasłuchiwać. Zdowacka i Szefler prowadzili dość ożywioną rozmowę, niestety szeptem i nie mógł ich zrozumieć. Niespecjalnie się tym przejmował. Nie to chciał usłyszeć.

***

Szefler z pewnym rozczarowaniem zauważył, że Zdowacka nie była skłonna do igraszek. Unikała jego zaczepek i prób rozśmieszania. W końcu, całkowicie poważnym tonem, patrząc mu głęboko w oczy, powiedziała:

— Myślisz, że mam choć trochę racji?

— W czym? — westchnął, rozumiejąc, że trzeba wygasić pierwotne popędy.

— Maks! — przerwała mu, nie słuchając. — De Bugaj był najlepszym testerem, jakiego znałam! Osik miał niesamowity talent i bez niego siedzielibyśmy jeszcze w lesie, zastanawiając się, dlaczego to nie działa. Doskonale ogarniał architekturę mojego systemu, rozumiesz? Jesteśmy… byliśmy jak naczynia połączone!

— Mauro, czy ty… — Nie wiedział, czy ją uspokajać, czy potwierdzać jej podejrzenia.

— Boję się, Maks. Nie tylko o siebie, ale i o ciebie!

— Mauro… — Spoważniał wreszcie. — Nie dręcz się i uspokój! Farney podwoił ochronę! A ja zrobię wszystko…

Rozległ się ostry dzwonek jego prywatnego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz.

— Zła kobieta dzwoni — mruknął i odrzucił połączenie.

— Żona?

— Tak. — Schował telefon do kieszeni, kiedy ten zaczął dzwonić ponownie.

— Muszę odebrać, to pewnie coś ważnego. — Podniósł palec do ust, dając jej znak do milczenia, odwrócił się i odszedł dwa kroki.

— Co się stało? — zapytał słodko.

— Gdzie teraz jesteś?

— W pracy, a gdzie miałbym być?

— Może u Moniki?

Fala gorąca uderzyła mu do głowy. Ledwo ustał na nogach.

— Słu… słu… słucham?

— Kto to, kurwa, jest Monika? — Usłyszał zjadliwą złość.

— Nie wiem, o kim mówisz — wystrzelił jak z automatu.

— Pewnie. Głupia jestem. Po raz kolejny, nie? Ale tak dla twojej wiadomości. Głupia to już BYŁAM! A najbardziej wtedy, kiedy się

poznaliśmy!

— Ja… zaraz… — Zauważył, że zaniepokojona Maura chce do niego podejść. Powstrzymał ją gestem. Zakrył mikrofon i rzucił do niej szeptem: — Muszę… zaraz wrócę… albo nie wiem… muszę iść. — Podniósł telefon do ucha. — Kochanie, ja… — Ruszył do drzwi, nie oglądając się.

Maura Zdowacka stała osłupiała. Zaskoczona i zaniepokojona. To, co żona powiedziała Szeflerowi, strasznie nim wstrząsnęło. Czyżby dowiedziała się o nich? Skąd? W firmie starannie, bardzo starannie, ukrywali swoje relacje. Inni widzieli ich tylko w miejscach publicznych albo na dachu, gdy palili papierosy. Chciała z nim iść teraz, wesprzeć go, ale całe jego zachowanie wskazywało, że jej obecność nie była pożądana.

Wzruszyła ramionami, zaciągnęła się papierosem i spojrzała na gwiazdy.

***

Szefler z każdą sekundą coraz bardziej wpadał w panikę. Z trudem utrzymał w dłoniach kartę dostępową, ledwo trafił palcem na przycisk przywołania windy. Drzwi otworzyły się natychmiast, nikt nie ściągnął windy przez te kilka minut.

Jego żona obiecała mu już przez telefon wszystko: prawnika, pozbawienie całego majątku, obcięcie ważnych organów i powolne szlachtowanie. Nawet jej nie słuchał, ale bał się zakończyć połączenie. „Pożar trzeba gasić, a nie rozniecać” — przywołał w pamięci.

Wypadł z windy i pognał do swojego biura. Minął pędem sprzątaczkę i zderzył się z jakimś młodym menedżerem. Dopiero teraz zauważył, że telefon się rozłączył.

— Dyrektorze, co się stało? — zapytał młodziak autentycznie przerażony jego stanem.

Szefler pokręcił tylko głową i pędem wpadł do biura. Otworzył tajny schowek w barku, wyciągnął stamtąd butelkę i nalał sobie całą szklankę bourbona. A potem jeszcze jedną.

— No to teraz mam prze…

***

Maura próbowała uciec myślami od podłego nastroju, zaciągając się głęboko papierosem i wpatrując w okrągłą tarczę księżyca. Dach biurowca był idealnym azylem dla palaczy, a ona szczególnie lubiła to miejsce teraz, późnym wieczorem, kiedy jaśnieją gwiazdy. Sceneria i nastrój były jakże odmienne od tych w pomieszczeniach tuż pod nogami. Pozwalały poczuć się kimś więcej niż trybikiem fabryki oprogramowania — tutaj była częścią kosmosu.

Ale nie dzisiaj. Za dużo bolesnych wydarzeń, nerwów i złości. Zbyt duże napięcie. Nie mogąc go rozładować, chciała przynajmniej na chwilę o nich zapomnieć. Panujący tutaj chłód i nieprzyjemne podmuchy wiatru skutecznie przytępiły przykre doświadczenia. Przynajmniej na chwilę.

„Do jutra pewnie nadciągną chmury” — pomyślała i ponuro zaczęła roztrząsać swój los. Czuła się przemęczona i stara. Tyle w życiu poszło nie tak. Wiek już późny. Ani dzieci, ani męża, tylko popaprane związki bez przyszłości. I ta cholerna praca. Gdyby Maura nie była tak dobra, nigdy nie zaszłaby tak wysoko w karierze na ścieżce technicznej. Innymi gardziła. W tej samczej smoczej jamie pokazała niejednemu zadufanemu gnojkowi w spodniach, że w projektowaniu software’u i wielkich, złożonych systemów to lepiej, by nie wychodzili z piaskownicy. A nie było łatwo, bo wiadomo, co faceci naprawdę myślą o kobietach inżynierach. I nie ukryją tego żadną przymilną poprawnością polityczną. Jedyna dobra rzecz w korpo, że przynajmniej ona sprzyja słabszej płci. A może ta przewaga umysłu też

jakoś przeszkadza w normalnym związku? Cholera wie. Faceci są tacy niekompatybilni i prostaccy. Niby potrafią być romantyczni, zalotni, wysilą się na jakieś miłe zaskoczenie i tak dalej, ale zawsze to grubiaństwo wylezie. Albo bezradność — rzucić żonę czy nie. Gorzej, jak są mściwi. Szkoda życia na takie…

„O, ktoś wszedł na dach” — pomyślała, słysząc kroki. Przyjrzała się postaci i rozpoznając ją, rzuciła:

— A, to ty.

Skinął jej, milcząc. Podszedł bliżej. Nie zabłysła zapalniczka. Pewnie ćmi e-peta. Mięczak. Tacy to pewnie wymyślą niedługo palenie zdalne albo w chmurze.

— Piękna noc — dodała. — Tylko zimna. „Zimna jak ja” — przeszło jej przez myśl. Zero uczuć, pustka. Wydrążone serce i umysł. Nawet tę chwilę musiał przerwać jakiś facet.

— Taaa. — Tamten zamruczał wylewnie.

— Jutro ma padać, zapowiadają burze — dodała, licząc na rozwinięcie tematu.

„Chyba też ma ciężki dzień i dość wszystkiego”. Stali tak chwilę, patrząc w uroki nocy. Wróciła myślą do starych spraw: „Mimo wszystko nie zniszczę mu życia. Nie warto się już o to bić. Chyba straciłam do niego resztki szacunku. Odpuszczę dla niej i dzieci. Oni nie są niczemu winni. To on jest dupkiem”.

— Ma? — zagadnął towarzysz.

— Tak? — Spojrzała w jego stronę.

— Mam coś dla ciebie. — Wyciągnął maleńką kartę SD, ledwie widoczną w tym świetle.

— Masz coś dla mnie? Co takiego? — Poczuła dziwny, jakby gumowy dotyk, gdy wręczał jej urządzenie.

— Nagranie z targów — ściszył głos. — Powiedzmy, że technik z AMOD-u chlapnął za dużo i pokazał działające demo GUI-a do ich nowego systemu. Był przy tym bardzo gadatliwy, więc posłuchaj uważnie i daj znać, co o tym myślisz.

— Inni menedżerowie już to widzieli? — popatrzyła i schowała do torebki.

— Jeszcze nie. Jeżeli to jakaś podpucha, to lepiej wcale tego nie pokazywać. Mają teraz sporo na głowie, a to mogłoby ich dobić. Chciałbym najpierw znać twoje zdanie. Tylko nie rób kopii i nie rozpowiadaj, *please* — szeptał jak tajny konfident.

— Nielegalnie zdobyte?

— Też, ale nie o to chodzi. Nie dość, że można by to podciągnąć pod szpiegostwo przemysłowe, to może namieszać. Sama widzisz, jaki mamy teraz dym. Może o to chodzi tym z AMOD-u?

— OK. Przejrzę na prywatnym laptopie, by nie zostawić śladu.

— Piękny dziś księżyc. — Spojrzał w górę.

Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem. Kątem oka zauważyła ruch.

Nagle gdzieś pod łopatką poczuła piorunujący, przeszywający ból. Obezwładniona osunęła się, ale nie upadła, podtrzymana w porę przez mężczyznę drugą ręką. Była na granicy utraty przytomności. Czuła, jak wlecze ją do krawędzi, czuła, jak przerzuca ją przez barierkę… Nie była w stanie ruszyć się ani oprzeć o nic ciała. Początkowa dezorientacja przerodziła się w narastający strach. Nie była w stanie krzyknąć. Zrozumiała, że spada. Leciała w dół jak w zwolnionym tempie. Nie mogła znaleźć rozwiązania, żadnego pomysłu na ratunek, chociaż była w tym naprawdę niezła.

***

Został na dachu sam. Zgodnie z planem, ale był dopiero w jego połowie. Wrócił do nadbudówki z silnikiem windy i kluczem zamknął za sobą drzwi. Ze schowka wyciągnął bloczek zjazdowy, linkę z kotwiczką i grube rękawice techniczne, które natychmiast założył na lateksowe.

Założył bloczek na linę windy i go zacisnął. Bloczek nie był przystosowany do stawiania wystarczającego oporu na naoliwionych stalowych linach, ale lepsze to niż sama ręka. Sam bloczek też był lekko przerobiony — usunął z niego zewnętrzną osłonę, dzięki czemu po zdjęciu nacisku po prostu odpadał od liny. Było to dość niebezpieczne, ale konieczne. Dodatkowo do bloczka przywiązał żyłkę, której drugi koniec był umocowany w lewej rękawicy.

Wziął kotwiczkę w prawą dłoń, wypróbował zacisk i ostrożnie zaczął się opuszczać po stalowej linie windy. Szło mu znacznie łatwiej, niż przypuszczał. Widocznie adrenalina dodała mu sił i zręczności. Za pierwszym razem trafił kotwiczką na właściwy dźwigar tuż nad szybem technicznym, którym się tutaj dostał. Upewniwszy się, że trzyma pewnie, puścił się liny windy.

Grzmotnął mocno o ścianę, tak jak się spodziewał. Bloczek zjazdowy odpadł od liny i zadyndał na żyłce. Kiedy odzyskał w płucach powietrze wypchnięte przez zderzenie, wspiął się do szybu. Zdjął rękawice, bloczek włożył do jednej z nich. Rozebrał się do naga, ubranie, paralizator i rękawice włożył do przygotowanej plastikowej torby — wszystko było ubrudzone smarem z szybu. Przeszedł do przestrzeni międzystropowej, a stamtąd pod prysznic, z którego ciągle płynęła woda.

Namydlił się pośpiesznie i zmoczył włosy. Teraz zakręcił wodę, zabrał z dziury ubranie i zamknął ją panelem sufitowym. Otworzył drzwi, ziewając

głośno. Zgodnie z oczekiwaniami nikogo nie było. Odłożył kosz na swoje miejsce. Z wcześniej przyniesionego pakunku wyciągnął świeże ubranie.

Wracając do biura, znów zajrzał do Marka.

— Nocny marku, weź przykład ze mnie i idź do domu.

— Dyrektorze, bez garnituru i krawata wygląda pan jak normalny programista! W takim dresie to chyba jeszcze pana nie widziałem.

— Nikt nie widział, czuj się zaszczycony. Jadę do domu, podwieźć cię?

— Chętnie! Nie będę wzywał taksówki.

— Zbieraj się! — pogonił go ojcowskim gestem. — Po drodze opowiem ci, jak kiedyś byłem zwykłym inżynierem. I jak przeszedłem na ciemną stronę.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

Rozdział 10

Dzień sprintu 8/10. Środa

1
7.30, plac pod głównym budynkiem RCUS-u

Walczak stał pod ścianą budynku i trzymał parasol. Technicy zabezpieczali taśmą miejsce wypadku. Skalski szczęśliwie nie musiał ich długo szukać, było ich widać już z daleka.

— Witam, panie inspektorze.

— Cześć.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Spadła — zaczął bez pytania Walczak.

— Z okna?

— Jak z okna, to ktoś musiał je zamknąć. Myślę, że z dachu…

— Możliwe.

— Kto to?

Walczak triumfalnie pokazał zabezpieczony identyfikator.

— Maura Zdowacka! Czerski poszedł ustalić coś więcej.

— Dlaczego nie ty?

— Edukacja przez doświadczenie. Poza tym zasłużył, by go ujeżdżać, nie sądzisz? — Złośliwie wykrzywił usta Walczak.

— Kto znalazł ciało? — Skalski pochylił się nad trupem.

— Ochrona. Przyszła poranna zmiana i od razu zobaczyli.

— A dlaczego nie wcześniej?

— Nie wiem. Może Czerski coś ustali. Gadatliwa małpa.

Podeszli do denatki. Oczy wpatrzone w niebo, pełne strachu. Głowa zwrócona w kierunku ściany, nogi w kierunku jezdni. Popatrzył w górę i pożałował. Deszcz chlusnął gęstym strumieniem. Walczak przetarł twarz i pomyślał: „Wykonała obrót w powietrzu, by móc przyjąć taką pozę". Obok rozsypana torebka — nie wytrzymała uderzenia. Wiatr dopełnił reszty i rozrzucił zawartość. „Trzeba będzie to wszystko pozbierać. Ile ona tego miała!" — zdziwił się.

Wtedy zjawił się Czerski.

— O, pan inspektor! Dzień dobry!

„Co za głupie powitanie" — pomyślał Skalski, bo kolejny trup, a do tego pada.

— Cześć wystarczy. Co ustaliłeś?

— Pracowała w departamencie dyrektora Maksymiliana Szeflera…

— Znowu u niego? — prychnął Walczak. Już u nikogo nie budziło to zdziwienia.

— Była architektem systemowym. To wysokie, techniczne stanowisko. Na razie tyle.

— Znowu trzeba przesłuchać kilka osób. A dowiedziałeś się, dlaczego dopiero rano ją znaleźli?

— Momencik… — Czerski kichnął głośno. — Katar mnie dopadł. Przepraszam. — Wyciągnął chustkę jednorazową i z rozmiłowaniem zaczął opróżniać zatoki. — Już lepiej. — Zakłopotał się, bo jedną rękę miał zajętą parasolem, a drugą nie mógł złożyć chusteczki. Kontynuował: — Nie widzieli na kamerach, jak spadała, chociaż powinni. Po tych ostatnich wydarzeniach bardziej skupiali się na obserwacji wnętrz i częstszych obchodach po budynku. Chyba zawalili, bo nikt z nich w nocy nie wyszedł na zewnątrz. Komuś się dostanie.

— Na kamerze nie widzieli, jak tu leży?

— Kamera ujmuje obraz tuż ponad chodnikiem, mniej więcej od kolan w górę. Szczęśliwie widać, jak spadała o dwudziestej pierwszej czternaście. Dosłownie kilka klatek. Damy nagranie naszym chłopakom.

— Ochrona wie, czy okna były otwarte?

— Raczej nie, bo sprawdzają je na obchodach. Do tego automat spuszcza na noc żaluzje. Mówili, że najpewniej z dachu spadła, bo wielu pracowników wychodzi tam na dymek. O cholera! — Wiatr nagle dmuchnął i Czerski, starając się ratować parasolkę przed wyrwaniem, pochwycił ją również drugą ręką, wypuszczając przy tym chusteczkę. Ta pognała i spadła na prawy policzek ofiary.

— Kuźwa, Czerski, kolejny raz chcesz skierować ślady na siebie?

— Przepraszam, szefie. — Podszedł do zwłok, zgiął się i ściągnął ją dwoma palcami. W martwych oczach kobiety wciąż widać było przerażenie. Walczak i Skalski po latach pracy byli już odporni na takie widoki, ale młodym Czerskim wstrząsnęły żal i złość. Uniósł delikatnie chusteczkę, ale na twarzy zostały resztki. — Deszcz i tak to zaraz zmyje — usprawiedliwiał się, próbując jednocześnie zetrzeć ślad czystą stroną.

— Chodźmy na górę sprawdzić dach — polecił Skalski.

Strażnik zaprowadził ich do windy, skąd wjechali na ostatnie piętro, a stamtąd weszli schodami na dach. Powitał ich widok wielkich kałuż na brudnoszarej, płaskiej powierzchni. Podeszli do miejsca bezpośrednio nad miejscem upadku. Barierka miała jakieś osiemdziesiąt centymetrów wysokości.

— Trzeba bardzo chcieć, by się tutaj nieszczęśliwie poślizgnąć — szepnął Czerski.

— Zwłaszcza na suchym dachu — dodał Walczak, wskazując czubkiem buta chropowatą powierzchnię. — Padać zaczęło dopiero nad ranem.

— Niech technicy zbiorą niedopałki. — Skalski wskazał na kosz obok, który szczęśliwie miał zamkniętą konstrukcję. — Niech zbadają najpierw te z wierzchu. — Rozejrzał się po dachu. Wskazał na niewielką nadbudówkę w pobliżu wejścia. — Co to jest? — zapytał towarzyszącego im strażnika.

— Pomieszczenie techniczne windy — odpowiedział ten usłużnie i zaraz dodał, uprzedzając kolejne pytanie: — Jest… powinno być zamknięte.

— Sprawdźmy…

Podeszli do drzwi. Skalski nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

— Kto ma klucz? — zapytał.

— Tylko strażnicy.

— Ktoś go wypożyczał albo ukradł?

— Nikt go nie potrzebuje. Jeśli jest awaria windy, to jeden z nas idzie wówczas z serwisantem i otwiera mu tego typu drzwi. To kwestia bezpieczeństwa — dodał patetycznie.

Skalski pokiwał głową.

— Są tutaj inne wejścia?

— Identyczne wejście jest po drugiej stronie dachu. Mógł wejść tamtędy… — rzekł półgębkiem strażnik.

— Kto?

— Morderca… oczywiście.

— Sprawdźmy drugie pomieszczenie — zarządził Skalski.

Minęli gęsty las anten wyrastający na środku dachu. Anteny najróżniejszych kształtów i rozmiarów tworzyły pozornie ogromny chaos, pogłębiony jeszcze przez ich wycelowanie w losowe, wydawałoby się, fragmenty przestrzeni. Zagadnięty o nie strażnik wzruszył tylko ramionami i powiedział, że nie zna się na tym, co robią w firmie.

Walczak uśmiechnął się zjadliwie do Czerskiego.

— Wiesz, jak to musi promieniować? Lepiej zakryj klejnoty, jak chcesz być kiedyś ojcem.

Czerski coś burknął, ale przyśpieszył kroku i zbliżył się do barierki. Przechodząc obok anten, spojrzał podejrzliwie na groźne urządzenia, a potem z troską na swoje przyrodzenie. Tak się przynajmniej Walczakowi wydawało.

Zgodnie z oczekiwaniami pomieszczenie techniczne windy przy drugim wejściu również było zamknięte.

— Da się jeszcze inaczej wejść na dach?

— Chyba tylko po linie. — Strażnik próbował być dowcipny, ale Skalski potraktował to bardzo poważnie.

— Panowie, przejdźcie się wzdłuż tamtej barierki zabezpieczającej, poszukajcie świeżych śladów po jakichś hakach.

Dwie minuty później spotkali się ponownie w pobliżu miejsca, gdzie weszli na dach.

— Mimo wszystko niech technicy to sprawdzą raz jeszcze. Może na ogrodzeniu coś będzie, jakieś nitki z ubrania, włosy? Od wczorajszej nocy nie mogło tu wchodzić zbyt wiele osób.

— Przekażę — powiedział głucho Czerski i kichnął okrutnie. Znowu sięgnął po chusteczkę. Ale już jednorazową.

— Słuchaj — zwrócił się do niego Walczak — matka nie dała ci nic na przeziębienie?

— Nie spałem dzisiaj u siebie. — I pożałował, że nie zdążył ugryźć się w język, bo węszył zaczepkę.

— Okład z młodej piersi też nie pomógł, jak widzę. Było spać na golasa? — Walczak zachichotał. — To masz tu, napij się. To lek na wszystko. — Wyciągnął piersióweczkę, ale nieufny Czerski skrzywił się z dezaprobatą. Walczak wyczekał chwilę, ale nie widząc reakcji, sam pociągnął łyk, nim

dodał: — Nie, to nie! A pomogłoby ci! Zwłaszcza na gadulstwo przed pewną dziennikarką. — I schował z powrotem. Zwrócił się do Skalskiego: — Pewnie musimy przejrzeć monitoring.

— Musimy — potwierdził Skalski i usłyszał westchnienie Czerskiego. — Tym razem niewiele. — Zrobiło mu się żal chłopaka. Przeglądanie nagrań było wyczerpujące psychicznie. — Tylko kamery w windach i te z siódmego piętra na klatkach schodowych.

Poszukał telefonu w kieszeni płaszcza i wybierając numer, powiedział:

— Wezwę Szeflera, niech nam wskaże jej miejsce pracy.

— Szefie? — rzekł zatroskany Walczak. — Chyba czeka cię kolejna zjebka u komendanta.

Skalski wzruszył ramionami. Nie reagował na poranne złośliwości kolegi.

— No i prasa. — Walczak dobijał przyjaciela. — Oni to dopiero sobie pouży wają! Nawet Czerski nie musi do nich dzwonić. Hieny już nadciągają. — Wskazał głową oddalony jeszcze sznur wozów telewizyjnych.

Zadzwonił telefon Czerskiego. Nieznany numer.

— Słucham… — rzucił z nadzieją do słuchawki.

— Dzień dobry! W imieniu firmy Fonwin chciałam panu pogratulować zwycięstwa… — zatrajkotał dziewczęcy głos.

Bez słowa się rozłączył.

2
8.20, RCUS, Dział Finansów

Zadzwonił telefon. Kacper, dwudziestopięciolatek o wyglądzie niedogolonego żigolaka, spojrzał na wyświetlacz i nieco się skrzywił.

Westchnął i odebrał.

— Co tam, mamo? — odezwał się cicho.

Szczęśliwie żadna z koleżanek jeszcze nie pojawiła się w biurze, a nie chciał, by któraś usłyszała, że matka do niego wydzwania. Był w końcu dorosły, mieszkał sam, w luksusowym penthousie w dobrej dzielnicy. Właściwie to mieszkał z dziewczyną — co jakiś czas inną, czego matka nie popierała, bo mogło to źle wpłynąć na jej reputację.

— Kacperku, jesteś już w biurze? — spytała matka bezpardonowo.

— Jestem, właśnie przyszedłem…

— Widziałeś dziś wozy policyjne, karetki albo coś dziwnego?

— Nooo… — był zdziwiony, że pyta go takie rzeczy. — Rzeczywiście, jest jakiś ruch z drugiej strony budynku…

— Słuchaj mnie uważnie i bez dyskusji — przerwała mu stanowczo. — Na dziś wystawisz sobie natychmiastowy urlop, pracę z domu, chorobowe, cokolwiek. Masz po prostu natychmiast opuścić firmę. Potem weźmiesz tyle wolnego, ile możesz, tylko nie siedź w tej rzeźni…

— Ale mamo, o co ci chodzi? — Był szczerze zdumiony. — Jestem tutaj kierownikiem, nie mogę ot tak pieprznąć wszystkiego. To, że jestem synem prezydent miasta, nie daje mi żadnych…

— Słuchaj, młodzieńcze! To, co widziałeś, to kolejne morderstwo w firmie. Nie pozwolę, byś tam siedział i się narażał. Wysyłam po ciebie kierowcę, będzie za niecałe pół godziny. Do tego czasu nie ruszaj się z biura, najlepiej zamknij się na klucz i nikogo nie wpuszczaj. Zrób to dla swojej matki. Dobrze, Kacperku?

— Ale mamo… — próbował protestować. „Trzecie morderstwo?” — Dobrze, czekam na kierowcę.

— To dobrze, syneczku. Dam kierowcy numer twojej komórki. Zadzwoń do mnie z domu. Kocham cię.

— Ja też cię kocham, mamo. — Rozłączył się.

„Dzisiaj popełniono trzecie morderstwo?” Pośpiesznie włączył komputer. I jak to trzecie? Przecież poprzednie zejścia to skutek wypadku i przedawkowania leków. No dobra, wiadomo, że nie leków. Słyszał o Kilianie Osiku i wiedział, że mają tego samego dostawcę, ale nie chciał się z nim zaznajamiać. W końcu synowi pani prezydent nie wypada bratać się z takim pospólstwem. I dlaczego nie mówiła mu wcześniej, że to morderstwa? Jeśli ją okłamano, to matka urwie jaja szefowi policji i prokuraturze.

Komputer się uruchomił i chłopak nerwowo sprawdził pocztę. Nic. Żadnej wiadomości. Pewnie zarząd myśli, jak ma przypudrować kolejnego trupa.

Do biura weszła Natalia, długonoga i długowłosa blond piękność, mogąca z łatwością wygrać wszystkie konkursy na miss mokrych i suchych podkoszulków. Zresztą to jego ostatnia zdobycz, choć na razie w łóżku wylądowali tylko raz. Kacper od paru dni pracował nad poprawieniem tego wyniku.

Uśmiechnęła się do niego filuternie, a na niego spłynęło objawienie.

— Natalio, muszę ci coś powiedzieć… To sprawa najwyższej wagi i tajemnicy, nie wolno ci tego rozpowiadać. Ze względów bezpieczeństwa musimy dziś pracować u mnie…

3
8.50, RCUS, biuro Maksymiliana Szeflera

— Drogi panie Maksymilianie… — Walczak zaczął przesłuchanie tonem co najmniej szyderczym. — Niech nam pan łaskawie opowie o wczorajszych wydarzeniach.

Szefler wyglądał, jakby postarzał się przynajmniej o dziesięć lat. Zgarbiony, nieuczesany, ze smutnym wzrokiem wbitym w stolik. Kontrastowało to z głupkowatą wesołkowatością Walczaka. Podniósł zmęczone oczy na rozsiadającego się właśnie Skalskiego. Jemu też nie było do śmiechu. Czerski stał na zewnątrz i pilnował wejścia do salki, oficjalnie by nikt im nie przeszkadzał, a w rzeczywistości obawiali się, że ich pozaraża.

— Maura to więcej niż tylko moja przyjaciółka — rozpoczął wyznanie Szefler. — Łączy nas wiele lat znajomości. Bardzo zażyłej.

— Czy pan aby nie ma żony? — zapytał Walczak, patrząc na jego obrączkę.

— Moja żona, cóż… już dawno coś między nami wygasło — ciągnął smutnym tonem.

„Ale przecież są sposoby, by konar znowu zapłonął…” — Walczak w porę ugryzł się w język.

— Czyli z panią Zdowacką łączyły pana bliskie stosunki. — Skalski wszedł w słowo.

— Tak. Służbowe i pozasłużbowe.

— Co wydarzyło się wczoraj wieczorem? — Spróbował nadać właściwe tempo.

— Spotkałem się z nią. Na dachu. Byliśmy tam razem. Po tym wczorajszym piekle chcieliśmy jakoś odreagować. Maura ostatnio była markotna. Wczoraj też. I jakby się czegoś bała.

— Bała się pana?

— Bała się o siebie i o mnie — poprawił śledczego. — Mówiła, że śmierć ludzi w moim departamencie to nie przypadek…

— To może pan rozwinie, co takiego podejrzewała?

— Uważała, że de Bugaj i Osik zginęli celowo. Obawiała się, że może być następna w kolejce, a potem może i ja… Ona rzadko się myli… znaczy, myliła. Biedna Ma…

— I o czym jeszcze rozmawialiście? — Skalski ściągnął go na ziemię.

— O niczym, bo przerwał nam telefon od żony. Musiałem wracać.

— A Zdowacka?

— Została na górze — odparł, kiwając głową. Nagle otworzył oczy i rzucił głośno: — Nie wiem, co się tam działo. Może przez ten telefon zrobiła coś głupiego?

— Słyszała waszą rozmowę?

— Tylko początek. Znaczy pewnie tylko to, co ja mówiłem. Wiało, na pewno nie mogła słyszeć głosu z mojego aparatu.

— A jednak myśli pan, że mogła przez to coś sobie zrobić.

— Nie o to chodzi. — Szefler patrzył smutno w stół. Walczakowi prawie zrobiło mu się go żal. — Robiła mi wyrzuty już wcześniej. Chciała wiedzieć, kiedy wreszcie się rozwiodę. Może ją to tak wkurzyło, przelało czarę goryczy. Przecież ostatnio wszyscy żyjemy w takim napięciu. Łatwo się pogubić. Stracić głowę. A ona szczególnie w sprawach uczuciowych była… — szukał właściwego słowa — no… nazbyt delikatna. Po prostu wkurzyła się o ten telefon, że odebrałem zamiast to zignorować. No i rzuciła się, by mi dopiec!

— Niezła bajeczka — zaśmiał się Walczak. — A może było tak, że pan wcale nie chciał się rozwodzić? Wszedł pan na górę i wypchnął ją, by pozbyć się problemu?

— Jak pan śmie?! — Szefler poczerwieniał z wściekłości.

— Spokojnie! — krzyknął Skalski i spojrzał w oczy raz jednemu, raz drugiemu. A widząc, że sytuacja jest pod kontrolą, podjął: — Nie mam

powodu, by panu nie wierzyć. Ale właśnie w pana kręgu dzieją się te wszystkie złe rzeczy. To już trzecia ofiara!

— Podejrzewa pan zabójstwo? — zapytał Szefler poważnym tonem.

— Moja praca polega na podejrzliwości — niemal wyszeptał. — Ale nie rzucam ich bezpodstawnie. Potrzebuję faktów. I tylko tych, które są istotne. Spróbujmy zatem zebrać kilka informacji. Czy Maura Zdowacka znała poprzednie ofiary?

— Tak. Wszyscy pracowali u mnie nad tym samym projektem. Maura była jego architektem, Osik specjalistą deweloperem, a de Bugaj — specjalistą testerem. Maura ostatnio wiele o nich opowiadała. No wie pan, przez te wydarzenia.

— I wierzyła, że to nie przypadek, że to oni zginęli?

— Widziała w tym logiczny związek.

— A pan również widzi ten związek?

— Uważałem, że szuka wzorca tam, gdzie go nie ma. Ale…

— Teraz już pan tak nie uważa?

— Już nie… Raz to przypadek, dwa to zbieg okoliczności, trzy to działanie wroga. — Szefler przypomniał starą sentencję.

— Wskazała kogoś, kto mógł być sprawcą?

— Nie. Nic o tym nie wspominała. Ale zaczęła się bać. Mówiła, że ona jest kolejnym celem, ogniwem tego łańcuszka, a ja ostatnim.

— Taka lekka paranoja — wtrącił swą mądrość Walczak.

— Jeszcze wczoraj też tak myślałem…

Otworzyły się drzwi, przez które zasmarkany Czerski oznajmił:

— Zjawiła się pani prokurator. Pyta o was.

4
9.20, RCUS, dział HR

Marta, jedna z pracownic w dziale HR, zajmowała się głównie obsługą nieobecności pracowników. Wszystkimi poza tymi wynikającymi ze zwolnień lekarskich, które to wymagały znacznie więcej papierkowej roboty. Jej obowiązki koncentrowały się głównie na obsłudze urlopów. W czasie sezonu letniego lub świąt zwykle miała mnóstwo zajęć, ale poza nimi sporo czasu spędzała na plotkach.

Dzisiejszy dzień zaczęła jak zwykle od włączenia komputera, aby system odnotował jej aktywność i nawet na niego nie patrząc, poszła na kawę do kuchni. Tam spotkała kilka przyjaciółek, gdzie przez prawie trzy kwadranse omawiały wszystkie sprawy niecierpiące zwłoki. Ostatni raz widziały się wczorajszego popołudnia, więc istotnych spraw do omówienia było naprawdę wiele.

Kiedy wróciła do komputera, w pierwszej chwili pomyślała, że albo nastąpił błąd systemu, albo ktoś robi sobie żarty. W systemie widniało już kilkadziesiąt żądań natychmiastowego urlopu. Kiedy na nie patrzyła, nie wiedząc, co robić, wskoczyły dwa następne. W końcu złapała za telefon i zadzwoniła do znajomej z działu finansów, której nazwisko dostrzegła na liście.

Najpierw z zaskoczeniem, a potem z przerażeniem wysłuchała, co ta miała do powiedzenia. Zarejestrowała wszystkie urlopy i pobiegła do koleżanek.

Dziesięć minut później w systemie pojawiły się kolejne wnioski urlopowe wystawione przez pracownice działu kadr.

Marta dopiero teraz zadzwoniła do szefowej działu, Zuzanny Elkebaum, wchodzącej właśnie do firmy.

9.50, RCUS, biuro prezesa Aivara

Na pośpiesznie zwołanej naradzie w biurze Gabriela Aivara obecni byli wszyscy szefowie departamentów.

— Pani Zuzanno — zaczął Aivar — co się dzieje?

— Zanotowaliśmy gwałtowny wzrost absencji w firmie. Dzisiaj ludzie przypomnieli sobie o zaległych urlopach, chorych babciach, które trzeba odwiedzić, przeterminowanych badaniach okresowych i zarobaczonych psach. Nie trzeba być Holmesem, żeby powiązać to z kolejnym… wypadkiem. Tym bardziej że wiele osób widziało ciało… Maury Zdowackiej.

— Właściwie, to dlaczego znaleźli ją tak późno? Był przecież ranek. — Aivar ostro zwrócił się do Farneya. — Czy ochrona nie miała podwoić straży?

— Podwoiła… ale w budynku, w garażu i na drodze wyjazdowej. Tam, gdzie spadła, nie było powodu, a nie mamy dość strażników. — Farney był zasępiony. — To moja wina, prezesie.

— I co mi z tego, że twoja wina?! — Prezes Aivar ledwo nad sobą panował. — Tej paniki teraz nic nie powstrzyma, cholera! A najlepszym dowodem na to, co się dzieje, jest ten wysyp próśb o wolne! Wiesz, jak to dezorganizuje pracę firmy? Zwłaszcza teraz, kiedy finalizujemy taki kontrakt?

— Wiem, prezesie… Dlatego uważam, że powinienem podać się do dymisji.

— A na chuj mi teraz twoja dymisja?! — ryknął Aivar, a Elkebaum aż podskoczyła, słysząc takie słowa w ustach człowieka, który, jak się wydawało, nie jest do tego zdolny.

Aivar sapnął, podszedł do barku i wyciągnął stamtąd napoczętą butelkę whisky. Wyjął szklankę, nalał sobie, wypił i dopiero teraz pomyślał o gościach. Ci odmówili, co przyjął bez zdziwienia.

Uspokoiwszy się, próbował być rzeczowy.

— Czy wiemy, kto rozpuścił plotkę o morderstwie?

Elkebaum rozłożyła ręce.

— Moje dziewczyny zauważyły, że pierwsze nietypowe żądania wolnego pojawiły się w dziale finansów. Widocznie ktoś był wcześniej w pracy i spanikował, a potem wystraszył innych.

— Jak to wygląda wśród deweloperów?

— Najgorzej jest w naszym najważniejszym dziale u Szeflera, pod… Zdowacką. Tam nie ma teraz nawet połowy pracowników. W innych działach jest lepiej, ogólnie im dalej od ludzi Zdowackiej, tym mniej paniki.

Aivar pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Bernardzie, co możemy zrobić? — Jego głos był znów spokojny i rzeczowy. — Mamy ustawić policjanta na każdym piętrze?

— Policjanta nie — odparł Farney — ale dodatkową ochronę jak najbardziej.

— Zrób tak.

— Musimy nająć inną firmę. Obecna pracuje już na sto procent, odwołała wszystkich z urlopów…

— Zrób, co trzeba.

— Dodatkowe kamery monitoringu, może nawet w toaletach…

— Niech będzie. W dupie mam, czy ktoś będzie się czuł niekomfortowo. Niech jedzie szczać do domu.

— Zakaz wstępu na dach, niech palą na zewnątrz albo wcale. Ludzie mają siedzieć w kubikach, ustawimy w systemie alarmy na nieobecność…

Aivar machnął ręką.

— Ty się na tym znasz. Zrób wszystko, żeby nikt już nie zginął.

— Tak właśnie zrobię.

— Nie zawiedź nas… Teraz musimy jeszcze zredagować wiadomość do naszych ludzi. I obawiam się, że to kolejny zły ruch. I nie mam, niestety, żadnego dobrego.

5
10.30, AMOD

Dyrektor Gordon wsadził głowę w uchylone drzwi gabinetu prezesa Thomasa Ivesa i zapytał ostrożnie:

— Można?

— Coś się stało? — Ives zmarszczył brwi i niechętnie zaprosił go do środka.

— Tak. Huczą o tym w mediach. Niech pan włączy wiadomości. — Wszedł do środka.

— Ale o czym? — Zirytował się tą wizytą. Nie przepadał za tym człowiekiem.

— Kolejny zgon w RCUS-ie!

— Który kanał? — Ives otworzył szeroko oczy. Gordon okazał się szybszy niż Derek. Wreszcie z niego jakiś pożytek!

— Chyba FSH-LL-NEWS ma w internecie przekaz na żywo.

Obszedł biurko prezesa i stanął nad nim.

— Jest!

Wyszukiwarka przeniosła go na właściwą stronę. Odczekali reklamę i pojawił się przekaz spod biurowca. Dziennikarka ożywionym głosem trajkotała otoczona ciasną grupą dziennikarzy:

— To pytanie nie tylko o bezpieczeństwo i higienę pracy, lecz także o umiejętność stosowania tego w praktyce. Jakim prawem pracownik biurowy wchodzi na dach budynku? Pomijając motywy tego czynu, dlaczego nikt do tej pory nie reagował i nie zamknął skutecznie drogi do tego miejsca? Podobno proceder ten trwał tam od lat. To stworzyło warunki, by doszło do kolejnej, jakże straszliwej, tragedii. Przecież zupełnie czymś innym jest złapać katar, złamać rękę, a czym innym stracić życie. Odnosząc się do wypowiedzi rzecznik firmy, która podkreślała, że ochrona miejsca pracy została wzmocniona już w poniedziałek, zastanówmy się, czy były to środki wystarczające. Czyż śmierć kolejnej osoby nie zaprzecza słowom przedstawiciela firmy? Prezes Aivar nie chciał z nami rozmawiać ani komentować całej sprawy. Drogą elektroniczną wyraził tylko swoje ubolewanie. Panie prezesie! To jej nie wróci życia! Ani jej, ani poprzednim pracownikom firmy zarządzanej przez pana! Przecież w czasie ostatnich dwóch tygodni doszło do aż trzech zgonów! A teraz pozwolę sobie zwrócić państwa uwagę na pewien interesujący wątek tej — tak, można już tak powiedzieć — czarnej serii wypadków. Coraz liczniejsze pogłoski sugerują, że cała sprawa może mieć charakter kryminalny, mimo że prokuratura i śledczy z uporem odcinają się od takiej wersji. Pozwolę sobie zaapelować do nich: nie tylko pracownicy, lecz także cała opinia publiczna ma prawo poznać prawdę. Dzięki naszym usilnym staraniom udało nam się zapytać kilku pracowników o warunki i atmosferę pracy tutaj. Jednak w obawie przed możliwymi represjami ze strony pracodawcy nie chcieli ujawniać swojej tożsamości. Tuż po krótkiej przerwie zobaczą państwo szokujące wyznania ludzi, do których dotarliśmy…

— Otwieramy szampana? — zapytał uśmiechnięty Gordon.

— Gordon, to fantastyczny *news*! — Ives złapał się za głowę i odchylił do tyłu. — Taka afera!

— Ta Zdowacka… pamięta pan, kto to?

— Oczywiście. Ich najważniejszy mózg!

— To zadziała na nich jak wylew. Kompletny paraliż.

— Fantastycznie. Obyśmy jednak nie dostali rykoszetem…

— Pan się czegoś obawia? — zdziwił się Gordon.

— Ich machina właśnie stanęła, ale nas też to dotknie — stwierdził Ives, ale nie wyglądał na szczególnie zatroskanego. — Nie ma co się spodziewać świeżej dostawy kodu. Zmian w architekturze również. Nasza praca zwolni.

— Niekoniecznie.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Gordon?

— Nasi architekci żyją i są na świeżo ze szczegółami projektu. Nie muszą się już z nikim ścigać. I teraz dla odmiany popracują koncepcyjnie. Wreszcie sami wniosą coś swojego do tego przedsięwzięcia.

Ives uśmiechnął się szeroko:

— A to znaczy… To znaczy, Gordon, że właśnie uzyskaliśmy przewagę. Teraz to my nadajemy tempo w tym wyścigu!

6
11.00, RCUS, biuro dyrektora Farneya

Marceli wszedł do gabinetu. Cicho zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do biurka pełen obaw.

— Usiądź. — Wskazał mu miejsce Farney.

Zrobił, jak mu kazano.

— Masz mi coś do powiedzenia?

— W jakiej sprawie, panie dyrektorze?

— Twojego zachowania.

— Mówimy o…

— Nie udawaj. Chodzi o twoje niechlubne czyny.

— Jakie czyny?

— Nie chcesz mówić? No dobrze. — Rozłożył ręce i lekko się odchylił. — To ja powiem. Założenie podsłuchu członkowi zarządu to jedna sprawa. Zakładanie trojanów w firmie to druga. Mam wyliczać kolejne?

Marceli był wstrząśnięty, ale panował jeszcze nad głosem.

— Skąd takie insynuacje?

— To nie insynuacje. Mam dowody, logi, nagrania wideo. Wszystko zabezpieczone. Rozpracowałem cię osobiście. A zanim stąd wylecisz, to chciałbym poznać twoje motywacje. W co ty grasz, Marceli?

— Nie mam z tym nic wspólnego! — odparował, czując falę gorąca przepływającą przez ciało. — Pracuję ciężko, próbując sprostać wszelkim oczekiwaniom firmy. Naprawdę, nie rozumiem…

— Daruj sobie. Kto ci kazał to zrobić?

— Nikt mi niczego nie kazał!

— Cholera, chcesz mi powiedzieć, że to twoja własna inicjatywa?

— No nie…

— To mów. Teraz! Nie mam czasu!

— Ale co? — Marceli otarł z czoła pot.

— Kto ci kazał nagrywać rozmowy zarządu i instalować złośliwe oprogramowanie?

— Czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie? — usiłował się bronić.

— Wiesz, że to sprawa karna? Będę musiał wezwać policję!

— Dlaczego jeszcze jej tu nie widzę? — zapytał bezczelnie.

— Bo muszę wiedzieć pierwszy, jaka jest skala zniszczeń i zagrożeń. Muszę podjąć akcje zapobiegawcze i naprawcze. Muszę też wiedzieć, kto zawiódł i dlaczego. Apeluję do resztek twojej odpowiedzialności, może nawet godności! Kto i po co kazał ci to zrobić?

Tego jednego właśnie zdradzić nie mógł. Po krótkim czasie oczekiwania Farney nacisnął guzik systemu przywoławczego:

— Trudno. Twój wybór. Ochrona zajmie się tobą do przyjazdu policji.

— Nie trzeba czekać. — Marceli zaśmiał się szyderczo. — Od tygodnia się tu kręcą.

12.40, pokój hotelowy Lucjana Frosta

Lucjan Frost leżał na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Setki razy odtwarzał atak Reshke i w konsekwencji sytuację, w której się znalazł. Wydawało się, że do końca życia będzie musiał się ukrywać. Ale wszystko uległo zmianie godzinę temu.

Sięgnął po telefon i kolejny raz przeczytał SMS-a: „Wiem, co zrobiła Monika Reshke. Ja i ty możemy usunąć ją z gry. Oddzwoń”.

Ta nieoczekiwana wiadomość i zżerająca ciekawość skłoniły go, by zmusić się do kontaktu z Zuzą, zanim podejmie jakąś decyzję. Tylko jej ufał.

— Lucjan, co z tobą? — usłyszał w słuchawce przerażony kobiecy głos.

— Przepraszam, Zuza. Za wszystko — wydukał. Odważył się wreszcie na rozmowę. Nie mógł tak tchórzyć. Niemiłosiernie go to dręczyło.

— W firmie szambo wybuchło, a ty się nie odzywasz, nie działasz. Gdzie ty w ogóle jesteś?

— Za granicą — rzekł cicho i spokojnie.

— Nie kpij ze mnie. Tyle to wiem z twojego oficjalnego maila. Co z twoim zdrowiem? Badają cię? Nic wcześniej nie mówiłeś.

— Wszystko w porządku. Jestem zdrowy — uspokajał.

— Co ci dolega? — naciskała, nie dowierzając.

— Naprawdę nic.

— To o co chodzi? — wyrzuciła histerycznym tonem.

— Przecież wiesz…

— No wyobraź sobie, że nie wiem! — krzyknęła desperacko. — POWIEDZ, CO SIĘ DZIEJE.

Zatkało go. Jak to nie wie? Reshke przecież… Czyżby nic nie powiedziała? W co gra ta chytra lisiczka? W takim razie skąd, do cholery, ten chaos i spadki cen akcji? Z poczucia wstydu nie poszukiwał w internecie wiadomości ani o sobie, ani na temat swojej firmy.

— Reshke ma na mnie haka. Moja akcja z wyjazdem i mailami to wynik jej szantażu — zaczął wyznanie.

— Coś ty tam znowu narozrabiał?

— Szkoda gadać. Ta mała wykryła moje ruchy, zanim nad tym zapanowałem.

— Co teraz?

— Nie wiem… — zaczął rozmyślać na głos. — Może przydałby mi się ten twój konfident, by wybadać, w co gra Monika.

Usłyszał nagły wybuch szlochu. Nie mogła mówić. Zrozumiał, że uderzył w jakiś szczególnie czuły punkt.

— Co się stało? — zapytał delikatnym tonem, przeczuwając najgorsze.

— A-resz-to-wali go! Zamknęli mojego syna! — wydusiła sylaby, dławiąc się przez spazmy płaczu.

7
13.30, RCUS, gabinet prezesa Aivara

— Kluczowy projekt w krytycznym zagrożeniu — tłumaczył chłodno Szefler w gabinecie prezesa. Byli tam tylko we dwóch, bardzo zmęczeni kolejną falą najazdu mediów, telefonów, pretensji. Załamanym głosem kontynuował żale: — Strata architekta w połowie rozwoju produktu to

impakt, z którego się nie podniesiemy szybko, jeśli w ogóle. Trzeba rozważyć nowe, awaryjne opcje i zmitygować ryzyko.

— Normalnie bym tego nie przyjął do wiadomości. Taki wyznawca technik zwinnych, wymienności ról i tak dalej — podsumował beznamiętnie Aivar.

— Bez liderów stado stoi w miejscu. Musimy ich zasilać wymaganiami. A mówimy o stuosobowej grupie resource' ów. Gotowi będziemy jedynie z planem minimum, który Zdowacka zdążyła domknąć, zanim… — Urwał wymownie i pohamował emocje. Kto by pomyślał, że tak go to dotknie.

— Rozumiem, że nasz jedyny dotąd odbiorca podpisał kontrakt, w którym po pierwszym wdrożeniu oczekuje kolejnej wersji bogatszej o ważne dla niego elementy.

— I z tą wersją nie damy rady. Nie w założonych kosztach. Nie w założonym terminie. A więc z karami umownymi i z utratą twarzy. Maura nie miała zastępcy. Gdyby nawet teraz kogoś awansować, to nie podoła w rozsądnym czasie. Najrozumniejszymi wydawali się akurat Osik i de Bugaj. Osik, bo rozumiał intencje i kierunki rozwoju produktu, ale w ograniczonym dla niego odcinku. De Bugaj zaś ze względu na testowanie znał cały system.

— I tak byśmy ich nie awansowali. Mieli złą prasę u swoich menedżerów — żachnął się Aivar.

— Czytał pan ich akta? — zdziwił się Szefler.

— Tak. Po tych zabójstwach. — Przeciągnął się, zanim powiedział: — Będę szczery. Jakoś musisz sobie z tym poradzić sam. Moje dni i możliwości się kończą. Ja wezmę na siebie media, ty opracuj plan działania na teraz i po tym, jak już przejmiesz moją rolę.

— Mogę założyć większy budżet?

Aivar wzruszył ramionami i rzekł:

— To już twój wybór i twoje zmartwienia. Tylko nie łudź się, że pieniądze rozwiązują wszystkie niedogodności! Nie zapomnij też o AMOD-zie! Będą nas teraz wszędzie dyskredytować!

***

„Reshke!” — gotowała się Elkebaum. „Ty suko!”

Wracając do swojego gabinetu, rozmyślała, jak udusić ją gołymi rękami. Ta cholerna dziwka zniszczyła ich cały misterny plan. Cios z miejsca, którego się nikt nie spodziewał. Szok! Zupełnie nie byli na ten wariant przygotowani. To tłumaczy Lucjana i jego ucieczkę. Tylko dlaczego jej nie powiedział? Jak mógł tak podle ją zostawić. Nieczuły sukinsyn!

Jest jednak coś zadziwiającego: do tej pory Reshke nie wykonała żadnego kroku. Dlaczego? Co knuje ta zdzira? Zamiast wykorzystać wykrycie nieprawidłowości i na tym zbudować swój autorytet, przejąć oficjalnie stanowisko dyrektora, ona siedziała cicho. Może czeka, aż ostygnie sytuacja? Pora na takie działanie jest niesprzyjająca, bo kolejny problem przy tej rozpętanej burzy przeszedłby niezauważony i nie wyniósłby jej na panteon sławy. W tym zgiełku nikt by jej nie usłyszał, nie zauważył. Czyli czeka na właściwy moment… a to może być dla nich korzystne.

Zabrzęczał telefon, gdy wchodziła do swojego gabinetu. Lucjan! Przyłożyła szybko słuchawkę i usłyszała znajomy głos:

— Postanowiłem, Zuza. Wracam. Mam jednak prośbę. Jak tylko coś się wydarzy, natychmiast mnie powiadom. Nie chcę, by mnie zwinęli na granicy.

— To ryzykowne! Nie rób tego!

— Trzeba pomóc twojemu synowi. Reszta się nie liczy. — Te słowa wzruszyły ją do łez.

— Kocham cię! — odrzekła, łkając.

— Przepraszam za wszystko. Ja też cię kocham. Aha, jeszcze jedno. Nie mów nikomu o moim powrocie. Zwłaszcza policji. I pamiętaj: ostrzeż mnie, jakby co. — Rozłączył się.

Fala ulgi i jakiejś radości przemieniła jej stan wewnętrzny. I kolejny już raz Elkebaum wybuchła szlochem. Pokraczna, zdeformowana wersja nadziei zagościła w jej sercu.

8
16.30, komenda policji

Komendant Zakuty Łeb wyraził dobitnie i jasno jak rozbłysk nuklearny, że to już koniec kariery Skalskiego. Jak tylko znajdzie zastępcę, inspektor żegna się z pracą. Natomiast każda nowa zbrodnia kończy jego służbę w trybie natychmiastowym, może nawet dyscyplinarnym. Wystarczyło to, że toleruje pijaństwo podwładnych na służbie. Nie okazał mu ani litości, ani zrozumienia, ani niczego napawającego nadzieją. Walczak też dziwnie ucichł i patrzył nieobecny przez boczne, pochlapane deszczem okno samochodu na mijane wystawy sklepów i przechodniów chowających się pod parasolami.

— Powiedz, stary — zaczął Skalski, próbując skupić się na czymś innym niż osobista porażka. — Ile jeszcze błędów popełnimy?

— *Errare humanum est*[1] — szepnął Walczak. — Choć tak sobie dumam: lepiej myślą błądzić niż błądzić, że się myśli. Zakładając, że morderca dopomógł jej w tym skoku, który nie skończył się ani olśniewającym telemarkiem, ani rekordowym dystansem, to trzeba podkreślić kompletną zmianę stylu — mamrotał trochę bez sensu.

— Jak myślisz, dlaczego?

— Śpieszył się? Nie miał czasu na wymyślenie lepszego planu? Jeżeli się śpieszył, to musiał się czegoś obawiać. Może Zdowacka coś odkryła?

— Szefler mówił, że ta kobita była niespokojna i wystraszona.

— Zawsze mogła do czegoś dotrzeć.

— Wtedy powiedziałaby kochankowi.

— Może chciała to zrobić na dachu, tylko ten telefon im przerwał?

— A jeśli nawet mu powiedziała… to on przemilczał to przed nami.

Podjeżdżając pod swoją komendę, zauważyli podbiegającego Czerskiego. Mimo przemoknięcia i przeziębienia był nienaturalnie ożywiony. W ręce ściskał komórkę. Otworzył tylne drzwi i krzyknął:

— Do laboratorium! Natychmiast!

— Co się stało? — wyprostował się Walczak. Nie uzyskał odpowiedzi, bo zmiana powietrza wywołała u Czerskiego lawinę kichnięć. Skalski ruszył z kopyta. Wystawił koguta, przycisnął gaz i krzyknął:

— Mów wreszcie!

— Masz, Walczak, jeszcze tę flaszkę? — zaskoczył pytaniem.

— Skończyła się… W ogóle to mam problem z alkoholem. Zwinęli mojego dostawcę za nielegalne wytwarzanie i sprzedaż.

— Zawsze możesz kupić — zauważył Skalski.

— Kupić to może każdy głupi. Zresztą dbam o reputację państwa. Nie chcę, by ciągnęło korzyści z rozpijania społeczeństwa.

Zadzwoniła komórka Czerskiego. Walczak zdołał zauważyć, że to nieznany numer. Czerski spojrzał na wyświetlacz i przez ułamek sekundy sprawiał wrażenie, że bardzo chce odebrać to połączenie. Trwało to krócej niż mgnienie oka, ale Walczakowi wystarczyło, by wzbudzić jego zainteresowanie.

— Może jednak posłuchacie. — Czerski wyciszył dzwonek, ale nie odrzucił połączenia i podjął wreszcie właściwy temat. Wziął głęboki

oddech ustami, bo nos miał niesprawny. — Po pierwsze, moglibyście włączyć telefony. Nie można się było do was dodzwonić. Po drugie, w laboratorium coś dla nas mają. Jest to nagranie z monitoringu z sąsiedniego biurowca, na którym widać dach RCUS-u. Mają też kartę SD z torebki Zdowackiej z interesującymi plikami audio.

— Będzie film, posłuchamy muzyki, trzeba tylko skoczyć po popcorn! — skomentował Walczak. — Zaprośmy jeszcze Zakutego Łba.

— Ciekawe, czy puszczą nam „Jestem robotem i zapierdalam w sobotę” — zaszydził Skalski.

Czerski już ich nie słuchał. Pośpiesznie odebrał połączenie. Walczak ze zdziwieniem zauważył, jak na twarzy Czerskiego pojawia się ulga i skupienie.

— Mów — rzucił do słuchawki, odwracając się od towarzyszy. — Dopiero po osiemnastej, bo teraz będę zajęty… OK.

Walczak przyglądał mu się uważnie.

— Umawiasz się na wywiad prasowy?

9
17.04, RCUS, biuro dyrektora Szeflera

Donatan Relik wszedł śmiało do gabinetu Maksymiliana Szeflera. Przywitawszy się, przeszedł do razu rzeczy:

— Zgaduję, że masz pewien kłopot.

— Całą furę! Ludzie na urlopach, w areszcie albo w kostnicy… — Gospodarz wykonał zamaszysty gest. — A ponieważ projekt dostaje ostro w dupę, to może i ja sobie teraz wezmę wolne.

— Myślę o Maurze — przerwał mu.

Szefler zamilkł i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Wyglądał bardzo źle. Blada, niemal szara twarz, z przekrwionymi i podpuchniętymi oczami. Sprawiał wrażenie pacjenta świeżo przyjętego do szpitala, którego ktoś przez pomyłkę zamiast w piżamę ubrał w garnitur.

Relik ciągnął:

— Jej strata to prawdziwy cios dla nas. Znaliśmy ją przecież dobrze. A wartość dla firmy? Nie do przecenienia… — zrobił pauzę, bacznie obserwując Szeflera. — I tak sobie pomyślałem o tobie. Musi być ci teraz szczególnie trudno. Nie masz głównego architekta…

— Do czego zmierzasz? — odezwał się wreszcie Szefler, ale wciąż jakiś nieobecny.

— Mam dla ciebie pewną propozycję. — Relik zatarł ręce. — Rozwiązanie, które może ci pomóc. Niektórzy moi ludzie teraz strasznie się nudzą, bo jak wiesz, zerowy budżet to zero pracy. Zajęliby się czymś. A mam prawdziwe talenty!

Szefler otworzył delikatnie usta i powoli językiem zwilżył wargi. Nic nie mówił.

— Aż się palą — ciągnął Relik — by wziąć coś ciekawego i odpowiedzialnego. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Chcesz mi oddać ludzi? Kogoś, kto skutecznie zastąpi Maurę? — otworzył szerzej oczy.

— To nadludzie umiejący ogarnąć rzeczy, na których zrozumienie normalnemu śmiertelnikowi brakowałoby życia!

— To poważna oferta? — zapytał Szefler, nie dowierzając. — Nie robisz sobie jaj?

— Pamiętasz o mojej deklaracji? Mamy układ, nie?

— Mamy — lekko się uśmiechnął. — Dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

— Po to są przyjaciele. Wybiorę ci najlepszych z najlepszych. Damy radę, nie?

Szefler pokiwał głową, a Relik zaczął odwracać się w kierunku drzwi.

— Poczekaj… nie odchodź. — Szefler zamknął powieki i zmarszczył czoło, szukając czegoś w głowie. — Miałem cię zapytać…

— Tak? — Przystanął w pół kroku.

— Już wiem! — Podrapał się po głowie. — Wczoraj na zebraniu… byłeś taki cięty na tę Elkebaum.

— Aaaa… naprawdę? — udał zaskoczenie.

— Delikatnie mówiąc.

— Skoro pytasz, to ci powiem — zawahał się na moment Relik. — Farney mi kazał.

— Co takiego? — Szeflera zamurowało.

— Myślę, że to był taki test na lojalność. Obiecywał, że mi pomoże w karierze, gdy będę go wspierał. Wczoraj poprosił mnie o taki rodzaj przysługi. Dla nas był zupełnie nieszkodliwy, prawda?

— Prawda — wycedził Szefler, patrząc uważnie w jego oczy.

— Warto wiedzieć, co inni knują, nie? Będę cię o wszystkim informował… spokojna głowa.

— A nie wiesz może, dlaczego to zrobił?

— Szczerze, to nie. Nie chwalił się. Masz jakieś podejrzenia?

Zaprzeczył i podziękował. Relik wyszedł.

Szefler zastygł i przez dłuższą chwilę patrzył nieprzytomnie w drzwi. Wstał, chwycił płaszcz i opuścił swój gabinet.

10
17.20, laboratorium kryminalistyki

Na drzwiach do pracowni w laboratorium kryminalistyki ktoś przykleił kartkę: ZARAZ WRACAM. A tak gnali przez miasto! Cały ten wyścig z czasem szlag trafił.

— I co teraz? — wykrztusił Walczak, dysząc ciężko. — Omal duszy nie wyzionąłem. I co gorsza, wytrzeźwiałem do reszty.

— Trzeba poczekać. Tak napisane — zauważył rozczarowany Czerski.

— *Tempus fugit*[2] — skwitował Walczak.

— Gdzie oni poleźli? Na zebranie czy na jakieś żarcie? — zastanawiał się Skalski. — Sprawdziłeś, czy zamknięte?

Czerski nacisnął klamkę i drzwi stanęły otworem. W środku siedziało kilku pracowników.

— Nie przeszkadzamy? — zapytał grzecznie mimo zaskoczenia.

— Owszem, przeszkadzacie… Aaa to pan, panie inspektorze! — Znajomy technik rozpoznał go wśród wchodzących. — Prosimy, prosimy!

— Zapomnieliście ściągnąć kartkę! — zauważył lekko zirytowany Skalski.

— Nie, nie zapomnieliśmy. Od soboty za dużo ludzi zawraca nam tu dupę.

— Ale telefony odbieracie.

— Tylko od was. Inni przeszkadzają w pracy.

— Podobno coś macie.

— Tak. Zapraszam.

Rozsiedli się we wskazanym miejscu. Nie było go zbyt wiele, bo we trzech musieli zbliżyć się do laptopa.

— To nagranie zabezpieczyliśmy w ochronie sąsiedniego budynku. Ustawię wam godzinę i patrzcie tutaj! — Technik wskazał palcem punkt na

ekranie. Obszar pierwszego planu był doskonale widoczny dzięki oświetleniu parkingu. Ale tam, gdzie mieli patrzeć, nie można było niczego dostrzec.

— Ja tu nic nie widzę. Jakiś kontur dachu ledwie majaczy w ciemnościach — poskarżył się Czerski.

— OK. Dajcie chwilę. Materiał jest jeszcze nieobrobiony. Powiększę tylko ten ciemny fragment, podkręcę jasność i kontrast.

Teraz zobaczyli wreszcie poruszające się ciemne, niewyraźne sylwetki. Od czasu do czasu jaśniały punkciki ich papierosów, rozlane niewyraźnie przez efekt powiększenia cyfrowego. W pewnym momencie zajaśniało coś innego, prawdopodobnie w ręku rozmówcy, co przyłożył do owalu głowy.

— To Szefler! Odebrał telefon — zauważył Walczak.

— Wspaniały wzrok. Ja widzę tylko ciemne plamy — skwitował jakość widowiska Skalski.

Postać z urządzeniem oddaliła się i zniknęła w zarysie nadbudówki. Zdowacka została bez towarzystwa.

— Szefie… — rzucił podekscytowany Czerski. — Teraz zobaczymy, czy sama skoczy. Kto się zakłada?

Nie podjęli tematu wpatrzeni intensywnie w wyświetlacz. Na nim pojawiła się nowa sylwetka.

— Podobny wzrost. Może to nawet ta sama osoba — zauważył Skalski.

— Przynajmniej odpadnie paru karzełków — dodał Walczak.

— Albo to olbrzym zbliżający się na kolanach — zakpił Czerski.

Nie było żadnych symptomów wskazujących na nerwowy przebieg spotkania na dachu. Spokojna rozmowa. Po chwili zbliżyli się do siebie i moment później wspólnie przesunęli nieznacznie w prawo. Jedna plamka gwałtownie zsunęła się w dół, przesłaniając cieniem mijane okna.

— Ślubu nie będzie. Wanda nie chciała Niemca — podsumował Walczak.

— Możecie to jakoś poprawić? Tak, żeby było ich widać? — odezwał się wreszcie Skalski.

— Może na filmach akcji takie rzeczy są możliwe — tłumaczył technik. — Ale my, niestety, nie zrobimy z tym zbyt wiele. Zbyt niska rozdzielczość nagrania i efekt kodowania stratnego.

— Mamy go, a jakbyśmy go nie mieli — zmartwił się inspektor.

Technik chrząknął i przerwał im, mówiąc:

— Może rozpoznacie go po głosie. Na karcie SD, którą znaleźliśmy przy tej kobiecie, są nagrania. Zrobiliśmy kopie plików, a oryginały wysłaliśmy do ekspertyzy. Sprawiają wrażenie zarejestrowanych rozmów telefonicznych.

— Czy były na tym nośniku jakieś odciski palców? — odruchowo zapytał Skalski.

— Tak. Ofiary. Innych nie znaleźliśmy — odpowiedział obojętnym tonem technik. — Może z wyjątkiem mikrośladów lateksu.

— Prezerwatywa? — zainteresował się Walczak. — Zaliczyła jakiś numerek przed zgonem?

— Nie było niczego lateksowego wśród zebranych z chodnika rzeczy. Pytajcie patologa o szczegóły fizjologiczne jej ostatnich chwil, bo my się tym nie zajmujemy — doprecyzował, po czym wyłączył film, wybrał nowy plik i nacisnął PLAY.

— Oj tam, zaraz patologia… — zamruczał cicho, zanim z głośników dobyły się pierwsze dźwięki.

Męski głos rozpoznali niemal od razu.

11
18.01, w drodze do firmy RCUS

Sara Skalska odebrała telefon. Dzwonił Skalski, który przyłożył swój aparat do komputerowego głośnika i zapytał, czy rozpoznaje głos. Bez wahania podjęła decyzję o aresztowaniu. Nie było wątpliwości, że Maksymilian Szefler groził Maurze Zdowackiej. Skalskiej jeszcze huczało w głowie ostatnie usłyszane zdanie: „To już twój koniec”. Wkrótce podjechali przed masywny budynek prokuratury. Sama zbiegła do nich ze świeżym nakazem aresztowania. Na sygnale ruszyli do siedziby firmy. Czerski z nimi nie pojechał. Wykpił się tym, że ma trop w sprawie przecieku i chciałby się tym teraz zająć. Skalski, któremu Głowa dorzucił wyjaśnienie również tej sprawy, był zadowolony z tej inicjatywy. Spodziewał się, że tropem jest nadal ta sama dziennikarka, która nieopatrznie wystawiła ich grupę śledczą na nieprzyjemności. Wierzył też w to, że chłopak nie da zrobić z siebie głupca po raz drugi.

A przynajmniej nie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

18.07, bar Błękit Ostyga

Czerski wkroczył do małego baru pewnym siebie krokiem. Bar był równie mały, co dyskretny — światło było mocno przytłumione, a okna zasłonięte ciężkimi kotarami. Większość stolików była ukryta za przepierzeniami lub gęstymi koralami zwisającym z niskiego sufitu. Wewnątrz nie było nic błękitnego, żaden element wystroju nie przywodził na myśl ani ostryg, ani czegokolwiek nawiązującego do morza. Mimo to miał niejasne uczucie, że skądś zna albo ten bar, albo tę nazwę.

Próbował dojrzeć Annę Tores przez nieliczne szczeliny w zasłonach. Kątem oka zauważył kierującego do niego swe kroki barmana. Odruchowo

sięgnął po legitymację, ale uznał, że lepiej nie zostawiać w pamięci barmana tak wyraźnych śladów.

— Co podać? — zapytał barman.

— Piwo bezalkoholowe. Jestem samochodem — dodał usprawiedliwiającym tonem i rzucił tęskne spojrzenie na szeroki wybór piw z całej Europy. — Jestem tutaj z kimś umówiony.

— Mhm — mruknął barman, przelewając piwo z butelki do szklanki. — Jak ten „kimś" wygląda?

— Blondynka, około dwudziestu pięciu lat, szczupła, bardzo ładna, oczy niebieskie, lekko niesymetryczne, wzrost…

— Pan z policji?

— Co?! — Czerskiego zatkało.

— Podaje pan rysopis, jakby czytał z kartoteki policyjnej. — Barman postawił piwo na kontuarze. — Ostatni stolik po lewej stronie. — Wskazał kąt w lokalu.

Czerski podziękował skinieniem głowy i z wyraźnym niesmakiem pociągnął łyk.

Za gęstymi koralami, bokiem do przejścia siedziała Anna. Przed nią stał laptop, obok leżały teczka i jakieś papiery.

— Witaj, Anno…

18.14, w drodze do firmy RCUS

Skalski wyciskał siódme poty z silnika wozu, który już dawno nie zrobił tylu kilometrów na pełnym gazie jednego dnia. Do tej pory uważał się za odpornego na stres i wszelkie naciski, ale to, co teraz czuł, nie przypominało niczego, czego do tej pory doświadczył. Powinien czuć ekscytację, a czuł strach i niepokój — niespotykany dotąd w podobnych okolicznościach. Mieli dowody, mieli nagrania, mieli nakaz. Wszystko jak

należy. Ujmą sprawcę i świat na chwilę będzie bezpieczniejszy. Tylko ten niepokój, który palił gdzieś w środku. Gdzie ma swoje źródło? Szefler wydawał się taki autentyczny podczas krótkiego zeznania. A może przybiła go nie śmierć Zdowackiej, tylko późniejsze wyrzuty sumienia? Pewnie! Z tym wyjątkiem, że seryjni mordercy ich nie mają! Cholerny aktor, oszust! Zastanowił się, czy te obawy to przez respekt dla przeciwnika…

— Walczak, co robił Szefler w dniu i godzinie śmierci de Bugaja? — zapytał głośno, by przebić się przez dźwięk syreny. Hałas nie pomagał w myśleniu.

— Nie pamiętam… Zerknę do notesu. — Zaczął wertować karteczki, a Skalski przypominać. — Już mam. Był w pracy. Wychodził późno.

— A w dniu zabójstwa Osika?

— To samo.

„Wszystko pasuje” dodał w duchu, tylko dalej go coś uwierało. Przecież mnóstwo ludzi spełniało taki warunek. Ale…

— A jeśli tylko wykorzystał sytuację…

— Co masz na myśli? — zapytała Sara, a Walczak spojrzał na niego z zaciekawieniem. — Jaką sytuację?

— Może Szefler nie ma związku z poprzednimi dwoma morderstwami. Jedynie wykorzystał ten fakt. Pozbył się Zdowackiej, a wina spadnie na mordercę de Bugaja i Osika.

— Przeczucie mówi mi, że tak nie jest. — Sara masowała ucho. — Jest zbyt dużo związków między Zdowacką a tamtą dwójką. Ba, jest zbyt dużo związków między wszystkimi ofiarami a samym Szeflerem.

— Szefie — wtrącił Walczak. — Monitoring i rejestratory znów nic nie pokazały… nie wierzę, by było dwóch takich sukinsynów, którzy na zimno planują zbrodnię i mają identyczne sposoby zabezpieczenia się. To musi być ta sama osoba. Musi.

— Tak — zgodził się niepewnie Skalski. — Macie rację. Nie potrafię już myśleć racjonalnie.

Sara zapytała cicho:

— Masz jakieś wątpliwości?

— Nie… — zawahał się. — Nie wiem. Jak pomyślę, ile razy już byliśmy tacy pewni…

— Każdy kiedyś popełni błąd, czegoś nie przewidzi. — Sara ujęła go za prawe ramię. — Może on popełnił go właśnie teraz.

— Chciałbym mieć całkowitą pewność, że to on — mruknął Skalski. — Dość niewinnych osób już aresztowaliśmy.

— A pamiętasz, jak w sobotnią noc chciałeś zamknąć całe kierownictwo? — rzuciła wesoło.

— Byłoby to dobre dla całej ludzkości. — Wysilił się na uśmiech, który nie wyszedł.

— *Salus populi suprema lex esto*[3] — wtrącił z tylnego siedzenia Walczak.

— Zauważyłem, komisarzu, niezwykłą przemianę. — Skalski zerkał w lusterko. — Brak paliwa wpłynął na zmianę twojego dialektu.

— Oj tam! Wiadomo powszechnie, że odcięcie etanolu zapobiega niszczeniu istoty tkanki szarej. Tej słabszej, która powinna naturalnie obumrzeć w procesie ewolucji, odpowiedzialnej również za znajomość języków obcych — odpowiedział Walczak.

— Łacina to język martwy.

— I to się zgadza, szefie. Moje martwe szare komórki są w stanie opanować tylko martwy język.

Sara słuchała ich z niedowierzaniem.

— O czym wy, do cholery, mówicie? Jedziemy aresztować wielokrotnego mordercę być może w waszej najważniejszej sprawie w

życiu, a gadacie coś o łacinie i po łacinie? Jesteście normalni?

— *Ego sum*[4] — dumnie odpowiedział Walczak.

— Skupcie się, do cholery, na robocie!

„Racja” — zgodził się Skalski i zastanowił, dlaczego wysoko postawiony dyrektor firmy zdecydował się zabić swoją podwładną i kochankę? Czy motyw ich bliskości jest wystarczający? Chciała go rzucić? Zdradziła go? Czy wszyscy oni, de Bugaj i Osik, zalecali się do niej i Szefler to odkrył? Jego ego nie wytrzymało i ciach — rzucił ją… czy też nią. Taka hipoteza spinała wszystkie osoby. Ale zabijać tyle osób z powodu zazdrości o kobietę? I to nawet nie o żonę? Mało prawdopodobne. To było dotąd tak wyrafinowane, zaplanowane w szczegółach! Nie robi się tak, kiedy nienawiść przesłania racjonalne myślenie. Chyba że jest się psychopatą. A na końcu dać się podejść? Tak po prostu wyjść z cienia? Jednak nie da się tego wykluczyć z całą stanowczością… kto zrozumie takich dewiantów?

Będą mieć więcej czasu na szukanie dowodów w sprawie de Bugaja i Osika, kiedy morderca trafi do aresztu. Wtedy zejdą mu z głowy zarówno komendant, jak i pani prezydent.

18.21, bar Błękit Ostyga

Czerski patrzył na leżącą przed nim kopertę i słuchał Anny. Nie przerwał jej ani jednym słowem. Opowiadała o każdym znanym jej detalu, tropie, wydarzeniu i podejrzeniu. Ani razu nie musiał jej naprowadzać na właściwy wątek, ani razu nie dała się ponieść emocjom. „To ona powinna być śledczym w policji, nie ja” — pomyślał dość markotnie.

Tores kończyła opowieść.

— …wczoraj, po rozmowie z tobą wysłałam raz jeszcze maila na adres sucr@fmail.ru. Odpisał mi. Tak jak wszystko inne mam to na pendrivie.

Zgrałam całego maila, razem z metadanymi. Nie patrz tak, nie jestem głupią blondynką. To wszystko.

— OK, jeszcze kilka pytań. — Sięgnął do notesu, w którym zrobił kilka zapisków. — Czy ktoś oprócz ciebie dotykał tej koperty lub papierów w środku?

— Tylko ja.

— Czy na klatce w twoim domu jest monitoring?

— Nie jestem pewna, ale chyba nie. Na pewno są kamery obejmujące całe podwórze.

Czerski nie był chętny do oglądania kolejny raz wielu godzin zapisów monitoringu, ale czuł, że nie będzie miał wyjścia.

— Pokażesz mi ostatnie maile z tego serwera?

— Wydrukowałam je. Tutaj. — Podała mu kartkę:

Od: APK748001021
Do: sucr
wtorek, 23:18
Na pewno czytałeś mój artykuł. Daj mi coś jeszcze.

I poniżej:

Od: sucr
Do: APK748001021
wtorek, 23:49
Rano w RCUS. Naostrz laptopa.

— Naostrz laptopa? — zapytał zdziwiony. — Co to za dziwactwo?

— Taka gra słów. Kiedyś dziennikarze pisali piórem lub ołówkiem, które trzeba było naostrzyć. Potem „ostre pióro” było synonimem świetnego dziennikarza.

— No to gratuluję! Masz fana! — Zaśmiał się, ale ona tylko spojrzała na niego ponuro. — Przepraszam. — Zreflektował się poniewczasie i spuścił wzrok.

Tores nie była w nastroju do żartów i przekomarzań.

— Nie pojechałam rano do RCUS-u. Coś się tam stało? — spytała.

— Kolejne morderstwo.

— Co takiego? — Cały jej profesjonalizm opadł wraz ze szczęką.

— Jeden z dość wysoko postawionych pracowników… pracowniczek… została zepchnięta z dachu. Jeśli o tym napiszesz, zostanę zwolniony dyscyplinarnie w trybie natychmiastowym.

18.25, RCUS

Zbliżali się do zjazdu kierującego do biurowców. Drogę ułatwiały zjeżdżające na boki samochody, przypominając Walczakowi Mojżeszową historię o Morzu Czerwonym. Z piskiem opon zatrzymali się przed głównym wejściem. Skalski przeskoczył barierkę systemu zliczającego wchodzących, w przelocie pokazując odznakę zdziwionemu strażnikowi, i wbiegł na schody. Walczak został na straży przy wejściu, obserwując nielicznych wychodzących. Sara skierowała się do pilnującego porządku człowieka, by przekazać mu informację o konieczności zlokalizowania i zatrzymania dyrektora. Chwilę później zdyszany Skalski poinformował przez radio, że Szeflera nie ma w gabinecie. Sara odpowiedziała, że zgodnie z rejestrem wyjść opuścił firmę ponad godzinę temu.

Skalski nakazał zejść Walczakowi do podziemnego garażu i upewnić się, że samochód podejrzanego na pewno odjechał. Nie chciał niczego przegapić. Strażnik szybko sprawdził numer miejsca należący do Szeflera i skierował Walczaka w podziemia.

Skalski próbował uspokoić oddech, który rozrywał mu płuca. Starał się poskładać myśli i zaplanować na szybko jakieś działania. Zauważył, że wszystkie miejsca biura były wyjątkowo opustoszałe. Nie odnajdywał wzrokiem żadnej postaci. „Gdzie się wszyscy podziali?” — zastanawiał się. Wszedł do pierwszej napotkanej alejki i usiadł w fotelu obrotowym, zajmując czyjeś miejsce. Monitor był wygaszony, na stole walały się wydruki, stała brudna filiżanka po kawie. Pod blatem leżały schodzone kapcie.

Skalski zdecydował się zadzwonić do podejrzanego. Nie powinien przecież jeszcze o niczym wiedzieć. Po kilku sygnałach połączenie zostało odrzucone. Spróbował jeszcze raz i usłyszał, że abonent jest niedostępny. Szlag! Szefler musiał właśnie wyłączyć natrętnie dzwoniący telefon. To uniemożliwi jego namierzenie. Mimo to zadzwonił do techników z poleceniem ustalenia ostatniej lokalizacji jego telefonu.

Minutę później Walczak nadał z podziemnego parkingu, że samochodu Szeflera nie ma. Skalski był zafrasowany. Co robić?

I zdecydował.

18.41, bar Błękit Ostyga

Tores wyjęła wydruk z rąk Czerskiego i popatrzyła ponownie na tę krótką wymianę zdań.

— Ale to znaczy… to znaczy…

— Tak. To znaczy, że korespondowałaś z mordercą.

— Ależ on wie, gdzie ja mieszkam! — niemal to wykrzyczała. — A jeśli uzna, że wiem za dużo? Albo że mu zagrażam? Zabił już dwoje… nie, troje!

— Uspokój się. Nic ci nie grozi. Skalski właśnie ma go aresztować.

— Co? Jak to? Naprawdę? Kto to?

— Maksymilian Szefler, jeden z najwyżej postawionych menedżerów w firmie. Miał szansę zostać prezesem.

— Ale dlaczego? Po co?

— Nie wiem, naprawdę. Dowiedzieliśmy się przed mniej niż godziną. Mamy przeciwko niemu mocne dowody na dzisiejsze morderstwo. A te materiały — wskazał na kopertę i wydruki — będą go obciążać w sprawie de Bugaja i Osika. Powinienem teraz powiedzieć: „Bardzo nam pani pomogła w ujęciu sprawcy”.

— A ja, że to mój obywatelski obowiązek. — Skrzywiła się kwaśno.

Czerskiemu tłukła się w głowie formułka: „Bardzo nam pani pomogła w ujęciu sprawcy”. „…w ujęciu sprawcy…”

— Anno, mam pomysł… tylko wysłuchaj mnie do końca. — Jego oczy zaświeciły się jak wilkowi. — Wiem, jak przywrócić ci szacunek środowiska… Wysłuchaj mnie, proszę! — Złapał ją za rękę.

— Mów — odparła nieco rozczarowana.

— Zrobimy tak… Kiedy to wszystko się skończy, prokuratura na pewno zorganizuje konferencję prasową. Wówczas przedstawimy twój artykuł i rzekomy przeciek jako pułapkę przygotowaną przez policję i redakcję twojej gazety… albo przez ciebie, pomińmy gazetę. A wszystko po to, by morderca się z tobą skontaktował, co pozwoliło dzielnej policji namierzyć nadawcę.

— Co ty gadasz?! — żachnęła się Tores. — Przecież sam jesteś na cenzurowanym, a chcesz z taką bajeczką startować?

— Słuchaj! — Czerski ujął ją za ręce, a w jego oczach pojawił się żar. — Policja nie ma najmniejszego powodu, by srać we własne gniazdo i próbować udupić któregoś ze swoich. To fatalnie wpływa na jej wizerunek. Podobnie prokuratura, też wolałaby udzielać akredytacji zaufanym dziennikarzom… Zwłaszcza tym, którzy są gotowi narażać własne życie w

celu ujęcia groźnego mordercy. A najlepsze… — Rozległ się przytłumiony dzwonek jego telefonu. — A najlepsze jest to, że od strony prokuratury… — Wyciągnął go i spojrzał na ekran: Walczak — …śledztwo prowadzi Sara Skalska, dobra przyjaciółka naszego Skalskiego i Walczaka. — Pokazał jej ekran wciąż dzwoniącego telefonu. — Na pewno powie, że tak było. Już po wszystkim.

— Mój ty wilczurku…

W Annie Tores odżyła nadzieja. Jeśli naprawdę prokuratura i policja tuszują takie wpadki, a zapewne tak robią, to ten żałosny spisek rzeczywiście może się udać.

— Komisarzu Walczak! — wykrzyknął radośnie Czerski do słuchawki. — Gratuluję aresztowania potrójnego mordercy!

— Chuja tam, a nie aresztowania. — Walczak nie przebierał w słowach. — Szefler zniknął! Słyszysz? Znów nurkujemy w szambie. Zarządzamy pościg, więc bierz dupę w troki, marsz do wozu i w miasto! Jedź do domu Szeflera, spotkamy się tam.

— Tak jest! — przytaknął i zwrócił się do Anny: — Mam rozkazy. Muszę uciekać.

— Co się dzieje?

Nie odpowiedział. Wybiegł z restauracji. Na stoliku zostały wszystkie dokumenty, po które przyszedł.

12
20.01, park miejski

Maksymilian Szefler nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu czuł się tak podle. Nie był przygotowany na tak niekorzystny rozwój wypadków ani na polu zawodowym, ani tym bardziej w sferze uczuć. Strata Maury dotknęła

go bardziej, niż mógł się spodziewać. To było naprawdę zaskakujące spostrzeżenie, ale świadomość tego wcale nie poprawiała mu nastroju. „Czyżbym posiadał jakieś sumienie i prawdziwe uczucia?” — przemknęła mu przez głowę drwiąca myśl. „A może to tylko poczucie porażki, że wszystko sprzysięgło się przeciw mnie?”

Włóczył się po parku, czekając na chwilę, w której mrok nadchodzącej nocy pochłonie go całkowicie. Jakby się chciał schować przed światem pod ciemną zasłoną smutku. Mijane alejki, podpici ludzie czy biegnący po zdrowie nie istnieli w polu jego widzenia. Ani kałuże, po których śmiało stąpał. Jego strapiona dusza katowała się ciągłym roztrząsaniem ostatnich dni. Postanowił nie wracać do domu. Nie wytrzymałby tego… kolejnej dzikiej awantury, wyrzutów… o nie! Byłoby tego po prostu zbyt wiele jak na jednego człowieka. Dziś byłby zdolny zrobić najgorsze rzeczy!

W jakże krótkim czasie nikczemny los wyrywał mu wszystko, do czego latami dochodził z takim trudem. Nie tylko dorobek życia, lecz także serce. I wszędzie te sępy, co czekają, by wyrwać coś jemu… albo z nim. Nawet taki Aivar okazał się draniem, który szuka sposobności wzbogacenia się na plecach jego kariery. Nawet on! Nie jakiś Bernard Farney, Lucjan Frost czy Zuza Elkebaum, którzy nigdy nie chowali się za maską obłudnej życzliwości. Przynajmniej byli szczerzy w swej niechęci. Nigdzie wokół nawet krzty uczciwości, szlachetności, żadnego światła. Wszędzie tylko chciwość. Oto rzekomi przyjaciele okazują się cynicznymi samolubami kierującymi się wyłącznie własnym interesem. A najgorsze, że stawał się, a może już się stał, tacy jak oni. Ta sama liga. Nie ma co udawać świętego!

„Stałem się ofiarą własnego sukcesu… a teraz spadam!” — pomyślał. Bez głównego architekta, menedżerów i sprawnych rzemieślników stał się bezsilny. Zdawał sobie sprawę, że ani Donatan Relik ze swoją propozycją pomocy, ani prezes Aivar ze swoim wsparciem nie znaczą nic w obliczu

faktów. Straty w ludziach, prestiżu, morale i pasma afer. Katastrofa była nieunikniona. Jedyna opcja to ocalić wszystko to, co tylko możliwe. Czy tak miał wyglądać sukces jego marzeń? Zamiast wspaniałego rozkwitu przedsiębiorstwa miał jako jego prezes rzucać szalupy ratunkowe? I patrzeć, jak „Titanic” tonie? Do tego aspirował? „Niezły żart” — zaśmiał się gorzko.

Wreszcie znalazł pustą ławkę schowaną pod rozłożystą wierzbą. Tam spoczął. Miał idylliczny widok na przepływającą u jego stóp rzekę, po której błyskały odbite światła latarni stojących na drugim brzegu. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza butelkę zawiniętą w papier. Zdjął zakrętkę i pociągnął palący łyk. Oczy zaszły mu łzami.

— Żegnaj, Mauro — wyszeptał. — Spójrz, dziś księżyc już nie świeci… Oto nad światem wezbrały czarne chmury.

Przypomniał sobie jej twarz. Jej mądre oczy. Brakowało mu tej nieuchwytnej chwili, w której czułby jej żywą obecność. Jedyna osoba na świecie, do której mógłby się zwrócić w tak trudnej dla niego chwili. Ale to właśnie jej nie było. Bo chciwe zło pochłania z lubością niewinnych. Mauro! Co się z tobą stało? Zakrył oczy w rozpaczy. Bez niej wszystko inne przestawało istnieć.

13
20.02, ulica przed domem Szeflera

Czerski skręcił w ulicę, przy której mieszkał Maksymilian Szefler. Bogata dzielnica, zamożne, chociaż niewielkie domy, siedemdziesięcioletni strażnik przy wjeździe na osiedle. Przejechał powoli. Minął dom poszukiwanego dyrektora. Wszystkie światła zgaszone.

Na skrzyżowaniu przy końcu ulicy zauważył znajomy wóz.

Zaparkował za nim i przesiadł się do samochodu Walczaka.

— Co u twojej dziewczyny? — zapytał Walczak, przyglądając się przejeżdżającej taksówce. Gdyby Szefler podjechał swoim autem przed dom, byłby skończonym idiotą. Gdyby podjechał taksówką, byłby idiotą zwykłym.

— W porządku, trzyma się. Jest twarda, bardzo twarda…

— To dobrze. — Głos Walczaka był zaskakująco ciepły i bez typowej dla niego złośliwości. — Rozegraj to dobrze, chłopcze, a będziesz dla niej prawdziwym rycerzem na białym koniu.

— Jasne… — Czerski był zmieszany tą zmianą podejścia.

Milczeli. W pobliżu nich zaparkował samochód. W środku siedziała para w średnim wieku. Nie opuścili samochodu. Chwilę potem podjechał kolejny, tym razem prowadzony przez kobietę. Po zaparkowaniu uchyliła okno i paliła papierosa.

— Nigdy się nie ożeniłeś… — ni to zapytał, ni stwierdził Czerski.

— To tak widać? — zarechotał Walczak, ale zaraz spoważniał. — Nie, nie byłem żonaty.

— Dlaczego nie? Przecież… przecież…

— Przecież zrzuciłem sutannę? Przestałem być księdzem?

— Właśnie… nie jesteś już księdzem, śluby cię nie obowiązują.

Walczak znów zarechotał, a Czerskiemu wydało się, że był to śmiech nieco wymuszony.

— Zależy, jak na to patrzeć. Po prawdzie jedynie Bóg mógłby mnie z nich zwolnić…

Czerski czuł, że ta rozmowa nie jest czymś, o czym Walczak marzył. Poczuł się niezręcznie.

Tuż przed nimi ostro zahamował i zaparkował drogi SUV. Widzieli, jak w środku mężczyzna i kobieta ostro gestykulują. Kłócili się ze sobą.

— Widzisz, Czerski… — odezwał się niespodziewanie Walczak, patrząc na tę kłótnię — kiedy bierzesz ślub, składasz przysięgę dozgonnej miłości i wierności. Stojąc przed ołtarzem czy przed mistrzem ceremonii, głęboko wierzysz w to, że wypełnisz ją co do joty, wierzysz, że przysięga jest świętością, jest najważniejszymi słowami, jakie możesz złożyć wobec kochanej osoby, świadków, i, jeśli wierzysz, wobec Boga. Wierzysz, że nigdy jej nie złamiesz, że nigdy nie dojdzie do sytuacji, w której będziesz chciał lub będziesz musiał ją złamać.

— A ty… — rzekł cicho Czerski — ty złamałeś śluby. Odszedłeś ze stanu kapłańskiego.

— Tak. Złamałem śluby. Rezygnacja ze stanu kapłańskiego była tylko skutkiem. Wcześniej złamałem śluby posłuszeństwa. Powiedz mi, przyjacielu, czy ktoś, kto łamie tyle ślubów, jest godzien, by składać kolejny? Ile jest warte jego słowo?

Z pobliskiego kościoła wybiegły dzieci. Kilkoro z nich ruszyło do zaparkowanych samochodów, inne rozeszły się po wszystkich uliczkach. Do zaparkowanego pojazdu zbliżała się dziewczynka o długich włosach i głębokich czarnych oczach. Widząc kłócących się rodziców, zwolniła kroku, a jej oczy wypełnił smutek.

Czerski zauważył, jak Walczak zmrużył oczy i zacisnął ręce na kierownicy, aż mu knykcie pobielały.

W drzwiach kościoła pojawił się młody, uśmiechnięty ksiądz, otoczony wianuszkiem równie roześmianych dzieci. Coś do nich mówił, a one radośnie się z nim żegnały.

— Gdybyś nie złamał ślubów — Czerski pogubił się zupełnie, patrząc na tę idylliczną scenę — to mógłbyś teraz żyć spokojnie na jakiejś parafii… Może w jakimś zadupiu, ale spokojnie. Przygotowywałbyś dzieci do

sakramentów, odprawiał msze. Nie musiałbyś się uganiać za przestępcami, pomagałbyś ludziom w ich potrzebach…

— Zaraz po seminarium duchownym — przerwał mu gwałtownie Walczak — przydzielono mnie jako wikarego do małej wiejskiej parafii. Wiesz, jeden kościół, mała szkoła, dwa bary, wszyscy się znają, wszystkim rządzą wójt i proboszcz. Robiłem, co do mnie należało, głęboko wierzyłem w swoją posługę, w całą tę teologiczną hierarchię. Zacząłem w okolicach świąt wielkanocnych, zaraz potem przygotowywałem dzieci do pierwszej komunii. Krótko po tej komunii do mojego konfesjonału przyszła jedna z komunijnych dziewczynek. Wyspowiadała mi się, że ojciec ją molestuje… Obiecałem, że się tym zajmę i nikt już nigdy jej nie skrzywdzi.

Ksiądz zniknął w drzwiach kościoła, zamykając je starannie za sobą, a dzieci wesoło popędziły do domów.

— Pierwsze, co zrobiłem, to poszedłem do proboszcza. I tutaj zderzyłem się z niepojętą wtedy dla mnie obojętnością. Proboszcz lekceważąco zarzucił temu dziecku konfabulację, a mnie zabronił drążyć temat. Zupełnie to zignorował… Byłem w rozterce.

— I co dalej? — ciągnął go Czerski za język.

— Minęło trochę czasu, nim zdecydowałem się iść z tym do kurii. A tam było jeszcze gorzej. Interesowało ich jedynie to, że chodzi o ojca, a nie o proboszcza. Oświadczyłem wówczas, że pójdę z tym na policję. Wtedy przypomniano mi, czym jest tajemnica spowiedzi, i ostrzeżono, że może mnie to dużo kosztować. Dostałem oficjalny kościelny zakaz zajmowania się tym… incydentem. A musisz wiedzieć, że posłuszeństwo wobec przełożonych to jedna z najważniejszych zasad. Samo to, że nie posłuchałem proboszcza i wbrew jego poleceniom udałem się do kurii, odebrano jako bunt. Jak w tej sytuacji miałem stanąć w obronie najsłabszych? — Westchnął, a w oczach lekko zabłyszczały mu łzy. —

Dziewczynka nadal przychodziła co niedzielę do kościoła i wołającym wzrokiem pytała, kiedy jej pomogę. Wreszcie porozmawiałem z ojcem dziecka… Ten oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, zakrzyczał mnie, zagroził sądem i sprawą o zniesławienie. Mimo że rozmawialiśmy na osobności, to już następnego dnia proboszcz zrobił mi awanturę. Po kilku dniach z kurii dostałem zakaz spowiadania i kontaktów z wiernymi. Dostosowałem się. Usłuchałem hierarchii, usłuchałem systemu, zaufałem opatrzności… Dwa miesiące później… Nieszczęśliwy wypadek, mówili… Zabłądziła, wracając od koleżanki i… Utopiła się w studni.

Walczak zamilkł i zaczął ciężko oddychać.

Cisza dzwoniła Czerskiemu w uszach.

— Swoją drogą, ciekawe, czy ruszyło ich sumienie. Proboszcz przestraszył się i starannie mnie unikał. Znienawidziłem ich wszystkich. Bojąc się mojej reakcji, przenieśli mnie do innej parafii. Tego nie udało mi się ani zapomnieć, ani wybaczyć; ani sobie, ani tym tam. Rozgrzeszenie nie pomogło, Czerski. Zacząłem pić. Niecały rok później, jeszcze przed następnymi komuniami, zrzuciłem sutannę… — Przetarł oczy: — Służba ludziom to mój obowiązek. Teraz mam dość kompetencji i swobody, by nie zawieść niczyjej nadziei.

14
21.56, park miejski

Szefler był nieuchwytny. Nie było go ani w pracy, ani w domu, ani u znajomych. Nigdzie. Przepadł jak kieliszek wódki wśród fal Atlantyku. Tuż przed wpół do dziesiątej Skalski podjechał po partnerów i zwolnił ich z obserwacji. Czerski zmył się, przepraszając niezręcznie. Walczak zaś dosiadł się, lecz zajął miejsce z tyłu, by móc wyprostować nogi.

Wreszcie jeden z rutynowych patroli doniósł, że samochód Szeflera stoi zaparkowany w pobliżu szkoły, tuż obok parku miejskiego. Jest trop! Zawrócili gwałtownie na ulicy w niedozwolonym miejscu, wzbudzając powszechne oburzenie kierowców. Nie zwracali uwagi na ich klaksony i środkowe palce wyciągnięte w znanym na całym świecie geście dezaprobaty.

Park miejski! Trzeba tam rzucić wszystkie siły i środki. „Przydadzą się psy tropiące” pomyślał i wydał przez radio odpowiednie dyspozycje.

Z radia płynęły meldunki o patrolach zajmujących pozycje wokół parku. Nakazał im wyłącznie obserwację. Pomyślał, że może kieruje nim małostkowość, ale chciał dokonać tego aresztowania osobiście.

— Centrala do dwójki — wykrzyknęło policyjne radio. — Laboratorium do was! Pilna sprawa, powtarzam, pilna sprawa!

— Przyjąłem! — potwierdził Skalski, mając przed sobą ostatnią prostą — Połączcie ich, tylko szybko!

— Już? — Poznali lekko zniekształcony głos technika. — Panie inspektorze… Jest sprawa.

— Słucham.

— Wyciągnęliśmy z roztrzaskanego smartfona ofiary kolejne nagrania.

— Z telefonu?

— Zgadza się. Chcieliśmy ustalić, czy te rozmowy, cośmy ich u nas słuchali, nagrała tym właśnie aparatem. No i tam, w pamięci wewnętrznej tego urządzenia, coś znaleźliśmy. Plik był uszkodzony, ale to nie był dla nas żaden kłopot.

— Coś ważnego?

Walczak klepnął go w ramię i wskazał na jakiegoś pajaca machającego gwałtownie rękoma. Zjechał na pobocze, widocznie mundurowy rozpoznał ich samochód i chciał, by się tutaj zatrzymali.

— Nagrały się ostatnie minuty jej życia. Miała włączoną aplikację dyktafonu.

— I co? — Serce waliło mu niemiłosiernie, jakby spodziewając się jakiegoś zagrożenia.

— Tam na dachu były jednak trzy osoby, nie dwie.

— Co, kurwa?

Walczak spojrzał na niego z zaskoczeniem, które szybko przerodziło się w zrozumienie. Z rezygnacją wyciągnął się na fotelu i przymknął oczy.

— Ten trzeci był obecny aż do jej śmierci. Nagrana rozmowa jest niewyraźna, bo wiało i przeszkadzał szum wiatru. No i smartfon był najpewniej schowany w torebce, bo jak ją otwierała, to przez moment było lepiej słychać.

— Streszczaj się! — Tym razem Skalski szturchnął Walczaka, polecając mu wyjść. Sam zaczął się gramolić z lewej strony.

— Najpierw mówiła osoba, którą podejrzewacie. Potem odeszła i pojawił się ktoś inny. Jak w nagraniu wideo. Bez dodatkowej obróbki nie powiemy teraz, o czym mówili, ale analiza porównawcza kilku ledwie słyszalnych głosek wykazała dużą odrębność cech. Mówiąc wprost: to z pewnością ktoś inny. Ktoś trzeci.

— Powtórz, że to pewne.

— Wysoce prawdopodobne. Dla sądu pewne.

— Dzięki, kurwa!

Walczak nie wytrzymał i zaczął kopniakami okładać oponę, krzycząc cicho:

— Kurwa, kurwa, kurwa! — po czym wsiadł wyczerpany do samochodu.

Widząc, że pierwsze emocje minęły, ostrożnie podszedł do niego mundurowy. Jego podniecenie zeszło z twarzy, kiedy zobaczył zrezygnowaną minę Skalskiego.

— Panie inspektorze… zlokalizowaliśmy poszukiwanego… jest na ławce w alejce obok obserwatorium.

— To świetnie, chłopcze, to świetnie… masz radio?

— Mam!

— To nadaj do wszystkich, że akcja odwołana.

— Słucham?

— Akcja odwołana. Nadaj do wszystkich. — Odwrócił się i wsiadł do samochodu, zostawiając otwarte drzwi.

Mundurowy odszedł parę kroków, mówiąc coś przez radio; najpierw spokojnie, potem z przejęciem, aż w końcu w wyraźnych nerwach. Z dobiegających niewyraźnych słów można było rozróżnić tylko „odwołana”, „Skalski” i „kurwa”.

W końcu Walczak złapał nadajnik i przeciął wszelkie spekulacje.

— Tutaj komisarz Walczak, potwierdzam, akcja odwołana. Idźcie do domu, chłopcy…

Przyzwyczajenie kazało mu wyjąć swoją piersiówkę. Popatrzył na nią ze smutkiem i schował, nawet nie odkręciwszy. Od dłuższego czasu była pusta.

— Co teraz? — zapytał.

Może to dziwne, ale Skalski poczuł pewien rodzaj ulgi. Sięgnął po telefon.

— Musimy powiadomić Sarę.

Chwilę później z głośnika telefonu popłynął jej głos.

— Macie go?

— Szefler jej nie zepchnął — westchnął Skalski i zrelacjonował wieści z laboratorium.

— A co z tym głosem z karty SD? — Sara najwyraźniej nie chciała się pogodzić z rzeczywistością. — Przecież to bez wątpienia głos Szeflera.

Groził jej!

— Może się kimś posłużył, by zrobił to za niego? — podsunął Walczak.

— Człowiek od czarnej roboty? Że niby na wariografie dyrektor powie, że to nie on, a my to łykniemy? — pytała.

— Kto wie? — odpowiedział pytaniem Walczak. — Jeśli planujesz morderstwo, to wynajmij kogoś. W ten sposób ty masz czyste ręce, a on czyste sumienie.

Skalski zastanowił się na moment i zarzucił:

— Daje mi to do myślenia. To, co powiedzieliście, i ta sytuacja na dachu…

— Mów jaśniej — poprosiła zmęczonym głosem.

— Szefler ma jakieś kłopoty z żoną, nie?

Cisza. Słuchali, więc inspektor mówił dalej:

— Załóżmy, że ma ona w tym swój udział.

— W jaki sposób? Po co? — zapytała.

— Chce mu zaszkodzić w pracy, co, jak widać, udaje się znakomicie, albo tylko zdyskredytować, a może zagarnąć majątek, kto wie? Wszystko to, by zemścić się za zdrady. Całość jakoś się układa, nie? I ma kogoś wewnątrz, kto działa na jej zlecenie. Zauważcie, że Szefler dostaje telefon od żony w określonym momencie, jakby na zamówienie. Ciekawe, czy tuż przed tym sama nie dostała od kogoś sygnału.

— Sprawdzimy jej bilingi — zgodziła się Sara. — Wydam dyspozycje z samego rana. Ale wciąż nie pasuje mi ta nagrana groźba na aparacie Zdowackiej.

— Istotnie, komplikuje to całą historię… — Skalski wyglądał, jakby bolał go trzonowiec.

— Tak czy inaczej, znowu daliśmy ciała — podsumowała.

Jej kariera też wisiała na włosku.

Skalski wyskoczył nagle z samochodu i zatrzymał odjeżdżającego policjanta. Walczak widział, jak ten wskazuje ręką jakiś kierunek w parku.

— Chodź, Walczak. — Wyciągnął starego przyjaciela z samochodu. — Po kogoś w końcu tu przyjechaliśmy…

Z łatwością znaleźli stary budynek obserwatorium. Na pobliskiej ławce, skulony, spał dobrze ubrany mężczyzna. Przy ławce leżała butelka po whisky. Walczak fachowo ocenił, że trunek w tej jednej butelce był wart więcej niż we wszystkich innych parkowych flaszkach razem wziętych.

— Panie Maksymilianie… — potrząsnął śpiącym Skalski. — Pomożemy panu trafić do domu. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie.

---

[1] *Errare humanum est* (łac.) — Błądzić jest rzeczą ludzką.

[2] *Tempus fugit* (łac.) — Czas ucieka.

[3] *Salus populi suprema lex esto* (łac.) — Bezpieczeństwo jest najwyższym prawem.

[4] *Ego sum* (łac.) — Ja jestem.

Rozdział 11

Dzień sprintu 9/10. Czwartek

1
8.35, RCUS, parking podziemny

Robert zatrzymał samochód na swoim miejscu parkingowym. Wokół niego było zaskakująco wiele wolnych miejsc. Przypomniał sobie wczorajszego maila od zarządu, w którym ten prosił o zachowanie spokoju i rozwagi. Po tym mailu, chyba celowo wysłanym tak późno, aby opóźnić reakcję zespołów, sam się zastanawiał, czy nie powinien pracować w domu. Postanowił jednak wziąć sprawy w swoje ręce i pożyczył od brata teleskopową pałkę, która świetnie mieściła się w plecaku z laptopem.

W pobliżu zatrzymał się samochód na obcych numerach rejestracyjnych. Poczuł pewną ulgę, że nie będzie musiał sam iść przez parking. Zapalił światło w aucie, aby i tamten go zauważył, po czym wysiadł.

Znał chłopaka z widzenia, pomachał mu z daleka. Tamten przyjrzał się i niezgrabnie uniósł plecak przed sobą.

— Cześć! — krzyknął Robert.

— Cześć! — odpowiedział znajomy nieznajomy.

— Kolejny wspaniały dzień w pracy, co? — próbował zagadać Robert.

Chłopak wreszcie go poznał i odetchnął z wyraźną ulgą. Zarzucił plecak na ramię, chowając jednocześnie coś w kieszeni.

— A tego tam znasz? — zapytał, wskazując osiłka, kręcącego się gdzieś daleko pomiędzy samochodami.

— Pewnie nowy ochroniarz. Od dziś wszędzie ma ich być pełno. To dla naszego bezpieczeństwa.

2
9.01, komenda policji

Po krótkiej odprawie w sali prócz Skalskiego zostali tylko Walczak i Sara Skalska, która przybyła gościnnie. Czerski nie zjawił się w biurze i nie odbierał telefonu, co nieco ich niepokoiło.

— Proszę, oto wstępne informacje z najlepszego laboratorium w mieście. — Skalski zażartował, rozdając zszyte wydruki. — Nad ranem zakończyli część badań fonoskopijnych. Teraz pracują nad raportem, ale wyrwałem im to, co już mieli.

Oparł się o biurko i ciągnął:

— Wyniki to kompletne zaskoczenie. Powinniśmy się już przyzwyczaić, że każdy dzień przynosi zmianę kursu o sto osiemdziesiąt stopni. Jednak tym razem mam pomysł na przejęcie inicjatywy w tej grze. Muszę to pilnie z wami przedyskutować. Tylko z wami. Ale o tym później, zacznijmy od ustaleń.

Walczak ziewnął, nie zaglądając nawet do akt, a Sara schowała swoją kopię wprost do torebki.

— Najpierw o tym, na co mieli więcej czasu, czyli karta SD. Napisali tutaj, że nagranie na niej nosi znamiona fałszerstwa. Jest ich tak wiele, że wskazuje to na osobę niezajmującą się tym zawodowo. Użyto do tego prostego oprogramowania. W skrócie… przeczytam tylko fragmenty zaznaczone markerem. — Pokazał palcem na swój wydruk. — Cytuję: „[…] na sonogramach odnaleziono wyraźne ślady montażu nagrania […] zachowały się resztkowe sygnały tła, które były nieskutecznie tłumione i

dodatkowo zagłuszone głośnym, sztucznie dodanym szumem białym o stałej amplitudzie. Wyizolowano sześć różnych środowisk, w których dokonano rejestracji wypowiedzi użytych do złożenia badanego materiału. Potwierdzono to również metodą analizy echa i tłumienia pogłosu zapisanych sygnałów akustycznych w każdym z tych miejsc […]. Zaobserwowano, że intonacje fraz wewnątrz wypowiadanych zdań nie współgrały z ciągłością wypowiedzi […], miejscami zanotowano nienaturalny przeskok częstotliwości tonu krtaniowego i utraty jego fazy […]. W zdaniach 4, 8, 9 wyraźnie odznacza się niespójność emocjonalna mówcy […]. Laboratoryjne badanie porównawcze zaprzecza tezie, że urządzeniem rejestrującym był znaleziony smartfon ofiary zdarzenia. Do eksperymentu użyto takiego samego modelu urządzenia, który w komorze bezechowej rejestrował serię sygnałów testowych. Składały się one z elementów ludzkiej mowy (tabela 2), sygnałów środowiskowych (tabela 3) oraz wybranych kombinacji obu (tabela 4). Parametry tych nagrań uwypuklają charakterystyczne działanie wokodera mowy, filtrów korektora graficznego oraz wpływu algorytmów tłumienia sygnałów niepożądanych. W tabeli 6 zaprezentowano najważniejsze różnice pomiędzy wynikiem eksperymentu a utrwalonym na karcie SD nagraniem […]”.

Rozejrzał się po nich, czekając na komentarz.

— O co tu chodzi? — Bezradny Walczak zerkał to na Skalskiego, to na Sarę. — Karta SD ze zmontowanym materiałem na Szeflera w torebce Zdowackiej… Chciała go załatwić, wrobić czy co? — Bezskutecznie usiłował znaleźć powody tłumaczące fakty.

— Po co nosiła tę kartę ze sobą? Czyżby chciała mu ją wręczyć na dachu? — zastanawiała się głośno Sara. — Szantażować fałszywką? Bez sensu.

— Nie roztrząsajmy tego teraz — uciął Skalski. — Bo ważniejsze wydaje się nagranie audio odczytane wprost ze smartfona ofiary. — Podjął kolejną kartkę za stołu. — Oto stenogramy i niekompletny jeszcze wynik podobnej analizy fonoskopijnej. Nieoficjalnie mam potwierdzenie autentyczności nagrania. Żadnych śladów manipulacji, jest ono ciągłe i stanowi jedną całość. Niestety, sporo jeszcze muszą się chłopaki nad tym nabiedzić, by zamknąć raport.

— Co się zarejestrowało? — zapytała zniecierpliwiona Sara.

— Mamy stenogram rozmowy Zdowackiej z Szeflerem. Tam potwierdza się właściwie wszystko to, co nam zeznał.

— Punkt dla niego — przyznała.

— A teraz ta mniej pozytywna wiadomość — ostrzegł. — Zapis tego, co mówił nasz tajemniczy gość na dachu, według tych papierów mężczyzna, jest mocno podziurawiony.

— Skąd taki problem techniczny? — dociekała.

— Smartfon był schowany w torebce, wiał wiatr i na nieszczęście potencjalny sprawca mówił zbyt cicho. Dlatego jakość tego jest kiepska. Zrozumiałe są głównie słowa ofiary i zaledwie kilka fragmentów zdań podejrzanego. Cóż, laboratorium robiło, co mogło. Istnieje szansa, że jeszcze coś znajdą, bo z tym nie skończyli. Pozwolę sobie zacytować zidentyfikowane wypowiedzi, pomijając znaczniki czasu i detale techniczne:

[Zdowacka] A, to ty. Piękna noc, tylko zimna.

[Podejrzany niewyraźnie, przeciągnięta głoska „a”]

[Zdowacka] Jutro ma padać, zapowiadają burze.

[Podejrzany] Ma.

[Zdowacka] Tak?

[Podejrzany niezrozumiale]

[Zdowacka] Masz coś dla mnie? Co takiego?

[Podejrzany] Nagranie z targów… [długa wypowiedź, niezrozumiała]

[Zdowacka] Inni menedżerowie już to widzieli?

[Następuje chwilowa zmiana dźwięku otoczenia, głośny szelest, szum wiatru silniejszy, fragment wypowiedzi podejrzanego] Jeżeli [niezrozumiałe] to lepiej [niezrozumiałe] nie pokazywać. [niezrozumiałe] to mogłoby ich dobić [niezrozumiałe]

[Dźwięk otoczenia powraca]

[Zdowacka] Nielegalnie zdobyte?

[Podejrzany niezrozumiale]

[Zdowacka] OK. Przejrzę na prywatnym laptopie, by nie zostawić śladu.

[Podejrzany niezrozumiale]

— Chcesz nam powiedzieć, że mamy nagrany JEGO głos? — Sara energicznie zerwała się z miejsca, szurając głośno krzesłem.

— Tak, Saro! Głos jednego z menedżerów. Wszyscy wiemy, co to znaczy — chrypnął, bo zaschło mu w gardle po recytacji.

— To jedźmy pobrać próbki ich głosu — ucieszył się Walczak. — Znajdziemy sukinsyna i dla pewności podłączymy pod wariograf. I może pod pantograf?

Ożywili się i byli bliscy euforii. Skalski gestem poprosił o zachowanie spokoju.

— Pozwólcie mi jednak powstrzymać waszą uzasadnioną radość i nieco ostudzić emocje. Wiem, że to jakby przełom w sprawie, ale chciałbym wam jeszcze zadać kilka ważnych pytań i poprosić o opinię w pewnej istotnej sprawie. I to zanim zaczniemy się przekrzykiwać, wyciągać szable i ruszać Wiedniowi z odsieczą. I gdzie, do cholery, jest Czerski?

3
9.10, sala konferencyjna RCUS-u

— Witam na naszym nadzwyczajnym zebraniu, które, obiecuję, nie będzie długie. — Prezes Gabriel Aivar rozpoczął spotkanie, cedząc ostrożnie słowa. Wokół stołu zebrali się trzej dyrektorzy techniczni: Szefler, Farney i Relik, kadrowa Elkebaum oraz pełniąca obowiązki dyrektora działu finansów Reshke.

— Odbywa się ono ostatni raz w tym gronie. — Zamilkł na chwilę, obserwując siedzących wokół ludzi. Na oczach wszystkich malowało się zaskoczenie. — Otrzymałem — kontynuował — list od zarządu, w którym dziękują mi za współpracę, za lata poświęceń i proszą, by w świetle ostatnich wydarzeń rozważyć przyspieszone odejście. Cóż, może was to trochę dziwić, ale zgodziłem się przyjąć tak nagły termin. Powodem, którym się kierowałem, jest przede wszystkim dobro firmy i chęć pomocy w odzyskaniu należnego jej dobrego imienia. Dzisiaj chciałem się z wami oficjalnie pożegnać. Dziękuję za wasz wkład, ciężką pracę, ponadludzki wysiłek, zwłaszcza za trud ostatnich dni. Proszę — skierował wzrok na Elkebaum — by odpowiednia nota została również przekazana mediom.

Elkebaum skinęła twierdząco głową.

— Moje sprawy przekażę na ręce pana Maksymiliana Szeflera, który od poniedziałku przejmie moje obowiązki. W ciągu dwóch, trzech tygodni zarząd firmy zbierze się i podejmie decyzję dotyczącą nominacji nowego prezesa.

Wszyscy się poruszyli. Relik nie mógł się zdecydować, na kogo patrzeć, a Reshke wbiła hipnotyczny wzrok w Szeflera. Był nieogolony i bez krawata, zmęczony i apatyczny, jakby nie usłyszał słów Aivara. Spokój zachowali też Farney i Elkebaum.

— Zapraszam wszystkich do restauracji Wielki Błękit na godzinę dwudziestą. Obecność obowiązkowa. — Smutno się uśmiechnął. — A teraz żegnam. Życzę miłego, produktywnego dnia. Pani Zuzanno, proszę zostać, a pana, dyrektorze — zwrócił się do Szeflera — zapraszam po spotkaniu do mojego gabinetu.

Wszyscy wstali, podeszli do Aivara i jeden po drugim zaczęli się żegnać, składać życzenia i dziękować. Relik wyszedł za Farneyem i na schodach, z dala od ludzi, zapytał go szeptem:

— I co teraz?

— A co, zaskoczony?

— Trochę tak. Co robimy, Benek? — zapytał niepewnie.

— A co cię tak niepokoi?

— Szefler jest u steru! — panikował. — Nie zauważyłeś?

— Tylko pełni obowiązki. I to w bardzo trudnym czasie, bo stary kapitan ucieka z tonącego okrętu pierwszy. Myślisz poważnie, że on ogarnie ten bałagan? Wystarczy poczekać…

4
9.10, RCUS, kuchnia

— Co myślisz o wczorajszej stracie pani architekt? — zagadał Cezarczuk kolegę nalewającego właśnie wodę do kubka. Było nieco tłoczno i gorąco, a wszystkie stoliki były już zajęte. Ten pokiwał głową:

— Wydaje się to nie lada wyzwaniem dla naszych zespołów. Podziwiam dyrektora, że się jakoś trzyma i ma siłę to dalej ciągnąć.

— Napawa nadzieją, co?

— Chodźmy. — Wziął kubek w dłoń. — Praca czeka.

Wyszli z pomieszczenia i wtedy jeden z inżynierów czytających gazetę zagadnął kolegę:

— Jak on powiedział? Strata Maury to niedogodność?

— Nie — zaprotestował siedzący naprzeciw. — To wyzwanie!

— Aaa, tak. Trzeba być naprawdę aspirującym menedżerem, żeby tak określić kompletną katastrofę. I tak szybko, bez frasunku, przejść nad śmiercią człowieka do porządku dziennego.

— To kwestia wyuczonej zdolności nazywania rzeczy inaczej — mamrotał. — Takie dwójmyślenie. No i wrodzony optymizm!

— Chyba debilizm. — Pokręcił zniechęcony głową.

9.15, klatka schodowa

Stając na półpiętrze, Relik zapytał:

— Czekać? Mamy po prostu czekać?

— Szefler sam sobie może zaszkodzić — odpowiedział Farney. — Nie wierzę, by dźwignął takie brzemię jak zarządzanie kryzysowe. Nawet jak zostanie prezesem, to nie znajdzie w nas żadnego oparcia i wreszcie sam odejdzie. Zobaczysz!

— Wczoraj zaproponowałem mu pomoc, a konkretnie kilku swoich ludzi.

— Naprawdę? I co? — zapytał zaskoczony Farney.

— Łyknął jak kaczka chleb na rzece — odparł.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Byśmy mieli i wgląd, i wpływ na ten projekt.

— A nie dlatego, by wyznaczył cię na swojego zastępcę w jego dziale? — zapytał złośliwie.

— Pewnie Elkebaum i tak będzie temu przeciwna. Za te podejrzenia na zebraniu.

— Dotknęło cię, że cię o to poprosiłem?

— Mam nowego wroga…

— …przeze mnie — dokończył myśl i spuścił głowę. — Widzisz, chcę zbudować koalicję przeciwko Szeflerowi. A ona, Zuza, jest mi potrzebna. Wiem, że nieoficjalnie zna jednego członka zarządu. Do tego rola PR-owca. Ona to trzyma. Wizerunek firmy… mniejsza z tym… — machnął ręką — ale wizerunek dyrektorów przed zarządem to bardzo ważna sprawa! Podpowiedziałem jej, że za twoją prowokacją stoi nasz wspólny oponent, a to musi ją popchnąć w moją stronę. Obiecuję, że nie zrobię ci tego więcej.

— Przynajmniej poskutkowało? — Przełykał gorycz upokorzenia.

— Myślę, że tak. Chce się ze mną spotkać dziś w południe na lunchu. Wynagrodzę ci to, jak przyjdzie właściwy czas.

9.15, RCUS, stanowiska deweloperów

Tatiana zatwierdziła pierwszego commita i rozejrzała się po przerzedzonej sali. Ostatnio takie pustki widziała tuż przed świętami. Ona sama przyjechała tutaj niedawno i nie stać jej jeszcze było na powrót do kraju, więc wolała popracować w przerwie świąteczno-noworocznej. Wtedy było dziwnie, teraz… teraz się bała.

Co kilka, kilkanaście minut przechodził obok niej ochroniarz. Uważnie się wszystkim przyglądał, sprawdzając stale coś w notesie. Instrukcje zarządu były jasne — żadnego poruszania się w pojedynkę, każde opuszczenie piętra ma być zgłoszone ochronie. Nawet samotne udanie się do toalety ma być odnotowane. Nie była w stanie skupić się na pracy w takich warunkach. Czuła się jak w obozie pracy tymczasowej, w którym zresztą była kilka lat temu. Tam też musiała prosić o pozwolenie, gdy potrzebowała załatwić potrzeby fizjologiczne.

— Tatiana, chodź ze mną do toalety — usłyszała za sobą. — Proszę…

Młodziutka i drobna dziewczyna patrzyła na nią błagalnie. Nawet jej nie znała. Chyba nie chodziło jej tylko o przestrzeganie poleceń zarządu. Ona naprawdę bała się być sama.

Skinęła głową.

— Poczekajmy tylko na naszego cerbera — próbowała zażartować. — Nie chciałaś urlopu?

— Pracuję tutaj dopiero drugi miesiąc, nie mam jeszcze urlopu…

Po kilku minutach zjawił się ochroniarz. Odprowadził je do toalety, otworzył kluczem i sprawdził pomieszczenie, zanim weszły. Potem cierpliwie czekał przed drzwiami. Kiedy wyszły, ponownie zamknął drzwi na klucz.

W całej firmie można było wyczuć ciężką atmosferę nieufności, podejrzliwości i zagrożenia.

5
9.15, komenda policji

Skalski odczekał, by zebrani nieco się uspokoili, i rozpoczął swoją wyliczankę:

— Zwrócę wam uwagę na kilka faktów. Po pierwsze, tych menedżerów w RCUS-ie jest dość sporo. Zejdą nam wieki, zanim wszystkich nagramy i laboratorium ich oceni. Sprawca zdąży albo uciec, albo znowu kogoś zabić.

— Dlatego wykluczałabym — wtrąciła rozemocjonowana Sara — tych podrzędnych i niezwiązanych z departamentem Zdowackiej. A skoro rozmawiają o czymś, co nie jest przeznaczone dla wszystkich… coś, co może być nielegalnie zdobyte, to krąg zaufania musi być wąski. Sprawca dobrze ją zna, bo zwraca się do niej per „Ma”.

— Zanim ich wytypujemy, znowu stracimy parę dni — zwątpił Walczak. — I nie ma gwarancji, że nikogo nie pominiemy.

— Mimo wszystko to dobry pomysł — przyznał Skalski — i taki proponuję jako plan B. Jest druga rzecz. Marna jakość audio pozwala nam wykluczyć wielu z grupy podejrzanych, ale nie umożliwia zaklasyfikowania kogoś jako sprawcy ze stuprocentową pewnością. Przynajmniej na razie technicy nie mają co do tego złudzeń. A to dość poważna przeszkoda. Przez sito przejdzie kilka, może nawet kilkanaście osób, a potem trzeba będzie ich dalej wałkować. Nawet kiedy już ustalimy, do kogo należy ten głos, to nie mamy innych dowodów wiążących go z poprzednimi zabójstwami.

— Oj tam, oj tam. Wyśpiewa na wariografie! — zaśmiał się Walczak.

— O ile się na to zgodzi. — Skalski podniósł palec do góry. — A pewnie tak nie zrobi. Lepiej odpowiadać za jedną zbrodnię niż za trzy. Dobrze wiecie, że dowody są lepsze niż poszlaki.

— Wówczas przeszukanie mogłoby nam w tym pomóc. — Walczak bronił swojego. — Znalezienie narzędzia zbrodni, rękawiczek, komputera z jego pocztą, papieru użytego w liście do dziennikarki. Na pewno coś szybko wpadłoby nam w ręce.

— Słusznie. — Skinął głową Skalski. — Tak każe nam myśleć praktyka policyjna i metody śledcze. Pamiętajmy jednak, z kim mamy do czynienia. Osobnik ten kiwał nas, jak chciał. Preparował fałszywe tropy, siał chaos, utrudniając pracę nam wszystkim, i bawi się z nami w chowanego. Wystarczy spojrzeć na nasze podwórko: siadł na nas komendant, ratusz, prasa, a laboratorium nie nadążało przetwarzać zlecanych prac z kolejnych miejsc zbrodni. Który z was zagwarantuje, że ujęcie sprawcy i przeszukanie będzie skuteczne; że zbierzemy potrzebne nam materiały o wartości procesowej?

— Masz rację — skwitowała Sara. — Facet jest śliski, piekielnie przebiegły, nieźle zaciera ślady. Ma sporą wiedzę o zabezpieczeniach firmy i pracy jego różnych systemów.

— Dlatego mając na uwadze, że jest specjalistą i działa w sposób wyrafinowany, powątpiewam, że udałoby się znaleźć jakiekolwiek dowody. Może być również przygotowany na rutynowe metody śledcze.

— Jakby go dobrze podładować akumulatorem… — zasugerował Walczak, ale Sara obrzuciła go zimnym spojrzeniem i ucichł. Chcąc się jednak zrehabilitować, spróbował ponownie: — Wróćmy do stenogramu. Zanotowaliście, że Zdowacka mówiła o czymś nielegalnym i niezostawianiu śladów?

— Co sugerujesz? — Wciąż się w niego wpatrywała, aż poczuł się nieswojo.

— Tylko tyle, że dopuszczała taki sposób działania. Nie była święta… Może byli wspólnikami? Po co w ogóle nagrywała wszystkie te rozmowy? Jaki miała w tym cel? Nikt z was się nad tym nie zastanawia. Czy to ze strachu, bo o tym wspominał Szefler, czy może chciała posiąść jakąś kartę atutową, formę zabezpieczenia na wypadek czegoś, o czym nie wiemy? A tak na marginesie, czy znaleźliśmy to nagranie z targów, o którym rozmawiali na dachu?

— Nie — rzekł Skalski, doceniając w duchu spostrzegawczość kolegi. — Niczego wzbudzającego nasz alarm.

— Myślę, że tam na dachu sprawca wcisnął jej kartę SD z nagraniami Szeflera. — Sara weszła im w słowo. — Wszystko po to, by nam namieszać albo by jemu zaszkodzić.

Ucichli na chwilę, ale tego nie odczuwali. Myśleli intensywnie.

— Skoro już sobie tyle wyjaśniliśmy, to co teraz? — zapytał Walczak.

— „Tyle” to nie znaczy „wszystko”. Ja też coś mam. — Sara wyciągnęła z torebki złożoną kartkę. — To billing z aparatu żony Szeflera. Z wtorku, oczywiście.

— Co z niego wynika? — zainteresował się Skalski.

— Ktoś do niej zadzwonił tuż przed jej telefonem do męża. Ktoś z RCUS-u, jak ustaliliśmy, bo to tamtejszy BTS go obsługiwał. Karta SIM była niestety prepaidowa i niezarejestrowana. To wszystko.

— Logicznie rozumując i poczyniwszy pewne założenia — odezwał się Skalski — myślę, że sprawca, ktoś wysoko postawiony, spostrzega, że Szefler idzie ze Zdowacką na dach. Dzwoni do żony Szeflera, by ta go stamtąd spłoszyła. Nie wiemy, czy się znają. Ona telefonuje do męża i sprawia, że ten się oddala. Wtedy na dachu pojawia się sprawca i staje się to, co sami widzieliśmy na zarejestrowanym filmie z kamery przemysłowej.

— Cholera. Wczoraj prawie aresztowaliśmy Szeflera, a dzisiaj wypadałoby mu dać ochronę. Co robimy? — zapytała.

— Potrzebujemy zebrać sporo informacji. Po pierwsze, musimy poznać krąg menedżerów związanych blisko z ofiarą, zaczynając od tych najwyżej postawionych, i zebrać ich próbki głosu do analizy porównawczej. Po drugie, odnaleźć człowieka, który był na wspomnianych targach, i określić jego szefa. Po trzecie, dowiedzieć się więcej o żonie Szeflera i jej znajomych wśród tej samej grupy osób. I wytypować kogoś, może jej kochanka, kto jest skłonny dla niej zabić.

— To jedziemy! — Walczak wstał, ale zaraz usiadł, gdy się zorientował, że nie porwał tłumów.

— Ale jeżeli zrobimy to klasycznie, zdemaskujemy się — pouczył Skalski. — Podejrzany się spłoszy, bo słusznie założy, że coś mamy, i już się nie wychyli.

— Mamy tak, kur…, o pardon, pani prokurator… siedzieć? — oburzył się Walczak.

— Oczywiście, że nie. Jak mówiłem na wstępie, mam pewien pomysł, który pozwoli nam osiągnąć wszystkie cele… eee… — żachnął się — przepraszam… uzyskać wszystko to, czego potrzebujemy, za jednym zamachem. Do tego potrzebni mi są tylko zaufani ludzie. I dlatego tu jesteście.

— Tylko my? — zapytała Sara.

— Nie tylko. Musimy wciągnąć Aivara, by pozwolił na swobodne działanie wewnątrz firmy. Jest poza podejrzeniem, bo w dniu śmierci Zdowackiej był na wieczornej akcji charytatywnej. Nic go również nie łączy z pozostałymi zbrodniami. Do tego potrzebujemy włączyć innych zaufanych ludzi, ale potrzebuję pomocy, zwłaszcza Czerskiego, który gdzieś, do cholery, przepadł. A tylko on ogarnia kwestie komputerowe. Mam w głowie zarys akcji wymagającej zaawansowanej techniki. Trzeba by szybko oszacować jej możliwości oraz liczbę i rodzaj specjalistów, których musimy zaangażować.

Skalski odłożył kartki, które wciąż ściskał, i usiadł obok nich na krześle przewidzianym dla aspiranta. Wziął głębszy oddech i przyciszonym głosem rzekł do nich:

— Przejdźmy do zarysu mojego planu, który jest dwuczęściowy. Pierwszy etap omówimy szczegółowo, a z drugim poczekamy na Czerskiego. Mam nadzieję, że szczerze mi powiecie, czy ma to ręce i nogi.

6
12.15, restauracja

Lucjan Frost i Zuza Elkebaum siedzieli pochyleni nad stolikiem, który stał ukryty na uboczu. Oczekiwali gościa, który zjawił się nieco spóźniony:

— Witaj, Bernardzie — przywitali się. Najpierw podał rękę jej, potem jemu i usiadł naprzeciw nich.

— Cześć. Cóż to za konspiracja? — zapytał nieco zdziwiony Farney. Nigdy dotąd nie widywał ich razem poza pracą. A i tam rzadko. „Człowiek uczy się całe życie!” — pomyślał.

— Wiem, Benek, że jesteś teraz ogromnie zajęty, ale musiałam naciskać na to spotkanie. Mamy po temu bardzo ważne powody.

— Owszem. Znam cię już tyle lat, więc sprawa musi być pilna — przyznał Farney. — Ale zamówimy coś najpierw?

— Oczywiście.

— Nie wiem jak wy, ale ten tydzień to jakaś masakra. Aż trudno uwierzyć, że świat poza biurowcem wygląda tak normalnie.

— Zgadzam się, szalony tydzień. — Frost pochylił się nad menu.

Po chwili przyszedł kelner i zebrał zamówienie. Wino i kieliszki pojawiły się już po chwili.

— Lucjan, jak z twoim zdrowiem? — zainteresował się Farney.

— Na szczęście fałszywy alarm. Wszystko pod kontrolą. Wkrótce wracam do pracy.

— To budujące — powiedział, obwąchując kieliszek, po czym upił łyk wina.

— Słuchaj… — zaczęła Elkebaum. — Sprawa jest bardzo delikatna. Dotyczy twojego pracownika.

— Naprawdę? Coś nabroił? — zaniepokoił się.

— Wczoraj go zwolniłeś.

— Chodzi wam o Marcelego? — zapytał. — Zaszkodził wam?

— Jak by to powiedzieć…

— Słuchajcie — przerwał, domyślając się czegoś. — Mam wgląd w tajemnice firmy, bo pracuję w bezpieczeństwie. Wiem niejedno. Mówcie otwarcie, co o was wie, co wykradł itd. Pełna dyskrecja. Będę wiedział tylko ja i wy, OK?

— To bardzo dobry wstęp do naszej dyskusji. Niech to zostanie między nami — podkreślił Frost.

— No to odwagi, do rzeczy! — zachęcił.

— Marceli to mój… — zaczęła kobieta drżącym głosem. — To mój syn.

— Trudno mi w to uwierzyć — zaczął ostrożnie.

— Marceli ma nazwisko po ojcu.

— Nawet nie wiedziałem, że byłaś z kimś związana!

— Dawno temu odszedł ode mnie, jeszcze zanim zaczęłam pracę w RCUS-ie. No ale to przeszłość. Bardzo odległa. Marceli urósł, dojrzał i, co tu ukrywać, załatwiłam mu pracę w naszej firmie. Był dobry, więc poradził sobie z testami wstępnymi i nie musiałam cię nawet prosić o protekcję.

— Aż za dobry… — mruknął Farney. — Zanim się połapałem, co wyprawia, minęło sporo czasu. O co chcesz mnie prosić? — Poczuł się nieswojo.

— O wycofanie zarzutów.

— Nie ma mowy, Zuza! — rzucił gniewnie. — Jak ty to sobie teraz wyobrażasz?

— Posłuchaj uważnie. Zostawmy to na razie na boku — przejął dyskusję Frost. — Opowiem ci coś, z czego nie jesteśmy dumni i co nas pogrąża. Zwłaszcza mnie.

— I co Marceli może wykorzystać przeciwko wam, jak się domyślam. — Po prostu nie mógł w to wszystko uwierzyć. Czuł gniew i złość. Po co go w

to mieszają?

— Nie. To my, przez naszą głupotę, poprosiliśmy go o pomoc.

— To odważne wyznanie.

— Tak. Ale to przez nas znalazł się w takich kłopotach.

— Co ty masz z tym wspólnego? — zwrócił się wprost do Frosta.

— Pracował dla mnie… dla nas.

— No pięknie… I po co wam to było?

— Nie wiesz? Nie domyślasz się?

— Oświeć mnie, proszę.

— O prezesurę! Chciałem zostać szefem tej cholernej firmy. Pewnie tak samo jak ty. Znajomy Zuzy z zarządu był nieco zbyt oporny i mało gadatliwy, raczej niechętny do współpracy. Wybrałem złe metody i pogrążyłem tego młodego człowieka. Kogoś jej… nam… bliskiego.

— Tak załatwić syna! — Farney wyrzucił gorzko Elkebaum. Jednocześnie próbował opanować kolejny wstrząs: para siedząca naprzeciw prowadziła swoją grę, a on tego dotąd nie wytropił.

— Moja wina. To strasznie boli — wyznała kobieta, spuszczając wzrok.

— Próbuję to zrozumieć. Wszystko, co mi powiedzieliście, jest dla mnie zaskoczeniem i właściwie powinienem to zgłosić sami wiecie gdzie.

— Możesz to zrobić. Masz do tego pełne prawo. Ale wiesz, mamy też wiele do zaoferowania, jeśli zechcesz nas wysłuchać do końca.

— Pewnie — zaśmiał się. — Wszystkiego się wyprzecie podczas przesłuchania, bo nie mam żadnego dowodu przeciwko wam.

— Poszukasz i znajdziesz, Benek. Po prostu dotąd nam ufałeś i nie węszyłeś. Mam coś, co uwiarygodni nasze intencje i uczyni nas bezbronnymi, a tobie da wielką władzę.

— Proszę, zrób to. — Uśmiechał się, bo czuł się jak wkręcany w jakiś żart. Co za farsa!

Frost wyciągnął mały dyktafon, mówiąc:

— Weź jako znak mojej absolutnej desperacji. Nasza rozmowa jest nagrywana. To mocny materiał. Zdradziliśmy wiele naszych tajemnic, łamiemy prawo i namawiamy do jego złamania. Czego jeszcze byś chciał?

„Cholera! Wziąć czy nie? A może by tak po prostu wyjść? Co wtedy? Wtedy oni mają nagranie, że niczego nie zrobił. Lepiej wziąć i wyjść. A jeśli mają drugi dyktafon?”

7
12.25, RCUS, biuro prezesa Aivara

Odebrał telefon i rozpoznał głos Skalskiego:

— Witam pana!

— Czym mogę służyć? — zapytał Aivar.

— Prosiłbym o zgodę na przeprowadzenie pewnej nietypowej operacji w pańskiej firmie.

— Nie wiem, czy w obecnej sytuacji mogę to zaaprobować.

— Co się stało? — zaniepokoił się Skalski.

— Jutro jest mój ostatni dzień pracy. Moje obowiązki przejmuje dyrektor Szefler. Może z nim powinien pan o tym porozmawiać?

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Informacja musiała rozmówcę zaskoczyć. Wreszcie Skalski odezwał się, ważąc słowa i myśli:

— Prosiłbym niczego mu nie mówić. Czy do jutra jest pan jeszcze osiągalny i sprawuje władzę w firmie?

— Tak. A na kiedy to planujecie?

— Teraz już wiemy, na kiedy… na jutro!

— Mogę poznać szczegóły?

— To nie na telefon. Podjadę pod wieczór. Która godzina panu pasuje?

— Dziewiętnasta? Później mam kolację pożegnalną.

— Podjadę o tej porze i rozmówimy się u mnie w wozie. Przedstawię cały plan. Dobrze, gdyby nas nikt nie widział.

— Podejrzewacie kogoś?

— To nie na telefon!

— Dobrze.

— Czyli wstępnie się pan zgodził?

— Oczywiście. Macie zielone światło. Wszystkim nam przecież zależy na ujęciu sprawcy!

— Będę też potrzebował pomocy kilku specjalistów z waszej firmy. Potrzebujemy ich od zaraz.

— Niech pan ich bierze. Nie ma problemu.

— I ostatnia ważna rzecz. Wszystko, co planujemy, musi być zachowane w ścisłej tajemnicy! Niech pan z nikim o tym nie rozmawia.

— Jasne.

— Zatem dziękuję. Do zobaczenia wieczorem!

— Do widzenia — odrzekł oschle.

„Może choć tę jedną sprawę uda mi się doprowadzić do szczęśliwego finału” — pomyślał Aivar pomny wszystkich swoich porażek.

8
12.45, restauracja

Farney wyłączył nagrywanie. Potem przyniesiono przystawki, które zjedli w milczeniu. Analizował całą sytuację. Pierwszym zaskoczeniem był fakt, że Frost i Elkebaum byli parą. Drugim, że Marceli okazał się synem Zuzy. Gdyby to wiedział wcześniej, nie pozwoliłby na aresztowanie. Inaczej by to wszystko rozegrał, a tak… mleko się rozlało. Trzecią

wstrząsającą wiadomością było to, że Frost aspirował do prezesury i miał silnego sojusznika u boku. To też mu umknęło. Kolejne niedopatrzenie i zła ocena sytuacji. Zatem prawdziwym zrządzeniem losu okazało się zatrzymanie Marcelego, bo skończyło się tym jakże pouczającym wyłożeniem kart. No i pojawiły się nowe możliwości działania.

Dopiero po wniesieniu dań głównych Farney rozpoczął niepewnym głosem:

— Chcecie się podłożyć, ale przecież chłopaka i tak nie uratujecie.

— Możemy obniżyć mu wyrok, pójść na współpracę. Przyznasz, że to są jakieś opcje — zaproponował Frost.

— Załóżmy zupełnie hipotetycznie, że wycofuję zarzuty. Wtedy zaczną się kontrole, pytania z prokuratury, i to ja polegnę.

— Niezupełnie. Mamy pewien plan.

— Nie wiem, czy chcę wiedzieć.

— Osądzisz, jak go przedstawię. Może być?

Wziął kęs i pustym widelcem dał znać, by kontynuował.

— Nie wycofasz zarzutów bezpodstawnie. Po prostu dotrą do ciebie dodatkowe informacje, które uzupełnią twoją wiedzę. Bo jest jeszcze kilka spraw, o których nie wiesz.

— Brzmi coraz gorzej. — Sięgnął po wino, zastanawiając się, czy podoła kolejnym rewelacjom.

— Ale zacznijmy od tego, że Zuzanna prosto stąd udaje się do prokuratury. Nie możemy ustalić z Marcelim żadnej wersji, ale prawdopodobnie w tej chwili i tak nie idzie na współpracę. Był na to przygotowany.

— Jesteście straszni, wiecie o tym? — Nie mógł tego nie skomentować.

— Zuza zezna, że zleceniodawcą była… moja zastępczyni, młoda, atrakcyjna kobieta: Monika Reshke.

— Chcecie wrobić niewinną kobietę? — oburzył się Farney. — Nie pozwolę na to!

— Przecież mówiłem ci, że nie wiesz wszystkiego. Krążysz obok bomby każdego dnia i nie słyszysz jej tykania. Ja też tego nie wykryłem. Powiem ci jedno: to bardzo, bardzo zła kobieta. Możliwe, że właśnie w tej chwili przegląda dane firmy, do których nie powinna mieć dostępu, i przeprowadza niedozwolone operacje finansowe. Ukradła mi hasła i token. No i mnie szantażuje, dlatego musiałem usunąć się w cień. Wiedz, że to ona zmusiła mnie do wysłania wiadomości o mojej rzekomej chorobie. Do tego zdefraudowała mnóstwo pieniędzy, a mając moje hasła, na kogo skierowała podejrzenia? Na mnie! I dlatego musimy ją powstrzymać jak najszybciej! Moja wina, że na to pozwoliłem…

— I nie przyszedłeś z tym do mnie? Co ty mi tu chcesz wcisnąć? — Farney zatrząsł się ze złości. Jest tyle zabezpieczeń, a dzieje się coś takiego… Niewyobrażalne!

— Wróć do pracy i sam sprawdź. Poszukaj, czy ktoś, podczas mojej nieobecności, logował się do bezpiecznego komputera w ciągu ostatnich dni. Albo czy używał tokena. Tylko dyskretnie.

— Sprawdzę… — wycedził. — Zrobię to bardzo dokładnie!

— I kiedy już poznasz prawdę, zadzwonią do ciebie z wydziału przestępstw gospodarczych. Zaczną bowiem weryfikować zeznania Zuzy i zechcą prześwietlić tę Reshke. — Podniósł głos.

— Tak myślisz? — Farney wpatrywał się w rozmówcę.

— Jestem pewien! Ty zaś będziesz miał już pełnię wiedzy, zgromadzone dowody i zrobisz, jak będziesz uważał. Czy proszę o coś nielegalnego? Czy jeśli się to wszystko potwierdzi, masz powód do wycofania przynajmniej niektórych zarzutów?

Odłożył sztućce i wpatrywał się w jeden punkt na ścianie.

— Twierdząc przed nimi, że to Reshke zlecała Marcelemu te straszne rzeczy, skłamię…

— Nie ty, tylko Zuzanna. Skąd ty masz to wiedzieć? Nie wiesz. Zrobisz, co ci prokurator każe.

— Mam wtedy powód wycofać pewne zarzuty?

— Tak. Pewnie prokurator sam to przekwalifikuje. Poinstruuje cię.

— Po tym, co mi tu powiedziałeś, ten twój Marceli to żaden problem dla firmy. To, co rzekomo robi Reshke, jest sprawą najwyższej wagi, i trzeba działać błyskawicznie. Ale jeśli mnie okłamałeś i ta nowa dziewczyna Szeflera nie jest niczemu winna…

— Co takiego? — Elkebaum aż się zakrztusiła. — Oni są razem?

— Wiesz, ma facet powodzenie. Może to on nam ją podrzucił i nabruździł?

Elkebaum była przerażona tą myślą.

— Nie wiedzieliście o nich? — Farney się uśmiechnął. — Nie sądzę, by Maks stanął w jej obronie. Jeśli to wszystko, co tutaj usłyszałem, jest prawdą, wyprze się jej. Nie mam co do tego złudzeń. Wracając do sprawy, co dalej?

— Kiedy Marceli wyjdzie wreszcie za kaucją, „przekonamy” go, by poszedł na współpracę i zeznał „właściwą” wersję wydarzeń. To już nasze sprawy, nasze grzechy. Nie masz z tym nic wspólnego, prawda? Może, przy odrobinie szczęścia, część tego łajna przyklei się do Szeflera i osłabi jego pozycję. Kto wie?

„A ja zyskam szacunek i tak dalej. Do tego wasza dwójka już mi w niczym nie zagraża. A nawet wręcz przeciwnie” — myślał. Chwilę mierzył ich jeszcze wzrokiem, po czym wstał energicznie od stołu. Sięgnął po leżący na stole dyktafon, schował go do kieszeni marynarki i odezwał się rozkazującym tonem:

— Trzeba działać natychmiast! Dlatego teraz się z wami pożegnam i wrócę do biura. — Poprawił krawat. — Wy też nie macie za dużo czasu, więc radzę zrobić bezzwłocznie to, co trzeba. Oby się wam poszczęściło!

9
15.30, mieszkanie Dereka

Derek, wchodząc do bloku, w którym mieszkał, sprawdził zawartość skrzynki pocztowej. Znalazł w niej niezaadresowaną kopertę, co przyjął bez zdziwienia, bo takiej właśnie oczekiwał. Wiedział też, co jest w środku, więc rzucił ją na stół i nieśpiesznie zajął się robieniem kawy. Zanim zagotowała się woda, zdążył pomyśleć o Monice Reshke. Był na nią bezgranicznie wściekły. Nie dość, że tak bezmyślnie namieszała, to jeszcze to… Twierdziła, że segregator Frosta okazał się pusty. Ma teraz uwierzyć, że stary liczykrupa ją przechytrzył? Po tym wszystkim? Bzdura! Znowu coś kręci to chytre babsko. Zupełnie stracił nad nią kontrolę. I dlatego dobrze się stało, że sprowadził Frosta. Trzeba naprawić ten błąd i pozbyć się jej, nie tracąc wpływów i źródeł informacji.

Z filiżanką czarnej jak smoła mazi włączył laptopa i otworzył przesyłkę. Zawierała kilkanaście stron słabej jakości kserokopii.

Najważniejszy dokument był na wierzchu. Sądząc po sygnaturze akt — a na tym Derek znał się jak mało kto — został sporządzony ponad dwadzieścia lat temu w wydziale wewnętrznym policji i miał klauzulę „tajne”.

„Raport z wewnętrznego postępowania w sprawie nieuzasadnionego użycia broni przez komisarza Piotra Skalskiego”. Uniósł lekko brwi — tego się nie spodziewał. Dalsza lektura dostarczyła mu jeszcze mocniejszych wrażeń.

Po półgodzinie odłożył go i się zadumał. Podinspektor Piotr Skalski, prowadzący właśnie sprawę morderstw w RCUS-ie, już ponad dwie dekady temu był znakomitym śledczym. Sprawa, której tajne akta właśnie otrzymał dzięki jednemu ze swoich licznych kontaktów, zwichnęła jego karierę. I nie wyglądało na to, że główną przyczyną były wnioski z raportu wydziału wewnętrznego.

Dwadzieścia pięć lat temu świeżo upieczony podkomisarz Skalski i aspirant Walczak zostali wezwani w trybie alarmowym do placówki finansowej jednego z przedsiębiorstw wypłacających pensje pracownikom. Wówczas wielu jeszcze nie miało kont bankowych i dostawało gotówkę do ręki. Jeden z oczekujących na wypłatę wyciągnął nagle broń, skierował ją w stronę kasjerki i zażądał wydania całej gotówki. Wielu ludzi uciekło, ale część grupy została powstrzymana przez napastnika.

Kasjerka uruchomiła cichy alarm, a najbliżej byli Skalski i Walczak. Rabuś zauważył ich przez drzwi i wrócił, chcąc, jak wynikało z zeznań, wziąć kasjerkę za zakładniczkę. Ta zabarykadowała się w kasie, więc przestępca ujął jednego z dwóch klientów, którzy nie zdążyli uciec.

W oficjalnej wersji, podanej prasie, policjanci dokonali brawurowej akcji, obezwładniając napastnika. Niestety, doszło do przypadkowego strzału, który śmiertelnie ranił zakładnika.

Raport wewnętrzny drobiazgowo opisywał całe zajście. Zeznania obu policjantów, kasjerki, drugiego świadka, a nawet napastnika były zaskakująco zgodne — nikt nie próbował konfabulować. Zaraz po wejściu do pomieszczenia Walczak zajął pozycję na wprost agresora, a Skalski przesunął się na jego prawą stronę. Obaj trzymali odbezpieczoną broń. Przestępca to w nich celował, to wciskał lufę w skroń młodego mężczyzny. Skalski, zgodnie z wszelkimi procedurami, starał się uspokoić napastnika. Odłożył broń na podłogę i krok po kroku zbliżał się do niego. Kiedy był już

w odległości trzech metrów, dał znak Walczakowi, który zaczął zachowywać się agresywnie: wykonywał szybkie ruchy, głośno odbezpieczył broń, markował celowanie i sprawiał wrażenie, że zaraz strzeli. To odwróciło uwagę przestępcy, który odsunął broń od głowy ofiary i wycelował ją w Walczaka, a jednocześnie zasłonił się zakładnikiem.

Na ten moment czekał podkomisarz Skalski. Kiedy agresor przesunął ofiarę i wycelował w Walczaka, przestał zwracać uwagę na Skalskiego. Ten wyciągnął drugi pistolet i z trzech metrów oddał strzał. Nieoczekiwanie to nie napastnik, ale zakładnik zdołał zauważyć ten ruch i, wiedziony instynktem, pechowo się przesunął. Kula przeszła tuż nad jego sercem, rozrywając aortę.

Na ten widok przerażony przestępca odrzucił broń i się poddał.

Ofiary postrzału nie udało się uratować — zmarł przed przyjazdem karetki. Adam Keller za dwa dni miał skończyć dwadzieścia cztery lata.

Raport dość zgodnie uznał zachowanie policjantów za pochopne i nadmiernie brawurowe. Za błąd uznano niewłaściwą ocenę sytuacji — okazało się, że przestępca posługiwał się atrapą pistoletu. Listę ciężkich naruszeń procedur uzupełniał brak wezwania wsparcia i zawodowego negocjatora, nieumyślne spowodowanie śmierci zakładnika, nieuzasadnione użycie broni oraz osobiste zaangażowanie w sprawę.

„Jak ten człowiek mógł zostać w policji?” — zdumiał się Derek. Za takie coś normalnie idzie się siedzieć! No i wydalenie ze służby gwarantowane… Chwilę się zastanawiał. Ten raport albo nigdy nie trafił do prokuratury, albo trafił, tylko ktoś ukręcił sprawie łeb. Kto to mógł być? Sara Skalska? Przewertował kartki, ale nic nie znalazł. Wrócił do miejsca, w którym przerwał.

Podobne zarzuty postawiono aspirantowi Walczakowi, przy czym potraktowano go łagodniej, gdyż był wykonawcą poleceń Skalskiego.

Prasowe skany dawnych artykułów dowodziły, że aby nie psuć reputacji policji w ogólności i komisarza Skalskiego w szczególności, przedstawiono sprawę mediom w znacząco innym tonie, ukrywając wiele niewygodnych faktów.

Skalski nie potrafił po tym zdarzeniu dojść do siebie i przeszedł załamanie. Złożył rezygnację ze służby, ale nie została ona przyjęta. Został zawieszony, a po zamknięciu śledztwa przeprowadzonego przez organa kontroli wewnętrznej — ukarany naganą. Nie wznowił służby. Nie odzyskał równowagi psychicznej i wziął bezpłatny urlop. Co się wtedy działo, tego już nie ujawniał żaden z raportów policji ani prasa. Nie było jeszcze wówczas internetu, pismaki miały dość ograniczone narzędzia pracy i ciekawsze tematy, a policja nie zajmowała się ani jego zdrowiem, ani życiem prywatnym.

Wynajęty przez Dereka detektyw był jednak profesjonalistą i szukał do skutku. Kolejne dokumenty były notatkami psychiatry Skalskiego. Czytając je, nawet Derek poczuł coś na kształt współczucia. Szczególnie interesujące były zapiski o życiu rodzinnym Skalskiego. Narzeczona opuściła go wkrótce potem, co według opinii terapeuty Skalski odebrał z ulgą. Przestał się widywać z najbliższą rodziną i, co ciekawe, rodzina również nie próbowała spotykać się z nim. Jedyną osobą, z którą potrafił nawiązać jako taki kontakt, był jego przyjaciel Walczak. Destruktywną stroną tej znajomości były serie ciągów alkoholowych, w jakie wspólnie wpadali.

Z wywiadów środowiskowych przeprowadzonych wśród rodziny wyłaniał się obraz egoistycznego narcyza z rozdmuchanym ego i nadmierną pewnością siebie, przeświadczonego o własnej nieomylności. Początkowe sukcesy w policji, uznanie przełożonych, szybkie awanse i uwielbienie ze strony mediów szybko zepsuły młodego człowieka. W opinii najbliższych były one bezpośrednią przyczyną tragedii.

Kolejny z dokumentów był formalnym przywróceniem Skalskiego do czynnej służby z adnotacją, aby nie powierzać mu odpowiedzialnych spraw. To ostatnie zastrzeżenie najwyraźniej nie było już brane pod uwagę.

Ostatnim z dokumentów był akt małżeństwa Adama Kellera i Ester Skalskiej.

10
16.45, RCUS, parking podziemny

To było oczywiste zachowanie w bieżącej sytuacji. Praca i tak się nie kleiła, a zostawanie dłużej niż to konieczne było pozbawione sensu. A może nawet było zwyczajnie niebezpieczne. Przecież wszyscy zginęli po godzinach normalnej pracy. Wniosek: wyjdź z firmy wcześnie, to nic ci się nie stanie.

I ludzie wychodzili już od piętnastej, rzucając na wyjściu sakramentalne: „Dokończę zdalnie” albo „Będę pod telefonem”. Kto wychodził samotnie, miał obowiązek iść z pracownikiem ochrony, większe grupy miały tylko odmeldować wyjście.

***

W ciemniejszym zaułku parkingu stało dwóch młodych ludzi. Chudy blondyn z kozią bródką ekspresyjnie coś tłumaczył.

— Nie dygaj się, nastraszymy go tylko.

— No nie wiem… — Grubas z bujną brodą pokręcił głową z powątpiewaniem. — Może w innej sytuacji, ale teraz…

— Zluzuj majty! — Blondyn nie dawał za wygraną. — Zawsze tak robimy, a potem idziemy na piwo. Ze wszystkimi jesteśmy teraz za pan brat. Jak chcesz zdobyć porządnego kumpla? Chwaląc jego zajebisty kod na

ekranie? Ooo, ale tutaj masz genialnego ifa! No, po prostu cudo, w Google’u nie piszą takich ifów jak ty… — kpił sugestywnie. — Dajmy Carlosowi trochę adrenaliny. Najlepszych kumpli zdobywa się w stresie!

— No dobra, tylko nie tak jak ostatnio… Żadnych worków na głowę — zastrzegł się brodacz.

— Spoko. Już jest tyle strachu w całej firmie… Boję się, że poczujemy smrodek z rozluźnionych zwieraczy.

***

Carlos, jak wielu innych, był przestraszony aktualną sytuacją. Do firmy przyszedł ledwie kilka tygodni temu, a że nie był osobnikiem bardzo towarzyskim, to nie znalazł jeszcze przyjaciół. Pozbierał swoje rzeczy i pozwolił ochroniarzowi odprowadzić się na parking podziemny. Wielu się dziwiło, że tak zielony pracownik ma miejsce w podziemnym garażu. Były one bowiem obiektem pożądania wielu starszych kolegów. Ponieważ przydzielano je według wydziałów, a nie stażu, to po kilku wymówieniach w jego departamencie udało mu się przejąć takie miejsce.

Strażnik otworzył drzwi i się rozejrzał. Nikogo nie było. Skinął mu głową i dodał, że musi wracać na górę po następnych wychodzących.

Carlos ruszył do swojego auta. Przechodząc obok jednego z filarów, usłyszał za sobą pośpieszny oddech, a na szyi poczuł zaciskające się palce. Jednocześnie ktoś objął jego nogi, przewracając go na ziemię.

Z innych drzwi prowadzących na parking wyszła Eliza i z duszą na ramieniu oraz gazem pieprzowym w dłoni ruszyła do swojego samochodu. Przy zakręcie usłyszała odgłosy szamotaniny. Zacisnęła mocno dłoń na pojemniku z gazem, nie wiedząc, czy uciekać, czy biec do samochodu, który widziała tuż przed sobą.

Te same odgłosy usłyszał Robert, który postanowił nie ulegać panice. Przyklęknął na jedno kolano i z plecaka wyciągnął pałkę teleskopową. Powoli zaczął zbliżać się w kierunku dochodzących odgłosów. Nie zdawał sobie sprawy, ile adrenaliny buzuje w jego żyłach. A że nie był szkolony do takich akcji, nie zdawał też sobie sprawy, jak ciężko dyszy.

Eliza usłyszała tuż za rogiem ciężki, przyśpieszony oddech. Wycelowała przed siebie gaz i zamknęła oczy. Nacisnęła spust. Gdzieś w pobliżu rozległ się przeraźliwy krzyk bólu.

Z boku uderzył w twarz Roberta strumień gazu. Oślepiony i wystraszony stracił dech, ale nie wypuścił pałki i zamachnął się na ślepo. Poczuł, że w coś trafił. Oczy piekły go niemiłosiernie i w końcu wrzasnął.

Eliza również wrzasnęła, kiedy pałka prześlizgnęła się jej po dłoni, wytrąciła pojemnik i zmiażdżyła mały palec. Krzycząc przeraźliwie, czołgała się na plecach. Nagle po prawej stronie zauważyła biegnącego ku niej mężczyznę z plamami krwi na rękach.

Zemdlała.

11
16.51, RCUS, gabinet dyrektora Lucjana Frosta

Monika Reshke od godziny siedziała w gabinecie Frosta. Zamknęła się na klucz, nie chcąc, by ktoś tu wtargnął i zadawał kłopotliwe pytania. Przez ostatnie wydarzenia sporo ludzi nie pojawiło się w pracy, więc szanse na to były i tak niewielkie. Większość pracowała z domu. Drugim plusem było to, że na obecnym stanowisku mogła zlecać swoje dotychczasowe prace podwładnym. Dzięki temu miała czas na swoje zadanie. Musiała ściągnąć całą masę danych. Niestety, token pomagał tylko w wykonaniu autoryzowanych przelewów, ale nie pozwalał na dostęp do danych

niejawnych, które odseparowano fizycznie od sieci zewnętrznej. Dlatego musiała to zrobić właśnie w tym konkretnym miejscu.

Pracowała bardzo efektywnie. Podczas kopiowania przeglądała kolejne informacje o klientach, takie jak szczegóły umów i zapytania odbiorców. Po wstępnej preselekcji był to cel dla kolejnego nośnika danych. Sprawdziła czas — jeszcze osiem minut i będzie musiała wyjść na zebranie. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń. Maskowanie to przecież ważna rzecz.

Usłyszała hałas na korytarzu. Niedobrze. Ktoś pociągnął za klamkę. Zamarła. Ktoś chce tu wejść? Dobrze, że zamknęła. Usłyszała zgrzyt zamka. „Ktoś otwiera drzwi kluczem!” — dotarło do niej. Moment później w drzwiach niczym zjawa ze snów stanął dyrektor Lucjan Frost. Wkroczył śmiało, a za nim szli czterej umundurowani ludzie, których nie znała, dwaj strażnicy i dyrektor Bernard Farney.

— Ta pani to Monika Reshke. — Wskazał na nią palcem Frost.

— Proszę wstać, odwrócić się i wyciągnąć ręce do tyłu — rozkazał jeden z mundurowych. — Jest pani zatrzymana pod zarzutem kradzieży danych niejawnych, nielegalnego pozyskania dostępu do nich, zajęcia majątku firmy, kierowania i namawiania do popełnienia przestępstwa. Ma pani prawo zachować milczenie.

Nie do wiary! Jak to się stało?

— Powtarzam, proszę wstać i się odwrócić! — Policjant był bardzo stanowczy. — Niczego nie dotykamy, nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów!

Poddała się. Podnosząc się, próbowała coś wymyślić. Zaprotestowała:

— Nie rozumiem! To jakaś pomyłka!

— Czyżby? — zaśmiał się Frost. — Więc co robisz w moim gabinecie? Dlaczego siedzisz na moim fotelu?

Zaczął się przechadzać i podszedł do komputera. Przyjrzał się i drwiącym tonem mówił dalej:

— Jakim to cudem weszłaś do systemu? Odgadłaś hasło? Czternastoznakowe? I widzę, że przeglądasz informacje niejawne. A ile tu pendrive' ów na stole! Nie dotykałaś żadnego?

— Proszę zabezpieczyć dowody — polecił jeden z policjantów, widocznie najstarszy stopniem. — A panią wyprowadzę do wozu. Za mną!

— Najgorsze jest to — na odchodne dodał z satysfakcją Frost — że okradłaś tak wielu ciężko pracujących ludzi!

— Kto? Ja? Pożałujesz, złodzieju! — krzyknęła. — To on wszystko ukradł!

— Milczeć! — nakazał oficer policji. — Takie jest pani prawo i radzę z niego skorzystać! Za mną!

— Gorzko tego pożałujesz… — syknęła Reshke, wychodząc.

Jeszcze nie wiedziała, że decyzją prokuratora sprawdzono jej konto bankowe, na którym pojawiła się spora suma pieniędzy. Zagraniczny przelew wzbudził nie tyle podejrzenie, ile wręcz przekonanie o zasadności zatrzymania i potwierdzał prawdomówność zeznającej Zuzanny Elkebaum.

Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował Derek.

***

Skalski załamał ręce, kiedy dowiedział się o aresztowaniach Marcelego i Moniki Reshke. Do tej pory o niczym nie wiedział. Nikt w całej komendzie nie poczuwał się do konieczności zawiadomienia go, choć wszyscy pracują w jednym budynku! Dopiero Gustaw Kowalski, pracownik RCUS-u, którego za radą Czerskiego wtajemniczał w swój plan, powiedział mu o tym jakby na marginesie. A stało się to w ten sposób, że rekomendując Marcelego jako człowieka absolutnie koniecznego do przeprowadzenia

całej operacji, wspomniał, że został on wczoraj aresztowany. Skalski udał, że o wszystkim wie i że nie stanowi to żadnego problemu. Wprost fantastycznie! W jakim świetle stawia to wydział kryminalny?

Po tej rozmowie Skalski gorączkowo wydzwaniał po całej komendzie i zbierał wszystkie brakujące informacje dotyczące RCUS-u. Było nie było, miejsce straszliwej patologii… Monika Reshke aresztowana za kradzież pieniędzy i informacji niejawnych, Norman Weiss — za handel narkotykami, Marceli, syn jednej z pracownic RCUS-u, za hakerstwo. Nawet strażnik miał przeszłość kryminalną. Do tego gdzieś po korytarzach firmy chadzał wielokrotny morderca.

Gorzko zażartował do Walczaka:

— Wiesz, zamiast ścigać zabójcę, wystarczyłoby do ich budynku dospawać kraty, postawić straż i nie wypuszczać ich stamtąd przez kilka lat.

12
17.35, komenda policji

Czerski już na nich czekał, przeglądając po raz tysięczny materiały, jakie dała mu Tores. Korzystając z jej komputera, skopiował je wszystkie na smartfona. Najważniejsza i tak była zawartość koperty. Zanim tutaj przyjechał, odwiedził laboratorium, gdzie sprawdzono odciski palców. Bez zdziwienia przyjął fakt, że było ich bardzo niewiele i należały do jednego kompletu rąk. Identyczne odciski zdjęto z pendrive’a w kopercie. Wykryto również ślady lateksu. Wychodząc, poprosił jeszcze o sprawdzenie, czy to ten sam lateks co na karcie pamięci znalezionej przy zwłokach Maury Zdowackiej.

Skalski i Walczak wtoczyli się do biura z nietęgimi minami.

— Czerski, gdzieś ty się, do cholery, włóczył? — przywitał go uprzejmie Skalski. Wiedział dobrze, gdzie był, bo skontaktował się z nimi przed południem, ale musiał wyrazić swoją dezaprobatę. — Oby to, co przywiozłeś, było warte twojego gapiostwa i nieobecności.

Czerski przyjął skruszoną postawę. Fakt, miał wczoraj odebrać dokumenty od Tores, ale wieść o kolejnym fałszywym tropie tak go rozkojarzyła, że jak przedszkolak zapomniał ich zabrać. Pojechał więc rano ponownie bez uprzedzenia kogokolwiek, a wtedy okazało się, że Skalski bardzo potrzebuje omówić z nim jakieś komputerowe zagadnienie. No kto by pomyślał… Na szczęście był w stanie wytłumaczyć pewne kwestie telefonicznie.

— Szefie, to się powinno przydać. — Podał mu kopertę.

— Materiały od tej dziennikarki?

— Nie tylko. Także od mordercy. — Czerskiego rozpierała duma, że mógł ich czymś zaskoczyć.

Walczak natychmiast zgasił jego ogień.

— I trzymasz to w łapach? Trzeba pobrać odciski palców! — huknął.

— Byłem w laboratorium. Nie ma żadnych odcisków palców, oprócz należących do Ani.

— Pokaż.

Czerski rozsiadł się wygodnie, lekko napuszony. Z namaszczeniem podał im najpierw anonim.

— Ten list Anna znalazła w swojej skrzynce pocztowej w sobotę późnym wieczorem. Cały dzień nie było jej w domu, więc nie potrafi powiedzieć, kiedy morderca — lub jego posłaniec — go dostarczył.

— Monitoring? — Skalski odebrał ostrożnie wydruk i przyjrzał mu się uważnie.

— W budynku nie ma. — Czerski był zadowolony, że udało mu się nie okłamać kolegów, ale i nie powiedzieć całej prawdy.

— To oryginał?

— Oryginał.

— Zanieś go później raz jeszcze do laboratorium. Niech sprawdzą rodzaj papieru, tuszu…

— Toneru — wtrącił odruchowo Czerski.

Skalski zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Toneru… — poprawił przeciągle. — A także obecność pyłków i zanieczyszczeń przemysłowych. Może uda się ustalić, w jakim rejonie miasta używano tej kartki.

17.40, prokuratura

Dimitri Oniegin był zdenerwowany i pociły mu się ręce. Co chwila wycierał je o spodnie, rękawy i bluzę, ale one wciąż pozostawały zimne i mokre. Nie chciał tutaj być, nie chciał powiedzieć tego, z czym przyszedł. Ale czuł, że tak musi. W końcu, przekonywał sam siebie w niekończących się dyskusjach toczonych we własnej głowie, że on tylko przekaże właściwym organom istotne, według niego, informacje. Czy są naprawdę istotne i czy organy zrobią z nich użytek, to już nie jego zmartwienie.

Oby tylko nikt z nowej pracy się o tym nie dowiedział…

Początkowo poszedł na policję. Tam dyżurny znudzonym tonem odpytał go o dane osobowe. Kiedy usłyszał, z czym przychodzi, aż mu długopis wypadł z ręki. Natychmiast wezwał jednego z posterunkowych i kazał zawieźć gościa do prokuratury, do Sary Skalskiej. Posterunkowy siedział teraz razem z nim na korytarzu i Oniegin nie był pewien, czy jest z nim dla towarzystwa, dla ochrony, czy też pilnuje go, by się nie rozmyślił i nie uciekł.

Wreszcie zjawiła się prokurator Skalska, co posterunkowy przyjął z wielką ulgą. Wyglądało, jakby miał odpowiedzieć głową, gdyby Oniegin się ulotnił. Skalska przedstawiła się krótko, podziękowała obojgu za przybycie i poprosiła zdenerwowanego interesanta do swojego biura.

— Powiedziano mi — zaczęła Skalska, włączając dyktafon — że posiada pan istotne informacje dotyczące śledztwa prowadzonego w sprawie śmiertelnych wypadków w firmie RCUS.

— Tak… tak myślę — rzekł gość. Był wystraszony i sprawiał wrażenie niewyspanego. Majestat i powaga budynku, w jakim się znalazł, asysta policji i sam fakt, że zdecydował się na to spotkanie, psychicznie go wykańczały.

— Jak się pan nazywa? — zapytała, przyglądając się uważnie jego twarzy. Wzrok jej przesuwał się po jego smutnych oczach, potem ku gęstej brodzie stanowiącej przeciwieństwo lśniącej łysiny głowy.

— Dimitri Oniegin — odpowiedział pewnie.

Zanotowała. Podobnie jak jego miejsce zamieszkania i dane kontaktowe.

— Czym chce się pan ze mną podzielić? — szybko przeszła do tematu.

17.45, komenda policji

Skalski skończył lekturę. Podał list Walczakowi i zwrócił się do Czerskiego.

— Co jeszcze masz?

— W kopercie, oprócz anonimu, były akta osobowe Nikodema de Bugaja i Kiliana Osika. — Podał obie kartki. — Zwróćcie uwagę na adnotacje o śmierci.

— Ktoś wyciągnął akta już w sobotę — mruknął Skalski. — I to po wprowadzeniu danych do systemu. W sobotę niewiele osób tam pracuje.

Łatwo będzie ustalić, kto był w biurach. Walczak, co myślisz o tym anonimie?

— To nasz zabójca. To jego szukamy. Napisał tutaj o dwóch morderstwach, ale trzecie miał już w planach. Sugeruje to zwrot: „doszło JUŻ do dwóch morderstw”. Tak, jakby oczekiwał ich więcej. Sama treść jest bardzo sztuczna, jakby unikał słów czy zwrotów, które mogłyby zdradzić jego styl pisania. Używa krótkich zdań, a cała treść ma klasyczny układ prezentacji. Mamy więc wprowadzenie, określenie celu i motywu działania, systematyczne podawanie szczegółów, wyrażenie oczekiwań. Wykształcony lub praktykujący w tej materii. Na końcu wzorcowe wykorzystanie reguły niedostępności z najważniejszymi czynnikami wzmacniającymi: świeżością informacji i rywalizacją. Ten człowiek wie, jak manipulować ludźmi.

Czerski był zdumiony.

— I to wszystko wiesz z paru linijek?

— Nie… z głowy. Aha, jest raczej niewierzący.

— Bo nie przestrzega piątego przykazania? Jaja sobie robisz…

— Nie, spójrz na te słowa: „nie mniej świętej pamięci”. Człowiek wierzący nie użyje takich słów, bo brzmią one jak kpina. To mniej więcej jak powiedzieć o przeoryszy zakonu: „siostra niejednokrotnie przełożona”.

— Pomoże nam to jakoś?

— Nie musimy szukać w kościołach.

Teraz wtrącił się Skalski.

— Z treści rzeczywiście wynika wszystko to, co ustaliła twoja Anna. — Nie nazwał jej już „twoją dziennikarką”. — Czyli to musi być ktoś z kierownictwa, ktoś z niewzbudzającym podejrzeń dostępem do akt osobowych; ewentualnie ktoś z działu bezpieczeństwa informatycznego firmy…

— Albo z kadr — podpowiedział Czerski.

— Te notatki — Skalski wskazał na adnotację o śmierci — musiały być zrobione w sobotę, a wtedy, poza szefową Elkebaum, nie było tam nikogo z działu kadr. Mieliśmy tam za to całą wierchuszkę dyrektorów. Nie było tylko tego, no… co poszedł w jakieś puszcze i nie było z nim kontaktu do poniedziałku.

— Donatana Relika — znów udzielił się Czerski.

— Właśnie. Donatana Relika. — Skalski myślał nad czymś intensywnie. — Czy można sprawdzić, kto i kiedy naniósł te informacje? Porównamy to z listą obecności. Relika możemy od razu wykluczyć.

— Jestem pewien, że da się to ustalić. — Czerski złapał za telefon. — Zadzwonię do Kowalskiego. Może nawet mają odnotowane, czy ktoś je pobierał.

17.50, prokuratura

Oniegin wziął głęboki oddech i zaczął chaotycznie opowiadać. Treść miał przygotowaną i przećwiczoną, ale teraz wszystko umknęło mu z pamięci.

— Od czego by zacząć… eee… — czuł się wybity z rytmu. — We wtorek dowiedziałem się z gazet o śmierci de Bugaja i Osika. A wczoraj w telewizji mówiono o Maurze Zdowackiej… Nie mogłem spać. Ciągle myślę o tej sprawie…

— Co pan wie o tych wydarzeniach? — Próbowała dotrzeć do sedna.

— Nikodema de Bugaja… to ja… ja go nagrałem.

— Pan zlecił zabójstwo? — Przeszedł ją lodowaty dreszcz.

— Nie! Nie! Absolutnie! Myślę tylko, że mój obecny pracodawca ma coś z tym wspólnego… Ja mu powiedziałem, że de Bugaj to najlepszy tester, którego mogę polecić do pracy u nas.

— Nie bardzo rozumiem. — Skalska poczuła się oszukana. — Co ma do rzeczy pański pracodawca? Gdzie pan pracuje?

— W start-upie Future Definition. Szesnaste piętro biurowca Cloud Bridge, ale dopiero od poniedziałku.

— Jaki ma to związek z morderstwem de Bugaja? — Cały czas miała wrażenie, że brakuje jej szerszego kontekstu.

Oniegin nabrał powietrza i powoli je wypuścił.

— Zacznę od początku. Moja nowa firma składa się niemal w większości z byłych pracowników RCUS-u. Prawie wszyscy oni pracowali wcześniej w wydziale dyrektora Relika. Ze względu na konieczność ciągłych redukcji personelu składał wybranym ludziom propozycje pracy właśnie w Future Definition. Tak jak i mnie.

— Ciekawe. On zawsze jest taki troskliwy? To chyba sprzeczne z interesem firmy, w której wciąż pracuje?

— Być może, nie znam się na wielkim biznesie. Może dlatego zawsze podkreślał, że w tej kwestii musimy zachować pełną dyskrecję. Zwalniany człowiek nie ma zbyt wielu opcji, zwłaszcza gdy spłaca kredyty. Nikt nie jest wtedy wybredny. Są i tacy, co zostali skuszeni interesującym przedmiotem pracy naszego start-upu.

— Gdzie w tym wszystkim jest de Bugaj? — zapytała zniecierpliwiona.

— Jakiś miesiąc temu, gdy byłem już na wypowiedzeniu, dyrektor Relik zapytał mnie, czy znam jakiegoś rzutkiego testera. Kogoś ogarniętego. Podsunąłem mu de Bugaja, a on poprosił, bym zapytał go delikatnie i w największej tajemnicy, czyby się nie skusił.

Skalska jeszcze bardziej pochyliła się nad biurkiem.

— Niestety odmówił — rozłożył ręce — a Relik był bardzo, bardzo rozczarowany. Dał mi to odczuć.

17.55, komenda policji

Czerski wybrał numer i czekał na połączenie. Już miał zrezygnować, gdy usłyszał w słuchawce znajomy głos.

— Kowalski, słucham! — Z trudem dało się go zrozumieć przez potężny szum.

— Mówi aspirant Czerski, potrzebujemy pewnej informacji.

— Teraz? Chcecie przyjechać do firmy? Jest już szósta, jestem prawie w domu. — Rozmówca, wbrew pozorom, miał też życie rodzinne.

— To ważne. Musimy wiedzieć, kto zaktualizował rekord w osobowej bazie danych po śmierci Kiliana Osika. O której mogę przyjechać?

— To nie będzie konieczne, panie inspektorze! — Kowalski uporczywie tytułował go inspektorem. — Zaloguję się z domowego komputera. Proszę dać mi pięć minut.

— Dobrze… — Czerski wyłączył mikrofon. — Niech to szlag, jak mogłem to przeoczyć.

— O co chodzi?

— Dostęp zdalny! Przecież mogą się zalogować do komputerów firmowych z dowolnego miejsca na świecie.

— To po co chodzą do pracy? — zapytał Walczak.

— W domu by tylko oglądali telewizję i popijali piwo — szepnął Skalski.

— Autor listu zrobił to tak. — Niezrażony przerywaniem Czerski tłumaczył: — Poczekał, aż dane personalne zostaną zaktualizowane przez kadry, potem wydrukował akta i zaniósł do Anny Tores.

— W tej sytuacji — podrapał się w głowę Walczak — ktoś, kogo w sobotę nie było w firmie, miał wręcz ułatwione zadanie. Tamtych mieliśmy na oku, przynajmniej przez pewien czas.

— Czekajcie… — Czerski uciszył ich i włączył mikrofon. — Panie Kowalski, czy ten system do obsługi kadrowej loguje również informacje dotyczące tego, kto i co drukował? — Wysłuchał krótkiej odpowiedzi i ponownie wyciszył mikrofon. — Mówi, że już jest przed drzwiami. Dobra wiadomość! Ten system loguje też drukowanie akt, bo taki jest wymóg dotyczący ochrony danych osobowych.

— To świetnie, Czerski. — Bez entuzjazmu odezwał się Skalski.

— Szefie, zaraz będziemy mieć nazwisko… — niecierpliwił się, przebierając niespokojnie nogami.

— Myślisz, że ktoś, kto zaplanował i dokonał trzech morderstw w budynku naszpikowanym komputerami, kontrolą dostępu i monitoringiem, zostawił swoje nazwisko w aktach ofiar?

18.00, prokuratura

Sara Skalska umiejętnie ukryła swoje rozczarowanie. Dyrektor mordujący pracownika, bo ten odmówił przejścia do jakiejś śmiesznej firmy? Ci programiści są kreatywni, ale to już była czysta konfabulacja.

— Rozumiem… Co dalej? — zapytała ciepło. Chciała już tylko dla formalności wysłuchać tego dziwnego człowieka mówiącego ze wschodnim akcentem.

— Wydaje mi się, że rozmawiali ze sobą. Niestety, to tylko moje przypuszczenie, ale Nikodem nagle zaczął mnie unikać w kantynie. Jakby się czegoś bał.

— Co dalej? — pogoniła go.

— Potem odszedłem z firmy, wykorzystałem urlop i od poniedziałku zacząłem w nowym miejscu. I już na drugi dzień w gazetach przeczytałem o śmierci de Bugaja. No i o śmierci Osika, oczywiście.

— Znał pan tego drugiego?

— Słyszałem nazwisko, przelotnie pewnie się spotkaliśmy, ale wątpię, bym go rozpoznał. Z prasy wiem, że byli przyjaciółmi.

— Co pan wtedy pomyślał?

— Trudno to określić. Byłem trochę wystraszony. Jednak po tym wczoraj… szok!

— Co pan ma na myśli? — Wskazała ręką dyktafon.

Oniegin zrozumiał, że nie chce mu wkładać w usta swoich myśli.

— Wczorajszy program telewizyjny, gdzie mówiono o RCUS-ie i o trzecim wypadku, a właściwie o morderstwie. O Maurze Zdowackiej.

— Znał pan Maurę Zdowacką?

— Dobre pół firmy wie, kto to taki.

— Co ją łączyło z de Bugajem i z Osikiem? — zapytała.

— Wiem, że de Bugaj pracował w jej pionie. Osik chyba też.

Skalska skinęła głową. Wiedziała o tym, teraz chciała też wiedzieć, jak bardzo jej gość się orientuje w relacjach w RCUS-ie.

— Czy z de Bugajem łączyły ją jakieś inne stosunki niż służbowe? — zapytała.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Byli przyjaciółmi, często wzajemnie wspierali się w pracy. I tak myślałem o tym przez całą noc. Pytałem siebie: dlaczego to właśnie oni nie żyją? I tak sobie wymyśliłem, że przyjaźń polega na dzieleniu się różnymi tajemnicami.

— Słusznie. — Pokiwała głową, zachęcając do dalszego mówienia.

— Czyli jeden powiedział drugiemu o działalności Relika.

Zamilkł, a ona zastygła. Zaczęła do niej docierać jakaś straszna logika tego wywodu.

— Wie pani… — Oniegin ściszył głos. — Ja w rozmowie z de Bugajem nie wymieniłem nazwiska dyrektora, bo ten mi wyraźnie tego zabronił. Ale potem stało się coś, czego dyrektor Relik nie przewidział. Myślę, że spotkał

się z de Bugajem, ale coś poszło nie tak. Odsłonił się i nie było odwrotu. De Bugaj mógł poczuć moralną odpowiedzialność, poczucie zdrady, złamanie zasad etyki zawodowej lub coś w tym stylu. A może odwrotnie, wypaplał przyjaciołom i zaczęli szantażować dyrektora… Gdyby poszli z tym do Farneya, ten by i sprawę, i samego Relika załatwił w pięć minut. Wystarczyłoby zgłoszenie na policję, przesłuchanie naszego szesnastego piętra i po człowieku… Nie wykpiłby się, że to pomówienia i że nie rekrutował. Wszystkim ust nie zamknie.

— Owszem. Zastanawia mnie jednak… — odchyliła się, krzyżując ręce na piersiach — dlaczego on to robi. Jaki jest związek Relika z tym start-upem?

— Jak to?! Nie mówiłem?! Relik go założył. Jest jego właścicielem.

18.05, komenda policji

Czerskiemu zrzedła mina. Spojrzał tylko ponuro.

— Dam na głośnomówiący. — Włączył mikrofon. — Panie Kowalski, włączyłem głośnik zewnętrzny. Są tutaj podinspektor Skalski i komisarz Walczak.

— Witam ponownie panów inspektorów. Czego mam szukać?

— Akt Kiliana Osika. Kto i kiedy naniósł informację o jego śmierci.

— Moment… Jest! Pani Diana Pytlik, w poniedziałek o 10.33.

— Kto to jest?

— Nie wiem, sprawdzam… Szeregowa pracownica działu kadr. Pracuje u nas od roku. Rany boskie, to one tak mało zarabiają? — Zatroskał się.

— Nieważne — przerwał mu Czerski. — Ktoś musiał aktualizować rekord w sobotę.

— Nie. Nie ma żadnych logów z soboty. Poprzednia aktualizacja była cztery miesiące temu, chyba z okazji dorocznych premii.

— A kiedy ostatnio drukowano jego akta?

— W poniedziałek o 13.14. Prezes firmy Gabriel Aivar — odpowiedział Kowalski po chwili.

— Mam przed nosem wydruk z soboty, gdzie widnieje adnotacja o śmierci Osika.

— Poszukajmy więc z drugiej strony. W prawym górnym rogu jest kod QR. Widzi go pan?

— Tak.

— Proszę go zeskanować. To clear tekst, zawiera datę, id usera i numer kontrolny.

Czerski uruchomił aplikację do kodów QR i go zeskanował.

— Same jedynki…

Skalski i Walczak przypatrywali mu się z zaciekawieniem, ale bez zaskoczenia.

— Panie komisarzu czy inspektorze… — odezwał się Kowalski tonem wskazującym na chęć zakończenia dyskusji. — Nie wiem, co pan tam ma. Powiem tyle: dane nie były aktualizowane w sobotę. Nie były też w sobotę drukowane. Nie zostały one wykonane w naszym systemie kadrowym. Czy mogę jeszcze jakoś panu pomóc?

— Nie… na razie dziękuję. — Czerski się rozłączył i spojrzał zdezorientowany na towarzyszy. — Te wydruki są spreparowane… Wyglądają jak oryginalne, ale to podróbki. Wystarczyło użyć właściwego szablonu akt i dopisać trochę tekstu…

Skalski założył nogę na nogę.

— Jak zrozumiałem, morderca zabezpieczył się, na wypadek gdyby te akta trafiły w nasze ręce. Miały za zadanie wyłącznie przykuć uwagę dziennikarki, bo ona nie miała narzędzi i uprawnień do ich weryfikacji. No cóż, może wrócimy do bardziej klasycznych metod śledztwa.

18.10, prokuratura

Elementy puzzli zaczęły do siebie pasować i powoli wyłaniał się z nich jakiś obraz.

— To bardzo cenne informacje — podsumowała Sara Skalska. — Jak pan przypuszcza, dlaczego de Bugaj odmówił przejścia? O ile wiem, to start-upy dobrze płacą swoim pracownikom.

— Ale nie ten — odparł Oniegin. — Future Definition płaci stosunkowo mało, nawet bardzo mało. Pracujemy za obietnicę wielkich udziałów po udanej sprzedaży naszego produktu. Z tego, co wiem, to firma sprzeda się jakiemuś wielkiemu koncernowi za ogromne pieniądze. Taka kolej rzeczy.

— Sprzeda się za ogromne pieniądze — powtórzyła Skalska. — Dziękuję panu. Bardzo nam pan pomógł.

Kiedy wyszedł, chwyciła za telefon i wybrała właściwy numer.

— Piotr? Mam coś. Usiądź i słuchaj…

18.10, komenda policji

Skalski spojrzał ze współczuciem na Czerskiego, którego entuzjazm mocno opadł.

— Masz jeszcze coś…

Przerwał mu charakterystyczny sygnał komórki. Przeprosił gestem i odebrał.

— Saro, nie spodziewałem się…

— Piotr? Mam coś. Usiądź i słuchaj… — Usłyszał w słuchawce podniecony głos.

Usiadł i słuchał.

Czerski również przysiadł i patrzył tępo w dokumenty od Tores.

— Ciekawe, naprawdę ciekawe — mruknął Skalski. — Możesz do nas przyjechać?… Świetnie, czekamy. — Rozłączył się.

Walczak spojrzał z zainteresowaniem.

— Mamy przełom? — zapytał.

— Możliwe… U Sary był ktoś, kto dał nam motyw morderstw… motyw dla jednego z dyrektorów.

— Którego? I jaki motyw?

— Donatan Relik… Jest właścicielem jakiejś firmy, ale wszedł w konflikt interesów, a de Bugaj, Osik i Zdowacka o tym wiedzieli.

Walczak popatrzył na niego, mrużąc oczy.

— Relik? Relik mordercą? Powiem wam, że on byłby moim ostatnim typem. Gdybyś powiedział Szefler albo Farney… Co myślisz, Czerski?

Czerski podniósł głowę, nie do końca rozumiejąc, czego od niego chcą. Skalski przypomniał sobie o jego istnieniu.

— A właśnie, młody, skończmy twoją sprawę. Masz coś jeszcze od twojej Tores?

Czerskiemu zachciało się śmiać.

— Taaak, maaam… maila… — zaczął wariacko chichotać. — Maila, rozumiecie? Mam maila! Facet kontroluje wszystkie komputery i systemy w tej cholernej firmie, wodzi nas za nos, jak chce. Teraz słyszę, że ktoś tam robi jakieś wielomilionowe interesy, a ja wam mówię, że mam od niego maila! Jednego maila! Z treścią na całą jedną linijkę! Czerski, spec od komputerów, przynosi wam jednego maila! — Aż poczerwieniał od histerycznego ataku śmiechu.

Po chwili się opanował, bo spojrzeli na niego troskliwie.

— Przepraszam. — Podał Skalskiemu ostatni wydruk. — To mail z wtorkowego wieczoru, wkrótce po zabójstwie Zdowackiej.

Skalski zmrużył oczy, a potem szeroko je otworzył. Walczak, widząc to, aż zerwał się z miejsca i wyrwał kartkę z jego rąk.

„Rano w RCUS-ie. Naostrz laptopa”.

— Co jest? — Czerskiemu zupełnie przeszła głupawka.

— „Naostrz laptopa”. Te słowa słyszeliśmy już w RCUS-ie. Jakoś pierwszego czy drugiego dnia… — szepnął Skalski i spojrzał na Walczaka. — Pamiętasz?

— Pamiętam… to było takie idiotyczne… „Bierzcie się do roboty, chłopcy! Naostrzyć laptopy!”

— Kto to powiedział? — dopytywał Czerski.

— Donatan Relik.

13
18.30, siedziba RCUS-u, biuro Farneya

Farney miał wyjątkowo kwaśną minę. W jego biurze miotał się Aivar, był też szef nowo zatrudnionej firmy ochroniarskiej i mundurowi.

— Czy ktoś może mi wytłumaczyć, jak do tego doszło? Przecież zatrudniliśmy waszą firmę — wycelował palcem w szefa ochroniarzy — aby zapewnić bezpieczeństwo. I co się dzieje?

— To naprawdę bardzo nieprawdopodobny zbieg okoliczności… — próbował się tłumaczyć gość. — Nasi ludzie robili wszystko według wytycznych pana Farneya. Tam, gdzie byli obecni, nie doszło do żadnych incydentów.

— Więc dlaczego nie było ich w tym garażu? — zapytał wściekły Aivar.

— Odprowadzaliśmy ludzi do garażu, do wybranych przez nich drzwi. Stamtąd mieli ledwo kilkanaście metrów do swoich samochodów…

— I na tych kilkunastu metrach dochodzi do czegoś takiego! Dwóch debili napada na jakiegoś karatekę, żeby go postraszyć. Ten rozkwasza nos i wybija zęby jednemu, drugiemu łamie rękę. Inny mądrala macha na ślepo pałką teleskopową, rani przechodzącą obok dziewczynę, która miota wokół gazem pieprzowym. Co to ma być? W pierwszy dzień waszej ochrony czworo ludzi trafiło do szpitala! Mamy tutaj firmę IT, a nie obszar z *Igrzysk śmierci*!

— Naprawimy ten błąd. — Szef ochrony przyjął postawę ugodową. — Będziemy ich chronić. Także przed nimi samymi.

14
19.15, mieszkanie Gustawa Kowalskiego

Kowalski był drażliwy jak rzadko kiedy. Oczy łzawiły mu od wpatrywania się w monitor, na podłodze walały się puszki po piwie i napojach energetyzujących, gdzieś przy kanapie leżały tłuste pudełka po pizzy. O miejsce na biurku walczyły ręczne notatki z diagramami, najróżniejsze podręczniki informatyczne i wielki rysunek penisa.

Żona chodziła wokół niego na palcach, a ostatnimi dniami zaglądała tylko po to, by nieco posprzątać. Dzieci uciekały do swojego pokoju i patrzyły na ojca ze strachem. Koledzy początkowo sobie kpili, ale kiedy wyłączył wszystkie komunikatory internetowe i od soboty nie wrzucił niczego na Facebooka, zaczęli się martwić. Niektórzy nawet użyli smartfona do jego pierwotnej funkcji. Wykonali telefon.

W słuchawkach na uszach nie usłyszał dzwonka do drzwi. Otworzyła żona i widząc policyjną odznakę, wpadła w panikę. Kowalski gapił się w ekran i klął pod nosem, zgniatając kolejną puszkę. Kiedy zobaczył Czerskiego, na jego twarzy pojawił się wyraz całkowitej rezygnacji.

— Mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro, ale pańska pomoc jest nam niezbędna — zagaił Czerski. — I to natychmiast.

— Panie komisarzu czy inny oficerze… jestem kurewsko przemęczony. Choćbym chciał, to nie dam rady, po prostu fizycznie się nie wyrobię. — Zawisł na krześle niczym wymięty flak.

— Dyrektor Farney mówił, że w waszym dziale jest albo pożar, albo… wielki luz. Jak na pana patrzę, to chyba gasi pan Rzym podpalony przez Nerona.

— Taka karma… I sam się w to wpieprzyłem, uwierzyłbyś? — Nieświadomie przeszedł na ty. Czerski był w jego wieku, miał podobne zainteresowania i gdyby pracowali razem, byliby pewnie najlepszymi kumplami.

Opowiedział mu o sprawie ze skradzionym kodem. Od początku, od zeszłotygodniowego piwka jednego z programistów, śmiesznej historii z dziwacznym błędem u kolegi z AMOD-u, identycznym błędem w aktualnym kodzie RCUS-owego systemu, wizycie u Farneya z dowodem kradzieży kodu i w końcu o robocie, jaką Farney go zarzucił.

— Wyobrażasz to sobie? — kończył smętnie dobry kwadrans później i opowieść, i kolejne piwo. — Ludzie wariują przez te morderstwa, każdy chodzi wkurwiony i spięty. A ja jeszcze bardziej ich wkurwiam, utrudniając dostęp do ich własnych komputerów, instalując jakieś skanery i loggery. A oni nie są głupi, widzą to przecież, wiedzą, że są szpiegowani, podejrzewani… A to skupia się na mnie, patrzą na mnie jak na wroga…

Zgniótł pustą puszkę. Oczy już błyszczały mu od alkoholu. Czerski też pociągnął z puszki.

— I do tego masa, masa danych do analizy. Widzisz to? — machnął w kierunku wygaszonego już monitora. — Piszę tony skryptów do analizy. Skrypty do szpiegowania zawartości dysku, inne do szpiegowania pendrive’

ów, inne do rejestrów, do dziennika zdarzeń, ba, a najważniejsze do dłubania po repozytoriach kodu. Kto kopiował, gdzie kopiował, kiedy, czy jest mu to potrzebne. I co z tym zrobił. Bo jak nic, to może chciał tylko skopiować? I sprawdzaj teraz, czy nie przegrał ich na pendrive'a… Kurwicy można dostać, a jest dwa tysiące ludzi do kontrolowania.

Czerski pokiwał głową ze zrozumieniem. Współczuł Kowalskiemu, ale i tak nie miał wyjścia.

— Twój udział w operacji jest konieczny… Mogę zrozumieć, że szpiegostwo przemysłowe to bardzo poważna sprawa, ale mamy morderstwo… Mamy trzy morderstwa… To najcięższa zbrodnia… Więc w imieniu prawa proszę obywatela Gustawa Kowalskiego o pomoc w śledztwie. Kto wie, może jest tutaj jakiś związek… — niezdarnie rzucał przynętę Czerski.

— Też tak podejrzewam! Powiedziałem to nawet Farneyowi. Ale wiesz, jak to brzmi, taka teoria spiskowa. Coś się dzieje, to szukamy faktów i tworzymy interpretacje, by je powiązać w logiczny sposób. Przecież nie może być tak, że ktoś zginął przez przypadek. To głupia śmierć. Na pewno był spisek…

— A ty jakie miałeś podejrzenia?

— Spiskowe oczywiście! To było w czwartek czy w piątek, czyli… czyli po de Bugaju. Wysnułem sobie taką teorię: de Bugaj wiedział, że ktoś wynosi kod źródłowy systemu, i dlatego musiał zginąć. Albo dlatego, że wiedział kto, albo dlatego, że chciał się dopuścić szantażu.

— Miałeś jakieś wskazówki? — Czerski zajrzał do pustej już puszki.

— Coś ty! Przecież mówię, że wymyśliłem klasyczną teorię spiskową. Taka teoria wszystko tłumaczy, ale niczego nie udowadnia. A kiedy zginął Osik… to już byłem pewien, że mam rację. Tyle że wtedy Farney zarzucił mnie robotą i nie mogłem jej rozwinąć…

— A dlaczego byłeś pewien po Osiku, że twoja teoria jest słuszna?

— Osik był narkomanem… pewnie to wiecie z sekcji… i hazardzistą. Przegrał masę kasy, a musiał mieć jeszcze na dragi. Jakiś czas temu jego kłopoty finansowe się skończyły. Oddał mi kasę. Chwalił się, że wygrał w kasynie, ale wiesz… kradzież kodu, jego kasa, potem zgon… Wszystko się ułożyło w logiczną całość. Niestety, nie zdążyłem dobrać mu się do kompa i zainstalować szpiegującego softu… a teraz zostały tylko domysły.

Czerski w myślach się z nim zgodził. Dzisiaj miały przyjść różne raporty dotyczące Osika, między innymi operacje bankowe. Pewnie przyszły, tylko nikt się nimi nie zajął, bo…

— A Zdowacka? Też ci pasuje do teorii?

— Ona tak średnio… Ale przez to gówno — uderzył ręką w notatki i książki — nie miałem czasu nad tym pomyśleć. Pasuje o tyle, że ma dostęp do całego kodu i wszystkich dokumentów architektonicznych. W końcu sama je pisała. Z drugiej strony… zarabiała tutaj taką kasę, że nie wierzę, by się sprzedała. Wiesz, że jej pensja była wyższa niż Szeflera czy Farneya?

Chciał otworzyć kolejne piwo, ale Czerski powstrzymał go stanowczym gestem. Na sekundę w oczach Kowalskiego zapaliła się wściekłość, ale skinął głową i podał puszkę Czerskiemu, który uprzejmie odstawił ją poza zasięgiem wzroku Kowalskiego.

— A Farney… a Farney to jest kutas… Nazywaliśmy go Świętym Bernardynem, bo gość jest spoko. Robił kasę dla firmy, w sprawy bezpieczeństwa bardzo się nie wtrącał, prowadził raczej luźny nadzór. Miał też dział *security*, bo to za mały dział, by robić dla niego osobny dyrektoriat. Ale, kurde, powinien o to bezpieczeństwo dbać! I węszyć jak prawdziwy pies bernardyn, gdy coś się dzieje!

— A co zrobił?

— No właśnie… Nic. Powiedziałem mu, że to niesamowity zbieg okoliczności, że de Bugaj zginął akurat wtedy, kiedy ktoś zajebał nam nasze kody źródłowe. Że może jest tutaj jakiś związek? A co na to ten kutas? — Wpływ alkoholu na zachowanie Kowalskiego był już widoczny. — Teoria spiskowa! Mówię mu, że może powinniśmy was, policjantów, o tym poinformować… A co na ten kutas? Że to sprawa szpiegostwa przemysłowego i sami ją załatwimy… Powinienem przyjść z tym do was, ale go posłuchałem.

— Farney nie chciał, byśmy się o tym dowiedzieli? — Czerski był zaskoczony. W takich okolicznościach każde odstępstwo od normy powinno być wzięte pod uwagę.

— Chciał to utrzymać w całkowitej tajemnicy, bo to druga taka sprawa za jego kadencji. Jakby się zrobiło głośno, to źle by o nim świadczyło jako o dyrektorze od bezpieczeństwa. A wcześniej była sprawa z Nielsenem. Gostek wynosił kody źródłowe na pendrive’ach. Złapaliśmy go, właściwie to Farney go złapał, na gorącym uczynku. Nielsena wywalono dyscyplinarnie, sprawę wyciszono, żeby nie psuć wizerunku firmy, a mnie Farney awansował na kierownika. Wtedy zadziałał sprawnie, a teraz wszystko zwalił na mnie…

— Pewnie przejmuje się morderstwami…

— Pewnie tak… W sumie jest spoko, ale to handlowiec… Potrafiłby sprzedać domowy bimber jako wykwintny koniak. — Czerski odruchowo pomyślał o Walczaku. — Kiedyś pracował w *security*, zna od podszewki całe te systemy łącznie z monitoringiem, zdalnym dostępem i w ogóle. Nawet to sprzedaje… Ale wiesz, jak teraz jego rozkazy rozpieprzają całą firmę? Ech… Chętnie bym to rzucił, bo już rzygam tymi skryptami perlowymi i innymi. — Westchnął ciężko. — Co miałbym dla was zrobić?

Czerski przymknął oczy. Zastanawiał się, jak delikatnie powiedzieć Kowalskiemu, że będzie musiał napisać kolejne zestawy skryptów.

— Pomogę wam — usłyszał — ale sam nie dam rady. Muszę mieć Marcelego do pomocy. To absolutnie konieczne. Gdziekolwiek jest, wyciągnijcie go.

15
22.30, RCUS

Od ponad godziny grupa operacyjna złożona z wtajemniczonych pracowników i techników kryminalistyki urządzała się w kilku wydzielonych pomieszczeniach firmy. W jednym rozstawili komputery, a w drugim montowali kamery i mikrofony.

Czerski, mimo późnej pory i zmęczenia, jak małe dziecko biegał od jednego specjalisty do drugiego, koordynując prace techniczne i dopytując o wszystkie detale. Zamartwiał się, gdy coś było nie po jego myśli.

Skalski właśnie odebrał kolejną wiadomość od obserwacji, że wszyscy dyrektorzy świętujący odejście prezesa Aivara są już w domach. Teraz czuwają pod ich oknami. Trochę żałował, że nie wykorzystał tej okazji lepiej. Chodziło mu po głowie kilka wariantów, ale żaden nie prowadził do oczekiwanego rezultatu. Po prostu nie zgrał tempa. Dlatego teraz trzeba trzymać się ustalonego wcześniej planu. Zauważył, że w drzwiach pojawił się znajomy technik. Stanął tam czerwony z wściekłości ze spodniami mokrymi w kroku.

— Problem z prostatą? Nie zdążyłeś do ubikacji? — zadrwił ktoś siedzący z tyłu, otoczony trzema laptopami.

— Co się stało? — zatroskał się Skalski, oblewając zimnym wzrokiem pyskatego młodzieńca.

— Pieprznięty kibel — zaklął zmoczony technik. — Sikam do pisuaru, a tu nagle ciach, zgasło światło. Co miałem robić? Wziąłem telefon, by sobie poświecić…

— I co?

— Nic. Jak skończyłem i chciałem sobie strząsnąć, to mi, cholera, wypadł z ręki i wpadł do środka.

— Fiut ci wypadł? — Twarz Skalskiego oblał uśmiech niedowierzania.

— Telefon! Cofnąłem się o krok w pierwszym odruchu, ale wróciłem i sięgnąłem po urządzenie, bo wciąż świeciło i wtedy włączyła się automatyczna spłuczka. Woda pochlapała mnie po rękach, telefonie i poszły kaskady na spodnie. Kurwa mać!

— Ale umyłeś ręce, wychodząc z ubikacji? — Inżynier zginał się ze śmiechu.

— Może byś się bardziej skupił na robocie. — Ponaglił przemęczony i pijany Kowalski, który już dawno stracił wszelkie poczucie humoru.

„Tutaj ludzie naprawdę mogą oszaleć” — pomyślał Skalski i zastanowił się przez moment, czy te wszystkie anomalie inteligentnego budynku realizują jakiś ukryty plan.

***

Tuż przed północą przywieziono Marcelego, który żwawo zabrał się do roboty zaraz po wdrożeniu w temat. Na prośbę Skalskiego komendant Głowa w porozumieniu z prokuratorem rozkazali go wypuścić.

Walczak zastanawiał się, co też musieli mu obiecać, by skłonić go do współpracy. Jako że nie miało to teraz żadnego znaczenia, odłożył to frapujące zagadnienie na później i zajął się kontrolowaniem stanu przygotowań.

Sala konferencyjna została już przygotowana zgodnie z jego wcześniejszymi wytycznymi. Z jednej strony owalnego stołu, którego wartość musiała wielokrotnie przekraczać wartość luksusowej limuzyny, postawiono dwie kamery HD, i tak dobrano powiększenie, by obie wspólnie obejmowały wszystkich uczestników. To dawało wystarczająco dobrą jakość obrazu, by zauważyć mimikę uczestników. Obraz z kamer i mikrofonów transmitowany był do sąsiedniej sali, gdzie za monitorami przygotowano wygodne siedziska dla Walczaka i Czerskiego. Trzecią kamerę podwieszono pod sufitem i obejmowała ona szerokim kątem niemal cały pokój. Ta jako jedyna była teraz włączona.

Mikrofony zamontowane w sali przez specjalistów pracowni fonoskopijnej miały na celu zebranie próbek głosu, które posłużą błyskawicznie przeprowadzanej wstępnej analizie porównawczej. Wszystko w celu wytypowania osoby podejrzanej, której wzorzec głosu nagrany smartfonem Zdowackiej zestawi się z bieżącymi wypowiedziami. Technicy przeprowadzali właśnie testy, by zminimalizować czas całego procesu od rejestracji do uzyskania wyniku identyfikacji.

Walczak chwilowo niczym się nie zajmował, lecz chcąc mieć oko na wszystko i do samego końca, wcielił się w rolę mentora od spraw przesłuchań. Wyjaśniał lekko już przysypiającemu Czerskiemu, że często tak postępują w sprawach wyjątkowo zawikłanych. Postawienie podejrzanego w krzyżowym ogniu pytań powoduje, że zaczyna się gmatwać i gubić w zeznaniach. Zwłaszcza jeżeli rzeczywiście jest winny. Zasada jest dość prosta: jeśli coś jest prawdą i świadek był uczestnikiem prawdziwych zdarzeń, to z łatwością przyjdzie mu o nich opowiadać z różnych punktów widzenia. Jeżeli kłamie, to przed każdą odpowiedzią jego mózg musi przygotować właściwe postrzeganie wydarzenia, i to w kontekście poprzednich zeznań, które w wypadku kłamcy są zmyślone.

— Kłamstwo wymaga znacznie większej mocy mózgu, by było wiarygodne — opowiadał Walczak. — Potrzebne jest całkowite skupienie się na sprawie, zapamiętanie wszystkich wymyślonych szczegółów, osadzenie ich w rzeczywistym kontekście, o którym wiedzą śledczy, a jednocześnie kontekście wymyślonym, znanym jedynie sprawcy. Samo to jest już w sobie wyczerpujące psychicznie. Chcesz mały test? — zapytał z uśmieszkiem.

Czerski, który w szkole policyjnej miał również zajęcia z psychologii i przygotowywano go do prowadzenia przesłuchań, chętnie się zgodził.

— Powiedz mi, co robiłeś wczoraj, w kolejności chronologicznej, przy czym między wydarzenia prawdziwe wpleć jedno lub dwa fałszywe.

— OK, rano wziąłem prysznic, potem zjadłem śniadanie, przyjechałem do pracy, zadzwoniłem do dziewczyny, poszedłem wspólnie z wami na lunch, pracowałem nad sprawą, znów zadzwoniłem, zjadłem kolację, obejrzałem dwa odcinki serialu i poszedłem spać.

— Dobrze — skinął głową Walczak. — Teraz to samo zadanie, tylko w odwrotnej kolejności.

— Więc… poszedłem spać — Czerski odpowiadał wyraźnie wolniej — obejrzałem dwa odcinki serialu, pracowałem…, nie, zadzwoniłem do dziewczyny, pracowałem…

— Nie dzwoniłeś do dziewczyny po południu — przerwał mu Walczak. Czerski nawet nie próbował protestować. — Kiedy wstawiłeś fałszywe wydarzenie, zaburzyłeś ciąg wydarzeń, a twój mózg jeszcze się do tego nie przyzwyczaił, stąd taki wysiłek w przypominaniu sobie faktów i uważaniu, by we właściwie miejsce wstawić zmyślenie. Widzisz, taki prosty test, a wielu go oblewa. Tyle że ty byłeś zaskoczony pytaniem. Gdybyś popełnił jakieś przestępstwo, to wiedząc o przesłuchaniu, tak często układałbyś w

głowie scenariusze wydarzeń, że z łatwością byś go przeszedł. Dlatego musimy odwołać się do bardziej wyrafinowanych metod.

Od strony Kowalskiego i Marcelego dobiegły ich ciche, acz soczyste przekleństwa. Obaj pracowali na najwyższych obrotach, czując, że nigdy ich praca nie miała takiego znaczenia jak to, co właśnie teraz tworzą. Walczak obrzucił ich pełnym uznania spojrzeniem.

Dalej wyjaśniał różne metody przesłuchań. Czerski słyszał to już wcześniej, na zajęciach w szkole, ale to, co słyszał teraz, brzmiało zupełnie inaczej. Pasja wypowiedzi, absolutna bezbłędność wniosków, płynność i przebogate słownictwo pokazywały zupełnie innego Walczaka niż głupkowaty filozof z piersiówką. Czerski zorientował się, że Walczak jest w swoim żywiole. Oczy mu płonęły, ruchy były pewne, zdecydowane, każdy szczegół pokoju przesłuchań, w jaki zmieniła się sala konferencyjna, był sprawdzony, poprawiony i ponownie sprawdzony.

Większość przestępstw jest popełniana w afekcie, opowiadał Walczak, szczególnie takie jak morderstwa. Zwykle jest jeden podejrzany, pozostawia za sobą masę śladów, głównie dlatego, że nie planuje takiego obrotu sprawy. Złapanie go to kwestia czasu. W trakcie przesłuchania z łatwością można wskazać momenty, w których kłamie. Przesłuchanie jest wymogiem prawnym, a w takich przypadkach oczekuje się po prostu przyznania do winy, co upraszcza i przyśpiesza proces.

Prawdziwym testem umiejętności staje się zbrodnia zaplanowana przez mordercę obdarzonego ponadprzeciętną inteligencją. Plan zabójstwa zwykle zakłada zapewnienie sobie alibi, zatarcie śladów, ukrycie motywu. Często prowokowany jest wypadek albo przypadkowe zabójstwo, na przykład na tle rabunkowym. Wówczas śledztwo kręci się wokół własnego ogona, szukając błędu, jaki popełnił morderca — jeśli ograniczyć się tylko do najcięższych zbrodni.

Zwykle taki błąd jest popełniany i od przenikliwości i doświadczenia oficera prowadzącego zależy, czy i jak zostanie wykorzystany. Często błędem jest luka w rozkładzie dnia, niespójne alibi, niewiarygodny świadek — zdarzeń może być tyle, ile przestępstw. Śledczy muszą zacząć drążyć wokół tego, ale im głębiej drążą, tym bardziej przestępca, zwłaszcza wyrafinowany, zaczyna się przygotowywać do gry z policją. Przesłuchania są ważnymi jej elementami. Oskarżony zwykle wie, o co będzie pytany, a przesłuchujący zwykle wie, co usłyszy w odpowiedzi. Wie też, że oskarżony będzie kłamał.

Sam fakt skłamania nie jest wystarczającym dowodem dla sądu, w świetle prawa jest to zresztą jak najbardziej legalny środek obrony. W końcu nikt nie musi oskarżać samego siebie. Śledczym wskazuje jednak kierunki, gdzie należy drążyć dalej, mogą przygotować bardziej wyrafinowane scenariusze przesłuchań, bardziej szczegółowe pytania i liczyć na to, że oskarżony w końcu pogubi się we własnych zeznaniach. Czasem tak się dzieje, a czasem nie. Niedoświadczony policjant może wówczas odpuścić, nawet doświadczony może odpuścić, wiedząc, że podejrzany jest winny, ale nie potrafiąc mu ani dowieść winy, ani skierować śledztwa na nowe tory.

Niektórzy z policjantów mają coś, co kiedyś nazywano szóstym zmysłem albo podskórnym czuciem, a dziś jest to sztuka opisywana przez behawiorystów — umiejętność pozawerbalnej komunikacji — czytania mowy ciała i mikroekspresji twarzy. Taki człowiek potrafi uzyskać odpowiedź od kogoś, kto nawet ust nie otworzy. Wystarczy bardzo uważnie obserwować podejrzanego i zadawać mu właściwe pytania. Usta milczą, ciało śpiewa.

Z dwóch przystojniaków jeden potrafi co wieczór wyjść z baru z nową dziewczyną, a drugi kończy drinka samotnie. Jak to jest, że jedno

odwzajemnione spojrzenie od nieznajomej kobiety zachęca nas do nawiązania z nią kontaktu lub od tego odpycha? Dlaczego idąc do szefa po podwyżkę, rezygnujemy, widząc go przez ułamek sekundy, czując, że jest w złym nastroju? Dlaczego w chwili, kiedy ktoś mówi coś, co nam się nie podoba, nagle za najwygodniejszą pozycję uznajemy splecenie rąk na piersi? Dlaczego ktoś, odpowiadając na nasze pytanie, skierował oczy na ułamek sekundy w górę w prawo, a ktoś zupełnie inny w górę w lewo?

Cały ogrom takich zachowań został skatalogowany, opisany i poddany statystycznej analizie. Ludzie, którzy reagują na te obserwacje, nawet nie zdając sobie sprawy, komunikują się z innymi na poziomie behawioralnym, ewolucyjnej spuściźnie czasów, kiedy nie mieliśmy wykształconych werbalnych mechanizmów komunikacji.

— Tak więc — kończył wykład Walczak — to natura wyposażyła nas w przebogate możliwości wyrażania swoich zamiarów i emocji, ale ewolucja języka sprawiła, że przestaliśmy zwracać na to uwagę. Do prawdziwej tragedii w tym względzie doszło po powstaniu społeczeństw cywilizowanych, upaństwowionych, z bogatym życiem społecznym i religijnym. Rytuały kulturowe i religijne wybiły się na wierzch naszych zachowań, zakrywając cały nasz animalizm. Jednak nie da się tak łatwo usunąć z genów milionów lat ewolucji, kiedy to komunikacja pozawerbalna była jedyną dostępną i musiała wyrażać wszystko: chęć posiadania potomstwa, definiowanie zagrożeń, wskazywanie pożywienia, odstraszanie wrogów, panowanie nad terytorium. Człowiek nie jest w stanie nad tym zapanować, a my mamy za zadanie to odczytać.

— Więc po to te kamery?

— One mają zarejestrować całość emocji, na wypadek gdybyśmy chcieli coś odtworzyć lub przyjrzeć się uważniej. Skalski nie może obserwować wszystkich z należytą uwagą, a nam przydadzą się zbliżenia na ich twarze.

Siedzimy dość daleko i nie zdołamy zauważyć mimicznej mikroekspresji. A to jest kluczowe, jeśli chcemy zareagować i prowadzić rozmowę w pożądanym kierunku. Idź do tamtej sali i zajmij miejsca naszych obiektów, sprawdzę jeszcze raz ostrość — polecił, włączając dwie bliźniacze kamery. — Przetestujemy też ponownie mikrofony.

Rozdział 12

Dzień sprintu 10/10. Piątek – Retrospektywa

1
8.35, RCUS, gabinet prezesa Aivara

„Ostatni dzień pracy” — westchnął Aivar wpatrzony w widok za oknem. Niemal utonął w swoim obrotowym skórzanym fotelu.

W odróżnieniu od wszystkich niewiele miał dziś do zrobienia. Z samego rana rozdał zadania i narzucił wszystkim dyrektorom wysokie tempo pracy. Przyśpieszone odejście sprawiło, że mnóstwo spraw należało domknąć bądź zrewidować, ustalić status niektórych. Miało to skutkować łagodnym otwarciem dla nowego lidera. To była oficjalna wykładnia, którą wszystkim przedstawił na porannym briefingu.

Inny powód był taki, że szukał pretekstu, by zająć czymś całą kadrę kierowniczą na cały dzień. Taka była prośba inspektora Skalskiego. Kierownictwo powinno tonąć w obowiązkach tak bardzo, by nie zauważyć przygotowań policji na terenie zakładu. Niestety, wystraszeni pracownicy woleli pracować z domu, a to nie pozwalało na zbudowanie właściwego klimatu. Dlatego jeszcze poprzedniego wieczoru na jego polecenie wystosowano jasny komunikat drogą mailową, że obowiązkowo należy stawić się w miejscu pracy. Opatrzono to również napomknieniem o konsekwencjach ignorowania tego polecenia. Budynek należało po prostu wypełnić ludźmi, by kierownictwo miało kim i czym się zmęczyć. Zresztą dyrektorzy na finiszu tego szalonego sprintu i tak już byli wyczerpani.

Z drugiej strony Aivar czuł pewien rodzaj podniecenia, będąc elementem planowanej przez śledczych rozgrywki. Musieli oni nie tylko zaangażować sporo sił własnych, lecz także sięgnąć po specjalistów jego firmy. Owszem, został wtajemniczony w założenia i szczegóły operacji, ale jak to wyjdzie w praktyce? Wiedział, że duża część techników z laboratorium kryminalistyki oddaliła się o świcie, by nie zwracać niczyjej uwagi. Pozostała grupa wciąż instalowała się w pomieszczeniach, które miały stać się areną wszystkich wydarzeń. Oni mieli wytrwać na posterunku aż do godzin wieczornych.

Zawibrował smartfon. Dzwonił Skalski.

— Słucham — rzucił krótko Aivar.

— Proszę do nas zajrzeć. Musimy omówić kilka szczegółów pana roli.

— Oczywiście, panie inspektorze.

„Przygotowania w toku” — pomyślał, i już zamierzał wyjść, kiedy przerwało mu wtargnięcie Farneya wraz z szefem ochrony budynku.

— Można? — Farney bardziej stwierdził, niż zapytał.

— A tak. Zapomniałem o panu — odezwał się do wchodzących. Mieli przecież stawić się z raportem dotyczącym ostatnich wydarzeń.

— Zmodyfikowaliśmy wczorajsze założenia ochrony naszych pracowników — zaczął Farney. — Zatrudniliśmy dodatkowych dwóch ludzi, którzy stale pilnują garażu. Nie wolno im go opuszczać pod żadnym pozorem. Do godziny dziewiątej trzydzieści i od piętnastej trzydzieści w garażu będzie kolejnych dwóch, by zapewnić pracownikom bezpieczeństwo. Wszyscy pracownicy będą wchodzić i wychodzić tylko jednymi drzwiami, aby nie doszło do takich nieporozumień jak wczoraj. To bardzo utrudni pracę i wprowadzi dodatkowe zamieszanie…

— Ponadto — wszedł w słowo szef ochrony — wprowadziliśmy kontrolę osobistą bagażu. Skonfiskowaliśmy niebezpieczne przedmioty…

— Jakie przedmioty? — Aivar obawiał się tego, co usłyszy.

Szef ochrony westchnął i sięgnął do notatnika.

— Siedem gazów pieprzowych lub łzawiących, pistolet hukowy, paralizator, dwa noże sprężynowe, dwa noże typu motylek, cztery pałki teleskopowe, policyjną tonfę, nunczako i pistolet typu glock, na szczęście ze ślepakami.

— Co takiego? — Aivar zdębiał. — Ktoś wniósł broń na teren firmy?

— To jakiś miłośnik militariów, mówi, że chciał pokazać kolegom…

— Dobra robota. Proszę robić swoje.

— Zechce pan nas teraz zostawić. — Farney zwrócił się do szefa ochrony, który skinął głową, pożegnał się i wyszedł.

— Prezesie… — odezwał się, kiedy zostali już tylko we dwóch. — Należy rozważyć wysłanie całej załogi na urlop. Wiem, że to wbrew wczorajszemu poleceniu, ale natłok ludzi utrudnia nam ich ochronę! Przynajmniej do czasu rozwiązania sprawy przez policję…

— Nie możemy sobie na to pozwolić, Bernardzie. Mamy już opóźnienia i przekroczony budżet — odparł zamyślony Aivar. Był wyjątkowo spokojny.

— Prace i tak są prowadzone w żałosnym tempie i są fatalnej jakości.

Aivar wiedział, że Farney ma rację, ale trzymał się założonego ze Skalskim planu. Ufał jego ekipie, ale teraz liczył się czas, którego już nie mieli.

— Na twoim miejscu… — podsunął myśl — skonsultowałbym to z Szeflerem. Niech sam decyduje, co dalej. To już jego zmartwienie.

2
10.10, RCUS, Summary Review

— Jak ja uwielbiam to wasze marudzenie — odezwał się Feliks Tauder do zebranych w salce przewidzianej dla dwunastu osób, gdzie przybyło ich

dwa razy tyle, wypełniając szczelnie każdy dostępny kąt. Dziś nikt nie pracował z domu, bo ostatni dzień sprintu wymagał aktywnej obecności na wielu zebraniach wszystkich zespołów. I jak to w stłoczonym męskim towarzystwie, zapach nie należał do najprzyjemniejszych, nawet przy maksymalnie ustawionym nawiewie klimatyzacji. — Nie minęło dziesięć minut naszego *summary review*, a już przerabiacie je na retrospektywę. Nie lada wyzwanie dla scrum masterów! — Skłonił się do siedzących obok. — To czyni moje życie inspirującym i ważnym. I przypominam, że żale wylewamy na spotkaniu popołudniowym, a nie teraz! Kolego, niech pan kontynuuje!

— Zaplanowany *backlog* prawie skończyliśmy — mówił obojętnym głosem osobnik w kraciastej koszuli. — Tak *circa about* na dziewięćdziesiąt pięć procent.

— Jakie mieliście *definition of done*? — zapytał Tauder.

— Że będzie we wczorajszym buildzie…

— I jest?

— Nie. Będzie w poniedziałek.

— Czyli zadanie nie jest wykonane. *Build* się nie wydarzył — mruknął, notując coś w laptopie. — A chociaż testy wykonaliście?

— Jest kłopot ze stabilnością „Zawieruchy” w ostatniej wersji na gałęzi integracyjnej.

— Jaki kłopot?

— Sypie się przy połączeniu szyfrowanym.

— W ostatnim sprincie się nie sypało — przypomniał wszystkim łaskawie.

— Szyfrowanie dodaliśmy teraz… I przestało działać.

— Dlaczego przestało działać?

— Jakbyśmy wiedzieli, to już byśmy naprawili…

— Czyli mamy problem w produkcie? — dopytywał Tauder.

— Niekoniecznie. Bo to *tool* testowy się sypie. Dodaliśmy do „Zawieruchy” bibliotekę i przy próbie nawiązania połączenia wszystko się kraszuje! Trudno więc stwierdzić, czy produkt działa, skoro nie daje się podłączyć.

— To wyłączcie to jakoś, zmieńcie, zróbcie coś! Jesteście przecież inżynierami!

— Jak wyłączymy, to niczego nowego nie przetestujemy. Z Pythonem działa tylko ta biblioteka. Wydawała się idealna. Inne są za trudne w użyciu.

— Ale testy napisaliście?

— No nie… — zawahał się. — Po co? Skoro nie mamy czym testować, to jak pisać na to testy?

— Nie słyszeliście o TDD? — Tauder zaczął się niecierpliwić.

— No OK… Ale to jest… To jest do testowania kodu!

— A co my tu robimy? — Poczerwieniał już na twarzy.

Zapadła cisza. Nikt nie chciał go dalej drażnić.

— Podsumowując: w poniedziałek robicie builda, ale backloga zamknąć nie możecie.

— Nie możemy? — zdziwił się człowiek w kraciastej koszuli.

— No nie, przecież wasz artefakt nie jest przetestowany. Musicie napisać testy, puścić je i jak przejdą, to merdżujecie kod na *MASTER branch* i zamykacie temat.

— Tylko czy warto się spinać z tymi testami. Za dwa tygodnie i tak integrujemy to z ustrojstwem zespołu Wind of Change i wtedy wszystko wyjaśni się prawie bez effortu!

— Testy mają być i kropka — warknął. — Przez te dwa tygodnie można dużo naprawić!

— Z tego wszystkiego wynika, że nie ma po co robić builda w poniedziałek — zauważył inżynier utrzymujący konfigurację i wersjonowanie, który bezpośrednio odpowiadał za przygotowanie instalatora produktu.

— Dlaczego? — zapytali chórem.

— Skoro robota nie jest przetestowana, nie wiemy, czy w ogóle działa, to po co nam taka kupa?

Sala ucichła, skonsternowana. Jak mógł tak nazwać wyniki ich ciężkiej pracy? Menedżer Tauder westchnął, przetarł oczy, próbując się opanować, i odezwał po chwili, jakby chciał się odbić od dna:

— Jaki następny item?

— Ostatni *backlog* miał dependencję od deliverabli architekta.

— I?

— No… — zawiesił chwilowo głos. — Maura nie zdążyła.

— Nie mogliście tego podrajwować sami?

— Nie ten level. Miała wysłać do nas dokument interfejsu i *message sequence charty*.

— Przecież to tylko kreski w UML-u. Naprawdę nikt nie może tego ogarnąć?

— Kilian? Nikodem? — zasugerował niepewnie ktoś z tyłu i wszyscy smutno zamilkli.

3
12.00, RCUS, stołówka

Policjanci byli już mocno zmęczeni przygotowaniami, a sygnał informujący o głodzie dotarł już do mózgu, delikatnie sygnalizując upływ czasu.

— Głodny jestem — oznajmił Czerski. — Może coś zjemy?

Walczak się zastanowił. Nie był głodny, odczuwał za to przemożne pragnienie. Ogólnie w piątki starał się być wstrzemięźliwy. Poza tym rozkaz Skalskiego był jasny: ani kropelki.

— No dobra. Chcesz iść do tej jadłodajni?

— Możemy spróbować. Słyszałem, jak te korposzczurki zachwalały ją sobie.

— Mam nadzieję, że nie jest drogo. Wiesz, koniec miesiąca… — Walczak poklepał się po kieszeni, w której trzymał portfel.

— Przynajmniej zorientujemy się w cenach.

— Niech będzie… Tylko żeby nie było jak w dowcipie.

— To znaczy?

— „Co pan poleca za dychę?” — Poczekał na reakcję, lecz nie usłyszał odpowiedzi. — „Inną restaurację”.

— Ha! — parsknął uprzejmie Czerski na dowcip starszy od samego Walczaka.

Dotarli na miejsce i stanęli na samym końcu długiej kolejki. Przez kilka minut stali tak w ciszy, posuwając się co jakiś czas. Uwagę Czerskiego przykuła stojąca gdzieś przed nimi całkiem młoda, atrakcyjna brunetka o wyjątkowo zgrabnej figurze. To aż się rzucało w oczy; ona po prostu nie pasowała do tego miejsca.

Walczak trącił go ramieniem.

— Fajna, nie? Ale chyba nie pracuje z kolegami od komputerów.

— No raczej nie… ale…

— Jest od paru dni, może ze dwa tygodnie.

Czerski wytrzeszczył oczy i, ściszywszy głos, zapytał:

— Skąd ty to niby wiesz?

Walczak uśmiechnął się wyrozumiale.

— Patrz i ucz się. Jej identyfikator jest tymczasowy; widać to z daleka. My mamy takie same, identyfikatory osobiste są ze zdjęciem. To raz. Stoi w kolejce sama; gdyby pracowała tu dłużej, toby przyszła razem z grupą. To dwa. Ciągle zerka na zegarek, jakby się dokądś śpieszyła. A cała reszta towarzystwa wygląda na taką, co woli przesiedzieć dodatkowe pół godziny na stołówce. To trzy.

— Dobra, a skąd wiesz, że to nie jest programistka?

— Są trzy powody. Po pierwsze, dziś jest termin rozliczenia podatku VAT, o ile jeszcze pamiętam szkolenia z przestępczości gospodarczej. A ona sprawia wrażenie, że się śpieszy. Po drugie, jej ubiór, informatycy nie przywiązują takiej wagi do stroju. Ciuch nie stanowi o ich wartości, ale to, co w głowie. — Zamyślił się.

— A trzeci powód? — dopytał po chwili ciszy Czerski.

— Co? A tak… trzeci powód. Widziałem ją, jak wychodziła z pokoju w dziale finansów z naręczem segregatorów. — Uśmiechnął się krzywo.

Czerski zgromił go wzrokiem.

Dziewczyna, jakby czując, że o niej mowa, odwróciła się w ich kierunku, uśmiechnęła niepewnie, a następnie podeszła do kasy i zapłaciła za obiad.

— Co my tu mamy? — Walczak próbował zapuścić żurawia do kotła z zupą przez wysoki blat.

— Dzisiaj specjalność zakładu — odparł kucharz. Podwinięte rękawy odsłaniały tatuaże na jego rękach.

— Czyli?

— Krem z dyni.

Walczak się skrzywił, bo ten rodzaj dania znał aż za dobrze z autopsji. Nie ufał niczemu, co na wejściu i wyjściu wyglądało tak samo.

— Nie, to ja podziękuję za zupę. Chyba że ty chcesz, Czerski?

— Spróbuję… Zawsze to nowe doświadczenie.

Walczak zdecydował się tylko na drugie. Kotlet mielony w sosie z ziemniakami purée nie wyglądał specjalnie apetycznie, ale jak stwierdzili, w końcu i tak wszystko trafia do jednego miejsca i nie ma co wybrzydzać. Zwłaszcza że smakował całkiem przyzwoicie — kucharz nie pożałował mocnych przypraw. Czerski podejrzewał, że miały one za zadanie zamaskować prawdziwy smak mięsa.

Przysłuchiwali się rozmowom z sąsiednich stolików.

— …a on przyszedł na imprezę przebrany w masce 255.255.255.0. — Gromki ryk śmiechu z sąsiedniego stolika zakłócił ich kontemplację.

Czerski popatrzył na Walczaka, Walczak na Czerskiego. Wzruszyli ramionami.

— …wiecie, że zoptymalizowałem czas wykonania algorytmu o dwa procent? — Z innego stolika dobiegł ich chełpliwy głos należący do inżyniera ze słuchawkami na szyi i koszulką z zespołem Black Sabbath. — I jeszcze wycisnę z jeden procent, jak posiedzę do wieczora…

— Czy ci ludzie nawet przy obiedzie rozmawiają o pracy? — jęknął Czerski. — Zamiast jak wszyscy inni pogadać o samochodach albo o dupach…

I wykrakał, bo gdy tylko wypowiedział te słowa, z jeszcze innego stolika doszło ich stwierdzenie, że „ten proces jest do dupy”.

Czerski lekko osowiał. Kończył danie, grzebiąc widelcem w talerzu. Walczak zjadł wszystko do ostatniej molekuły i zadowolony otarł usta serwetką.

— Co jest, młody? Coś taki markotny?

Czerski popatrzył na niego zamyślony.

— Wiesz, zawsze chciałem pracować w takiej korporacji informatycznej. Uważałem to za złapanie pana Boga za nogi. Świetna praca, dobrze płatna, nowoczesne technologie, zmienianie świata. — Zamilkł.

— Hmm… — mruknął zachęcająco Walczak. — Dlaczego mówisz w czasie przeszłym?

— Imponowali mi tacy ludzie. — Czerski jakby go nie słyszał. — Młodzi, dynamiczni, przebojowi, nowocześni. Chciałem być tacy jak oni. Ale te dwa tygodnie tutaj…

— Co? Nie wszystko złoto, co się świeci?

— To… to chyba mało powiedziane. Jak teraz patrzę na nich od środka, a jednocześnie trochę z zewnątrz, to… to nie wiem, co myśleć. Praca pracą, ale teraz mają czas wolny. I o czym rozmawiają? O pracy. I żeby chociaż na nią narzekali, to by było normalne i zrozumiałe. Oni są nią zafascynowani! Czy praca jest po to, by mieli z czego żyć, czy też żyją dla pracy? Patrzę teraz na tamtych tam — wskazał głową jakąś grupkę intensywnie piszących coś na smartfonach — założę się, że odpisują na jakieś służbowe maile. Co oni robią w domu, w wolnym czasie? Czy logują się do firmy, żeby natychmiast odpowiedzieć na wiadomość? Sprawdzają na telefonie, czy ktoś im coś podesłał? O czym rozmawiają z żoną? Z dzieckiem? „O, popatrz, córeczko, jaki ładny kolorowy schemat. A teraz idź się pobawić, tatuś musi porozmawiać z panem z Ameryki”. Czy pogadasz z nimi o sztuce albo o literaturze?

Nie zauważył nawet, jak go poniosły emocje.

— Ale zmieniają świat… — podpuszczał go dalej Walczak.

— Zmieniają świat… nie więcej niż inni, tak teraz sądzę… nie więcej. Tutaj jest… ile? Dwa tysiące ośmiuset pracowników? A może powinienem powiedzieć, zgodnie z miejscową nowomodą, dwa tysiące osiemset resource’ ów? Albo wręcz dwa tysiące osiemset trybików i śrubek? A czym się różni jedna śrubka od drugiej? Niczym. Możesz ją wymienić, zastąpić, a nawet wyrzucić i nikt nie będzie po niej płakał. Pracownicy korporacji to niewolnicy idealni — wykształceni, zmotywowani i doskonale

zastępowalni. I święcie przekonani, że to oni wygrali bilet na życie. Bzdura! — Aż poczerwieniał.

Walczak przyglądał mu się z uwagą.

Czerski nabrał tchu.

— Wiesz, może to zabrzmi patetycznie, ale dziś to my — ja, ty i Skalski — bardziej zmieniamy świat. Pokazujemy tym zadufanym w sobie pyszałkom, że ponad nimi jest coś, czego nie mogą zmienić swoimi ambicjami, swoimi umiejętnościami i elokwencją. Prawo. I jestem dumny, że mogę brać w tym udział. Jestem dumny z tego, że zostałem policjantem.

— Święte słowa — podsumował Walczak pomny własnych decyzji z przeszłości.

4
13.15, RCUS, sale odstąpione policji

Skalski od rana zerkał na plan akcji i gorączkowo przechodził w myślach kolejne podpunkty swojego scenariusza. Zauważył w nim tyle luk, że fala zwątpienia narastała z każdą godziną.

Poczuł nieposkromiony głód informacji. Od rana obdzwonił wielu dawnych znajomych, by na zasadzie koleżeńskiej przysługi zebrali mu pilnie brakujące dane. Kiedy oddzwaniali, pojawiło się mnóstwo nowych ustaleń. Zachował większość dla siebie, by nie rozpalać wątpliwości wśród innych. Defetyzm jest strasznie zaraźliwy. Dlatego nie odważył się nikomu nic powiedzieć, nawet Walczakowi.

Dość późno zrozumiał słabość ich inicjatywy. Najchętniej odwołałby akcję i przemyślał sprawę od nowa, bo wszystko pachniało straszną prowizorką budowaną na nieprawdziwych założeniach. Ale utopili już tyle kosztów i pracy, osobiście rozbudził w ludziach tyle nadziei i wiary, że

widząc ich oddanie, nie mógł się teraz wycofać. Informatycy, technicy kryminalistyki i nadzorująca wszystkich od rana Sara uwijali się, jak mogli. Po prostu nie mógł tego spieprzyć! „Srał pies komendanta, ratusz i całą resztę. Ważne, by wreszcie zatrzymać falę zbrodni, zebrać wartościowe dowody i aresztować kogo trzeba!” A tu proszę, wypatrzył kolejne uchybienie, które należało zbadać, zanim przystąpili do zadania.

— Walczak! — krzyknął.

— Jestem! — Walczak podszedł do niego, trzymając papierowy kubek coli. Nie pasowało to do niego, ale dzisiaj musiał być trzeźwy jak nigdy.

— Jedź do aresztu i porozmawiaj z Moniką Reshke. Zapiszę ci jej dane.

— Mam zapytać o coś szczególnego? — Zainteresował go powód wyjazdu.

— Spróbuj ją delikatnie wypytać o dwie rzeczy. Raz: o stosunki panujące w firmie. Interesują mnie tylko dyrektorzy. Dwa: o jej wersję w sprawie zatrzymania. Nie dociskaj kobiety. Chcę mieć tylko jej luźną opinię. Migiem!

Walczak przez moment jakby myślał i nic nie mówiąc, skinął głową. Odwrócił się i stojąc już u drzwi, powiedział:

— Zdrzemnij się, inspektorze. Nie spałeś, a musisz dziś być w najlepszej formie.

Na te słowa Sara ocknęła się i spojrzała znad laptopa na Skalskiego.

— Faktycznie źle wyglądasz. Połóż się w konferencyjnym.

— Nie zasnę! — zaprotestował słabo.

— Mam coś na to — rzekła i sięgnęła po torebkę. Chwilę w niej grzebała i wreszcie wyciągnęła listek niebieskich pastylek. Skrzywił się, ale trzymała je uparcie.

— Bierz, nie bądź dzieckiem!

Ruszył swoje zmęczone ciało i wyciągniętą ręką wydłubał małą pigułkę. Nadgryzł koniec języka, bo miał sucho w ustach. Pomogło i przełknął. Niepotrzebnie, bo Sara podawała mu plastikowy kubeczek z wodą. Cóż, wziął i to. Ruszył do sali konferencyjnej z nikłą nadzieją, że zaśnie.

Próbował zorganizować krzesła w coś, co mogłoby funkcjonować jako łóżko, ale nie udało się z obrotowymi meblami. Stół wydawał się za twardy. Zgasił światło i po omacku ułożył się na okładzinie w narożniku. Za poduszkę posłużyły mu jakieś segregatory. Zamknął oczy i znowu w myślach analizował zmodyfikowany plan akcji, wiedzę o ludziach, wydarzeniach, materiale dowodowym, o wszystkich faktach i poszlakach. Wyliczał dyrektorów niczym barany: Szefler, Farney, Relik, Frost, Szefler… Farney… Relik…

Odpłynął.

5
14.05, RCUS, retrospektywa

— …gry, zabawy, coaching, *delivery*: to sukcesu są filary cztery! — zakrzyknęli zgromadzeni w salce inżynierowie do taktu ze scrum masterem.

— Kolega Wilder odczyta sprawozdanie z ostatniego spotkania — odchrząknął prowadzący spotkanie.

— Godzina dziewiąta rozpoczęcie spotkania, dziewiąta dwadzieścia gry i zabawy, dziesiąta trzydzieści pięć omówienie podjętych akcji i zaplanowanie nowych. — Wywołany wstał od stołu, odczytując protokół sprzed dwóch tygodni. — Koledzy Fromm i Tomskin odmówili uczestnictwa w grach zespołowych, podkopując morale i atmosferę w zespole. Kilian zaś wzbudza niekoleżeńskie… Hm… to już nieaktualne.

— No? — mruknął scrum master, spoglądając na wymienionych. Ci zaś spojrzeli po sobie.

— Z całym szacunkiem, ale gra w „balonowe brzuszki” to raczej jest dla dzieci w przedszkolu… — bąknął pierwszy z nich.

— Co za nonsens! — Scrum master zerwał się z krzesła. — Gry i zabawy nie mają nic wspólnego z przedszkolem! „Balonowe brzuszki” miały na celu budowanie relacji i pokazanie wam, jak ważna jest współpraca!

— Raczej jak robić z siebie idiotę… — mruknął drugi.

— Możesz powtórzyć? — rzucił chłodno prowadzący spotkanie.

— Ja? Eee, nic nie mówiłem… A tak w ogóle to po cholerę marnujemy czas na jakieś gry i zabawy?

— Kolego Fromm, odsyłam do *scrumguida*, gdzie znajdziecie odpowiedź zarówno na te, jak i inne pytania. Na kolejnej retrospekcji przepytam was zresztą z jego znajomości. — Przebiegł wzrokiem po zgromadzonych w sali. — Wszystkich zresztą. No ale dobrze. To w takim razie dzisiaj zaczniemy właśnie od gier i zabaw. — Scrum master podszedł do tablicy i grubym mazakiem nakreślił na całej szerokości napis: GRY I ZABAWY.

— Czyli co będziemy dzisiaj robić? — padł niepewny głos z sali.

— Specjalnie dla kolegów Fromma i Tomskina. — Wskazał mazakiem wymienione osoby. — Dzisiaj będziemy się bawić w grę, która uświadomi wam, jak ważne jest integrowanie się z zespołem, pomoże zbudować bliższe relacje wewnątrz grupy i wydobędzie z was same pozytywne emocje. A co najważniejsze — uśmiechnął się, szczerząc szeroko zęby — wzmocnimy wasze poczucie humoru i dystans do siebie. To właśnie gry i zabawy odgrywają rolę katalizatora budującego mosty pomiędzy ludźmi w zespole.

— Zaczniemy wreszcie? — Ktoś burknął, przerywając wprowadzenie.

— To lubię! — Scrum master z podniecenia zatarł ręce. — To lubię! Zaangażowanie i chęć do błyskawicznego podejmowania wyzwań! Nie będę was zatem dłużej trzymał w niepewności; zabawa nazywa się: „jestem piłką” — oznajmił tajemniczo i sięgnął ręką do plecaka. Po chwili tryumfalnie wyciągnął nadmuchiwany, okrągły rekwizyt i dodał, ściszywszy głos: — A teraz zbierzmy się wszyscy razem w kółku, wytłumaczę wam zasady…

— Dobrze, że to piłka, a nie wibrator — szepnął Fromm do stojącego obok kolegi.

— Nie ciesz się, bo może za dwa tygodnie… — odrzekł Tomskin, wzdychając ciężko.

6
16.05, RCUS, sale odstąpione policji

Walczak wrócił pośpiesznie z aresztu, mając garść świeżych informacji. Rozmowa z Moniką Reshke rzuciła nowe światło na sprawę, ale postanowił się z tym wstrzymać i poczekać na przebudzenie Skalskiego. Nie chciał przerywać jego błogiego snu, którego zapewne bardzo mu brakowało ostatnimi czasy.

Widział na monitorze Skalskiego śpiącego jak dziecko w kącie sali konferencyjnej. Skalski chrapał głośno, a dźwięk ten przenosiły na głośniki bardzo czułe mikrofony. Nie obudziła go żadna krzątanina, zapalone światło ani szturchnięcia przechodzących ludzi. „I dobrze” — pomyślał o przyjacielu.

Czerski przeciągnął się na obrotowym fotelu i zwrócił jakimś bezsensownym pytaniem wskazującym albo na wewnętrzne napięcie albo

przemęczenie:

— Co ma rację istnienia: Byt czy Niebyt?

— Odbyt — odrzekł spokojnie Walczak.

7
17.30, RCUS, sala reprezentacyjna Siódme Niebo

Na monitorach zobaczyli, że pierwszy do sali wszedł prezes Gabriel Aivar. Kroczył pewnym krokiem, ale nie zajął miejsca u szczytu półokrągłego stołu, jak należałoby oczekiwać po najwyższym szarżą, lecz z brzegu, plecami do wejścia. Oczywiste było, że to nie on będzie dziś na pierwszym planie.

Chwilę później przez te same drzwi przeszli Maksymilian Szefler, Donatan Relik i Bernard Farney, a za nimi przygarbiony Lucjan Frost i jakby wystraszona Zuzanna Elkebaum, potykając się o stojący przy wejściu duży czarny głośnik. Na nim spoczywał wzmacniacz podłączony do niewielkiego odtwarzacza mp3.

— Panowie, pani Zuzanno, proszę zająć opisane miejsca — uprzejmie poprosił Aivar.

Lekko zaskoczeni zauważyli karteczki z imionami rozstawione na stołach. Postąpili zgodnie z poleceniem i zasiedli we wskazanych fotelach. Jeszcze bardziej uderzyła ich obecność kamer. Zerkali na siebie niepewni sytuacji.

— Panie prezesie, o co chodzi? — zapytał zdezorientowany Relik.

— Za chwilę wszystko zostanie wam wyjaśnione — odparł.

Drugimi drzwiami wszedł inspektor Piotr Skalski. Delikatnie zamknął je za sobą. Nie wziął za sobą broni, jak radziła mu Sara. Jej widok wpłynąłby na zachowania uczestników spotkania i przeszkadzałby w psychologicznej

kontroli sytuacji. Spokojnym krokiem dotarł do środka sali, skupiając na sobie wzrok wszystkich zebranych.

— Mamy komplet — stwierdził sucho Aivar. — Zwołałem to spotkanie na wyraźną prośbę organów ścigania. Działania inspektora Skalskiego mają moją całkowitą akceptację. Inspektorze, proszę wyjaśnić cel i agendę spotkania.

— Dziękuję panu bardzo serdecznie za okazaną przychylność i wyrozumiałość — odpowiedział mu patetycznie Skalski. — Cieszę się, że współpraca przebiega w tak sprawny i profesjonalny sposób. To prawdziwa rzadkość, ale tym samym większy honor. A państwu zaś — zwrócił się do wszystkich — ogromnie dziękuję za przybycie i wzorową współpracę. Wiem, że pora jest późna, a ostatnie dwa tygodnie z pewnością nie były dla nikogo łatwe. Dlatego szanując czas nas wszystkich, nie będę przedłużać i pozwolę sobie przejść od razu do powodów, dla których się tutaj zebraliśmy.

Złapał głębszy oddech, koncentrując się na myśli, którą chciał przekazać. Stał za stołem, wspierając się palcami na stole. Potoczył po nich wzrokiem niczym wygłodniały dziki kot.

— Niektórzy pewnie już się domyślają, a dla reszty nie będzie to chyba wielkim zaskoczeniem, jeśli powiem, że nasze spotkanie ma na celu rozwiązanie sprawy serii morderstw, do których doszło w murach waszej korporacji. Były one nieprzypadkowe, przeprowadzone sprawnie i z zamysłem, i jednocześnie mocno zagadkowe. Dlaczego bowiem w ogóle do nich doszło? — zapytał i zrobił krótką pauzę. Nie oczekiwał odpowiedzi, ale jedynie kierował ich uwagę w pożądanym kierunku. — Praktyka mojego zawodu wskazuje — wznowił opowieść — że powód może być prozaiczny. Czasem jest to działanie pod wpływem impulsu, negatywnej emocji, nagłej konieczności redukcji wewnętrznego napięcia. Przegrana w

karty, publiczne ośmieszenie, koszulka konkurencyjnej drużyny futbolowej… Znane są nawet tak absurdalne przypadki jak wrogie spojrzenie czy nieprzyjemny zapach stóp… Dodając katalizator w postaci używek… to naprawdę potrafi obudzić w człowieku demony… Następuje szybka decyzja o wymierzeniu kary. Wtedy atak jest wściekły, brutalny i bezwzględny. Pozostawione ślady zdradzają szał i furię. Są to morderstwa w afekcie. Schwytanie sprawcy jest względnie łatwe. Nie planuje on bowiem przebiegu zdarzeń, działa pod wpływem chwili, w stanie silnego wzburzenia, nie myśli o konsekwencjach. Odnosząc to do naszej sprawy i zebranego materiału, musimy stwierdzić, że do czegoś takiego tu nie doszło. — Pokiwał głową.

Obiegł wzrokiem zebranych. Po minach stwierdził, że wzbudził słabe zainteresowanie. Mówił w końcu o oczywistościach. Ważne, że wsłuchiwali się w jego tembr głosu. Chciał, by wszyscy wprowadzili się w podobny stan ducha.

— Skąd to wiemy? — Postawił pierwszy krok, rozpoczynając marsz dookoła sali. — Stąd, że sprawca umiejętnie zacierał ślady lub kierował je na innych; sprytnie chował się przed wzrokiem ludzi i kamer. Przemykał się niepostrzeżenie po budynku, co przy takim poziomie wewnętrznej inwigilacji wydaje się umiejętnością wręcz nadprzyrodzoną. A kto tak postępuje, pytam.

Wszyscy otworzyli szerzej oczy. Skalski odpowiedział sam sobie:

— Ktoś, kto ma plan. Ktoś, kto wie, co jest jego celem, i jest zdeterminowany, by to osiągnąć. Ktoś, kto ma ogromne umiejętności i nie mniejsze możliwości. A takiego człowieka… — snuł dalej — …takiego człowieka trudniej złapać. Taki jest szczególnie niebezpieczny. W kamuflażu codzienności wciąż gdzieś tu przechodzi obok nas, ocieramy się o niego w windzie, pije z nami kawę, rozmawia i udaje przyjaciela. Jak go

rozpoznać? Jak unieszkodliwić? Jak wywabić go z tłumu ludzi i wskazać palcem? — znowu zawiesił dramatycznie głos. — Nie jest to łatwe, ale domniemywam, że państwo mi dzisiaj w tym pomogą. Dzisiaj. Tutaj i teraz.

Wyczuwał lekkie napięcie wśród słuchaczy. Byli skupieni i zupełnie znieruchomieli.

— Jak? — odważył się zapytać zachrypnięty Szefler.

W sąsiednim pokoju wąski pasek zielonych diod zapalił się na mikserze audio.

— Widzicie te kamery? — Skalski wskazał na nie palcem.

— Widzimy — odrzekł Farney. — I wciąż nie rozumiemy, na czym ma polegać ta nasza pomoc.

***

Dzwoniący telefon przestraszył techników wpatrujących się intensywnie w monitory podglądu i wskaźniki oprogramowania.

— To mój, przepraszam — wytłumaczyła się Sara. Odebrała połączenie. — Sara Skalska, słucham… Co takiego? Teraz?… Wykluczone… Teraz nie mogę… To zero skończone!… Szlag! Dobrze, już jadę!

Była wściekła.

— Muszę wyjść.

— Jak to „wyjść”? — Oczy Walczaka zrobiły się wielkie jak denka od jego ulubionych butelek. — Teraz?

Czerski patrzył z otwartymi ustami, jak Sara sprawdza zawartość swojej torebki, mrucząc coś wściekle pod nosem.

— Sprawą zainteresowali się w Ministerstwie Sprawiedliwości — wyjaśniła im, wyciągając z torebki kluczyki do samochodu — i właśnie przybyła osobiście jaśnie wielmożna ekscelencja: prokurator generalny ze

swoją świtą. Żąda natychmiastowego spotkania z nadzorującą śledztwo, czyli ze mną.

— Przecież jesteśmy na akcji! — zaprotestował Czerski. — Potrzebujemy twoich decyzji prawnych!

Sara obrzuciła go spojrzeniem, jakby pierwszy raz widziała taką naiwność.

— Minister nie będzie na nic czekał, bo to minister, i już. Pewnie sra po gaciach, że mu opozycja znowu wytknie niekompetencje… A skoro przybył, to przynajmniej zobaczę to na własne oczy.

— Trudno. — Walczak wiedział, że pewnych ludzi nie da się przeskoczyć, zwłaszcza niekompetentnych na wysokich stanowiskach. — Kiedy namierzymy naszego sprawcę, wypożyczymy ci go na chwilę.

— Powodzenia. — Zamknęła dyskusję. — Wrócę jak najszybciej. Aha, informujcie mnie na bieżąco, choćby SMS-ami.

Wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

— Trochę nam to komplikuje sprawę… — pokiwał głową Walczak. — Dam znać Skalskiemu.

***

Tymczasem Skalski przechadzał się w kółko i przyglądał kolejnym twarzom.

— Wytłumaczę, jak to działa — rzekł spokojnie. — Jak widzicie, zebrałem tutaj zespół najważniejszych ludzi, trzon tej korporacji. Ludzi o wielkich możliwościach, solidnie umocowanych w strukturze firmy. Dobrze opłacani, wyróżnieni po latach ciężkiej pracy, pnący się uparcie po szczeblach kariery, pokonujący mozolny trud codzienności i opór ludzkiej materii. I choć znacie się od lat, spotykacie i rozmawiacie niemal na co dzień, to wśród was, ludzi sukcesu i niezaspokojonych ambicji,

przynajmniej jeden nie jest tym, za kogo go uważaliście. To… — ściszył głos — morderca.

— Co takiego? — Zakrztusił się Relik.

Skalski zesztywniał. Przysunął się bliżej do niego i łagodnym tonem tłumaczył dalej:

— Tak. Właśnie tak. Rozejrzyjcie się po kolegach. Ten kameleon siedzi wśród was. — Wszyscy popatrzyli na siebie, jednak bardziej ze zdumieniem niż podejrzliwością. — A te kamery nie są tu tylko po to, by wszystko nagrywać. One są gwarantem tego, że nie wyjdzie stąd przed końcem spotkania.

— Jak to? — zapytał Frost, kierując na siebie wzrok Skalskiego.

— Człowiek niewinny nie ma żadnego powodu, by się obawiać się tej obserwacji. Nie będzie protestował, bo wie, że mamy dobre intencje. Chętnie pomoże nam ustalić, kto jest zabójcą. Po co miałby opuszczać nasze spotkanie?

— Słusznie. — Logika wywodu może nie była oszałamiająca, ale Frost przezornie wolał się z nią zgodzić.

— A mnie się to nie podoba — patrząc w stół, odezwał się powoli Relik. — Owszem, zrobię wszystko, by pomóc, nigdy niczego nie ukrywałem i ukrywać nie będę… — potoczył wzrokiem po współpracownikach, po czym utkwił spojrzenie w Skalskim — …ale dla mnie i, jak sądzę, dla każdego z nas jest to co najmniej obraźliwe. Po zakończeniu spotkania sprawie tej przyjrzą się prawnicy i przeanalizują taki tryb pańskiego postępowania.

Skalski uśmiechnął się, patrząc na niego z góry, jakby drwił z tego, co usłyszał.

— Wróćmy do podejrzanego. Pozostając tutaj, będzie zmuszony odpowiadać na moje, a może i wasze pytania. Nie chcąc bowiem się

ujawnić, musi upodobnić się do człowieka niewinnego. Kogoś, kto nie mając nic do ukrycia, odpowie na każde moje pytanie!

***

— Widzisz, Czerski — Walczak zwrócił się do siedzącego obok kolegi — mamy już komplet potrzebnych nagrań.

— Zauważyłem… — potwierdził, potrząsając głową. Oczy miał mocno przekrwione.

— I co, wynika coś z tego? — zapytał Walczak siedzącego dalej technika.

— Pracujemy nad tym. Najniższy poziom zgodności to 6%, najwyższy 23%.

— Czyli kto?

— Za mała próba. Musimy mieć więcej wypowiedzi. Zresztą, komisarzu, i tak nie osiągniemy stu procent. Sześćdziesiąt to będzie absolutny maks, tutaj są zupełnie inne warunki środowiskowe.

I wtedy naszła Walczaka pewna myśl: że w tych okolicznościach czterdzieści procent w zupełności by wystarczyło.

8

Skalski wrócił na środek. Zagrywka zaburzyła nastrój i rytm wywodu, który należało utrzymać. Dlatego głośno odezwał się do wszystkich:

— Widzę państwa poruszenie. Słusznie. Sam bym nie wiedział, jak się zachować, wiedząc, że ktoś obok… ktoś, kogo dobrze znam… dopuścił się takich czynów. Pozwólcie jednak, że poukładam wszystko w jakąś spójną całość i wspólnie prześledźmy tok wydarzeń, do których tu doszło.

Wyciągnął pilota i uruchomił rzutnik wiszący pod sufitem. Aivar, niepytany, usłużnie przygasił część oświetlenia.

— Pokażę i omówię kolejne zbrodnie, ślady, fakty i tropy. Uprzedzam, że niektóre zdjęcia będą drastyczne.

Włączył pilotem pierwszy slajd. Było to zdjęcie z laboratorium, gdzie spoczywały zwłoki de Bugaja. W ukrytej słuchawce Skalski usłyszał szept Walczaka. Jakby Walczak obawiał się, że morderca usłyszy głos ze słuchawki dokanalikowej. Dwie osoby przekroczyły dwudziestoprocentowy pułap zgodności głosu z nagraniem ze smartfonu Zdowackiej.

***

— Dwie osoby powyżej poziomu dwadzieścia? — upewniał się Czerski. — To cholernie mało.

Technik tylko pokiwał głową, prawą ręką dociskając słuchawkę do ucha.

— Obserwuj ich reakcje, Czerski! — denerwował się Walczak.

— Wszyscy wyglądają na przerażonych. No, może poza Farneyem i Aivarem.

— Oni byli przy pierwszych zwłokach, pamiętasz? Musisz mieć to na uwadze. Dlatego prezentacja ma też kilka innych slajdów.

— Zakładamy, że pozostałych scen zbrodni nie widzieli?

— Olśniewa mnie twoja przenikliwość, Czerski.

***

— Jest piątek, po dziewiętnastej — rozpoczął opowieść Skalski. — Nikodem de Bugaj wykonujący swoją pracę w laboratorium w alejce E, stanowisko trzecie, zostaje uderzony z tyłu pałką z siłą powodującą pęknięcie czaszki. Jego szyja zostaje owinięta kablem i zaciśnięta, co zamyka dopływ powietrza do płuc. Tu, na tym slajdzie — nacisnął guzik pilota — widzicie wybroczyny podspojówkowe. To skutek zadzierzgnięcia.

Ktoś jęknął. Skalski szybko wyłowił Elkebaum z własną pięścią wepchniętą w usta. Omiótł wzrokiem twarze pozostałych, nie chcąc być zależnym tylko od obserwacji Walczaka.

Znał teorię Paula Ekmana. Siedem emocji podstawowych, obserwowanych już u ludzi pierwotnych: strach, złość, smutek, zadowolenie, zdziwienie, wstręt i pogarda. Inni teoretycy dodawali jeszcze miłość i wstyd. Te akurat mógł z góry wykluczyć… Zdążył zarejestrować tylko wyraz twarzy Zuzanny Elkebaum. No cóż, mikroekspresja nie trwa dłużej niż pół sekundy. Na jej twarzy rysował się strach. To zrozumiałe. Na twarzy Farneya nadal widać było ściągnięte brwi, zaciśnięte usta i szeroko otwarte oczy. Gniew? Walczak musi to potwierdzić. Natomiast Relik… Relik nie wyrażał żadnych emocji. „Może nie zauważyłem… Teraz Walczak musi cofnąć nagranie, by się przyjrzeć, a ja muszę dać mu na to czas”.

Skalski, milcząc, wolnym krokiem podszedł do rzucanego obrazu i przyglądał mu się przez chwilę. Potem zmienił slajd, na którym widać było tylko plecy de Bugaja. Zdjęcie było niedoświetlone. Odwrócił się do Aivara.

— Jest tutaj jakiś wskaźnik? Chciałbym na coś zwrócić państwa uwagę.

Walczak włączył mikrofon i rzucił wprost do ucha Skalskiego:

— Frost patrzy z obrzydzeniem. Zignoruj. Relik jest jak skała. Nawet mu brew nie drgnęła. To nienormalne. Farney udaje.

***

Skalski cedził myśl: „Bernard Farney udaje… A Relik? Nic go to nie ruszyło”. Podszedł do stołu naprzeciwko Maksymiliana Szeflera. Włączył wskaźnik laserowy i wznowił monolog:

— Teraz nastąpiło coś początkowo dla nas niezrozumiałego. Morderca ułożył ofiarę pod najbliższą szafą i wbił aż po rękojeść ostrze, które sięgnęło serca. — Na zdjęciu wylądowała czerwona, trzęsąca się kropka. — Proszę mi potrzymać wskaźnik i wskazywać na ranę — rozkazał Szeflerowi i zdecydowanym ruchem podał mu laser, po czym znów zbliżył się do ekranu i wyciągnął notes, szukając jakiejś informacji. Szefler zaś wstał i przesunął się nieznacznie za fotelami zebranych, celując we wskazane miejsce.

— Jak łatwo zauważyć — ciągnął Skalski wpatrzony teraz w swój notes — rana została zadana z lewej strony, co by wskazywało na to, że zabójca jest leworęczny. — Zawiesił głos, przechylił głowę i wskazał na Maksymiliana Szeflera trzymającego laser.

W lewej ręce.

— Co? — Aż nim wstrząsnęło i wskaźnik wyleciał mu z rąk.

Wszyscy teraz patrzyli tylko na niego.

— Spokojnie! — Skalski podniósł głos. — Już wyjaśniam.

***

— Dyrektorzy i prezes ni to zdziwieni, ni wystraszeni! Farney chyba rozbawiony! — krzyknął Czerski.

— Ciszej! — Walczak wpatrywał się w monitory z grymasem, jakby zabolał go korzeń zęba. — Trudno. Nie wyszło — rzucił do mikrofonu.

— A co miało wyjść? — chciał wiedzieć Czerski.

— Oczekiwałem, że u kogoś zobaczymy pogardę albo lekceważenie.

— Pogardę? Do kogo?

— Do nas. Za nieudolność.

***

— Jeden z was… — Skalski omiótł wzrokiem całą szóstkę. — Może inaczej… Napastnik uderzył w serce, ale zrobił to dość niewprawnie… Musiał dopchnąć ostrze, nieznacznie zmieniając jego położenie w ciele ofiary. To by wskazywało, że chciał skierować podejrzenie na kogoś leworęcznego…

Szefler westchnął głęboko i się rozluźnił. Nerwy miał już napięte jak struny, a nogi zrobiły się jak z waty.

— …albo rzeczywiście był leworęczny i chciał nas tylko zmylić — dorzucił Skalski i schował notes.

Podszedł do stołu i zwrócił się do stojącego posiadacza wskaźnika:

— Niech pan już spocznie. I odda mi laser. Dziękuję za asystę.

Skalski, odwracając się, wyświetlił kolejne zdjęcie. Przedstawiało obrzmiałą twarz i szyję z wybroczynami po zaciśniętym kablu.

— Morderca — wyjaśniał — wypiął z gniazda tego urządzenia jeden przewód, a ten owinięty wokół szyi de Bugaja umocował w jego miejsce. Czym się kierował, realizując taką inscenizację swojego dzieła? Może mi ktoś podpowie?

Spojrzał po wystraszonych twarzach, które zerkały w jego kierunku.

„Trzeba mu patrzeć w oczy” — zganił siebie morderca. „Nie wolno mi napawać się swoim dziełem. Pies węszy, kto teraz patrzy w obraz, a nie w niego. Poradzimy sobie z tym cwaniaczkiem”.

***

— Widziałeś, jak opóźnił reakcję? — zauważył podekscytowany Czerski. — I popatrzył najpierw, co robią inni!

— Obserwuj pozostałych! — przyganił Walczak. — Nie wiemy, czy działał sam.

***

— W tej sprawie przesłuchaliśmy wielu ludzi. Zebraliśmy dane z monitoringu i systemu waszych identyfikatorów rejestrujących przejścia przez punkty kontrolne. Cóż z tego! Nagranie z godziny mordu się nie utrwaliło. I nie był to przypadek. Identyfikator, którym posłużył się sprawca, również był podrobiony. Kto miał do tego wszystkiego dostęp?

Zrobił kilka kroków, przesłaniając obraz. Nie był to dobry pomysł — oślepiła go lampa rzutnika. Przeszedł więc dalej, na drugi koniec stołu, kontynuując wywód:

— Jeden z pracowników waszej ochrony był pewniakiem. Miał nieciekawą przeszłość i dostęp do wszystkiego, co było potrzebne, by zatrzeć ślady. Do tego na miejscu zdarzenia utrwaliły się odciski butów strażniczych jego rozmiaru. Przypadek?

Nikt nie śmiał się odezwać. Wszyscy czuli się nieswojo. Milcząc, pokazał na kolejnym slajdzie odbicie podeszwy z raportu traseologicznego.

— A to tutaj — pokazał następny obraz — zaprowadziło nas do kolejnego podejrzanego.

— Czy to włosy? — upewniała się Zuzanna Elkebaum.

— Tak. To zbliżenie na włosy Henryka Diukiewicza znalezione na denacie.

— Działali razem? — dociekała.

— Sądząc po dowodach… jak pani myśli? Wrócimy jeszcze do tego — obiecał Skalski. — Nadchodzi kolejny weekend. Znów piątek. Kilian Osik zostaje dłużej w pracy. Musi dokończyć to, czego jego przyjaciel, Nikodem de Bugaj, nie zdążył zrobić. Musicie wiedzieć, że ten człowiek nie jest kryształowy. Ma szczególny pociąg do neurostymulantów. Ciekawe, czy to przez przemęczenie pracą, czy też są to igraszki człowieka cierpiącego na

depresję. W narkotyki zaopatruje go jeden z waszych kierowników: Norman Weiss. Znacie go? Możliwe, że to któryś z was go awansował.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie. Pomruki i szepty niedowierzania wydobyły się z ich ust, ale Skalski doskonale wiedział, że nie wszystkie były szczere.

— Według wyciągu z waszego rejestru Osik pracował siedemdziesiątą pierwszą godzinę w tym tygodniu, która okazała się jego ostatnią. Tuż po ósmej zszedł do laboratorium. Z jakiegoś powodu schodził tam dwa razy, widocznie zapomniawszy o czymś przez roztargnienie lub zmęczenie. Również dwukrotnie wychodził stamtąd do toalety. I tam właśnie spotkał go taki los… — Skalski włączył slajd z obskurnego wnętrza toalety i widokiem bezwładnego ciała z głową zanurzoną w muszli sedesowej otoczonej rozsmarowanymi kałużami wymiocin.

***

— I co, widzisz coś? — upewniał się Walczak.

— Wszyscy wstrząśnięci. Poza nim. — Postukał palcem po ekranie.

***

— Niech nie zwiedzie was to zdjęcie — mówił spokojnie Skalski. — Przyczyna śmierci jest bardziej złożona. To nie było utonięcie. Badanie toksykologiczne wykazało otrucie akonityną. To bardzo skuteczna trucizna, czasami nazywa się ją roślinnym arszenikiem. Porażenie ośrodka oddechowego doprowadziło do uduszenia.

Zamilkł, pozornie przyglądając się zdjęciu, a w rzeczywistości skupiając się na uwagach przekazywanych przez Walczaka.

Z sali nie doszedł do niego żaden dźwięk. Wznowił swoją relację:

— To właśnie dzięki skrzynce pocztowej Kiliana Osika ustaliliśmy, że wspomniany wcześniej Norman Weiss, który już znajduje się pod naszą intensywną opieką, był sprzedawcą narkotyków. W piątek, w dniu śmierci, o godzinie dwudziestej czternaście i dwudziestej szesnaście wymienili się korespondencją, umawiając się na ostatni handel. Z korespondencji wynikało również, że doszło między nimi do jakiejś sprzeczki. W ten sposób dealer Weiss w naturalny sposób stał się podejrzanym w naszej sprawie. Człowiek sprzedający śmierć w konflikcie z odbiorcą, który świetnie maskuje się na swoim stanowisku. Podstępnie podrzuca spreparowaną tabletkę z akonityną. To zabija Kiliana Osika.

Skalski nacisnął przycisk pilota i pojawił się nowy slajd.

— Przejdźmy do trzeciej zbrodni, która wyróżnia się zupełnie innym miejscem i przebiegiem. — Na ekranie pojawił się obraz leżącej na chodniku kobiety. — Wtorkowy wieczór, bezchmurny, ale bardzo wietrzny. Godzina dwudziesta pierwsza pięć. Maura Zdowacka wychodzi na dach, na spotkanie z jednym z dyrektorów. Rozmawiają chwilę, palą papierosy. Nadchodzi godzina dwudziesta pierwsza czternaście. Maura zostaje zepchnięta, spada na chodnik i ginie na miejscu. W torebce odnajdujemy materiał w postaci karty SD z nagraniami rozmów, które wskazują na ostry konflikt pomiędzy nią a tymże dyrektorem… Coś cię z nią kiedyś łączyło? — rzucił niespodziewanie.

Zabójca zacisnął mocno szczękę. Jakże chętnie teraz wyciągnąłby swój teleskopowy kij i wyłożył mu jasno swoje uczucia! „Co ty możesz wiedzieć o mnie i Maurze?”

***

— O co właściwie chodzi? — dziwił się Czerski. — Dlaczego nie mówi im wszystkiego? Zostawia wszystko w pół drogi. Te nagrania były przecież

spreparowane!

— Pomaleńku. Patrz i ucz się. Tutaj nie chodzi o autoprezentację i demonstrację, jacy to jesteśmy zajebiści. To gra, młody!

— Po co nam to?

— Wszystko byś chciał szybko i łatwo… Znasz tę historię o młodym i starym byku?

— Tę akurat znam.

— To bądź cicho i się przyglądaj.

9

Skalski poszedł w kierunku drzwi i włączył wszystkie światła. Zatrzymał pilotem pracę rzutnika, który szumiał jeszcze przez chwilę. Większość zebranych zmrużyła przemęczone oczy.

— Oto prócz trzech ofiar mamy aż czterech podejrzanych. Po pierwszej zbrodni aresztowaliśmy strażnika Istvana Rado oraz menedżera Henryka Diukiewicza. Po drugiej zatrzymaliśmy Normana Weissa. Teraz wypadałoby zająć się następnym, który jeszcze cieszy się wolnością.

— Kim? — zaciekawił się Frost. Oczy mu pałały, był wyraźnie zaciekawiony.

— Jeszcze momencik — powiedział Skalski, celowo patrząc w podłogę, by niczego nie sugerować. Nie widział, jak Szefler sprężył się i poczerwieniał na twarzy. — Zajmijmy się pierwszą osobą. Strażnik został zatrudniony pół roku temu za wiedzą dyrektora Bernarda Farneya, prawda?

— Potwierdzam — odrzekł ten beznamiętnie. — To mój obowiązek wiedzieć, kto strzeże naszego bezpieczeństwa.

— Było to dokładnie w tym samym czasie, kiedy zwolnił pan również pana Nielsena, głównego inżyniera zabezpieczeń firmy, czyż nie?

— Zgadza się.

— O co wtedy poszło?

— Kradzież danych. Sprawa wewnętrzna.

— Kto wtedy przejął jego rolę?

— Gustaw Kowalski, zna go pan.

— Owszem. A może pan pamięta, jakie doświadczenie miał Kowalski?

— O, to bardzo zdolny człowiek! Nie miałem co do niego żadnych zastrzeżeń ani wątpliwości.

— Ale jakie miał doświadczenie?

— Potrzebowałem zaufanej, świeżej osoby. Dlatego go wybrałem.

— No to pozwolę sobie to wszystkim wyjaśnić. — Skalski był zniecierpliwiony. — Mówimy o człowieku, który miał roczny staż w waszej firmie. Wykonywał tylko podstawowe obowiązki. Nie miał pojęcia o wszystkich procedurach, systemach, zależnościach, projektach. Co panem kierowało? Pytam z czystej ciekawości.

— To musiał być ktoś zupełnie niezwiązany z Nielsenem — tłumaczył chłodno Farney. — Prewencyjnie powinienem zwolnić również wszystkich jego bezpośrednich współpracowników, ale to położyłoby cały wydział. Wybrałem Kowalskiego, bo był spoza tego układu. Dzięki temu posunięciu miałem oko na wszystkich. I się nie zawiodłem.

— Ostatnio jednak znowu mieliście aferę.

— Chodzi o młodego Marcelego?

— Tak.

Frostowi serce zabiło mocniej. Powstrzymał odruchy i zapanował nad oddechem, jak doświadczony hazardzista.

— Nie miał związku z tą sprawą, bo to był szeregowy pracownik. Działał we współpracy z Moniką Reshke zajmującą się finansami firmy. To po prostu inny *case*.

— Skąd pan wie?

— Że to inny *case*?

— Że działał z panią Reshke?

— Na początku nie wiedziałem. Kiedy jednak przyłapaliśmy ją na gorącym uczynku, powiązałem fakty.

— W jaki sposób? — dociekał Skalski.

— W jaki sposób? — Farney powtórzył pytanie i wziął głębszy oddech. — No, on mi to sam powiedział, gdy oznajmiałem mu odejście. Wypytywałem go o różne rzeczy.

***

— To nieprawda! — zaprotestował w drugim pokoju Marceli, który wszystkiemu się przesłuchiwał. — Nic mu nie mówiłem o żadnej Reshke!

— Siedź cicho! — pouczył Walczak i coś szepnął do mikrofonu.

***

— Dlaczego pan tego nie powiedział policji? — zapytał łagodnie Skalski.

— Dlaczego? Dlaczego? — Farney czuł się zakłopotany, bo nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Szybko uciekł wzrokiem, szukając odpowiedzi. Spostrzegł, jak wszyscy się w niego wpatrują. Stan Frost i Elkebaum był pewnie przedzawałowy, ale dzielnie się maskowali. Nie ich jednak pytają. Szepnął niepewnie: — Musiałem…

— Co pan musiał? — naciskał Skalski, wyraźnie odczytując ten schemat z wielu poprzednich przesłuchań. W słuchawce usłyszał, jak Walczak szepcze: „Wpatrywał się we Frosta. Elkebaum też zerknęła. Tamten nic”.

— Nie uwierzyłem mu — spuścił głowę. — I dlatego musiałem to sprawdzić osobiście.

— Rozumiem. Czy wie pan, że powinien nam o tym wtedy powiedzieć?

— Nie, nie wiem. Prowadzicie śledztwo w sprawie morderstw. Dlaczego to miałoby was interesować? — wycedził hardo Farney, przeciągając. — Trzeba zachować chłodny dystans i opierać się na faktach. Takie pomówienia mogą zabić, zniszczyć człowieka. Znam wiele spraw tej firmy i jej ludzi. Taka praca. Mimo ich wad i słabości muszę dbać nie tylko o ich bezpieczeństwo, ale i o jego poczucie. Zresztą tak samo jak w pana zawodzie, czyż nie?

— Nie zeszliśmy za bardzo z tematu? — przerwał znudzony Relik.

— Zeszliśmy! — Skalski spojrzał na niego gniewnie.

Słuchawka milczała, ale Skalski zastanowił się, czy to zachowanie to nie pierwszy sygnał jakiejś zmowy. A może wiedział w tej sprawie coś więcej? Teraz to raczej nieważne. Zwrócił się znowu do przesłuchiwanego:

— Wspominałem o strażniku Rado, dyrektorze Farney. O naszym pierwszym podejrzanym. Pół roku temu osobiście go pan zatrudnił, prawda?

— Nie… Ochrona jest zapewniana przez zewnętrzną firmę. Wie pan — kpiąco puścił oko — mamy z nimi taki układ: my nie mamy własnych strażników, a oni nie tworzą oprogramowania.

Skalski pozwolił sobie na krzywy uśmiech i spojrzał do notatek.

— Z zeznań szefostwa tej firmy wynika, że był z pańskiego polecenia.

— Poleciłem go do tamtej firmy, nie zatrudniałem go. To nie moja kompetencja.

— Dlaczego go pan polecił, skoro to nie pańska kompetencja?

Farney zaczął się irytować.

— To jakiś znajomy mojego znajomego. Kolega mnie spytał, czy miałbym coś prostego do roboty dla niego. I tyle. Czy to też jest podejrzane?

— Z jego CV wynikało, że nie miał żadnego doświadczenia. I dużą lukę w życiorysie. Co panem kierowało, dyrektorze?

Farney wzruszył lekceważąco ramionami.

— Nie czytałem jego CV, nie ja go zatrudniałem. Wyświadczyłem tylko przysługę znajomemu.

— A potem jednak trafił do RCUS-u.

— Co mam powiedzieć? — Wzruszył ramionami, nerwowo się uśmiechając. — Dali go tutaj, więc tutaj pracował. To nie moja sprawa.

— No dobrze. — Skalski rozluźnił się i zaczął z rękoma splecionymi na plecach. Wyglądał teraz jak prelegent na wykładzie dla znudzonych biznesmenów. — W dniu popełnienia pierwszej zbrodni strażnik Rado, nasz pierwszy podejrzany, miał służbę. Zakładaliśmy, że podrabiając identyfikator i manipulując nagraniami, wszedł do laboratorium i dokonał zbrodni. Kilka elementów jednak nie pasowało. Primo, ze względu na znajomość pewnej luki w systemie w prosty sposób uniemożliwił pracę kamer na dwie godziny. Nasi specjaliści stwierdzili, że sprawa była nieskomplikowana, o ile się człowiek na tym zna. A kim był nasz podejrzany? Wcześniej trudnił się dorywczo ochroną nocnych klubów, ledwie ukończył szkołę średnią, miał podejrzaną przeszłość i brakowało mu kwalifikacji w sprawach komputerowych. Jego zwierzchnik zeznał, że bardzo długo wdrażał się w obsługę funkcjonujących tutaj systemów bezpieczeństwa. Podkreślam, że chodzi o obsługę, a nie ich tworzenie czy nawet konfigurację. Secundo, nie miał żadnego bezpośredniego związku z drugą ani trzecią zbrodnią. Tertio, podrobiony duplikat identyfikatora był na osobę w delegacji. Jeżeli wybrałby ją przypadkowo, szanse na to byłyby niewielkie. A jeśli zrobił to z zamysłem, to skąd miałby wiedzę o tym, kto i gdzie się wybiera? Quatro: utrwalone ślady podeszew, oprócz rozmiaru, nie pasowały do jego profilu. Nie zgadzał się ani rodzaj chodu, ani

zabezpieczona zawartość mikrobiologiczna. To była zupełnie nowa para, której temu człowiekowi nie wydano.

***

Walczak wesoło zanucił:

— Jadą radiowozy / migają koguty / pędzą do pracowni / bo chcą zbadać buty!

10

— Przejdźmy do drugiego śladu. Na ubraniu de Bugaja zabezpieczono włosy Henryka Diukiewicza. To by wystarczyło, aby go zatrzymać, ale jak się później okazało, wcale nie przesądzało to o jego winie. Mieliśmy śmiałą hipotezę, że wspólnie dokonali tej zbrodni, ale upadła, kiedy pojawiły się następne. Obaj byli wtedy osadzeni w areszcie.

— OK. Wiemy już, że to nie strażnik ani nie kierownik — przerwał zniecierpliwiony Relik.

Skalski podszedł do niego.

— Pan nam chce coś powiedzieć?

— Niby co?

— Coś, co sprawi, że nie będziemy dalej tracić czasu.

Relik zamilkł.

— Słucham — wycedził Skalski, cierpliwie wyczekując i wpatrując się świdrującym spojrzeniem.

Czas wydłużał się z sekundy na sekundę. Relik jakby się nieco skurczył i wyczuwając ciężką atmosferę oraz wzrok wszystkich zebranych, szepnął skulony:

— Niech pan kontynuuje. Nie będę już przeszkadzał.

— Na pewno? Może jednak warto się czymś podzielić?

— Nie mam niczego takiego.

— Jeszcze zobaczymy… — rzekł złowróżbnie Skalski. — Trzecim aresztowanym został Norman Weiss, którego wskazał nam dyrektor Szefler. Może pan nam przypomnieć okoliczności?

Maksymilian Szefler chrząknął i zabrał głos:

— To nastąpiło po śmierci Kiliana Osika. Przyszedł naciągnąć mnie na kolejne nadgodziny, które miały złagodzić skutki kolejnej straty resou… inżyniera. Ponieważ nie było na to budżetu, odmówiłem, a to wywołało istną lawinę nieprzyjemnych wydarzeń. Wolę tutaj nie wywlekać wszystkich szczegółów tej awantury. Nawet nie chcę myśleć, jakiemu mobbingowi z jego strony musiał być poddany jego zespół menedżerski. Zwolniłem go dyscyplinarnie i wyszedł w asyście ochrony. Potem jakby mnie coś oświeciło i zadzwoniłem do pana inspektora.

— Co pana tknęło?

— To zachowanie. Wybuch złości, szkodliwość, kłamstwa, niedomówienia. Do tego jego podwładnymi byli menedżerowie, którym uśmiercono inżynierów. Mnie się to jakoś ułożyło w całość.

— Słusznie pan zrobił. Norman Weiss okazał się przestępcą handlującym narkotykami. I to od lat!

Sprawca zastanowił się, jak policja do tego doszła, nie mając informacji, którą dopiero miał im podrzucić.

***

— Z tym Weissem to była wtedy piękna akcja — pochwalił Czerski. Przypomniał go sobie, bo sam wytypował grupę podejrzanych, ślęcząc godzinami przy nagraniach.

— Mieliśmy sporo szczęścia. Gdyby ten zafajdany dyrektor bigamista wtedy nie zadzwonił — dodał Walczak — trochę byśmy się z tym wozili.

***

— Weiss przyznał się do wszystkiego prócz zabójstwa — tłumaczył cierpliwie Skalski. — Poszedł na daleko idącą współpracę z wymiarem sprawiedliwości.

— Uwierzyliście mu? — zapytał Farney. — Mimo że, jak pan stwierdził, umówili się wtedy mailowo z Osikiem?

— To trochę bardziej skomplikowane. Kiedy Weiss udostępnił nam swoją skrzynkę pocztową, okazało się, że tej korespondencji nie ma.

— Nie rozumiem… — odezwał się Aivar. — Mieliście obie skrzynki.

— Właśnie… — zawiesił głos Skalski, by wszyscy odrobinę się skupili. — Okazało się, że Osik nie korespondował tego dnia z Weissem, ale z kimś, kto miał identyczną nazwę konta.

— To niemożliwe — stwierdził Farney.

— Faktycznie, przesadziłem. Nie identyczną, ale ludzkie oko nie widzi różnicy. Dla maszyn była to różnica zasadnicza. Zgodzicie się chyba, że litera O i cyfra 0 w wielu czcionkach wyglądają bardzo podobnie.

— Momencik… — włączył się Szefler. — Jeżeli ktoś miał identycznie wyglądające konto, a umówił się na spotkanie, to tak, jakby wszystko wiedział, rozumiał, z kim i o czym rozmawia.

— Słusznie. Ktoś, kto zna tajemnice obu osób i wie, o czym dyskutują.

— Więc kto to? — dociekał Szefler.

— Skrzynka tej osoby jest poza jurysdykcją naszego prawa i umów międzynarodowych. Nie mogliśmy tego ustalić. Wystosowaliśmy jednak w tej sprawie pismo z prośbą do ich prokuratury, obszernie wyjaśniając nasz kłopot, i złożyliśmy propozycję udostępnienia informacji w wybranych sprawach, które interesują drugą stronę. Jesteśmy dobrej myśli, bo wstępna odpowiedź nie była odmowna. Często już tak postępowaliśmy z dobrym skutkiem. Podkreślmy też to, że korzystnym dla obu stron.

Właściciel skrzynki zacisnął odruchowo pięści i dopiero po chwili zorientował się, że gdyby nie trzymał ich pod stołem, byłoby to dla wszystkich widoczne. Szybko kalkulując, uspokoił się. Skrzynkę założył na nieprawdziwe dane osobowe. Gorzej, że w logach ich serwerów z pewnością mają adresy IP komputerów, z których się logował. Zawartość skrzynki tego nie ujawnia, ale nie wiadomo, o co wnioskowali śledczy.

— Dlaczego nie poczekaliście, aż uzyskacie te informacje? — zapytał Farney.

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie ma żadnej gwarancji, że się uda. Po drugie, że procedura i dyplomatyczne zabiegi wymagają trochę czasu, a tego akurat nie mamy, zwłaszcza że apetyt na zbrodnie ostatnio wzrósł.

— Jaki z tego wszystkiego płynie wniosek? — zapytał Aivar. — Strasznie dużo faktów, trudno to ogarnąć. Jak to ocenić?

— Proszę państwa, z przykrością muszę stwierdzić, że nasi dotychczasowi podejrzani okazali się niewinni. Podrzucone, fałszywe tropy miały celowo skierować nas na manowce, opóźniać i utrudnić ustalenie prawdy. Istnienie osoby poza zasięgiem naszego wzroku potwierdza nie tylko sprytnie podrzucona korespondencja z Osikiem. Są też inne wskazówki, jak choćby owe strażnicze buty czy podrzucone włosy Diukiewicza… są i inne.

„Podrzucone? Jak to rozgryźli?” — zaniepokoił się. „Inne wskazówki?” To już brzmiało alarmująco.

— I nagle, pojawia się zupełnie nowa, nieoczekiwana, prawdziwa bomba: artykuł w prasie dotyczący obu śmiertelnych zajść. Na początku wzbudza zamęt i chaos. Przypomina pan sobie, prezesie, genezę tej sprawy?

— Tak. Zjawił się wtedy u mnie jeden z inżynierów. Był bardzo zdenerwowany i zdał ciekawą relację.

— Jaką? Niech pan powie.

— Historia zaczyna się w niedzielę nad grobem Nikodema de Bugaja — mówił stoicko, spokojnie. — Nasz inżynier został tam, niby przypadkowo, zagadnięty przez pewną kobietę. Była dobrze poinformowana zarówno w sprawie de Bugaja, jak i Osika. Podkreślmy, że o śmierci tego drugiego on wtedy jeszcze nie wiedział. Chciała podobno ustalić prawdę, poznać szczegóły, tło sprawy, i prosiła o pomoc. Zidentyfikowaliśmy ją. Okazała się nią Anna Tores, autorka artykułu.

***

Walczak nie zdołał stłumić uśmiechu, widząc, jak Czerski pokraśniał z zadowolenia.

***

— Dziękuję panu. — Skalski znów sięgnął po notes. — Wtedy skontaktowaliśmy się z nią i dotarliśmy do istotnej dla sprawy korespondencji. Otóż jedno z was wrzuciło do jej skrzynki list i załączyło akta personalne ofiar zbrodni. Akta z już naniesionymi informacjami o tragicznych zgonach. — Spojrzał na Zuzannę Elkebaum, która dla odmiany była teraz blada jak ściana.

Skalski tego nie skomentował, ale zauważył, że na twarzy Farneya pojawiło się zmartwienie. Musiał zdawać sobie sprawę, jak bardzo ten wyciek ją obciążał.

— Jedno z was — powtórzył — kazało wysłać do siebie pustego maila zaadresowanego na sucr@fmail.ru. Pani Tores podjęła grę, a my wkrótce do niej dołączyliśmy. Na naszą prośbę napisała we wtorek tak… — Przekartkował zapiski i wyrecytował: — „Wtorek, 23.18. Na pewno czytałeś mój artykuł. Daj mi coś jeszcze”. Pół godziny później przyszła

odpowiedź. Proszę o uwagę. — Poprawił włosy. — Cytuję: „Rano w RCUS. Naostrz laptopa”.

Sala zamarła. Oczy wszystkich skierowane były tylko w jedną stronę.

— To oburzające! — Relik zerwał się ze swojego fotela. — Nie mam z tym nic wspólnego!

***

— Pęka, bo się lęka! — uradował się Walczak. — Teraz zacznie się zabawa!

Czerski czuł się dziwnie. Czegoś takiego jeszcze nie przeżył.

***

Ciszę zakłócał jedynie wentylator projektora i nawiew klimatyzacji.

— Niech pan jednak spocznie — przykazał Skalski. — Mam do pana mnóstwo pytań.

— To jakieś bzdury! — zaprzeczył, stojąc na baczność. — To nie jest moja wiadomość!

— A do start-upu Future Definition się pan przyznaje? — zapytał.

Relika zatkało, poczerwieniał i zaczął się trząść. Poluzował krawat.

— To nie ma nic do rzeczy — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Co pan robił w dniu śmierci Nikodema de Bugaja? — Skalski zapytał chłodno. Musiał zmusić go do mówienia. — Słucham…

Ten zaś wciąż stał i patrzył groźnie na inspektora.

— Nie pamiętam — wycedził, siadając ciężko, bo nogi zrobiły mu się jak z waty.

— Niechże pan się postara! — nalegał.

— W dzień jego śmierci? — powtórzył, krzyżując ręce na piersiach.

— Poprzedni piątek, godzina dziewiętnasta, dwudziesta… — podpowiedział.

— Byłem w domu — rzekł stanowczo.

— Ma pan na to świadków?

— Rodzinę.

— To trochę mało wiarygodni świadkowie — zakpił Skalski.

— Rodziny się nie wybiera — odparł bezczelnie Relik.

— A gdzie pan był w wieczór śmierci Osika?

— Tydzień temu? — zmarszczył brwi. — Biegałem. Event survivalowy. Cały weekend!

— Doprawdy?

— Widziało mnie mnóstwo ludzi.

— Oczywiście. Łącznie z tymi na szesnastym piętrze Cloude Bridge. Szybko pan biega! Ponad sto czterdzieści kilometrów w dwie godziny!

— O czym wy… — Prezes Aivar otworzył szeroko oczy, ale zamilkł, widząc gniewne spojrzenie Skalskiego.

Skalski drążył dalej:

— To jak jest? Był pan na biegu czy w biurowcu? A może ma pan brata bliźniaka?

— Pojechałem do biurowca w centrum. — Z Relika jakby zeszło powietrze.

— Po co ta maskarada? Ten wyjazd w las?

— Bo miałem być na tym evencie. Ale pewne wydarzenia zmusiły mnie do działania. — Zgaszony Relik nie zdawał sobie sprawy, jak dwuznacznie zabrzmiało to wyznanie. — Nie chciałem, by ktoś to wszystko odkrył… Miałbym kłopoty.

— Konflikt interesów… — Skalski pokiwał głową.

***

Walczak się uśmiechnął. „Moja szkoła!”

***

— Żaden konflikt — bronił się Relik. — Nasze firmy ze sobą nie konkurują.

— Wykradanie pracowników raczej nie służy RCUS-owi.

— Jakie NASZE firmy, jacy pracownicy? — Aivar podniósł głos. — Niech pan wyjaśni, dyrektorze!

— Proszę nie przerywać — rozkazał Skalski i wrócił do Relika: — Proszę powiedzieć, kiedy po raz ostatni widział pan Nikodema de Bugaja?

— Dawno…

— Dawno, czyli kiedy?

— Może miesiąc temu… — podrzucił niepewnie.

— Na pewno nie przed dwoma tygodniami? — Skalski udał zdziwienie.

— Na pewno! — zaprzeczył ostro Relik.

— To gdzie go wtedy widziałeś? — ponaglał.

— Był u mnie w biurze.

— W twoim gabinecie? — powtórzył Skalski i się zamyślił. — W jakim celu go wezwałeś?

— Chyba pan żartuje, myśląc, że to pamiętam! — Relik się obruszył.

— To nie był twój podwładny, więc to musiało być ważne — konkludował.

— Kto by miał w pamięci takie rzeczy?

— Ktoś, komu odmówiono w ważnej kwestii.

Relik ucichł na chwilę. Pocił się i chciał uciec. Szukał sposobu, by szybko zamknąć ten temat. Wymamrotał tylko:

— Naprawdę nie wiem, o czym mowa.

— Długo znaliście się z de Bugajem? — Skalski starał się trzymać tempo.

— Nie. — Relik pożałował, że nie wyparł się tej znajomości wcześniej.

— W jakich okolicznościach się poznaliście?

— Nie pamiętam.

— Nie kłam! — wrzasnął niespodziewanie Skalski. — To, co tu słyszę, to tylko wykręty, uniki i kłamstwa!

— O co panu chodzi? — Relik zerknął na znieruchomiałą resztę towarzystwa.

— O to, że de Bugaj odmówił! Nie przyjął pańskiej oferty pracy w start-upie. Prawda?

— Tak. — Zaschło mu w gardle. — Potrzebowałem… — przełknął ślinę — specjalisty od testów i sieci. Miał dobre rekomendacje. Chyba nie myślicie, że z tak błahego powodu mógłbym go zabić?

— Otóż to. — Skalski uspokoił ton i zignorował słuszną uwagę Relika. — Przetransferowałeś wielu pracowników, potrzebowałeś ich, ale de Bugaj był spoza twojego departamentu. Nie znałeś go dobrze. Podjąłeś ryzyko i nie wyszło.

— Można tak powiedzieć — przyznał.

— Jak śmiałeś?! — Aivar nie wytrzymał. — Co za… co za… — Nie mógł znaleźć słowa.

— Zuchwałość i bezczelność — wymamrotał Frost.

— To nieetyczne! — zawtórowała Elkebaum.

— Zawiodłeś moje zaufanie. — Prezes Aivar był załamany. — Postąpiłeś wbrew wszelkim zasadom…

— Wbrew jakim, kurwa, zasadom?! — wybuchnął Relik. — Gdzie tu są jakieś zasady? Kurwa! Jedyna zasada to zysk w najbliższym okresie finansowym! Rozwalacie tę firmę, nie inwestujecie w przyszłość, nie

potraficie uciec do przodu, nie podejmujecie żadnego ryzyka! Horyzont waszej percepcji i zdolności działania kończy się na redukcjach! O funkcjach naszego oprogramowania decyduje się w księgowości! Wasze czynności naprawcze przypominają szamańskie tańce wokół płonącej wioski i rozpaczliwe wołanie o deszcz! Nie dziwię się, prezesie — zwrócił się z pociemniałymi od gniewu oczami do przełożonego — że dostał pan kopa w dupę od zarządu. Trzy lata za późno! To pan ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za agonię naszego przedsiębiorstwa. Teraz nawet nie macie kim budować przyszłości. A wy, szanowni dyrektorzy? Najważniejsze były tylko stołki, przywileje, kolacyjki w drogich restauracjach. Obłudne uśmiechy i potajemne podpieprzanie. Każdy z was tylko knuje: „Co by tu jeszcze zagarnąć? Na czym się jeszcze wzbogacić? Jak umocnić pozycję?”. Żałosne! Tłuste korposzczury gnające po zaszczyty i władzę, mający za nic ludzi, którzy poświęcają się po godzinach tylko po to, by zrobić dobrze waszym ambicjom. Ogłupiacie ich infantylnymi idiotyzmami i korpopropagandą, a potem wyrzucacie, kiedy tylko się zużyją. I wy śmiecie mi mówić o zasadach? To ja im daję nową szansę, nową nadzieję. Ja mam szacunek dla ich dokonań, ja wierzę w ich umiejętności! To ja dzielę się z nimi moją własnością na uczciwych zasadach, bo oni na to zwyczajnie zasługują! — Ostatnie zdanie niemal wychrypiał.

— Co chciałeś na tym zyskać? — zapytał zdezorientowany Szefler.

— I proszę… „Co zyskać?” — zaśmiał się gorzko Relik. — Nic do was nie dotarło, nic… I pomyśleć, że opracowaliśmy w mojej firmie coś, co mogłoby uratować wasze dupy i wyprowadzić korporację na ocean spokoju. Na dekady!

— Megaloman! — Frost kipiał wściekłością.

Farney przyglądał się Relikowi z życzliwym zainteresowaniem. Nie znał go od tej strony. Nikt go nie znał.

— Drodzy państwo. Zachowajmy spokój — zwrócił się do zebranych Skalski — i wróćmy do istoty spotkania. Poznaliśmy szczere myśli i opinie pana dyrektora, ale potwierdziliśmy również ważny fakt. Siedzący tutaj człowiek wyciągał najlepszych pracowników RCUS-u i zatrudniał ich w swojej prywatnej firmie. Trzeba podkreślić, że zaczął ten proceder dość dawno… Nikt z was się w tym nie zorientował. — Spojrzał znacząco na Farneya. — Szło mu sprawnie, dopóki nie pojawił się Nikodem de Bugaj. On, ku jego zaskoczeniu, wzgardził hojną ofertą, która miała, jak to powiedział przed chwilą pan dyrektor, dać mu „nową szansę i przywrócić szacunek”. Wtedy zrozumiał, że popełnił poważny błąd. Trzeba go było szybko naprawić. A że jego departament ma wiele środków i możliwości… Czego nam więcej trzeba? Mamy motyw, który tak… tak pięknie łączy się z kolejnymi osobami. Kilian Osik to bliski przyjaciel de Bugaja, więc naturalnie zostaje wtajemniczony w całą sprawę. Dlatego trzeba teraz gasić pożar od drzewa do drzewa.

— Głupie insynuacje! Stek bzdur! — wykrzyczał Relik. — To absurd!

— Jak zabiłeś Kiliana Osika? — Oparł się o blat i pochylił nad podejrzanym, jakby chciał go wziąć na rogi.

— Nie zrobiłem tego! Przecież byłem wtedy na szesnastym piętrze!

— Czas tu nie ma znaczenia — uśmiechnął się bezczelnie Skalski. — Przecież Osik sam wybrał godzinę swojej śmierci, sięgając po zatrutą tabletkę. Tabletkę, którą podrzucił mu pan wcześniej. Nie tak było?

— Nie mam nic wspólnego z żadną z tych zbrodni! Nikogo nie zabiłem! Czy wy jesteście normalni? — Uderzył dłonią o stół. — Miałbym zabić, bo ktoś nie chciał dla mnie pracować? Co to za nonsens?! Co to za brednie?!

— Ależ to nie był motyw. — Skalski nachylił się ku niemu. — Wystraszyłeś się, że de Bugaj i Osik zaczną o tym rozpowiadać, a plotki dotrą do zarządu.

— I co z tego? — Relik wydawał się szczerze zdziwiony wywodem Skalskiego.

— Zostałbyś oskarżony o szpiegostwo przemysłowe, nieuczciwą konkurencję, działanie na szkodę pracodawcy. Straciłbyś wszystko, absolutnie wszystko — stanowisko tutaj, swoją firmę i prawdopodobnie wolność. To tylko pozornie wygląda na absurd.

— Żądam adwokata! — Skrzyżował ręce Relik.

Patrzyli sobie wrogo w oczy. Na twarzy Relika dały się zauważyć niekontrolowane drgawki policzka.

***

— Komisarzu, można łyk? — poprosił Czerski. Był strasznie spięty.

Walczak jednak nie mógł spełnić tej prośby. Szepnął tylko smutno:

— Nie przyznał się. Menda jedna…

11

Skalski odwrócił się w kierunku Lucjana Frosta i zrobił dwa kroki do przodu.

— Morderstwa, afera z prasą… i jedna sprawa, która przeszła trochę bez echa. W normalnych okolicznościach byłby to temat na pierwszą stronę, prawdziwy skandal, a tak… stał się drugoplanowym wydarzeniem, niezwracającym na siebie niczyjej uwagi. Wie pan, o czym mowa, panie Frost?

— Domyślam się, skoro kieruje pan pytanie do mnie — spokojnie odpowiedział. — Chodzi zapewne o Monikę Reshke.

— Właśnie. To nie przedmiot tej afery mnie zastanowił, ale jej moment. Dlaczego właśnie teraz, wśród tego szaleństwa? Nie dawało mi to spokoju. I aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy wrócić do znanej nam postaci Kiliana Osika.

Frost zrobił zdziwioną minę.

— Do niechlubnej listy wad naszej ofiary musimy dodać kolejną… Był to pociąg do hazardu — wyjaśniał Skalski, kiwając się lekko na boki. — A stąd szybko pojawiły się problemy: długi. Dowiedzieliśmy się o tym przez przypadek. Potem, idąc tym tropem, dotarliśmy do kilku ludzi, którzy potwierdzili, że Osik był im winien niemałe pieniądze. Ile tych długów było, tego nie sposób teraz ustalić. Naszym niedopatrzeniem było pominięcie tego szczegółu wcześniej, mimo posiadania bogatej korespondencji między nim a Normanem Weissem. Osik wiecznie zalegał z płatnościami za metę. Dług narastał i… pewnego dnia problem zniknął. Nie było tematu! Co się stało? — Wzruszył ramionami. — Zapytaliśmy Weissa. Osik spłacił wszystko jednego dnia, za jednym zamachem. Inni to również potwierdzili. Wieść niosła, że wygrał w kasynie. To nie była prawda. Grał nielegalnie w znanym w półświatku klubie, w jego specjalnej, wydzielonej strefie. W tym samym miejscu, które odwiedza również pan, dyrektorze Frost.

***

— Los nam ofiarował wczoraj prezent: wskazówkę od Kowalskiego — szepnął Czerski do ucha Walczaka, by nikt poza nim tego nie usłyszał.

— *Factum est*[1]. Reszta to rutyna… i znajomości na mieście. Tego w internecie nie wyszukasz.

***

— Co takiego? — oburzyła się Elkebaum, odwracając do Frosta. — Bawisz się w hazard? Z jakimiś ciemnymi typami?

Ta reakcja nie pozostała niezauważona. Nikt jednak nie ośmielił się tego skomentować. Frost pokręcił głową, ale nie odpowiedział na jej uwagę. Zapytał natomiast:

— Co pan sugeruje, podinspektorze? — Pogardliwie podkreślił sylabę „pod”.

— Osik wygrał od pana sporo pieniędzy, prawda?

— Chyba jest pan w błędzie. — Spokój na twarzy Frosta był zastanawiający.

— Nie jestem. Są świadkowie i jest… przelew.

— To ciekawe. — Jego mimika bynajmniej tego nie wyrażała. — Poprosiłbym o szczegóły. Wtedy z pewnością wskażę panu nieprawidłowość w rozumowaniu.

— Oczywiście — zgodził się Skalski.

To było łatwe do przewidzenia: Frost czuł się pewnie w świecie liczb, przelewów i księgowości. Wolał przeciągnąć policjanta na pole, na którym miał zdecydowaną przewagę. Skalski pozwolił Frostowi myśleć, że będzie kontrolował sytuację.

— Zatem słucham — zachęcał.

— To było sześć tygodni temu. Wokół stołu w poker roomie rozsiadło się was pięcioro plus krupier. Osika zobaczył pan tam pierwszy raz i nawet nie wiedział, że pracujecie w tej samej korporacji. Grywał tam od niedawna i początkowo pozwolono mu trochę się wzbocić, by nabrał chęci i mocniej się w to zaangażował. Potem przegrywał i popadał w kłopoty. Skąd zatem zjawił się wtedy z tak dużą gotówką? Wie pan? Czegoś się domyśla?

— Jestem tylko księgowym, znam się na liczbach, moja wyobraźnia nie dorównuje pańskiej, inspektorze…

— Wtedy jeszcze pan nie wiedział, kim jest ten leszcz, choć on pana od razu rozpoznał. Pan wtedy myślał: „Świeżynka, łatwo go wycyckam. To będzie łatwy zarobek”. Nie tak pana zachęcono? Tylko że nie wyszło. Jako dyrektor finansowy świetnie pan liczy pieniądze, ale Osik lepiej liczył karty. Tamta czwórka ludzi dała wtedy panu ostro w kość. Puścili pana w skarpetkach. Nie tylko przegrał pan wszystko, co przyniósł, ale i to, czego jeszcze nie miał.

— Winszuję fantazji. — Ponure spojrzenie zdradzało, że nie były to szczere życzenia.

— Wie pan, dlaczego do tego doszło? Co tak naprawdę się tam stało?

— Niech pan mówi. — Uśmiechnął się, udając rozbawienie.

— To był kant. Osik nie grał swoimi pieniędzmi. Miał je oddać, a dla pana być wabikiem. Zabrać miał tylko swoją nadwyżkę, czyli to, co sam od pana wytarga. I poszło mu świetnie.

***

— Widziałeś? — krzyknęli równocześnie Czerski i Walczak.

Mikroekspresja trwała ułamek sekundy, ale wrócili z nagraniem i potwierdzili jednoznacznie i bez wahania: gniew.

***

— Coś jeszcze? — zachęcał Frost, ale nie brzmiało to już tak pewnie.

— Lokalna mafia z pomocą niegłupiego, choć naiwnego Osika wydrenowała pańską kieszeń. Lubią bogatych frajerów, którzy nie rozumieją zasad brudniejszej strony miasta. Pozostałą do spłacenia należność uiścił pan przelewem na ich konta. Był pan rozważny i tamta

trójka też. Rachunki były zagraniczne, prócz jednego, naszego niefrasobliwego Osika… Na jego konto wpłynęło jedenaście tysięcy euro. Mamy pełen wgląd w jego dane.

— Skąd pomysł, że to ja wykonałem przelew?

— A kto to zrobił?

— Niech mnie pan nie rozśmiesza… Ktokolwiek mógł to zrobić, a pan posądza mnie? W ogóle to skąd pan ma te rewelacje?

— Z wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej.

— Czyli od jakiegoś ich informatora? Ile mu zapłaciliście za tę wymyśloną na poczekaniu bajeczkę?

— Pańska opinia nie ma tu żadnego znaczenia. — Uśmiechnął się zjadliwie Skalski. — Sąd orzeka na podstawie dowodów.

— To wiem, ale wciąż ich nie widzę.

Skalski sięgnął do lewej kieszeni i wyciągnął plik zdjęć. Przekartkował i podał mu jedno, resztę chowając do marynarki.

— To z monitoringu kasyna — rzekł bezbarwnie. — Na zdjęciu widać pana i Osika. Może pan puścić tę fotkę w obieg.

Elkebaum dostała drgawek, ale nie wydała żadnego dźwięku. Siedząc obok Frosta, widziała osoby na fotografii.

— A co do reszty dowodów… — Skalski kontynuował swój wywód. — Ku naszej wielkiej radości odkryliśmy, że na wyciągu z prywatnych kont bankowych zarówno Kiliana Osika, jak i Moniki Reshke występuje ten sam numer rachunku. I tu, i tam ten sam numer. Potrafi pan to wyjaśnić?

— Ja? — Zrobił zdziwioną minę. — Niech będzie… Abstrahując… od pańskich żałosnych insynuacji, macie jedynie dowód, że… pan Osik i pani Reshke otrzymali pieniądze od tej samej osoby. Nie widzę w tym swojego udziału.

— Czyżby? — uśmiechnął się Skalski. — A czy ja mówiłem, kto był nadawcą? To pan powiedział… dyrektorze Frost. Ja tylko wskazałem na fakt, że w obu sprawach występuje ten sam numer konta.

Ktoś sapnął głośno. Farney pokręcił z uznaniem głową.

— Podsunął mi pan takie skojarzenie i wykorzystał moją naiwność — próbował się bronić Frost. Ton głosu w ogóle się nie zmienił. Był niewzruszony, ale kto wie, co działo się w jego głowie.

— Najważniejsze, że powiedział pan prawdę. — Znów zaczął się przechadzać po sali. — Parę dni to jeszcze potrwa, ale z łatwością ustalimy właściciela tego rachunku. Sam pan wie, jak to działa, każda transakcja jest zarchiwizowana i zaksięgowana. Wracając do tematu… Pani Reshke również otrzymała z tego konta duże pieniądze. Nie potrafiła tego wyjaśnić i był to jeden z wielu powodów jej aresztowania. Zatrzymajmy się przy niej na chwilę — zaproponował. — Dyrektorze Frost, przypomni nam pan historię tej afery?

— Wszyscy tutaj ją znają…

— Mimo to nalegam.

— No dobrze… — westchnął. — Jak pewnie wiecie, w poniedziałek musiałem pilnie udać się za granicę na badania medyczne. Ona to wykorzystała. Wkradła się do mojego biura, a już wcześniej musiała zdobyć jakoś hasła do mojego komputera… pewnie ten młody Marceli jej pomógł. — Frost skierował spojrzenie na Farneya, który chrząknął, widocznie chcąc coś powiedzieć.

***

— Co on pieprzy? — wymknęło się Marcelemu w drugim pokoju. Walczak ponownie spojrzał w jego kierunku, po czym znowu cicho szepnął coś do mikrofonu.

***

— Ustalono — przejął na krótko opowieść Farney — że sprawy Marcelego i Moniki Reshke się łączą. Działaliśmy w porozumieniu z prokuraturą i organami ścigania.

— Istotnie. — Potrząsnął głową Skalski. — Siedząca tutaj pani Elkebaum złożyła obszerne wyjaśnienia w tej sprawie. Mamy to zaprotokołowane. — Znów podszedł do Frosta. — I co było dalej, panie dyrektorze?

— Aresztowano ją na gorącym uczynku. Byłem przy tym. Kopiowała hurtowo dane finansowe i marketingowe, była zalogowana na moim komputerze…

— Czyli w ostatniej chwili uchroniliście firmę przed wielką katastrofą? — podpowiedział Skalski.

— W rzeczy samej — odparł Frost z powagą.

— Interes firmy jest dla pana bardzo ważny?

— Oddałem korporacji wiele serca i kawał swojego życia.

— Przez lata żadnych większych uchybień? — dopytywał.

— Żadnych. Prezes Aivar może to potwierdzić. Staram się, by w finansach wszystko było w jak najlepszym porządku.

— Do czasu tej afery…

— Owszem… bezczelnie wykorzystała moment.

— Prześledźmy to jeszcze raz i po kolei — zaproponował Skalski. — W poniedziałek jest pan zmuszony, ze względów zdrowotnych, wziąć urlop i udać się w podróż. Jak w ogóle dowiedział się pan o chorobie?

— Z badań krwi. — Wzruszył ramionami.

— Kiedy i gdzie pana badano?

— W mojej przychodni… w zeszłym tygodniu. — Zmrużył oczy. — A w poniedziałek zadzwonili, że mają wyniki. Ponieważ nie były dobre,

pomogli mi zorganizować wyjazd na specjalistyczne badania za granicą. Sprawa była pilna, wszystko potem potoczyło się już bardzo szybko…

— Dzwonili do pana na komórkę?

— Tak.

Skalski potarł podbródek. Miał nadzieję, że w drugim pokoju mu to sprawdzą. Tylko żeby się domyślili…

— Kto pana skierował?

— Lekarz.

— Jak się nazywa? — Przekartkował notes i sięgnął do prawej kieszeni po długopis.

— No… jak mu było… — Frost udawał, że próbuje sobie przypomnieć.

— To może chociaż poda pan nazwę kliniki, do której poleciał?

— Eee… mam gdzieś zapisane. — Frost szukał czegoś w wewnętrznej kieszeni marynarki. — Ale chyba zostawiłem w domu…

— Nie pamięta pan?

— Niestety… taka obco brzmiąca nazwa.

— To może chociaż miasto?

— Paryż.

— I jaki był rezultat badań?

— To był na szczęście fałszywy alarm. Można z tym żyć.

— Do kogo pan wydzwaniał z zagranicy?

— Do nikogo… chyba… Dokładnie nie pamiętam.

— To tylko pięć numerów: hotel, dom maklerski, lotnisko, jeden nieznany i… pani Zuzanna Elkebaum — podpowiedział i odwrócił się do niej niespodziewanie. — O czym rozmawialiście, pani dyrektor?

— No… sprawy kadrowe. — Elkebaum jąkała się zaskoczona pytaniem. — Chciałam wiedzieć, czy wróci… wie pan, dłuższa przerwa na takim

stanowisku nie wchodzi w grę… Trzeba przygotować zastępstwo… wypełnić papiery, druki…

— Potrafi mi pan, dyrektorze, wyjaśnić — wrócił szybko do Frosta — dlaczego wśród tych numerów brakuje jednego?

— Jakiego? — Frost się przestraszył, że tak dokładnie go prześwietlili.

— Numeru kliniki. Chyba powinien tam być… — zaatakował Skalski.

— Dzwoniłem z hotelowego aparatu — wymyślił na poczekaniu.

— Do pani Moniki Reshke też?

— Do niej nie dzwoniłem w ogóle!

— Pani Elkebaum — odwrócił głowę Skalski — czy pan Frost dopytywał o panią Reshke?

— W jakim sensie?

— Po prostu, czy był taki temat, czy nie?

— Nie…

— Jest pani pewna?

— Absolutnie.

— Przed chwilą dyrektor Frost twierdził, że jest oddany firmie i obchodzi go jej los. Będąc na jego miejscu, chciałbym się dowiedzieć, czy mój zastępca sobie radzi, czy nie ma jakichś trudności, czy trzeba mu w czymś pomóc.

— Pan wybaczy — wtrącił Frost — ale miałem wtedy głowę zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

— Pani Elkebaum — zignorował go Skalski — poznała pani akta Moniki Reshke?

— Owszem. — Kiwnęła głową. — Przyjrzałam się jej. To przez ten skandal.

— Co wynika z tej dokumentacji?

— Nic podejrzanego. Zatrudniona pięć lat temu. Jeden awans cztery lata temu, trzy przez ostatnie półtora roku. Bardzo dobre opinie przełożonych, bogata wiedza i umiejętności.

— Jej kariera wystrzeliła dwa lata temu… — upewniał się Skalski. — Trzy awanse! Ostatni kiedy?

— Niecały rok temu. Została zastępcą dyrektora finansowego do spraw księgowości.

— Czy to nie jest zastanawiające?

— Rekomendacje pochodzą od przełożonych. Ich opinia jest najważniejsza. Nie widziałam żadnych przeszkód z mojej strony. Do tego parytet…

— Wiedząc to, co teraz, nie wydaje się to pani… szczególnie podejrzane?

— Owszem… — wycedziła. — Ale jak mieliśmy to wszystko przewidzieć?

— O nic bynajmniej pani nie oskarżam — sprostował. — Raczej pytam, czy ktoś jej czasem w tym nie pomagał?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć…

— Marceli?

— Owszem… — spuściła głowę. — On jej pomagał. Ale nie w awansach. Bo jak?

— Mój przyjaciel rozmawiał dzisiaj z Reshke. Okazał jej kilka zdjęć. Nie rozpoznała Marcelego.

— Kłamała! — Elkebaum syknęła przez zaciśnięte zęby.

— Skądże! Potwierdziliśmy to na wariografie z Marcelim. — Skłamał, ale wykorzystał informację z „ucha”. — Chłopak nie ma o niczym pojęcia! Wrabia pani własnego syna. Dlaczego?

— Nic podobnego! — zaprzeczyła.

— To opowiem państwu, co i jak z tą Reshke było. Ta młoda kobieta jest bardzo atrakcyjna, przebiegła i bezwzględna. Szantażem, podstępem, a nawet przez łóżko postanowiła piąć się do góry. Po co? Dla władzy? — Zaczerpnął powietrza. — Nie! Bo jak się okazało, chciała zdobyć pewne dane… Wrażliwe i niejawne dane, za które mogła dostać duże pieniądze. Dlatego tak parła do przodu. Po trupach do celu. Kim była jej ostatnia ofiara? Opowiedziała nam to w szczegółach, bo nic na tym stracić już nie mogła. Tonący brzytwy się chwyta…

Elkebaum była blada i wystraszona. Frost starał się opanować.

— Znalazła na pana haka. Dowiedziała się o hazardzie, o przewałach finansowych, o wygranej Osika… Po jego śmierci skojarzyła fakty i uderzyła!

— Co takiego? — parsknął Frost.

— Dała panu dobę na wyjazd z kraju i pozostawienie haseł, tokena, klucza do gabinetu.

— Dobre sobie!

— To skąd miała token i klucze?

— Ukradła!

— A pan tego nie spostrzegł?

— Spostrzegłem, jak wróciłem!

— Dlaczego nie wcześniej?

— Spieszyłem się.

— Słuchaj, krętaczu! — krzyknął Skalski i uderzył dłonią w blat stołu. — Nie potrafisz sobie przypomnieć nazwy kliniki, nazwiska lekarza… Ani z przychodni, ani z laboratorium też nikt nie dzwonił do ciebie w poniedziałek! Sprawdziliśmy. Uciekasz w popłochu przed czym? Czego się boisz? Ducha Osika czy ostrza Reshke?

Frost milczał. Elkebaum drżała.

— Panią Reshke — Skalski wyprostował sylwetkę i wrócił do spokojnego tonu — osobiście awansował pan na swojego zastępcę… czyż nie?

Frost kiwnął smętnie głową.

— Jak wszyscy myślicie? — Skalski objął salę spojrzeniem. — Trzydziestoletnia kobieta staje się wicedyrektorem. Potem podstępnie wykrada dokumenty, za które otrzymuje zapłatę z tajemniczego konta… Co się za tym kryje?

Nikt nie śmiał się odezwać.

— Powiedziała nam. — Popatrzył drapieżnie w oczy Frosta. — To był plan wielkiego przekrętu, a oni: Lucjan Frost i jego zastępczyni, Monika Reshke, mieli być jego beneficjentami.

***

— O czym mówi inspektor? — zdziwił się Czerski.

— Trochę podkoloryzował fakty — odparł Walczak. — Taki tani chwyt.

***

— Pan przekracza wszelkie granice! — zaprotestował Frost.

— Owszem. — Schował notes. — Ale daleko mi do was… Reshke wydawała się świetnym sprzymierzeńcem, drogi dyrektorze. I była gorąca w łóżku. Myślała jednak chłodno, miała swój własny pomysł, prosty i nie tak radykalny. W porę niestety spostrzegła, że coś przygotowujesz za jej plecami. Wyśledziła sprawę zwrotu ze skarbówki, dziwne operacje między kontami… To jej uświadomiło, że nie może ci ufać. Zrozumiała, że miała zostać kozłem ofiarnym, a jej rolą było milczenie do czasu, nim ktokolwiek się w tym połapie. Nie była głupia, oj nie. Kiedy nadarzyła się sposobność,

uderzyła pierwsza, miażdżąc wasze niepisane przymierze. Okazała się bardziej przebiegła i… pozbyła się ciebie.

— O czym pan mówi?! — wykrzyknęła niespodziewanie Elkebaum.

— Pani tego nie widzi? Dlaczego pan dyrektor awansuje młodą, atrakcyjną dziewczynę zamiast kogoś bardziej doświadczonego? Ta kobieta sama właziła mu do łóżka. Musiała mu coś dać… zyskać zaufanie. A on potrzebował jej… naiwności i świeżego ciała. Połączył przyjemne z pożytecznym — rozwijał swoje wymysły.

— Nie słuchaj go! — krzyknął Frost.

— A ja ci uwierzyłam! Ty… ty… — Nie mogła złapać tchu. — Ty skurwysynu!

— Uspokój się! To kłamstwa! — Frost próbował powstrzymać ten wybuch złości.

— Nic podobnego, ty dziwkarzu… — Złapała za zdjęcie i potrząsnęła mu przed nosem — Co to jest, szmaciarzu? No co? Wszystko niszczysz! Nie można ci wierzyć! Traktujesz wszystkich jak zabawki, jak narzędzia swoich matactw. Jak mogłeś zdradzić mnie z tą malowaną zdzirą! Przez ciebie zamknęli mojego Marcelego! Dla ciebie się poświęcił, dla ciebie śledził zarząd… A ja, głupia, ci w tym pomagałam! Jak mogłam cię pokochać, zaufać… ty… ty… ty podła świnio… co mi powiesz? Wymyśl jakieś kłamstwo… no proszę! — Jej głos się załamał.

Wstała zalana łzami, głośno przewracając krzesło, i wybiegła z sali. Nikt jej nie zatrzymywał.

***

Marceli się załamał, widząc zapłakaną matkę. Nie zauważył, jak oczy zebranych policjantów, techników i samego Kowalskiego z politowaniem patrzyły w jego stronę.

— Muszę iść… do matki — wybąkał osłupiały. Odsunął się od stołu i wstał.

— Idź — ponaglił Walczak.

***

— Co pan najlepszego zrobił? — Osaczony dyrektor Frost gorączkowo się rozglądał, jakby szukał drogi ucieczki. Pociemniało mu przed oczami, a sala zdawała się kurczyć. Zdjął okulary i odłożył je na bok. Chusteczką przetarł czoło i powieki.

— Czy Osik pana szantażował? — Skalski pochylił się nad stołem i oparł ręce o blat. Wzrok utkwił głęboko w oczach Frosta. Na jego starej twarzy widział nabrzmiałe żyły i kropelki potu.

— Tak. — Spojrzał na niego spode łba.

— Czego chciał?

— Wymyślił sobie, że będę mu płacił za milczenie. W przeciwnym razie miał donieść o moim hobby i niewesołym towarzystwie. — Poluzował krawat i spuścił wzrok. — Myślał, naiwniak, że się ugnę.

— Jak się pan pozbył tego problemu?

— Nie płaciłem… a potem stało się to, co się stało.

— Dobry powód, by zamknąć komuś usta.

— Panie inspektorze — rzekł przegranym głosem Frost. — Ja tego nie zrobiłem! Jego śmierć była mi na rękę, ale to nie ja…

— Wie pan, że trudno komukolwiek w to teraz uwierzyć…

— Powtarzam — sapnął ciężko. — Nie podniosłem na niego ręki.

— Niechże pan to przemyśli. Jest zbrodnia, a pan miał motyw… Wszystko się składa.

— Nie mam nic do dodania w tej sprawie.

— Po co się tak męczyć? Niech pan nam wszystkim zaoszczędzi czasu.

— Przykro mi to stwierdzić, ale to zły adres. Nie mogę wziąć na siebie cudzej winy.

— Cudzej? — podchwycił myśl. — Więc kto pana wyręczył?

— Prawdziwy morderca.

— Może go pan wskazać palcem? — Omiótł wszystkich spojrzeniem.

— Nie wiem, kim jest.

— Pan to zlecił komuś anonimowemu?

— Przyczepił się pan… Niczego nie zlecałem. Próbuję tylko wytłumaczyć, że to nie ja!

Skalski zamilkł, cofnął się i przemaszerował pod ekran rzutnika. Odczuwał ogromne zmęczenie. Zauważył, że Lucjan Frost nie wyglądał lepiej, a Donatan Relik kiwał lekko głową w przód i tył, patrząc w jakiś punkt na ścianie. Maksymilian Szefler błądził gdzieś myślami z półprzymkniętymi powiekami. Tylko Bernard Farney i Gabriel Aivar spoglądali na stojącego Skalskiego trzeźwym wzrokiem.

12

Skalski wziął głęboki oddech i stwierdził:

— Czas ucieka, a została jeszcze ostatnia sprawa…

— Może jakaś przerwa — zaproponował Farney. Wydawał się zmęczony. — Mam jeszcze mnóstwo pracy.

— Załatwimy to szybko… — odparł Skalski. — Sprawa Moniki Reshke łączy się z kolejną postacią. To dyrektor Szefler. Państwo spędzili ze sobą sobotni wieczór, prawda? Pan i Monika Reshke?

Szefler zbladł. Zerknął nerwowo na lewo i prawo, bo czym przytaknął niepewnie.

— Oto kolejna ofiara naszej modliszki. Wstydliwy temat, zwłaszcza teraz, kiedy już wiemy, kim jest ta kobieta i do czego jest zdolna… Szkoda

tylko, że dowiedzieliśmy się o tym od niej, a nie od pana. No — machnął ręką — ale to zrozumiałe, skoro romansował pan również z Maurą Zdowacką. Stracił pan dwie kobiety w ciągu trzech dni. Została tylko niekochana i niekochająca żona. Można się w tym pogubić — zakpił.

— Czy wywlekanie naszych prywatnych spraw naprawdę jest konieczne? — syknął Szefler.

— Owszem. Zwłaszcza w pana przypadku nie można tego rozdzielić… — Skalski podrapał się za uchem. — Zacznijmy od tego, że wszystkie zbrodnie dotyczą grupy ludzi związanych z pana departamentem. Motywy zbrodni de Bugaja możemy połączyć z postacią dyrektora Relika. Osika mogły zabić dwie osoby: dyrektorzy Frost albo Relik. Co do pani Zdowackiej… tutaj znowu zostaje pan Relik, ale w nowym towarzystwie…

— Czyim? — zapytał Aivar.

— Panie Maksymilianie, czy może nam pan zdać relację z tego, co zaszło na dachu we wtorkowy wieczór?

— Muszę? — zmarszczył czoło.

— Bardzo pana proszę. — Skalski spuścił głowę. Było oczywiste, że nie prosi.

— No to… byłem tam wtedy — zaczął Szefler. — Wyszliśmy na papierosa. Rozmawialiśmy, była wystraszona, bo przeczuwała to, co potem się istotnie wydarzyło. Naszą rozmowę przerwał telefon.

— Kto dzwonił?

— Żona. Pokłóciliśmy się…

— Poszło o panią Reshke?

— Tak.

— Żona dowiedziała się o niej?

— Niestety.

— Jak?

— Nie mam pojęcia… Może wynajęła kogoś, by mnie śledził?

— Maura Zdowacka jej nie powiedziała?

— A skąd ona… — zamyślił się Szefler — by wiedziała?

— Co się stało potem?

— Z telefonem przy uchu wszedłem do budynku — oświadczył beznamiętnie.

— Nie wracał pan na dach?

— Nie.

Skalski przez moment wpatrywał się w wykładzinę, jakby były tam zapisane jakieś słowa podpowiedzi.

— Zastanówmy się nad taką prostą sytuacją — zarzucił myśl. — Są trzy kobiety: pana żona, pani Zdowacka i pani Reshke. Zdowacka i Reshke wiedzą o żonie, ale tamta nic nie wie o tych paniach. No, może coś tam podejrzewa. Pani Zdowacka jednak dowiaduje się o pana nowej kochance, pani Reshke. Co może zrobić?

— Nie wiem, inspektorze, nie jestem kobietą…

— Są dwie opcje. Po pierwsze — zaczął wyliczać Skalski — wycofać się. Po drugie, sprawić, by pan porzucił tamte kobiety. Pierwsza opcja jest nieciekawa. Przejdźmy więc od razu do drugiej. — Splótł ręce. — Gdyby tak udało się skłócić obie konkurentki… Wystarczyłby jeden telefon do żony z donosem, czyż nie? Ale to był plan B. Plan A jest taki: Zdowacka oświadcza panu, że albo pozbędzie się tych pań, albo ona ci w tym pomoże. Czyli jedynie straszy wykonaniem planu B.

— To nie było tak. — Szefler pokręcił z dezaprobatą głową.

— Jako uwikłany w to wszystko jest pan niewiarygodny…

— Oświadczam stanowczo, że do niczego takiego nie doszło — zapierał się.

— Ale jaka by była pana reakcja, gdyby to była prawda?

— Bezsensowne gdybanie.

— Gniew? Wściekłość? Chyba nie spuściłby pan uszu po sobie? — Uparcie drążył Skalski.

— Do czego pan zmierza?

— Pan po prostu zareagował wtedy złością!

— O czym mowa?

— Zaczął pan straszyć panią Zdowacką!

— Co pan, do cholery, opowiada?

— Jak to co? To był cios za cios. Zaczął pan jej grozić! — Narzucał zajadle swój punkt widzenia Skalski.

— Skąd ten idiotyczny pomysł?

— Posłuchajmy… — Podszedł do dużego głośnika, na którym leżał niewielki odtwarzacz mp3. Nacisnął przycisk oznaczony trójkątem, a z głośnika dobył się znany wszystkim głos:

„Jak to zrobisz, Maura, to… to… to już twój koniec”.

***

— Skalski przesadził, mocno przesadził. — Fotel Walczaka odjechał, a jego oczy były nieprzytomne. Nie tak to planowali. — Nie rozplącze już tej sieci kłamstw.

Czerski siedział zdezorientowany. Spojrzał na Kowalskiego, jeden z punktów programu, ale nie dostrzegał szansy, by go tam teraz wprowadzić.

***

— To nie ja! — krzyknął Szefler.

— Przecież to pański głos. Ktoś ma wątpliwości? — Skalski rozejrzał się po zebranych.

Wszyscy byli zaskoczeni, ale nikt nie miał żadnych złudzeń.

— To prawda, że zadzwoniła do pana żona. To prawda, że dowiedziała się o Monice Reshke… Przyznał pan to. A teraz usłyszeliśmy coś, również pana głosem, co tłumaczy wydarzenia tamtego wieczoru.

— To nie tak! Pan przekręca fakty!

— Oto brakujący element puzzli: wezwała pana na górę. Zanim się pan tam pojawił, wykonała telefon do pańskiej żony i powiedziała o Reshke. Chwilę potem wszedł pan na dach. Chciała zobaczyć pańską minę; zemścić się za pańskie bawienie się nią jak lalką. Na jej nieszczęście nie przeszło jej przez myśl, że może się pan posunąć do morderstwa.

— Bzdury! — wrzasnął Szefler. — Przecież jeszcze wczoraj…

— Zadzwoniła twoja żona! — zaskakująco ostro przerwał mu Skalski. — Odebrałeś ten telefon, odszedłeś… i wtedy dotarło do ciebie, co to właściwie oznacza. Nie potrafiłeś zapanować nad sobą. Wróciłeś i zrzuciłeś ją z dachu! — niemal wykrzyczał mu to w twarz.

— Nonsens! Nonsens!

— Potem zaczął się pan zastanawiać i kalkulować. — Skalski uspokoił ton. — W tym budynku są kamery, system rejestrujący przejścia przez drzwi… Wszystko wskazuje na pana. Jak się z tego wyplątać? — Zaczął pocierać ręce. — I naszła pana taka myśl: „A gdyby zrzucić winę na sprawcę poprzednich zbrodni?”. Taka ucieczka do przodu. Tylko jak? Nie może się pan wyprzeć, że tam był… Więc odgrywa pan łzawą scenę, wyznając prawie całą prawdę. Prawie, bo skłamał pan co do ostatnich chwil życia Maury Zdowackiej! Sprytne!

— Mówiłem prawdę! — zapierał się Szefler. Cały dygotał. — Kiedy to się skończy, zniszczę cię, ty…

Rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi.

— Zobaczymy… — ściszył ton Skalski. — Zaraz wszyscy zobaczymy na własne oczy, co się wydarzyło na dachu. Nie wychodźcie — dodał ze

zjadliwym uśmiechem i otworzył drzwi. Mignęła za nimi umundurowana sylwetka.

Skalski wymienił z nim kilka słów, ale nie sposób było ich zrozumieć. Odwrócił się, trzymając w ręku pendrive’a.

— Oto zapis z kamer sąsiedniego biurowca! — Skalski uniósł go niczym trofeum. — Tam nikt z was nie miał dostępu. Być może nawet nie wiedzieliście, że jedna z kamer obejmuje wasz budynek. — Spojrzał znacząco na Szeflera.

***

— Możesz cofnąć? — poprosił Czerski. — Wydawało mi się…

— Nie teraz — odrzekł Walczak. — Musimy dać Skalskiemu wsparcie… jak to wy mówicie, online. A o co chodzi? Uważnie przyglądałem się Relikowi.

— A ja nie. Nie jemu… — szepnął Czerski.

***

— Panie prezesie, może pan mi w tym pomóc?

Skalski podał pendrive’a Aivarowi, a ten wcisnął go w gniazdo laptopa. Chwilę operował jeszcze przy touchpadzie, uruchomił projektor, a potem wyłączył światło, tym razem całkowicie, bo w nagraniu przeważały odcienie szarości. Technicy obsługujący kamery upewnili się, że te przeszły na tryb wzmocnienia obrazu podczerwienią. Nie był on tak dobry jak w normalnym zakresie widzialności, ale Walczak był przekonany, że mimo to będzie w stanie zaobserwować silną reakcję. Również Skalski z napięciem osobiście obserwował dyrektorów. Jeden z nich mógł posunąć się teraz do desperackich kroków. To była niebezpieczna chwila.

„Kurwa! Mogą mnie rozpoznać” — gorączkowo ważył jeden z nich. „Co teraz? Do drzwi musiałbym się przepychać; nie dobiegnę! Zdążą mnie unieruchomić. Co robić?”

Obraz rozciągnął się na całą powierzchnię ekranu. Był fatalnej jakości. Jedna, a po chwili druga postać wyróżniały się delikatnie na tle czarnego nieba. Nie było widać ich twarzy, ubrania czy fryzury. Do tego obraz zakłócały typowe dla kompresji cyfrowej kolorowe kwadraty na konturach obiektów. Delikatne błyski sugerowały zaciąganie się papierosem. Wtem pojawiło się światło o większej intensywności, które zniknęło na wysokości głowy. Telefon. Postać odeszła. Do tego miejsca potwierdzała się wersja Szeflera. Po chwili znów ktoś się pojawił. Nie sposób było stwierdzić, czy to był Szefler. Po dłuższej chwili, kiedy prawie wszyscy usilnie się zastanawiali, o czym mogły rozmawiać obie osoby, Zdowacka zniknęła, przesłaniając ciałem mijane okna. Postać na dachu po kilku sekundach odwróciła się i odeszła do nadbudówki.

Skalski włączył światło. Oparł się ciężko o ścianę przy drzwiach i oglądał twarze dyrektorów. Wszyscy siedzieli cicho, a ich spojrzenia były wrogie. Wyczerpał listę tych, których mógł obrazić.

— Liczyłem na lepszą jakość — rzekł zrezygnowany. — Na dużo lepszą…

Odsunął najbliższe krzesło i opadł na nie jak przekłuty balon.

***

— I cały misterny plan… w pizdu — podsumował Walczak. — Fiut nie spanikował…

— Zaczynam wątpić, czy to którykolwiek z nich… — odrzekł posępnym głosem Czerski. — Nikt normalny nie utrzymałby nerwów na wodzy w podobnej sytuacji.

— Dlatego potrzebujemy Kowalskiego… — skinął głową Walczak. — Jesteś gotowy?

Kowalski podniósł się, przetarł zaczerwienione oczy i wskazał włączonego laptopa.

— Jestem gotowy.

13

Prezes Aivar patrzył na inspektora Skalskiego niemal ze współczuciem. Niemal, bo jednocześnie targała nim wściekłość. Nie tego się spodziewał. Nie tak miał się zakończyć ten spektakl. Chociaż nie mógł tego wiedzieć, ta sama myśl, która opanowała Czerskiego, teraz i jemu wdarła się pod czaszkę.

— Panie inspektorze… — zaczął delikatnie — może… może po prostu pan się myli?

Skalski spojrzał na niego zmęczonym i półprzytomnym wzrokiem.

— Mylę się? Ja? Czy ja mogę się mylić? Przecież wszystkie fakty układają się w logiczną całość.

Wstał i podszedł do Relika.

— Dyrektor Relik morduje Nikodema de Bugaja. Motyw: de Bugaj rozpowiadał o nielegalnej działalności Relika, co mogło go narazić na milionowe straty i proces karny za działanie na szkodę firmy.

Relik wzruszył ramionami. Nawet nie podniósł wzroku na Skalskiego. Ten podszedł do Lucjana Frosta, który spojrzał na niego ze strachem.

— Dyrektor Frost morduje Kiliana Osika. Nie ma takiej zręczności i fizycznej siły jak Relik, więc podrzuca mu truciznę. Motyw: Osik szantażuje Frosta, grożąc ujawnieniem jego przekrętów finansowych.

— Nonsens… — zaprotestował słabo Frost. — To nieprawda, to nieprawda…

Skalski zbliżył się do wyzywająco patrzącego Szeflera.

— Cokolwiek pan powie, inspektorze, będzie bzdurą.

— W końcu dyrektor Szefler — Skalski zignorował jego oświadczenie — wykorzystuje zamieszanie z dwoma morderstwami i zabija swoją kochankę, Maurę Zdowacką. Motyw: pani Zdowacka chce się zemścić za potraktowanie jej jak kolejnej zabawki, a zemsta spowodowałaby ogromne i kosztowne zawirowanie w życiu osobistym dyrektora Szeflera.

***

— Ruszaj! — polecił Kowalskiemu Walczak. — Czekaj pod drzwiami na sygnał.

***

— Mamy więc trzy ofiary… i trzech podejrzanych… — Skalski powiódł po nich wzrokiem. — Pozostaje tylko jedno do wyjaśnienia… Czy działali osobno, czy też razem?

— Inspektorze… — odezwał się znów Aivar. — Mam wrażenie, że chyba zaczyna pana ponosić fantazja. Spisek? W sprawie morderstw szeregowych pracowników? Pan raczy żartować…

Teraz wtrącił się Farney, wyraźnie już zmęczony. On jeden nie został oskarżony.

— Panie inspektorze Skalski… Nie znam policyjnych statystyk, a i rubrykę kryminalną w prasie zwykle pomijam… Ale trzech morderców jednocześnie, w tak stosunkowo niewielkiej społeczności jak nasza, nie wspominając już o tym tutaj gronie, to absurdalna niedorzeczność. I skoro ma pan tak silne podejrzenia i motywy, to dlaczego po prostu nie aresztuje pan tych ludzi?

Skalski z uznaniem pokiwał głową.

— Właśnie dlatego… Bo trzech morderców to niedorzeczność…

Wyciągnął chusteczkę i wytarł nos. Właśnie teraz potrzebował Kowalskiego.

***

— Właź! — Usłyszał Kowalski w słuchawce.

***

Aivar aż wstał z krzesła i ze ściągniętą z gniewu twarzą wycelował palec w Relika.

— Ty! To musiałeś być ty… Tylko ty wiedziałeś, że w środę znajdziemy Maurę martwą…

— Spokojnie — przerwał mu Skalski. — Nie uprzedzajmy faktów…

W tym momencie drzwi się otworzyły i wparował przez nie uradowany Kowalski.

— Mam to! Mam!

---

[1] *Factum est* (łac.) — To fakt.

Rozdział 13

Dzień sprintu 10/10. Piątek – Review

1
RCUS, sala reprezentacyjna

Gwałtowne wtargnięcie Kowalskiego całkowicie skupiło na nim uwagę wszystkich w pomieszczeniu. Ubrany był wyjątkowo niechlujnie, w rozpiętą pod szyją poplamioną niebieską koszulę i dziurawe, wygniecione dżinsowe spodnie. W lewej ręce trzymał laptopa, prawą zamykał za sobą drzwi.

Aivar rzucił okiem na Skalskiego. Ten puścił do niego oko. Aivar niedostrzegalnie skinął głową i usiadł, jakby zapominając o Reliku.

— Słyszeliście o systemie CBM? Wiecie, co to takiego? — zapytał Kowalski bez zbędnego wstępu.

— CBM ogólnie oznacza kontrolę ciągłości biznesowej firmy, obejmującą wszystkie istotne aspekty jej działalności — odpowiedział łagodnie Farney. — W naszym wypadku byłyby to kody źródłowe, finanse, procedury, organizacja, budowa, architektura i dokumentacja wszystkiego, co robimy w naszej firmie. Ale co to ma…

— Dziękuję, dyrektorze. — Uśmiech nie znikał z twarzy Kowalskiego. — Otóż nasz zarząd już dawno wyrażał zainteresowanie posiadaniem czegoś takiego.

Aivar skinął twierdząco głową.

— Tylko na razie daleko nam do jego wdrożenia. — Farney rozłożył ręce. — Nie mamy nawet określonego…

— Jak to? — przerwał mu zdziwiony Skalski. — Pański podwładny sugerował nam rano, że…

— Mówiłem o moich przygotowaniach do pilotażu… — niepewnie zaczął Kowalski, Farney otworzył szerzej oczy, a w słowo wszedł mu Aivar:

— Wybacz, Bernardzie, to była moja inicjatywa… Wiesz, że chcę wdrożyć u nas ten system. Zaraz po podpisaniu listów intencyjnych z dostawcami złapałem Kowalskiego i poprosiłem go o zrobienie testów wydajnościowych naszej infrastruktury. Ty byłeś w podróży służbowej za oceanem… Nie chciałem zawracać ci tym głowy, gdy prowadziłeś negocjacje. A potem, jakoś… zapomniałem.

— A ty — zwrócił się do podwładnego Farney — czemu nic nie mówiłeś?

— Byłem przekonany, że pana poinformowano… — Kowalski był lekko zaskoczony.

— Do licha! Takie rzeczy muszę wiedzieć! — Farney podniósł głos. — Nie wolno wam nic robić za moimi plecami. To kwestie bezpieczeństwa.

***

— Nie rzucaj się tak, bracie… — skwitował Walczak. — Nie żyłeś, jak ja, w celibacie.

***

— Panie Kowalski — przejął inicjatywę Skalski — czy może pan powiedzieć, jak ten cały CBM może nam pomóc?

Kowalski postawił laptopa na stole, otworzył go i zaczął nerwowo mówić:

— Tak więc to jest system CBM… dostałem zezwolenie na inwestygację i testy przedwstępne od pana prezesa. Zacząłem robić różne prototypy. Wolałem nie zgrywać żadnych istotnych danych na niezabezpieczone serwery, więc ograniczyłem się głównie do systemów monitoringu. Produkują one mnóstwo danych, które nie naruszają żadnych tajemnic firmy. Na niewielkiej farmie serwerów, o których nikt nie wie, mam zarchiwizowaną kopię, między innymi z kamer i z systemu kontroli wejść. Dowiedziałem się, że tego właśnie panowie najbardziej potrzebują. Nikt w moim dziale nie miał pojęcia, że materiały, które do was trafiły, były niekompletne. A wystarczyło dać mi o tym znać… — pokręcił z niedowierzaniem głową.

Zapadła cisza. Obecni trawili istotę usłyszanej informacji. Jedynie Relik wpatrywał się w stół z rękoma założonymi na piersiach.

— Jak często wykonywane są te kopie? — zapytał Farney.

— W czasie rzeczywistym — odpowiedział Kowalski. — Cały ruch sieciowy z wybranych serwerów jest przekierowywany do systemu. Nie jest to więc kopia z kopii, ale wprost ze źródeł. To raczej redundantny zapis na żywo w rozproszonym systemie plików. Cokolwiek zostało usunięte z oficjalnych kopii lub nie nagrało się na jednym systemie, nie miało to wpływu na kopie w CBM.

— Nie rozumiem — wtrącił Aivar. — O ile wiem, to wszystkie obrazy z kamer trafiają do ochrony, gdzie są zgrywane. Jak więc…

— Tak, panie prezesie — skinął głową chłopak. — Ale zanim tam trafią, wędrują po sieci. Wpiąłem się do ostatniego routera przed ochroną i zgrałem z niego surowe dane. Każdy strumień jest opisany metadanymi, więc z łatwością je zidentyfikowałem i odseparowałem.

Aivar z uznaniem pokiwał głową. Relik spojrzał na Kowalskiego, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Możesz nam teraz pokazać te nagrania? — poprosił Skalski.

— Teraz? Nie, co najwyżej sam interfejs do serwera zarządzającego. — Odwrócił laptopa, tak by wszyscy widzieli ekran.

Było na nim kilka grafik i okienek, mnóstwo liter i cyfr. Prawie wszyscy rzucili okiem, udając, że coś z tego rozumieją. Ale Skalski dobrze wiedział, że pojęcie o tym może mieć tutaj co najwyżej dwóch ludzi.

— Dane są porozrzucane, nieuporządkowane, nawet nie wiem, czy są kompletne. Wiedzą panowie, serwery czasem padały, routery były rekonfigurowane, switche przełączane… Nie miałem czasu zająć się tymi problemami na poważnie. Jest ich całe mnóstwo, muszę stworzyć jakieś narzędzie do ich łatwiejszego przeglądania.

— Możemy to skopiować? — zapytał Skalski.

— Możecie, ale jest tego tyle, że sens ma tylko bezpośrednie włączenie się do właściwej podsieci. Inaczej kopiowanie potrwa tygodnie.

— Więc zabierzemy je na komendę.

Kowalski wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy, ale to strata czasu. I tak ja będę musiał się tym zająć, a tutaj mam wszystkie potrzebne narzędzia.

— W takim razie proszę natychmiast zacząć — zdecydował Skalski. — Zapewnimy panu wszelką pomoc.

— Potrzebuję jeszcze tylko autoryzacji pana Farneya. — Kowalski spojrzał na swojego szefa.

— Dyrektorze? — zwrócił się do niego Skalski.

— Nie widzę problemu.

— Potrzebuję uprawnień na pana poziomie — doprecyzował Kowalski.

— Po co? — zmarszczył brwi.

— Bo inaczej zaleją nas alarmy przy próbie kopiowania. Rozsiałem zabezpieczenia po całej firmie w związku z tą sprawą… wie pan którą?

— Tą ostatnią? — Farney przypomniał sobie o wynoszeniu kodów źródłowych.

— Właśnie.

— W takim razie muszę to zrobić ze swojego gabinetu. Tylko tamten komputer ma uprawnione certyfikaty do takich operacji — oświadczył Farney i odwrócił głowę w kierunku Skalskiego. — Jeśli oczywiście pan inspektor pozwoli mi opuścić tę salę…

— Oczywiście. Akurat pan jest poza podejrzeniami.

— To czekajcie na zielone światło. To zajmie chwilę, najwyżej pół godziny. — Zerknął na zegarek i dodał: — Dobra robota, Kowalski. Nie zapomnę ci tego.

Poklepał go po plecach, wyminął Skalskiego i przekroczył próg drzwi.

2
RCUS, toalety na siódmym piętrze

„Szlag, szlag, szlag! Co ten gnojek, Kowalski, sobie myślał? Dlaczego nie wspomniał, że robi jakieś kopie za moimi plecami! Pilotaż CBM, skurwysyn jeden! Od rana zapieprz, awarie i ten cyrk przed chwilą! Co za dzień! Tyle zabiegów, żeby nie pozostawić żadnego śladu w komputerach, a ten szczyl robi żywą kopię. Akurat teraz! Bo dużo danych i nie stanowią zagrożenia. Co za ironia, właśnie teraz już stanowią! Przez tę pokrakę wylezą wszystkie moje brudy! Powinienem go utopić w kiblu, przejechać autem, a potem zastrzelić… i powtórzyć dwa razy dla pewności! Kurwa, nawet nie wiem, co on tam ma!”

Farney wszedł do łazienki i ochlapał twarz wodą. Przez chwilę patrzył w lustro, szukając w odbiciu wyrazu strachu albo braku kontroli nad sytuacją.

„Spokojnie. Jedna rzecz naraz. Po pierwsze, co może mieć Kowalski? Mówił, że kopie z systemu bezpieczeństwa. Jeżeli coś tam znajdą… wtedy kradziony kod będzie najmniejszym zmartwieniem. Dobra. Plan jest taki: wejść do sieci i znaleźć ten serwer zarządzający — głupiec pokazał jego nazwę na swoim laptopie — i natychmiast usunąć dane z właściwych dni. Sam mówił, że dopiero testuje rozwiązanie, więc nawet nie będzie podejrzane, że czegoś brakuje. Na zajęcie się wszystkim jest góra pół godziny. Potem Kowalski, oby go zadżumiony pies wydymał w to jego chude dupsko, zacznie się niecierpliwić”.

Farney poprawił krawat, marynarkę, raz jeszcze przemył twarz i ruszył do drzwi. Wychodząc, zderzył się z Walczakiem, który pojawił się nagle jak duch.

— O, złe samopoczucie? — zagadnął Walczak.

— Tak. — Tutaj Farney mógł być całkowicie szczery. — Ten tydzień był strasznie wyczerpujący. Jestem śmiertelnie zmęczony… O przepraszam, to chyba nie jest najwłaściwsze słowo.

— Nie ma sprawy. — Walczak uśmiechnął się, próbując rozpogodzić jego nastrój. — Nam też nie było łatwo. Ale głowa do góry. Pan już pewnie skończył na dziś?

— Nie, jeszcze muszę przygotować coś dla pana inspektora — odpowiedział Farney i przeprosiwszy, ruszył w kierunku biura.

Walczak odprowadził go wzrokiem, a kiedy dyrektor zniknął w swoim gabinecie, wyciągnął radio.

3
RCUS, biuro dyrektora Farneya

Farney wszedł do biura i włączył komputer. Oczywiście nie miał zamiaru pracować nad tym, co sam zaproponował, ale musiał stworzyć pozory. Pootwierał kilka dobrze prezentujących się aplikacji, pocztę i dokumentację.

Teraz mógł się zabrać do najważniejszej części swojego zadania. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki drugi telefon, bliźniaczo podobny do smartfona służbowego. Tyle że bez oprogramowania monitorującego jego zawartość i działalność, za to z kilkoma przydatnymi aplikacjami kupionymi od znajomych hakerów albo napisanych samemu.

W telefonie włączył moduł bluetooth, sparował go z myszką i klawiaturą, których normalnie używał w biurze. Z torby wyciągnął jeszcze kabel mini HDMI i połączył nim monitor i telefon. Na monitorze wybrał inne źródło sygnału i na jego ekranie zobaczył zawartość telefonu. Był już prawie gotów. Sięgał właśnie po myszkę, by połączyć się z wewnętrzną siecią Wi-Fi, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Do gabinetu wtoczył się prezes Aivar. W jednej ręce trzymał napoczętą już butelkę, w drugiej dwie szklanki.

— Pana też wypuścili? — Bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Tak. I przepraszam za najście, ale muszę z kimś pogadać.

— Rozumiem pana, prezesie…

— Tam się zrobił teraz taki kwas… Mówię ci! Już nie mogę na to patrzeć.

— Pan też odniósł wrażenie, że Skalski niczego nie osiągnął?

— Owszem… Przedstawił teorie, ale jak się nad nimi zastanowić, to okazują się strasznie naciągane…

— A Relik? — Farney wstrzymał oddech.

— Relik… no cóż, może Relik wyjdzie stąd w kajdankach… ale co oni mają? Jednego maila z jego powiedzonkiem? Wszyscy wiedzą, że lubi go używać… Teraz cała nadzieja w tobie i Kowalskim. Mam nadzieję, że pokażecie Relika na tym cholernym monitoringu. Albo Szeflera. Bez tego to będzie kompletna klapa.

Farney aktywował połączenie Wi-Fi, a Aivar ciągnął:

— Wiesz, Bernard, najbardziej przerażają mnie te wszystkie afery… To całe gówno, które wypłynęło. Powoli dociera do mnie, że nawet jeśli ich dzisiaj nie aresztują, to cała rada dyrektorów jest w rozsypce. Oprócz ciebie i Zuzanny…

— W obecnej sytuacji… To musi być dla pana bardzo bolesne…

— Nawet nie wiesz, jak bardzo. — Ruszył w kierunku Farneya. — Małe co nieco? Jako wciąż urzędujący szef, daję ci dyspensę od alkoholu. Mam ochotę nawalić się do nieprzytomności, ale póki się to nie wyjaśni, muszę się trzymać.

Farney odsunął papiery z biurka, robiąc miejsce na szklaneczki, a jednocześnie poprawiając monitor, zmienił źródło obrazu i na ekranie pojawiły się niegroźnie wyglądające tabelki i formularze.

— I jak, będzie coś z tego? — Aivar zerknął na ekran. Silna woń alkoholu świadczyła o tym, że zanim tutaj przyszedł, musiał wypić duszkiem dobre pół butelki. Szybko się uwinął, prawdziwy zawodowiec! — Pozwolisz, że ja sobie tutaj siądę i odpocznę po tej masakrze.

Farney kiwnął głową, zastanawiając się, czy ten człowiek naprawdę musi mu teraz przeszkadzać.

— Cała wierchuszka dyrektorów trafi do aresztu! Może inspektor Skalski naciąga rzeczywistość, ale trzeba przyznać, że sporo się o nas dowiedział w te dwa tygodnie. A teraz musi się czymś wykazać i wszystkich aresztuje… Hi, hi… Co to będzie za news! Przebije wszystkie poprzednie! — Zaśmiał

się gorzko, wychylając łyk. — Zostaliśmy tylko ty i ja. I wyjdzie, że staniesz się teraz szefem tego wszystkiego. Rób jak dla siebie. — Uniósł szklankę i przechylił ją do końca.

„Ooo, to na pewno” — pomyślał Farney. Uśmiechnął się i grzecznościowo uniósł swoje naczynie, ale nie tknął trunku.

Aivar pokiwał smutno głową, odwrócił się i powolnym, lekko chwiejnym już krokiem ruszył w kierunku kanapy. Farney wykorzystał moment i ponownie zmienił źródło obrazu na monitorze. Znów widać było na nim ikony z telefonu. Ta na pasku potwierdzała, że telefon automatycznie połączył się z siecią korporacyjną.

Aivar zwalił się na kanapę. Alkohol musiał szybko na niego działać. Pewnie nic nie jadł od rana. W pierwszej chwili Farneyowi przyszło do głowy, że teraz nie będzie w stanie nic zrobić, ale uświadomił sobie, że na kanapie siedzi jego alibi, cokolwiek by się wydarzyło.

— Wiesz, Bernardzie — zaczął Aivar — kiedy obejmowałem stanowisko w tej firmie…

Farney uruchomił aplikację do sprawdzania dostępności połączeń sieciowych. Spróbował wybadać IP po nazwie komputera, który widział. O cholera, ping nie odpowiada po nazwie, a nslookup go nie rozwiązuje. Czyżby nie dodał się do domeny? To może inaczej… Na jednym z okien zapamiętał podsieć, w jakiej pracuje jego serwer. Kowalski powiedział też, że serwer nie jest zabezpieczony, bo nikt nie miał o tym wiedzieć. I to ma być szef działu bezpieczeństwa IT?

— …nie miałem zielonego pojęcia o projektowaniu systemów takiej klasy… — smęcił dalej Aivar. Widocznie był na swoim drugim checkpoincie.

Maska podsieci wskazywała na maksymalnie dwieście pięćdziesiąt trzy komputery. Sprawdzenie wszystkich zajmie nie więcej niż pięć minut.

Trzeba tylko szybko sklecić skrypcik. Dał radę w jednym wierszu z linii komend i wcisnął Enter.

— …bo wiesz, ja nie jestem komputerowcem, nie to co wy…

Dziesięć adresów zostało sprawdzonych. Puste.

— …chociaż używam ich od lat, a zaczynałem jeszcze we wczesnych latach osiemdziesiątych…

Dwudziestu ósmy adres. Dwudziesty dziewiąty. Trzydziesty. Jest odpowiedź! Farney podskoczył na krześle, ale prezes tego nie zauważył.

— …i nigdy nie myślałem, że będę kiedyś przewodzić firmie…

Nawiązał połączenie z adresem widniejącym w sąsiednim oknie i używając skradzionego hasła admina, zalogował się do niego. Uśmiechnął się dyskretnie — Kowalski naprawdę nie zabezpieczył tego w żaden sposób… Szlag! To jeden z serwerów działów IT do robienia kopii bezpieczeństwa ich systemów. Nazwa serwera i zawartość katalogu głównego nie pozostawiały wątpliwości.

— …a potem te wszystkie smartfony. Kto by pomyślał w czasach mojej młodości, że komputer z szafy trafi na biurko, potem do teczki, a teraz do kieszeni… — ględził dalej Aivar, popijając powolutku z uczciwie uzupełnionej szklaki.

„A teraz z kieszeni znów trafił na biurko” — pomyślał Farney, zerkając na swojego smartfona.

Sto czterdziesty ósmy adres, sto czterdziesty dziewiąty, sto pięćdziesiąty, sto pięćdziesiąty pierwszy. Niepusty!

Farney w pełnym skupieniu zalogował się pod nowy adres. Kopia bezpieczeństwa serwerów pocztowych działu Security IT. Przeżył pewne rozczarowanie, ale nadal pozostała setka adresów.

— …więc zacząłem trochę się interesować, jak to działa. Miałem jakąś smykałkę do spraw technicznych…

Sto sześćdziesiąty drugi. Niepusty!

Z zaciśniętymi zębami Farney ponownie się zalogował. „Root, Bóg, co za różnica” — przypomniał sobie informatycznego suchara. „Dla mnie kwestia bycia rootem to kwestia życia i śmierci. Jestem jak Bóg, przynajmniej dla samego siebie”.

— …ale rodzina i znajomi przekonali mnie, że może to fajne jako hobby, ale prawdziwe pieniądze są w finansach…

Sprawdził nazwę komputera. Bingo! Bingo! Po trzykroć bingo! CBM_TEST. Wyświetlił zawartość głównego katalogu. Mnóstwo dziwnych plików, skryptów, jakichś śmieci… i ogromna ilość danych na dysku. Nie wyglądało to na projekt uporządkowany, jednak kilka terabajtów danych wyglądało obiecująco.

— …więc zarzuciłem moją niedojrzałą miłość do komputerów i zająłem się finansami. Aż sześć lat temu zaproponowano mi prowadzenie tej firmy. — Aivar najwyraźniej zbliżał się do końca tego tematu. Dobrze, że nie oczekiwał rozmowy, ale jedynie wysłuchania.

„Gdzie, do cholery, są te zapisy z monitoringu? Dlaczego jest tu taki burdel?” Zaczął przeglądać poszczególne katalogi. Była ich ogromna liczba, głęboko zagnieżdżone, o nazwach niewiele mówiących. Jak ten Kowalski się w tym łapie? Wrócił do katalogu domowego i skupił uwagę tylko na plikach wykonywalnych.

— …Bernard?

Dotarło do niego, że Aivar nie tylko już nie wygłasza monologu, ale zadał mu jakieś pytanie.

— Przepraszam, prezesie, o co pan pytał?

— To ja cię przepraszam, przyjacielu… Zobacz, ja jestem pijany jak świnia, a ty harujesz, by ratować nasze dobre imię. Przepraszam, to pytanie

było zwyczajnie niestosowne, bo chciałem wiedzieć, czy nigdy nie myślałeś o pracy dla konkurencji?

Farney zamarł. To blef? Niewinne pytanie? A może go przejrzał?

— Nie, prezesie — odpowiedział powoli. — Jestem tutaj od ponad ćwierć wieku, prawie od jej początków po podziale. — „Jak znaleźć te cholerne zrzuty z monitoringu? Zaraz wszystko stąd wywalę”. — W mojej karierze dotarłem do stanowiska dyrektora działu marketingu, więc czuję się, jak to określić, zawodowo spełniony.

— To dobrze, to bardzo dobrze…

„Nowy plan, kasuję cały serwer. Jadę na lotnisko i samolotem dokądkolwiek za granicę. Zanim się zorientują, że mnie nie ma, będę daleko. Dane ze skasowanych dysków odzyskają za wiele dni i dopiero wtedy będą mieć dowody przeciwko mnie. RCUS nie zrobi projektu, nie dostanie kontraktu, więc AMOD wypłaci mi moją kasę”.

Otworzył nowe okno terminala i wpisał w nie polecenie kasowania wszystkich danych na serwerze. Nie uruchomił go. W drugim oknie widział… cbm_main! Czyżby to było to?

Uruchomił skrypt. Pojawiło się okno logowania. „Niezabezpieczony serwer” — te słowa Kowalskiego trzymały go przy nadziei. Pole *user* było już wypełnione: admin. Nikt nie utrudnia sobie pracy na testowym sprzęcie, pomyślał, i śmiało wpisał hasło: admin.

Wszedł do systemu.

Szybko zorientował się w budowie programu. Był niewiarygodnie wręcz prymitywny. Niemal natychmiast znalazł tabele z zapisami monitoringu. Cała masa danych, nieuporządkowana, ale przynajmniej posortowana.

Wybrał myszką jeden z losowych wpisów. Na górze znalazł ikonkę z wielkim czerwonym znakiem X i podpisem Delete. Kliknął go.

„Czy na pewno chcesz skasować rekord?” — wyskoczyło okienko.

Kliknął „Tak”.

„Rekord usunięty” — poinformowało go kolejne okienko.

W porządku, działa, jak należy. Kliknął ikonę wyszukiwania. Otworzyło się okno, gdzie wprowadził datę. Dokładnie dwa tygodnie wcześniej. Po dłuższej chwili lista wpisów znacznie się zmniejszyła i wszystkie pochodziły z piątku, sprzed dwóch tygodni. Zaczął ją przewijać w poszukiwaniu zapisów, które mogły go zdradzić. Wszystkich kamer w budynku z laboratorium było sto sześćdziesiąt. Szlag, które to były kamery? Wtedy nie musiał się o to troszczyć, bo hurtem zablokował na dwie godziny zapis wszystkich strumieni wideo w urządzeniu archiwizującym. Ale tutaj strumienie nagrały się jako osobne pliki…

Wszedł do pierwszego lepszego katalogu. Plik o nazwie *description* wyglądał obiecująco i jego zawartość Farneya nie zawiodła. Identyfikator kamery zawierał w sobie piętro, gdzie ją zainstalowano, laboratorium zaś oznaczone było literą L. Dalej był dokładny opis z lokalizacją. Kamer zawierających L było czternaście. Szybko znalazł trzy pilnujące wejść do laboratoriów.

Jest dobrze. Trzy kamery, na wszelki wypadek trzeba usunąć po pół godziny z momentu wejścia i wyjścia. Starannie zaznaczył osiemnaście rekordów, do tego wybrał jeszcze kilka losowych. Kliknął Delete.

„Czy na pewno chcesz skasować rekord?” — wyskoczyło znane mu już okienko.

Kliknął „Tak”.

„Rekord usunięty” — poinformowało go kolejne okienko.

Kliknął OK.

„Czy na pewno chcesz skasować rekord?” — znowu pojawiło się złośliwe okienko.

Niech to szlag, jak on napisał tę funkcję do kasowania! Potwierdzać, i to dwukrotnie, usunięcie każdego wpisu? To już student pierwszego roku lepiej wie, jak się implementuje takie rzeczy. A to napisał szef jego informatyków od bezpieczeństwa. Wstyd, panie Kowalski, wstyd. Wściekły zaczął klikać na przemian „Tak” i „OK”, aż wszystkie rekordy zostały skasowane.

Zadzwonił telefon. Aivar przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w ekran smartfona i odebrał po trzecim dzwonku.

— Słucham, panie inspektorze! — powiedział nieco za głośno. — Nie przyznali się? Niech przysięgną na miłość do swojego prezesa! — Zaczął śmiać się z własnego żartu, ale po chwili spoważniał. Słuchał i rzekł nieco ciszej: — Niech pan wpadnie do biura dyrektora Farneya.

— Co się stało? — zapytał niewinnie Farney. Potrzebował paru, parunastu minut spokoju, a ten cymbał robi tu sobie akademicką schadzkę.

Przełączył się na okno z poleceniem wyczyszczenia całego serwera. Wystarczy Enter… Nie chciał tego robić. To będzie zbyt oczywiste. Jedynie kilka osób wiedziało o tym serwerze. Policjanci mogli być głupi, ale nie aż tak, aby nie skojarzyć oczywistego zbiegu okoliczności.

— Nic. Powiedział tylko, że jego ekipa techniczna będzie już wychodzić i chce omówić plan działania na jutro. A tak na marginesie, to ciekawe, czy jutro mnie tu jeszcze wpuszczą. Czy może blokada mojej wejściówki działa od poniedziałku? Nie wiesz? A, przepraszam, znowu przeszkadzam… Dobra, niech ten krawężnik tu przylezie… Łatwiej mu przyjść tutaj niż mnie czołgać się do mojego biura. — Znów zachichotał. — Masz jakąś szklankę? Poczęstujemy naszego Sherlocka!

Farney postanowił jeszcze poczekać z odpaleniem informatycznej bomby atomowej.

Otworzyły się drzwi. Do środka wszedł Skalski, a za nim kroczył Czerski.

— Niech panowie się rozgoszczą. — Dyrektor Farney swobodnym tonem zaprosił ich do zajęcia miejsca. Wzmocnił przekaz, wskazując im ręką miejsca na kanapie i fotelach. Usłuchali.

Skalski zdegustowany spojrzał na prezesa, który starał się trzymać pion, siedząc, ale słabo mu to wychodziło.

— Chciałem poprosić, by oficer Czerski został tutaj na noc wraz z dwoma mundurowymi.

— Tak jest, panie oficerze! — potwierdził Aivar i po chwili zapytał zdziwiony: — Dla… dlaczego zostanie?

Skalski zwrócił się bardziej do Farneya, przeczuwając, że rano Aivar i tak nie będzie wiele z tego pamiętał.

— Dla ochrony. Były już trzy zabójstwa. Nadal nie złapaliśmy mordercy, więc każdy jest narażony. Zwłaszcza Kowalski, który może znaleźć dowody.

— Właśnie z nim rozmawiałem — wtrącił Czerski. — Mówi, że napisał już wstępną wersję jakiegoś skryptu, wrzucił na serwer i wkrótce rozpocznie analizę logów. Czeka na autoryzację.

„Trzeba się pośpieszyć i sprawdzić, czy nie ma innych kopii tych plików. Paranoja Kowalskiego jest przewidywalna”. Z trudem powstrzymywał uśmiech. Co za ironia sytuacji — ma teraz niepodważalne alibi u samego prowadzącego to śledztwo. Gdyby tylko spojrzeli teraz na jego ekran…

— Jak idą pańskie prace? — zwrócił się do niego Skalski.

— Nie mam dobrej wiadomości. Kowalski strasznie skomplikował całą procedurę. Potrzebuję jeszcze chwili.

— Zostawcie go — Aivar machnął ręką. — To nowy prezes.

„Ale bredzi” — pomyślał Farney.

— Ja nie dałem rady. Nie dałem sobie rady sam ze sobą. A on… ciągle pracuje. Poświęcił się tej firmie, poświęcił dla niej całe życie.

„Chyba się, normalnie, wzruszę”. Przesunął okno z poleceniem kasowania na krawędź i wrócił do przeglądania danych z monitoringu. Teraz wyświetlił wszystkie dane z bazy BACKUP_RESTORE. Spodziewał się, że teraz pójdzie mu szybciej, bo wiedział już, których kamer ma szukać.

— Pozwoli pan, że zostaniemy jeszcze przez chwilę. Musimy porozmawiać z prezesem, ale wydaje mi się, biorąc pod uwagę jego stan, że dobrze, aby pan przy tym był i wiedział, co uzgodniliśmy.

Aivar złączył kciuk i palec wskazujący, robiąc znak OK, i puścił oko do Skalskiego. Potem zaśmiał się bełkotliwie i beknął.

— Oczywiście, proszę się nie krępować — zgodził się beznamiętnie Farney. — Nie mają panowie nic przeciw, że będę nadal pracował? Temat jest pilny…

— Nie śmielibyśmy przerywać.

Skalski wyciągnął notes i coś w nim zaczął przeglądać. Czerski rozglądał się ze zmęczeniem po gabinecie.

Farney zastanawiał się, czy ktoś kiedyś był na tyle bezczelny, żeby pytać policję o pozwolenie na zatarcie śladów przestępstw i zrobić to dosłownie na ich oczach. Szybko znalazł wszystkie zapasowe kopie nagrań z piątku. Teraz znów to usuwanie z idiotycznym potwierdzaniem każdego rekordu. Ani Skalski, ani Czerski nie zwrócili na to uwagi.

Teraz najważniejsze było usunięcie zapisów z systemu rejestrowania wejść i wyjść. Tym razem w nazwach plików nie było żadnych wskazówek co do tego, kiedy i gdzie zostały zrobione. Dlatego bardzo się cieszył, że Kowalski przygotował już skrypt do zbierania danych.

Skalski przesiadł się w pobliże Czerskiego i coś mu pokazywał w notesie. Mówił mu coś szeptem. Czerski kiwnął potwierdzająco głową. Cały czas bawił się telefonem.

Farney znalazł w systemie menu zatytułowane *Custom procedures*. Było tam kilka zaledwie procedur, w tym jedna utworzona przed paroma minutami. Wyświetlił jej zawartość. Dla osoby postronnej był to tylko kompletnie niezrozumiały szereg liter i cyfr. Ale on natychmiast rozpoznał jeden z dialektów języka SQL. Analiza kodu pokazała mu jasno, jak rozszyfrować nazwy plików z systemu rejestracji wyjść. Raz jeszcze rzucił okiem na klauzulę wybierającą poszczególne rekordy z bazy i… skopiował ją do schowka. Otworzył okno o obiecującym tytule *Immediate*, czyli okno do wydawania poleceń bazie danych, które zostaną wykonane natychmiast. Na przykład poleceń kasowania danych, dokładnie tych, których poszukiwał Kowalski. Kowalski w swojej procedurze właśnie podał mu je na tacy. Wystarczy zmienić polecenie *SELECT* na *DELETE*. Rozpoczął wpisywanie polecenia.

W tym momencie zadzwonił telefon Czerskiego. Skalski oderwał się od notatek. Aivar próbował odebrać połączenie na swoim telefonie. Był już kompletnie pijany.

— Czerski. Tak… tak… Jest pan pewien? To świetnie!

Farneyowi zrobiło się gorąco. To przecież niemożliwe, żeby tak szybko coś znaleźli.

— …mogę prosić o coś do pisania? — Nie czekając na pozwolenie, wstał i wziął z biurka długopis i kartkę.

Farney zakończył wpisywanie polecenia i uruchomił komendę. Błąd! Polecenie nie zostało wykonane. Gorączkowo wpatrywał się w miejsce wskazane przez kursor jako błędne. Brakujący nawias!

Czerski przytrzymał telefon ramieniem i próbował coś zapisać. Pozycja była cokolwiek niewygodna i położył w końcu kartkę na biurku. W tym momencie był trzydzieści centymetrów od ekranu, na którym wielkimi literami stało polecenie kasowania dowodów zbrodni.

— Co się dzieje? — zapytał Skalski.

— Macieee nasssstępnych morderców? — Aivar humorem próbował ukryć stres.

Farney domknął nawias, wcisnął Enter i nieświadomie złożył dłonie niczym do modlitwy.

— To Kowalski. Mówi, że przetestował zapytanie i zaraz je uruchomi.

— I to nam wyrzuci nazwisko mordercy? — Humorek Aivara najwyraźniej udzielił się też Skalskiemu.

Deleting… — Na ekranie pojawiło się okno miłe dla oka Farneya.

— Kowalski mówi, że pobierze tylko te pliki, których potrzebujemy.

Deleting completed. — Farney odetchnął.

Nie zauważył jednak, że Czerski zdążył wstać, obejść go i zatrzymać się tuż za nim. Dał znak.

Skalski lodowatym głosem oświadczył:

— Dobra robota, Farney. Tego właśnie potrzebowaliśmy.

4
RCUS, biuro dyrektora Farneya

Farney zamarł. Totalnie zgłupiał. Nie wykrztusił ani słowa. Obraz monitorowych okien ciągle jeszcze pobudzał siatkówkę i zlewał mu się z widokiem gniewnej twarzy śledczego.

— O co chodzi? O czym pan mówi? To zasługa Kowalskiego…

— Aspirancie Czerski! Wyłóż, co i jak! — polecił Skalski.

— Dosłownie przed chwilą — zaczął Czerski, zbliżając się z tyłu — usunął pan pliki z systemu CBM. O, w tym okienku. — Wskazał palcem okno na ekranie.

— Bzdura! Szukałem właściwego konta do zarządzania tym serwerem! To wszystko Kowalski…

Zniecierpliwiony Czerski podsunął mu swojego smartfona, którym wcześniej bez ustanku się bawił.

— To bieżący log systemowy, ciągle aktualizowany, który udostępnił mi Kowalski. Czy te wpisy coś panu przypominają?

Jak w transie czytał jego zawartość. Czuł, że ma déjà vu, że ponownie przeżywa wydarzenia ostatnich chwil.

„Przeglądanie: Zbiory: Monitoring: Kamera 1L-04”.

„Usuwanie: Zbiory: Monitoring: Kamera 1L-04: Pia: 19:00”.

„Usuwanie: Zbiory: Monitoring: Kamera 1L-04: Pia: 19:30”.

„Usuwanie: Zbiory: Monitoring: Kamera 1L-04: Pia: 20:00”.

I tak dalej. Wszystkie czynności, które wykonał, zostały zarejestrowane i zapisane.

— Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić — przejął inicjatywę Skalski — dlaczego usuwał pan zapisy kamer rejestrujących okolice miejsc zbrodni? Akurat taki czas i takie miejsca?

— Ja… — Szok mijał. Pierwszą myślą było milczenie. Nic nie mówić. — Ja nie wiem… nie wiem, o czym pan mówi, inspektorze. Nic nie usuwałem, a plik na tym urządzeniu pochodzi z serwera gdzieś w firmie i nie ja go utworzyłem! — W znanej sobie dziedzinie odzyskiwał zdolność logicznego wnioskowania.

Czerski uśmiechnął się i zapytał:

— To jak wyjaśni pan to?

— A co to jest? — dziwił się.

— Nie wie pan? Certyfikat użytkownika, który wysłała pana przeglądarka wprost z pańskiego telefonu.

— Niemożliwe!

— A jednak! Strona https CBM-a pochwaliła się swoim certyfikatem wygenerowanym przez wasze centrum autoryzacyjne. W tym samym centrum wygenerował pan sobie kiedyś własny, prywatny certyfikat. Był pana słodką tajemnicą. Do dzisiaj. Nikt niczego nie odnotował, żadnego śladu. Jednak przed kilkoma minutami serwer https na warstwie TLS poprosił pana przeglądarkę o certyfikat użytkownika, by pana uwiarygodnić. Wydarzyło się to zupełnie poza pana wiedzą i, co jeszcze zabawniejsze, zanim cokolwiek pan jeszcze zaczął robić z tym systemem. Na nasze szczęście!

— I co z tego?

— To ten sam certyfikat, który zapisał się na rejestratorze Kiliana Osika. Bo widzi pan, zanim biedak zszedł do laboratorium tamtego felernego dnia, włączył nasłuch sieci. To było tuż przed tym, jak przejął pan kontrolę nad jego komputerem i wysłał korespondencję na skrzynkę mo07zs. Ale został ślad, którego nawet pan nie był świadom. Ten sam, identyczny i niepodważalny — certyfikat pańskiego telefonu — który przed chwilą dotarł do serwera CBM.

Skalski pokiwał głową, powstał i podchodząc, oświadczył:

— Aresztuję pana pod zarzutem morderstw Nikodema de Bugaja, Kiliana Osika i Maury Zdowackiej.

— Nie zostaniesz prezesem, ty gnoju! — Z kanapy doszedł całkowicie trzeźwy głos Gabriela Aivara. — Zgnijesz w więzieniu!

5
RCUS, biuro dyrektora Farneya

Bernard Farney wstał, z trudem utrzymując równowagę. Czerski zapobiegawczo się cofnął i stanął przy drzwiach, blokując je. Farney nawet na nie nie spojrzał. Powlókł się do barku, wyciągnął stamtąd butelkę i znów zasiadł w fotelu.

Skalski wyciągnął telefon, wybrał numer i przystawił do ucha:

— Walczak? Skończone. Zadzwoń po mundurowych i daj znać, kiedy przyjadą. — Rozłączył się.

Farney tępo patrzył przed siebie, sprawiając wrażenie całkowicie załamanego. Nalał sobie pełną szklankę, ale najwidoczniej o niej zapomniał. Prezes Aivar przyglądał mu się z nieskrywaną nienawiścią i widać było, że był równie trzeźwy co rankiem. Był świadom, że wykonał wszystkie instrukcje śledczych celująco, ale nie przewidział swoich reakcji i tego, co może się z nim dziać.

— Widzisz, Farney — Aivar odezwał się cicho i wolno — zawsze byłeś świetnym analitykiem. Wyciągałeś doskonałe, wnikliwe wnioski, potrafiłeś dobrze zidentyfikować ryzyka i procedury przeciwdziałania. Wszystko optymalne, zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Od początku do końca. Wiesz, gdzie popełniłeś błąd?

Ten spojrzał na niego ponuro, nie odzywając się ani słowem.

— Twoje wspaniałe analizy i prognozy nie zakładały dynamiki czynnika ludzkiego. Nie patrzyłeś na ludzi, tylko na procesy. Ograniczałeś uwagę do problemów i do ich pokonywania. Dlatego, kiedy zacząłeś realizować swój zbrodniczy plan, ludzie wokół zareagowali. Taka zasada nieoznaczoności.

— O czym ty pieprzysz? — Nie zrozumiał wywodu i odwrócił się do Skalskiego ze słowami: — Nic na mnie nie macie. Nic! Jako przełożony Kowalskiego mam prawo monitorować wszystkie jego poczynania

związane z bezpieczeństwem. Dlatego wszedłem na ten serwer, tym bardziej że sam Kowalski powiedział, że serwer nie jest zabezpieczony. Masz w firmie szefa Security IT, który posługuje się niezabezpieczonym sprzętem i usługami. Co to za IT? Co to za *security*? Każdy mógł tam wejść i usunąć pliki z monitoringu. Każdy mógł wpisać ciąg poleceń kasujących dane, a później umieścić je w logu. To o niczym nie świadczy! Mam dobrych adwokatów, już oni wam wyjaśnią, jakimi ignorantami komputerowymi jesteście. — Splótł ręce na piersi. — A nawet gdybym to był ja, to czego to dowodzi? Usunąłem jedynie kilka plików z systemu. Z nielegalnego systemu, bo to bezprawna inwigilacja! A dowody z nielegalnych źródeł nie mogą być dowodem w sprawie! Nic na mnie nie macie!

Skalski usiadł naprzeciwko niego i spojrzał na zegarek.

— Mamy jeszcze kilkanaście minut, więc uświadomię ci twoją sytuację. Niczym nie ryzykuję, bo i tak się tego dowiesz z aktu oskarżenia. Wiemy, że zamordowałeś Maurę Zdowacką. Przekonałeś ją, że masz jakieś tajne dokumenty, i dałeś jej kartę pamięci. A potem zepchnąłeś tę kobietę z dachu. Zaskoczony, że o tym wiemy? Przed chwilą pan prezes Aivar wspomniał, że przeprowadzając swój plan, naruszyłeś stan, w jakim on przebiega. Przeoczyłeś fakt, że śmierć przyjaciół może tak zwyczajnie przerazić Maurę Zdowacką i skłonić ją, by zaczęła używać dyktafonu zainstalowanego na smartfonie. Kiedy tylko zostawała sama lub czuła się zagrożona, włączała nagrywanie. Nie poszczęściło ci się. Tam, na dachu, rejestracja głosu była uruchomiona…

Kąciki ust Farneya podniosły się na ułamek sekundy o mniej niż grubość włosa.

— Wiesz, zanim to odkryliśmy, prawie daliśmy wiarę w twoje zmontowane dzieło zapisane na karcie SD. Dosłownie minuty dzieliły nas

od aresztowania Szeflera. — Źrenice Farneya się rozszerzyły. — Nasi specjaliści zadziałali jednak w porę i nas powstrzymali. A potem zajęli się roztrzaskanym telefonem Zdowackiej. W nasze ręce wpadł wiarygodny zapis wydarzeń na dachu.

Farney wyraźnie pobladł. Wolał nic nie mówić.

— Ciekawi mnie tylko, jak wszedłeś na dach, unikając wszystkich kamer?

Ponieważ najwyraźniej Farney nie miał zamiaru się pogrążać, Skalski wzruszył tylko ramionami.

— Wszystkich, prócz tej z sąsiedniego biurowca. Ale mniejsza o to. Mamy wszystko, by cię udupić. Specjaliści od fonoskopii potwierdzili, że to twój głos był tym ostatnim, który usłyszała Zdowacka. No i wpadłeś z serwerem CBM. A te zabawki tutaj, którymi się otoczyłeś, tylko przybiją gwóźdź do twojej trumny.

Farney zastanawiał się intensywnie, czy wspomnieć o alibi, które sobie przygotował. W czasie przesłuchania nocny marek z pewnością potwierdzi, że widział go w momencie śmierci Zdowackiej, ale zachowa to sobie na salę sądową. Policja nie wiedziała też o wyjściu z pryszniców do szybów windy. Postanowił milczeć w tej kwestii.

— Ciekawa historyjka. Moi adwokaci docenią pańską wyobraźnię. A swoją drogą, skoro już tak sobie gaworzymy… — nabierał animuszu i był po prostu ciekaw. — Oskarżył mnie pan o wszystkie trzy morderstwa. Jaki rzekomo błąd popełniłem przy de Bugaju?

— No cóż. — Skalski zwiesił głowę. — Przyznaję, że tutaj było krucho. Nie potrafiliśmy znaleźć żadnych dowodów. Jednak dziś sam ich dostarczyłeś, usiłując skasować zapisy kamer. Kowalski i Marceli dobrze się spisali… Potrafiłbyś w ogóle to teraz logicznie wytłumaczyć?

— Marceli? Ten Marceli? — upewniał się Farney i wybuchnął śmiechem. — Dobre! Pewnie ten przestępca nie miał absolutnie żadnego powodu, by mnie wrabiać! Czyżby powodowany dobrem śledztwa, to uosobienie szlachetności i uczciwości, tak zupełnie bezinteresownie wam pomagał? I zgaduję, że w ogóle go nie kusiło, by skasować te pliki w moim imieniu? Co za farsa! Jakie to słabe, panie inspektorze!

— Mamy coś mocniejszego i pewniejszego. Czy wie pan, dlaczego prezes Aivar zajrzał tutaj do pana z butelką? Czerski, wyjaśnij, proszę, ja się na tym nie znam.

Czerski z ochotą przejął pałeczkę.

— Pan prezes, oprócz butelki, ma w aktówce skaner sieci Wi-Fi i Bluetooth. Łapie cały ruch w powietrzu, głównie z tego pokoju. A że o tej porze, prócz pana i nas, nikogo tutaj nie ma… Wszystkie pańskie operacje są tam zarejestrowane. I to pokaże, ile warte jest pańskie twierdzenie, że pan palił, ale się nie zaciągał.

Skalski wrócił do wątku.

— Sąd i biegli ocenią wartość naszych zabiegów — ponownie wzruszył ramionami. — Ale chyba najciekawszy ślad, jaki zostawiłeś, to ten, który wiązał zabójstwo de Bugaja z kolejnym: Kiliana Osika. Wyłączyłeś wtedy jedno z nieużywanych urządzeń Wi-Fi, którego tożsamość posłużyła ci tydzień później. To było piękne. Nie do namierzenia, bo wskazałeś na urządzenie do tego niezdolne. Przejąłeś kontrolę nad komputerem ofiary i wysłałeś w jego imieniu maila do fałszywego Weissa. Tak się spieszyłeś, że nie zauważyłeś uruchomionej aplikacji nasłuchującej sieć.

Farney nie odpowiedział. Pamiętał, że mu to wtedy mignęło. Jakiż był głupi! Że też nie wzbudziło to jego zaniepokojenia; żadnego alertu! Cholera! Ekscytował się nadchodzącą zbrodnią i spieszył się, by sprawnie przejść wszystkie kroki zaplanowanej procedury. Nie adres IP stanowił

problem… tylko ten cholerny certyfikat… Ten, który miał zainstalowany tylko na swoim smartfonie. Zadecydował ślepy los: uruchomiony rejestrator pakietów, którego plan nie przewidywał.

— O ile mogłeś przewidzieć, że złapiemy Weissa, o tyle już nie to, że ten udostępni nam tak łatwo swoją pocztę. Czyli znowu coś dotyczącego wpływu twoich działań na nieprzewidywalne reakcje ludzi. A w tej poczcie, cóż, brak kluczowej dla nas korespondencji sam rzucał się w oczy! Wygrała nasza dokładność, a przegrało twoje niedbalstwo.

Zadzwonił telefon Skalskiego.

— Rozumiem — rzucił do aparatu i się rozłączył. — Mundurowi przyjechali. Zaraz tu będą i zawiozą cię do aresztu. Rano zostaną ci postawione formalne zarzuty.

— A Relik? — zapytał Farney. — Jeszcze przed godziną wszystkie poszlaki wskazywały na Relika.

— Rzeczywiście, na Relika wskazywały poszlaki, a na pana wskazują dowody. A jak sam pan zauważył, to nieprawdopodobne, by w tak małym gronie był więcej niż jeden morderca.

Bernard Farney milczał. Zdawał sobie sprawę, że może jego adwokaci wyciągnęliby go z jednej sytuacji, ale nie z trzech. Spojrzał na nich autentycznie zrezygnowany i podsumował:

— I pomyśleć, że wszystko wzięło w łeb, bo ten Kowalski miesiąc temu wymyślił wdrożenie CBM-a. Kolejny cholerny przypadek.

Czerski roześmiał się w głos, a i Skalski uśmiechnął szeroko.

— Nie tylko ty potrafisz coś zaplanować. Nie ma i nigdy nie było żadnego systemu CBM. Podstawiliśmy ci lipny serwer. Spreparowaliśmy wszystkie zapisy: z fałszywymi wpisami z monitoringu, poczty i innymi. Kasowałeś zawzięcie pliki, które i tak nie istniały. Ale dałeś nam coś, czego szukaliśmy: certyfikat, który zarejestrował się na komputerze Kiliana

Osika. W imieniu policji dziękujemy zupełnie szczerze za owocną i nieocenioną współpracę.

Rozległo się pukanie do drzwi i do biura weszło dwóch umundurowanych stróżów prawa.

6
RCUS, biuro dyrektora Farneya

Farney nie zareagował na wejście policjantów. Tkwił ciągle w fotelu, z dłońmi zaciśniętymi na wciąż pełnej szklance i wzrokiem wbitym w podłogę.

Skalski wskazał go głową.

— Dyrektor Bernard Farney jest aresztowany pod zarzutem potrójnego zabójstwa. Odprowadźcie podejrzanego.

Jeden z policjantów podszedł do Farneya i wyciągnął kajdanki. Ten spojrzał na niego nieprzytomnie. Próbował wstać, zatoczył się i… zwalił na biurko, a potem na dywan, zrzucając przy tym cały bałagan. Leżał na podłodze i łkał.

Aivar patrzył na niego obojętnie.

— Wstawaj, Farney. Jeszcze sobie popłaczesz pod więziennymi prysznicami. Gdyby to ode mnie zależało, to wsadziłbym cię do Guantanamo. Ty śmieciu, ty… — Z Aivara zaczynało schodzić napięcie ostatnich dni.

— Spokojnie. — Skalski położył mu rękę na ramieniu. — Spokojnie. To już koniec. Niech pan siada, napijemy się. A wy zapakujcie go do auta — polecił policjantom.

Obaj policjanci dyplomatycznie nie zauważyli, że Skalski nalał obficie do trzech szklanek. Zajęli się Farneyem, który leżał na podłodze i co chwilę

wstrząsały nim dreszcze. Z trudem dźwignęli go na nogi.

— Już… już… mogę iść… — mamrotał Farney. — Mogę iść… — Z trudem zrobił dwa kroki, próbując odzyskać utraconą godność.

Policjanci podtrzymali go swoimi barkami i założyli mu kajdanki z tyłu.

— Marynarka, proszę, marynarka… Nie chcę, żeby widzieli, nie chcę… kajdanki… proszę… proszę… — jęczał.

Spojrzeli pytająco na Skalskiego. Ten skinął twierdząco głową. Rozkuli go więc, pozwolili zdjąć marynarkę i zakuli ponownie, ale z przodu. Na rękach położyli marynarkę, całkowicie zasłaniając nią kajdanki.

Wciąż go podtrzymując, ruszyli do drzwi.

Kiedy przechodzili obok łazienki, Farney znów zaczął jęczeć i prosić o pozwolenie na skorzystanie z toalety. Jeden z policjantów zajrzał do środka, zlustrował szybko pomieszczenie, szukając drugiego wyjścia, i pozwolił mu wejść.

— Może ci potrzymać? — zaoferował się.

Farney nie zareagował. Bardzo powoli wszedł do środka. Obaj policjanci zostali na zewnątrz, oddając się komentarzom o dobrze sytuowanych ludziach, którzy schodzą na drogę przestępstwa.

Jak tylko drzwi się zamknęły, Farney zrzucił marynarkę. Był całkowicie skupiony, skoncentrowany na nowym zadaniu. Nie pozostał żaden ślad, ani w postawie, ani w rysach twarzy, które by sugerowały, że przed chwilą przeszedł załamanie. Bo nie przeszedł.

Spinaczem ściągniętym z własnego biurka otworzył kajdanki. Była to sztuczka, której nauczyła go jedna z byłych dziewczyn. Potem lubił się bawić w ten sposób i testować, czym to zrobić najłatwiej. W drodze do łazienki, mając ręce przykryte marynarką, bez problemu wygiął spinacz w pożądany kształt. Otwarcie kajdanek zajęło mu pięć sekund. Po kolejnych dziesięciu był już w kabinie prysznicowej. Jak we wtorek wieczorem, stanął

na koszu, wybił płytę sufitową i wspiął się na strop. Tam znalazł pozostawione rękawice i bloczek zjazdowy. Przeszedł do szybu technicznego i szybu windy. Winda była na dole, sześć pięter niżej. Wszedł na belkę i skoczył na linę, próbując złapać ją rękami.

Okazało się to trudniejsze, niż myślał. Lina była nasmarowana i nie zdołał się utrzymać. Zaczął ześlizgiwać się z niewielkim przyspieszeniem, ale po osiemnastu metrach takiego zsuwania zapewne połamie się o dach kabiny. Splecionymi nogami i rękami próbował zwolnić ruch. Wreszcie puścił jedną ręką linę, co zwiększyło tempo spadania, złapał bloczek i z całej siły zacisnął go na linie. Zdążył dwa piętra nad dachem windy. Odetchnął głęboko i ostrożnie. Poczuł pieczenie nagrzanych rękawic i butów. Teraz już w zupełnie kontrolowany sposób opuścił się na dach windy. Otworzył klapę i znalazł się w środku. Wcisnął przycisk poziomu garażu. Zdawał sobie sprawę, że jest widoczny przez kamerę, ale nie miał wyboru.

Drzwi windy otworzyły się i wybiegł do garażu. Postawiona przez niego straż rozpoznała go bez problemu. Podbiegł do nich, łkając, cały wybrudzony i spocony:

— Napadli mnie! Tam! — szlochał i palcem wskazał za siebie. — Zatrzymajcie ich!

Tamci chwycili za pałki i rzucili się do drzwi.

Jego czarne porsche cayenne stało pięćdziesiąt metrów dalej.

7
Miasto, okolice siedziby firmy RCUS

— Wskakuj, Czerski! — krzyknął Skalski, przekręcając kluczyk w stacyjce radiowozu. Koguty na dachu zamigotały i samochód ruszył z

piskiem opon w pogoń.

— Co za gówno! Mieli naprawić ten szajs — warknął, uderzając pięścią w dach. Milcząca dotąd syrena policyjna rozdarła się wreszcie, wypełniając firmowy parking swoim jazgotem.

— Tu Skalski, kod 10-0! — Chwycił ręką kostkę mikrofonu radia, za którym rozciągnął się sznur kabla zwiniętego w sprężynkę. — Do wszystkich jednostek w sektorze 4-2. Ścigany Bernard Farney jest podejrzany o morderstwo. Może być niebezpieczny! Ucieka czarnym porsche cayenne. Powtarzam…

Czerski zapatrzony w ekran smartfona omal nie uderzył głową w szybę, gdy Skalski ścinał zakręt, wyjechawszy na główną ulicę.

— Zmierza na południe! — krzyknął. — Ucieka z miasta!

— Tędy? Od tygodnia trwa remont torowisk i drogi są zwężone do jednego pasa. Praktycznie go mamy! — Docisnął pedał gazu, ale Czerski tylko ciężko westchnął.

— Jeśli przejedzie na wprost, przez Stare Miasto to tak. Ale Google Maps pokazuje, że boczne ulice są przepustowe…

Skalski się skrzywił.

— Już kiedyś chyba wyjaśniałem, że nie ufam tym twoim mapom… — Jakby na przekór jego słowom ścigany dodał gazu, ignorując czerwone światło na skrzyżowaniu i wziął ostry zakręt w lewo. Manewr nie do końca się udał i samochód wjechał na chodnik, omal nie rozjeżdżając dwójki młodych ludzi. Skalski, choć po kursie szybkiej jazdy, również nie zdołał elegancko przeprowadzić tego manewru i przez chwilę oba samochody jechały chodnikiem. Niespodziewanie Farney zwolnił i kurtuazyjnie włączył kierunkowskaz, a następnie skręcił w prawo.

— Co jest, kur… — zaklął zdziwiony i nagle zrozumiał. Znaleźli się na jednokierunkowej, lawirując jednocześnie między zaparkowanymi na

poboczach samochodami.

— Jedzie objazdami! — zrozumiał Czerski. — A to chyba najszybsza trasa za miasto.

Skalski dokonał nagłego manewru, omijając nadjeżdżającego z naprzeciwka forda. W środku — jak Czerski zdołał dostrzec — siedziało starsze, przerażone małżeństwo. Zapewne nie co dzień na tej spokojnej uliczce rozgrywały się sceny niczym z filmu akcji. Farney albo był cholernie dobrym kierowcą, albo po prostu cierpiał na nadmiar szczęścia, i wyminął ten sam wóz dosłownie o włos.

Skalski chwycił mikrofon i przytknął do ust.

— Skalski, do wszystkich jednostek! Ścigany Bernard Farney zmierza na południe; prawdopodobnie będzie próbował opuścić miasto…

— Przyjąłem 10-48! — przerwał ciszę trzeszczący głos. Po chwili dołączyły do niego jeszcze dwa potwierdzenia. — Rozstawiamy blokadę za mostem!

***

Farney rzucił okiem w lusterko i upewnił się, że ma Skalskiego na ogonie.

„Połknęli haczyk!” — pomyślał z satysfakcją. Przypomniał sobie jednak, że cały jego plan, układany przez wiele tygodni, wziął w łeb, i po twarzy przemknął mu grymas gniewu. „Nie doceniłem Skalskiego i tych jego przydupasów!” — pomyślał i szarpnął gwałtownie kierownicą, wyjeżdżając z jednokierunkowej. Wcisnął pedał gazu i ponownie rzucił okiem w lusterko.

— To jeszcze nie koniec, Skalski. O, nie… Czeka cię noc pełna niespodzianek! — Złośliwy uśmiech zakwitł na jego twarzy. Nawet nie zwrócił uwagi, że mówi sam do siebie.

8
Miasto, w drodze na południe

Skalski i Czerski w lot zrozumieli, o co chodzi. By wydostać się z miasta, należało przekroczyć rzekę. A można było zrobić to jednym z trzech mostów. Ku najbliższemu najwyraźniej zmierzał ścigany.

— Trzymaj się! — rzucił Skalski, skręcając w prawo. Wyjechali na dwukierunkową. Zazwyczaj ta okolica była niemiłosiernie zakorkowana, ale o tej porze bardziej przypominała wymarłe miasto. Po prawej mijali niewielkie kamieniczki, z którymi kontrastowały stojące po drugiej stronie nowoczesne budynki. Skalski, walcząc z rozpraszającymi neonami i reklamami świecącymi po oczach, docisnął pedał gazu i zaczął się zbliżać do ściganego. Metr po metrze był coraz bliżej; wiedział, że na tym odcinku nie będzie gdzie odskoczyć. Zjechał na tory tramwajowe i zaczął wyprzedzać ściganego z lewej, ale ten szybko zauważył manewr i spróbował zepchnąć radiowóz.

— Straciliśmy lusterko! — zauważył Czerski, odrywając na chwilę uwagę od ekranu smartfona.

— A na chuj ono komu w policyjnym wozie? — Usłyszał w odpowiedzi.

Adrenalina zbudziła drzemiące w Skalskim demony i odpowiedział tym samym manewrem, spychając z samochód Farneya na prawo. Przez kilkanaście sekund walczyli o miejsce na jezdni niczym dwa koguty. Sytuacja wydawała się patowa, ale to Skalski ją kontrolował. Nie chciał dopuścić, by ścigany odbił w lewo, unikając czekającej blokady.

— Szefie, tramwaj! — Czerski pobladł. Rzeczywiście. Przed nimi na torach powoli toczyło się pstrokate kolorowe pudełko. Skalski z pasją raz po raz próbował spychać samochód z lewej, jakby nie zważając na to, że zaraz nadejdzie krytyczna dla nich chwila.

— Szefie!… — Głos Czerskiego zdradzał rosnące przerażenie. Od czołowego uderzenia dzieliły ich już pojedyncze sekundy. Wtem, dosłownie w ostatnim momencie, tramwaj skręcił w prawo.

— Skąd… Jakim cudem? — zapytał zdumiony.

Skalski uśmiechnął się pod nosem i odparł:

— To siedemnastka. Dobrze ją znamy z Walczakiem… kiedyś ci opowiem. — Uciął, nie chcąc teraz rozwijać wątku ich rozrywkowej strony życia.

Niestety, droga przed nimi się zwęziła. Skalski musiał wyhamować i puścić ściganego przodem. Czerski zamrugał i głośno wypuścił powietrze.

— Coś jest nie tak — mruknął do siebie zaniepokojony Skalski. Samochód przed nimi zaczął bowiem hamować i zamiast ruszyć naprzód przez most skręcił w lewo, w niewielką uliczkę wciśniętą między budynek z szyldem banku a salonem operatora sieci komórkowej.

— Dlaczego, kurwa, nie pojechał prosto? — zdumiał się niewybrednie.

Czerski rzucił okiem w swoje mapy w smartfonie.

— Omija most! Chyba domyślił się, że ten tutaj jest obstawiony… Ale i tak tędy już nie przejedzie rzeki.

Droga stała się bardziej wyboista, lecz do Skalskiego to nie docierało, bo w głowie analizował zachowanie uciekiniera. Mruknął:

— Podsłuchiwał nasze rozmowy czy jak?

— Raczej nie ma naszego radia, więc odpada. Może się po prostu domyślił? — odrzekł Czerski bez przekonania. Skalski jednak już go nie słuchał, tylko wydawał przez radio nowe dyspozycje do jednostek w terenie.

Tymczasem okolica zaczęła się zmieniać. Rozświetlone reklamami budynki zastąpiły stare, niskie bloki. Równe rzędy latarni przypominać

zaczęły szczerbaty uśmiech, bowiem co trzecia, a może nawet i co druga lampa była bądź rozbita, bądź przepalona.

— Stara dzielnica przemysłowa — mruknął Czerski. Skalski gwałtownie zakręcił kierownicą, unikając dziury w drodze. Samochodem zatrzęsło i syrena znów się wyłączyła.

— …jego mać! — Ponownie przywalił z pięści w dach. Pomogło.

Jakby dla dodania otuchy za ich radiowozem zapaliły się światła dwóch innych jednostek, które dołączyły do pościgu. Farney chyba również je zauważył, bo zjechał na duży parking, znowu się rozpędzając.

— Mamy go! — ucieszył się Czerski. — Stąd nie ma ucieczki…

Ledwie to powiedział, już zmienił zdanie. Najpewniej Farney rozbije się o kontenery stojące na krańcu postoju. Jednak ku ich kolejnemu tej nocy zaskoczeniu z głośnym piskiem opon obrócił samochód o sto osiemdziesiąt stopni i jak rozjuszony byk ruszył czołowo w ich kierunku. Skalski ledwo zdołał uniknąć staranowania, ale pozostałe jednostki nie miały tyle szczęścia. Chcąc przecisnąć się między radiowozami, Farney dodał gazu, zmuszając je do odbicia na prawo i lewo. Pierwszy nie zdążył wyhamować i wjechał prosto w krzaki rosnące za taflą asfaltu. Z drugim było gorzej. Jednym kołem złapał wyrastający z brzegu pagórek żwiru i manewr zakończył się efektownym dachowaniem.

— Skurwysyn! — wrzasnął Skalski, sięgając po radio. — Centrala! Wezwijcie karetkę!

Szarpnął gwałtownie kierownicą, by samochód zawrócił. Ręce Czerskiego instynktownie po omacku szukały oparcia. Smartfon przepadł gdzieś pod siedzeniem.

— Skalski, ciśnijcie go dalej przed siebie — zachrypiał głos w radiu. — Obstawiliśmy drogę powrotną!

— Zrozumiałem!

Farney zamiast wrócić tą samą drogą zdecydował się kluczyć. Szukając go, przejechali przez teren starej, opuszczonej fabryki. Szkielety budynków i walające się wszędzie śmieci sprawiały upiorne wrażenie, zwłaszcza że w okolicy nie było lamp. Jedynie reflektory samochodu pieściły brudnoszare, spękane ściany z wywleczonymi gdzieniegdzie cegłami. Opuszczając to nieprzyjazne miejsce, Skalskiemu zdało się, że usłyszał jakiś gwizd.

Czerski odkręcił szybę i również nadstawił ucha.

— Inspektorze, tam chyba są tory kolejowe. — Niepewnie wskazał przed siebie; tam, dokąd kierował się pościg. Schylił się i spróbował pod siedzeniem wymacać zagubione urządzenie. Podniósł się, a w ręku rozbłysł maleńki ekran. Odruchowo sprawdził mapy i zaraz się poprawił: — Przepraszam, tam na pewno są tory kolejowe. I chyba właśnie coś nadjeżdża.

Skalski nic nie powiedział. Dodał gazu, domyślając się planu Farneya.

— Zajedziemy mu drogę przed samym przejazdem — mruknął.

Chwilę później przed nimi zajaśniały światła pociągu. I w tym samym momencie Farney znów zaryzykował wszystko, przemykając tuż przed nosem pędzącej lokomotywy. Skalski nie zdążył. Z piskiem opon zahamował tuż przed przejazdem.

— Kurwa, kurwa, kurwa! — Uderzył dłońmi o kierownicę. — Uciekł nam, przechuj jeden!

— Towarowy. Same cysterny… — Czerski przesunął dłonią po spoconych włosach.

— No nie pierdol. — Skalski nie wytrzymał tego intelektualnego popisu. Wysiadł z radiowozu i kopnął w przednie koło wozu. Spojrzał zrezygnowany na wlekący się skład, a potem na Czerskiego. Nabrał czystej, niezmąconej niczym ochoty, by kogoś zamordować. Najlepiej telefonem.

9
Południe miasta

W toczącym się wolno samochodzie Farney sięgnął ręką do schowka i wygrzebał stary model smartfona. Jak dobrze, że rozmieścił je w różnych miejscach. Te, które zostały w firmie, są już stracone. Włączył go i wybrał numer. Po trzech sygnałach ktoś się odezwał:

— Miałeś nie dzwonić na ten numer.

— Ale dzwonię — rzekł stanowczo. — Sytuacja jest kryzysowa.

— Co się stało? — Usłyszał westchnienie.

— Ścigają mnie i potrzebuję drobnej przysługi. Nic skomplikowanego.

— Ścigają? Kto? — dziwił się rozmówca.

— Wielbiciele, kurwa! Autografu chcą! — Farney nie znosił rozmów na tym poziomie. — Policja! Gonią mnie po całym mieście!

— O kurwa…

— Właśnie, kurwa — rzekł i dał rozmówcy chwilę na zrozumienie sytuacji. — Dlatego zorganizuj mi bezpieczną ewakuację.

— Co wiedzą? — dopytywał.

— Wiedzą kto, ale nie wiedzą co, z kim i dlaczego… — wyjaśnił krótko.

— Jasne. — Rozmówca ucichł, ważąc informacje. — Pamiętasz jednak, że nasz układ tego nie przewidywał. Chciałeś pełnej swobody działania i ją masz. Z kłopotami radzisz sobie sam…

— Gówno mnie to teraz obchodzi! — zagrzmiał Farney. — Rusz głową! Co będzie, jak im wpadnę w łapy? Jakie będę miał opcje?

— Właśnie… jakie? — powtórzył.

— Cóż, pewnie będę musiał współpracować, by złagodzić wyrok. Opowiem im o zleceniu na szpiegostwo przemysłowe, kradzieży dokumentacji i kodu źródłowego, na dywersję… a może nawet na zabójstwo?

— O czym ty, kurwa, mówisz?

— Wystarczająco kłopotliwe? Zawsze mogę coś wymyślić i dodać do listy… — Z drugiej strony usłyszał tylko ciężkie sapanie. Zmienił ton: — Zrozum, człowieku, że teraz, w tej właśnie chwili, masz jeszcze jakiś wybór. Potem tego nie odkręcisz.

— Czego potrzebujesz? — odezwał się rozmówca.

— Samochodu z kierowcą.

— Gdzie jesteś?

— Na południu miasta. Okolice dworca fabrycznego.

Zapadła kilkusekundowa cisza.

— Oddzwonię i podam ci miejsce spotkania — odezwał się głos w słuchawce. — Nie daj się złapać!

Rozłączył się, nie czekając na pożegnanie Farneya.

Ten miał teraz do rozważenia dwie możliwości. Albo Konsultant zdecyduje się mu pomóc, i będzie łatwo, albo nie, i będzie trudniej. Zatrzymał wóz, wyłączył światła, ale silnik wciąż jałowo mruczał, bo wolał go mieć w pełnej gotowości. Zaczął intensywnie myśleć. Co zrobić, jeśli koleś nie oddzwoni? Jak wtedy przedrzeć się przez obławę? Jak dotrzeć do aeroklubu, gdzie jak zawsze czekała na niego zatankowana cessna? Jego samolot zawsze był w gotowości do startu. To tam przygotował się na ewentualność ucieczki i lotu za granicę. Ale musi tam najpierw jakoś dotrzeć!

***

Derek klął na czym świat stoi. „Jak ten fiut pozwolił się namierzyć? Tyle środków ostrożności, a ten wpada prosto w środek szamba. Pierdolony amator! Najpierw Reshke, a teraz on! Zmówili się czy jak? Co się z nimi, do cholery, dzieje? Przecież jedno o drugim nic nie wiedziało!”

Usiadł wściekły, uruchomił laptopa i otworzył mapy. Gotował się w środku, ale jako profesjonalista doskonale wiedział, że powinien szybko się opanować.

Nie zamierzał dzwonić do AMOD-u. Nie chciał szerzyć niepotrzebnej paniki ani słuchać rad mądrych wujków. Przed każdą eskalacją należy spróbować opanować sytuację samemu. Czyli musi dotrzeć do Farneya, zanim zrobi to policja. Miał gnojek rację, twierdząc, że jest niebezpieczny. Może zdradzić wiele delikatnych kwestii. Może narobić wiele szkód, którym po prostu nie da się zaradzić. Zagrożenie jest ogromne, ale ma jeszcze i czas, i sposobność, by zminimalizować szkody.

Przybliżył na mapach okolice dworca i jednym rzutem oka znalazł przynajmniej dwie dobre lokalizacje na przejęcie uciekiniera. Chwycił za telefon i wybrał numer.

— Zostaw wóz, idź do ulicy Reagana, a potem udaj się pod wiadukt — poinstruował. — Czekaj tam na mnie. Będę za dwadzieścia minut. Wyłącz telefon.

Wstał, zamknął laptopa i wrzucił go do torby. Wybiegł z mieszkania i wskoczył do wozu. Wyjeżdżając z osiedla, bił się z myślami, czy jednak nie zadzwonić do zleceniodawcy. Sprawa jest zbyt poważna, by go nie informować. Wybrał z listy kontaktów właściwy numer i po chwili na zestaw głośnomówiący odezwał się głosem Thomasa Ivesa, prezesa AMOD-u:

— Słucham.

— Jest pewien problem… — rozpoczął delikatnie.

10
Południe miasta

Skalski oparty dłońmi o maskę radiowozu studiował mapę miasta, a Czerski oświetlał mu ją latarką. Walczak zapewne by skwitował, że dzierży kaganek oświaty.

Podszedł do nich policjant ze stojącego obok drugiego radiowozu.

— Panie inspektorze, nie ucieknie nam. Jesteśmy już na wszystkich wylotówkach z miasta — zameldował.

Skalski, jakby tego nie słysząc, przesunął palcem po nitce krętych dróg. Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia ze sprytnym i inteligentnym przeciwnikiem, który będzie szukał wszelkich sposobów wydostania się z miasta. Przychodziło mu do głowy coraz więcej pomysłów, jak mógłby próbować to zrobić — i te myśli doprowadzały go do szału. W końcu się wyprostował i spojrzał na Czerskiego. A w tym spojrzeniu malowała się nie tyle bezradność, ile zmęczenie. Czerski w lot zrozumiał.

— A co pan na to, byśmy zrobili to po mojemu? — zaproponował nieśmiało.

— Mów.

Czerski długo czekał na swoją chwilę. Zaczął niepewnym głosem:

— No więc… eee… Zrozumiałem, w jaki sposób unikał dotąd obławy…

W oczach Skalskiego pojawił się błysk.

— To proste — ciągnął Czerski. — On też używa Google Maps. — Pokazał ekran swojego smartfona. — A jeśli jest podłączony do sieci, to widzi również aktualny ruch na drogach. Widział, które drogi są zakorkowane…

— …albo zamknięte przez blokadę — zrozumiał Skalski. — Dobra, czyli jest krok przed nami. I co z tego?

— Niech pan słucha. Skoro jest ciągle podłączony do sieci, to znaczy, że na podstawie triangulacji sygnału komórkowego z okolicznych masztów…

— Po ludzku, Czerski… Jakich masztów? Nie jesteśmy na morzu! — Zdenerwował się Skalski.

— No więc…

Policyjne radio przerwało wywód Czerskiego:

— Tu centrala. Podajcie jeszcze raz numery poszukiwanego wozu.

Skalski otworzył notes i przeliterował, dla pewności powtarzając.

— Przypomnij jeszcze, czym się porusza; mam pod ręką spis wszystkich samochodów należących do RCUS-u. To czarny, firmowy nissan qashqai, prawda?

— Nie, czarne porsche cayenne. Chyba poprzedni rocznik…

— To czemu nie mówiliście od razu?! — Zdenerwował się dyspozytor. — Wiecie, że porsche w modelach dla firm montuje opcję zdalnego unieruchomienia samochodu?

Skalski się zapowietrzył. Zupełnie o tym nie pomyślał!

— Możemy go w ten sposób zatrzymać?

— No, nie tak prosto — zaskrzeczał głos. — To chwilę zajmie. Trzeba się skontaktować z producentem, by zrobił to dla nas.

— Nie szybciej przez Aivara? — zaproponował Czerski.

Skalski skinął głową. Wtedy obejdzie się bez tłumaczenia, nakazów i tego typu przeszkód. Przypomniał sobie, że w RCUS-ie została obstawa. Wezwał ich przez radio i rozkazał znaleźć prezesa.

Czerski zamrugał oczami i dokończył przerwaną myśl:

— Chciałem powiedzieć, że korzystając z nadajników, będziemy mogli ustalić położenie sprawcy z dokładnością do jakichś trzystu metrów…

Skalski się skrzywił:

— Dobra, lepsze to niż nic.

— Tylko tyle i aż tyle. Trzeba będzie to załatwić z operatorem sieci komórkowej. Nasi „techniczni” mogą to zrobić…

Skalski bezzwłocznie chwycił mikrofon radia:

— Centrala! Dacie radę załatwić lokalizację telefonu Farneya?

— Którego? — odezwał się po dłuższej chwili głos dyspozytora. — Ma zarejestrowane sześć aparatów.

— Wszystkie! — rozkazał i odwracając się do Czerskiego, rzekł: — Oby faktycznie miał jeden przy sobie.

— Tu piątka. Podaję Aivara — odezwało się radio.

— Tu Skalski. — Nie miał szans się oderwać. — Panie prezesie, potrzebuję zatrzymać samochód Farneya. Podobno da się to zrobić… zdalnie.

11
Południe miasta

Farney wjechał głęboko w ciemny zaułek i zostawił tam samochód. Wyszedł, wyprostował się i zamknął drzwi, głaszcząc przez chwilę karoserię. Szkoda mu było wozu, który go nie zawiódł, choć nie był jego własnym. Rysy i wgniecenia łamały serce, ale cóż, nie było wyjścia. Zdalne unieruchomienie było kwestią minut. Pewnie już się zdążyli zorientować, że mają taką możliwość.

Idąc pieszo, rozejrzał się po wymarłej ulicy i przebiegł na drugą stronę. Tu zaczynał się park, a za nim wiła się ulica Reagana. Szybkim krokiem, chociaż bez niepotrzebnego zwracania na siebie uwagi, szedł na przełaj. Ominął w ten sposób rozstawione tu i ówdzie lampy, które mogły wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie jego osobą. Jego koszula, spodnie i garnitur

były w opłakanym stanie. Zjazd umazaną liną w szybie windy zostawił wszak nieusuwalne ślady.

W drodze rozpamiętywał ostatnie godziny. Bolało go, że tak dał się wpuścić w kanał. Czy mógł to wtedy przewidzieć? Moment wcześniej był o krok od zdemaskowania. Podczas pokazu tego marnego filmu z zepchnięcia Maury Zdowackiej chciał zwyczajnie wstać i uciec. Tymczasem wybrnął z trudnej sytuacji, nic nie robiąc. Bo, jak powiedział kiedyś ktoś mądry: „lepiej siedzieć cicho i udawać głupiego niż odezwać się i rozwiać wszelkie wątpliwości”. A ta zagrywka z CBM-em? Czy dostępne wtedy dane i ich szybka analiza pozwalała na wykrycie podstępu? Trzeba przyznać, że pułapka była nieźle wymyślona i przyzwoicie zagrana przez wszystkich jej uczestników. Całe przedstawienie specjalnie dla niego! Gdyby miał odrobinę więcej czasu, pewnie znalazłby coś… jakąś skazę, lukę, nieścisłość…

Wiadukt zamajaczył za zakrętem. Był prawie na miejscu. Żadnych zabudowań. Tylko drzewa i krzaki. Dobre miejsce, by poczekać na pomoc i pozostać niezauważonym. Przyspieszył kroku.

A co potem? Czy wytarga z AMOD-u resztę pieniędzy? Czy będą chętni mu zapłacić? Trzeba założyć, że raczej nie. Ale i na to znajdzie się sposób. Szantaż, przecieki do prasy, nagrania… Trzeba tylko wywierać nacisk i nie odpuszczać. Wreszcie zapłacą. Rozpisze to na warianty, przewidzi możliwe kontrposunięcia, ustali właściwą strategię, znajdzie odpowiednie środki. Był naprawdę dumny ze swoich analitycznych zdolności. Od bardzo dawna nie odczuwał tak wielkiej satysfakcji, że może przekuć pracę swojego umysłu w skuteczne działanie.

Był już na miejscu. Przystanął i się rozejrzał. Nigdzie żywego ducha. Zszedł z chodnika i zanurzył w krzewach leszczyny rosnących przy wjeździe. Usiadł i spróbował się wyciszyć. Przez liście lustrował drogę, ale

irytowały go bzyczące komary, które wyczuły okazję. Spojrzał na zegarek. Od rozmowy z Derekiem minęło czternaście minut.

Zauważył światła reflektorów. Zmrużył oczy, próbując dostrzec nadjeżdżający pojazd.

Policja! Wstrzymał oddech, przygotowując się mentalnie do jakiegoś działania. Samochód wyraźnie zwalniał… Wreszcie stanął. Dostrzegli go? Derek go sprzedał? Jeżeli tylko otworzą się drzwi, trzeba będzie uciekać! Pojazd uparcie stał i czekał. Co robić?

12
Południe miasta

Jednostki wspomagające bezskutecznie przeczesywały okolice. Jak na razie bez efektu. W oczekiwaniu na nowe informacje z centrali Skalski również zaczął krążyć po okolicy.

Czerski drapał się po głowie. Był już zbyt zmęczony, by tryskać pomysłami.

Zatrzeszczał głośnik radia:

— Tu piątka, mamy nowe informacje.

— Skalski, odbiór.

— Samochód zablokowany i namierzony. Ma nadajnik GPS. Podaję namiar…

— Notuj, Czerski — poinstruował Skalski. Współpraca z Aivarem znowu okazała się bezcenna.

— Tu centrala — odezwał się nowy głos z radia. — Jeden z sygnałów telefonicznych ściganego miał tę samą lokalizację. Urwał się kwadrans temu.

— Wyłączył telefon? — upewnił się.

— Prawdopodobnie. Albo padła mu bateria.

— Dobra, jedziemy tam. Dzięki.

Ruszyli wspomagani nawigacją zainstalowaną na smartfonie Czerskiego. Jako tradycjonalista Skalski wciąż bardziej ufał papierowej mapie i własnej pamięci. Kiedyś elektroniczne mapy go zawiodły i o mało nie wjechał do rzeki. Nikomu o tym nie mówił, ale zrozumiał, jakie zagrożenia niesie niedopracowana technika w połączeniu ze ślepą ufnością.

Czerski niespokojnie wiercił się w fotelu, więc Skalski postanowił go zagadnąć:

— Jak u ciebie ze strzelaniem?

— Nieźle. Czemu pan pyta? — odpowiedział pytaniem, odrywając wzrok od małego ekranu.

— Czyli uczą jeszcze w szkole strzelać — stwierdził. — Jaką miałeś ocenę?

— Nooo… egzamin to ja na pięć zaliczyłem! — oświadczył dumnie.

— Świetnie. Masz przy sobie broń?

— Nie…

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle smartfon oznajmił: „Dotarłeś do celu”. Zwolnili i zaczęli się rozglądać. Ciemna, wąska uliczka. Sunęli powoli. Niespodziewanie Skalski zahamował. Następnie powoli się cofnął i zatrzymał.

— Patrz! — pokazał palcem ledwo widoczny, wystający zza kubłów kuper poszukiwanego porsche cayenne.

— Co? — przecierając oczy, Czerski patrzył w kierunku wskazywanym przez zwierzchnika. I nagle dostrzegł. — To on!

— Cicho — syknął Skalski, odbezpieczając broń. Coś go tknęło i dodał: — Otwórz schowek!

Czerski wykonał posłusznie polecenie i zbaraniał. W środku, obok odznaki, znajdował się glock. Zgłupiał i przełknął ślinę. Właśnie sobie uświadomił, że nigdy jeszcze nie używał broni ostrej poza strzelnicą. Drżącymi rękoma wyjął broń ze schowka.

— Dasz radę? — Zaniepokoił się Skalski. — Umiesz to odbezpieczyć?

Czerski z trudem opanował drżenie rąk i pokiwał głową. Nie wyglądało to zbyt przekonująco, ale Skalski w duchu tylko westchnął i ostrożnie wymknął się z radiowozu. Z drugiej strony to samo zrobił jego podopieczny. Schyleni podążyli w kierunku zaparkowanego porsche. Skalski zaszedł od lewej, a Czerski od prawej. Przykucnęli obok drzwi i nagle Skalski szarpnął za klamkę. W jednej sekundzie wdarł się do środka i omiótł wnętrze spojrzeniem, trzymając pistolet w wyciągniętej dłoni.

— Pusto — skwitował.

Czerski dla formalności otworzył drzwi z prawej i potwierdził. Skalski rozejrzał się po okolicy, po czym zasiadł za kierownicą i spróbował odpalić. Bezskutecznie.

— Faktycznie, wyłączyli ten wóz. Lepiej późno niż wcale — mruknął. — O, nasi też tu są — dodał, spoglądając w lusterko.

Za ich samochodem zatrzymał się drugi radiowóz.

— Szefie…?

— Co jest?

— On zostawił auto, zanim je dezaktywowali.

— Jasne, młody, przecież jest dobrze ukryte — mruknął Skalski. — Brawo, myślisz jak doświadczony policjant — powiedział głośno.

— Czy to może oznaczać, że ktoś mu pomaga?

13
Południe miasta

Policyjny samochód ruszył gwałtownie z miejsca, mijając Farneya dosłownie o metry. Ten, schowany w leszczynie, odetchnął z ulgą. Czyżby znaleźli jego wóz? Możliwe. Przynajmniej teren zrobił się czysty. Wtem w oddali niespodziewanie zabłysły dwa reflektory. Tam był drugi pojazd! Jak mógł go wcześniej nie zauważyć? Jak się tam w ogóle znalazł?

Reflektory znów wysłały sygnał. Dwa mignięcia. Czyżby…

Wstał i powoli wyszedł zza liści. Podchodząc, rozpoznał markę: toyota corolla. Serce waliło jak opętane. Zbliżył się od strony pasażera i wszedł do środka. Poznał kierowcę.

— Gdzie mam cię zawieźć? — zapytał spokojnie Derek.

— Lotnisko aeroklubu…

— To północ miasta — stwierdził i zamyślił na chwilę. — Pojedziesz więc klasą ekonomiczną.

— To znaczy?

— W bagażniku. Twoja morda może ściągnąć nieszczęście.

Mimo nieokrzesanej postawy logika słów kierowcy była w zasadzie słuszna; istniała duża szansa, że zatrzyma ich kontrola. W takim wypadku lepiej będzie się nie afiszować. Wysiedli bez słowa z samochodu i udali się na jego tył. Bagażnik otworzył się ze skrzypnięciem.

— Wskakuj.

Farney z dezaprobatą obrzucił okiem śmierdzący bagażnik. Zdjął marynarkę i jako tako wysłał nią wnętrze. Przezwyciężając wstręt i zatykając nos, wgramolił się do środka. Podkuliwszy kolana, przybrał pozę embrionalną. Bagażnik zatrzasnął się i nastała ciemność. Kilka sekund później poczuł szarpnięcie i samochód ruszył.

14
Południe miasta

Walczak nie jechał sam. Obok, na miejscu pasażera, siedziała milcząca Sara, którą odebrał z gmachu prokuratury. Jej pochmurna mina nie zdradzała żadnych uczuć, ale wiedział, że pod tą maską biły się ze sobą różne myśli i obawy mocno zabarwione bogactwem emocji. Czy jest się czemu dziwić? Mieli sprawcę na widelcu, a on im się wyślizgnął. Minister na głowie, prasa w natarciu. Nieciekawa kombinacja. Zastanawiał się, czy zapytać ją o tę niezwykłą wizytę najwyższych władz, czy lepiej zrelacjonować działania Skalskiego, by choć na chwilę odwrócić jej uwagę od kłopotów. Gdy miał już otworzyć usta, odezwało się radio:

— Do wszystkich jednostek: pojazd podejrzanego jest pusty. Możliwe, że ktoś mu pomaga, prawdopodobnie kieruje się na południe. Zgłaszać wszystkie podejrzane sytuacje drogowe.

— Za pięć minut do nich dotrzemy — odezwał się Walczak.

— Nie spiesz się — rozkazała i dodała: — Sprawdzaj dokładnie ulice. Takie są instrukcje!

— Tak jest… — mruknął niezadowolony.

Zwolnił i łowił wzrokiem mijane zaułki. Jakiś człowiek chwiał się nieregularnie. Nieudolnie, ale niezmordowanie walczył z siłą grawitacji i własną dezorientacją. Za nim energicznym krokiem zmierzała szczupła kobieta odziana w bardzo krótką spódnicę, wzorzyste rajstopy i buty na wysokim obcasie. Widząc przed sobą nietrzeźwego osobnika, postanowiła przejść na drugą stronę ulicy i ominąć go bezpiecznie. Walczak z ciekawości i uprzejmości zatrzymał wóz, by ją przepuścić i… bliżej się jej przyjrzeć. Niestety oślepiły go światła przejeżdżającej z przeciwka toyoty, dlatego nie dostrzegł szczegółów jej twarzy, lecz jedynie ustalił, że miała krótkie, kręcone włosy.

15
Droga na lotnisko

Droga na lotnisko zrobiła się wyboista. Ile jechali? Trzydzieści minut? A może czterdzieści. Samochód zaczął zwalniać i zrobiło się to podejrzane. Było to dziwne, bo lekko licząc, powinni jechać jeszcze przez przynajmniej kwadrans. Mniej lub więcej. Kolejny wybój na drodze sprawił, że Farney boleśnie uderzył się w głowę. Roztarł ją dłonią, a następnie sięgnął do kieszeni marynarki. Przez chwilę przerażony macał prawą kieszeń, a potem lewą. Nagle wyczuł znajomy kształt i odetchnął z ulgą. Wysunął swojego smartfona i wcisnął przycisk zasilania z boku. Ekran rozbłysnął jaskrawym światłem, oślepiając zaadaptowane do ciemności oczy. Po kilkunastu sekundach, gdy wzrok dostosował się do różnicy w natężeniu światła, wstukał swój pin. Chwilę potem wybrał aplikację z mapami. Gdy tylko odbiornik GPS zafiksował się na pozycji, Farney zrozumiał, że jego podejrzenia były uzasadnione.

16
Południe miasta

— Właśnie dostaliśmy informację od operatora, że telefon poszukiwanego zarejestrował się w sieci komórkowej — zameldował głos w radiu. — Jest poza granicami miasta, na północny zachód od was!

— Podajcie dokładną lokalizację — rozkazał Skalski.

Czerski wprowadził usłyszane liczby do nawigacji w smartfonie.

— Do wozu! — Skalski ryknął na podwładnego. Ruszyli w podanym kierunku. Po drodze mijali radiowozy — to stojące w gotowości, by zagrodzić uciekinierowi drogę, to mijające ich w przeciwnym kierunku.

— Sygnał przelogował się do kolejnej stacji bazowej! Mamy ich pozycję i kierunek — poinformował ich głos z centrali.

— OK, lecimy na północny zachód!

17
Północno-zachodnie peryferia miasta, polna droga

Jakimś cudem udało im się ominąć obławę — zapewne klucząc jakimiś małymi uliczkami — i właśnie znajdowali się poza granicami miasta. Lecz zmierzali polną drogą w kierunku podmiejskiego lasku. Zamiast pojechać prosto na północ, do aeroklubu, pojechali na północny zachód. Dlaczego? Unika blokad?

Farney przełączył smartfona w tryb latarki i rozświetlił bagażnik w poszukiwaniu jakiejś potencjalnej broni. Wiele nie zobaczył, zresztą w bagażniku było bardzo ciasno. Trójkąt, stary, poplamiony czymś karton, na którym właśnie leżał skulony, mała gaśnica, o którą uderzył głową… Nic, co by nadawało się do obrony. Raz jeszcze omiótł wnętrze bagażnika latarką i nagle poczuł coś za plecami — z trudem sięgnął ręką i wyjął linkę do zabezpieczenia roweru.

Samochód się zatrzymał. Kierowca wysiadł, trzaskając drzwiami. Jego kroki stawały się głośniejsze. Zgrzytnęła zwolniona blokada i klapa się otworzyła.

— Jesteśmy. Wysiadaj.

Skulony w bagażniku Farney zamrugał oczami, które usilnie szukały jakichś znajomych kształtów. Było zbyt ciemno. Tylne światła wozu były zbyt wątłe, by wydobyć z otchłani najdrobniejszy element otoczenia. Wysunął jedną nogę, a potem drugą. W rękach trzymał zwiniętą marynarkę. Rozejrzał się.

— To nie jest droga na lotnisko — zauważył. Światła przednich reflektorów ujawniały dostatecznie wiele, by utwierdzić go w przypuszczeniach. Zatrzymali się w miejscu, gdzie polna droga zakręcała i zaczynała się linia lasu.

Sylwetka Dereka mieniła się delikatną czerwienią. Stał cofnięty o jakieś dwa metry z torbą na laptopa przełożoną niedbale przez lewe ramię i podtrzymywaną ręką zaciśniętą na pasku. Prawą dłoń trzymał nienaturalnie za nią schowaną.

— Zajechaliśmy z drugiej strony. Od pól — wychrypiał. — No, ruszaj. Odprowadzę cię na miejsce.

Farney się wyprostował.

— Nie trzeba. Sam trafię… Przekaż do AMOD-u, że jestem wdzięczny.

— Oczywiście. Jednak… — Nagłym ruchem Derek odrzucił torbę, odsłaniając trzymany w ręku pistolet. — W związku z zaistniałą sytuacją i zagrożeniem, jaki stanowi dla nas twoja osoba, jesteśmy zmuszeni z wielką przykrością rozwiązać naszą umowę. Podnieś grzecznie rączki, tak bym je widział, i odsuń się od samochodu. — Machnął niedbale pistoletem w prawo. — Nie chciałbym pobrudzić karoserii.

Farney poczuł, że serce uderza mu ze zdwojoną siłą. Wyciągnął ręce trzymane pod zwiniętą marynarką, która spadła swobodnie na ziemię. W rękach trzymał samochodową gaśnicę i nacisnął dźwignię. Wystrzelony strumień proszku trysnął prosto w twarz niedoszłego oprawcy.

— Aaaa! — wrzasnął Derek. Instynktownie zakrył oślepione oczy lewą ręką, a prawą pociągnął za spust. Nie widział, jak Farney wykonał unik, próbując zejść z linii strzału. W tej samej sekundzie poczuł potężnego kopniaka w krocze. Klękając z bólu, próbował instynktownie zasłonić rękoma miejsce uderzenia. Omdlały osłabł w sekundę, a kolejny kopniak wytrącił mu pistolet z dłoni. Nagle poczuł zarzuconą na szyję linkę

rowerową. Próbował chwycić ją palcami, by uwolnić szyję. Na próżno. Wcięła się już zbyt głęboko. Jego rozpaczliwa szarpanina nie przynosiła żadnego efektu. Zbyt osłabł po miażdżącym uderzeniu.

— Nie wierzgaj… Nie jesteś pierwszy. — Ciężko dysząc, Farney wycharczał do ucha swej ofiary. — Smutna prawda jest taka… że jesteś poza podium… dopiero czwarty. Ale… jak to mówią… — Ręce zaczęły mu drżeć z przeciągającego się wysiłku. — Do czterech… razy… sztuka…

Puścił linkę. Martwe ciało osunęło się na ziemię.

— I to po tylu latach owocnej współpracy… Rozumiesz, że mogłem się czuć nieco rozczarowany twoją postawą.

Farney poczekał, aż jego oddech się uspokoił, i powoli podniósł się z klęczek. Przeczesał włosy i z kieszeni spodni wyciągnął telefon. Aktywował latarkę i odszukał leżącą w pobliżu broń. Złapał ciało za nogi i przeciągnął do najbliższej kępy krzaków. Upewniwszy się, że miejsce nie rzuca się w oczy, usiadł za kierownicą.

Samochód miał własną nawigację. Wprowadził pozycję aeroklubu i już miał ruszyć, kiedy coś go tknęło. Wyciągnął smartfona i wyrzucił go przez okno na trawę. Przekręcił kluczyk i ruszył przed siebie. Zdecydował się dla bezpieczeństwa nie wracać i dojechać do celu okrężną drogą. Do lotniska nie było już daleko.

18
W drodze na lotnisko

Czerskiemu od dłuższej chwili pewna myśl nie dawała spokoju. To było niczym niedające się ukoić swędzenie z tyłu głowy. Od jakiegoś czasu odnosił wrażenie, że ma wszystkie elementy układanki przed oczami i brakuje mu tylko jednego klocka, który spoi to w sensowną całość. To

kluczenie, ucieczkę nie wiadomo w jakim kierunku, wymykanie się obławie… Ale gdy usłyszał wypowiedziane właśnie przez szefa zdanie, wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce. Zrozumiał. Przymknął na chwilę oczy i delektował się faktem, że to właśnie on pierwszy to dostrzegł.

— Niech pan jedzie prosto na północ — odezwał się, przerywając swój mały błogostan.

— Na północ?

— Na północ — powtórzył z satysfakcją Czerski. — Cały czas się zastanawiałem, dlaczego on tak kluczył i uciekał na południe. Przecież jeśli nie za rzeką, to tuż za miastem byśmy go złapali.

— Czy ty się dobrze czujesz? — Zaniepokoił się Skalski, nie rozumiejąc wywodu.

— Jak najbardziej! To była taka mała dywersja. Mamy się skupić na południu miasta. A tymczasem od początku jego celem był aeroklub na północy…

— Coś ty powiedział?

— Że na północy, kilka kilometrów za miastem, jest aeroklub. Ten sam, na którym dwa lata temu rozbiła się awionetka! Szef na pewno czytał o tym w gazetach!

I nagle Skalski poczuł, że zrobiło mu się gorąco. Przypomniał sobie mały model dwuosobowego samolotu w biurze Farneya. Idioci! Całą noc bawił się z nimi w kotka i myszkę…

— Centrala, macie nową lokalizację? — zapytał, chcąc się upewnić.

— Tak jest. Od minuty się nie przemieszcza.

— Zatrzymał się? — Skalski mruknął pod nosem zupełnie zdezorientowany. Co robić?

— Dobra, Czerski, wybierz kierunek: aeroklub czy aktualna pozycja Farneya?

— Najlepiej i tu, i tu — odrzekł niepewnie.

To nie była odpowiedź, jakiej oczekiwał. Albo zda się na instynkt i być może wyprzedzi mordercę o krok. Albo kolejny raz da plamę. Bezpieczniej by było pojechać za sygnałem.

— Centrala. Podajcie pozycję uciekiniera — odezwał się do radia.

— Bez zmian — odpowiedziało.

Coś tu nie gra. Przestał uciekać? Tak nagle? Może wysiadł mu wóz i idzie pieszo?

Przemknęli przez ostatni kordon policji, który kierował się w stronę podaną przez dyspozytora. Jeśli nie oni, to przynajmniej Skalski miał szansę dostać Farneya w swoje ręce.

Droga stawała się coraz bardziej kręta — z obu jej stron wyrastały coraz gęściej strzeliste świerki. Światła radiowozu lizały drogę przed nimi, dodając dramatyzmu sytuacji. Zmęczenie zaczęło być odczuwalne — miał w końcu swoje lata. A ten pościg wyjątkowo dał mu się we znaki.

— Jeżeli dotrze na lotnisko aeroklubu i nam ucieknie — zastanowił się głośno Czerski — to jutro po całym kraju będzie krążył list gończy. Jeśli chce uciec samolotem, to chyba tylko za granicę… Ale co potem?

— To nieistotne — uciął rozważania Skalski. — Jeśli przekroczy granice, to już po nas. Od rana będzie huczeć we wszystkich dziennikach, zawieszą nas, a wewnętrzny zacznie kontrolę… Sara zaś… — zaciął się. — Najgorsze jest jednak to, że będę musiał spojrzeć w oczy rodzinom ofiar i powiedzieć im: tak, mieliśmy go, ale daliśmy dupy. Jest nam, kurwa, nieziemsko przykro. Ale wiesz co?

Czerski, nie odzywając się, zerknął badawczo.

— Tak się nie stanie. Wolę dać się zabić niż znosić to oskarżycielskie spojrzenie. Dlatego, Czerski, złapiemy skurwysyna i pokażemy światu jego urwany łeb.

Czerski się zamyślił. Poczuł się szczerze dumny, że jest stróżem prawa, a nie jedynie biurowym szczurem głaszczącym klawiaturę. W tym momencie nic nie mogło się równać jego motywacji, sile woli i pierwotnej radości z pościgu. Zrozumiał, że to zasługa zaraźliwej postawy Skalskiego. Podświadomie chciał być taki jak on: gardzący przeszkodami, polityką i opinią małych ludzi; mający za nic zagrożenia dla swojego zdrowia i życia; goniący za ideałem — światem wolnym od złych ludzi.

Spojrzał na nawigację i poinformował:

— Zaraz musimy wybrać, inspektorze. Dalej nie będzie już takiej możliwości.

Skalski zatrzymał samochód na rozwidleniu dróg i zdecydował:

— Mówiłeś, że warto być w obu miejscach naraz. Pojadę na to lotnisko, a ty zabierzesz się następnym samochodem. Poinformuję wszystkich przez radio.

Czerski westchnął rozczarowany.

19
Północno-zachodnie peryferia miasta, polna droga

Na polu, obok rosnącego młodnika, stały dwa radiowozy z włączonymi światłami. Jeden z mundurowych stał, trzymając w ręce psią smycz. Policyjny wilk, nie przejmując się ani trochę sytuacją, siedział na ziemi z wywalonym ozorem. Dwaj inni policjanci deptali krzaki, obchodząc znalezione ciało — a czwarty siedział w radiowozie i przekazywał meldunek. Znalezienie ciała i smartfona zajęło im nie więcej niż kilka minut — głównie za sprawą szkolonego policyjnego psa.

Rozkaz, który otrzymali, był prosty — zabezpieczyć teren i czekać na przybycie prokuratora. Nie trwało to długo. Wkrótce pojawił się trzeci

samochód, który zatrzymał się z impetem. Walczak wytoczył się ociężale. Za nim wyszła Sara, a Czerski, którego zgarnęli po drodze, wyskoczył energicznie. Podeszli do dokonujących oględzin policjantów.

— I jak? — rzuciła krótko Sara.

Stojący najbliżej policjant trącił czapkę palcami i wskazał na denata.

— Znaleźliśmy go dosłownie przed chwilą.

— To nie jest nasz poszukiwany — stwierdziła. — Zidentyfikowaliście już zwłoki?

— Tutaj jest jego prawo jazdy. — Mundurowy podał plastikowy dokument.

— Przyczyna śmierci? — dopytywała Sara.

— Niech pani sama zobaczy. — Policjant podszedł bliżej i kucnął. Ołówkiem wskazał na wyraźny ślad na przybielonej szyi. — Obstawiam, że bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie. Tam — wskazał palcem — przy drodze, leży linka do roweru.

Sara kiwnęła głową ze zrozumieniem, a Czerski zapytał zaciekawiony:

— Co to za nalot na jego ciele?

— To z gaśnicy proszkowej. Leży w tym samym miejscu co linka. Widzieliście kiedyś coś takiego? — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Żeby potraktować zwłoki gaśnicą do ciał stałych?

— Cóż… Pewnie jak go gasili, to stał — mruknął Walczak w zadumie.

Sara zmroziła go wzrokiem; nie była w nastroju do żartów. Walczak to wyczuł i podniósł się, wlepiając wzrok w porzuconą nieopodal gaśnicę. Następnie zapalił latarkę i uważnie się rozejrzał. Przez chwilę badał otoczenie, a potem ruszył w kierunku pola i zaczął oglądać ślady pozostawione przez samochód. Doświadczenie podpowiadało mu, że ścigany miał wspólnika. Ale coś poszło nie tak. Pokłócili się? Poszło o kwestie finansowe? Tamtego musiał wziąć z zaskoczenia — tylko co tu, u

licha, robi ta gaśnica? Był pewny jedynie tego, że Farney zabrał samochód. Trzeba natychmiast poinformować Skalskiego.

Rozdział 14

Dzień sprintu 10/10. Piątek – Post mortem

1
Leśna droga na lotnisko

Farneya wciąż zalewała adrenalina, ale kiedy minęło bezpośrednie zagrożenie, były to raczej jej łagodne fale niż wcześniejszy sztorm. Ostrożnie prowadził auto leśną drogą. Była wąska i piaszczysta, a ostatnim, czego teraz potrzebował, było wpadnięcie na przydrożne drzewo.

Miał za to czas, by przemyśleć, jak mogło dojść do tej sytuacji. A jeszcze kilka godzin temu wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze do sukcesu.

Farney był dumny ze swojego planu. W końcu jego analityczny umysł znalazł inną rozrywkę niż monotonne analizy sprzedaży, trendy rynkowe i minimalizacje ryzyka. To mogły robić — a właściwie robiły — programy komputerowe. Jego rola zwykle sprowadzała się do analizy wykresów i kiwania głową nad algorytmicznie wygenerowaną prognozą. Gdyby nie to, że płacili mu za to spore pieniądze, dawno zająłby się czymś innym.

Sam przed sobą przyznawał, że plan jest ryzykowny, zbyt wiele było niewiadomych, a rozciągnięcie w czasie powodowało zbędne komplikacje. A jednocześnie to go w nim pociągało. Byle głupiec potrafi napaść na bank i dać się złapać. Prawdziwie artystyczne przestępstwa wymagają szczegółowego planowania, nieustannej kontroli i natychmiastowej reakcji na wydarzenia. Chłodna kalkulacja, właściwe tempo i pewne, precyzyjne działanie to podstawa.

A zaczęło się cztery lata wcześniej, kiedy na jakichś międzynarodowych targach przysiadł się do niego pewien niepozorny człowiek. Derek, bo tak się przedstawił, bez ogródek wyjaśnił mu, że nie ma pojęcia o komputerach, ale został tutaj przysłany jako łowca talentów. Farney w żartach zapytał, czy szukają dyrektora handlowego na wysokie stanowisko z obrzydliwie wysoką pensją. Był wtedy krótko po „awansie", który odbierał jako policzek dla swojej ciężkiej pracy. Odebrano mu wówczas dział technologiczny i powierzono go młodemu Szeflerowi. I mimo że szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i ujawnił swoje nowe talenty, to zawsze traktował postawienie go na czele sprzedaży jak przeżucie i wyplucie starej gumy. Przestał czuć się emocjonalnie związany z firmą.

Derek, również w żartach, odpowiedział, że stanowisko dyrektora handlowego i działu bezpieczeństwa ma już przecież od kilku miesięcy, a pensja jest rzeczywiście bardzo wysoka. I dodał znacząco, że zawsze mogłaby być wyższa. I to bez podatku.

Rok później za parę technicznych szczegółów opracowywanego właśnie systemu zainkasował grubą kopertę. Bez podatku. Potem była jeszcze jedna koperta i kolejna. Mijały miesiące, aż nadeszło twarde postawienie sprawy: potrzebne są precyzyjne dane dotyczące wybranych projektów. Farney, jako odsunięty od rozwoju oprogramowania, nie znał wielu aspektów, które interesowały mocodawców Dereka. Ale miał w ręku inny atut: departament bezpieczeństwa. A to dawało furtkę do każdego komputera w firmie, każdej tajemnicy, każdego miejsca… Trzeba było tylko usunąć w cień niewygodnych specjalistów strzegących skarbów firmy, a potem wykorzystać całą gamę dostępnych narzędzi: serwery, kamery, smartfony, rejestry.

Najpierw zajął się głównym inżynierem technicznym: Nielsenem. Przetestował na nim kilka sabotaży, włączając infekcję wirusów, którego

źródła tamten nie był w stanie ustalić. Na kilku kontach pracowniczych pojawiały się poufne dane handlowe, które nie powinny się tam znaleźć. Z tego również Nielsen nie potrafił się wytłumaczyć. Autorytet podupadał. Wreszcie gwoździem do trumny okazał się pendrive znaleziony wśród rzeczy osobistych Nielsena, z którego wydobyto wiele tajnych materiałów. Już nikogo nie trzeba było przekonywać, że Nielsen jest ordynarnym złodziejem własności intelektualnej.

Wyrzucenie go z pracy i konieczność natychmiastowego audytu zabezpieczeń dała Farneyowi potężny klucz: zyskał dostęp do absolutnie wszystkich zasobów w firmie na najwyższym poziomie zabezpieczeń. Uprawnienia te miały być cofnięte po dokonaniu oceny stanu bezpieczeństwa i częściowo scedowane na nowego kierownika, którym w pośpiesznym trybie mianowano młodego Kowalskiego.

Ale w ogólnym zamieszaniu i pośpiechu niedoświadczony Kowalski nigdy się nie dowiedział, że jego przełożony ma mu cokolwiek zwrócić. Od tego czasu Farney mógł bez śladu wchodzić do każdego miejsca systemu, pobrać stamtąd dowolne dane i usunąć wszelkie ślady włamania. Automatyczne skanery bezpieczeństwa, z których tak dumny był Kowalski, były w tym wypadku ślepe. Korzystał zatem z tej możliwości swobodnie aż do poprzedniej środy, kiedy to jakiś średnio rozgarnięty pracownik całkowicie przypadkowo dowiedział się, że AMOD używa ich kodu źródłowego.

Zanim jednak do tego doszło, AMOD wysyłał przez Dereka sygnały, że Farney mógłby zarobić więcej, gdyby nieco rozwinął swoją działalność. Wyczuł nosem okazję i bez ogródek zaproponował pomoc w operacji mającej na celu wykończenie własnej firmy. Ale już nie za kopertę, lecz za bardzo grubą walizę banknotów. Świetnie łączyło się to z możliwością zemsty, ponieważ wciąż nie mógł się pogodzić z odsunięciem na

pośledniejsze, według niego, stanowisko dyrektora sprzedaży. Bolało go zwłaszcza uzasadnienie sprowadzające się do stwierdzenia, że ten cholerny Szefler jest od niego po prostu lepszy.

Szybko odrzucił pierwsze pomysły na proste pozbycie się tego lowelasa. Ani jego śmierć, ani dyskredytacja nie spowodowałyby żadnych istotnych skutków dla najważniejszego projektu firmy. Byłoby to zbyt prymitywne i nieskuteczne. Wolał coś, co rozwija się powoli i nieubłaganie, niczym rak, i zanim ktokolwiek to zauważy, nie będzie już ani leku, ani czasu na przeciwdziałanie. Uświadomił sobie, że uderzenia trzeba dokonać w całym pionie, poczynając od zwykłych deweloperów, aż po samego dyrektora. Dezorganizacja pracy na każdym etapie, wzbudzenie lęku i wzajemne podejrzenia, atmosfera strachu o swoje życie, ogólny paraliż, zainteresowanie prasy poszukującej sensacji i w końcu zwieńczenie dzieła w postaci upadku firmy i samego Maksymiliana Szeflera.

Ale tego było za mało. Rozzuchwalony postanowił odegrać się na tych, którzy go zawiedli. Zemścić się za pogardę, poniżenie i brak należnego szacunku. Trzeba było ich ukarać, a wraz z nimi zniszczyć to przeklęte miejsce. I udało się! Zachwyt nad swoją wyższością intelektualną rósł wraz z kolejnymi kopertami, a ostatnio wraz z ofiarami. Był panem sytuacji, troszczącym się o swoją anonimowość reżyserem teatru, w którym kolejni nieszczęśliwcy odgrywali swoje żałosne role i umierali.

Przez rzedniejący las przebiły się słabe światła lotniska aeroklubu.

2
Północno-zachodnie peryferia miasta, polna droga

Czerski stał z tyłu, zerkając, jak Sara ostrożnie dokonuje oglądu zwłok. Ołówkiem odgarnęła marynarkę i aż wstała z wrażenia.

— Czy ktoś znalazł broń? — krzyknęła, rozglądając się po obecnych. — Znaleźliście jakiś pistolet?

Wszyscy zgodnie zaprzeczyli.

— Szukajcie broni! Szukajcie w pobliżu broni! — Wpatrywała się w leżące ciało. Spod marynarki denata wyglądała pusta kabura. Energicznie podeszła do jednego z policjantów, wyrwała mu przenośny radiotelefon i odezwała się lekko roztrzęsiona:

— Piotrze, słyszysz mnie?

Coś trzasnęło i usłyszała krótką odpowiedź:

— Tak, o co chodzi?

— Farney może być uzbrojony! — Niemal wykrzyczała. — Nie ryzykuj! Zrozumiałeś? Masz czekać na wsparcie!

— Taa — odrzekł anemicznie po chwili dłuższej, niż oczekiwała.

— Zrozumiałeś?

Nie odpowiedział.

Oddała radiotelefon i oznajmiła:

— Piotr potrzebuje naszego wsparcia. Jedziemy za nim… Czerski, mówisz, że dokąd zmierza?

— Na lotnisko aeroklubu…

— Kurwa! — W jej ustach zabrzmiało to więcej niż dziwnie, co tylko świadczyło o emocjach, jakie musiała przeżywać. — Mapa! Dajcie mi mapę!

Walczak zaczął przeszukiwać zwłoki, a Czerski usłużnie podsunął jej smartfona, opisując sytuację:

— Wróciwszy do miejsca, gdzie mnie zgarnęliście, możemy odbić na autostradę, potem zjechać o tu… i już. Ale można też jechać drogą, na której jesteśmy, przez las. Droga jest krótsza, ale kręta. Trudno powiedzieć, którędy jest szybciej…

Sara zagryzła wargi.

— Facet poruszał się grafitową toyotą — odezwał się Walczak, patrząc na znalezione przy ciele dokumenty. — Dajcie mi radio, podam numery Skalskiemu.

— Wy tam… — Sara wskazała stojących obok policjantów — uderzacie przez autostradę. My ruszamy przez las.

Rozbiegli się do samochodów. Auta ruszyły, wyrywając spod kół tony ziemi.

— Jedziemy na to lotnisko. — Ruszyła do swojego wozu wraz z towarzyszącym jej Walczakiem. — Trzeba powiadomić patrole autostradowe… A ty gdzie?

— Jadę z wami! — Czerski był zaskoczony.

— Zwariowałeś? Zabezpiecz ślady i zbadaj ten komputer! Już! Tam się nie przydasz! Wezwij też posiłki.

Odjechali, zostawiając go jedynie z trupem do towarzystwa.

„I co ja, kurwa, mam teraz zrobić?” — zafrapował się Czerski, nieświadomie cytując Walczaka.

3
Lotnisko

Teren aeroklubu składał się z kilku charakterystycznych elementów: na lewo od drogi dojazdowej znajdowała się stacja paliwowa, przy której stała cysterna, obok niej niski budynek hangaru, a na prawo dwa budynki administracyjne. Cały teren tonął w półmroku blasku kilku lamp; ich blade światło rzucało na drogę wjazdową cienie siatki odgradzającej obszar aeroklubu.

Farney zatrzymał samochód i podbiegł do bramy wjazdowej. Ta, lekko pchnięta, sama się otworzyła. Powrócił do samochodu i wtoczył się na teren lotniska. Skręcił w prawo i zaparkował na placu pomiędzy dwoma budynkami. Pierwsza część planu powiodła się bez zarzutu; wszystkie jednostki policji skupiały się pewnie wokół miejsca, gdzie zostawił włączony telefon. Ugrał w ten sposób trochę czasu, choć żałował tego, który musiał stracić, jadąc dłuższą drogą przez krętą leśną drogę.

Spojrzał na okratowane okna znajdującego się po lewej budynku, w którym mieściło się biuro. Gdzieś na piętrze paliło się słabe światło, lecz wcale go to nie zaniepokoiło. Podbiegł do drzwi wejściowych i chwycił klamkę. Ta, ku jego zdumieniu, miękko się zapadła, wejście stało otworem. Przypomniał sobie, że brama wjazdowa również nie stawiała oporu i jego czujność się wzmogła. Zaczął cicho stąpać korytarzem, a następnie, najciszej jak mógł, po wyłożonych wykładziną schodach prowadzących na piętro. Przesunął się niczym duch korytarzem do samego końca, gdzie mieściły się drzwi z przypiętym napisem: „Kierownik”.

Sylwetka Farneya odcięła się na tle jasnego okna kończącego korytarz. Przesunął rękę za pasek, gdzie trzymał wetknięty pistolet, i poczuł się pewniej. Dopiero wtedy dotknął ręką klamki drzwi biura.

— Kto tam?! — z drugiego końca korytarza usłyszał zdradzający zdenerwowanie głos. — Kto tam jest?!

4
Polna droga na peryferiach

Anna Tores przemierzała leśną drogę, gdy z naprzeciwka minął ją pędzący radiowóz. Nie jechał na sygnale, ale i tak wiedziała, że to jest właściwy trop. Przycisnęła pedał gazu i po paru minutach w słabym blasku

ulicznych lamp dostrzegła postać. ABS jej samochodu poinformował ją, że zbyt stanowczo użyła hamulca. W światłach reflektorów zobaczyła dwa ciała, w tym jedno stojące z bezradną miną.

***

Czerski patrzył na nią jak na zbawienie. Czuł się bardzo nieswojo. Widział już dość trupów przez ostatnie dwa tygodnie, a teraz pierwszy raz został ze zwłokami sam na sam. Był dorosły i nie wierzył w duchy, ale one wcale nie były przez to mniej straszne.

Streścił Tores ostatnie wydarzenia i podziękował, że przyjechała. Z narastającym zdziwieniem spoglądał na nią, kiedy słuchając go, podeszła do miejsca zabójstwa i z zaciekawieniem przyglądała się zwłokom. A on wciąż czuł irracjonalny niepokój. Zastanowiło go, skąd w tych delikatnych, nad wyraz emocjonalnych stworzeniach bierze się takie niezdrowe zainteresowanie.

Przypominając sobie o drugim poleceniu Skalskiej, czyli zabezpieczeniu śladów, zajrzał do torby znalezionej przy zwłokach. Widząc w środku przenośny komputer, poczuł, że wraca mu cały animusz. Teraz już z pewną siebie miną założył rękawiczki i dotknął klawiatury. Ekran rozjaśnił się natychmiast… wyświetlając ekran logowania systemu Windows.

Tores zajrzała mu przez ramię.

— Złamiesz hasło?

Spojrzał na nią z politowaniem.

— Takie rzeczy tylko w filmach. Możemy mieć nadzieję, że dysk nie jest zaszyfrowany. Wtedy po prostu przełożymy go do innego komputera. Ale coś czuję, że ważniejszy jest ten pendrive. — Dotknął delikatnie urządzenia wystającego z boku komputera — to model z najwyższej półki, tytanowa obudowa, odporny na temperaturę, wodę i silne pola magnetyczne.

Wbudowane sprzętowe szyfrowanie i układy elektroniczne kasujące całkowicie zawartość przy złym wpisaniu hasła. Kosztuje jakieś dwa tysiące dolarów.

Podniósł komputer i oglądał go uważnie w świetle reflektorów.

— Mam pomysł… — mruknął niepewnie. — I oby wypalił, bo będę żałował.

— Jaki? — Annę Tores brak możliwości dorwania się do zawartości komputera bolał chyba jeszcze bardziej niż Czerskiego.

— Poprosimy go o hasło — wskazał głową trupa.

— Myślisz, że powie?

— Nie powie, ale może udzieli nam innej pomocy.

Westchnął głęboko i podszedł z otwartym komputerem do trupa. Nie zdając sobie sprawy, jaki wyraz przybrała jego twarz, ujął prawą dłoń leżącego za palec wskazujący i przeciągnął nim po wbudowanym w laptopa czytniku linii papilarnych.

„Nie rozpoznano”.

Skrzywił się i użył palca środkowego.

„Nie rozpoznano”.

„Holmesem to ty nie będziesz…” — pomyślał ze złością. „Przecież gość ma kaburę na prawym boku, czyli jest leworęczny”. Przeszedł na drugą stronę zwłok i wypróbował palec wskazujący lewej ręki.

Ekran logowania zniknął zastąpiony pulpitem z kilkoma ikonami i kilkoma otworzonymi oknami.

— Misiaczku! — Tores była pod wielkim wrażeniem. — Mój ty hakerze!

Czerski uśmiechnął się z dumą. Położył odblokowany komputer na masce samochodu Tores.

— Baterii starczy na godzinę, zdążymy dojechać do komendy i podpiąć ładowarkę. A teraz zobaczmy, co sobie oglądał przed śmiercią…

Kliknął ikonę na pasku zadań.

— Ożeż… — wyszeptali oboje.

Z ekranu spoglądała na nich twarz Bernarda Farneya.

— Dlaczego ten człowiek ma akta tego potwora? — spytała przejęta. — Co go z nim łączy? Dlaczego nie żyje?

— Cicho!

Usłyszeli sygnał przychodzącej wiadomości.

— To SMS?

— Tak… — Czerski kliknął dymek ikony powiadomień. — Komputer jest sparowany z jego telefonem… „Załatwiłeś sprawę?” — przeczytał na ekranie laptopa.

Tores popatrzyła na niego z lękiem.

— Jak myślisz, jaką sprawę? — spytała cicho.

Zdecydowanym ruchem kliknął wiadomość. Otworzyła się w nowym oknie. Powyżej niej było kilka starszych, nie dłuższych niż trzy słowa.

— Zobacz… — Wskazał listę kontaktów. — Tylko trzy numery telefonów, bez nazwisk. Znasz w dzisiejszych czasach kogoś, kto ma tylko trzech znajomych? — Kliknął kolejno po wszystkich kontaktach. Historia wiadomości była pusta. — Wyczyszczone… Sprawdzimy, czy te numery są zarejestrowane… Wydaje mi się, że skądś znam ten drugi…

Wyjął swojego smartfona i zrobił nim zdjęcie kontaktów, a potem otworzył w nim elektroniczny notes i uruchomił funkcję szukania.

— Wiedziałem! — krzyknął triumfalnie. — Wiedziałem! To lewy numer Farneya! Tym telefonem posługiwał się w RCUS-ie! A ten facet nie tylko śledził Farneya, ale też się z nim kontaktował!

— A teraz nie żyje… A ten pierwszy numer?

— Nie mam go… — Jego entuzjazm nieznacznie osłabł. — Ale zaraz się dowiemy. — Wybrał połączenie z komendą policji. — Tutaj aspirant

Czerski, pilna sprawa, proszę natychmiast ustalić właściciela telefonu o numerze… — Przedyktował numer. — Aha, jeszcze jedno… ustalcie też, do którego BTS-a jest teraz zalogowany.

Czerskiemu z podniecenia płonęły oczy.

— A zresztą, pomóżmy chłopakom… — mruknął i przełączył się ponownie na okno rozmowy z nadawcą ostatniej wiadomości.

— Co chcesz zrobić? — Wystraszona Tores chwyciła go za ramię.

— Odpowiedzieć!

— Zwariowałeś? — Już druga kobieta w ciągu paru minut wyzwała go od wariatów. — I co niby chcesz napisać?

— Że załatwiłem sprawę!

— Nawet nie wiesz, co miał na myśli!

— Pewnie to, co leży przed twoim samochodem! — Wskazał głową ciało.

— A może żona pyta, czy kupił viagrę?! A ty chcesz się podszywać pod nieboszczyka?

— Okoliczności śledztwa tego wymagają — zakończył górnolotnie Czerski. — Dobrze wiem, co powinienem zrobić.

Był policjantem śledczym. Jego starsi koledzy by się nie zawahali. Liczył się czas i zaskoczenie. Wiadomość o zdarzeniu jeszcze się nie rozeszła, więc pomyślnie przeprowadzając ryzykowną operację, mógł błyskawicznie dotrzeć do nowych wątków tej sprawy. Mógł też ją kompletnie położyć, a to by się dla niego nie skończyło zbyt dobrze.

Jeszcze moment nerwowo pocierał krawędź urządzenia, nim wpisał „Załatwione”. Potem oboje zamarli na dobrą minutę i patrzyli na ekran jak zahipnotyzowani.

W miarę upływających sekund powoli schodziło z nich napięcie.

— Może rzeczywiście kobieta czeka na viagrę, a facet i bez tego jest już sztywny… — odezwała się Tores.

Czerski zmienił temat.

— Zobacz, ile tutaj jest dokumentów… Te akta — wskazał na wciąż widoczną dokumentację Farneya — są na tym pendrivie. Oprócz nich wiele innych dokumentów. Wszystkie, na pierwszy rzut oka, jakoś powiązane z RCUS-em. Nasi specjaliści…

5
Lotnisko

„Szlag! Strażnik!” — przemknęło przez myśl Farneyowi. Powoli odwrócił się, podnosząc jedną rękę, by osłonić oczy przed światłem wycelowanej w niego latarki.

— To pan, panie Bernardzie? — usłyszał zdziwiony, lecz znajomy głos i nagle poczuł ulgę. To był Henryk, sympatyczny staruszek dorabiający stróżowaniem do emerytury. Widywał go tutaj w biurze; umilał sobie rutynowe patrole po okolicy rozmowami z kierownikiem. Przeważnie schodzili na tematy polityczne.

— Dobry wieczór, panie Henryku. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Dobrze, że pan tu jest.

— Myślałem, że to jakiś złodziej… panie Bernardzie! — wykrzyknął niespodziewanie Henryk. — Co się panu stało?

Spojrzał na swoje ubranie. Faktycznie, zapomniał, że cały był ubrudzony.

— Głupia sprawa. Wychodząc z auta, potknąłem się i przewróciłem. Macie tu strasznie ciemno.

— W nocy trzeba uważać. — Pokiwał głową ze współczuciem. — A co pan tutaj robi o tej porze?

— Widzi pan… Zostawiłem telefon w pracy i nie mogłem nikogo uprzedzić o przyjeździe. A jutro sobota i z rana zawsze są loty. Szykuję się do zawodów — westchnął Farney, przewracając oczami. — Nie zasnę, jeśli się nie upewnię, że wszystko jest przygotowane. Jak mówią: „Jak chcesz być czegoś pewny, to zrób to sam”. — Zaśmiał się.

— Pan zawsze taki drobiazgowy i sumienny, a zapomniał, że mamy tu remont. — Staruszek uśmiechnął się i zaczął rozglądać za jakimś krzesłem. — A ja dopiero zmieniłem kolegę i robię obchód. Zacząłem od biura…

Farneya zmroziło. Jak mógł zapomnieć o remoncie?!

— Pas rozkopany? — udał zdziwionego.

— Już wyrównali. Ale po bokach wciąż są dziury albo zwały nawiezionej ziemi.

„Co za fart!” — pomyślał i zmienił temat:

— A gdzie to się podział pański kolega?

— Kolega? Robi objazd terenu. Za pół godzinki powinien wrócić.

Obie wiadomości uspokoiły Farneya. Był przekonany, że zamiast patrolować teren, tamten wziął wóz i wyskoczył kupić coś mocniejszego, by ciekawiej spędzić długą noc w towarzystwie dobrego kompana.

— Panie Henryku kochany, miałbym do pana prośbę. Biuro kierownika zamknięte, a potrzebuję klucze do hangaru, aby sprawdzić samolot…

Strażnik odwrócił się, a na jego twarzy pojawił się cień zaniepokojenia.

— No ja nie wiem, czy mogę… Pod nieobecność szefa nie powinienem wpuszczać pana nawet do budynku.

— To zajmie pięć minut! — rzekł Farney, stojąc z rozłożonymi bezradnie rękami. — Załatwimy to szybciej niż wykręcenie numeru do pańskiego szefa. — Przestudiował wyraz twarzy i spojrzenie strażnika, który najwyraźniej jeszcze się wahał. — Panie Henryku… Jechałem tutaj prawie godzinę… Pięć minut… Dla pewności zadzwońmy do kierownika.

— Ech, nie trzeba. Znam pana. Niech pan sprawdzi, co trzeba. Tylko szybko, bo zaraz wraca kolega. Nie chciałbym się przed nim tłumaczyć.

Farney miał ochotę głośno wypuścić powietrze. Poczuł pewne zaniepokojenie, że ma wewnętrzne opory przed skrzywdzeniem tego człowieka.

Staruszek zawrócił i otworzył drzwi biura swojego szefa. Było to małe pomieszczenie rozświetlone jedynie przez zakurzoną lampę podsufitową. Ścianę po lewej pokrywały trzy rzędy półek zapełnionych różnorodnymi nagrodami. Z prawej strony stała oszklona szafka z książkami poświęconymi mechanice pojazdów lotniczych, awionice oraz kwestiom związanym z ratowaniem życia. Obok była niewielka pancerna szafka pomalowana na stalowoszary kolor. Pośrodku biura, a naprzeciw okna stało proste biurko, na którym znajdowały się telefon, kalendarz, pojemnik na długopisy oraz lampka. Za nim, tyłem do okna, ustawiono wygodny fotel — chyba najdroższy mebel w pomieszczeniu.

Strażnik ochoczo zabrał się do przeszukiwania szuflad biurka. Chwilę później miał klucz w ręce. Farney ucieszył się, że nie musiał robić tego sam i znowu zyskał czas, bo nie wiedziałby, gdzie dokładnie szukać. A że był człowiekiem czynu, to wykorzystując nieuwagę strażnika, wyciągnął w tym czasie z gniazdka przewód telefoniczny.

— Proszę, proszę ze mną, panie Bernardzie.

Opuścili pomieszczenie i ruszyli korytarzem do wyjścia z budynku, a stamtąd do hangaru.

6
Polna droga na peryferiach

Czerski oddał komputer Tores.

— Zobacz, co jeszcze tu jest. Masz przy sobie jakiegoś pendrive’a? Skopiuj, co się da.

Tores sięgnęła do torebki i po dłuższej chwili wyciągnęła z niej małą kość pamięci. Spojrzała z tryumfem na Czerskiego, ale był zajęty i tego nie zauważył.

Przejrzał wszystkie schowki w torbie nieboszczyka, ale nie znalazł nic ciekawego. Obrócił się ponownie do trupa. Wymacał coś w kieszeni marynarki. Wyciągnął plastikową kartę.

„Szybko zdobywam policyjne doświadczenie” — pomyślał o sobie z uznaniem. „A wszystko to dzięki tobie”. Aż miał ochotę poklepać trupa po oprószonej twarzy. W tym momencie Tores wrzasnęła, bo coś poruszyło się w krzakach. Oparła się o kucającego towarzysza, który nie zdołał ich utrzymać i oboje runęli na zwłoki.

— Co, u licha! — krzyknął Czerski, otrzepując się z proszku. Z naprzeciwka wyskoczył zając i przebiegł na drugą stronę jezdni.

— Chodźmy do auta — zaproponowała, czerwieniąc się.

Czerski, idąc za nią do samochodu, ocierał pobieloną twarz.

— Skopiuję wszystko jak leci — odezwała się, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi. Wetknęła pendrive’a do gniazda laptopa. — Będę musiała skasować moje ulubione seriale…

„Co za szczęście” — ucieszył się w duchu. Włączył lampkę nad lusterkiem i zaczął przyglądać się plastikowej karcie z wielką, ciemnopomarańczową literą V.

— Co to jest? — zainteresowała się Tores.

— Nie wiem… — przyłożył kartę pod światło. — W środku jest obwód indukcyjny… wygląda jak karta płatnicza. Albo karta dostępu…

— Dostępu do czego?

Czerski wzruszył ramionami.

— Teraz wszędzie stosują taki format kart. Choćby do jego garażu albo bramy.

Spojrzała na niego z dezaprobatą. Widocznie nie takiej odpowiedzi spodziewała się po detektywie, który przed chwilą włamał się do komputera.

— Oddamy do naszego laboratorium, a oni to rozpracują. Jak idzie kopiowanie?

— Już się kończy.

Czerski odłożył portfel i ponownie podszedł do trupa. Przeszukał wszystkie kieszenie, ale nie znalazł już nic prócz paczki tic taców i kluczy do mieszkania.

Wrócił do samochodu. Uderzyła go bladość Anny, świetnie widoczna nawet w słabym oświetleniu kabiny. Odwróciła komputer w jego stronę.

— Ja… ja też tutaj jestem…

7
Lotnisko

Skalski powoli przejechał przez uchyloną bramę ze zgaszonymi światłami, zahaczając o nią lekko drzwiami radiowozu. Skręcił w prawo i stanął tuż obok zaparkowanej przy budynku toyoty. Numer rejestracyjny i marka zgadzały się z informacją Walczaka nadaną przez radio. Zgasił silnik i wyskoczył cicho na zewnątrz z wyciągniętą bronią. Rozejrzał się i nie dostrzegłszy żadnego ruchu ani nie usłyszawszy podejrzanych dźwięków, obszedł zaparkowany samochód. Zajrzał do środka, wnętrze było puste.

Wrócił do radiowozu i nadał przez radio:

— Skalski. Poszukiwany wóz stoi na terenie aeroklubu. Bez odbioru.

Wyciszył je i odwrócił wzrok. Widział blask zimnego światła w oknie na piętrze. Nie zamierzał słuchać rad Sary. W tej sytuacji nie była jego zwierzchnikiem. On tu rządził. I absolutnie nie miał ochoty czekać na wsparcie. Nie mógł dopuścić, by Farney się wymknął.

Schylając się, przemknął do budynku i przylgnął do ściany. Ostrożnie się wychylił i spojrzał przez zakratowane okno na parterze. Nie zobaczył jednak nic podejrzanego; w pomieszczeniu było ciemno. Zdołał jedynie dostrzec, że znajdował się tam regał wypełniony skoroszytami, a po drugiej stronie stała metalowa szafa.

Skalski opuścił głowę poniżej linii okna i pomknął do drzwi. Nagłym szarpnięciem otworzył je i wskoczył do środka, mierząc pistoletem na prawo i lewo. Korytarz okazał się jednak pusty, a wszystkie drzwi były zamknięte. Idąc wzdłuż niego, sprawdził je kolejno. Wszystko zabezpieczone przed wtargnięciem. Czas sprawdzić piętro. By uspokoić myśli, liczył po cichu schody. Jeden, drugi, trzeci… Naliczył ich osiem, nim dotarł na półpiętro. Zwrot w drugą stronę i kolejne osiem stopni. Klatka schodowa wyprowadziła go na korytarz.

Ostatnie drzwi stały uchylone, a stamtąd sączyło się światło. Zbliżył się najciszej, jak potrafił. Wpadł do środka i mierząc z pistoletu, zatoczył półokrąg po pustym pomieszczeniu. Podszedł do biurka. Szuflady były niedomknięte. Zbliżył się do skraju okna i, starając się być jak najmniej widoczny, obserwował stojący po drugiej stronie budynku hangar. Skrzydła bramy były rozsunięte, co zdradzało światło wylewające się z wnętrza. Zauważył jakiś ruch.

„Jest ich dwóch. Może trzech” — stwierdził w myślach. Przyjrzał się sylwetce człowieka, który wyszedł przed hangar i coś przed sobą nakreślił ręką; jak gdyby gestykulując do niewidzialnego towarzysza. Nie miał

wątpliwości. To był Farney i najwyraźniej miał pomocnika. Ostrożnie się wycofał i korytarzem pobiegł do wyjścia.

8
Polna droga na peryferiach

Czerski zdecydowanym ruchem wziął komputer. Folder nazwany „Tores, Anna” zawierał jeden dokument i kilkanaście zdjęć.

— Zaczęłam przeglądać te dokumenty — mówiła Tores. — Tam jest kilkanaście różnych firm. Jest i RCUS, i AMOD. Zauważyłam też moją gazetę. A w niej…

W folderze „Gazeta — Nasze Miasto” były tylko dwa foldery: „Ackerman, Adam” i „Tores, Anna”.

— Zobaczmy, co tam jest — odrzekł Czerski i otworzył dokument.

Był on zaskakująco ubogi w treść. Zawierał raptem publicznie dostępne dane personalne Tores i link do strony internetowej gazety. Było też zdjęcie: aktualne, lecz dość kiepskiej jakości. I krótka notatka opatrzona datą: „I. chce, by się nią zainteresować. Cel: manipulacja dziennikarska”.

Otworzyli zdjęcia. Kilka zrobionych przed redakcją, kilka przed domem. Wszystkie z dużej odległości. Z łatwością rozpoznali fotografię, z której przygotowano zdjęcie w notce biograficznej.

— Czy to on mógł mi przynieść dokumenty de Bugaja i Osika? A potem do mnie pisał?

Czerski znalazł właściwy folder:

— Twoje akta utworzył w czwartek, około południa… Zobaczmy zdjęcia. — Wyświetlił metadane zdjęć. — Te spod redakcji są z niedzieli, te spod domu z poniedziałku wieczorem… A dokumenty dostałaś w sobotę?

— Tak.

— Twoje obrobione zdjęcie do akt też z niedzieli… Śledził cię w niedzielę i w poniedziałek, a w sobotę był w twoim mieszkaniu? A więc to było tak: w czwartek dostał na ciebie zlecenie. — Poczuł, jak Tores zadrżała. — Zrobił notatkę, w niedzielę poszedł przed redakcję i stamtąd śledził cię aż do bloku. W poniedziałek zaczaił się przed blokiem, a kiedy weszłaś, namierzał twoje mieszkanie. Ten, kto w sobotę przyniósł ci dokumenty, wiedział, gdzie mieszkasz. To nie on.

Odetchnęła z ulgą, a Czerski zastanowił się głośno:

— Swoją drogą ciekawe, dlaczego właśnie tobą się interesował?

— Tam jest jeszcze teczka Ackermana — ucięła, dostrzegając znajome nazwisko.

— Kto to jest?

— Mój szef i naczelny gazety.

Akta Ackermana były znacznie obszerniejsze. Tores chciała je otworzyć, ale Czerski ją powstrzymał.

— To nie ucieknie. Zobaczmy, kogo jeszcze miał na widelcu.

Od razu rzuciła im się w oczy teczka AMOD-u. W środku było kilka katalogów, których nazwiska nic im nie mówiły. O tym, że to szychy, świadczyły krótkie opisy: prezes, dyrektor techniczny, dyrektor medialny…

Kolejną ciekawą teczką była „Policja”, a w niej cztery nazwiska: Skalskiego, Skalskiej, Walczaka i jego samego. Nieco drżącą ręką otworzył poświęcony sobie dokument.

„Młody, niedoświadczony, bez pojęcia o dochodzeniach. Nie stanowi większego zagrożenia oprócz spraw komputerowych. [niedziela]: Związany osobiście z Anną Tores. Wykorzystać na wtorkowej konferencji prasowej”.

— No to mamy nasz przeciek — powiedział triumfalnie i rzucił nienawistne spojrzenie na trupa. Niestety, nie mógł go zabić drugi raz.

Oboje podskoczyli, gdy dobiegł ich dźwięk przychodzącej wiadomości.

„Spotkajmy się w biurze. Rozliczymy się”. — Na ekranie komputera pojawiło się powiadomienie.

9
Droga na lotnisko

Walczak zamartwiał się sytuacją. Skalski ruszył ścigać mordercę samotnie, bez wsparcia, a jego przy nim nie było. Do tego Farney był uzbrojony. Jeden na jednego na terenie wroga — to nie wróżyło niczego dobrego. Ścigany okazał się nie tylko przebiegły i skuteczny, lecz także wyjątkowo groźny.

— Daleko jeszcze na miejsce? — zapytał Sarę studiującą papierową mapę. Ona też musiała przeżywać teraz gehennę, choć nie dawała tego po sobie poznać.

— Jakieś piętnaście kilometrów…

— Czyli będziemy za jakieś trzydzieści minut… — Jazda nocą po nieoświetlonych, krętych leśnych drogach nie mogła być szybka, choć starał się, jak mógł. Ale lepiej dojechać w całości i mieć nadzieję na pomoc Skalskiemu niż wypaść z drogi i roztrzaskać się głupio o jakieś drzewo, niwecząc w ten sposób wszelkie szanse.

— Piotr już tam jest — przypomniała wściekła, że nikt go nie powstrzymał przed tym szaleństwem. Nawet ona. Nie odpowiadał na jej wezwania.

— Wiem, Saro — szepnął smutno. — To dorosły facet, nie zrobi nic głupiego.

Nie wiedział, czy zakłamując rzeczywistość, bardziej chce uspokoić siebie, czy towarzyszkę.

— Jakbym was nie znała… — Pokręciła głową.

— Beze mnie nie ruszy się z miejsca. — Zaśmiał się sztucznie.

Nie miał dobrych przeczuć. Gwałtownie zahamował. Zakręt był wyjątkowo ostry. Toczyli się wolno, ale wychodząc na prostą, znowu przyśpieszył. Silnik warczał nieznośnie.

— Cztery ofiary — rzuciła, patrząc nieprzytomnie przed siebie. Dręczyły ją czarne myśli.

— Sądzę, że chwile Farneya są policzone. — Walczak ją uspokajał. — Jutro rano będzie siedział w areszcie. Pół naszych jednostek zostało postawionych na nogi… Nawet helikopter mają ściągnąć.

— I co z tego? — wybuchła. — I tak będziemy na miejscu, zanim przyleci! Za trzydzieści cholernych minut.

— Robię, co mogę! — dopasował ton.

Wszedł w kolejny zakręt z głośnym piskiem.

— Po prostu głupi narwaniec! — krzyknęła. — Uparty osioł. Po jaką cholerę pojechał tam sam? A miał Czerskiego!

Zrozumiał, że jej nie przegada, więc postanowił milczeć i skupić się na drodze. Zresztą, trudno było się z nią nie zgodzić. W pewnych kwestiach Skalski wykazywał iście samobójczy pęd ku kłopotom.

10
Hangar

Wejścia na pas startowy broniła wysoka metalowa siatka. Skalski mógłby spróbować przez nią przejść, ale z pewnością hałas zaalarmowałby Farneya. Skulony podbiegł do ściany hangaru. Rozczarował się, bo między siatką a ścianą nie było szczeliny, przez którą mógłby się przecisnąć. Przypomniał sobie widok z piętra wieży kontrolnej, że tuż za rogiem powinno być wejście dla personelu.

Pancerne, ognioodporne drzwi po drugiej stronie były uchylone. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że znów się poruszyły. Puścił się biegiem, trzymając gotowy do strzału pistolet. Doskoczył do drzwi i uderzył w nie ramieniem. Ktoś po drugiej stronie zdążył je zamknąć w ostatniej chwili. Przekręcony w zamku klucz zazgrzytał nieprzyjemnie.

— Proszę, proszę… sam pan inspektor Skalski się tu pofatygował — usłyszał stłumiony głos Farneya, w którym zabrzmiała nutka podziwu. — Kto by się spodziewał, że zjawisz się tak szybko…

— Otwieraj, jesteś aresztowany! — Uderzył kolbą pistoletu w drzwi.

— Mylisz się, inspektorze — zadudnił głos. — Wciąż jestem wolnym człowiekiem i tak już zostanie!

— Wychodź w tej chwili! — rozkazał. — Teren jest otoczony!

— Jedynie płotem — zaśmiał się. — A gdzie syreny policyjne?

— Farney, to koniec! — krzyknął. — Nie uciekniesz!

— O to się nie martw, poradzę sobie. Ale mam pewną propozycję… Jesteś tam jeszcze?

Farney używał wciąż liczby pojedynczej — oznaczało to tyle, że ucieka sam. Kim była ta druga osoba? Zakładnik?

— Żadnych negocjacji!

— O! A może jednak wysłuchasz, nim odmówisz? Mam na koncie pewną kwotę, która może cię zainteresować. Powiedzmy, że milion, którym mogę się podzielić…

Zza drzwi odpowiedział mu śmiech Skalskiego.

— A ja na koncie mam dwa… Jak chcesz mi je teraz przekazać?

— Fakt… — zadumał się. — Ale mam tutaj pięćdziesiąt tysięcy w gotówce.

— Co takiego?

— Pomyśl! Pięćdziesiąt tysięcy za dziesięć minut spokoju. Gdzie zarobisz tyle tak szybko?

— Tutaj trzymasz taką kasę? — zdziwił się Skalski.

— W samolocie, w schowku. Na czarną godzinę.

— Przynieś i pokaż — rzekł znacznie ciszej i spokojniej. — Wtedy się zastanowię.

11
Polna droga na peryferiach

Na drodze zjawił się radiowóz z włączoną sygnalizacją świetlną.

— Zaczekaj tutaj — poprosił Czerski.

Z radiowozu wysiadło dwóch korpulentnych policjantów w mundurze i cywil. Policjanci trzymali dłonie na kaburach, a cywil — na wielkiej torbie. Czerski wiedział, co jest w torbie. Widział już ją kilkukrotnie w ostatnich dniach — podstawowy zestaw do zabezpieczania śladów.

Z daleka zamachał im swoją odznaką, co spowodowało u nich wyraźny spadek napięcia. Szybko wprowadził ich w sytuację, wskazał ciało i uprzedził, że prowadzi nadal czynności śledcze na laptopie ofiary, więc mają poczekać.

Popatrzyli na niego trochę z góry, ale wzruszyli tylko ramionami i podeszli z technikiem do trupa.

Czerski wrócił do Tores i wyjął telefon.

— Chłopaki, ustaliliście, czyj to numer?… — Zaklął cicho. — Nierejestrowany… — szepnął do Anny. — Gdzie?… — Zapisał ciąg liczb. — Aha… — Wysłuchał jeszcze technika i zanotował jeszcze dwie serie liczb. — Czyli jeszcze niedawno był w ruchu… Dzięki, stary!

Włączył mapę na smartfonie.

— Dali mi lokalizację BTS-a… telefon jest teraz zalogowany gdzieś tutaj… hmm… — Oddalił nieco obraz. — To na obszarze dawnych koszar… Bardzo blisko nas… Czy któraś z tych firm — wskazał na komputer — ma tam siedzibę?

Spojrzała do komputera i wycedziła:

— Na przykład AMOD…

Przybliżył obraz na ekranie smartfona. Przy odpowiednim powiększeniu pojawiły się ikony i nazwy firm. Rzeczywiście, wśród nich był AMOD. Dotknął znacznika na ekranie, wyświetlając zdjęcia budynku z wielkim, ciemnopomarańczowym, stylizowanym logo.

Wyjął ponownie tajemniczą kartę. W słabym oświetleniu wnętrza łatwo było pomylić kolory, ale był przekonany, że ciemnopomarańczowy odcień litery V jest taki sam jak logo oglądanego na smartfonie.

— Muszę coś sprawdzić… — mruknął pod nosem.

Ponownie otworzył teczkę Farneya. Zawartość była przebogata. Zdjęcia, filmy, ponad setka plików dźwiękowych. Otworzył na chybił trafił jeden z nich — krótka rozmowa telefoniczna: Farney podał tylko jakieś miejsce i godzinę, a drugi głos — można było bezpiecznie założyć, że głos Dereka — zaproponował spotkanie godzinę później. Czerski poszukał większego pliku. Tym razem była to notatka z dyktafonu podana lekko znudzonym głosem.

18.30, Farney, dokumentacja i źródła.

19.30, 15 tysięcy euro od P., z tego 10 tysięcy dla F. Słusznie mówią, że na oprogramowaniu da się zarobić — chrapliwy chichot.

Następny poniedziałek, Gordon ma się określić, do jakich komponentów potrzeba diagramów.

W folderze Farneya była też teczka nazwana CODE. W środku wiele plików 7z nazwanych wyłącznie ciągiem cyfr. Otworzył jeden z nich.

Nie był zawodowym programistą, zupełnie nie rozumiał języka, w jakim napisano zawartość tego pliku, ale wiedział, że to, na co patrzy, było kodem źródłowym jakiegoś programu. Nagłówek na początku jednoznacznie identyfikował jego właściciela:

RCUS, All rights reserved.

— Kowalskiego też uszczęśliwię — szepnął.

— O co chodzi? — Tores zezłościła się, że nie panuje nad sytuacją.

— Słyszałaś nagranie? Farney kradł oprogramowanie z własnej firmy i poprzez tego typa — wskazał na zwłoki — sprzedawał je AMOD-owi. Brał od nich pieniądze. Sprawdź mi nazwisko Gordon w kontekście tej firmy.

Tores posłusznie wystukała na swoim smartfonie zapytanie w wyszukiwarce. Po chwili rzekła:

— Jest kilku, ale nam pewnie chodzi o Gordona, który jest tam dyrektorem technicznym. Kto jak kto, ale on na pewno byłby zainteresowany wglądem do rozwiązań konkurencji.

— No to jedziemy do AMOD-u! — zarządził zdecydowanie.

— I co zrobisz? Powiesz, że jesteś nim? — Kiwnęła głową w kierunku trupa, próbując powstrzymać jego entuzjazm.

— Racja… Gordon przecież go zna… — Czerski myślał gorączkowo. — Nie mogę nim być, ale muszę tam wejść, a potem zdobyć jakoś ich zaufanie… — Jego wzrok padł na pendrive’a Dereka. — To będzie mój certyfikat wiarygodności!

Otworzył okienko odpowiedzi.

— Krótkie zdania, nic podejrzanego, i żeby nie spłoszyć… — mruczał do siebie — „15 minut”.

Kliknął „Wyślij”.

— Dobra, mamy kwadrans na dojazd. Masz jakiś dobry dyktafon?

— Lepiej! — Tores sięgnęła do torby stojącej za jej fotelem. — Mam dyktafon, mikrofon i kamerkę guzikową. Doskonały sprzęt szpiegowski klasy dziennikarskiej.

— Nadaje na żywo? — Czerski był pod wrażeniem.

— Tak, ale niestety na bardzo małym zasięgu. Ale wszystko nagrywa.

— To i tak więcej, niż oczekiwałem.

Pozwolił jej założyć mu cienkie jak żyłka kable i wszystko uruchomić.

— Mam obraz… mam dźwięk… — potwierdziła zadowolona. — Dobra, wyłączmy teraz, bo baterie szybko się zużywają. — Spojrzała na zegarek. — Musimy już jechać.

— Chwilę, trzeba oddać dowód.

Upewnił się jeszcze, że nie ma żadnych nowych wiadomości, i zaniósł laptopa mundurowym. Ci spojrzeli na niego niechętnie.

— Zabezpieczcie to — wydał im polecenie, co tylko wzmogło ich niechęć. — To dowód w sprawie.

Było późno, był piątek, a oni zamiast dbać o promile w towarzystwie musieli tkwić na jakimś zadupiu z trupem.

Czerski wrócił do auta Tores.

— Wilczurku, bardzo ryzykujesz…

— Nic nie ryzykuję — odparł pewny siebie. — Przecież mnie nie zabiją…

Tak, to był kiepski żart.

— Prowadź, ja zajmę się wiarygodnością mojej tożsamości — powiedział, chcąc wywołać wrażenie, że doskonale wie, co robi. — Biorę pendrive’a ze sobą.

— Zabrałeś go?! — była zdumiona. — Powinieneś był go oddać.

— Jeszcze mi się przyda… Jedźmy już, mamy coraz mniej czasu.

Ruszyła ostro, aż Czerskiego wgniotło w fotel.

— Hej, ostrożnie! — zaprotestował. — Tam stoją mundurowi, chcesz dostać mandat?

— Mówiłeś, że pendrive jest zaszyfrowany. Nie znasz hasła, po co ci on?

— Zmienię hasło… A Gordon nie będzie o tym wiedział. Uwierzy, kiedy powiem, że pan Derek zdradził mi hasło do swojego skarbca.

Na nośniku pamięci znalazł program producenta dedykowany do zarządzania wszystkimi ustawieniami, w tym bezpieczeństwem. Tam znalazł opcję zmiany hasła.

Wyskoczyło okienko z pytaniem o stare hasło.

— Kurwa… — wyrwało się Czerskiemu odruchowo.

Ale zaraz potem uśmiechnął się z satysfakcją. Genialne pomysły przychodziły mu teraz z taką łatwością…

12
Lotnisko

— Panie Bernardzie, coś się stało? Zdawało mi się, że z kimś pan rozmawiał — zaniepokoił się strażnik, widząc nadbiegającego z wnętrza hangaru Farneya.

— Złodzieje, panie Henryku! — krzyknął w biegu. — Kradną!

— Jest pan pewien? — Twarz strażnika wyrażała niedowierzanie.

— Widziałem ich przy drzwiach! Zanim zdążyłem je zamknąć, jeden z nich wyciągnął pistolet! Panie Henryku kochany, niech pan nas ratuje! — zaskomlał Farney, chwytając go za ramiona i potrząsając: — W panu nasza nadzieja!

— Dobrze, niech pan tu zaczeka. Sprawdzę, co się dzieje.

Strażnik, dokładnie jak to przewidział Farney, poczuł się w obowiązku sprawdzić sytuację. Wysyłając go wprost w objęcia Skalskiego, zyskiwał

kolejne cenne sekundy. „Skalski czeka na pieniądze albo gra na czas, by nadciągnęły posiłki” — myślał. „Dołożymy efekt zaskoczenia. Niech się teraz sobą zajmą i nawiążą bliższą znajomość”.

Staruszek poprawił czapkę i przemierzywszy przestrzeń hangaru, otworzył małe drzwi w bocznej ścianie. Podszedł do drzwi w budynku stojącym naprzeciwko i spróbował je otworzyć. Były zamknięte. Podrapał się po głowie i ruszył w prawo. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z uzbrojonym przeciwnikiem i miał nadzieję, że Farneya poniosła fantazja.

Skręcając za róg w kierunku bramy wjazdowej, omal nie zderzył się z człowiekiem nadbiegającym z przeciwnej strony. Pierwsze, co zauważył, to wycelowany w swoją stronę pistolet.

— Ręce do góry! — usłyszał i wykonał polecenie. Nie mógł zareagować inaczej uzbrojony jedynie w paralizator. — Kim jesteś?

— Ja… Henryk, ochrona mienia. Patroluję teren — wymamrotał ogłupiały. Nic z tego nie rozumiał. Kto w ogóle chciałby napadać na taki obiekt jak aeroklub? Nagle przed oczami błysnęła mu odznaka.

— Podinspektor Skalski. Gdzie Farney? — rzucił krótko, opuszczając broń.

Strażnik zamrugał oczami, lecz nie opuścił trzymanych w górze rąk. Policja? Teraz już przestał rozumieć cokolwiek.

— Pan Bernard jest przy hangarze. Chce sprawdzić samolot…

— Jest z nim ktoś jeszcze?

— Tylko ja… prosił mnie o pomoc… O co tu chodzi, panie… władzo? — dodał płaczliwie.

— Niech pan mnie uważnie posłucha… Ten człowiek jest niebezpieczny. To morderca! Natychmiast proszę oddalić się z tego miejsca. A najlepiej się ukryć, bo za chwilę może się tu zrobić gorąco!

— Pan Bernard? Mordercą? To niemożliwe… — Zachłysnął się z wrażenia, lecz Skalski brutalnie pchnął strażnika w kierunku bramy.

— Uciekaj, człowieku!

Oszołomiony strażnik ostatni raz spojrzał na Skalskiego i pobiegł do bramy. Nic z tego nie rozumiał, ale instynkt podpowiadał mu, by posłuchać dobrej rady. Ludzie wymachujący bronią to nie żarty. Po chwili zniknął za zabudowaniami.

Skalski pożałował, że nie zapytał go, którędy się wydostał. Postanowił wybrać kierunek, z którego nadbiegł. Przylgnął do ściany hangaru i posuwając się wzdłuż niej, dotarł do drzwi. Pchnął je najciszej, jak potrafił. Te zaskrzypiały niczym Czerski narzekający na stosunek Walczaka do pracy.

Farney zorientował się, że to nie strażnik, i instynktownie strzelił dwukrotnie w kierunku powstałej szczeliny. Jeden z pocisków trafił w metalową futrynę i na Skalskiego posypały się iskry. Po drugim strzale Skalski szarpnął za klamkę i gwałtownie otworzył drzwi na oścież, również oddając na ślepo dwa strzały. Jakiś cień przemknął między stojącymi samolotami i Skalski ujrzał błysk z lufy pistoletu. Pocisk minął go o kilka centymetrów. Rzucił się na ziemię i podczołgał do samolotu. Kryjąc się za kadłubem, strzelił w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się Farney.

Skalski zaklął i rzucił się w kierunku sąsiedniego samolotu. Nagle poczuł rozrywający ból w piszczelu, stracił równowagę i przewrócił się, gubiąc pistolet gdzieś pod samolotem. „Kurwa” — zahuczało mu głowie. Nastała złowroga cisza. Żadnego wystrzału, ruchu, nic.

***

— Trzysta metrów do celu — poinformowała spokojnie Skalska. W jej głosie wyczuwało się narastające napięcie.

— Jesteśmy przed wszystkimi. — Walczak oznajmił cicho. Droga dojazdowa była marnej jakości, więc znowu obawiał się przesadzić z prędkością. Podwozie mogło tego nie wytrzymać. Doskonale widzieli już zarysy zabudowań.

— Piotr nie odzywa się już od dłuższego czasu — zauważyła.

Nie odważył się tego skomentować. Logika kazała założyć, że Skalski nie ujął sprawcy. A skoro tego nie zrobił, to coś musiało mu przeszkodzić.

Wtem Walczak wcisnął hamulec do oporu. O mały włos nie rozjechał człowieka, który nadbiegał od strony bramy wjazdowej. Jego rozwiane, siwe włosy zafalowały na wietrze. Zatrzymali się ledwie metr o niego.

— Nic z tego nie rozumiem… — Wybełkotał, gdy oboje wysiedli z samochodu. — Pan Bernard nie może być mordercą…

— Gdzie jest Farney? — Walczak zaświecił odznaką.

Strażnik wskazał drżącym palcem w kierunku lotniska.

— Był tam Skalski? — Kobieta szarpnęła go za koszulę.

— Jakiś policjant mówił, że pan Bernard… pan Bernard jest niebezpieczny i że zaraz się zrobi gorąco… Nic nie rozumiem… — Jęczał i drżał. — I słyszałem strzały…

Nie było sensu dalej go pytać, bo szok utrudniał z nim kontakt. Wskoczyli do auta i z impetem ruszyli w kierunku otwartej bramy.

***

Farney ze swojego stanowiska widział, jak Skalski upada. Potknął się o mocowanie kół, którego nie dostrzegł. Miał teraz idealną pozycję. Sam był świetnie osłonięty. Wycelował w niego i delikatnie dotknął palcem spustu. Skalski musiał chyba szóstym zmysłem wyczuć, że jest wystawiony, i przetoczył się na bok, kryjąc za wąskim filarem. Farney uśmiechnął się złośliwie i wycelował nieco w lewo. Trzy pociski przeszyły zbiornik

pierwszego samolotu, z którego wąskimi strużkami zaczęło wyciekać paliwo. Przesunął pistolet w prawo i oddał strzały do drugiego samolotu. Na podłodze hangaru powoli zaczęła się tworzyć plama lotniczej benzyny.

Farney wycofał się pod same drzwi hangaru i szarpnął za drzwiczki metalowej szafki zawieszonej na ścianie. W środku, obok kamizelek odblaskowych, znajdowały się również flary. Sięgnął po jedną z nich, odpalił i wykonał szeroki zamach, rzucając w miejsce, gdzie rosła kałuża. Flara nie dotarła dokładnie tam, gdzie chciał, ale już tego nie widział. Nie czekając na efekt, odwrócił się na pięcie, wskoczył do samolotu i uruchomił silnik.

Skalski zaczął się czołgać do drzwi, którymi dostał się do hangaru. Widział, że z przestrzelonego poszycia jednego samolotu zaczęło coś wyciekać. Widział też, jak zabłysło jaskrawe światło, które przeleciało pół pomieszczenia i wylądowało gdzieś w pobliżu. Dzięki temu spostrzegł swój pistolet leżący krok od niego. Podniósł go i usłyszał warkot silnika. Zrozumiał, że Farney znalazł się w samolocie. Przyciągnął się za ogon najbliżej stojącego samolotu i wycelował w kierunku, z którego dochodził dźwięk silnika. Ręka mu zadrżała, gdy pociągał za spust. Strzelił drugi raz z jeszcze gorszym efektem; drżąca ręka sprawiała, że praktycznie strzelał na ślepo. To było bez sensu. Wtedy przypomniał sobie wyciekającą ciecz z samolotu i zrozumiał, że jak najszybciej musi opuścić hangar. Opierając się o kadłub, zaczął kuśtykać.

Każdy ruch nogą powodował trudne do zniesienia cierpienie. Tak głupio się przewrócić! Zacisnął zęby i nie zważając na ból, dotarł powoli do drzwi. Wydostał się na zewnątrz i dopiero wtedy chłodny powiew trochę go otrzeźwił.

Z powiększającej się kałuży paliwa wyłoniły się odnogi, które jak nitki meduzy zmierzały w kierunku płonącej flary. Wystarczyło delikatne

muśnięcie ognia, by rozlane paliwo gwałtownie zapłonęło. Przestrzeń między samolotami wypełnił ogień. Czujnik zamontowany gdzieś pod sklepieniem pomieszczenia uruchomił syreny.

***

Kabinę samolotu rozświetlił jaskrawy błysk eksplozji. Farney zaśmiał się głośno, nie mogąc i nie chcąc tego hamować. Dzika fala radości przeszyła jego ciało. To nie los mu sprzyjał — to on go wykreował! Spojrzał na wskaźniki — bak pełny, prędkość rozbiegowa, wysokość zero. Zerknął za fotel. Zawiniątko na miejscu. Otworzył szerzej przepustnicę i silnik zawarczał dziko.

***

Wóz na pełnym gazie przebił się przez główną bramę. Minęli toyotę i samochód Skalskiego. Przemknęli między budynkami administracyjnymi prosto na zielony pas lotniska, rozświetlonego migoczącym blaskiem płomieni.

Walczak chciał zajechać przed płonący budynek hangaru, lecz nim zaczął manewr hamowania, dostrzegł wytaczający się stamtąd samolot.

Farney!

Był tego pewien. To jego samolot. Przynajmniej tak pomyślał.

— Farney ucieka! — wrzasnęła Sara.

Zadziałał instynktownie, chwycił kierownicę z całych sił i wcisnął pedał gazu do oporu.

— Szybciej! — krzyknęła rozpaczliwie, widząc, że samolot zaczyna przyśpieszać.

Walczak z zaciśniętą do bólu szczęką skierował auto na pas startowy. W światłach samochodu zamajaczyły jakieś maszyny.

— Co do… — nie zdążył z przekleństwem, gdy zrozumiał.

Wciąż przyśpieszając, odbił w prawo, unikając zderzenia z potężną łyżką buldożera. Zaraz spróbował wyrównać, ale wpadł w potężne koleiny zostawione przez ciężki sprzęt. Autem solidnie rzuciło, a Sara wrzasnęła ze strachu. Tuż przed nimi wyrósł nagle solidny metalowy słupek. Wydawało się, że auto minie go, gdy rozległ się huk i oboje poczuli, jakby z lewej strony zatrzymała ich okrętowa kotwica. Uderzyli przednim kołem w odsłoniętą podmurówkę siatki, która rozpruła oponę. Auto gwałtownie skręciło w lewo, przechyliło się na prawy bok i efektownie koziołkując, przeturlało się przez siatkę wprost pod kołujący samolot.

13
Siedziba firmy AMOD

Kiedy Czerski uznał, że jest gotów, zamienili się miejscami i teraz to on prowadził. Zbliżali się powoli do głównej bramy AMOD-u. Rozległy teren, który zajmowała firma, otoczony był wysokim płotem.

— Z kim właściwie idziesz się spotkać? — zapytała Tores. — Z tym dyrektorem Gordonem?

— Tak jest — odpowiedział. — Sądząc po nagraniach Dereka, to on grał tutaj pierwsze skrzypce. Ale jeszcze się upewnię… Nasi technicy mówili, że telefon, z którego dostaliśmy wiadomość, jeszcze niedawno przemieszczał się między BTS-ami. Jak znajdę rozgrzany samochód, to będę miał pewność.

Zatrzymali się jakieś sto metrów od bramy.

— Chyba powinnaś wysiąść… Spodziewają się tylko mnie.

Włączyła mu kamerę i mikrofon.

— Nie włączam teraz transmisji, bo na taką odległość i tak nie sięgnie. Zrób to, kiedy uznasz za słuszne. Może uda mi się zakraść w pobliże.

— Tylko nie rób nic na własną rękę — przestrzegł ją Czerski. — Czekaj na mundurowych.

Złapał się za kieszeń, sprawdzając, czy ma pendrive'a. Anna dała mu soczystego całusa.

— Jesteś prawdziwym agentem! — rzuciła i zniknęła w ciemnościach.

Podjechał przed główne wejście do AMOD-u. Tak jak się spodziewał, brama była zamknięta, a żadnego strażnika nie było w pobliżu. Z zadowoleniem pomyślał o swojej przenikliwości — nad bramą była kamera.

— Spróbujmy teraz kolejnego zaklęcia — szepnął do siebie i sięgnął po portfel denata. Wyjął z niego plastikową kartę z ciemnopomarańczową literą V. Przytknął ją do czytnika.

Brama powoli zaczęła się otwierać.

— Hokus-pokus… — Czerski poczuł, że serce wali mu jak młotem.

Zadzwonił do Tores.

— Wezwałaś wsparcie? — Wysłuchał krótkiego potwierdzenia. — Nad bramą wisi kamera. Jest skierowana na szlaban, powinno wam się udać przejść tuż przy płocie. Nie ma strażników, szlaban jest automatyczny.

Przejechał bramę i ruszył w kierunku najokazalszego z budynków. Mimo późnej pory na wielu piętrach paliło się światło. Przed budynkiem trafił na szlaban i budkę strażniczą. Tym razem ze strażnikiem. Nie miał zamiaru tłumaczyć, co tutaj robi, więc świadomie rzucił mu wrogie spojrzenie i przytknął kartę do czytnika. Szlaban się podniósł, a strażnik machnął dłonią. Czerski nie mógł widzieć, że na monitorze strażnika pojawił się odczyt karty z adnotacją VIP. Takich gości się nie legitymuje, nawet późnym wieczorem.

Jadąc bardzo powoli, skierował się do budynków, gdzie na najwyższych piętrach paliły się jeszcze światła. Zakładał, że jak w każdej korporacji wyższe piętra są przeznaczone dla najważniejszych person. W pobliżu wejścia zaparkowało kilka samochodów.

Czerski włożył do ucha słuchawkę Bluetooth i zadzwonił do wydziału telekomunikacyjnego policji.

— Zaraz wam podam numer rejestracyjny… — Ostrożnie manewrując, stanął obok samochodu wyglądającego na najdroższy. — W ciągu dziesięciu sekund chcę znać właściciela, jego adres, imię psa i rozmiar stanika żony.

— Jesteśmy gotowi — usłyszał w słuchawce.

Wysiadł i bardzo lekko pchnął drzwi. Nie domknęły się. Ruszył do wejścia wzdłuż zaparkowanych samochodów, dyskretnie dotykając masek każdego z nich. Z radością stwierdził, że maska tylko jednego — tego, obok którego zaparkował — była jeszcze ciepła. Musiał przyjechać niedawno.

Zauważył, że strażnik z portierni stoi za kontuarem i przygląda mu się z uprzejmym zaciekawieniem. Czerski nonszalancko wyciągnął pilota i uruchomił centralny zamek. Pomarańczowe światła i dźwięk z alarmu poinformowały wszystkich w okolicy, że auto nie ma domkniętych wszystkich drzwi.

Czerski uśmiechnął się do strażnika z pobłażaniem, a ten odwzajemnił uśmiech. Wrócił do wozu, by je zamknąć.

— Gotowi? — szepnął. Trzasnął drzwiami i ponownie użył pilota. W migoczących światłach kierunkowskazów odczytał numer rejestracyjny. — Dyktuję…

Ruszył do drzwi. Strażnik za kontuarem nadal stał i najwyraźniej nie zamierzał wyjść. Czerski przy drzwiach zaczął się denerwować — technicy wciąż jeszcze nie odnaleźli właściciela.

— Trochę późno na wizytę — odezwał się przyjacielsko ochroniarz. — Z kim chce się pan zobaczyć?

— To wizyta biznesowa. — Czerski podał mu kartę.

Strażnik wziął ją lekko zdziwiony i wsunął do czytnika.

— Właścicielem samochodu jest Thomas Ives — usłyszał Czerski w słuchawce. Zatkało go. Nie tego się spodziewał. To powinien być dyrektor Gordon! Thomas Ives był prezesem AMOD-u.

Strażnik spojrzał na niego niepewnie i zwrócił mu kartę.

— Rozumiem pana, ale muszę wiedzieć, do kogo mam pana zaprowadzić. Do którego z panów dyrektorów? — zapytał.

Czerski miał pół sekundy na podjęcie decyzji.

— Przepraszam… to przez tę późną porę. Proszę mnie skierować do prezesa Thomasa Ivesa — tłumaczył Czerski.

Strażnik gdzieś zadzwonił, przyjrzał się raz jeszcze Czerskiemu i skinął głową. Zaprowadził go do windy. Teraz to policjant miał okazję przyjrzeć się jemu: nie wyglądał na mocarza, ale miał przy pasie paralizator i krótkofalówkę z długą anteną, której mógł użyć niczym maczugi. Wjechali w milczeniu na ostatnie piętro. Szli teraz korytarzem łudząco podobnym do Siódmego Nieba w RCUS-ie, tyle że zamiast dzikiej przyrody jedną ze ścian zdobiły reprodukcje wielkich mistrzów malarstwa.

Na jednych z ciężkich drzwi dostrzegł złoty napis PREZES ZARZĄDU.

— Zaanonsuję pana. Proszę za mną. — Strażnik otworzył drzwi.

Wbrew napisowi prezesa tutaj nie zastali — było to biuro sekretarki. Strażnik zapukał do kolejnych drzwi.

— Panie prezesie, przybył pan Derek…

Czerski pewnym siebie krokiem minął zaskoczonego strażnika i wszedł do biura. Prezes Ives patrzył na niego zaskoczony.

— Kim pan, do cholery, jest?

14
Lotnisko

— Kurwa! — wrzasnął wystraszony Farney.

Wiedział, że auto za moment go staranuje. A nawet lekkie uszkodzenie może uniemożliwić mu start. Powinien był natychmiast odbić, ale jak sparaliżowany czekał na nieuniknione.

— Kurwa! — Ryk Farneya był teraz radosny. Nie mógł uwierzyć własnym oczom wobec niepojętego wręcz zbiegu okoliczności. Pędzące na niego auto nagle się wywróciło i zaczęło koziołkować.

Dzika radość natychmiast zniknęła. Rzucił się do sterów i maksymalnie otworzył przepustnicę. Było już za późno. Koziołkujący samochód uderzył w ogon.

— Kurwa!! — wrzasnął kolejny raz. Samolotem mocno zarzuciło i Farney poczuł złowieszczy luz w wolancie. Odruchowo zmniejszył obroty, zerwał słuchawki interkomu i rzucił nimi o siedzenie pasażera. Przestawił ciąg na jałowy i ostrożnie zwolnił hamulce. Jego misterny plan ucieczki znów wymagał korekty. Nie miał wyboru. Musiał wyjść z samolotu.

***

Huk eksplozji sprawił, że Skalskiemu aż zadzwoniło w uszach. Na całe szczęście zdążył się oddalić — schowany za rogiem budynku administracyjnego był względnie bezpieczny. Noga wciąż bolała, ale na szczęście nie był to postrzał ani złamanie. Czuł, że chwilowo nie nadaje się do niczego.

Wychylając się zza rogu, widział, jak koziołkujący mały samochód — rozum i serce mówiło mu, że to auto Sary — uderza w ogon startującego samolotu. To unieruchomiło oba pojazdy.

Po chwili z kabiny pilota wyskoczył Farney. W ręce trzymał pistolet.

***

Oszołomiona Sara podniosła głowę z poduszki powietrznej. Zamrugała, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Jej wzrok padł na nieprzytomnego Walczaka i przypomniała sobie szczegóły wypadku. Działając instynktownie, odpięła pas i otworzyła drzwi, próbując wysiąść. Kątem oka zobaczyła podbiegającego do auta Farneya. Złapała nieprzytomnego Walczaka za poły marynarki, próbując go ocucić.

— Walczak, pomóż mi… Do cholery, Walczak, obudź się!

Jego głowa przeleciała tylko na drugą stronę.

— On tu idzie!

Walczak charknął i zabełkotał.

***

Drobna dziewczynka o smutnych czarnych oczach patrzyła na niego i bezgłośnie poruszała ustami. Walczak usiłował ją usłyszeć, a jednocześnie zastanawiał się, skąd się tutaj wzięła. Absurdalności sytuacji dodatkowo nadawał jej ubiór: biała komunijna sukienka. Znów poruszyła ustami i wydało mu się, że ją usłyszał, ale nie mógł zrozumieć. Wyciągnęła ku niemu dłoń. Wytężył słuch i próbował jej dotknąć.

— Walczak, pomóż mi… — odezwała się.

Zadumał się jeszcze bardziej. Znał dobrze tę dziewczynkę. Była bardzo dobrze wychowana, zawsze grzeczna i uprzejma. Nigdy by nie mówiła do niego po nazwisku. Pamiętał, jak zawsze zwracała się do niego z szacunkiem: proszę księdza.

— Do cholery, Walczak, obudź się!

Tego było już za wiele. Dlaczego teraz klnie? Przecież nawet gdy mu opowiadała o tych strasznych rzeczach, jakich dopuścił się wobec niej ojciec, nigdy nie unosiła głosu.

— On tu idzie! — Głos dziewczynki stał się dojrzały, a za nią pojawił się cień.

— Pomogę ci, tym razem cię nie zawiodę — wymamrotał. — Nie skrzywdzi cię więcej… nikt cię już nigdy nie skrzywdzi, przysięgam.

Z trudem otworzył oczy. W miejscu dziewczynki zobaczył przerażoną twarz Sary Skalskiej i chwytającą ją łapę Farneya.

— Pomóż mi… — szepnęła, a Walczak spod przymrużonych powiek zobaczył, jak potężna siła wyrywa ją z samochodu.

Pierwotny instynkt ofiary kazał mu zamknąć oczy i pozostać w bezruchu.

***

Farney wyciągnął Sarę z auta za kark niczym rzeźnik wyciągający królika z klatki. Poczuła, że nogi ma jak z waty, więc oparła się o półotwarte drzwi i podniosła na nich. Chciała obrócić głowę w lewo, ale zanim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, czyjaś ręka zatkała jej usta. Farney wykręcił jej lewą rękę i wycharczał do ucha:

— Pani prokurator… Jakie przykre spotkanie. Bądź grzeczną dziewczynką i nie sprawiaj żadnych kłopotów, dobrze?

Nie mogąc krzyknąć, ugryzła jego dłoń.

— Ty suko! — warknął. Pogryzioną ręką szarpnął ją mocno za włosy i pchnął. Sara uderzyła o kant drzwi samochodu i krzyknęła z bólu. Po jej czole spłynęła strużka krwi.

Farney uniósł pistolet i wycelował jej w twarz. Kobieta skuliła się ze strachu, łkając.

— Ostatnio — tłumaczył — odkryłem radość zabijania. Daj mi, proszę, jakiś pretekst, a zrobię to z przyjemnością. — Przytknął pistolet do jej oka — Czy się rozumiemy?

Sara zadrżała i wydała z siebie dźwięk, który jednak trudno było jakkolwiek zinterpretować. Zrozumiała, że znalazła się w rękach mordercy i jest na jego łasce.

— Czy się rozumiemy? — wycedził pytanie przez zaciśnięte zęby, wykręcając mocniej rękę i odciągając od samochodu.

Sara kiwnęła głową. Prawą ręką przytknął pistolet do jej karku.

— Skoro tę kwestię mamy za sobą, to wyjaśnię ci, jak wygląda sytuacja. Chwilowo mam kłopot i nie mogę się stąd ruszyć, dlatego musisz mi pomóc. Co z twoim kierowcą? — zainteresował się.

Przycisnął jej twarz do maski samochodu i ostrożnie zajrzał do środka, wsuwając najpierw lufę pistoletu. W migotliwym świetle płonącego hangaru obita twarz Walczaka sprawiała upiorne wrażenie.

— Ach, to komisarz Walczak! — Farney szczerze się ucieszył. — To nawet dobrze, potrzebuję kogoś decyzyjnego.

— Żyje? — jęknęła Sara. — Proszę, powiedz mi…

— Żyje, żyje, jest tylko nieprzytomny. Ocuć go! — polecił jej ruchem broni. — No już, nie mam czasu.

***

Walczak poczuł delikatne poklepywanie po twarzy. Przez myśl przebiegło mu, że Farney nie byłby tak delikatny.

— Saro? — zapytał, masując głowę, która wciąż mu łupała. — Saro, to ty?

Poczuł, jak kobieta przysuwa się do niego, wciskając między nich swoją torebkę. Po chwili poczuł, że coś wpadło do prawej kieszeni jego marynarki.

— Tak, to ja… Farney tu jest.

Usłyszał też męski głos, który aroganckim tonem oświadczył:

— No nareszcie. Witam ponownie pana komisarza. Jak zdrowie? Może się pan czegoś napije?

15
AMOD

Strażnik złapał za paralizator i zablokowawszy wyjście, stanął gotów do ataku. Prezes Ives, stojąc już, sięgnął po telefon.

— Dzwonię po policję!

— Nie radzę! — zagroził Czerski. — Mam ważną wiadomość od Dereka. Musimy natychmiast porozmawiać w cztery oczy.

Ives mierzył go spojrzeniem spod przymrużonych oczu.

— Obszukaj go — polecił strażnikowi.

Czerskiemu fala gorąca uderzyła do głowy. Jeśli strażnik zacznie go obmacywać, to z pewnością znajdzie na nim podsłuch. Zanim zdezorientowany i wystraszony sytuacją strażnik się ruszył, by wypełnić polecenie prezesa, odsunął połę marynarki, pokazując kaburę z bronią.

— Tylko się nie postrzel. — Uprzejmie ostrzegł strażnika.

Ochroniarz z paralizatorem gotowym do działania rozpiął ją niezdarnie drugą ręką i wyjął pistolet.

— Pistolet do zwrotu — upomniał Czerski strażnika. — A teraz zostaw nas samych.

Ives po krótkim wahaniu odprawił go gestem. Czerski bez zaproszenia rozsiadł się w fotelu i oświadczył:

— Derek został ujęty — powtórzył, podkreślając, że był z nim na „ty”.

— Nie znam nikogo takiego — przerwał mu twardo Ives. — Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— …otóż Derek — kontynuował niezrażony Czerski — próbował wykonać pańskie ostatnie zlecenie…

— Powtarzam, że nie znam…

— …i nastąpiły pewne komplikacje. W tej chwili znajduje się pod opieką policji i służby medycznej.

— Nie mam z tym nic wspólnego! — Bladość Ivesa wskazywała, że bardzo się przejął losem człowieka, którego nie znał.

Czerski westchnął.

— Kim pan, do cholery, jest? — powtórzył wyraźnie zirytowany Ives.

— Jestem od niego i tyle musi panu wystarczyć. Pojawiam się tylko w sytuacjach… — szukał właściwego słowa — nadzwyczajnych.

— Dlaczego mam panu wierzyć?

Czerski okazał identyfikator z ciemnopomarańczowym V i pendrive' em.

— Nasz wspólny znajomy przekazał mi tę kartę i pendrive'a. Stało się to tuż przed jego zatrzymaniem. Mówił, że jest pan człowiekiem bardzo ostrożnym i… rozsądnym. Proszę pomyśleć, skąd bym wiedział, żeby się udać właśnie do pana? Skąd wiem, że napisał pan wiadomość, by spotkać się w pana biurze? Skąd miałbym identyfikator Dereka? I najważniejsze, skąd miałbym jego zaszyfrowanego pendrive'a? — Bawił się nim palcami. — Widział pan to kiedyś?

Prezes Ives odruchowo potwierdził skinieniem.

— Na tym nośniku znajdują się świeżutkie materiały z RCUS-u. Jednak… — zaczerpnął powietrza — chyba z nich szybko nie skorzystacie.

— Dlaczego?

— Mam panu pomóc ukryć wszystkie materiały związane z RCUS-em. Bezzwłocznie.

— Skąd ten pośpiech? — dociekał ostrożny i rozsądny prezes Ives.

— Derek, próbując wykonać zlecenie, odniósł ciężkie rany i nie mogłem mu pomóc w ewakuacji. Przekazał mi tylko wszystkie te drobiazgi i dał jasne instrukcje postępowania. Z daleka widziałem, że został zatrzymany. Co do Farneya, to cholera wie, co trzymał w domu, w biurze czy w samochodzie. Wszystkie te miejsca są spalone i uznajmy, już dla nas niedostępne. Możliwe, że policji trochę zejdzie, by je przeszukać i spożytkować znaleziska. Ja zaś mam to, co Farney miał przy sobie, gdy konał. — Czerski ponownie pomachał pendrive' em. — Proszę dać mi jakiś komputer. Derek zdradził mi hasło. Jeśli to pana nie przekona, to opuszczę pańskie biuro. Ale wtedy obiecuję… — zawiesił głos.

Ives był zdezorientowany.

— Co pan obiecuje?

— Obiecuję śledzić pański proces w mediach. Jutro, najdalej pojutrze, przybędzie tutaj ekipa śledcza i będą szukać skradzionych z RCUS-u programów i dokumentów.

— To jakiś obłęd… — wymamrotał Ives, wpatrując się w nieporuszonego Czerskiego.

Ten postukał w zegarek.

— Czas ucieka…

— Dobrze więc — zdecydował Ives. — Proszę pokazać zawartość tego pendrive'a. Proszę za mną.

Przeszli do sekretariatu. Ives uruchomił komputer i się zalogował. Gestem zaprosił Czerskiego na fotel. Zanim ten wsunął urządzenie do portu USB, wyciągnął kabel sieciowy z komputera. Uśmiechnął się przepraszająco, ale jego oczy pozostały zimne.

Czerski uważnie wprowadził hasło. Nie pomylił się i zawartość nośnika pamięci pojawiła się na ekranie. Odnalazł folder RCUS i wskazał go prezesowi.

— Poznaje pan?

Ives przyglądał się przez chwilę i wskazał jeden z dokumentów.

— Proszę go otworzyć.

Na ekranie pojawił się schemat organizacyjny RCUS-u, ten sam, który widział już na odprawie z Derekiem w poprzedni poniedziałek.

Skinął głową.

— Tak, poznaję ten diagram…

Czerski zamknął schemat i przeszedł do folderu AMOD. Zaskoczony Ives wskazał folder ze swoim nazwiskiem.

— Chcę to zobaczyć.

Teraz Czerski się zawahał.

— To prywatne dokumenty Dereka, nie upoważnił mnie do ich ujawnienia…

Zdecydowanym ruchem otworzył folder o nazwie CODE.

— W tym folderze — wskazał go palcem — znajdują się najaktualniejsze materiały dotyczące RCUS-u, ich programy i dokumentacja systemu. Podobno trzymacie to na serwerach waszej firmy. Nie trzeba być specjalistą, by stwierdzić, że posiadanie własności intelektualnej konkurencji jest niezgodne z prawem.

Na czoło Ivesa wystąpiły krople potu.

— Jak wygląda sytuacja?

— Źle. — Czerski nie owijał w bawełnę. — To, czego nam brakuje, to czas.

— Więc, co dokładnie stało się z Farneyem?

— Doszło do strzelaniny. Ciało Farneya widziałem z bliska. Nie ruszał się i był mocno podziurawiony. Nie sądzę, by z tego wyszedł. Niestety, Derek też oberwał. Nie mogłem mu w żaden sposób pomóc. Chwilę potem zjawiły się policja i pogotowie… Dobrze, że zdołał mnie ściągnąć.

Ostrzegał, że będzie z panem ciężko, ale w końcu zrozumie pan powagę sytuacji.

— Sytuacja jest tragiczna… — Ives ukrył twarz w dłoniach. — Jak pan może pomóc?

— Z tego, co zrozumiałem, musicie się pozbyć wszystkich materiałów związanych z RCUS-em…

— To w ogóle możliwe? Jak moi ludzie będą wtedy pracować?

Czerski wzruszył ramionami.

— Nie znam się na tym i, szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Ma pan kogoś kompetentnego i godnego zaufania?

— Oczywiście! — Ives chwycił za telefon. — Gordon! Natychmiast proszę do mojego gabinetu.

W oczekiwaniu na Gordona Czerski zagaił.

— Zna… znał pan Bernarda Farneya z RCUS-u?

— Tak, ale nie osobiście. — Ives nie zauważył przejęzyczenia Czerskiego. — Znam go z prasy, no i… z tych materiałów.

— Derek mówił, że macie się rozliczyć za zlecenie…

— O którym zleceniu pan mówi? — Ives uniósł nieco ton. — Chodzi o eliminację Farneya czy o świeży kod z RCUS-u?

— Zabójstwo Farneya było na pańskie zlecenie? — Serce waliło Czerskiemu jak młotem.

— Ściśle mówiąc, za moją akceptacją. Przez swoją wpadkę Derek stał się dla nas bardzo niebezpieczny, więc lepiej by było… — Ives urwał, kiedy otworzyły się drzwi i wpadł przez nie zmęczony Gordon.

— Co byłoby lepiej? — dopytywał Czerski, ale Ives dyskretnie pokazał, by milczał.

— Później dokończymy.

Czerski wstał i wyciągnął rękę do Gordona.

— Gordon, to jest nasz drugi Konsultant. Panie Konsultancie, to jest Gordon, dyrektor od spraw technologicznych. Odpowie na wszystkie pana pytania.

— Teraz? — Gordon był więcej niż zdziwiony. — Co chce pan wiedzieć?

Czerski popatrzył w sufit.

— Ile czasu zajmie skopiowanie na zewnętrzne nośniki wszystkich dokumentów, schematów, plików, czegokolwiek, co jest związane z RCUS-em, a potem skasowanie ich bez śladu z waszych serwerów?

Gordon patrzył to na niego, to na przełożonego z opadniętą szczęką.

— No, Gordon… — zachęcił go Ives. — Znasz się na tym.

— To… żart? — spytał w końcu.

— Niestety nie.

— Jakieś ćwiczenia?

— Odpowiedz po prostu na pytanie.

— Samo określenie tego, które materiały mają zostać skopiowane, zajmie ze dwa tygodnie…

Czerski spojrzał na zegarek.

— Mamy jakieś osiem godzin.

— To śmieszne — podsumował Gordon.

— A czy ja się, kurwa, śmieję? — wybuchł Ives. — Nasz kontakt w RCUS-ie został zdemaskowany, a Konsultant wpadł w łapy policji. Jak go dobrze przemaglują, to nad ranem będziemy tutaj mieć jesień średniowiecza! Musimy natychmiast, rozumiesz, natychmiast zabezpieczyć wszystkie ślady łączące nas z RCUS-em! Ukryć daleko poza firmą, a jak sprawa ucichnie, wrócić do pracy nad nimi. Więc nie próbuj się doszukiwać tutaj jakichś dowcipów, tylko mów, jak to zrobić najszybciej!

Do Gordona jeszcze nie dotarła powaga problemu, choć czerwieniał z każdą sekundą.

— Ale kontrahenci, umowy, nasi pracownicy…

— A co mnie to teraz obchodzi?! Nie walczymy już o pieniądze, ale dosłownie o życie! Więc skup się! Co mamy zrobić?

— Eee, no więc, no więc… najszybciej będzie chyba po prostu wymontować dyski z serwerów. Do wielu projektów stracimy dostęp, ale są kopie… no tak, przecież kopie również trzeba wymontować… najlepiej chodźmy do chłopaków, są jeszcze w pracy i znają detale.

— Byle szybko. — Czerski zerwał się z miejsca. — Czas ucieka.

16
Lotnisko

Walczak próbował stać z podniesionymi rękoma, ale prawa odmawiała posłuszeństwa i zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. Wpatrywał się w Farneya machającego pistoletem nad głową Sary. Zawroty minęły, ale pozostał rozrywający ból głowy i obolałe całe ciało.

— Ręce! — rzucił do niego szorstko Farney.

— Nie mogę… — Walczak uniósł nieznacznie rękę i skrzywił się z bólu. — Chyba złamana… albo zwichnięta… Nie mogę…

— Gdzie masz broń?

Walczak ostrożnie odchylił lewą połę marynarki, ukazując kaburę.

— Wyciągnij i rzuć do mnie.

Nieporadnie lewą ręką odpiął kaburę i wyciągnął pistolet, trzymając go dwoma palcami za kolbę. Rzucił pod nogi Farneya.

— Spokojnie, nie ma potrzeby się denerwować… — przemówił łagodnym głosem Walczak. — Ani powodu, by komuś stała się krzywda.

— Jestem spokojny — rzekł chłodno Farney.

— A ja, jak widzisz, nieuzbrojony. Porozmawiajmy…

Farney uśmiechnął się i powiedział:

— Ustalmy sobie coś na początek. Mam broń i zakładnika. — Pogłaskał policzek Sary końcem lufy. — A ty nie masz nic.

— Jest jeszcze Skalski… — podsunął Walczak, chcąc rozpoznać sytuację.

— …który przed chwilą wyleciał z gry. — Farney skinął głową w kierunku płonącego hangaru.

Walczakowi zamarło serce. Jednak nie mógł teraz pozwolić sobie na chwilę słabości. Należało zapanować nad sytuacją, a przynajmniej uratować to, co możliwe. Jednak przyćmiło go, zachwiał się i oparł o maskę samochodu. Sara na tę wiadomość z wściekłym okrzykiem rzuciła się na Farneya, ale ten wywinął się miękkim, zwinnym ruchem i celnie uderzył kobietę kolbą pistoletu w nos. To ją skutecznie zatrzymało. Upadła na klęczki, łkając głośno i zalewając się krwią i łzami.

— Przestań! — wrzasnął Walczak zrozpaczony obrazem kobiety i pastwiącym się nad nią oprawcą. Miał ochotę podbiec i wziąć na siebie cały ten ból. Zrobiło mu się niedobrze. Przed jego oczami znów zamajaczyła mała dziewczynka w pierwszokomunijnym stroju.

— Co się z wami dzieje? — W głosie Farneya pojawiło się zdziwienie. — Ogarnijcie się jakoś.

Z oddali dobiegł ich warkot helikoptera i słabe jeszcze wycie policyjnych syren. Sara nie potrafiła powstrzymać szlochu — nie wiadomo, czy z bólu, strachu, czy żalu.

— To już koniec, Farney — rzucił trzeźwo Walczak, próbując pozbierać jakoś myśli i wskazując kierunek, skąd nadjeżdżały radiowozy. — Nie ma

sensu tego ciągnąć i czas się poddać. Za chwilę będzie tutaj mnóstwo policji.

— Do głowy przychodzi mi zupełnie inny pomysł… — Jego cyniczny uśmiech nie znikał z twarzy. — Masz w aucie radio?

— Po co ci ono?

— To ja tu zadaję pytania. Masz to cholerne radio?

— Mam, ale nie wiem, czy działa.

— To sprawdź. I jeśli jest w porządku, to nadaj, że mam zakładnika, a oni niech się trzymają z daleka. Najlepiej za ogrodzeniem. To moje pierwsze żądanie. A drugie… to helikopter. Ma w nim być tylko pilot.

Walczak obszedł samochód, usiadł, odsuwając sflaczałą powłokę poduszki powietrznej, dogrzebał się do gruszki mikrofonu i przystawił ją do ust.

— Tu komisarz Walczak do wszystkich jednostek. Natychmiast wstrzymać obławę zmierzającą do aeroklubu. Ma przylecieć tylko helikopter z jednym nieuzbrojonym pilotem.

W głośnikach zaszumiało.

— Walczak, o co, kurwa, chodzi?

— Kto tu dowodzi? — dobiegł inny głos.

— Ścigany jest uzbrojony i ma zakładnika — wyjaśnił. — Zatrzymajcie się przed bramą i czekajcie na instrukcje. Stan inspektora Skalskiego nieznany, Skalska jest zakładniczką. Bez odbioru.

— I co?! — krzyknął z daleka Farney.

— Zrobione, co teraz? — odparł Walczak, gramoląc się na zewnątrz. Martwił się o Skalskiego. Nie wierzył, by ten po prostu zginął w płomieniach. Nie on, nie w ten sposób i nie teraz.

— Co zamierzasz?

— Odpłynąć jachtem… człowieku, jak myślisz, po co mi ten helikopter?

— Pytam o mnie i Sarę. Co z nami?

— Panią prokurator zabiorę ze sobą. Muszę mieć jakieś zabezpieczenie.

— Weź mnie — zaproponował. — Ona już tyle przeszła!

Farney skrzywił się i zawahał.

— Jeszcze się zastanowię — odpowiedział.

Walczak nie był zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Intensywnie się namyślał, co dalej.

— Wypuść ją — nalegał. — Dobrze wiesz, że przydałby się gest dobrej woli.

— Dobrej woli powiadasz? — prychnął Farney, ale dodał po chwili: — Rozważę to, kiedy wyląduje śmigłowiec i znajdę się bezpiecznie w środku.

17
AMOD

W zamkniętym pokoju nad komputerami ślęczało troje mężczyzn i kobieta. Obrzucili wchodzących zdziwionym spojrzeniem, a na widok nieznajomego im Czerskiego ukryli instynktownie wszystkie okna na swoich ekranach.

— Panowie… i pani… — odezwał się do nich Gordon. — Proszę odpowiadać otwarcie. Nasz gość jest całkowicie zorientowany w sytuacji i pracy waszej komórki.

Czerski skinął im delikatnie głową i zapytał rzeczowym głosem:

— Musimy natychmiast usunąć z firmy wszystkie materiały związane z RCUS-em. Jak to zrobić?

Popatrzyli na siebie niepewnie. Kobieta poczuła się wywołana do odpowiedzi:

— Zgodnie z poleceniem wszystkie wydruki, płyty i pendrive’y nie opuszczają tego miejsca. Dane z zewnątrz… trzymamy na osobnym zabezpieczonym serwerze. — Wskazała niepozorny komputer w rogu pomieszczenia. — Nikt oprócz nas i dyrektora Gordona nie ma do niego dostępu. Nie jest nawet widoczny w sieci korporacyjnej. Wystarczy się go pozbyć.

— To świetnie, Ines. Rozmontujcie to natychmiast — wydał polecenie Gordon i dwóch programistów rzuciło się do serwera. — Wyjmijcie wszystkie dyski. Co jeszcze?

— Nasze komputery mają kopie tych źródeł. Pracujemy na nich… — odezwał się ostatni z czwórki.

— To samo. Wyciągnąć wszystkie dyski. Albo nie, szkoda czasu… dawajcie całe laptopy. — Znalazł pod ścianą obszerne pudło po monitorze. — Do pudła. Jak coś macie na pendrive’ach, płytach, dyskach zewnętrznych, też tutaj ładować.

— Jakieś wydruki? — zapytał Ives.

— Niewiele.

— Do niszczarki. Wszystko!

W kilka minut pudło było pełne.

— Jak mamy teraz pracować? — szepnęła Ines do Gordona.

— Weźcie wolne — wtrącił się Ives. — Dobrze, jakbyście już jutro wyjechali na długi i daleki urlop. Po prostu zniknijcie z miasta! Firma zwróci koszt. A jeśli przez „przypadek” macie jakieś materiały w domu, to pozbądźcie się ich, jak tylko tam dotrzecie.

— Czy to na pewno wszystko? — zapytał Czerski. — Nic nie zostało?

— Z bezpośrednich materiałów wszystko…

— A z niebezpośrednich? — Zdenerwował się Ives. — Co to ma znaczyć?

— Panie prezesie, przecież cały dział jedzie na tym kodzie i schematach. — Ines popatrzyła na niego z przestrachem. — Braliśmy wszystko od RCUS-u, trochę przerabialiśmy, zmienialiśmy nazwy, czasem mały refaktoring, coś dodaliśmy czy usunęliśmy… Ale to nadal jest kod RCUS-u, tylko z naszym logo… I jest teraz na każdym komputerze w tym dziale, na każdym serwerze buildowym. Nie da się tego usunąć.

Ives spojrzał bezradnie na Czerskiego.

— Ukryjemy to, co jasno was wiąże z przestępstwem — zdecydował Czerski. — Nic nie poradzimy na tysiąc komputerów, ale, jak panią zrozumiałem, materiały na komputerach programistów nie są kopią jeden do jednego?

— Oczywiście, że nie! — żachnęła się. — Jedynie głęboka analiza mogłaby wykazać podobieństwa. Tamci nic nie wiedzą. — Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

— Dobrze, to da nam czas, a wam możliwość przeciągania sprawy w sądach, powoływania kolejnych biegłych i takie tam.

— Co teraz? — zapytał Ives.

— Mam przygotowaną kryjówkę — zasugerował Czerski.

— Gdzie? — zaciekawił się Gordon.

— To wiedza już tylko dla uszu pana prezesa. — Czerski zerknął na niego. Tamten się uśmiechnął. Jak zawsze, gdy ktoś ucierał nosa dyrektorowi. — Zabierzmy te rzeczy do mojego wozu i ruszajmy — zaproponował, wpatrując się w Ivesa.

— Dlaczego nie jedziemy moim samochodem? — tamten zmarszczył brwi. Uśmiech zgasł momentalnie.

— Pański z pewnością sprawdzą i wyśledzą trasę na kamerach miejskich.

— A pańskiego nie?

— Mój jest tylko jednym z miliona w tym mieście.

— W porządku.

— Czas ucieka. — Czerski kolejny już raz postukał palcem w kopertę zegarka. — Chłopaki, weźcie to pudło.

18
Lotnisko

Policyjne syreny ucichły, chociaż za ogrodzeniem widać było migoczące niebieskie i czerwone światła.

Sara łkała cicho, po jej zakrwawionej twarzy spływały łzy — być może z bólu, ale raczej ze strachu o los Piotra. Czy to możliwe, aby Piotr zginął? Że zabił go ten bezduszny gad?

Walczak omiótł spojrzeniem ciemności. Jeśli Skalski żyje, to nie wyjdzie teraz na wprost lufy pistoletu. Ale nigdzie nie było go widać.

Farney uważnie wsłuchiwał się w nadlatujący śmigłowiec, ale ten na chwilę się oddalił.

— Dlaczego odleciał? — zaniepokoił się.

— Musi się pozbyć załogi — odpowiedział zmęczony Walczak. — Tak jak sobie życzyłeś.

Farney rozejrzał się, sprawdzając najbliższy teren.

— No to sobie poczekamy — mruknął.

***

Skalski przypadł nieruchomo do ziemi, gdy ujrzał Farneya badającego okolicę. Z tej odległości i w migoczącym świetle pożaru nie miał szans na celny strzał, zwłaszcza że Sara wciąż była żywą tarczą. Musiał podejść bliżej i miał na to parę minut, dopóki helikopter nie wróci. A Farney

wykazywał niezdrową ciekawość tym, co działo się za nim. Trzeba go czymś zająć. A i Walczak zapewne się ucieszy.

Wyciągnął z kieszeni breloczek. Policyjne autko z migającymi czerwono-niebieskimi diodami.

***

Chwila milczenia ponownie wpędziła Walczaka w czarne myśli. Bardzo, bardzo nie chciał być tutaj sam. Potrzebował Skalskiego.

Gdzieś za samolotem zamigotały niebiesko-czerwone światełka. Spojrzał na nie ze zdziwieniem. Przecież mieli trzymać się za ogrodzeniem! Jednak kiedy światełka wykonały szeroki łuk i zgasły, otworzył szeroko oczy ze zrozumieniem. Poczuł ogromną ulgę.

Zerknął na Farneya. Ten znów nerwowo zaczął się rozglądać po okolicy.

— Pewnie się zdziwisz… — zagadnął go Walczak — ale wbrew wszystkiemu, imponują mi twój spryt i skuteczność. Nawet teraz…

— To morderca! — syknęła Sara. — Zabił Piotra…

— Cicho! — rozkazał jej Farney, grożąc pistoletem.

— Ostatnie dwa tygodnie były niezwykłe… — ciągnął spokojnie Walczak. — …Jakieś nierzeczywiste… nierealne… i zżera mnie cholerna ciekawość, bo jednego nie rozumiem.

— Tak? — Farney uśmiechnął się mile podłechtany.

— Po co ci było to wszystko? Dla pieniędzy? Władzy? Zemsty?

— Celny strzał. Po trzykroć. Widzisz… — zaczął zachęcony Farney — po tej degradacji przed laty krew mnie zalała. Ci idioci odsunęli mnie wtedy na boczny tor… MNIE! Rozumiesz? I postawili na czele tego palanta Szeflera!

Walczak tylko pokiwał głową, wpatrując się w jego bezduszne oczy. Tamten mówił dalej:

— Ale źle trafili! Mnie nie można ot tak — pstryknął palcami — odsunąć. Nie mnie! Dlatego zaplanowałem wszystko w szczegółach. Najpierw pozbyłem się Nielsena, by przejąć kontrolę nad całym ośrodkiem i by żaden półgłówek mnie nie nakrył. Kradłem Szeflerowi wszystko, co związane z kodem, a AMOD świetnie mi za to płacił. Szefler był tak napuszony swoją genialnością i podrywaniem kolejnych dup, że niczego nie spostrzegł! Nic dziwnego, przecież to cienias. Potem zająłem się jego inżynierami. Ginęli jeden po drugim, a wy, żałosne matoły, dokładnie tak jak przewidziałem, łapaliście tylko tych, których sam wam podsuwałem. Jakie to było cudowne uczucie patrzeć i napawać się, jak pacynki tańczą do mojej muzyki. I, co bardzo zabawne, wciąż mogę to robić! Nawet teraz, kiedy…

— Ty w ogóle znałeś de Bugaja, Osika, Zdowacką? — przerwał mu obcesowo Walczak.

— Tylko Zdowacką. Reszty nie, ale byli szczególnie ważni, choć niewielu zdawało sobie z tego sprawę. Co do Maury… To była nieczuła dziwka! I jeszcze ten romans z Szeflerem… Dlatego to ON miał zostać wisienką na torcie.

— Dlaczego nie został? — Walczak usilnie starał się nie patrzeć w miejsce, gdzie spodziewał się za chwilę zobaczyć Skalskiego.

— Zwyczajnie nie zdążyłem. — Farney zmrużył oczy, wypatrując helikoptera. — Chciałem trochę nacieszyć się jego cierpieniem. Zobaczyć, jak kolejne przeciwności losu gniotą go jedna po drugiej i wpychają w ziemię. Opuszczony przez wszystkich i przegrany byłby dla mnie ogromną uciechą… Przyznaj, prawdziwym majstersztykiem byłoby, gdyby targnął się na swoje życie!

— Przerażające! Kiedyś, będąc duchownym, doskonale poznałem ludzkie słabości, ale to, co zrobiłeś, jest niepojęte i niewybaczalne!

— Naprawdę? — parsknął zaskoczony. — Byłeś klechą? No to obaj mamy nieźle posrane we łbach!

— Bardzo możliwe. Ale zobacz: przecież z twoim talentem mogłeś zrobić tyle dobrego…

Farney zupełnie niespodziewanie zrobił krok do tyłu, wcisnął w bok samolotu i niemal całkowicie zasłonił się Sarą. Ta jęknęła, nie mając już sił krzyczeć.

— Skalski! — ryknął Farney. — Skalski, wyłaź! Wyłaź, do cholery!

— Farney… — Walczak zdał sobie sprawę, że tamten musiał coś wyczuć. — O czym ty mówisz? Przecież go zabiłeś. Jesteśmy tu tylko my… a za dwie minuty będziesz miał helikopter…

— Co mi tu pieprzysz, klecho! — Wycelował w Walczaka. Takie nagłe zmiany zachowania napawały lękiem i zwykle prowadziły do utraty kontroli nad sytuacją.

— Spokojnie… z tych nerwów masz jakieś zwidy…

— O nie! To zbyt czytelne, mierny pijaczku. Po co mnie zagadujesz? He?! Bo wiesz, że Skalski żyje! — Znów wbił pistolet w kark Sary. — Wyłaź, Skalski!

Poprzez dźwięki i aurę płonącego hangaru przebił się warkot zbliżającego się helikoptera. Punktowe światła machiny idyllicznie płynęły w ich kierunku i coraz jaskrawiej odznaczały się na tle nocnego nieba. Jego odymiona czerń nie była dziś zdolna wchłonąć całego bogactwa roztańczonych barw emitowanych przez pożar, śmigłowiec i policyjne samochody otaczające ogrodzenie lotniska.

— Skalski!

Farney rzeczywiście wpadał w coraz większą panikę. A to mogło się źle skończyć.

19
AMOD

Strażnik na portierni zerwał się na widok grupy prowadzonej przez samego prezesa. Czerski podszedł do niego i bez słowa wyciągnął dłoń. Ives skinął głową. Czerski odebrał pistolet i sprawdził magazynek.

Wyszli na zewnątrz. Uderzył ich lekki, orzeźwiający chłód.

— Gdzie pan zaparkował? — zapytał Ives, zapinając marynarkę.

— Obok pańskiego auta. — Wskazał je ręką.

— To chodźmy…

Czerski kątem oka zauważył ruch w ciemności. Miał nadzieję, że to jego wsparcie.

— Skąd pan wie, jakim autem jeżdżę? — zainteresował się Ives.

Czerski świdrował oczami ciemności okalające parking. Zauważył w nich liczne cienie, na czyjejś odznace błysnęło delikatne odbicie nielicznych świateł. Westchnął głęboko.

— Cóż… nie ma co tego ciągnąć dalej. — Odbezpieczył broń i okazał odznakę. — Jesteście aresztowani pod zarzutem szpiegostwa przemysłowego. Przedmioty w tym pudle stanowią dowody przestępstwa, a pan, Thomasie Ives, jest zatrzymamy również za zlecenie morderstwa Bernarda Farneya.

— To jakiś pieprzony żart? Kim pan jest?

Był całkowicie osłupiały.

— Aspirant Czerski, wydział kryminalny komendy miejskiej policji — odpowiedział z dumą.

— Ale… ale… Derek zdradził? — Ives nie mógł uwierzyć. — To przecież…

— Derek nie żyje — przerwał mu Czerski. — Znaleźliśmy jego trupa i tego pendrive’a.

— Więc jak… jak…

— Skąd znałem hasło? Nie znałem go. Pendrive był wpięty w laptopa i odszyfrowany, więc skopiowałem dane na lokalny dysk. A potem sformatowałem pendrive’a, przywróciłem pliki z kopii i zabezpieczyłem na nowo własnym hasłem. To pan uwierzył, że je znam.

— To jakaś prowokacja! — krzyknął wstrząśnięty Gordon.

— Tak jest! — Czerski był z siebie bardzo dumny. — I to całkiem udana.

20
Lotnisko

— Skalski! — ryknął ponownie Farney.

— Idę! — Dobiegło gdzieś z niebezpiecznie bliskiej odległości. — Wychodzę!

Wraz z odzyskaniem kontroli nad sytuacją Farneyowi wróciły animusz i pewność siebie. Znów poczuł dumę ze swoich zdolności. Nawet się nieco zawstydził swojego chwilowego ataku paniki.

— Skalski, jak miło, że do nas dołączyłeś! — zadrwił. — Chociaż z drugiej strony jestem zaskoczony, że jednak żyjesz. Twarda z ciebie sztuka!

Sara poczuła nieopisaną ulgę i z rozchwianych emocji popłynęły jej łzy, tym razem szczęścia. Walczak wiedział, że plan właśnie spalił na panewce, ale pewność, że jego przyjaciel żyje, mimo fatalnego stanu, uradowała go niepomiernie.

Skalski zwolnił kroku, wyprostował sylwetkę i kulejąc, zbliżył się do nich powoli, rozkładając ręce i sygnalizując w ten sposób, że nie jest uzbrojony. Cały brudny, w potarganej i osmalonej koszuli.

— Zdążyłeś na ceremonię pożegnania — kontynuował Farney. — Widzisz, ojciec komisarz był łaskaw wezwać dla mnie helikopter. —

Wskazał na podchodzący do lądowania śmigłowiec. — Jednak wciąż kogoś mi tu brakuje… ten wasz młody kolega… Czerski, jeśli dobrze pamiętam…

Nikt nie podjął się komentarza. Sara, szlochając rzewnie, próbowała się wyrwać, ale Farney przycisnął ją mocno do siebie lewą ręką. Dłonią miażdżył jej szyję. Zaczęła charczeć i się krztusić.

— Dokąd to, pani prokurator? Spokojnie…

Walczak wymienił spojrzenia ze Skalskim. W momencie, kiedy Farney zajmował się Sarą, dał znak, że ma ukrytą broń. Walczak skinął i odwzajemnił tym samym.

Farney, za którym głośno lądował helikopter, obejrzał się i na chwilę skupił na nim spojrzenie. Trwało to może sekundę, po czym zauważył zbliżającego się Walczaka.

— A ty dokąd? — próbował przekrzyczeć hałas wirnika.

— Obiecałeś ją wypuścić i wziąć mnie! — wrzasnął, tocząc się ciężko. Prawa ręka wciąż zwisała mu bezwładnie.

— Stój! — Farney wycelował w niego pistolet.

— Przecież spełniłem twoje żądania!

Huknął strzał i Walczak się zatrzymał. Farney zauważył ruch Skalskiego i odruchowo zasłonił się przed nim Sarą. Do jej skroni przycisnął lufę i spostrzegł, że Skalski mierzy do niego z broni.

Walczak zrobił mały krok do przodu.

— Skalski, Walczak! — Farney przekrzykiwał huk śmigłowca, który zatoczył nad nimi koło, szukając miejsca do lądowania na ciemnym pasie startowym. — Co wam znowu strzeliło do głowy? Déjà vu, Skalski? Czyżbyś już zapomniał? — Skierował broń w jego stronę. — Jak to było z tym Kellerem? Pamiętasz? On wtedy tego nie przeżył. — Wycelował broń w Walczaka. — Czy nie tak było?

Tak było. Serce Skalskiego waliło jak młotem. Co za ironia — wszystko jak wtedy… ćwierć wieku temu…

— Poświęcisz teraz piękną panią prokurator? — Znów skierował pistolet w niego, a Walczak zrobił kolejny krok naprzód, przywołując spojrzenie mordercy. — A ty, po co się skradasz? Życie ci niemiłe?

Ten zamarł.

— Sara… — wyjąkał. — Ona tyle przeszła… Proszę, weź mnie. Zabij mnie, ale ją zostaw. — Zrobił kolejny krok. — Saro… — Wyciągnął do niej sprawną rękę.

— Podobno to wzruszające — zadrwił Farney, wbijając pistolet w kark Sary. — Podobno, bo takie uczucia są mi zupełnie obce… One strasznie was ogłupiają. To przez nie i przez ciebie, Skalski, zginął wtedy świeżo poślubiony mąż twojej siostry, prawda? — zapytał chrypiącym głosem, przekrzykując otaczający zgiełk. — Masz ochotę powtórzyć tę historię? A może dla odmiany będziesz teraz mądry i odłożysz broń?

— Saro… — Walczak znów się do niej przybliżył.

Farney błyskawicznie, bez żadnego ostrzeżenia wymierzył i strzelił do niego. Walczak jęknął i upadając, złapał się za udo.

— To było wyjątkowo głupie i niepotrzebne… — rzekł spokojnie, zerkając to na jednego, to na drugiego. — Ale potraktuj to jako gest mojej dobrej woli. Powinienem cię zabić.

Jęcząc i walcząc z bólem, Walczak powstał na kolana i z nadludzkim uporem znów się podsunął.

— Saro… — zawołał z desperacją — złap mnie za rękę… Saro!

Farney patrzył na to z niedowierzaniem. Celował w Walczaka, ale zwlekał. Widział w jego oczach szaleńczą determinację, a jego zranione ciało nieudolnie parło dalej. Było w tym coś hipnotyzującego, coś, co fascynowało chory umysł mordercy.

— Złap mnie… — zajęczał.

Sara wyciągnęła ku niemu lewą dłoń, zastanawiając się, czy to nie jest ostatni gest w jej życiu. Ich dłonie były już tak blisko…

— Jakbym widział fresk z Kaplicy Sykstyńskiej — zakpił Farney, kiwając głową. Uważnie wszystkich obserwował.

Ręce Sary i Walczaka się spotkały. Wtedy Farney poczuł kłujący impuls elektryczny. Walczak padł na ziemię jak kłoda, a z prawej ręki wypadł mu paralizator. Strzelił prądem sam w siebie, mając nadzieję, że porazi też Farneya. Jednak łuk wyładowania poszedł głównie między elektrodami, rażąc najbardziej jego samego. Jak na ironię, Farney ledwo to odczuł, ale wystarczyło, by na pół sekundy go oszołomić. Nie utrzymał też Sary, która osunęła się bezwładnie na ziemię.

Na ten moment czekał Skalski. Do tej pory nie wiedział, co się stanie ani co zamierza Walczak. Serce mu stanęło, kiedy Farney go postrzelił. Ale przeczekał i teraz był gotów.

Farney uświadomił sobie, że nie ma już tarczy, za którą się dotąd krył. Zadziałał instynktownie i chciał wymierzyć w Skalskiego. Ale jego rozum już wiedział: reakcja była spóźniona. Oczy Skalskiego były zimne jak lodowiec i nie mrugnęły, gdy naciskał spust.

Farney poczuł, jakby młot uderzył go w prawy bark. Sparaliżował go rozrywający ból. Nie mógł już unieść pistoletu, a w zimnych oczach Skalskiego widział nieuchronność. Druga kula trafiła go wysoko w pierś. Upadł na kolana.

A potem ziemia podniosła się i uderzyła go w twarz.

Epilog

Sobota, prokuratura

Prokuratura i dziennikarze zazwyczaj w sobotę nie pracowali. A już na pewno nie z takim rozmachem jak dziś. Były po temu przesłanki. Przede wszystkim nocna strzelanina i pożar aeroklubu pod miastem. Uduszony człowiek w lesie. Nocny rajd ulicami. Plotki o schwytaniu seryjnego mordercy. Niespodziewane zwołanie konferencji prasowej przez prokuraturę. Dziennikarze, z natury podejrzliwi, szukający sensacji, połączyli kropki i ukazał im się obraz najbardziej złożonej operacji ostatnich lat. Każda redakcja, każda rozgłośnia i każda stacja telewizyjna musiała mieć tutaj swych przedstawicieli. Nieobecni nie będą cytowani w najważniejszych wydaniach wiadomości.

Długo przed planowanym rozpoczęciem główna sala konferencyjna była wypełniona po brzegi. Z włączonymi mikrofonami, dyktafonami i kamerami polowano na kogokolwiek, kto mógłby udzielić jakiejkolwiek informacji. Nawet fałszywej, bo w dzisiejszych mediach także fałszywa informacja była dobra — można było się na nią powołać. Na weryfikację nie było czasu. Ważne, by źródło było solidne.

W końcu w błysku fleszy i w gwarze podnieconych głosów boczne drzwi się otworzyły i wkroczyła przez nie rzecznik prokuratury — drobna brunetka z nadmiernym makijażem. Obok prężnie maszerował komendant Głowa. Podeszli do naprędce postawionego stołu i usiedli. Kobieta stuknęła palcem w wygięty w jej stronę mikrofon. Działał.

— Szanowni państwo — zaczęła pewnym siebie głosem. — Ze względu na wagę sprawy i spodziewaną liczbę pytań chciałam w imieniu naszej

instytucji przekazać wam wszystkie istotne informacje. Zapewne śledzą państwo ostatnie wydarzenia…

Po sali przetoczył się lekki chichot.

— Uważamy, że opinii publicznej należą się wyjaśnienia, które powinny uciąć wszelkie spekulacje krążące w jej przestrzeni. Należy w sposób jasny nakreślić ustalenia, przedstawić fakty z ostatnich tygodni, a także ubiegłej nocy. W trosce o właściwe zrozumienie tych wydarzeń oświadczam, co następuje. Jeden z bardzo wysoko postawionych pracowników firmy RCUS dopuścił się trzech morderstw swoich podwładnych.

Po sali przetoczył się tym razem szum niedowierzania, natychmiast też zgłoszono chęć zadania pytań. Prokurator to zignorowała.

— Mówię o tym otwarcie, ponieważ materiał dowodowy, jaki zebraliśmy, w naszej ocenie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Aby go pozyskać, przeprowadzono złożoną kombinację operacyjną, która pozwoliła wytypować sprawcę wszystkich morderstw. Podejrzany usiłował zbiec, posiłkując się pomocą osoby trzeciej, którą później, z nieznanych nam powodów, pozbawił życia. Organy ścigania zdołały skutecznie powstrzymać uciekiniera dopiero na lotnisku podmiejskiego aeroklubu, już w trakcie kołowania przygotowanego wcześniej samolotu, chwilę po tym, jak wywołał on pożar hangarów. Nie mogąc wydostać się z obławy, ujął i ranił prokurator Sarę Skalską, bezpośrednio zaangażowaną w pościg. Stała się ona jego zakładniczką i w trakcie próby jej uwolnienia nastąpiła wymiana ognia. Morderca został zastrzelony. Tyle w kwestii faktów. Mogę teraz odpowiedzieć na pytania.

Las rąk. Prokurator wskazała znanego jej dziennikarza z największego lokalnego dziennika.

— Czy możemy poznać nazwisko mordercy? Jakie motywy nim kierowały?

— To Bernard Farney, wiceprezes firmy RCUS. Co do motywów, to na tym etapie śledztwa trudno powiedzieć coś konkretnego. Podejrzany nie żyje. Przypuszczamy, że chodziło o nielegalne przyjmowanie korzyści majątkowej w zamian za wynoszenie własności intelektualnej firmy, czyli mówiąc wprost: o kradzież kodów źródłowych, dokumentacji i innych danych na rzecz innego podmiotu gospodarczego. W tej kwestii prowadzone jest osobne śledztwo i mamy zabezpieczony bogaty materiał dowodowy. Dopuszczamy też jako motywy wewnętrzne konflikty i rozgrywki w gronie dyrekcji, które skłoniły sprawcę do dokonania aktów zbrodni jako próby odwetu, zemsty, a może dywersji.

— Zamordowanie szeregowych pracowników miałoby ukryć konflikty w gronie dyrektorów? To niedorzeczne… — stwierdził dziennikarz z głębi sali.

— Jak już powiedziałam, badamy ten trop. Następne pytanie! — Skinęła ręką w kierunku młodej dziennikarki z telewizji.

— Jak firma RCUS zareagowała na to, że na tak wysokim stanowisku zatrudniła wielokrotnego mordercę?

— Prokuratura nie jest od wydawania oświadczeń w imieniu firm. Następne pytanie!

— Kiedy i jak poznali państwo tożsamość mordercy?

— Pewność uzyskaliśmy dopiero w piątek wieczorem dzięki operacji przeprowadzonej przez oficerów prowadzących śledztwo i zaakceptowanej przez prokuraturę. Zaangażowano wielu specjalistów z różnych departamentów policji oraz cały ogrom środków. Jednocześnie chciałam szczególnie podziękować panu Kowalskiemu, pracownikowi z firmy RCUS, który pomógł nam w przygotowaniach i przyczynił się do identyfikacji sprawcy. A skoro już składam podziękowania, to takie należą się zwłaszcza pani Annie Tores, jednej z waszych koleżanek. — Prokurator

zawiesiła głos, podkreślając znaczenie słów. — Pani Tores, na naszą prośbę, z narażeniem własnego dobrego imienia i życia prowadziła niebezpieczną grę z mordercą, skłaniając go w końcu do popełnienia błędu. Jej chwalebna postawa w tej sprawie miała na celu przede wszystkim dobro śledztwa i próbę powstrzymania mordercy przed kolejnymi zbrodniami. To najlepszy wzór konstruktywnej współpracy między światem mediów i prokuratury.

W sali znów zrobiło się głośno. Dziennikarze czuli się jednocześnie docenieni i skrytykowani.

— Czy to aby nie wizyta samego ministra zmusiła was do skutecznej pracy? — pytał jakiś przedstawiciel lokalnego radia.

— Nie mogę wypowiadać się w imieniu pana ministra…

— Nie o to pytałem. — Nie pozwolił się zbyć.

— Pan minister był bezpośrednio zainteresowany przebiegiem śledztwa i zaoferował wszelką konieczną pomoc w celu rozwiązania tej sprawy. W tej kwestii stanowiska były zbieżne. Całe spotkanie odbyło się w klimacie pełnego zrozumienia i wzajemnej życzliwości.

— Jak to się stało? Czy może pani podać więcej szczegółów?

Dwa sprinty później, RCUS, biuro prezesa Maksymiliana Szeflera

Na biurku Maksymiliana Szeflera zabrzęczał telefon. Dzwonił uporczywie, więc prezes zbliżył się do aparatu i przyjrzał się numerowi. Na jego twarzy odmalował się grymas niechęci. Wyciszył pilotem powtórkę transmisji konferencji z prokuratury.

Postanowił jednak odebrać i zamknąć ostatnią zaległą sprawę:

— Witam, panie Gabrielu — odezwał się sucho.

— Jak się miewasz, Maks? — Rozpoznał głos byłego prezesa.

— Jakoś daję radę. Wciąż mnóstwo rzeczy do poukładania po tym tornadzie.

— Na zebraniach sama nowa gwardia? — zapytał nostalgicznym tonem.

— Tak. Wymiotło wszystkich. Nowa kadrowa, nowy księgowy… Ciągle szukam kompetentnych osób na stanowiska po Farneyu i Reliku.

— Więc Relik jednak odszedł…

— Nie miał wyboru. Już nie mogłem mu ufać. W imię zasług z odległej przeszłości nie złożyliśmy zawiadomienia o przestępstwie. Zgodził się odejść bez odprawy i bez przepychanek.

— A co z bezpieczeństwem?

— Kowalski usiłuje podołać nowej roli. Dużo wie i dużo potrafi. Zwłaszcza teraz są mi potrzebni fachowcy z doświadczeniem. Każda para rąk jest u nas na wagę złota.

— A jak sprawy naszego produktu?

— O tym… wolałbym nie mówić. — Opadł ciężko na fotel. — To już są informacje poufne. Architektura i implementacja stanęły. Zanim Nakuma z kolegami połapią się w niuansach spuścizny Maury i wniosą własne pomysły, potrzeba jeszcze czasu. Ten człowiek z byłego działu Relika sugerował użycie ciekawego narzędzia, które powinno im ogromnie pomóc i wszystkich szybko wydobyć z tarapatów. Zobaczymy.

— Czytałem — kontynuował Aivar — że system spotkał się z dobrym przyjęciem. Powinno sypnąć kontraktami. I do tego AMOD jest już właściwie bankrutem, czyli zero konkurencji na tym polu.

— Tak. Oni tam teraz ratują, co można, i za bezcen wyprzedają się na lewo i prawo, kawałek po kawałeczku.

— Ich akcje osiągnęły już wartość śmieciową! — zaśmiał się Aivar.

„A nasze to niby mają się lepiej?” — zakpił w myślach i rzekł:

— Ich prezesowi, połowie dyrektorów i architektów postawiono zarzuty. Zostali aresztowani. W mediach ciągle o nich mówią.

— Wałkują ten temat od miesiąca. Najlepsze dla naszej sprawy jest to, że zrównują działania ich i Farneya, a nas uważa się za ofiarę całego zamieszania.

„Gdybyś tylko wiedział, ile nas to kosztuje…” — dodał w myślach Szefler.

— Wiesz — głos w słuchawce nieco spoważniał — chciałem zapytać o kupno systemu zarządzania w firmie. Kiedy nastąpi decyzja?

Szefler poczuł mocniejsze bicie serca. Doszli wreszcie do właściwego punktu rozmowy.

— Decyzja miała być ogłoszona za tydzień — zaczął ostrożnie. — Jednak po starej znajomości… mogę właściwie już to powiedzieć. — Nabrał powietrza w płuca. — W tym roku nas na to nie stać.

— Jak to? — zagrzmiał głos z drugiej strony.

— Będziecie musieli poczekać na kolejną rundę za rok, kiedy ustalimy nowy budżet.

— Ale… my… — Aivar zacinał się zaskoczony.

— Nie ma już żadnego my. Tak to już jest w biznesie. Usłyszymy się za rok. Żegnam, panie Gabrielu.

Rozłączył się i odłożył smartfona szczęśliwy, że ma to za sobą. Nie zamierzał już kontaktować się z tym człowiekiem, który chciał wzbudzić poczucie wdzięczności za rekomendacje dla zarządu i nieustające faworyzowanie. Nie miał najmniejszej ochoty wikłać się w ciemne interesy. Widać ostatnie wydarzenia nie dla wszystkich były właściwą lekcją.

— I coś ty nam wszystkim uczynił, Farneyu! — Jego głos wypełnił pustkę gabinetu.

Komenda rejonowa

Skalski urządzał się w swoim nowym gabinecie. Awans na inspektora wzbudzał w nim mieszane uczucia. Owszem, cieszył się i nieco dziwił, że komendant na to przystał. Przecież sprawy były na ostrzu noża. Ale w końcu odniósł sukces, o czym wciąż jeszcze trąbiły media, a to budowało właściwą atmosferę wokół policji. Dzięki, pani Tores! Martwiły go jednak nowe obowiązki i konieczność wyniesienia się z pomieszczenia, w którym przebywał z Walczakiem przez tyle wspólnych lat. Cholera… tyle mu zawdzięczał, a teraz to głupie uczucie, jakby go porzucał na dobre.

Wtem w drzwiach stanęła Ester. To było ogromne zaskoczenie. Po tylu latach teraz właśnie zdecydowała się przyjść i… wybaczyć. Powiedziała, że uratowanie Sary przywróciło dawne wspomnienia, wylała znowu potok łez, ale dzień po dniu zaczęła sobie uświadamiać, że nie można wciąż żyć przeszłością, w ciągłym konflikcie i zrzucać całą winę na niego. Przecież uratował Sarę! Nie tylko dla siebie!

Potem zajrzał Walczak i zdumiony, powstrzymując łzy, jak ojciec przytulił ją do siebie. Zaczął ją o wszystko wypytywać, rozgadał się o starych czasach i wreszcie rozsiadł się w fotelu ogromnie zadowolony ze spotkania.

Kwadrans później wbiegł Czerski, czym skupił na sobie wzrok trójki przebywających tam osób. Zamykając drzwi, zauważył postać kobiety, co go mocno zdziwiło:

— Saro, jak to możliwe, że jesteś tutaj przede mną?

Siedzący obok Walczak zaczął rechotać. Skalski, delikatnie się uśmiechając, spojrzał na nią. Miała długi, szary płaszcz przepasany na biodrach. Ujmowała jakąś ulotną łagodnością swojego spojrzenia.

— Przecież dopiero co widzieliśmy się w prokuraturze… — wymamrotał niepewnie.

Teraz spostrzegł, że ani nos, ani czoło nie nosiły śladów blizn. Twarz co prawda ta sama. I coś jeszcze… czego zazwyczaj mężczyźni nie widzą… Włosy! Inny kolor i uczesanie!

— Pozwól, Czerski — odezwał się Skalski — że przedstawię ci moją drugą siostrę, Ester.

— Ester? A Sara? — zdębiał i zrozumiał. — A ja przez ten cały czas myślałem, inspektorze…

Walczak wciąż się śmiał, ale tym razem serdecznie. Zawsze go cieszyło, kiedy ludzkie sprawy układały się w duchu przyjaźni, ładu i harmonii. Taki już był.

— Z czym więc przychodzisz od Sary? — zapytał wreszcie Skalski.

— Krótko mówiąc: sprawa zamknięta. Nie będziecie wzywani więcej ani do sądu, ani do prokuratury.

— To teraz posypią się odznaczenia i awanse! — skwitował Walczak.

— Zostaniesz nadkomisarzem!

— Ty już swój dostałeś! Może i Sara…

— Ech — westchnął Skalski. — Z Sarą to nie będzie tak łatwo. Minister przypisuje sukces wyłącznie sobie. Jak on się wyraził? Że jego osobista interwencja w lokalnej placówce prokuratury bezpośrednio wpłynęła na pomyślne zakończenie sprawy i jeszcze tej samej nocy ujęto sprawcę. Do tego to dzięki niemu ujawniono szokujące działania grupy przestępczej skupionej wokół AMOD-u.

— Oj tam. Nie dramatyzuj. Na pewno coś jej tam wręczą. Ważne, że źli ludzie zostaną ukarani, a morderca nie żyje — podsumował Walczak.

— I pomyśl, Walczak, że gdyby ta gnida przeżyła, toby nas ganiali po sądach przez kolejnych kilka lat. Wzywaliby świadków, powoływali biegłych, odraczali sprawę, składali apelacje i kto wie co jeszcze. Cały ten urzędniczy kocioł!

— A ponieważ tak nie jest, to musimy to uczcić wieczorem! — odparł.

— Tak jest! Pełna zgoda — włączył się Czerski. — Ale dzisiaj stawiam ja!

— Jakże to?

— Wczoraj oświadczyłem się Annie!

— Odmówiła? — Walczak szeroko otworzył oczy.

— No coś ty! — Czerski krzyknął radośnie.

— Gratulujemy — rzekł całkiem poważnie Skalski, podszedł i uścisnął mu dłoń. — To dobra kobieta i wiele jej zawdzięczamy.

Walczak też zwlókł się z fotela i wyciągnął rękę:

— Opiekuj się nią. I niech dobrze o nas pisze.

— Ma teraz swoją stałą rubrykę na trzeciej stronie — pochwalił się Czerski.

Walczak pochylił się do niego i szeptem zapytał:

— Mój młody przyjacielu… mam takie jedno pytanie…

— Słucham cię, stary druhu…

— Trawi mnie to od jakiegoś czasu. Jak właściwie masz na imię?

— Tak samo jak pan, komisarzu Walczak…